

Dariusz Grygrowski

DOKUMENTY NIEKSIĄŻKOWE  
W BIBLIOTECE

WYDAWNICTWO

SBP



NAUKA - DYDAKTYKA - PRAKTYKA





dr Dariusz GRYGROWSKI (ur. 1962) jest adiunktem w Zakładzie Bibliotekoznawstwa Instytutu Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w problematyce edukacyjnych zastosowań multimediiów i innych dokumentów nieksiążkowych.

DOKUMENTY NIEKSIĄŻKOWE  
W BIBLIOTECE

*Rodzicom poświęcam*

**Polish Librarians Association**  
**SCIENCE-DIDACTICS-PRACTICE**

**Dariusz Grygowski**

**NON-BOOK MATERIALS  
IN THE LIBRARY**



**Warsaw 2001**

**Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich**  
**NAUKA-DYDAKTYKA-PRAKTYKA**

**Dariusz Grygrowski**

**DOKUMENTY NIEKSIĄŻKOWE  
W BIBLIOTECE**

**WYDAWNICTWO**

**SBP**



**Warszawa 2001**

Komitet Redakcyjny serii wydawniczej  
<<NAUKA — DYDAKTYKA — PRAKTYKA>>

Marcin DRZEWIECKI (przewodniczący), Stanisław CZAJKA, Zofia GACA-  
-DĄBROWSKA, Barbara SOSIŃSKA-KALATA, Danuta KONIECZNA,  
Krzysztof MIGOŃ, Mieczysław MURASZKIEWICZ, Janusz NOWICKI (sekretarz),  
Wanda PINDŁOWA, Jan SÓJKA, Barbara STEFANIAK, Hanna TADEUSIEWICZ,  
Zbigniew ŻMIGRODZKI

**Książka została wydana przy wsparciu finansowym Instytutu Informacji  
Naukowej i Studiów Bibliologicznych UW – badania własne „Biblioteki  
w systemie oświaty i kultury”. Kierownik tematu prof. dr hab. Marcin Drzewiecki**

Recenzent  
Marcin DRZEWIECKI

Redakcja merytoryczna  
Janusz NOWICKI

Redakcja techniczna i korekta  
Anna LIS

© Copyright by Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich

ISBN 83-87629-71-5

CIP — Biblioteka Narodowa

Grygrowski, Dariusz

Dokumenty nieksiążkowe w bibliotece / Dariusz Grygrowski : Stowarzyszenie Bibliotekarzy  
Polskich. - Warszawa : Wydaw. SBP, 2001. - (Nauka, Dydaktyka. Praktyka ; 46)

Wydawnictwo SBP. Warszawa 2001. Wydanie I. Ark. wyd. 18,75. Ark. druk. 16,0  
Łamanie: K. BRAWIŃSKI. Druk i oprawa: Warszawska Drukarnia Naukowa PAN  
00-656 Warszawa, ul. Śniadeckich 8

## SPIS TREŚCI

NOTA WYDAWNICZA.....	9
WSTĘP.....	10
KRÓTKI SŁOWNIK STOSOWANYCH AKRONIMÓW ANGIELSKICH	22
Rozdział I	
NIEZBĘDNE ROZWAŻANIA TERMINOLOGICZNE .....	25
Czy dokumenty nieksiążkowe są niedrukowane? .....	29
Jedność mediów .....	32
Audiowizualne dokumenty nieksiążkowe .....	38
Dokumenty nieksiążkowe a dokumenty wtórne .....	48
Media i multimedia .....	50
Dokumenty nieksiążkowe według norm i zaleceń opisu bibliograficznego	55
Definicja dokumentów elektronicznych.....	58
Rozdział II	
PRZEŁOM ANALOGOWO-CYFROWY .....	63
Przyszłość mikroform .....	65
Zastosowania płyty kompaktowej .....	77
Wideo analogowe i cyfrowe .....	87
Rozdział III	
BIBLIOTEKA NA USŁUGACH SPOŁECZEŃSTWA INFORMACYJNEGO .....	91
Zapowiedzi przełomu cywilizacyjnego.....	93
W stronę biblioteki trzeciej fali .....	96
Dostęp do informacji w społeczeństwie informacyjnym .....	101
Nowe preferencje użytkowników informacji .....	105
McLuhan'owska krytyka kultury druku .....	108
Inne prognozy zmięchu książki drukowanej.....	113
Kontrowersyjny konserwatyzm Stolla .....	122
Biblioteka elektroniczna jako mit .....	130



Umiarkowane przepowiednie na temat bibliotek .....	132
Ergonomia książki .....	141
Koegzystencja starych i nowych mediów .....	145
Informacyjna wartość Internetu .....	147
Internet w bibliotece, biblioteka w Internecie .....	152
Elektroniczna metamorfoza bibliotek .....	157
Biblioteka a rzeczywistość wirtualna .....	164
Dyskusje na temat biblioteki bez ścian .....	170
Dygitalizacja zbiorów bibliotecznych .....	173
Bibliotekarze wobec nowych technik przekazywania informacji .....	183
Rozdział IV	
DOKUMENTY NIEKSIĄŻKOWE W BIBLIOTEKACH PUBLICZNYCH (wyniki badań ankietowych) .....	195
ZAKOŃCZENIE .....	213
BIBLIOGRAFIA .....	215

## CONTENTS

EDITOR'S NOTE.....	9
INTRODUCTION .....	10
SHORT DICTIONARY OF ENGLISH ACRONYMS USED IN THE TEXT.	22
Chapter I	
INDISPENSABLE CONSIDERATION ON TERMINOLOGY.....	25
Non-book materials: are they non-printed? .....	29
Unity of the media .....	32
Audio-visual non-book materials.....	38
Non-book materials and reproduced documents .....	48
Media and multimedia .....	50
Non-book materials according to standards and recommendations of bibliographic description .....	55
Definition of electronic documents .....	58
Chapter II	
FROM ANALOGUE TO DIGITAL DOCUMENTS: REVOLUTION....	63
Future of microforms .....	65
CD implementations.....	77
Analogue and digital video.....	87
Chapter III	
LIBRARY AT THE SERVICES OF THE INFORMATION SOCIETY ...	91
Forecasts of the civilisation's turning point .....	93
Towards the third wave's library.....	96
Access to information in the information society .....	101
New preferences of the information users.....	105
McLuhan's criticism of the culture of the print.....	108
Other prognosis on decline of printed books .....	113
Controversial conservatism of Stoll .....	122
Electronic library as a myth .....	130

Measured forecasts on the libraries . . . . .	132
Ergonomics of the book . . . . .	141
Co-existence of the new and old media . . . . .	145
Informative value of the Internet. . . . .	147
Internet in the library, library in the Internet . . . . .	152
Electronic metamorphosis of the library . . . . .	157
Library and virtual reality. . . . .	164
Discussion on library without walls . . . . .	170
Digitalisation of the library collections . . . . .	173
Librarians against new technologies of the information transfer . . . . .	183

Chapter IV

**NON-BOOK MATERIALS IN THE PUBLIC LIBRARIES**

(result of the questionnaire survey) . . . . .	195
<b>CONCLUSIONS . . . . .</b>	<b>213</b>
<b>BIBLIOGRAPHY . . . . .</b>	<b>215</b>

## NOTA WYDAWNICZA

Nie będzie przesadą, jeśli stwierdzę, że przedstawiona Szanownym Czytelnikom książka Dariusza Grygrowskiego, jest godna polecenia i to z kilku powodów.

Po pierwsze, jest aktualna, wychodząca naprzeciw potrzebom teorii i praktyki bibliotekarskiej. Dokumenty nieksiążkowe są składnikiem współczesnych zbiorów bibliotecznych, niezależnie od naszych indywidualnych sądów na temat zagrożenia druku przez komputer, Internet, dokument elektroniczny.

Po drugie, zawarta w książce analiza poglądów (stanowisk) na temat nieksiążkowych form przekazu, niemalże z całego współczesnego świata bibliotekoznawczego jest dokonana rzetelnie, wielowymiarowo, obiektywnie.

Po trzecie, publikacja jest uporządkowana w swej metodzie. Autor zgodnie z dobrym obyczajem w nauce najpierw wyjaśnia terminologię, przechodząc później do zagadnień ogólniejszych dotyczących funkcjonowania dokumentów i informacji w „społeczeństwie informacyjnym”. Pracę zamykają rozważania, dotyczące opisywanej sytuacji w Polsce.

Po czwarte, co nie jest bez znaczenia, praca jest napisana językiem prostym, bezpretensjonalnym, pozbawionym licznych zapożyczeń z nauk technicznych. Dlatego też cały wywód Autora jest wiarygodny. Nie jest to sytuacja powszechna w polskiej współczesnej literaturze informacyjno-bibliotekarskiej, przez co wątek ten zasługuje na podkreślenie.

I wreszcie, po piąte, dawno nie czytałem tak interesującego tekstu fachowego. Wspomniane wcześniej rzetelność oraz dobra metoda zostały poparte pasją młodego badacza.

Cieszę się, że pracownicy bibliotek, informacji, studenci i nauczyciele bibliotekarstwa różnych szkół i szczebli dostają nowe opracowanie dotyczące niewątpliwie bardzo istotnego problemu w bibliotekarstwie początku nowego stulecia.

*Marcin Drzewiecki*

## WSTĘP

W 1972 r. Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Oświaty Nauki i Kultury wystosowała do bibliotekarzy świata manifest, w którym określiła społeczną rolę biblioteki publicznej<sup>1</sup>. W swym manifeście UNESCO apelowała także o większe zainteresowanie bibliotekarzy innymi niż książkowe sposobami przekazu informacji. Wśród 25 punktów manifestu, przypominającego spis praw bibliotecznych, trzy punkty odnoszą się do zjawiska współlistnienia w zbiorach bibliotecznych dokumentów książkowych i nieksiążkowych. W dokumencie czytamy:

*Od czasu, jak słowo drukowane zostało przed setkami lat przyjęte za środek przekazywania wiedzy, idei i informacji, książki, czasopisma i gazety pozostają najważniejszą częścią zbiorów bibliotek publicznych. (...) Ale nauka stworzyła nowe formy zapisu treści, których znaczenie w zbiorach bibliotecznych wzrasta. Zaliczmy tu wszelkie reprodukcje w pomniejszonej skali dla ułatwienia magazynowania zwartego i transportu, filmy, slajdy, płyty gramofonowe, taśmy audio i wideo dla dzieci i dorosłych z niezbędnym wyposażeniem dla użytku indywidualnego i działalności kulturalnej<sup>2</sup>.*

Jednym z głównych haseł manifestu może być następujące zdanie:

*Biblioteka publiczna jest skupiona na przekazywaniu informacji i myśli bez względu na formy, w jakich zostały wyrażone<sup>3</sup>.*

Autorzy manifestu wyrażali więc przekonanie, że utożsamianie biblioteki z instytucją, gdzie zachodzi jedynie komunikacja wykorzystująca przekazy piśmiennicze, jest niekorzystnym zawężaniem funkcji i możliwości biblioteki. Jest podejściem nieadekwatnym do potrzeb współczesnej cywilizacji. Chociaż UNESCO uczyniło adresatami swego manifestu biblioteki publiczne, jest oczywiste, że uwagi w nim zawarte mają charakter uniwersalny i odnoszą się także do innych typów bibliotek. Zrewidowany manifest UNESCO opublikowany w 1994 r. nie wnosi nic nowego do kwestii współlistnienia różnych typów dokumentów w bibliotekach<sup>4</sup>. Powtórzona uwaga o potrzebie włączania do zbiorów również dokumentów nieksiążkowych jest dziś tak oczywista, jak oczywiste są prawa Rangana-thana opisujące funkcjonowanie biblioteki<sup>5</sup>. Jednak należy takie oczywiste dla

---

<sup>1</sup> Manifest z 1972 r. był drugim tego typu apelem do bibliotekarzy kierowanym przez ONZ. Wcześniej podobny dokument opublikowano w 1947 r. W 1994 r. ukazała się trzecia zrewidowana wersja manifestu.

<sup>2</sup> *The UNESCO Public Library Manifesto*. „Libri” 1994 vol. 44 no 2 s. 172.

<sup>3</sup> Tamże, s. 172.

<sup>4</sup> Zrewidowana wersja „Unesco Public Library Manifesto” dostępna jest na oficjalnej stronie internetowej IFLA pod adresem <http://www.unesco.org/webworld/libmanif/libraman.htm>

<sup>5</sup> Chodzi oczywiście o słynne pięć praw bibliotekoznawstwa sformułowanych przez S. R. Rangana-thana i opublikowanych w 1931 r. w książce *Five laws of library science*.

większości prawa formułować i obwieszczać, bo mimo wszystko są wciąż osoby i instytucje do nich nieprzekonane. Wyrażam pogląd, że bibliotekarze w większości (z nielicznymi wyjątkami, o czym poniżej) uznają potrzebę włączania do zbiorów bibliotecznych obok książek i czasopism również innych typów dokumentów. Mogą się jednak różnić w ocenie przydatności dokumentów nieksiążkowych w poszczególnych działaniach biblioteki.

Pierwszym celem niniejszej pracy jest więc prezentacja poglądów bibliotekarzy praktyków i teoretyków bibliotekoznawstwa na następujące zagadnienia:

- powody włączania dokumentów nieksiążkowych do zbiorów bibliotecznych i spodziewane w związku z tym korzyści,
- relacja pomiędzy dokumentami książkowymi a nieksiążkowymi w organizmie biblioteki,
- ewolucja instytucji biblioteki pod wpływem postępującego zróżnicowania formatów dokumentów,
- zmiana charakteru zawodu bibliotekarza w świecie coraz bardziej dostępnej i poszukiwanej informacji elektronicznej.

Nieodzowne będzie także zestawienie wypowiedzi antagonistów i protagonistów przekazów drukowanych, gdyż z ich sporów – toczonych nie tylko w literaturze bibliologicznej – wynikają często odmienne, ale interesujące prognozy na temat przyszłości instytucji biblioteki.

Drugim celem pracy jest próba skonfrontowania idei z praktyką, czemu miało służyć badanie ankietowe omówione w przedostatnim rozdziale.

Nierzadko słyszy się głosy, a padają one również z ust bibliotekarzy, że nowoczesne audiowizualne (w tym elektroniczne) źródła informacji nie sprzyjają czytelnictwu książek jako najwyższej formie uczestnictwa w kulturze. Skrajne głosy twierdzą wręcz, że przekazy audiowizualne, a szczególnie kontakt z komputerem to zagrożenie dla piśmienności. W jednym z kolejnych rozdziałów tej pracy prezentują m.in. omówienie amerykańskiej książki, której autorzy osobliwie uznali, że tzw. computer literacy (piśmienność komputerowa) może prowadzić nawet do analfabetyzmu. Nieskrywana niechęć do komputera, której powodem jest przekonanie, że komputer stoi w opozycji do książki, jest tylko dalszym ciągiem niegdyś wypowiedzianych obaw, w których w tej samej złej roli widziano radio, telewizję i kasety wideo. Kwintesencją tego rodzaju poglądów jest wypowiedź Edmunda Pellegrino.

*Komputer jest najbardziej efektywnym, skutecznym i pociągającym narzędziem przekazywania przetworzonej informacji. Dodany do innych dokumentów nieksiążkowych i źródeł informacji, jak filmy, kasety, telewizja i inne popularne media, komputer przyspiesza zanik sprawności intelektualnej zdobytej podczas czytania książek<sup>6</sup>.*

Takie twierdzenia już dawno zostały zweryfikowane negatywnie. W bibliotekarstwie zaczyna zwyciężać pogląd, że przekazy drukowane i audiowizualne nie są dla siebie konkurencją, ale wzajemnym wsparciem. Twierdzą tak nawet ci, którzy ostrożnie i sceptycznie podchodzą do dokonującej się w bibliotekarstwie rewolucji dygitalnej. Do takich postaci w bibliologii amerykańskiej należy z pewnością Walt Crawford, który mimo swego technosceptycyzmu stwierdza:

---

<sup>6</sup> E. D. Pellegrino: *The computer and the book. The perils of coexistence*. W: *Books in our future. Perspectives and proposals*. Washington, Library of Congress 1987 s. 86.

*Biblioteki służą ludziom. Biblioteki będą się cieszyć w przyszłości powodzeniem poprzez zaspokajanie różnorodnych ludzkich zainteresowań i potrzeb, a nie poprzez stanowcze twierdzenie, że bibliotekarze wiedzą lepiej, co ludzie powinni chcieć i jak powinni zdobywać informacje, wiedzę i rozrywkę. Ludzie potrzebują mieszanki analogowych i cyfrowych źródeł, które zaspokoją ich oczekiwania i możliwości, a biblioteki powinny te potrzeby uszanować<sup>7</sup>.*

Badacze czytelnictwa, z racji swego powołania, szczególnie przywiązujący wagę do tego zjawiska jako ważnej formy uczestnictwa w kulturze, już dawno podali w wątpliwość twierdzenia, jakoby przekazy audiowizualne stały w opozycji do przekazów książkowych w tym znaczeniu, iż uczestnik komunikacji audiowizualnej mniej uczestniczy w komunikacji literackiej. Już 40 lat temu Klara Siekierycz – prekursorka problematyki audiowizualności w bibliotekarstwie polskim – zauważyła następujące prawidłowości:

1. (...) ci, którzy czytają więcej książek i częściej odwiedzają biblioteki, są zarazem intensywnymi czytelnikami gazet i magazynów, słuchają radia co najmniej tyle co inni i znacznie częściej chodzą do kina.

2. Telewizja może upowszechniać i uprzystępniać dzieła literackie poprzez ich dramatyzację lub omówienie przed kamerą. Niejednokrotnie stanowi to bodziec do sięgnięcia po książkę.

3. (...) aktywność czytelnicza idzie zwykle w parze z aktywnością korzystania z radia, kina i telewizji<sup>8</sup>.

Tę zaskakującą prawidłowość, przeczącą twierdzeniu, że media audiowizualne są wrogiem książek, a świadczącą raczej o tym, że aktywny uczestnik kultury nie ogranicza się do jednego medium, pokazują badania przeprowadzone przez agencję SMG/KRC Poland Media. Maja Wolny, która omówiła wyniki tych badań, słusznie zauważa, że Internet stymuluje swoich użytkowników do poszukiwań informacji również poza siecią, i zapewne tym należy tłumaczyć fakt wyraźnej przewagi liczebnej internautów nad nieinternautami wśród osób kupujących książki<sup>9</sup>. To znaczy, że wbrew stereotypom komputery nie anektują całości ich wolnego czasu.

W piśmiennictwie anglojęzycznym na określenie użytkowników bibliotek używa się często terminu „patrons” (klienci) lub zwyczajnie „library users” (użytkownicy bibliotek). U nas także używa się zwrotu „użytkownicy”, ale równie często (a może częściej) spotyka się określenie „czytelnicy”, które niesłusznie przecież zawęża pole aktywności osób odwiedzających biblioteki. Biblioteka bowiem nie jest wyłącznie czytelnią lub inaczej – źródłem tekstów. Biblioteka jest miejscem dla przekazów innych niż książkowe także. Współcześni użytkownicy bibliotek, mając już pewne doświadczenie i obserwacje związane z obecnością w bibliotece mikroform, przezroczy, kaset audio i wideo oraz programów multimedialnych na CD-ROM, na pewno w większości poparliby wyrażone w poprzednim zdaniu przekonanie. Są jednak autorzy występujący z pozycji użytkowników bibliotek, którzy sceptycznie podchodzą do zmian zachodzących w bibliotekarstwie spowodowanych rozwojem technologii i powszechną komputeryzacją. Zdarzają się więc wypowiedzi, zarówno ze strony bibliotekarzy, jak i użytkowników, które zdecydowanie podważają sens gromadzenia dokumentów nieksiążkowych w bibliotekach. Jacek Wojciechowski, który w tym sporze

<sup>7</sup> W. Crawford: *The card catalog and other digital controversies*. „American Libraries” 1999 vol. 30 nr 1 s. 55.

<sup>8</sup> K. Siekierycz: *Audiowizualna służba biblioteczna*. Warszawa, BN 1961 s. 8, 11, 13.

<sup>9</sup> M. Wolny: *Co czytają internauci? Jazda po grzbietach*. „Polityka” 2000 nr 30 s. 46.

przyjmuje stanowisko umiarkowane, twierdzi, że postawa niechętna dokumentom nieksiążkowym jest nawet dość częsta. Kojarzenie biblioteki wyłącznie z przekazem książkowym Wojciechowski uważa za pogląd uproszczony i stereotypowy. Píše też:

*Wbrew temu co już widać, kontynuuje się podział komunikacji na 'jedynie słuszną' (pisemną) i na rzekomo 'bezwartościową', którą w bibliotece zajmować się nie warto. (...) Takie oceny przekazów, że jeden jest 'dobry', drugi zaś 'zły', nie mają sensu tak długo, dopóki nie pojawi się objaśnienie, dlaczego oraz do czego jeden przekaz ma być dobry, a inny zły*<sup>10</sup>.

Pryncypialny spór o dopuszczenie (lub nie) dokumentów nieksiążkowych do regałůw bibliotecznych dobrze obrazuje dyskusja przypomniana przez Halinę Kowalską we wstępie do książki „Wideo w bibliotekach publicznych”<sup>11</sup>. Otóż na początku lat dziewięćdziesiątych spór ten toczyło na łamach „Library Journal” dwóch bibliotekarzy amerykańskich. Spierali się o dostępność do kaset wideo w bibliotekach publicznych, a w sensie bardziej ogólnym o dostęp w bibliotekach do dokumentów innych niż książkowe. Pierwszy zabrał głos James McGloin, który z wielką irytacją przyjął informację, iż w jednej z bibliotek publicznych w stanie Michigan 43% ogólnego obrotu bibliotecznego stanowią kasety wideo. Swoją irytację wyraził wobec tego w stwierdzeniu, że „Ameryka staje się narodem widiotów”<sup>12</sup>. W tym uszczypliwym neologizmie zawiera się wyraźne przekonanie McGloina, że korzystanie z wideo może jedynie ogłupiać, a nie służyć rozwojowi intelektualnemu. Tak wyrażony pogląd może więc prowadzić do wniosku – i takież wyciąga McGloin – że wrota bibliotek powinny być przed kasetami wideo zamknięte.

Z niektórymi uwagami McGloina należy się zgodzić. Bardzo dobre i prawdziwe jest jego hasło: „readers are leaders” (czytelnicy są liderami). Można też zrozumieć niepokój bibliotekarza w sytuacji, gdy blisko połowa udostępnień dotyczy kaset wideo, które przecież stanowią niewielki procent w ogólnej liczbie zbiorów biblioteki. W takiej sytuacji wygląda na to, że coś czego jest mało, jest w ciągłym użytku, a w tym samym czasie wielkie ilości książek i czasopism zgromadzonych w bibliotece pozostają nietknięte. Dla osoby ukształtowanej w przeświadczeniu, że zasadniczy wpływ na rozwój człowieka i jego poziom intelektualny ma czytelnictwo, takie dane mogą być rzeczywiście niepokojące. Trudno się dziwić, gdy niektórzy bibliotekarze zaczynają mieć obawy, czy ich miejsce pracy nie zaczyna upodabniać się do zwykłego sklepu, w którym można kupić artykuły spożywcze i wypożyczyć kasetę na wieczór. Ale powiedzmy też, że to bibliotekarz decyduje o repertuarze kaset wideo w wypożyczalni i swoimi wyborami może sprawić, że oferta biblioteki będzie przez użytkowników postrzegana jako bardziej wartościowa i mniej komercyjna niż oferta sklepikarza. Fakt popularności kaset wideo wśród użytkowników nie powinien tak bardzo niepokoić bibliotekarza, jeśli wcześniej zadbał on, by w ofercie biblioteki znalazły się nagrania wartościowe, edukujące i inspirujące. Tym bardziej nie powinien bibliotekarz z tego faktu wyciągać wniosku, iż nie ma w bibliotece miejsca dla kaset wideo i innych dokumentów audiowizualnych, a właśnie taki wniosek wyciąga McGloin pisząc:

*Bibliotekarze powinni promować książki i wydawać pieniądze z naszych podatków tylko na książki. Wszystko, co poza tym, to kryminal*<sup>13</sup>.

<sup>10</sup> J. Wojciechowski: *Bibliotekarstwo: kontynuacje i zmiany*. Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego 1999 s.102.

<sup>11</sup> *Wideo w bibliotekach publicznych*. Pod red. Haliny Kowalskiej. Warszawa, BN 1992 s. 3.

<sup>12</sup> J. McGloin: *A nation of idiots*. „Library Journal” 1990 vol. 115 no 3 s. 110.

<sup>13</sup> Tamże, s. 110.



Na te zaskakujące wypowiedzi McGloina odpowiedział Grant Burns.

*McGloin brzmi śmiesznie. Ciekaw jestem, czy jego definicja nieksiążkowej przepięczności rozciąga się również na gromadzenie nagrań Dworzaka, Milesa Davisa i The Doors. Ciekaw jestem, czy dopuszcza jakiegokolwiek czasopisma w swojej bibliotece. Przypuszczalnie nie, skoro wszystko poza książkami to kryminał. (...) Bibliotekarze tacy jak McGloin jawnie wierzą, że jakakolwiek książka bezwzględnie przewyższa jakiegokolwiek dokument nieksiążkowy, który może pojawić się w bibliotece*<sup>14</sup>.

Burns ma oczywiście rację. Poziom artystyczny i intelektualny utworu nie zależy od sposobu jego przekazu i rodzaju nośnika na jakim został utrwalony. W takim samym stopniu wśród książek, jak wśród dokumentów audiowizualnych (w tym współczesnych przekazów elektronicznych) znaleźć można utwory wartościowe, godne umieszczenia na półkach bibliotecznych.

**Stawiam tezę**, że poglądy wyrażone przez McGloina są odosobnione, i że większość bibliotekarzy uznaje potrzebę obecności w bibliotekach wszelkich typów dokumentów nieksiążkowych, w tym w szerokim wyborze dokumentów audiowizualnych. **Drugą tezę** – wynikającą z pierwszej na zasadzie opozycji – będzie także stwierdzenie, że przepowiednie odejścia od przekazów drukowanych i wiara w szybką i powszechną dygitalizację zbiorów bibliotecznych to wypowiedzi równie rzadkie i zdecydowanie przedwcześnie. **Trzecią tezę**, będącą wypadkową dwóch poprzednich, będzie więc stwierdzenie, że w piśmiennictwie bibliologicznym należy się spodziewać wypowiedzi umiarkowanych, których autorzy będą wskazywali zalety zarówno przekazów drukowanych, jak i przekazów wykorzystujących nowoczesną technologię, w tym technologię komputerową. **Przydatność danego medium zmienia się bowiem w zależności od celu zastosowania.**

Można się spierać, jak powinno się odbywać włączanie nowych mediów do zbiorów bibliotek. Sama obecność dokumentów nieksiążkowych w bibliotece nie wystarcza. Musi być to obecność widoczna. Użytkownik musi mieć łatwą możliwość dotarcia do wszelkich dokumentów przechowywanych w bibliotece bez konieczności pokonywania barier fizycznych i psychologicznych. Niestety, takie bariery są, co potwierdza wypowiedź Anthony'ego Thompsona.

*Jak wiele bibliotek, gromadząc nowe nośniki informacji, jednocześnie bojaźliwie chowa je w piwnicach lub na najwyższym piętrze, ograniczając tym samym ich dostępność. Jak wiele z nich udostępnia te materiały tylko nielicznym użytkownikom, ograniczając dostęp do specjalnych pomieszczeń lub – co gorsza – do zamkniętych pokoi lub pomieszczeń do pracy indywidualnej*<sup>15</sup>.

Dostrzegane przez Thompsona niekorzystne położenie nowych typów dokumentów w budynku biblioteki nie musi zresztą wynikać ze złej woli bibliotekarzy lub niedoceniań potencjału nowych mediów. Problem pomieszczenia zbiorów i permanentnych braków powierzchni magazynowych jest stary, jak same biblioteki i może być tematem na odrębną rozprawę. Wprowadzenie nowego typu dokumentów do biblioteki może się odbyć kosztem dotychczasowych zbiorów książkowych i oznacza uszczuplenie przeznaczony dla nich powierzchni. Znalezienie miejsca dla nowej kategorii zbiorów w budynku projektowanym w czasach, gdy nie mówiono jeszcze o dokumentach audiowizualnych w bibliotekarstwie, a nawet nie planowanym wstępnie jako budynek biblioteczny, może być

<sup>14</sup> G. Burns: *We are not idiots*. „Library Journal” 1990 vol. 115 no 20 s. 40.

<sup>15</sup> A. H. Thompson: *Knowledge or format – which comes first?* „Audiovisual Librarian” 1986 vol. 12 no 4 s. 184.

poważnym problemem. Nic więc dziwnego, że czasem zbiory nieksiążkowe umieszczane są w mało reprezentacyjnych pomieszczeniach biblioteki.

Drugim czynnikiem, świadczącym o poważnym traktowaniu dokumentów nieksiążkowych przez bibliotekę, oprócz umieszczenia ich w widocznym miejscu, jest też włączenie informacji o nich do katalogu biblioteki. Brak informacji katalogowej o jakimkolwiek dokumencie jest – szczególnie w przypadku dużej biblioteki – skazaniem go w jakimś sensie na niebyt. Natomiast fakt włączenia opisów dokumentów nieksiążkowych do katalogów w oczywisty sposób nadaje im pełne prawa materiałów bibliotecznych i ożywia ich funkcjonowanie w organizmie biblioteki. Ważnym warunkiem obecności opisów dokumentów nieksiążkowych w katalogach jest dostępność przepisów opisu bibliograficznego tych dokumentów. Już 30 lat temu Henryk Sawoniak wskazywał na konieczność zwrócenia w bibliografii większej uwagi na nowe nośniki informacji.

*Dokumenty rękopiśmiennicze i drukowane przestały być jedynym środkiem zapisu i przekazu treści kulturalnych; obok nich pojawiają się dokumenty audiowizualne, których zasięg oddziaływania jest coraz powszechniejszy, zarówno pod względem ilościowym, jak i spełnianych funkcji (rozrywkowych, kulturalnych, oświatowych, naukowych). To jest fakt, z którym bibliografia musi się liczyć<sup>16</sup>.*

Wobec powyższego warte poznania są badania pokazujące, jak współcześnie bibliotekarze podchodzą do problemu informacji katalogowej o dokumentach nieksiążkowych. Pod tym względem ciekawe są wyniki badań przeprowadzonych w połowie lat dziewięćdziesiątych przez Jean Weihs i Lynne Howarth wśród bibliotek kanadyjskich. Autorki wyszły od analizy zmian dokonywanych przez lata w przepisach katalogowania dokumentów nieksiążkowych. Stwierdziły więc, że pojawienie się pierwszych anglo-amerykańskich przepisów katalogowania w latach sześćdziesiątych niewiele zmieniło w sytuacji zbiorów nieksiążkowych, zatem wciąż w wielu bibliotekach przechowywane one były jako nieskatalogowane w pokojach pracowniczych<sup>17</sup>. Z badań przeprowadzonych przez autorki wynika, że wciąż w niektórych typach bibliotek (szczególnie publicznych i szkolnych) ma miejsce ta sytuacja. Owszem, uzupełnia się zbiory o płyty CD z muzyką i programami, kasety audio i wideo, ale bibliotekarze umieszczają je w swoich szafach i szufladach bez katalogowania. Z faktu, czy dane medium zostało skatalogowane, może wpływać wniosek o randze, jaką bibliotekarze nadają temu medium. Jeśli więc uważają je za ważny materiał biblioteczny o istotnych walorach edukacyjnych i informacyjnych, nie omieszkają podać odpowiednich informacji w katalogu. Z omawianych badań wynikałoby więc, iż bibliotekarze szkół wyższych (a szczególnie bibliotek uniwersyteckich) dużo większym „szacunkiem” darzą dokumenty nieksiążkowe niż ich koledzy w bibliotekach publicznych i szkolnych. Wynika to z faktu, że dokumenty nieksiążkowe częściej są katalogowane właśnie w bibliotekach szkół wyższych. Oto np. żadna biblioteka uniwersytecka nie stwierdziła, że posiada nieskatalogowane zbiory wideo. Natomiast przyznało się do tego 9,8% bibliotek publicznych i 11,1% bibliotek szkolnych. Podobnie było w przypadku mikroform. Tylko 6,4% bibliotek szkół wyższych stwierdziło, że ma jakieś nie opracowane mikroformy, natomiast wśród bibliotek publicznych było takich bibliotek 45,6%, a wśród szkolnych 75%. To samo w przypadku programów komputerowych. Nie były skatalogowane w 5,4% bibliotek szkół wyższych,

<sup>16</sup> H. Sawoniak: *Dokumenty audiowizualne w bibliografii*. W: *Z problemów bibliografii*. Warszawa, BN 1970 s. 369.

<sup>17</sup> J. Weihs, L. C. Howarth: *Nonbook materials: their occurrence and bibliographic description in Canadian libraries*. „Library Resources and Technical Services” 1995 vol. 39 no 2 s. 184.

w 50% (sic!) bibliotek publicznych i 28,8% bibliotek szkolnych. Pewną więc ciekawostką były wyniki osiągnięte przez nagrania dźwiękowe. Nie były bowiem skatalogowane w 5,1% bibliotek szkół wyższych i w 12,9% bibliotek publicznych. Natomiast żadna biblioteka szkolna nie stwierdziła takiej sytuacji. Co prawda, wyniki dla bibliotek szkolnych (i te pozytywne, dotyczące nagrań dźwiękowych, i te negatywne, dotyczące mikroform) nie mogą być uznawane za reprezentatywne, bo w ogólnej liczbie respondentów biblioteki szkolne stanowiły zdecydowaną mniejszość<sup>18</sup>, jednak można uznać, iż badania potwierdziły powszechną opinię o tym, że dla biblioteki szkolnej dużo większą wartość stanowi nagranie audio (słowne lub muzyczne) niż jakakolwiek mikroforma. Jeszcze inny obraz sytuacji wynika z sumowania wyników na temat katalogowania dokumentów nieksiążkowych. Wśród badanych kanadyjskich bibliotek 11,5% z nich odpowiedziało, że nie kataloguje dokumentów nieksiążkowych w ogóle, a 36,6% stwierdziło, że kataloguje tylko niektóre kategorie dokumentów nieksiążkowych. Daje to w sumie 48,1% bibliotek, które w całości lub częściowo nie posiadają skatalogowanych nowych mediów<sup>19</sup>. Nie są to na pewno wyniki zadowalające, a zważywszy, że Kanada ma jednak dłuższe tradycje opracowania dokumentów nieksiążkowych niż Polska<sup>20</sup>, można było przypuszczać, że wyniki takich badań w naszych bibliotekach byłyby jeszcze bardziej niekorzystne. Tę tezę miał za zadanie zweryfikować IV rozdział zawierający wyniki badań ankietowych w polskich bibliotekach publicznych.

Na wstępie rozważań na temat obecności dokumentów nieksiążkowych w bibliotekach pojawia się spór o to, jak włączać nowe typy dokumentów do zbiorów. Spór ten dzielić będzie jego uczestników zasadniczo na dwa obozy. Jedni uznają, że odmiennosc i różnorodność form dokumentów nieksiążkowych, oraz fakt, że nierzadko wymagają one urządzeń odczytujących, są tak istotnymi czynnikami, iż konieczne jest wydzielenie w całym zbiorze podzbiorów dla określonych nośników. Zwolennicy tej opcji stwierdzają, iż odmiennosc form dokumentów wymaga segmentowej organizacji zbioru bibliotecznego, gdyż tylko wtedy możliwe będzie efektywne zarządzanie podzbiorami, ich sprawne udostępnianie i przechowywanie. Zwolennicy drugiej opcji stwierdzają, że forma dokumentu nie ma żadnego znaczenia, a we współczesnej bibliotece, która zmierza do idei wolnego dostępu do półek, zbiory powinny być ustawione według kryterium rzeczowego, a nie formalnego. Innymi słowy dokumenty na ten sam temat powinny znaleźć się w jednym miejscu, niezależnie od swej postaci fizycznej. Za zwolennika drugiej opcji uznać należy J. Wojciechowskiego, gdyż autor ten pisze:

*Zanika mianowicie tradycyjny zwyczaj wyodrębniania agend ze względu na rodzaj nośnika, nie mający funkcjonalnego ani technologicznego uzasadnienia. Był to relikwitu okresu dominacji książki w społecznej komunikacji; wszystko, co nie było książką (gazety, kasety itd.), starano się udostępniać w oddzielnych agendach. Aktualnie przeważało dążenie do tworzenia kolekcji wielomedialnych, połączonych i wysegregowanych ze względu na zawartość, a nie rodzaj nośnika. Jest to logiczne: publiczność korzysta z bibliotek dla treści zbiorów, a nie dla formy zapisu treści<sup>21</sup>.*

<sup>18</sup> Tamże, s. 189-192.

<sup>19</sup> Tamże, s. 196-197.

<sup>20</sup> Świadczyć o tym może choćby fakt, że arkusze polskiej normy PN-N-01152 dla opisu bibliograficznego poszczególnych typów dokumentów wzorowane są na międzynarodowych zaleceniach opisu bibliograficznego ISBD, które z kolei inspirowane były anglo-amerykańskimi przepisami katalogowania AACR.

<sup>21</sup> J. Wojciechowski: *Bibliotekarstwo: kontynuacje i zmiany...*, op. cit. s. 14.

W innym miejscu J. Wojciechowski pisze także:

*(...) tu wypożycza się tylko książki, tam tylko wideokasety, ówdzie jedynie płyty, wobec czego użytkownik musi obejść wiele agend, chociaż interesuje go tylko jedno zagadnienie. Świadczy to, że nowe rodzaje materiałów komunikacyjnych przyjęto do bibliotek na zasadzie dokooptowania, a nie integracji. Powstała w ten sposób wielojęzyczna wieża Babel, bez koniecznej spójności funkcjonalnej i semiotycznej<sup>22</sup>.*

Idea integracji mediów i jedności miejsca dla tej samej tematyki bez względu na formę dokumentu to idea naprawdę piękna, ale trudna do realizacji. Dostęp do dokumentów na ten sam temat (mimo że na różnych nośnikach) byłby rzeczywiście bardzo wygodny dla użytkownika biblioteki. Kiedy jednak zestawimy dwie wartości: wygodę użytkownika i sprawną organizację zbioru, pierwszeństwo ma ta druga. Zresztą tylko pozornie obie te wartości stoją we wzajemnej opozycji. Przejrzystość organizacji zbioru i ład w nim panujący jest przecież w interesie każdego użytkownika. Natomiast przedmiotowe przemieszanie formatów pchałoby bibliotekę w stronę trudnej do opanowania entropii. Poza tym, nie można generalnie stwierdzić, że użytkownikowi obojętny jest format dokumentu, byleby tylko dostał coś na temat go interesujący. Owszem, w sytuacji, gdy nie ma wyboru, klient biblioteki zadowolony jest nawet niechętnym mikrofilmem. Ale w sytuacji, gdy ma wybór między dokumentami na ten sam temat, ale na różnych nośnikach, wybierze nośnik, który najlepiej odpowiada jego preferencjom. Chcąc uczyć się języka obcego, niektórzy wybiorą podręcznik drukowany, inni podręcznik w postaci kasety audio, następni podręcznik na kasecie wideo, a jeszcze inni podręcznik multimedialny na CD. Będą pewnie i tacy użytkownicy, którzy – o ile to możliwe – wypożyczą cały zestaw. Wszystko zależy w tej sytuacji od indywidualnych preferencji odnośnie do formy przekazu i sposobu percepcji. Istotne jest też, jak często, jak długo, jak aktywnie i w jakich miejscach dana osoba chce korzystać z dokumentu. Prawdą jest też, że stopień przyswojenia przekazywanej informacji zależy od rodzaju nośnika zastosowanego w przekazie. Kombinacja sygnałów aktywizująca jednocześnie kilka zmysłów zwiększa odsetek zapamiętanych informacji. Świadomi tego użytkownicy mogą częściej wybierać dokumenty na nośnikach łączących przekazy tekstowe z audialnymi i wizualnymi.

Można dalej spytać: czy dokumenty audiowizualne, których wysoki potencjał edukacyjny tak wyraźnie przedstawia się w literaturze pedagogicznej, zajmują odpowiednio eksponowane miejsce w zbiorach bibliotecznych? Czy są widoczne, i czy korzystanie z nich nie oznacza dla czytelnika zbyt wielu barier natury organizacyjnej i psychologicznej, co w konsekwencji mogłoby zniechęcać do korzystania w bibliotece z nowych mediów? Obecność dokumentów audiowizualnych przejawia się w bibliotekach w różny sposób. W jednych wiadomo, że gdzieś są, w innych ukazują się oczom czytelnika tuż po przekroczeniu progu biblioteki. Przykładem tego drugiego podejścia może być Biblioteka Publiczna Dzielnicy South Kensington and Chelsea w Londynie. Zrobiła ona wrażenie na mnie właśnie jako przykład ekspansywnego traktowania dokumentów audiowizualnych w bibliotekarstwie. Pierwszym bowiem pomieszczeniem, do którego wchodzi czytelnik, jest obszerna sala z bogatymi zbiorami płyt CD, kaset audio i wideo. Gdyby nie świadomość, że przekracza się próg biblioteki, można by odnieść wrażenie, że wchodzi się do dobrze zaopatrzonego sklepu płytowego.

---

<sup>22</sup> Tamże, s. 102-103.

Oczywiście, we właściwej prezentacji zbiorów audiowizualnych dużo zależy od czynników obiektywnych: finansów biblioteki, posiadania odpowiedniego umeblowania prezencyjnego i odpowiedniego rozmieszczenia pomieszczeń. Jednak mają też znaczenie czynniki subiektywne: odpowiednia organizacja księgozbioru i zwykła chęć udostępniania czytelnikom dokumentów innych niż książkowe, co oczywiście wymaga pewnego dodatkowego zachodu. Szczególny charakter dokumentów audiowizualnych i różnorodność formatów sprawiają, iż w naturalny sposób są one wyodrębniane z ogólnego zbioru i tworzą homogeniczne podzbiory. Można oczywiście rozważyć hipotetyczną sytuację, gdy biblioteka mająca ustawienie działowe i wolny dostęp do półek stosowałaby przemieszanie dokumentów książkowych i nieksiążkowych. Z pewnością skorzystałby na tym czytelnik, bo w jednym miejscu znalazłby różne media na ten sam temat. W organizacji księgozbioru byłoby to jednak zbyt uciążliwe. Jadwiga Andrzejewska pisała co prawda, że:

*Na zachodzie praktykowany jest zwyczaj umieszczania dokumentów audiowizualnych obok książek z danej dziedziny<sup>23</sup>.*

Ale łatwo sobie wyobrazić, jak trudno w takiej sytuacji jest zachować porządek na półkach. Zobrazował to dobrze Robin Bateman w kwartalniku „Audiovisual Librarian”, prezentując w jednym z numerów dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało chaos biblioteki stosującej jeden rodzaj półek dla wszystkich posiadanych dokumentów, drugie zaś przedstawiało ład i harmonię biblioteki stosującej odpowiednie rozmiary półek do odpowiednich formatów dokumentów. W takiej bibliotece kasyety wideo mają swoje miejsce, mikrofilmy swoje, a płyty gramofonowe swoje. Bateman stwierdził więc stanowczo, że zasada „jeden temat – jedno miejsce” nie jest możliwa do zaakceptowania. Opowiedział się również za oddzieleniem katalogu książek od katalogu dokumentów nieksiążkowych<sup>24</sup>.

W tej krótkiej prezentacji poglądów na temat ewentualnego przemieszania zbiorów książkowych i nieksiążkowych na półkach bibliotecznych warto wspomnieć wypowiedź Sheldona Kaye i Beth Baxter, którzy ten problem dostrzegli w odniesieniu do zbiorów książki mówionej. Autorzy ci, rozumiejąc ideę integracji zbiorów, nakazującą umieszczanie nagrań książek obok ich drukowanych odpowiedników, podają jednak argumenty dla opcji przeciwnej. Uznali mianowicie, że wielu użytkowników bibliotek przyciągają do nich jedynie kolekcje audio i prawdopodobnie woleliby oni mieć łatwy dostęp do wyodrębnionego zbioru książek mówionych. Drugi argument Kaye i Baxter wskazuje, że wiele wyborów czytelnicznych (audioczytelniczych?) dokonywanych jest poprzez bezpośrednie przeglądanie półek z nagraniami książek, a zatem przemieszanie książek papierowych i książek kasetowych utrudniałoby takie wyszukiwanie<sup>25</sup>. Przyjmijmy więc, że idea integracji dokumentów nieksiążkowych i książkowych w zbiorze bibliotecznym jest słuszna i piękna, ale trudna w realizacji, gdyby miała oznaczać przemieszanie formatów.

W dalszych rozdziałach, a szczególnie w rozdziale III starałem się bardzo wyraźnie pokazać potrzebę koncyliacyjnego spojrzenia na rolę dokumentów książkowych i nieksiążkowych w bibliotekarstwie, a więc potrzebę odrzucenia

---

<sup>23</sup> J. Andrzejewska: *Bibliotekarstwo szkolne. Teoria i praktyka*. Tom I. *Organizacja biblioteki*. Warszawa, SBP 1996 s. 195.

<sup>24</sup> R. Bateman: *Integrated multimedia libraries: at what stage the integration?* „Audiovisual Librarian” 1980 vol. 6 no 1 s. 16-20.

<sup>25</sup> S. Kaye, B. Baxter: *Breaking the sound barrier. Starting and maintaining an audiobook collection*. „Library Journal” 1994 vol. 119 no 9 s. 36.

skrajnych w tej dziedzinie poglądów. Moje umiarkowane poglądy w odniesieniu do dokonującego się w bibliotekarstwie przełomu technologicznego to na pewno wyraz odczuć „milczącej większości”, która daleka jest od konserwatyizmu, a więc otwarta na nowości techniczne, ale jednocześnie podchodzi z rezerwą i pewną dozą obaw do przeobrażeń kulturowych, jakie nowe technologie ze sobą niosą. W piśmiennictwie bibliologicznym nie brakuje takich właśnie pojedynczych i wyważonych zdań, a za przykład niech posłuży wypowiedź Stuarta Lynna:

*Pomiędzy gorliwymi apostołami technologii a tymi, którzy do zmian podchodzą z maksymalną ostrożnością, są rzesze profesjonalistów, którzy próbują zrozumieć i wykorzystać możliwości płynące z dokonujących się wokół zmian (...)*<sup>26</sup>.

Budowanie aury konkurencji między książkami i nowymi mediami nikomu więc nie służy, zadaniem bibliotekarzy powinno być umożliwienie pożytecznej koegzystencji starych i nowych mediów.

Trzon tej książki stanowią cztery rozdziały. W rozdziale I zatytułowanym „Niezbędne rozważania terminologiczne” znajduje się obszerny przegląd definicji dla pojęć stosowanych najczęściej w omawianej problematyce. Wielkość miejsca poświęcona tym rozważaniom wynika z przekonania, iż niedostatki i nieporozumienia terminologiczne są nie tylko interesującym źródłem intelektualnych dyskusji akademickich, ale także czynnikiem mającym istotny wpływ na praktykę bibliotekarską. We wstępie do rozdziału znajduje się odpowiednie dla tej tezy uzasadnienie. W dalszej części rozdziału, posługując się polskimi i anglojęzycznymi słownikami i encyklopediami oraz literaturą normalizacyjną, a następnie zestawiając różne definicje dla takich m.in. pojęć jak: dokumenty nieksiążkowe, dokumenty audiowizualne, dokumenty wtórne, media, multimedia i dokumenty elektroniczne, staram się pokazać trudny problem systematyzowania terminologii stosowanej w tej dziedzinie, a jednocześnie wskazać te definicje, które najlepiej oddają istniejące między pojęciami relacje hierarchiczne.

Rozdział II noszący tytuł „Przełom analogowo-cyfrowy” poświęcony jest obserwowanemu od kilkunastu lat przechodzeniu w zapisie ruchomych i nieruchomych obrazów oraz dźwięków od techniki analogowej do cyfrowej. W dziedzinie przekazywania informacji objawia się to także rosnącym udziałem elektronicznych tekstów. Bibliotekarze, świadomi niezasażenie niskiego prestiżu swej profesji, starają się ten prestiż poprawić, między innymi walcząc ze stereotypem biblioteki jako instytucji mało dynamicznej, pozbawionej nowości technicznych, skupionej na gromadzeniu książek i czasopism. Wkraczanie do biblioteki nowych technologii, włączanie do zbiorów dokumentów audiowizualnych i zapewnianie dostępu do dokumentów elektronicznych w trybie off-line i przez sieć Internetu na pewno pomaga ten zły stereotyp zwalczyć. Włączanie do zbiorów bibliotek nowych nośników cyfrowych należy więc postrzegać jako ważny czynnik, wpływający na ocenę instytucji bibliotecznych przez nowe pokolenie użytkowników. Biblioteki muszą dostosować swą ofertę do potrzeb i oczekiwań użytkowników należących do nowej dygitalnej generacji. Zwróćmy bowiem uwagę, że dawne hasło „Generation X” niczym plemienne zawołanie zastępuje coraz częściej hasło „E-generation”. Drugim celem tego rozdziału jest jednak podkreślenie

---

<sup>26</sup> M.S. Lynn: *Preservation and access technology: the relationship between digital and other media conversion processes: a structured glossary of technological terms*. „Information Technologies and Libraries” 1990 vol. 9 no 4 s. 311.

wciąż istotnych walorów technologii analogowej, które każą myśleć o zasłużonych i wysłużonych kasetach audio i wideo oraz mikroformach, jako o nośnikach mających wciąż duże pole uzasadnionych i efektywnych zastosowań.

Rozdział III zatytułowany „Biblioteka na usługach społeczeństwa informacyjnego” jest najobszerniejszą częścią książki. Rozdział rozpoczyna krótki przegląd koncepcji socjologicznych i politologicznych, traktujących o dalszym rozwoju ludzkości, w którym istotne znaczenie będzie miała technologia informatyczna i wzrastające potrzeby informacyjne społeczeństwa. Posłużyłem się wypowiedziami takich znanych socjologów i politologów jak m.in.: Alvin Toffler, Francis Fukuyama, Peter Drucker i Samuel Huntington. Celem tej krótkiej dygresji natury socjologicznej było pokazanie, w jakich uwarunkowaniach i w jakiej roli przyjdzie funkcjonować bibliotekom w niedalekiej przyszłości. Dalsza część rozdziału poświęcona jest od lat toczonym sporom na temat przyszłości słowa drukowanego. Przypomnienie w tej kwestii wypowiedzi Marshalla McLuhana i jego oponentów służyło udowodnieniu tezy, iż podsycanie atmosfery konfliktu pomiędzy dokumentami książkowymi i nieksiążkowymi jest daleko uproszczonym spojrzeniem na problem. Drugim celem tej części III rozdziału było także skonfrontowanie głośnych wypowiedzi Fredericka Lancastera i Josepha Licklidera, zapowiadających zmierzch kultury druku na przełomie stuleci, z faktycznym obecnie znaczeniem przekazów drukowanych i rzeczywistymi wskaźnikami zużycia papieru do celów publikacji. Wiele miejsca w III rozdziale poświęciłem na prezentację poglądów Clifforda Stolla – popularnego na Zachodzie autora – który, będąc specjalistą w dziedzinie informatyki, prezentuje jednak zaskakujące dla swej profesji poglądy, w których traktuje komputery jako poważne zagrożenie dla różnych dziedzin kultury i nauki, w tym także bibliotekarstwa. Omawiany rozdział zawiera także prezentację opinii na temat dalszych faz ewolucji bibliotek, dla których nazwania używa się takich m.in. określeń jak biblioteka wirtualna lub biblioteka cyfrowa. W związku z tym postanowiłem także spojrzeć na realne problemy związane z procesami dygitalizacji zbiorów bibliotecznych. W tej części pracy dominują wypowiedzi, z których wyziera zupełnie nowy obraz przyszłej biblioteki. Obraz ten wynikać ma z jakościowego przełomu w bibliotekarstwie, który polegałby na całkowitym (albo przynajmniej bardzo wyraźnym) oparciu działalności biblioteki na zasobach sieci. Całość rozważań w omawianym rozdziale miała za zadanie pokazać, na ile często stosowany w anglojęzycznym piśmiennictwie bibliologicznym termin „bookless library” (biblioteka bez książek) to jedynie modny i zgrabny (bo zbudowany na paradoksie) zwrot retoryczny, a na ile rzeczywistość, jaka czeka biblioteki w niedalekiej przyszłości.

Zasadniczą część tej książki kończy rozdział IV pt. „Dokumenty nieksiążkowe w bibliotekach publicznych” prezentujący wyniki badania ankietowego przeprowadzonego wśród wojewódzkich i powiatowych bibliotek publicznych. Celem ankiety była chęć skonfrontowania idei nowoczesnej biblioteki, której zarys wyłania się po lekturze rozdziału III, ze stanem faktycznym bibliotekarstwa publicznego w Polsce na przełomie wieków. Innymi słowy, badanie miało potwierdzić wyraźną obecność w zbiorach bibliotek nowych mediów oraz urządzeń niezbędnych do ich odczytywania, a tym samym wykazać, że mówienie o przeobrażeniach zbiorów bibliotecznych w związku ze wzrostem liczby dokumentów nieksiążkowych, to nie są wyłącznie teoretyczne dywagacje. Zakres tematyczny badania i problemy metodologiczne omówione są we wstępie do rozdziału.

Zaznaczyć należy, że niniejsza książka nie może być traktowana jako poradnik na temat postępowania z poszczególnymi rodzajami dokumentów nieksiążkowych w bibliotece, nie omawia po kolei ich historii, budowy, technologii produkcji, sposobów opracowania formalnego i rzeczowego, zasad przechowywania itd. Niewątpliwie jednak potrzebna byłaby polska praca o charakterze poradnikowym, która w usystematyzowany sposób omawiałaby zagadnienia gromadzenia, opracowania, przechowywania i udostępniania poszczególnych rodzajów dokumentów nieksiążkowych. Polska literatura na ten temat jest dostępna, tyle że rozproszona. Na przykład zagadnienia przechowywania i konserwacji zbiorów bibliotecznych (w tym także nieksiążkowych) omówił ciekawie i fachowo Bronisław Zyska w swym dziele *Ochrona zbiorów bibliotecznych przed zniszczeniem*<sup>27</sup>. Z kolei zagadnienia opracowania dokumentów nieksiążkowych pojawiały się na łamach polskich czasopism bibliotekarskich (głównie „Poradnika Bibliotekarza” z lat 1988/89 i „Biblioteki w Szkole” z lat 1991/1993), a wśród wydawnictw zwartych dostępna jest na ten temat praca Jadwigi Chłopeckiej i Ewy Stawiarskiej *Opracowanie wybranych typów dokumentów audiowizualnych*<sup>28</sup>. Warto też z ogólnych opracowań przypomnieć starszą pracę Radosławy Dziubeckiej *Nowe typy zbiorów dokumentów – fonoteki i filmoteki*<sup>29</sup>, a z nowszych tłumaczenie książki Bernda Steinbrinka *Multimedia. U progu technologii XXI wieku*<sup>30</sup>, która co prawda nie jest wprost kierowana do bibliotekarzy, ale warta jest polecenia szerokiemu kręgowi czytelników ze względu na przystępny sposób, w jaki omówiono skomplikowaną technologię nowych mediów.

Zdaję sobie sprawę, że nadany książce tytuł *Dokumenty nieksiążkowe w bibliotekach* jest semantycznie szerszy od pojęć stosowanych na określenie tego, co ostatecznie zostało omówione. Terminem „dokument nieksiążkowy” można się posłużyć w nazwaniu jakiegokolwiek przedmiotu nie będącego książką lub czasopismem, a który może zostać włączony do zbioru biblioteki. Pod tym wspólnym mianownikiem znajdują się więc tak różne przedmioty jak: płyty CD-ROM, kasety audio, filmy wideo, fotografie, pocztówki, medale, modele, rzeźby, znaczki pocztowe i wiele innych. Poza tym brane są pod uwagę nie tylko gromadzone w bibliotekach źródła informacji mające postać fizyczną, ale również coraz bardziej istotne źródła dostępne w trybie online. Mając jednak do wyboru albo sformułowanie długiego opisowego tytułu, albo użycie stosunkowo krótkiego, ale znanego i powszechnie stosowanego zwrotu, zdecydowałem się na to drugie wyjście. Ostatecznie więc praca otrzymała tytuł ogólny, mimo że nie poświęciłem uwagi całemu spektrum dokumentów nieksiążkowych, a jedynie tej grupie, której potencjał informacyjny jest największy. Są to dokumenty, z których korzystanie wymaga użycia urządzeń odczytujących. Najbliższymi im określeniami są więc pojęcia: dokumenty audiowizualne, dokumenty elektroniczne i multimedia.

W przygotowaniu pierwszych trzech rozdziałów posłużyłem się metodą analizy dostępnego piśmiennictwa polskiego i anglojęzycznego (chodzi głównie o amerykańskie, brytyjskie, australijskie i kanadyjskie wydawnictwa zwarte i ciągłe). Pomocne w gromadzeniu i analizie materiałów były zbiory bibliologiczne

---

<sup>27</sup> B. Zyska: *Ochrona zbiorów bibliotecznych przed zniszczeniem*. T. 1-4. Katowice, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego 1991-1998.

<sup>28</sup> J. Chłopecka, E. Stawiarska: *Opracowanie wybranych typów dokumentów audiowizualnych*. *Poradnik*. Warszawa, CBW 1994.

<sup>29</sup> R. Dziubecka: *Nowe typy zbiorów dokumentów – fonoteki i filmoteki*. Warszawa, CINTe 1977.

<sup>30</sup> B. Steinbrink: *Multimedia. U progu technologii XXI wieku*. Wrocław, Robomatic 1993.



w Bibliotece Narodowej w Warszawie, Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie i Bibliotece Publicznej m.st. Warszawy. Cennym źródłem informacji o odpowiednich dla tematu publikacjach były dziedzinowe bibliografie: przede wszystkim LISA (Library and Information Science Abstracts) w wersji elektronicznej oraz drukowana Polska Bibliografia Bibliologiczna, a także Bibliografia Analityczna Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej. Korzystałem także ze źródeł dostępnych w Internecie. Jednak znając problem podawania w bibliografii załącznikowej odesłań do stron WWW, które mogą w danym momencie już nie istnieć, starałem się dotrzeć do drukowanych wersji cytowanych tekstów.

Na zakończenie pragnę podziękować promotorowi pracy prof. dr. hab. Marcinowi Drzewieckiemu za wszystkie cenne uwagi merytoryczne i inspirującą krytykę, uznając jego duży wkład w nadaniu książce ostatecznego kształtu.

## KRÓTKI SŁOWNIK STOSOWANYCH AKRONIMÓW ANGIELSKICH

**AACR** (*Anglo-American Cataloging Rules*) – zasady opisu bibliograficznego opracowane we współpracy Biblioteki Kongresu, Biblioteki Brytyjskiej oraz stowarzyszeń bibliotekarskich z USA, Wielkiej Brytanii i Kanady. Ukazały się w roku 1967, a następnie były dwukrotnie rewidowane w latach 1978 (AACR2) i 1988 (AACR2 rev.). Stały się podstawą do opracowania serii międzynarodowych zasad opisu bibliograficznego ISBD

**ASCII** (*American Standard Code for Information Interchange*) – stosowany w informatyce kod zapisu znaków alfanumerycznych i sterujących

**CD-DA** (*Compact Disc – Digital Audio*) – format dysku optycznego dla popularnej płyty kompaktowej z zapisem dźwięku

**CD-ROM** (*Compact Disc – Read Only Memory*) – zgodnie z nazwą, służący jedynie do odczytu dysk optyczny z zapisem danych komputerowych

**CD-RW** (*Compact Disc – ReWritable*) – dysk magnetoptyczny umożliwiający wielokrotny zapis i usuwanie danych

**CIP** (*Cataloging in Publication*) – program zainicjowany przez Bibliotekę Kongresu w 1971 r., polegający na opracowaniu formalnym i rzeczowym książki jeszcze w czasie procesu wydawniczego. Dzięki współpracy wydawcy i narodowej centrali bibliograficznej danego kraju książka ukazująca się na rynku jest zawczasu zaopatrzona w znormalizowany opis bibliograficzny i charakterystykę rzeczową według przyjętego w danym kraju systemu haseł przedmiotowych i klasyfikacji

**DVD** – Akronim ten w zasadzie nic nie oznacza, choć przyjęło się odczytywać go jako Digital Video Disc (Dysk z zapisem cyfrowego wideo) lub Digital Versatile Disc (Uniwersalny Dysk Cyfrowy).

**DVD-RAM** (*DVD – Random Access Memory*) – dysk DVD z możliwością wielokrotnego zapisu danych

**DVD-ROM** (*DVD – Read Only Memory*) – dysk DVD z jednokrotnie zapisaną informacją, pozwalający jedynie na odczytywanie danych

**IFLA** (*International Federation of Library Associations and Institutions*) – założona w 1927 roku Międzynarodowa Federacja Stowarzyszeń i Instytucji Bibliotekarskich

**ISBD** (*International Standard Bibliographic Description*) – zainicjowane przez IFLA międzynarodowe zasady opisu bibliograficznego różnych typów dokumentów. Ukazały się m.in. zasady ogólne – ISBD(G), zasady opracowania wydawnictw ciągłych – ISBD(S), zasady opracowania wydawnictw zwartych – ISBD(M), zasady opracowania dokumentów nieksiążkowych – ISBD(NBM), zasady opracowania dokumentów elektronicznych – ISBD(ER)

**JPEG** – (*Joint Photographic Expert Group*) – nazwa standardu kompresji obrazów stałych.

- MP3** – (*Mpeg Layer3*) – popularny format zapisu skompresowanych (a przez to oszczędzających przestrzeń dyskową) plików dźwiękowych o jakości CD
- MPEG** (*Moving Pictures Expert Group*) – nazwa standardu kompresji obrazów ruchomych
- OCR** (*Optical Character Recognition*) – ogólna nazwa systemów rozpoznawania znaków, które umożliwiają zamianę graficznego obrazu strony tekstu na edytowalny plik tekstowy
- OPAC** (*Online Public Access Catalog*) – zautomatyzowany katalog biblioteczny dostępny zdalnie dzięki podłączeniu do sieci komputerowej
- VHS** (*Video Home System*) – opracowany przez japońską firmę JVC światowy standard formatu kaset wideo

Źródła: Steinbrink B.: *Multimedia. U progu technologii XXI wieku*. Wrocław, Robomatic 1993; *Harrod's librarians' glossary of terms used in librarianship, documentation and the book crafts and reference book*. Aldershot, Gower 1990; *Acronyms and abbreviations in library and information work. A reference handbook of British usage*. Ed. by A. C. Montgomery. London, Library Association 1986.

## Rozdział I

# NIEZBĘDNE ROZWAŻANIA TERMINOLOGICZNE

W piśmiennictwie bibliotekoznawczym przy omawianiu problematyki istotnej dla niniejszej pracy, stosuje się najczęściej bardzo szerokie pojęcia „dokumenty nieksiążkowe” (z ang. *non-book materials*) oraz „dokumenty audiowizualne” (z ang. *audiovisual materials*)<sup>1</sup>, a w ostatnich latach, ze względu na postęp w dziedzinie automatyzacji bibliotek, coraz częściej – myśląc o innych niż książkowe źródłach informacji – wymienia się „dokumenty elektroniczne” (z ang. *electronic resources*).

W niniejszym rozdziale znajdzie się przede wszystkim przegląd definicji odnoszących się do grupy materiałów bibliotecznych określanych mianem „dokumentów nieksiążkowych”. Już na wstępie należy stwierdzić, że określenie to nie jest przejrzyste i bynajmniej nie powszechnie stosowane. Wnioskiem ogólnym jest, iż bibliotekoznawstwo światowe nie jest zgodne w szczegółach odnośnie rozumienia i stosowania terminów „dokumenty nieksiążkowe” i „dokumenty audiowizualne”. Przegląd słowników i encyklopedii bibliotekoznawczych świadczy wręcz o nieuporządkowaniu terminologii w tym zakresie. Jednym z celów i wyników ewentualnych „porządków” byłoby wyraźne wskazanie i wyróżnienie wśród materiałów bibliotecznych grupy dokumentów, których odczytanie wymaga użycia urządzeń technicznych.

Zanim nastąpi próba opisanie i ewentualnie uporządkowania terminologii bibliotekoznawczej w zakresie dokumentów nieksiążkowych, warto zacytować tych, którzy te próby podejmowali z różnym skutkiem wcześniej. Na przykład Mary Soper – autorka amerykańskiego tezaurusu dla bibliotekarzy – formułuje podstawowy i oczywisty problem:

*Jakakolwiek próba stworzenia klasyfikacji dokumentów w oparciu o ich fizyczny format kończy się ostatecznie niepowodzeniem z powodu trudności w ogarnięciu wszystkich cech charakterystycznych dla różnych typów dokumentów*<sup>2</sup>.

---

<sup>1</sup> Jak widać, termin „dokumenty audiowizualne” nie jest dokładnym tłumaczeniem angielskiego „audiovisual materials”. Postanowiłem jednak przestrzegać zalecenia zawartego przez Ewę Chmielewską-Gorczycę w *Tezaurusie informacji naukowej*, gdzie termin „materiały audiowizualne” potraktowany został jako askryptor, a termin „dokumenty audiowizualne” zyskał rangę zalecanego deskryptora.

<sup>2</sup> M. E. Soper: *The librarian's thesaurus*. Chicago, ALA 1990 s. 41.

Ta część materiałów bibliotecznych, które tradycja bibliotekoznawcza każe zaliczać do kategorii dokumentów nieksiążkowych, jest tak niejednorodna, tak różnie się owe dokumenty przechowuje i udostępnia, że ostatecznie nie dziwią wykazane dalej rozbieżności w definicjach i efektach prób stworzenia typologii dokumentów nieksiążkowych. Dowodem trudności, jakie stwarza próba objęcia dokumentów nieksiążkowych jakąś wspólną charakterystyką, jest fakt, iż praktycznie nie spotyka się definicji opisowych tychże materiałów, a jedynie definicje o charakterze enumeratywnym. Trudno bowiem znaleźć wspólne cechy dokumentów nieksiążkowych oprócz faktu, że nie są książkami w tradycyjnym rozumieniu tego pojęcia. Stworzenie rozłącznej i adekwatnej klasyfikacji<sup>3</sup> tej grupy dokumentów, wydaje się więc z góry skazane na niepowodzenie.

Nie oznacza to jednak, iż nie należy podejmować prób porządkowania terminologii. Użyte w tytule niniejszego rozdziału określenie „niezbędne” oznacza, iż zawarte tu rozważania terminologiczne mają dla autora równie istotne znaczenie, jak przedstawione w końcowym rozdziale pracy wyniki badań empirycznych. Innymi słowy, autor chce stwierdzić, iż analiza i krytyka stosowanych w przypadku omawianej problematyki terminów nie pełni w niniejszej pracy funkcji teoretycznej „massa tabulettae”, lecz oznacza podyktowaną codzienną praktyką potrzebę usystematyzowania terminologii.

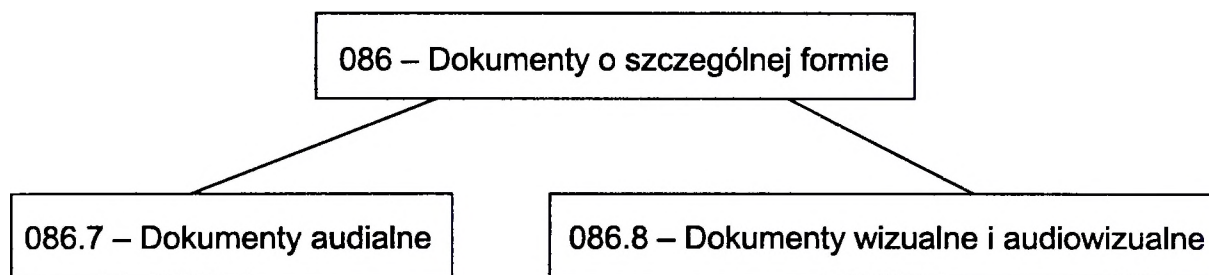
Przykładem tego, jak niezbyt jasna sytuacja terminologiczna w zakresie dokumentów nieksiążkowych przekłada się na nieporozumienia w codziennej praktyce bibliotekarskiej, może być nazewnictwo stosowane przez dużą polską bibliotekę naukową. Otóż jedna z czytelni nosi tam nazwę „Czytelnia dokumentów dźwiękowych i audiowizualnych”. Nazwa mogłaby sugerować, że dokumenty dźwiękowe i dokumenty audiowizualne stanowią pojęciowo dwa odrębne zbioru. Tymczasem, według niektórych definicji słownikowych, dokumenty dźwiękowe są częścią większego zbioru określanego mianem dokumentów audiowizualnych. Inaczej mówiąc, termin „dokumenty audiowizualne” byłby bezpośrednio nadrzędnym względem terminu „dokumenty dźwiękowe”. Zatem nazwa „Czytelnia dokumentów audiowizualnych” powinna w zupełności wystarczyć. Jednak według innych definicji oryginalna nazwa byłaby uprawniona, gdyż określenia „audialny” i „audiowizualny” bywają traktowane jako współrzędne. W takiej sytuacji cały zbiór dokumentów wymagających urządzeń odczytujących, na który składają się dokumenty audialne, wizualne i audiowizualne, nosi nazwę dokumentów audiowizualnych, a to znaczy, że cały zbiór ma taką nazwę jak jeden

---

<sup>3</sup> Postanowiłem – postępując wbrew tradycji językoznawczej – stosować określenie **klasyfikacja** zamiennie z określeniem typologia, gdyż oba dotyczą podziału elementów zbioru. Na tak upraszczające podejście w ogólnych rozważaniach zezwala *Mały słownik języka polskiego* (PWN 1995), nazywając typologię „klasyfikowaniem według typów” (s. 964). Natomiast na istotne dla językoznawców różnice między oboma pojęciami wskazuje m.in. *Słownik encyklopedyczny terminologii języków i systemów informacyjno-wyszukiwawczych* pod redakcją B. Bojar. Według niego typologia i klasyfikacja różnią się rodzajem opozycji, w jakiej pozostają elementy zbioru. Właściwa dla typologii opozycja gradualna polega na stopniu nasilenia tej samej cechy wśród elementów tworzących zbiór, a właściwa klasyfikacji opozycja prywatywna polega na obecności lub braku tej samej cechy (*Słownik encyklopedyczny terminologii języków i systemów informacyjno-wyszukiwawczych*, s. 74, 162). W nieco inny sposób do problemu podchodzi Barbara Sordylowa, pisząc że „Dokumenty są przedmiotem zabiegów typologicznych i klasyfikacyjnych, przy czym oba te pojęcia nie są równoznaczne. Typologia opiera się bardziej na charakterystyce formalnej dokumentów, a więc ich cechach wydawniczych i piśmienniczych, natomiast klasyfikacja – obok cech formalnych – uwzględnia w znacznej mierze treść dokumentów”. Dalej Sordylowa stwierdza także, że „w przeciwieństwie do klasyfikacji, typologia nie musi być rozłączna, ani wyczerpująca” (B. Sordylowa: *Informacja naukowa w Polsce. Problemy teoretyczne, źródła, organizacja*. Wrocław, Ossolineum 1987 s. 37).

z podzbiorów<sup>4</sup>. Rozwiązaniem tej dwuznaczności byłoby albo inne nazwanie dokumentów łączących przekaz obrazu z dźwiękiem np. media mieszane (multimedia nie, bo są już prawie wyłącznie kojarzone z komputerami), albo inne nazwanie całego zbioru. M. Soper spróbowała nadać mu nazwę „equipment needed”, trudno jednak znaleźć w języku polskim jakiś równie krótki i treściwy odpowiednik, a określenie „dokumenty sprzętowe” nie brzmi dobrze i na pewno by się nie przyjęło. W to miejsce w bibliologii anglo-amerykańskiej proponuje się podział dokumentów na pośrednie (mediated) i bezpośrednie (nonmediated). Chodzi rzecz jasna o ten sam sposób podziału. Pośrednie wymagają urządzeń odczytujących, a bezpośrednie nie.

Wspomnianą wyżej równorzędność pojęć „audialny” i „audiowizualny” dobrze widać w ważnym dla bibliotekarstwa narzędziu, jakim są tablice Uniwersalnej Klasyfikacji Dziesiątej. Gdyby miało być tak, jak proponuje większość definicji, które wyróżniają dokumenty audialne, wizualne i audiowizualne, należałoby się spodziewać trzech odrębnych symboli klasyfikacji dla tych trzech pojęć. Tymczasem w dziale 0 – „Zagadnienia ogólne” znajdujemy na trzecim stopniu podziału symbol 086 dla tematu „Dokumenty o szczególnej formie”, a dalszy podział tej klasy daje m.in. symbole 086.7 – „Dokumenty audialne” i symbol 086.8 – „Dokumenty wizualne i audiowizualne”. Z poniższego schematu fragmentu klasyfikacji wyraźnie wynika, że wbrew wielu typologiom, dokumenty audialne znajdują się w innym łańcuchu klasyfikacyjnym niż dokumenty audiowizualne. Zamiast więc być pojęciem podrzędnym względem pojęcia „audiowizualne” są pojęciem i symbolem równorzędnym.



Konsekwencją tej sytuacji, przy wyszukiwaniu według UKD w katalogu zautomatyzowanym<sup>5</sup>, będzie brak rekordów stworzonych dla dokumentów o dokumentach audialnych, kiedy systemowi zostanie postawione pytanie o informacje na temat dokumentów audiowizualnych. Krótko mówiąc, kiedy spytamy o 086.8, nie uzyskamy odpowiedzi o 086.7 – a tak być raczej nie powinno!

Innym przykładem na to, jak niedostatki terminologiczne przekładają się na niedostatki w praktyce bibliotekarskiej, są moje doświadczenia w poszukiwaniu dokumentów na temat mikroform przy użyciu katalogu automatycznego w jednej z bibliotek naukowych. Pojęcie „mikroformy” jest ogólną nazwą materiałów powstających podczas działań reprograficznych, czyli tworzenia kopii dokumentów bibliotecznych z zastosowaniem różnych technik, a w tym wypadku techniki mikrograficznej, w której, wykorzystując materiał światłoczuły, utrwała się

<sup>4</sup> Na tę niezręczność terminologiczną już dawno zwróciła uwagę B. Sordylowa w książce *Informacja naukowa w Polsce*, s. 69.

<sup>5</sup> Więcej na temat możliwości wyszukiwania według UKD w katalogu zautomatyzowanym, zob. D. Grygowski: *Uniwersalna Klasyfikacja Dziesiąta jako narzędzie wyszukiwawcze w katalogu zautomatyzowanym*. W: *Możliwości zastosowania języka haseł przedmiotowych w systemie informacji naukowo-technicznej resortu obrony narodowej*. Warszawa, CONIW 2000 s. 104-127.

obraz dokumentu w wielokrotnym pomniejszeniu. Błędnie niekiedy traktuje się termin „mikroformy” jako synonim terminu „mikrofilmy”. Najczęściej spotykanymi rodzajami mikroform są rzeczywiście mikrofilmy, jednak drugą ważną postacią mikroform są mikrofisz<sup>6</sup>. Zatem przeszukiwanie katalogu według hasła „mikroformy” jako terminu nadrzędnego powinno dać w efekcie wyświetlenie rekordów publikacji zarówno na temat mikrofilmów, jak i mikrofisz. Tymczasem w opisywanym przypadku było inaczej. Inne rekordy pojawiały się przy pytaniu o mikroformy, a inne przy pytaniu o mikrofilmy. Zrozumiałe jest, że nie ma idealnych katalogów rzeczowych, więc poszukiwania literatury na dany temat często należy prowadzić stosując więcej niż jedną instrukcję wyszukiwawczą. W tym przypadku jednak konsekwentne stosowanie przyjętych w systemie haseł przedmiotowych i przestrzeganie relacji hierarchicznych między nimi ograniczyłoby liczbę pytań niezbędnych do postawienia systemowi, a tym samym skróciło czas wyszukiwania.

Jeszcze jednym przykładem na to, jak niedostatki terminologiczne wpływają na codzienną pracę bibliotek, są nie do końca precyzyjne przepisy o egzemplarzu obowiązkowym. Otóż kilka miesięcy po tym, jak Sejm RP przyjął ustawę „O obowiązkowych egzemplarzach bibliotecznych”<sup>7</sup>, ówczesny minister kultury i sztuki wydał w formie rozporządzenia przepisy wykonawcze do tej ustawy<sup>8</sup>. W rozporządzeniu sprecyzowano m.in., które biblioteki mają otrzymywać bezpłatne egzemplarze obowiązkowe i jakiego rodzaju mają to być dokumenty. Oprócz dokumentów drukowanych wymienione są różne rodzaje dokumentów nieksiążkowych, m.in. dokumenty audiowizualne, publikacje zapisane na nośnikach elektronicznych i oprogramowanie komputerowe. Wyłączenie publikacji zapisanych na nośnikach elektronicznych poza grupę dokumentów audiowizualnych może być dyskusyjne, ale nie rodzi szczególnych problemów prawnych, gdyż Biblioteka Narodowa i Biblioteka Jagiellońska otrzymują po dwa egzemplarze zarówno dokumentów audiowizualnych, jak też publikacji elektronicznych. Wątpliwości terminologiczne nie mają w tym wypadku znaczenia dla praktyki gromadzenia we wspomnianych bibliotekach. Może mieć natomiast takie znaczenie brak wyraźnego rozróżnienia pomiędzy pojęciem „oprogramowanie komputerowe” a pojęciem „publikacje zapisane na nośnikach elektronicznych”. Otóż według załącznika nr 1 do ministerialnego rozporządzenia BN i BJ powinny otrzymać po jednym egzemplarzu oprogramowania komputerowego oraz po dwa egzemplarze publikacji elektronicznych<sup>9</sup>. W omawianym przypadku odczuwalny jest brak definicji rodzajów dokumentów objętych przepisami o e.o. Sformułowania o charakterze definicji można natomiast znaleźć w zasadniczej dla tego rozporządzenia ustawie z 7 listopada 1996 r. Publikacje objęte przepisami o e.o. pogrupowano tam następująco:

*1. Piśmiennicze, jak: książki, broszury, gazety, czasopisma i inne wydawnictwa ciągłe, druki ulotne, afisze.*

<sup>6</sup> Spotyka się poza tym tzw. karty aperturowe, mikroformy typu jacket, microstrip i nieprzezroczyste mikrokarty.

<sup>7</sup> Ustawa z dnia 7 listopada 1996 r. o obowiązkowych egzemplarzach bibliotecznych. „Dziennik Ustaw” 1996 nr 152 poz. 722 s. 3224-3225.

<sup>8</sup> Rozporządzenie Ministra Kultury i Sztuki z dnia 6 marca 1997 w sprawie wykazu bibliotek uprawnionych do otrzymywania egzemplarzy obowiązkowych poszczególnych rodzajów publikacji oraz zasad i trybu ich przekazywania. „Dziennik Ustaw” 1997 nr 29 poz. 161 s. 1153-1155.

<sup>9</sup> Tamże, s. 1154.

2. *Graficzne i graficzno-piśmiennicze, jak: mapy, plakaty, plany, wykresy, tabele, rysunki, ilustracje, nuty.*

3. *Audiowizualne utrwalające dźwięk, obraz lub obraz i dźwięk, jak: płyty, taśmy, kasety, przezrocza, mikrofilmy, mikrofisze.*

4. *Zapisane na nośnikach elektronicznych.*

5. *Oprogramowanie komputerowe*<sup>10</sup>.

Jak widać, wydawca czytający rozporządzenie MKiS, musi jednocześnie posługiwać się odpowiednią ustawą sejmową, a i to niewiele mu wyjaśnia. Brak precyzyjnych definicji sprawia, że producenci multimedialnych – częstokroć niechętni bezpłatnemu przekazywaniu swoich produktów – mogą interpretować te przepisy na swoją korzyść. Postępując bowiem zgodnie z przepisami, mogą odstąpić jeden zamiast dwóch egzemplarzy, jeśli każdy produkt potraktują jako program. Sedno leży w tym, że pojęcie „publikacje zapisane na nośnikach elektronicznych” jest zbyt ogólne i niejasne. Czy publikacjami na nośnikach elektronicznych są szeroko dostępne na rynku encyklopedie multimedialne, komputerowe słowniki, komputerowe podręczniki i przewodniki? W pierwszej chwili wydaje się, że tak. Często przecież są to elektroniczne wersje ich drukowanych odpowiedników. Z drugiej strony owe publikacje nie są jedynie zbiorem plików tekstowych, graficznych i dźwiękowych i nie byłyby użyteczne bez dołączonych do nich specjalnych programów. W uproszczeniu można stwierdzić, że wymienione wyżej pozorne publikacje elektroniczne są de facto programami, a zatem dotyczyłby ich przepis ograniczający liczbę egzemplarzy obowiązkowych do jednego dla BN i BJ. Wydaje się, iż przedstawione przykłady są wystarczającą argumentacją za koniecznym uporządkowaniem terminologii bibliotekoznawczej w zakresie dokumentów nieksiążkowych.

## CZY DOKUMENTY NIEKSIĄŻKOWE SĄ NIEDRUKOWANE?

Rozpocząć należy od terminów, którymi zwykle się ogólnie określać część zbiorów bibliotecznych nie będących ani książkami, ani czasopismami. W tym kontekście pojawiają się najczęściej dwa określenia: „zbiory specjalne” i „dokumenty nieksiążkowe”. Jeszcze na wstępie należy odrzucić termin „zbiory specjalne” jako nieprzydatny w niniejszych rozważaniach. Jest bowiem jeszcze bardziej ogólny i szerszy znaczeniowo niż termin „dokumenty nieksiążkowe”<sup>11</sup>.

W polskim piśmiennictwie anglo-amerykańskiemu podziałowi na dokumenty typu „book” i „non-book” odpowiada często nie całkiem synonimiczny podział na dokumenty piśmiennicze i niepiśmiennicze. Dokumentami piśmienniczymi byłyby takie, w których treść wyrażona jest w subkodzie wizualnym języka naturalnego<sup>12</sup> lub za pomocą innych umownych znaków i symboli (np. zapis nutowy). Taki właśnie podział dokumentów przyjęła Barbara Sordylowa, poda-

<sup>10</sup> Ustawa z dnia 7 listopada 1996 r. o obowiązkowych egzemplarzach bibliotecznych. „Dziennik Ustaw” 1996 nr 152 poz. 722 s. 3224.

<sup>11</sup> Pojęciem „zbiory specjalne” obejmuje się także dokumenty mające postać książki: rękopisy, inkunabuły, starodruki, książkowe cimelia.

<sup>12</sup> Określenie zaczerpnięte ze *Słownika encyklopedycznego terminologii języków i systemów informacyjno-wyszukiwawczych* pod red. B. Bojar s. 142.



jąc że do dokumentów piśmienniczych zaliczają się: książki, czasopisma, literatura patentowa i normalizacyjna, literatura firmowa, bibliografie, encyklopedie itp<sup>13</sup>. Zatem według tego podziału odpowiednikiem angielskiego „non-book” byłby termin „dokumenty niepiśmiennicze”, który przede wszystkim obejmowałby dokumenty audiowizualne oraz całą resztę nie wymagającą urządzeń odczytujących, jak fotografie, grafika, ilustracje itp. Podział dokumentów na piśmiennicze i niepiśmiennicze może być jednak dyskusyjny, zważywszy że część dokumentów zaliczonych do niepiśmienniczych przemawia do odbiorcy mimo wszystko tekstem.

Wyliczenie rodzajów dokumentów nieksiążkowych wydaje się jedyną możliwą ich definicją. Z tym schematem spróbowała zerwać Stella Keenan, która w swoim słowniku bibliotekoznawczym jako definicję dokumentów nieksiążkowych podała bardzo krótkie wyjaśnienie:

*Dokumenty nieksiążkowe – Materiały wykonane w formie innej niż drukowana*<sup>14</sup>.

Niestety, to zbyt daleko idące uproszczenie. Z tej definicji wynikałoby bowiem, że drukowane mapy są poza opisywaną kategorią. A przecież tradycyjnie zalicza się je właśnie do grupy dokumentów nieksiążkowych.

Termin „non-book materials” pojawił się kilkadziesiąt lat temu oczywiście na zasadzie opozycji między typem dokumentów przede wszystkim kojarzącym się ze zbiorami bibliotecznymi, a więc książką w postaci kodeksu a nowymi typami dokumentów spotykanymi coraz częściej w bibliotekarstwie. Owa opozycja, czyli definiowanie przez zaprzeczanie, nie jest najlepszą metodą opisu rzeczywistości. Z tego właśnie wynika problem ze zrozumieniem i stosowaniem terminu „non-book”. Mówienie czym rzeczy nie są zamiast czym są nie jest specjalnie kreatywne. Anthony Thompson, który wypowiadał się na temat definicji dokumentów nieksiążkowych przyjętej dla potrzeb organizacji zbiorów w British Library<sup>15</sup> stwierdził, iż użycie „non” ma dodatkowy kontekst językowy.

*Jeśli chcemy coś umniejszyć, coś lub kogoś zbagatelizować, to w języku angielskim zwykliśmy używać przedrostka 'non'(...). Przez użycie terminu 'non-book' British Library tworzy priorytety i wyraźnie daje do zrozumienia, co naprawdę myśli o większości najnowszych metod zapisu informacji*<sup>16</sup>.

Na kłopot z interpretacją terminu „non-book” zwracają też uwagę Richard Fothergill i Ian Butchart w mającej już kilka wydań książce *Non-book materials in libraries* pisząc:

*Ściśle mówiąc, pojęcie to powinno obejmować wszystkie te materiały, które nie są zaliczone do książek. Jednakże zwykło się wyłączać z zakresu tego pojęcia także inne przekazy drukowane prezentowane w postaci broszury, ulotki, rękopisu, mapy, periodyku lub zapisu nutowego*<sup>17</sup>.

<sup>13</sup> B. Sordylowa: *Informacja naukowa w Polsce...*, op. cit. s. 49.

<sup>14</sup> S. Keenan: *Concise Dictionary of library and information science*. London, Bowker-Saur 1996 s. 11.

<sup>15</sup> W deklaracji British Library na temat dokumentów nieksiążkowych znalazła się ich częściowo zaskakująca definicja. BL słusznie zaliczyła wówczas w poczet dokumentów typu „non-book” wszelkie zapisy obrazu i dźwięku oraz tzw. media mieszane (mixed media), jak zwoje przezroczy, modele i okazy. Jednak wyłączone z tego grona mikroformy, programy komputerowe i elektroniczne teksty (Zob.: *The British Library and non-book materials*. „Audiovisual Librarian” 1986 vol. 12 no 2 s. 34.) i z tą deklaracją polemizuje A. Thompson.

<sup>16</sup> A. H. Thompson: *Knowledge or format – which comes first?* „Audiovisual Librarian” 1986 vol. 12 no 4 s. 186.

<sup>17</sup> R. Fothergill, I. Butchart: *Non-book materials in libraries. A practical guide*. London, Bingley 1990, s. 3.

W powyższym zdaniu jest pewna niezręczność, bo do „innych przekazów drukowanych” zaliczone zostały rękopisy, ale generalnie ten typ rozumowania jest najwłaściwszy w definiowaniu i stosowaniu terminu „non-book materials”. Z faktu, iż coś nie jest kodeksem, nie wynika jeszcze, że automatycznie zostaje zaliczone do kategorii dokumentów nieksiążkowych. O ile jednak łatwo się zgodzić, że ulotka, nie będąc książką, mimo wszystko nie jest jeszcze dokumentem nieksiążkowym, o tyle wątpliwości powstają w przypadku map. Fothergill i Butchart, jak widać wyżej, wyłączyli je z zakresu pojęcia „dokumenty nieksiążkowe”, tymczasem niektóre definicje jednak zaliczają mapy do tej kategorii<sup>18</sup>.

Dziś termin „dokumenty nieksiążkowe” wydawać się może nieco anachroniczny zważywszy, że doceniając walory informacyjne różnych typów dokumentów, wielu bibliotekarzy i teoretyków skłonnych jest nadawać miano książki również dokumentom nie mającym postaci kodeksu. Przykładem takiego podejścia jest dostępny przez Internet katalog online Biblioteki Kongresu w Waszyngtonie<sup>19</sup>, gdzie dostępna jest opcja zawężenia poszukiwań do określonej postaci dokumentów (oryg. type of material). Otóż obok takich typów jak np. dokumenty kartograficzne, nagrania dźwiękowe, archiwalia i in. dostępna jest też opcja „Book (print, microform, electronic etc.)”. Jak widać twórcy katalogu online LoC stosują określenie „książka” również w odniesieniu do tekstów mających postać mikroform lub postać elektroniczną.

Określenie „dokumenty nieksiążkowe” wydaje się w języku polskim bezkrytyczną kalką przejętą z języka angielskiego i to raczej z brytyjskiego angielskiego. Przegląd publikacji amerykańskich wskazywałby bowiem na niechęć do stosowania terminu „non-book”<sup>20</sup> w piśmiennictwie bibliotekoznawczym tego kraju. Nawiasem mówiąc, bibliologiczne leksykografie angielska i amerykańska wprowadzają czytelnika w pewne zakłopotanie, często podając sprzeczne definicje. Maria Janowska, znana autorka prac opisujących zasady tworzenia opisu bibliograficznego, której wobec tego nie jest obca problematyka terminologiczna, stwierdziła w rozmowie ze mną, że – według jej obserwacji – Anglicy i Amerykanie nie przywiązują zbyt wielkiej wagi do terminologii, a krajami, gdzie ma to (jeszcze) znaczenie są kraje Europy Wschodniej i Niemcy. Mamy więc paradoksalną sytuację, że kraje, które przodują w światowym bibliotekarstwie, z których można czerpać wzór postępowania w dziedzinie rozwoju technologii informacyjnych i automatyzacji bibliotek, jednocześnie wprowadzają – jak się za chwilę okaże – pewne zamieszanie w terminologii bibliotekoznawczej.

W indeksie najpoważniejszego wydawnictwa encyklopedycznego z dziedziny bibliologii – ukazującej się od ponad 30 lat amerykańskiej „Encyclopedia of library and information science” – znajdujemy dużo więcej odsyłaczy przy pokrewnym terminie „nonprint materials” niż przy terminie „non-book materials”. Wszystko wskazuje na to, że w pewnym momencie zaczęto odchodzić od terminu „non-book” na rzecz terminu „nonprint”. Ostatni raz bowiem – według indeksu „ELIS” – termin „non-book” pojawia się w tomie z 1973 roku. Od tamtego czasu ukazało się kilkadziesiąt kolejnych tomów wydawnictwa i wydawało się niemożliwe, by całkowicie wyszedł z użycia termin „non-book”. Podejrzenie jest słuszne, bo faktycznie wnikliwy czytelnik może znaleźć ten termin w nowszych tomach, widać jednak

<sup>18</sup> Więcej o tym problemie na s. 35-36.

<sup>19</sup> Dostępny pod adresem <http://catalog.loc.gov/>

<sup>20</sup> W piśmiennictwie anglojęzycznym spotyka się pisownię „non-book” z myślnikiem i bez. Również jako jedno słowo. Podobnie jak to ma miejsce w przypadku „online” i „on-line”. Dla ujednolicenia przyjąłem formę „non-book”.

autorzy encyklopedii uznali, że to raczej termin „nonprint” powinien zostać zindeksowany, a hasło „non-book” nie jest istotnym dla czytelnika kluczem wyszukiwawczym i od lat go nie indeksują. Sprawa jest o tyle dziwna, że w piśmiennictwie europejskim sytuacja jest zupełnie odwrotna. Prawie nie spotyka się określenia „nonprint”. O przywiązaniu bibliotekoznawców amerykańskich do określenia „nonprint” świadczyć może również przykład tezaurusa Amerykańskiego Stowarzyszenia Informacji Naukowej (ASIS). Nie występuje w nim w ogóle (nawet jako askryptor) termin „non-book”, natomiast termin „audiovisual materials” jest potraktowany jako askryptor, od którego odsyłacz kieruje do terminu „nonprint media”.<sup>21</sup> Ciekawostką jest, że sytuacja w tezauruse ASIS jest pełną odwrotnością tego, co proponuje inne amerykańskie wydawnictwo. Otóż w popularnym słowniku Amerykańskiego Stowarzyszenia Bibliotekarzy (ALA) terminy „nonprint” i „nonbook” służą jako odsyłacze do hasła „audiovisual materials”<sup>22</sup>. Cóż więc się dziwić, że mają miejsce tak wyraźne rozbieżności terminologiczne, skoro przodujące w świecie bibliotekoznawstwa amerykańskie nie ujednoliciło terminologii.

Powróćmy do największego w świecie wydawnictwa encyklopedycznego z dziedziny bibliologii. Trudno stwierdzić, że encyklopedia Allena Kenta<sup>23</sup> proponuje precyzyjne definicje powyższych terminów, może dlatego, że miała ona zawsze charakter rozbudowanego wydawnictwa zbiorowego, zawierającego dość obszernie artykuły zamiast zwartych definicji<sup>24</sup>. Trudno więc uznać za definicję dokumentów nieksiążkowych następujące wyliczenie:

(...) *nieksiążkowe materiały biblioteczne: mikrofilmy, slajdy, filmy i przezrocza, płyty gramofonowe, taśmy, mapy i inne środki informacji (...)*<sup>25</sup>.

Jay Daily, długoletni redaktor „ELIS” i autor artykułu omawiającego zagadnienia zarządzania dokumentami nieksiążkowymi w bibliotekach<sup>26</sup>, podziela pogląd, że definicja nieksiążkowych zbiorów bibliotecznych sprawia wiele trudności, a określenie „non-book” nie jest według niego właściwe. W ten sposób tłumaczył, dlaczego zamiast terminu „non-book” postanowił stosować termin „nonprint”. Sugerowanie przez „ELIS” stosowania terminu „nonprint” jest kwestią dyskusyjną, o tym jednak w dalszej części rozdziału. W tym miejscu natomiast powinno znaleźć się wyjaśnienie powodów takiego podejścia. Daily stwierdził wprost, że określenie „non-book” wchodzi w konflikt z bliską mu ideą „generic book”. Termin ten wymaga więc wyjaśnienia.

## JEDNOŚĆ MEDIÓW

Z terminem „generic book” wiąże się nazwisko Louisa Shoresa, który w książce *Krucjata na rzecz jedności mediów* zawarł kwintesencję swej idei uznania wszystkich dokumentów za książki, w tym znaczeniu, iż niezależnie

<sup>21</sup> ASIS thesaurus of information science and librarianship. Jessica L. Milstead ed. Medford, ASIS 1994 s. 5, 58.

<sup>22</sup> *The ALA glossary of library and information science*. Chicago, ALA 1983 s. 15, 153, 154.

<sup>23</sup> *Encyclopedia of library and information science*. Ed. Allen Kent. New York, Marcel Dekker Inc. 1968- .

<sup>24</sup> Korzystanie z „ELIS” wymaga – podobnie jak w przypadku *Encyclopedia Britannica* – posłużenia się na wstępie indeksem alfabetycznym, ale i tak znalezienie krótkich definicji w stylu słownikowym jest zajęciem dość żmudnym.

<sup>25</sup> Tamże, vol. 1, 1968 s.71.

<sup>26</sup> J. E. Daily: *Nonprint material. Sound recordings, motion pictures, and pictures*. W: *Encyclopedia of library and information science vol. 20*. New York, Marcel Dekker Inc. 1977 s. 100-117.

od formatu każdy dokument jest przydatny w gromadzeniu i przekazywaniu informacji.

Punktem wyjścia dla tych rozważań może być następujące stwierdzenie Shoresa: *W moim rozumieniu mediów film jest tak samo książką jak przekaz drukowany oprawiony w sztywną okładkę*<sup>27</sup>.

Książką w ujęciu generatywnym<sup>28</sup> będą więc wszystkie sposoby przekazywania informacji. Shores stwierdza wprost:

*Książka generatywna to suma wszystkich możliwości komunikacyjnych człowieka*<sup>29</sup>.

W polskim piśmiennictwie bibliologicznym i szkolnictwie bibliotekoznawczym na pewien czas przyjął się termin „uniwersalna postać książki” jako swobodne tłumaczenie terminu „generic book” i wyraz poglądów prezentowanych przez Shoresa i jemu podobnych. Tłumaczenie takie zaproponowała Jadwiga Kołodziejska<sup>30</sup>. Niestety ten dobrze brzmiący zwrot nie był na tyle popularny, by zostać na stałe hasłem wywoławczym tematu lub kluczem wyszukiwawczym. Wydaje się być raczej zwrotem zapomnianym<sup>31</sup>.

W pojęciu „generic book” – według Shoresa – zawierają się wszystkie możliwe formaty nośników informacji. Wykroczył on nawet poza sferę materialnych nośników informacji, bo obok tak oczywistych mediów jak filmy, slajdy, przezroczka, mikrofilmy i inne dokumenty audiowizualne wymienił na przykład – zresztą zupełnie słusznie – szkolną wycieczkę do kopalni soli jako źródło wiedzy nie gorsze od tradycyjnej książki. Ten sposób myślenia jest konsekwentny i jak najbardziej uprawniony, bo skoro za środek dydaktyczny może zostać uznana makietka kopalni znajdująca się w jednej z pracowni szkolnych, dlaczego nie uznać za taki środek rzeczywistej kopalni.

Twórczość Shoresa jest twórczością z pogranicza bibliotekoznawstwa i pedagogiki, w której uwypuklona została funkcja edukacyjna biblioteki. Pojęcie „generic book” jest więc wynikiem owego mocno ukierunkowanego spojrzenia na rolę biblioteki w systemie oświaty. Stąd często w amerykańskim piśmiennictwie spotyka się określenie „audiovisual aids” (pomoce audiowizualne) zamiast „audiovisual materials”, co wyraźnie wskazuje na znaczenie tych materiałów w zastosowaniach edukacyjnych. Termin „generic book” jest przejawem odmiennego spojrzenia na różnorodne media niż zbudowane na fundamencie opozycji do książki pojęcie „dokumenty nieksiążkowe”. Hasło „generic book” jednoczy media, hasło „dokumenty nieksiążkowe” w pewnym sensie je dzieli. W koncepcji „generic book” wszystko jest książką, bo wszystko może i powinno być wykorzystane w procesie

---

<sup>27</sup> L. Shores: *Audiovisual librarianship. The crusade for media unity* (1946-1969). Littleton, Libraries Unlimited 1973 s. 45.

<sup>28</sup> Terminem „generic book” (tu tłumaczonym jako „książka generatywna”) Shores nawiązał do pojęcia „kształcenia generatywnego” (produktywnego) jako przeciwieństwa kształcenia reprodukcyjnego, którego ograniczonym celem jest odtwarzanie (reprodukcja) przez ucznia treści przekazanych mu przez nauczyciela w trakcie zajęć szkolnych. W kształceniu generatywnym uczeń pewną część wiedzy i przekonań zdobywa w wyniku własnych poszukiwań. Zatem książka generatywna, czyli wszelkie media mają mu w tych samodzielnych poszukiwaniach pomóc. (Szerzej na ten temat pisze M. Drzewiecki w artykule *Dokument biblioteczny w procesie kształcenia* w „Przeglądzie Bibliotecznym” 1982 z. 3/4 s. 223-233.)

<sup>29</sup> L. Shores: *Audiovisual librarianship...*, op. cit. s. 45.

<sup>30</sup> Dokładnie zwrotu „książka w jej uniwersalnej postaci” Kołodziejska użyła w recenzji książki Shoresa, która to recenzja zamieszczona była w „Roczniku Biblioteki Narodowej” za lata 1976/77 na s. 373.

<sup>31</sup> Na przykład *Polska Bibliografia Bibliologiczna*, mająca bogaty indeks przedmiotowy, nie wykazuje w nim hasła „uniwersalna postać książki”.

kształcenia. W edukacji oznacza to wyjście poza schemat klasa – nauczyciel – tablica – kreda – podręcznik i otwarcie na nośniki inne niż tradycyjna książka jako źródła nowej wiedzy ucznia. W bibliotekarstwie oznacza to szersze włączenie do zbiorów bibliotecznych dokumentów innych niż drukowane.

Shores z oczywistych względów musiał być niechętny określeniu „non-book materials”. Stwierdził wyraźnie, że

*W koncepcji „generic book” nie ma miejsca dla pojęcia „dokumenty nieksiążkowe”<sup>32</sup>.*

Wydaje się jednak, że nie powinno się wnioskować, iż terminy „generic book” i „non-book materials” wzajemnie się wykluczają i nawzajem sobie przeczą. Są (czy były) stosowane w innym celu i w innych sytuacjach. Terminu „generic book” używano po to, by objąć media jako całość i uwzględnić wartość każdego sposobu komunikowania dla potrzeb procesu kształcenia. Natomiast terminu „dokumenty nieksiążkowe” używa się po to, by wskazać na fizyczność (a nie funkcjonalność), na szczególny charakter pewnej części zbiorów bibliotecznych.

Określenia „generic book” Shores użył jeszcze w latach pięćdziesiątych XX wieku i w późniejszych publikacjach powracał do niego. W swej krucjacie na rzecz jedności mediów przeciwstawiał się emancypowaniu z grupy zawodowej bibliotekarzy nowej kategorii pracowników nazywanych w publikacjach anglojęzycznych „audiovisualists”. Według *Encyclopedia of library history* służba audiowizualna w bibliotece zawiera się w czterech obszarach zadań:

- gromadzenie dokumentów audiowizualnych,
- zapewnienie niezbędnego sprzętu,
- wykonywanie nowych dokumentów audiowizualnych,
- prowadzenie szkoleń w tym zakresie<sup>33</sup>.

W myśl powyższych punktów i tego, co dostrzegali Shores, pracownik określany mianem „audiovisualist” miałby zgoła inne zadania, być może stawiające go wyżej w hierarchii zawodowej bibliotekarzy. Wyrazem takiego podziału funkcji pomiędzy bibliotekarzy „zwykłych” i bibliotekarzy „audiowizualnych” (w piśmiennictwie polskim nie przyjął się ani termin „bibliotekarz audiowizualny”, ani tym bardziej „audiowizualista”) było tworzenie w amerykańskim szkolnictwie odrębnych zbiorów bibliotecznych i odrębnych zbiorów audiowizualnych. Zwolenników koncepcji formalnego oddzielenia zbiorów książkowych od zbiorów audiowizualnych, czyli umieszczenia ich w oddzielnych, praktycznie często oddalonych od siebie pomieszczeniach, pod opieką różnych osób, Shores nazywał separatystami. Ich przeciwników, zwolenników idei jedności mediów, chcących łączyć różne typy dokumentów w jeden wspólnie zarządzany zbiór pod opieką wszechstronnie przygotowanego bibliotekarza szkolnego, nazywał integralistami. Separatyści argumentowali, że dokumenty książkowe i nieksiążkowe zbyt się różnią, że wymagają innych technik zarządzania nimi, że osoby sprawujące nad nimi opiekę powinny legitymować się innego rodzaju wykształceniem i innymi predyspozycjami. Najgorszym typem separatystów nie są według Shore’a bynajmniej gorący zwolennicy nowych mediów, ale zwykli bibliotekarze, którzy niechętnie patrzą na możliwość poszerzenia własnej oferty.

<sup>32</sup> L. Shores: *Audiovisual librarianship...*, op. cit. s. 15.

<sup>33</sup> *Encyclopedia of library history*. New York, Garland Publishing 1994 s. 47.

Niektórzy twierdzą wręcz, iż mają i tak ręce zajęte zarządzaniem zbiorami drukowanymi, że nie są w stanie wziąć dodatkowej odpowiedzialności za filmy i przezrocza, a nade wszystko za urządzenia niezbędne do ich projekcji<sup>34</sup>.

Zwolennicy integracji z kolei twierdzą, że tylko połączenie różnorodnych mediów w jeden organizm może najlepiej służyć procesowi kształcenia. Gromadzenie i udostępnianie różnych typów mediów w jednym miejscu i zarządzanie nimi przez osobę czy zespół ogarniający całość zagadnień medialnych może najlepiej przyczynić się do wszechstronnego i efektywnego wykorzystania wszelkich źródeł informacji w edukacji. Koncepcja integralistów na długi czas zwyciężyła. Objawem tego było pojawienie się w latach sześćdziesiątych i rozwój w następnej dekadzie idei tzw. media center<sup>35</sup>, czyli podstawowego organu w organizmie szkoły, który pełnić miał jednocześnie funkcję tradycyjnej biblioteki, udostępniającej wszelkie postaci dokumentów drukowanych, oraz centrum nowych mediów, udostępniającego na zewnątrz i na miejscu wszelkie nieksiążkowe źródła informacji. Dziś w publikacjach anglojęzycznych z zakresu bibliotekarstwa szkolnego nie wprowadza się rozróżnienia pomiędzy bibliotekarzami (librarians) i specjalistami od mediów (audiovisualists). Pojawia się natomiast coraz częściej integrujące te funkcje określenie „school library media specialist”. Tak po prostu nazywani są niegdysiejsi bibliotekarze szkolni<sup>36</sup>. Jednak dalekim echem poglądów separatystycznych, których zwolennicy najchętniej ograniczyliby rolę bibliotek do wypożyczalni lektur, jest przyjmowany niekiedy schemat komputeryzacji szkoły i przyłączenia jej do sieci Internetu. Utworzenie szkolnej pracowni komputerowej jest znacznym krokiem naprzód w rozwoju technik nauczania w danej szkole. Jeśli ta pracownia będzie podłączona do Internetu, to zostanie wykonany następny krok naprzód. Ale jeśli ma to oznaczać, iż jedynym miejscem w szkole, z którego można „wejść” do Internetu jest owa pracownia, to tym samym oznacza to regres w rozwoju biblioteki szkolnej. Biblioteka, która w myśl idei „generic book” (a następnie „media center”) powinna udostępnić wszelkie możliwe źródła informacji, nie może być pozbawiona dostępu do Internetu.

Zatem można zrozumieć niechęć z jaką J. Daily podchodzi do stosowania terminu „non-book materials”. Byłoby to bowiem zaprzeczeniem idei uniwersalnej postaci książki, bo przecież paradoksalnie pewne nośniki, zaliczone przez jedną definicję do zbioru uniwersalnych książek, przez drugą nazwane byłyby „nieksiążkami”. Nie oznacza to jednak, iż nie można mieć zastrzeżeń do definicji Daily'ego zawartej w *Encyclopedia of library and information science*.

Pierwszy istotny bowiem problem przy określaniu pewnych typów dokumentów mianem „non-book” lub „nonprint” stanowią materiały kartograficzne. Przeciwny czytelnik może być zaskoczony i zdezorientowany po przeczytaniu, że poważne i miarodajne źródło, jakim jest „ELIS”, do zbiorów typu „nonprint” zalicza zbiory kartograficzne<sup>37</sup>, a przecież w powszechnym rozumieniu są one jak najbardziej „print”. Dokumenty kartograficzne stwarzają problem, który wydaje się nierozwiązywalny. Treści kartograficzne można przecież przedstawiać w różnych formach wydawniczych i piśmienniczych. Mapa to najszybciej przychodzący

<sup>34</sup> L. Shores: *Audiovisual librarianship...*, op. cit. s. 33.

<sup>35</sup> W swych pracach z lat pięćdziesiątych Shores używał jeszcze niewiele mówiącego określenia „materials center”. Termin „media center” pojawił się dekadę później. Poza tym, używało się i używa określeń: „media resource center”, „school media center”, „learning resource center”.

<sup>36</sup> Zob. np. K. E. Vandergrift: *Power teaching. A primary role of the school library media specialist*. Chicago, ALA 1994.

<sup>37</sup> Zob. np. A. Modelski: *Non print material. Maps, charts, and atlases*. W: *Encyclopedia of library and information science vol. 20*. New York, Marcel Dekker Inc. 1977 s. 117-162.

na myśl przedstawiciel kategorii dokumentów kartograficznych. Określenie „mapa” odnosi się do cech treściowych dokumentu i bynajmniej nie wiąże się z jego cechą fizyczną. Gdyby tak miało być, należałoby doprecyzować, że chodzi o mapę papierową lub mapę na mikrofilmie, mapę na nośniku elektronicznym lub w innej postaci. Powszechnie kartografia kojarzy się z drukowanymi na papierze mapami i planami oraz drukowanymi atlasami. Ale materiały kartograficzne to także globusy, mapy przestrzenne (tzw. reliefy), to także rozwijająca się kartografia w postaci elektronicznej. Większości osób mapa kojarzy się jednak z wiszącym na ścianie, umieszczonym w atlasie lub składanym ewentualnie zwijanym arkuszem papieru, do odczytu którego niepotrzebne są żadne urządzenia. Owa większość przystałaby więc chętniej na określenie map mianem „non-book” niż „non-print”. Dzielenie materiałów kartograficznych na typu „print” i typu „nonprint” byłoby może konsekwentne z uwagi na różne możliwe nośniki zapisu map, ale skomplikowałoby tylko niełatwą typologię. Okazałoby się bowiem, że część map jest „book”, a część „non-book”. Ze część jest „print”, a część „nonprint”. Część map można oglądać okiem nieuzbrojonym, a część wymaga zastosowania urządzeń odczytujących i wobec tego w myśl niektórych definicji nazwalibyśmy je „dokumentami audiowizualnymi”. Widać więc, że każda próba przypisania zbiorczo dokumentów kartograficznych do wybranej ogólnej kategorii dokumentów da się zakwestionować. Może więc słusznie postąpiło IFLA, gdy zdecydowało, że w międzynarodowych zaleceniach opisu bibliograficznego materiały kartograficzne zostaną omówione oddzielnie w dedykowanym im dokumencie „ISBD(CM)”<sup>38</sup> – niezależnie od wydanych równocześnie zaleceń dla dokumentów nieksiążkowych „ISBD(NBM)”<sup>39</sup>. Można jednak przyjąć interpretację tego faktu taką, iż specyfika opracowania formalnego dokumentów kartograficznych, która zrodziła potrzebę opracowania ISBD(CM), bynajmniej nie powoduje wyłączenia materiałów kartograficznych z grupy dokumentów nieksiążkowych.

Drugi problem, który wywołuje dyskusję ze wspomnianym artykułem Daily'ego, stanowią mikroformy. Daily stwierdził, że określenie „nonprint” nie odnosi się do mikroform. Zdecydował się je wyłączyć z tej kategorii, bo – jak stwierdził – mikroformy są książkami, tyle że „w innym kształcie”<sup>40</sup>. Jest to twierdzenie zaskakujące, bo choć faktycznie mikroformy nie są wykonywane jakąkolwiek techniką drukarską, jednak są ważną kategorią w zbiorach bibliotecznych zgodnie zaliczaną w poczet dokumentów typu „non-book”. Skoro więc mikroformy są „non-book”, a nie są „nonprint”, to by znaczyło, że oba określenia nie odnoszą się do tej samej grupy przedmiotów i że nie są synonimami. Gdyby Daily był konsekwentny, musiałby także wykluczyć uznawane przez siebie za „nonprint” niektóre nagrania dźwiękowe. Oto bowiem cała kategoria książek mówionych to przecież książki, tyle że „w innym kształcie”. Rozważania te prowadziłyby więc do wniosku, że wbrew tradycji amerykańskiej należałoby odrzucić termin „nonprint” jako zaciemniający i tak już skomplikowaną typologię dokumentów nieksiążkowych<sup>41</sup>.

<sup>38</sup> ISBD(CM): *International Standard Bibliographic Description for Cartographic Materials*. London, IFLA 1977.

<sup>39</sup> ISBD(NBM): *International Standard Bibliographic Description for Non-Book Materials*. London, IFLA 1977.

<sup>40</sup> J. E. Daily: *Nonprint material...*, op. cit. s. 100.

<sup>41</sup> Gwoli ścisłości dodać należy, że amerykański autor James Cabeceiras określa podział dokumentów na „print” i „nonprint” jako mętny (jeśli takie tłumaczenie słowa „ambiguous” przyjąć), a to znaczy, że nie wszyscy w USA podzielają poglądy wyrażane w ELIS (zob. J. Cabeceiras: *The multimedia library. Materials selection and use*. New York, Academic Press 1982 s. 23).

Wyrażna w „ELIS” niechęć do terminu „non-book” nie potwierdza się w piśmiennictwie europejskim. Na przykład wydany przez UNESCO tezaurus<sup>42</sup> pojęć z zakresu edukacji, nauki, kultury, informacji i nauk humanistycznych w ogóle nie podaje terminu „nonprint”, natomiast posługuje się pojęciem „non-book materials” oraz jakoby równoległym pojęciem „audiovisual materials”. Mankamentem jest właśnie brak wskazania wyraźnej relacji pomiędzy tymi terminami. Oba występują jako deskryptory, czyli terminy zalecane, jednak nie podano oczywistej zależności między nimi. Dobrym wyjściem byłoby wskazanie przy haśle „non-book” odpowiedniej relacji. Takiej, iż termin „audiovisual materials” jest terminem węższym, ewentualnie skojarzeniowym. Niestety zabrakło tej wskazówki<sup>43</sup>. Podobnie rzecz ma się w angielsko-niemieckim słowniku terminów z zakresu bibliologii i informacji naukowej, w którym pojawia się co prawda termin „nonprint materials”, ale tylko jako odsyłacz do właściwego terminu „non-book materials”<sup>44</sup>.

Poza tym, że leksykografia europejska zwykła stosować termin „non-book” zamiast „nonprint”, ewentualnie traktuje ten ostatni tylko jako odsyłacz, bywa też, że oba wymienione określenia nie są hasłami w danej publikacji słownikowej, a materiały uznawane za nieksiążkowe omawiane są pod hasłem „materiały audiowizualne”. Taka sytuacja ma miejsce w bibliotekoznawstwie polskim. Choć zwrot „dokumenty nieksiążkowe” pojawia się w polskim piśmiennictwie bibliotekoznawczym, nie znajduje to jednak odbicia w polskiej leksykografii. W popularnych polskich słownikach i encyklopediach księgoznawczych wydanych w latach siedemdziesiątych przez Ossolineum stosuje się terminy „materiały audiowizualne” lub „dokumenty audiowizualne”. Nie jesteśmy pod tym względem wyjątkiem. Ciekawy bowiem dowód na to znaleźć można w niemieckim *Wielojęzycznym słowniku bibliotekarstwa artystycznego*, gdzie obok angielskiego terminu „non-book materials” są tłumaczenia na inne języki. O ile w większości są to tłumaczenia dosłowne (np. francuskie: non livres, niemieckie: nicht-Bücher, hiszpańskie: no-libros), to tłumaczenie szwedzkie ma formę „audiovisuella media”<sup>45</sup>. Brak terminu „dokumenty nieksiążkowe” w polskiej leksykografii nie oznacza, iż nie jest on przydatny. Wręcz przeciwnie. W przyszłych słownikach i encyklopediach z dziedziny bibliologii powinien się wreszcie pojawić z wyraźnym zaznaczeniem relacji między nim a terminem „dokumenty audiowizualne”. Dzięki temu łatwiej będzie można dostrzec, iż wśród dokumentów nieksiążkowych znaleźć można dokumenty nie będące audiowizualnymi.

Stwierdzone zostało wcześniej, że nie spotyka się definicji opisowych kategorii zbiorów bibliotecznych zwanych dokumentami nieksiążkowymi, natomiast często spotyka się definicje wyliczające. Przykład takiego starannego wyliczenia zawiera amerykańska praca zbiorowa z 1987 zatytułowana *Nonbook media*<sup>46</sup>. Listę obszernie omówionych w książce poszczególnych typów dokumentów nieksiążkowych można potraktować jako rodzaj definicji wyliczającej. Na liście znalazły się: reprodukcje sztuki, taśmy audio, taśmy wideo, zwoje przezroczy, grafika, zdjęcia holograficzne, dane odczytywane maszynowo, mapy, mikroformy,

---

<sup>42</sup> Choć UNESCO jest agendą ONZ, można jednak przyjąć, że wspomniany tezaurus reprezentuje bibliotekoznawstwo europejskie.

<sup>43</sup> *UNESCO thesaurus*. Paris, UNESCO Publishing 1995 s. 284.

<sup>44</sup> E. Sauppe: *Dictionary of librarianship. Wörterbuch des Bibliothekswesens*. München, Saur 1988 s. 334.

<sup>45</sup> *Multilingual glossary for art librarians*. München, Saur 1996 s. 91.

<sup>46</sup> *Nonbook media. Collection management and user services*. Ed. by John W. Ellison and Patricia Ann Coty. Chicago, ALA 1987.



modele, nuty, oryginalna sztuka (malarstwo, rzeźba, reliefy, wszelkie ryty – drzeworyt, staloryt itd.), folie do rzutników, broszury, zbiory fonograficzne, fotografie, materiały do nauczania programowanego, obiekty rzeczywiste (ang. „realia”) czyli wytwory natury (np. minerały, okazy przyrodnicze) i kultury (np. medale, militaria), slajdy, dyski wideo i taśmy wideo. Zaliczono tu także materiały symulacyjne, czyli wszelkiego rodzaju przedmioty i urządzenia stosowane w kształceniu i treningach, służące przybliżeniu ucznia jak najbliższej warunków, które istniałyby podczas wykonywania zadania w rzeczywistości.

Podany podział, choć rozbudowany i dokładny, należałoby poddać pewnej krytyce i uzupełnić. Przede wszystkim dziwi fakt, że jako odrębną kategorię wyróżniono mapy (czyli graficzne wyobrażenia przestrzeni na kuli ziemskiej i w kosmosie) mające postać płaskich kart, zwojów lub w formie atlasów. Posunięcie dziwne, bo w literaturze tematu zwykło się traktować materiały kartograficzne jako całość. Tymczasem autorzy omawianej książki informacje o niewątpliwie kartograficznych materiałach, jak globusy i mapy reliefowe, umieścili w rozdziałach poświęconych modelom, a więc zasadniczo odrębnej kategorii dokumentów nieksiążkowych. Wątpliwości budzi także rozbieżność dokumentów ikonograficznych na kilka odrębnych kategorii<sup>47</sup>.

Wydaje się też, że nie było konieczne oddzielne omówienie modeli i realiów. Jest oczywiście różnica między najbardziej starannie wykonanym modelem a rzeczywistym przedmiotem (np. faksymile banknotu i banknot oryginalny), ale trudno jest czasem te różnice dostrzec. Na przykład, jak wynika z rozdziału o modelach, zaliczono do nich również przedmioty rzeczywiste (realia), tyle że odpowiednio konfekcjonowane.

Problemy interpretacyjne stwarzają też dwie inne kategorie: materiały do nauczania programowanego i materiały symulacyjne. Jak sami autorzy przyznają, są to często jedynie kombinacje (zestawy) różnych typów dokumentów nieksiążkowych (modeli, nagrań audio i wideo, przezroczy, materiałów na nośnikach komputerowych i in.), trudno więc uznać je za dwie odrębne kategorie dokumentów nieksiążkowych.

Przytoczony wyżej podział należałoby też uzupełnić, bo ze względu na rozwój technologii brakuje tu istotnych obecnie typów dokumentów nieksiążkowych. Przede wszystkim brakuje dysków optycznych jako nośników sygnałów audio, wideo i danych komputerowych. Z tego powodu jedynymi uwzględnionymi w książce typowymi nośnikami sygnału audio są taśmy magnetyczne (w tym kasety) i płyty gramofonowe. Notabene technologia CD znana już była w momencie wydania książki (1987).

## AUDIOWIZUALNE DOKUMENTY NIEKSIĄŻKOWE

Problemy terminologiczne i klasyfikacyjne w odniesieniu do rodzajów dokumentów w zbiorach bibliotecznych wynikają z różnych (stosowanych czasem jednocześnie) kryteriów ich podziału. Julian Fercz i Aleksandra Niemczykowa po-

---

<sup>47</sup> W wyniku tego pewne treści są w *Nonbook media* powtarzane, bo dla każdej kategorii przyjęto ten sam schemat omawiania, w którym znajduje się część historyczna. Czytelnik może więc dwukrotnie przeczytać tę samą historię dagerotypii: raz w rozdziale o zbiorach graficznych, raz przy fotografii. Notabene w jednym miejscu dowiaduje się, że twórcą tej techniki był Jacques Daguerre, a w drugim, że był nim Louis Daguerre. Faktycznie według różnych encyklopedii był nim Louis Jacques Mande Daguerre.

dają co najmniej trzy takie kryteria. Pierwszym z nich byłby sposób zapisu treści. W efekcie otrzymujemy podział na dokumenty, w których treść jest zapisana i przekazywana za pomocą: pisma, obrazów i dźwięków. Inne kryterium dzieli dokumenty na pierwotne, wtórne i pochodne. Jeszcze inny prosty podział stosowany w bibliotekach dzieli materiały biblioteczne na wydawnictwa zwarte, wydawnictwa ciągłe i zbiory specjalne<sup>48</sup>. Próby dalszego podziału zbiorów specjalnych na książkowe i nieksiążkowe (a następnie audiowizualne) nastroczają klasyfikatorom i autorom definicji słownikowych wielu problemów. Głównie – jak zostało powiedziane – z powodu krzyżowania się cech formalnych, wydawniczych i treściowych.

Przykład krzyżowania się różnych kryteriów podziału znajdujemy m.in. we *Wprowadzeniu do dydaktyki ogólnej* Wincentego Okonia. Omawiając rodzaje środków dydaktycznych autor podzielił je zasadniczo na dwie grupy: środki proste i złożone. **Środki proste** dzieliłyby się na:

- słowne (podręczniki i inne teksty drukowane),
- proste środki wzrokowe (modele, obrazy, wykresy, mapy).

Z kolei **środki złożone** Okoń podzielił na:

- mechaniczne środki wzrokowe (np. aparat fotograficzny, episkop, mikroskop),
- środki słuchowe (np. gramofon, magnetofon, radio),
- środki słuchowo-wzrokowe (audiowizualne), które łączą obraz dźwięk, jak film dźwiękowy czy telewizja,
- środki automatyzujące proces uczenia się, jak np. laboratoria językowe i komputery<sup>49</sup>.

W podanym podziale występują jednocześnie nośniki informacji, w których zapisana jest informacja przydatna w procesie kształcenia oraz z drugiej strony urządzenia, które same w sobie nie mają zapisanej informacji, ale służą do zapisywania i odczytywania nośników informacji. Wymienione są także tzw. kanały informacyjne, jak radio i telewizja. Jednocześnie więc w podanym podziale uwzględniona została jako środek dydaktyczny książka, jak również episkop, który służy jedynie temu, by zawartość owej książki „rzucić” na ścianę.

Dla naszych rozważań terminologicznych podział Okonia jest o tyle niekorzystny, że jego literalne odczytanie mogłoby prowadzić do wniosku, że dokumentami audiowizualnymi są te, w których ma miejsce połączenie sygnału audio i wideo. Tymczasem w większości publikacji na ten temat znajdziemy stanowisko, że film niemy lub przezrocze to także dokumenty audiowizualne, chociaż faktycznie nie niosą ze sobą przekazu audialnego. **Jestem zdecydowanym zwolennikiem odejścia od literalnego rozumienia określenia „audiowizualny”. Za takowe należy uznać również te przekazy i te nośniki, które faktycznie reprezentują tylko jeden z członów tej nazwy.**

W tym miejscu w nawiązaniu do terminologii Okonia warto przytoczyć propozycje rozwiązań terminologicznych zawarte w *Tezaurusie Informacji Naukowej* Ewy Chmielewskiej-Gorczyicy. Wynika z niego m.in., że terminy „materiały audiowizualne” i „dokumenty oglądowo-słuchowe” powinny być potraktowane jako askryptory, natomiast zalecanym deskryptorem byłby w tym miejscu termin „dokumenty audiowizualne”. To samo dotyczy terminów „środki audiowizual-

<sup>48</sup> J. Fercz, A. Niemczykowa: *Podstawy nauki o książce, bibliotece i informacji naukowej*. Warszawa, PWN 1991 s. 79-80.

<sup>49</sup> W. Okoń: *Wprowadzenie do dydaktyki ogólnej*. Warszawa, Żak 1995 s. 424.

ne” i „aparatura audiowizualna”, które autorka tezauryzna uznała za niewskazane w indeksowaniu, a na ich miejsce wskazała deskryptor „sprzęt audiowizualny”<sup>50</sup>. Użycie przez Okonia określenia „środki” było jednak mimo wszystko jedynym możliwym rozwiązaniem, gdyż zawarł on w swoim podziale jednocześnie dokumenty, kanały i sprzęt. Tylko więc określenie „środki” ogarniało je całościowo.

Popularny podręcznik pt. *Bibliotekarstwo* (pod. red. Z. Żmigrodzkiego) jest kolejnym przykładem trudności w klasyfikowaniu dokumentów o bardzo różnych cechach formalnych i treściowych. W rozdziale XIV tej książki znajdują się krótkie omówienia rodzajów zbiorów specjalnych<sup>51</sup>. Przedstawiony tam podział nie jest właściwą typologią i być nią nie może, gdyż dokonano go, biorąc pod uwagę jednocześnie cechy wydawniczo-formalne i cechy treściowe dokumentów. Stąd wśród wyróżnionych kategorii obok dokumentów informatycznych (cecha formalna) są omówione m.in. dokumenty normalizacyjne (cecha treściowa). Ten przykład pokazuje, jak trudnym zadaniem jest stworzenie typologii dokumentów nieksiążkowych, gdy do wyróżnienia typów stosuje się jednocześnie różne kryteria podziału. W omówieniu dokumentów audiowizualnych zastosowano podział, który wcześniej pojawiał się w innych opracowaniach z dziedziny bibliotekoznawstwa, czyli podział na dokumenty oglądowe (wizualne), słuchowe (audialne) oraz oglądowo-słuchowe (audiowizualne). Zastosowany podział (choć tradycyjnie stosowany) nie jest jednak idealny i może budzić wątpliwości. Wynika z niego bowiem – co wcześniej już było komentowane – iż jednym z trzech typów dokumentów audiowizualnych są dokumenty audiowizualne(!).

W omawianym fragmencie znajduje się jednak ważna uwaga, która – jak wynika z lektury innych prac – nie zawsze jest dla ich autorów oczywista. Otóż autorzy *Bibliotekarstwa* stwierdzają:

*Cechą wspólną zbioru dokumentów audiowizualnych jest konieczność ich odbioru za pomocą specjalnej aparatury*<sup>52</sup>.

Ten bardzo rozsądny pogląd nie jest bynajmniej niczym nowym wśród pomysłów na klasyfikowanie dokumentów. Już ponad 30 lat temu Maria Dembowska przychyliła się do koncepcji ograniczenia pojęcia „dokumenty audiowizualne (oglądowo-słuchowe) do dokumentów wymagających dodatkowej aparatury odczytującej. Argumentowała to w sposób następujący:

*Ograniczając zakres nazwy „dokument oglądowy” do dokumentów zawierających utrwalony zapis obrazu, przekazywanego (odtworzanego) przy pomocy właściwej aparatury, mamy na celu wprowadzenie jasnego kryterium wyróżniającego tak rozumiane dokumenty oglądowe od dokumentów zawierających „obrazy” dostrzegalne bezpośrednio za pomocą wzroku (rysunki, grafika, fotografie, wytwory malarstwa itp.). Przy takiej interpretacji wyodrębnienie grupy dokumentów oglądowych, słuchowych i oglądowo-słuchowych oparte jest na wyraźnie określonej zasadzie podziału, który stanowi wspólna cecha charakterystyczna: przekazywanie obrazu lub dźwięku przy zastosowaniu odpowiedniej techniki. Należy jednak pamiętać, że terminu „dokument oglądowy” używa się często w szerszym znaczeniu, obejmując nim również dokumenty – obrazy widzialne gołym okiem*<sup>53</sup>.

<sup>50</sup> E. Chmielewska-Gorczyca: *Tezaurus informacji naukowej*. Warszawa, OIN PAN 1992 s. 137, 272.

<sup>51</sup> *Bibliotekarstwo*. Pod red. Z. Żmigrodzkiego. Warszawa, SBP 1998 s. 183-189.

<sup>52</sup> Tamże, s. 185.

<sup>53</sup> M. Dembowska: *Dokumentacja i informacja naukowa. Zarys problematyki i kierunki rozwoju*. Warszawa, SBP 1965 s. 37.

Jestem zdecydowanym zwolennikiem przyjęcia właśnie takiego kryterium wyróżniania zbiorów audiowizualnych. To kryterium pozwala w prosty sposób wskazać w grupie dokumentów nieksiążkowych podgrupę określaną mianem „dokumentów audiowizualnych”. Innymi słowy należy zerwać z traktowaniem pojęcia „dokumenty audiowizualne” jako synonimu pojęcia „dokumenty nieksiążkowe”. Z tego względu należałoby zakwestionować definicje zawarte w wielu wydawnictwach encyklopedycznych i słownikowych. Za przykład mogą posłużyć te najbardziej znane: *Encyclopedia of library and information science* wśród wydawnictw zagranicznych i *Encyklopedia wiedzy o książce* wśród wydawnictw polskich. Obie wymienione encyklopedie w swych definicjach wyliczających możliwe rodzaje materiałów audiowizualnych obok bezdyskusyjnie oczywistych wymieniają też takie, które zdecydowanie wyłączyłbym z zakresu tego pojęcia. „ELIS” jako audiowizualne wymienia m.in. plansze, obiekty, modele i okazy<sup>54</sup>, a „EWoK” podaje m.in. mapy, globusy i ilustracje<sup>55</sup>. Nieco lepsze rozwiązania proponuje amerykański słownik *The bookman's glossary*, który proponuje dwa znaczenia terminu „materiały audiowizualne”. Jedno znaczenie jest bliskie krytykowanym definicjom zawartym w „ELIS” i „EWoK”, drugie natomiast podaje, że termin „materiały audiowizualne” jest rozwinięciem terminu „dokumenty nieksiążkowe” i odnosi się do takich materiałów jak taśmy, slajdy i przezrocza, które wymagają użycia specjalnych urządzeń po to, by mogły być obejrzone lub przesłuchane<sup>56</sup>.

Jeszcze jednym dowodem na to, jak nieprecyzyjnym i zbyt ogólnym pojęciem jest omówiony wcześniej termin „dokumenty nieksiążkowe”, jest jego definicja zawarta w tym samym *The bookman's glossary*:

*Dokumenty nieksiążkowe – materiały, które nie odpowiadają definicji książki lub czasopisma, takie jak materiały audiowizualne i materiały pionowego przechowywania*<sup>57</sup>.

Mimo małej wartości informacyjnej tego hasła jedna rzecz jest godna podkreślenia, a mianowicie, że materiały audiowizualne są tylko częścią grupy materiałów nieksiążkowych. Inaczej mówiąc są inne oprócz audiowizualnych materiały nieksiążkowe i właśnie do tej drugiej grupy należałoby zaliczyć dokumenty nie wymagające urządzeń odczytujących, jak wymienione wyżej globusy, modele, plansze itd.

Podobną definicję dokumentów nieksiążkowych zawiera popularny brytyjski słownik *Harrod's librarians' glossary*<sup>58</sup>. Przede wszystkim należy zwrócić uwagę, że czytelnik zostaje odesłany od hasła „audiovisual materials” do hasła „non-book materials”, a to znaczy, że autorzy słownika – w przeciwieństwie do wielu innych tego typu publikacji – nie mają dla nas odrębnej definicji terminu „dokumenty audiowizualne”. Przy hasle „non-book” natomiast znajduje się niewiele mówiące zdanie, iż materiałami nieksiążkowymi są te, które nie odpowiadają definicji książki i również zasugerowano, że materiały audiowizualne są tylko częścią materiałów nieksiążkowych. O tyle jednak różni się ta definicja in minus względem definicji z *The bookman's glossary*, iż obok materiałów audiowizualnych jako inne rodzaje dokumentów nieksiążkowych wymienia mikroformy

<sup>54</sup> C. W. Stone: *Audiovisual materials and services*. W: *Encyclopedia of library and information science* vol. 2. New York 1969 s. 94.

<sup>55</sup> *Encyklopedia wiedzy o książce*. Wrocław, Ossolineum 1971 s. 1491.

<sup>56</sup> *The bookman's glossary*. Ed. by Jean Peters. New York, Bowker 1975 s. 9.

<sup>57</sup> Tamże, s. 109.

<sup>58</sup> *Harrod's librarians' glossary of terms used in librarianship, documentation and the book crafts and reference book*. Aldershot, Gower 1990 s. 436-436.

i programy komputerowe. Wyłączenie mikroform z grupy materiałów audiowizualnych jest wobec dotychczasowych stwierdzeń niesłuszne i niekonsekwentne. Niestety nie jest to jedyna rozczarowująca definicja z *Harrod's librarians glossary*. Przykładem tego jest osobliwa definicja pojęcia „multimedia”, w której dokumenty typu „nonprint”, „non-book” i „audiovisual” występują jako trzy odrębne kategorie<sup>59</sup>, co w jawny sposób przeczy dotychczasowym rozważaniom, mającym wskazać zachodzące między tymi terminami relacje synonimiczne i hierarchiczne.

Odwrotną sytuację w odniesieniu do dokumentów audiowizualnych obserwujemy – co wcześniej zostało zasygnalizowane – w amerykańskim *The ALA glossary of library and information science*. Pojęcia „nonprint” i „nonbook” nie mają własnych definicji, a czytelnik zostaje odesłany do terminu „audiovisual materials”. Czytamy tam, co następuje:

*Materiały w formatach audialnych i wizualnych, które zawierają informację przede wszystkim dźwiękową i obrazową raczej niż tekstową, np. plansze, wykresy, mapy, obrazy, slajdy, przezroczka, nagrania audio, taśmy wideo, filmy i modele. Wiele z tych materiałów wymaga specjalnych urządzeń do odczytu. Czasem zwie się je dokumentami nieksiążkowymi lub niedrukowanymi w tym znaczeniu, że nie są przeznaczone do czytania*<sup>60</sup>.

Oto doskonały przykład obrazujący tezę, iż bardzo często bibliotekoznawcy utożsamiają ściśle zbiory audiowizualne z nieksiążkowymi. Gdyby porównać powyższą definicję dokumentów audiowizualnych z wcześniejszymi definicjami dokumentów nieksiążkowych, wówczas okazuje się, że wszystkie wymieniają prawie te same rodzaje dokumentów, a to znaczy, że „nieksiążkowy” i „audiowizualny” to dla niektórych synonimy. **Stanowcze stwierdzenie, że dokumenty audiowizualne są tylko częścią większego zbioru dokumentów nieksiążkowych, zapobiegłoby takowym nieporozumieniom i byłoby jasne, że fotografie jako nieksiążkowe nie są audiowizualne.** W zacytowanej definicji protesty może budzić także ostatnie zdanie, w którym sugeruje się, że dokumenty audiowizualne nie służą do czytania. Jest to zbyt daleko idące uproszczenie. Owszem, niektóre służą do słuchania lub oglądania, ale nietrudno wskazać przekazy tekstowe, których odbiór niewątpliwie przecież wymaga czytania, a które są zapisane na nośnikach audiowizualnych wymagających zastosowania specjalnych urządzeń.

W definicjach dokumentów audiowizualnych często właśnie brakuje zdecydowanej informacji, iż wymagają one urządzeń odczytujących. Przykład takiej mało zdecydowanej, przez co zbyt pojemnej definicji znajdziemy w cytowanym już słowniku S. Keenan. Autorka twierdzi między innymi co następuje:

*Większość, ale nie wszystkie materiały audiowizualne wymagają jakiegoś rodzaju urządzeń odczytujących*<sup>61</sup>.

Keenan dopuszcza więc istnienie dokumentów audiowizualnych odczytywanych „gołym okiem”, a to znaczy, że zbliża się do krytykowanego już w tej książce stawiania znaku równości między terminami „dokumenty nieksiążkowe” i „dokumenty audiowizualne”.

Podobnie szerokie rozumienie pojęcia „dokumenty audiowizualne” znajdujemy także w polskiej literaturze przedmiotu. Henryk Sawoniak dostrzegł ten problem, pisząc iż:

<sup>59</sup> Tamże, s. 411.

<sup>60</sup> *The ALA glossary...*, op. cit. s. 15

<sup>61</sup> S. Keenan: *Concise dictionary of library and information science...*, op. cit. s. 2.

Pojęcie dokumentów audiowizualnych jest dość szerokie i płynne, trudno zatem ustalić dokładną ich definicję. Wchodzą tu dokumenty słuchowe (płyty i inne nagrania dźwiękowe), jak też dokumenty oglądowe dwuwymiarowe (fotografie, obrazy, przezrocza, filmy nieme), a także trójwymiarowe (jak rzeźby, modele, obiekty muzealne)<sup>62</sup>.

Zresztą obserwowane do dziś niezdecydowanie co do zakresu pojęcia „dokumenty audiowizualne” widać już od momentu pojawienia się tych zagadnień w polskiej literaturze bibliotekoznawczej. Klara Siekierycz w swej książce *Audiowizualna służba biblioteczna* z 1961 r. podała na wstępie quasi definicję, z której wynikało, że do dokumentów audiowizualnych zaliczyła także te materiały, które nie wymagają urządzeń do odczytu jak: obrazy, ilustracje, mapy i globusy<sup>63</sup>. Jednak z dalszego tekstu wynika, że przedmiotem działań audiowizualnej służby bibliotecznej są według autorki tylko trzy grupy dokumentów wymagających urządzeń odczytujących: przezrocza, nagrania dźwiękowe i filmowe.

W dalszej części rozdziału znajdują się przykłady innych publikacji, w których mniej lub bardziej kategorycznie autorzy starają się zawęzić zakres omawianego pojęcia. Na przykład na potrzebę stosowania urządzeń odczytujących przy korzystaniu z niektórych rodzajów dokumentów zwróciła uwagę Janina Cygańska w opracowanym przez siebie haśle „materiały audiowizualne” w *Encyklopedii współczesnego bibliotekarstwa polskiego*. Jednak nie uczyniła tego w sposób kategoryczny, pisząc:

*Niektóre m.a. [materiały audiowizualne] mogą być przekazywane odbiorcy tylko za pomocą odpowiedniej aparatury (rzutniki, aparaty filmowe, adaptory, magnetofony) i niekiedy tylko ten rodzaj dokumentów zalicza się do m.a.*<sup>64</sup>.

Zasadniczo więc podana przez Cygańską interpretacja terminu „materiały audiowizualne” jest dość obszerna. Zostały do tej kategorii zaliczone również mapy, globusy, materiały ilustracyjne i wytwory grafiki artystycznej.<sup>65</sup> Są to niewątpliwie dokumenty oglądowe (wizualne), ale w takim rozumieniu oglądowa jest także zwykła książka. **Widać więc jak tradycyjny podział na dokumenty słuchowe, oglądowe i oglądowo-słuchowe niczego nie wyjaśnia i może doprowadzić do wniosku, że stosowanie ogólnego dla nich terminu „dokumenty audiowizualne” nie ma sensu.** Zbyt szeroka definicja dokumentów audiowizualnych prowadzić bowiem mogłaby do absurdalnych wniosków, że całość zbiorów bibliotecznych należy do tej kategorii. Ten sposób rozumowania – bynajmniej nie odosobniony – prezentuje A. Thompson w następującym fragmencie:

*Wszystkie formy zapisanej informacji są materiałami audiowizualnymi w tym znaczeniu, że są albo słuchowe, albo oglądowe, albo jednocześnie oglądowe i słuchowe. Głównymi typami są książki, gazety, czasopisma, zdjęcia, mapy, plakaty, slajdy, slajdy w zwojach, przezrocza, filmy, mikroformy, taśmy audio, wideo i komputerowe, kasety, płyty i obiekty rzeczywiste*<sup>66</sup>.

Nie ulega dyskusji, że książka w formie kodeksu jest dokumentem oglądowym, więc w myśl twierdzenia Thompsona byłaby dokumentem audiowizualnym, ale w ten sposób cały trud klasyfikacji materiałów bibliotecznych idzie na marne. Podana definicja dokumentów audiowizualnych jest wyliczeniem prawie

<sup>62</sup> H. Sawoniak: *Dokumenty audiowizualne w bibliografii*. W: *Z problemów bibliografii*. Warszawa, BN 1970 s. 370.

<sup>63</sup> K. Siekierycz: *Audiowizualna służba biblioteczna*. Warszawa, BN 1961 s. 5.

<sup>64</sup> *Encyklopedia współczesnego bibliotekarstwa polskiego*. Wrocław, Ossolineum 1976 s. 200.

<sup>65</sup> Tamże, s. 199.

<sup>66</sup> A. H. Thompson: *Knowledge or format...*, op. cit. s. 187.

wszystkich rodzajów dokumentów gromadzonych w bibliotekach. Gdyby miało być tak, jak proponował Thompson, to istnienie czasopisma fachowego „Audio-visual Librarian” (w którym zamieścił on swoją definicję) nie miałoby sensu. Gdyby miało się owo czasopismo zajmować całym spektrum zbiorów bibliotecznych, powinno nosić jakiś prostszy tytuł, np. „Library Materials”.

Bardziej kategoryczny od wspomnianej wyżej *Encyklopedii współczesnego bibliotekarstwa polskiego* był opublikowany w tym samym wydawnictwie trzy lata później *Słownik terminologiczny informacji naukowej*. Podano w nim trzy odrębne definicje dla dokumentów audialnych, wizualnych i audiowizualnych i za każdym razem dodano, że zapisaną w nich treść przekazuje się „za pomocą specjalnej aparatury”<sup>67</sup>. To jednak z kolei mogłoby budzić protesty, że fotografie lub numizmaty też są dokumentami wizualnymi, a nie wymagają urządzeń odczytujących. Widać więc jeszcze raz, jak przyjęty niegdyś podział dokumentów na audialne, wizualne i audiowizualne na lata skomplikował problematykę terminologiczną.

Duży wpływ na piśmiennictwo bibliotekoznawcze miała dyskusyjna typologia zaproponowana przez M. Dembowską. Jej podział na trzy zasadnicze grupy (dokumenty graficzne, oglądowe i słuchowe) był później często powielany w różnych opracowaniach i wydawnictwach słownikowych<sup>68</sup>. Wymaga on na pewno komentarza, bo już sama autorka miała do niego pewne uwagi. Przede wszystkim mogą się pojawić zastrzeżenia, że dokumenty graficzne są jak najbardziej oglądowe, nie powinny więc stanowić odrębnej kategorii. Dembowska do dokumentów graficznych zaliczyła te, które zawierają „tekst wyrażony za pomocą odpowiedniego systemu znaków: liter, cyfr, znaków nutowych”<sup>69</sup>. Do dokumentów oglądowych z kolei zaliczyła te, w których „treść myślowa przedstawiona jest za pomocą obrazu”<sup>70</sup>. Weszły tu m.in. rysunki, wszelkie rodzaje grafiki, mapy, fotografie, filmy i przezrocza. Wreszcie do dokumentów słuchowych zaliczyła te, które zawierają „utrwalony tekst słowny lub muzyczny, odbierany przy pomocy słuchu, a więc płyty gramofonowe, taśmy magnetofonowe”<sup>71</sup>. Pomińmy dyskusyjny zwrot „tekst muzyczny”, bo inne elementy są bardziej dyskusyjne. Sama Dembowska zwróciła uwagę na problem językowy mogący rodzić wątpliwość, czy słusznie wszelkie rodzaje grafiki wchodzi w skład dokumentów oglądowych, skoro brzmienie ich ogólnej nazwy sugerowałoby raczej przynależność do grupy pierwszej: dokumentów graficznych. Ten faktycznie niezręczny podział wynika z podwójnego w języku polskim znaczenia przymiotnika „graficzny”. Z jednej strony chodzi o taki zapis treści, który przybiera postać wykresu lub rysunku, z drugiej zaś strony „graficzny” oznacza treść wyrażoną w formie pisemnej. Ta dwuznaczność języka polskiego uwzględniona w typologii Dembowskiej do dziś sprawia bibliotekoznawcom kłopot.

Przykład tego znajdujemy, gdy porównamy dwa dokumenty zajmujące się terminologią bibliotekoznawczą. Oto w Polskiej Normie PN-92/N-01227 znajdujemy definicje typów dokumentów, m.in. według formy zapisu treści. Znalazły się tu interesujące dla niniejszych rozważań definicje dokumentów audialnych, wizualnych i audiowizualnych.

<sup>67</sup> *Słownik terminologiczny informacji naukowej*. Wrocław, Ossolineum 1979 s. 38-39.

<sup>68</sup> Typologię Dembowskiej utrwalił EWoK (s. 528), a następnie powtórzyło wielu autorów (zob. np. Bartłomiej Szyndler: *Wstęp do bibliotekarstwa*. Lublin, UMCS 1985 s. 28.).

<sup>69</sup> M. Dembowska: *Próba klasyfikacji pojęciowej dokumentów w dokumentacji i informacji naukowej*. „Aktualne Problemy Informacji i Dokumentacji” 1966 nr 2 s. 3.

<sup>70</sup> Tamże, s. 3.

<sup>71</sup> Tamże.

Dokument dźwiękowy, czyli audialny jest definiowany jako:

(...) dokument zawierający nagranie lub dyspozycję programową dźwięku, odtwarzane za pomocą urządzeń właściwych dla danej postaci dokumentu<sup>72</sup>.

Dokument oglądowy, czyli wizualny, to według normy:

(...) dokument zawierający utrwalony zapis obrazu, odtwarzany za pomocą urządzeń właściwych dla danej postaci dokumentu, np. film niemy, przezrocze<sup>73</sup>.

Dokument słuchowo-oglądowy, czyli audiowizualny to:

(...) dokument zawierający utrwalony zapis obrazów i dźwięków, odtwarzany za pomocą urządzeń właściwych dla danej postaci dokumentu, np. film dźwiękowy, kaseta wideo<sup>74</sup>.

W każdej z trzech zacytowanych definicji jest mowa o urządzeniach odtwarzających. Tymczasem dokumenty graficzne i ikonograficzne uzyskały w omawianej normie swoje własne definicje, w których nic nie wspomniano o urządzeniach do odczytu. Wynikałoby z tego, że skoro dokumenty oglądowe wymagają urządzeń odczytujących, a ikonograficzne nie wymagają, to chociaż te ostatnie poznajemy przez ich „oglądanie”, jednak oglądowymi nie są. Tymczasem w książce pt. *Zarys wiadomości o dokumentach* Regina Hancko nieco odmiennie niż Dembowska podzieliła dokumenty na cztery kategorie – oglądowe, graficzne, słuchowe i słuchowo-oglądowe – a do dokumentów oglądowych zaliczyła m.in. modele, rysunki i fotografie<sup>75</sup>. W myśl definicji PN-92/N-01227 nie powinny one się tu znaleźć, bo przecież do ich poznania niepotrzebne są czytniki. Zestawiając definicje ze wspomnianej normy i z książki Hancko dochodzimy do wniosku, że częściowo one sobie przeczą. Jeśli bowiem dokumenty oglądowe według normy wymagają urządzeń odczytujących, to fotografie nie powinny być zaliczone w książce Hancko do dokumentów oglądowych, bo widać je „gołym okiem”. Z tego tylko wynika, jak problematyczny jest dla klasyfikatorów przyjęty niegdyś podział dokumentów według zmysłów aktywnych podczas odbioru treści dokumentu.

Podział ów nie jest oczywiście jedynym spotykanym w piśmiennictwie bibliotekoznawczym. Warto więc spojrzeć na inne propozycje podstawowej typologii dokumentów. Na przykład *Słownik encyklopedyczny terminologii języków i systemów informacyjno-wyszukiwawczych* w swej definicji pojęcia „dokument” prezentuje namiastkę typologii. Wychodzi od zasadniczego podziału na dokumenty audialne, wizualne i dotykowe. Następnie wśród dokumentów wizualnych wyróżnia graficzne, a wśród nich z kolei piśmiennicze<sup>76</sup>.

Z kolei w książce E. Chmielewskiej-Gorczyca i B. Sosińskiej-Kalaty *Informacja naukowa z elementami naukoznawstwa* pojęcie „dokument piśmienniczy” pojawia się już na pierwszym stopniu podziału. Otóż autorki wyszły od zasadniczego podziału dokumentów na piśmiennicze (w których treść utrwalona jest na dowolnym nośniku w postaci tekstu słownego) i niepiśmiennicze (w których treść wyrażona jest w postaci obrazu lub dźwięku, ewentualnie połączenia obu tych rodzajów przekazu). Z tego właśnie wywodzi się dalszy podział dokumentów niepiśmienniczych na oglądowe, słuchowe i oglądowo-słuchowe<sup>77</sup>.

<sup>72</sup> *Bibliotekarstwo i bibliografia. Typologia dokumentów. PN-92/N-01227*. Warszawa, Wydawnictwa Normalizacyjne „Alfa” 1992 s. 2.

<sup>73</sup> Tamże, s. 2.

<sup>74</sup> Tamże.

<sup>75</sup> R. Hancko: *Zarys wiadomości o dokumentach*. Warszawa, CBW 1972 s. 16-17.

<sup>76</sup> *Słownik encyklopedyczny terminologii języków i systemów informacyjno-wyszukiwawczych*. Pod red. Bożenny Bojar. Warszawa, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego 1993 s. 35.

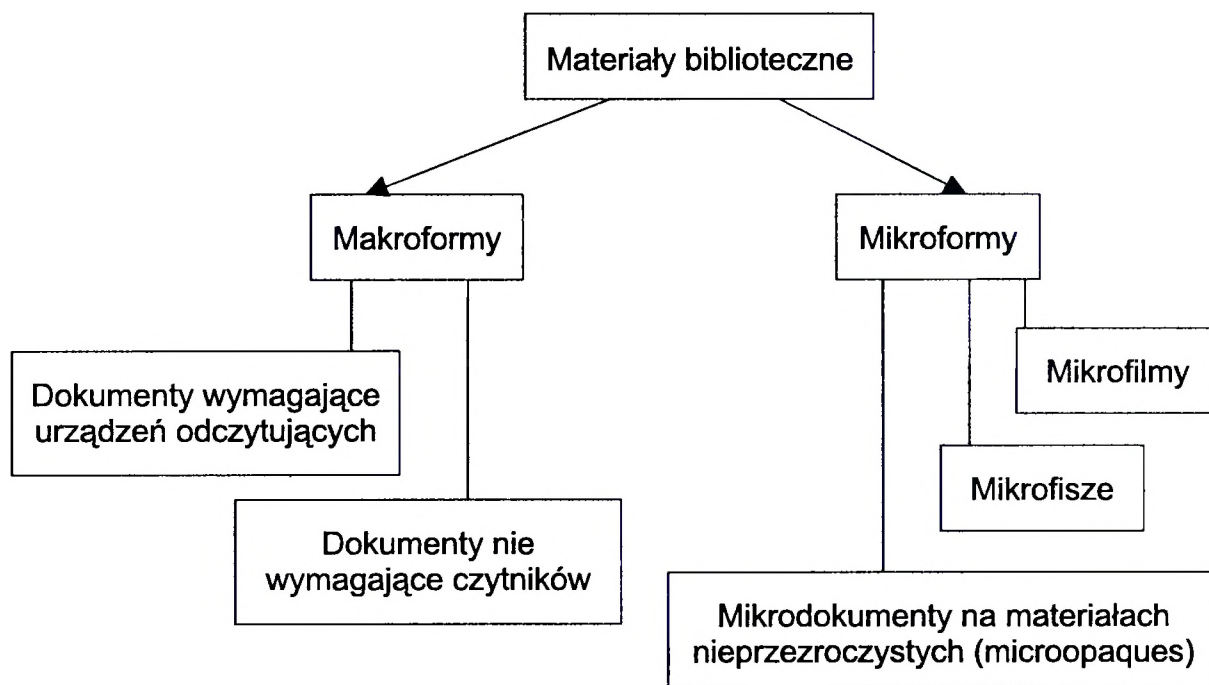
<sup>77</sup> E. Chmielewska-Gorczyca, B. Sosińska-Kalata: *Informacja naukowa z elementami naukoznawstwa*. Warszawa, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne 1991 s. 37.



Wobec powyższych podziałów, w których istotny jest sposób zapisu treści lub sposób ich odbioru przy użyciu określonych zmysłów, oryginalnym wydaje się rozwiązanie przyjęte we wspomnianym wcześniej *The Librarian's Thesaurus*, gdzie M. Soper generalnie dzieli materiały biblioteczne na makroformy i mikroformy. Podział wszelkich dokumentów w taki sposób jest czymś rzadkim i oryginalnym. Owszem, do tej pory można było czasem spotkać określenie „makroformy”, ale tylko jako przeciwieństwo mikroform pośród reprodukcji. Tak proponowały to traktować anglo-amerykańskie zasady katalogowania („AACR”) z 1967 roku, w których w części słownikowej czytamy:

*Makroformy – reprodukcje wystarczająco duże, aby mogły być czytane przez nieuzbrojone oko*<sup>78</sup>.

Soper proponuje jednak wyjście poza obszar reprodukcji i generalny podział całego spektrum dokumentów na mikroformy i makroformy. Makroformy podzielone zostały następnie na te, które nie wymagają urządzeń odczytujących (no equipment needed) oraz z drugiej strony te, które wymagają czytników. Następnie makroformy nie wymagające sprzętu podzielono na tekstowe i nietekstowe<sup>79</sup>. Omówiony podział mógłby w formie schematu blokowego wyglądać następująco:



Fakt, że odczytanie mikroform również wymaga odpowiednich urządzeń, byłby być może dla niektórych podstawą do kwestionowania tego podziału. Ale podział według Soper zasługuje na uwagę właśnie ze względu na tak wyraźne wyróżnienie w klasyfikacji dokumentów tych materiałów, których odczytanie możliwe jest wyłącznie przy użyciu urządzeń technicznych.

Być może więc bardziej klarowną sytuację w terminologii bibliotecznej uzyskamy, gdy kategorycznie stwierdzimy, że do dokumentów audiowizualnych zalicza się tylko te, które wymagają urządzeń do odczytu, a z tego jasno będzie wynikać, że globus nie jest dokumentem audiowizualnym. Już na wstępie tego rozdziału zostało stwierdzone, że zastąpienie terminu

<sup>78</sup> *Anglo-American cataloging rules*. Chicago, ALA 1967 s. 345.

<sup>79</sup> M. E. Soper: *The librarian's thesaurus...*, op. cit. s. 41-43.

„dokumenty audiowizualne” terminem „dokumenty wymagające urządzeń odczytujących” nie miałyby szans powodzenia zarówno ze względu na zbyt długą opisową nazwę, jak i ze względu na wieloletnią tradycję stosowania tego pierwszego. Prawdopodobnie ułatwiłoby to podział dokumentów nieksiążkowych na podkategorie, a następnie dokumentów wymagających urządzeń odczytujących na kolejne podkategorie, ale wprowadzenie nowego określenia do języka bibliotekarzy byłoby trudne. Pozostając więc przy terminie „dokumenty audiowizualne”, należy zadbać o precyzyjne określenie, które przedmioty będą wchodziły w jego zakres.

Takiego właśnie zadania podjęła się jeszcze w latach siedemdziesiątych Radosława Dziubecka. Podobnie jak ja poddała analizie definicję terminu „dokumenty audiowizualne” spotykane w piśmiennictwie polskim i obcym, głównie w słownikach i encyklopediach. Krytyczne uwagi Dziubeckiej pozostają niestety aktualne, innymi słowy polska i obca terminologia w zakresie dokumentów nieksiążkowych pozostaje mimo upływu dekad niejednolita i nieuporządkowana. Trudno w tym miejscu powtarzać wszystkie mniej lub bardziej dyskusyjne, jednakowoż cenne argumenty, pozostaje więc wymienić te punkty, w których zdecydowanie należy poprzeć autorkę oraz te, w których należałoby się z nią raczej nie zgodzić. Można więc po pierwsze zdecydowanie stanąć po stronie Dziubeckiej, gdy twierdzi, iż potrzebne jest stosowanie w piśmiennictwie i terminologii określenia „dokumenty nieksiążkowe” jednocześnie z terminem „dokumenty audiowizualne” z wyraźnym zaznaczeniem podrzędności tego drugiego.

*W ten sposób termin „dokumenty audiowizualne” miałby zakres węższy i mieściłby się w terminie szerszym „dokumenty nieksiążkowe”<sup>80</sup>.*

Natomiast trudno zgodzić się z autorką, gdy ta dopuszcza odstępstwa od przyjętej przez siebie zasady, iż warunkiem zaliczenia typu dokumentów do kategorii audiowizualnych jest konieczność stosowania aparatury odtwarzającej. W wyniku tego odstępstwa do dokumentów audiowizualnych zaliczyła fotografie, natomiast wyłączyła mikroformy. Argumentacja Dziubeckiej za wyłączeniem mikroform z grupy dokumentów audiowizualnych jest następująca:

*Dokumenty audiowizualne sensu stricto stosowane są jako ważna pomoc w dydaktyce, popularyzacji wiedzy, upowszechnianiu kultury i oświaty oraz jako narzędzie badawcze(...) i naukowe (...). Gromadzone są one w bibliotekach, ośrodkach informacji i innych instytucjach jako materiał pierwotny wykorzystywany przez użytkowników lub stosowany przez pracowników w działalności informacyjnej i popularyzacyjnej. Natomiast mikroformy gromadzone są na ogół jako dokumenty wtórne stanowiące ogromną pomoc przy organizacji zbioru (...). Mikrofilm nie wnosi nic nowego do problemu wykorzystania dokumentów jako nowych źródeł informacji w działalności dydaktycznej, naukowej, informacyjnej czy popularyzacyjnej. Gdybyśmy chcieli zaliczyć go do grupy dokumentów audiowizualnych, należałoby wówczas zaliczyć do nich również książki i czasopisma, które przecież też są w jakimś sensie dokumentami wizualnymi<sup>81</sup>.*

Jakby odpowiedzią na propozycję Dziubeckiej w sprawie mikroform jest podział dokumentów audiowizualnych autorstwa B. Sordylowej. Na temat dokumentów audiowizualnych twierdziła ona podobnie jak Dziubecka, że:

*Pojęciem tym obejmuje się kategorię dokumentów wyraźnie zróżnicowanych, które łączy okoliczność formalna, a mianowicie konieczność zastosowania urządzeń odtwarzających ich zawartość<sup>82</sup>.*

<sup>80</sup> R. Dziubecka: *Definicja terminu „dokumenty audiowizualne”. Uwagi dyskusyjne*. „Przegląd Biblioteczny” 1977 z. 1 s. 38.

<sup>81</sup> Tamże, s. 37.

<sup>82</sup> B. Sordylowa: *Informacja naukowa w Polsce...*, op. cit. s. 68.

Sordylowa również dostrzegła szczególną rolę i odmienność mikroform, mimo tego znalazły się one w jej podziale jako szczególna czwarta kategoria obok dokumentów wizualnych, audialnych i audiowizualnych<sup>83</sup>.

A oto odwrotna argumentacja Dziubeckiej na rzecz fotografii:

*Proponowałabym także zaliczenie do tej grupy [dokumentów audiowizualnych -przyp. aut.] zdjęcia fotograficznego, które nie spełnia co prawda dwóch wymienionych wcześniej warunków (nie wymaga specjalnych urządzeń do odtwarzania i nie może być wykorzystywane przez większą liczbę osób jednocześnie), jednakże jego funkcje (dydaktyczne, popularyzatorskie i naukowo-badawcze) są tak zbliżone z funkcjami i sposobem wykorzystania takich dokumentów jak przezrocze czy film, że przy jednoczesnej zbliżonej formie zewnętrznej pozwala to, wydaje mi się, na uczynienie wyjątku i dołączenie tego dokumentu do omówionej grupy<sup>84</sup>.*

Argumentacja Dziubeckiej za takimi rozwiązaniami jest wartościowa i miejscami przekonująca. Rzeczywiście funkcje pełnione przez mikroformy są diametralnie różne od tych, które spełniają kasyety audio, kasyety wideo, czy multimedialne CD-ROM-y. Kryterium funkcjonalności nie może być jednak czynnikiem decydującym. Stojąc w sposób pryncypialny (co starałem się do tej pory dobitnie okazać) na stanowisku, że warunkiem sine qua non uznania dokumentu za audiowizualny jest konieczność stosowania sprzętu odtwarzającego, należałoby wyjątki proponowane przez Dziubecką odrzucić.

Mimo wcześniejszych wspomnianych tu prac Dembowskiej, Dziubeckiej i Sordylowej, w których zwyciężał pogląd o niezbędności urządzeń odczytujących w przypadku dokumentów audiowizualnych, nadal w naszym piśmiennictwie spotyka się omówiony wcześniej anglo-amerykański sposób ujęcia tych dokumentów. Oto np. w pracy Danuty Saniewskiej *Nowe vademecum nauczyciela bibliotekarza* (rok wyd. 2000) – skądinąd dla nauczyciela bibliotekarza bardzo cennej publikacji z praktycznego punktu widzenia – znajdujemy zdanie:

*Do zbiorów audiowizualnych zalicza się nieksiążkowe przekazy obrazów, słów, dźwięków: zbiory ilustracyjne, fotografie, przezrocza, różnego rodzaju kopie (mikrofilmy, foto- i kserokopie), filmy nieme i dźwiękowe, nagrania na płytach gramofonowych i kompaktowych, taśmach magnetofonowych kasetach magnetofonowych i magnetowidowych<sup>85</sup>.*

Pod wpływem lektury cytowanych wcześniej autorek to zdanie powinno ulec modyfikacji i raczej brzmieć następująco:

*Do zbiorów nieksiążkowych, oprócz dokumentów audiowizualnych, takich jak przezrocza, mikroformy, filmy nieme i dźwiękowe, nagrania na płytach gramofonowych i kompaktowych, taśmach magnetofonowych, kasetach magnetofonowych i magnetowidowych, zalicza się także dokumenty nie wymagające urządzeń odczytujących, jak zbiory ilustracyjne, fotografie i kserokopie.*

## DOKUMENTY NIEKSIĄŻKOWE A DOKUMENTY WTÓRNE

W związku z tym, że posiadane przez bibliotekę dokumenty nieksiążkowe są często po prostu inną postacią (czasem kopią) dokumentów drukowanych, godzi się przypomnieć związane z tym problemem pojęcia: dokument pierwotny, do-

<sup>83</sup> Tamże, s. 69.

<sup>84</sup> R. Dziubecka: *Definicja terminu „dokumenty audiowizualne”...*, op. cit. s. 38.

<sup>85</sup> D. Saniewska: *Nowe vademecum nauczyciela bibliotekarza*. Warszawa, Agencja „Sukurs” 2000, s. 55.

kument pochodny i dokument wtórny, szczególnie że rozróżnienie dwóch ostatnich niektórym sprawia kłopot. Podobne brzmienie niektórych terminów sprawia kłopoty definicyjne. Problem jest głównie z terminem „dokument wtórny”. Objasnienia podanych terminów najlepiej przyjąć za M. Dembowską, której definicje dokumentu w ogóle<sup>86</sup>, a dokumentów pierwotnych, pochodnych i wtórnych w szczególności, były potem wielokrotnie powielane w różnych opracowaniach, wydawnictwach słownikowych i normalizacyjnych. W artykule zamieszczonym w „APID” z 1966 Dembowska wyjaśniała, że dokument pierwotny zwany też prymarnym zawiera oryginalne treści w formie nadanej lub przewidzianej przez autora. Stąd bierze się wg Dembowskiej wspólna dla nich nazwa „źródła informacji”. Z kolei dokumenty pochodne to materiały opracowane na podstawie dokumentów pierwotnych. Zawierają syntezę treści w nich zawartych, wobec tego najczęściej przyjmują formę bibliografii, abstraktów i streszczeń. Dla nich Dembowska proponuje określenie „narzędzia informacji”. Wreszcie dokumenty wtórne to wszelkiego rodzaju reprodukcje bądź dokumentów pierwotnych, bądź pochodnych. Należy więc zaznaczyć, że o ile w dokumencie pochodnym zawiera się treść będąca syntezą (skrót, ekstrakt) treści zawartych w dokumencie źródłowym, o tyle w dokumencie wtórnym treść jest taka sama, jak w dokumencie źródłowym, natomiast może istotnie zmienić się forma dokumentu<sup>87</sup>. Może, ale też nie musi. Już *Słownik terminologiczny informacji naukowej* twierdził, że dokument wtórny jest identyczny z dokumentem pierwotnym pod względem treści, natomiast różni się z nim pod względem formy, choć różnice te bywają niewielkie<sup>88</sup>. Przykładem może być wykonanie kopii oryginalnie wydanej kasety wideo przy użyciu innej kasety tego samego formatu. Z całą pewnością w wyniku tego zabiegu powstaje dokument wtórny, choć zastosowanie tego samego rodzaju nośnika sprawiło, że oba dokumenty (źródłowy – prymarny i wynikowy – wtórny) są prawie identyczne. Fakt, że dokument wtórny nie musi bardzo odbiegać wyglądem od dokumentu pierwotnego potwierdza w jakiś sposób norma terminologiczna „Bibliotekarstwo i bibliografia. Typologia dokumentów. Terminologia”. O dokumencie wtórnym czytamy tam, że jest to...

(...) dokument będący reprodukcją dokumentu oryginalnego, także utrwalony na innym nośniku materialnym<sup>89</sup>.

„Także” to znaczy niekoniecznie. Dokument wtórny może więc być zapisany na tym samym rodzaju nośnika, a to znaczy, że będzie identyczny pod względem treści i prawie identyczny pod względem formy.

*Słownik terminologiczny informacji naukowej* podaje następujące tłumaczenia angielskie trzech omawianych pojęć, z których także wynikają problemy interpretacyjne:

1. Dokument pierwotny – primary document, source document.
2. Dokument pochodny – secondary document.
3. Dokument wtórny – document copy, reproduced document, multiple document, duplicate<sup>90</sup>.

<sup>86</sup> Definicja dokumentu autorstwa Dembowskiej jako „utrwalonego wyrazu myśli ludzkiej” („APID” 1966 nr 2 s. 2) jest do dziś bardzo często podawaną definicją.

<sup>87</sup> M. Dembowska: *Próba klasyfikacji...*, op.cit. s. 4.

<sup>88</sup> *Słownik terminologiczny informacji naukowej...*, op. cit. s. 39.

<sup>89</sup> *Bibliotekarstwo i bibliografia. Typologia dokumentów. PN-92/N-01227...*, op. cit. s. 1.

<sup>90</sup> Tamże, s. 39.

Nie wydaje się żeby ostatnie tłumaczenie pojęcia „dokument wtórny” było najwłaściwsze. „Duplicate” budzi wątpliwości przede wszystkim przez swoją niejednoznaczność. Problem wynika co najmniej z dwojakiego rozumienia słowa „duplikat”. *Słownik wyrazów obcych* podaje, iż słowo duplikat stosuje się w znaczeniu drugiego egzemplarza dokumentu, ale także w znaczeniu odpisu lub kopii<sup>91</sup>. To potoczne i szersze rozumienie pojęcia „dokument wtórny” odstaje od precyzyjnej, istotnej w praktyce bibliotekarskiej definicji zamieszczonej w *Podręcznym słowniku bibliotekarza*. Czytamy w nim, że dublet, duplikat, egzemplarz wtórny, wtórnik, wtórot to:

(...) drugi lub dalszy egzemplarz druku identyczny pod względem wydania, nakładu i materiału, zwykle nie włączony do księgozbioru zasadniczego<sup>92</sup>.

Z tej definicji wynikałoby, że sporządzona dowolną techniką kopia danego dokumentu nie jest jego duplikatem. Wynika z tego także konieczność podkreślenia różnicy pomiędzy wtórnikiem (egzemplarzem wtórnym) a dokumentem wtórnym. Jak widać, nie są to pojęcia synonimiczne. Jeśli biblioteka posiada drugi i kolejne egzemplarze na przykład tego samego tytułu czasopisma, to można mówić, że ma egzemplarze wtórne, jeśli jednak sporządzi mikrofilm tego czasopisma, to można mówić o powstaniu dokumentu wtórnego. Określenia są podobne, ale jednak w innych sytuacjach będą stosowane.

Na widoczny czasem problem z odróżnianiem dokumentów pochodnych i wtórnych zwraca uwagę B. Sordylowa w książce *Informacja naukowa w Polsce*. Autorka uznała, że wobec tego powinno funkcjonować odrębne określenie dla dokumentów będących kopiami, a mianowicie „dokumenty zastępcze”. Faktycznie byłaby wtedy wyraźniejsza różnica między dokumentem będącym dubletem a dokumentem będącym kopią. Według Sordylowej dokumenty zastępcze pełnią jedynie usługową funkcję w informacji naukowej, mają ułatwiać dystrybucję oryginalnych dokumentów, ale same nie stanowią źródła informacji. Do dokumentów zastępczych zaliczyła odbitki kserograficzne i mikroformy. Jest w tym twierdzeniu wiele racji. Faktycznie mikroformy pełnią rolę zastępników swoich papierowych oryginałów, jednak do końca nie jest to prawdą. Przecież część mikroform (tzw. COM) powstających w trybie edycji komputerowej nigdy nie miała swego źródła na papierze. Są wobec tego dokumentami prymarnymi bądź pochodnymi, niczego nie zastępują, należy więc je traktować jako pełnoprawne źródła informacji.

## MEDIA I MULTIMEDIA

Niezbędna w niniejszych rozważaniach terminologicznych będzie również krótka analiza pojęcia „media” i wynikającego z niego bardzo popularnego w ostatniej dekadzie hasła „multimedia”. Z dwóch powodów rodzi się ta potrzeba. Po pierwsze dlatego, że jeden z zasadniczych terminów – „dokumenty nieksiążkowe” – bywał w wersji angielskiej używany zarówno jako „non-book materials”, ale również jako „non-book media”, ewentualnie „nonprint media”. Po drugie dlatego, że obecne częste i chętne stosowanie terminu „multimedia” może oznaczać (i w praktyce oznacza) zbytne rozszerzanie zakresu pojęciowe-

<sup>91</sup> *Słownik wyrazów obcych*. Warszawa, PWN 1978 s. 162.

<sup>92</sup> H. Pliszczyńska, H. Więckowska: *Podręczny słownik bibliotekarza*. Warszawa, PWN 1955 s. 56.

go tego terminu. Innymi słowy niektórzy niepotrzebnie obejmują tym pojęciem tradycyjne audiowizualne dokumenty nieksiążkowe z ery przedkomputerowej. **Trzeba więc jasno stwierdzić, że według dzisiejszego znaczenia pojęcia „multimedia” film dydaktyczny na kasecie wideo nie jest produktem multimedialnym.**

Zacznijmy od terminu „media”. Mówiąc o źródłach wszelkiej informacji używa się często określeń: dokument, środek, materiał, nośnik, przekaźnik i in. Pojęcie media, jak wynika z praktyki językowej, jest terminem najszerszym i łączy w sobie wymienione określenia. Stosuje się je bowiem zarówno w znaczeniu urządzenia do odczytu i zapisu informacji, w znaczeniu kanału informacyjnego<sup>93</sup> oraz w znaczeniu materiału, który posłużył do utrwalenia informacji. Ten ostatni sposób użycia terminu media jest w języku polskim stosunkowo najmniej popularny. Zwykliśmy raczej mówić o nośnikach lub dokumentach. Nie przyjęło się stosowanie w tym znaczeniu określenia „media”, tak jak to ma miejsce w języku angielskim (np. audiovisual media). Tymczasem dla potrzeb tej książki, w której jest przede wszystkim mowa o audiowizualnych dokumentach gromadzonych w bibliotekach (choć również audiowizualnych przekazach dostępnych poprzez sieć komputerową), najbliższym byłoby właśnie rozumienie pojęcia „media” w znaczeniu fizycznych nośników z zapisaną informacją. Termin „nośnik” byłby więc tutaj zasadniczym słowem kluczowym<sup>94</sup>.

Maciej Mrozowski w książce *Między manipulacją a poznaniem* zmierzył się z zasygnalizowanym problemem wielorakiego znaczenia pojęcia „media” i spróbował dokonać podziału mediów na:

- środki wyrażania,
- środki rejestracji,
- środki transmisji.

Do środków wyrażania Mrozowski zaliczył różne zachowania werbalne i niewerbalne człowieka (mowa, gesty, ruchy ciała, mimika), czyli te sposoby ekspresji, które pełnią funkcję komunikacyjną w momencie bezpośredniego kontaktu nadawcy i odbiorcy. Do środków rejestracji zaliczył proste narzędzia i urządzenia techniczne, które utrwalają zachowania ludzkie. Uwzględnił tu np. ołówek i kartkę papieru oraz urządzenia bardziej skomplikowane, jak kamera filmowa czy magnetofon. Do środków transmisji zaliczył urządzenia i zespoły urządzeń, które pozwalają na zwielokrotnienie przekazu i zwiększenie obszaru jego dystrybucji. Konsekwentnie więc umieścił w tej grupie np. maszyny drukarskie i telefon oraz nadajniki i odbiorniki przekazów radiowych i telewizyjnych. Mrozowski sam przyznał, że jego podział nie jest idealny, bo nie spełnia warunku rozłączności (faktycznie przykładem na to może być magnetowid, który jest jednocześnie środkiem rejestracji i środkiem transmisji). Przyznał też samokrytycznie, iż jego podział mediów...

<sup>93</sup> Niekiedy pojęcie „nośnik” traktuje się szerzej, nie ograniczając go do materiału, w którym informacja jest utrwalona. Na przykład *Słownik encyklopedyczny terminologii języków i systemów informacyjno-wyszukiwawczych* podaje, że za nośnik można uznać także środowisko, w którym zachodzi przekazywanie informacji. Mówi się więc o kanałach informacyjnych, w których nośnikiem informacji jest fala akustyczna, fala świetlna, pole elektromagnetyczne i fala radiowa (s. 99).

<sup>94</sup> Należy zrobić zastrzeżenie, iż terminu „nośnik” używa się także w odniesieniu do materiałów o charakterze złożonym. Przykładem może być kasecie wideo formatu VHS. Zasadniczym nośnikiem jest w niej taśma magnetyczna o szerokości 8 mm, umieszczona w obudowie z tworzywa sztucznego i metalu. Jednak zgodnie z zaleceniami ISBD za nośnik („physical carrier”) uważa się cały przedmiot, czyli że obudowa jest integralną częścią nośnika.

(...) nie uwzględnia dostatecznie wyraźnie fundamentalnego rozróżnienia na środki komunikowania jako materialne nośniki informacji oraz środki komunikowania jako konwencjonalne sposoby użycia tychże nośników<sup>95</sup>.

Typologia Mrozowskiego jest jednak ważna ze względu na szerokie potraktowanie pojęcia „media”. Często bowiem ogranicza się je do odpowiednika wyłącznie środków masowego przekazu. Takie podejście zaprezentował na przykład Wiesław Sonczyk w książce *Media w Polsce*. Przyznał co prawda, że funkcjonuje szersze i węższe znaczenie pojęcia media, i że ich oddziaływanie w komunikacji masowej dzielić można na:

- komunikację periodyczną, w której biorą udział środki masowego przekazu
- komunikację sporadyczną, która realizuje się poprzez kontakt m.in. z książkami, plakatami, płytami i filmami,

ale znaczenie pojęcia media dla potrzeb omawianej publikacji ograniczył do prasy codziennej, czasopism, radia i telewizji<sup>96</sup>.

Zatem w myśl najszerszego rozumienia pojęcia media zaliczymy do nich zarówno telewizję nadającą wszelkie programy, magnetowid, który te programy rejestruje, jak i kasetę, na której zostały one zapisane.

Równie szeroki zakres znaczeniowy ma bardziej istotny dla niniejszych rozważań termin „multimedia”. Jednak wydaje się, że rozszerzanie tego zakresu jest niesłuszne. Definicja multimediiów jest niełatwa i niejednoznaczna. W *International encyclopedia of information and library science* znajdujemy następującą definicję:

*Multimedia – systemy komputerowe stworzone w celu gromadzenia, przechowywania, wyszukiwania, projekcji i odtwarzania różnych typów informacji: tekstów, obrazów, dźwięków, animacji i/lub wideo.*

Zaraz potem w tym haśle pojawia się stwierdzenie, które może budzić wątpliwości:

*co najmniej dwa z wymienionych komponentów treści muszą być reprezentowane, aby zakwalifikować dany produkt jako multimedialny<sup>97</sup>.*

Powyższe zastrzeżenie jest kwestią dyskusyjną, co zresztą zauważają sami autorzy definicji. Zwykle połączenie tekstu i obrazu w jednym dokumencie nie jest przecież jeszcze przekazem multimedialnym. Dokument tekstowy opatrzony rysunkami i innymi elementami graficznymi nie należy do kategorii multimediiów, nawet jeśli jest odczytywany przy użyciu komputera. Chociaż w zgodzie z zacytowaną definicją powinien być zaliczony do multimediiów, bo występują w nim jednocześnie dwa typy informacji: tekst i obraz. Faktem jest, że oba podane sposoby prezentacji treści angażują jeden zmysł: zmysł wzroku. **Można byłoby więc próbować uściślać definicję poprzez twierdzenie, że przekaz multimedialny angażuje więcej niż jeden zmysł.** Jednak nie wszystkie wątpliwości zostaną w ten sposób rozwiane. De facto bowiem podczas zwykłego czytania porannej gazety angażuje się i ma wpływ na odbiór tekstu nie tylko zmysł wzroku, ale też dotyku, a nawet zmysł węchu, jeśli z gazety unosi się jeszcze zapach farby drukarskiej. Trzeba też wyraźnie stwierdzić, że korzystanie z multimediiów bynajmniej nie musi oznaczać aktywizowania zmysłu słuchu. Można łatwo sobie

<sup>95</sup> M. Mrozowski: *Między manipulacją a poznaniem. Człowiek w świecie mass mediów*. Warszawa, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury 1991 s. 12-14.

<sup>96</sup> W. Sonczyk: *Media w Polsce. Zarys problematyki*. Warszawa, WSiP 1999 s. 23.

<sup>97</sup> *International encyclopedia of information and library science*. Ed. by J. Feather, P. Sturges. London, Routledge 1997 s. 302.

wyobrazić dokument odczytywany komputerowo, w którym pojawiać się będą animacje, fotografie, rysunki i sekwencje wideo, ale który będzie pozbawiony dźwięku, a jego funkcje będą pełnić pojawiające się na ekranie sekwencje tekstowe. W pewnych sytuacjach uznamy taki dokument za multimedialny, ale musi być spełniony jeden istotny warunek, którym dodatkowo definiuje się multimedia. **Przekaz musi być interaktywny.**

Pojęcie interaktywności bardzo różnie się definiuje. Słowo to nie jest jeszcze mocno zakorzenione w języku polskim. Stało się popularne w latach dziewięćdziesiątych wraz z rozwojem rynku multimedialnych. Na przykład żaden z dostępnych w różnych wydaniach słowników wyrazów obcych Kopalińskiego nie podaje tego terminu, a *Słownik wyrazów obcych* PWN podaje hasło „interakcja” dopiero w wydaniu z 1995 roku. Czytamy tam co następuje:

*Interakcja – 1. wzajemne oddziaływanie na siebie osób, przedmiotów, zjawisk 2. zetknięcie się ze sobą dwóch lub więcej akcji, działań, dążeń*<sup>98</sup>.

Z nowych wydawnictw encyklopedycznych o ogólnym zakresie na informatyczne konotacje terminu „interakcja” (dziś przecież tak oczywiste) wskazuje *Nowy leksykon PWN*, gdzie czytamy:

*Interakcyjny tryb (tryb konwersacyjny), inform. sposób działania programów komputerowych umożliwiający użytkownikowi wpływ na przebieg procesów obliczeniowych w ich trakcie; przeciwieństwo trybu wsadowego*<sup>99</sup>.

Interaktywność oznacza, że odbiorca dokumentu ma dużo większe możliwości wpływania na sposób, w jaki treść dokumentu do niego dociera. Użytkownik dostosowuje przekaz do swoich możliwości i chęci percepcyjnych. Przestaje być biernym odbiorcą komunikatu, staje się odbiorcą aktywnym, a jego aktywność polega na wpływaniu na tempo przekazu, sposób przekazu i treść przekazu. Nie można twierdzić, że interaktywność jest zupełnie nową jakością nieznaną w kontaktach z mediami epoki przedkomputerowej. Pojęcie interaktywności bynajmniej nie dotyczy wyłącznie komunikacji człowieka z komputerem. Przecież rozmowa dwóch osób polega na interakcji. Radio i telewizja też są w jakimś uproszczonym sensie interaktywne, bo odbiorca może – regulując odbiornik – wpływać na sposób przekazu i wybierać jeden spośród wielu programów nadawanych w tym samym czasie. Jest to jednak tylko namiastka interaktywności. **W epoce multimedialnych pojęcie to oznacza nową wartość i istotny czynnik wpływający na skuteczność procesu komunikacji. Współczesne programy multimedialne mające „dużą ilość rozgałęzień” i pozwalające na „szybki dostęp do dowolnych sekwencji”<sup>100</sup> dają to poczucie w dużo większym stopniu. Dzięki temu poprawia się skuteczność przekazywania informacji, bo każdy aktywny stosunek do zjawiska, powoduje lepszą na nim koncentrację i większą otwartość odbiorcy na docierające doń sygnały.**

Omawiana definicja multimedialnych zawarta w *International encyclopedia of information and library science* potwierdza też, że zwrot „multimedia” bywa nadużywany. Stwierdzono bowiem, że to określenie jest stosowane chętnie w edukacji na określenie nowoczesnych metod prowadzenia zajęć poprzez wzbogacanie tradycyjnych metod o slajdy, nagrania audio i filmy wideo. W tym miejscu przypomina się, jak to pewna firma na targach edukacyjnych w Warszawie reklamowała swoje multimedialne pomoce dydaktyczne, a faktycznie w ofercie miała edukacyjne kasetki wideo. Jednym słowem zbyt łatwo tradycyjnym techni-

<sup>98</sup> *Słownik wyrazów obcych. Wydanie nowe.* Warszawa, PWN 1995 s. 481.

<sup>99</sup> *Nowy leksykon PWN.* Warszawa, PWN 1998 s. 684.

<sup>100</sup> B. Steinbrink: *Multimedia. U progu technologii XXI wieku.* Wrocław, Robomatic 1993 s. 38.



kom audiowizualnym nadaje się modny (bo merkantylny) przydomek „multimedialny”. W celu ograniczenia szumu informacyjnego należałoby przyjąć, że film dydaktyczny i inne nieinteraktywne produkty audiowizualne nie są produktami multimedialnymi, mimo że właśnie takie było początkowe rozumienie tego określenia.

Potwierdzeniem faktu, że termin multimedia nie był i nie jest kojarzony wyłącznie z dokumentami odczytywanymi komputerowo, jest wspomniana wcześniej definicja z „Harrod's librarians glossary”. Jedno z trzech podanych znaczeń brzmi tak:

*Kolekcja lub zapis kolekcji materiałów na różnych nośnikach, wliczając w to materiały nieksiążkowe, materiały audiowizualne i materiały niedrukowane wraz (lub bez) z książkami i innymi materiałami*<sup>101</sup>.

Można wręcz stwierdzić, że skojarzenie multimediiów z komputerami jest czymś nowym i świadczy po prostu o pojawieniu się w ostatnich latach nowego rozumienia tego pojęcia. W USA termin ten stosowany jest od wielu lat, a jego zakres stosowania ewoluował stopniowo w kierunku silnego związku z techniką komputerową. Niegdyś bowiem określeniem tym opisywano także zbiór nagrań audio i wideo przydatnych w nauczaniu, a nawet całe pakiety dokumentów piśmienniczych i nieksiążkowych stosowanych jako komplet materiałów pomocnych w realizacji określonych tematów z programu nauczania. O dawnym (a więc jednak dziś jakoś usprawiedliwionym) stosowaniu terminu „multimedia” świadczą opisy dokumentów zawartych w bazie Library of Congress, w których tytule znajdujemy słowo „multimedia”. Oto kilka przykładów:

1. *Książka „Multimedia programs in microbiology” (Washington 1977) jest zwykłym katalogiem filmów naukowych z zakresu mikrobiologii*
2. *Książka Jamesa Cabeceirasa „The multimedia library” (New York 1978) dotyczy gromadzenia i udostępniania różnych typów dokumentów nieksiążkowych w bibliotece*<sup>102</sup>.
3. *Książka Ellin Green „A multimedia approach to children's literature” (Chicago 1972) jest drukowanym katalogiem adaptacji dzieł literatury dziecięcej w postaci filmów, wideo, nagrań audio i przezroczy*
4. *Książka „Multimedia materials for the K-3 social studies program” (Albany 1966) omawia pomoce audiowizualne stosowane w kształceniu w zakresie nauk społecznych.*

Oprócz wydawnictw drukowanych baza Biblioteki Kongresu wykazuje także film dydaktyczny pt. „Multimedia Center” z 1969 r. wyjaśniający, jaką rolę pełnią dokumenty nieksiążkowe w nowoczesnej bibliotece. W każdym razie ani on, ani wyżej podane tytuły nie dotyczą dokumentów zapisanych przy użyciu techniki komputerowej. Zatem współcześni czytelnicy wymienionych tytułów mogliby czuć się rozczarowani, nie znajdując w nich zagadnień, które dziś w sposób oczywisty kojarzą się z pojęciem „multimedia”.

Zrozumienia terminu „multimedia” nie ułatwiają niestety także międzynarodowe zalecenia opisu bibliograficznego dla dokumentów nieksiążkowych –

---

<sup>101</sup> *Harrod's librarians' glossary...*, op. cit. s. 411.

<sup>102</sup> Nawet w cztery lata późniejszym drugim wydaniu tej książki autor stosunkowo mało miejsca poświęca gromadzeniu przez biblioteki programów komputerowych, zdecydowanie więcej miejsca poświęcając gromadzeniu filmów, nagrań audio, mikroform i przezroczy.

ISBD(NBM) w zrewidowanej wersji z 1987 roku. Wątpliwości może budzić m.in. zamienne stosowanie określenia „multi-media” z określeniem „kit” (zestaw edukacyjny). Więcej na ten temat znaleźć można w dalszej części rozdziału.

## DOKUMENTY NIEKSIĄŻKOWE WEDŁUG NORM I ZALECEŃ OPISU BIBLIOGRAFICZNEGO

Ważnymi źródłami definicji dokumentów nieksiążkowych są polskie i obce normy i zalecenia opisu bibliograficznego. Wszelkie normy, zalecenia i przepisy są dobrym źródłem definicji, co wynika z ich charakteru. Muszą przecież we wstępie określić przedmiot i zakres swego oddziaływania. Zawartość norm i zaleceń powoli stawała się dowodem na rosnące znaczenie dokumentów nieksiążkowych dla bibliografii i całego bibliotekarstwa. Kolejne rodzaje dokumentów nieksiążkowych stopniowo były i są uwzględniane w dokumentach normalizacyjnych dla opisu bibliograficznego<sup>103</sup>. Najważniejszym międzynarodowym zaleceniem w tym zakresie jest seria publikacji IFLA pod ogólnym tytułem *International Standard Bibliographic Description* (ISBD). Zalecenia ISBD są chronologicznie późniejsze niż anglo-amerykańskie zasady katalogowania „AACR”, a nawet w pewnym sensie wywodzą się z nich<sup>104</sup>. Przyjmijmy jednak nie chronologiczną kolejność i omawianie definicji dokumentów nieksiążkowych zaczniemy od ISBD. Dokumenty nieksiążkowe uzyskały w tym cyklu swoje własne opracowania<sup>105</sup>. Ani w pierwszym zaleceniu ISBD (NBM), ani w zrewidowanym z 1987 r. nie znajdujemy jednak jasnej definicji pojęcia „materiały nieksiążkowe”, co jest usprawiedliwione, bo jak wcześniej zostało stwierdzone, trudno wymagać jednej definicji dla całej grupy tak różnych formalnie nośników informacji. Trudno więc za definicję uznać zdanie, iż w zakres pojęcia wchodzi „cały szereg materiałów, mających za swój podstawowy cel przekazywanie idei, informacji i treści estetycznych”<sup>106</sup>. Nie jest to żaden wyróżnik, bo przecież dokumenty książkowe mają te same funkcje. Natomiast w części słownikowej zaleceń znajdujemy dość dokładne definicje poszczególnych typów dokumentów nieksiążkowych. Upływ czasu spowodował, że jednak część z nich uległa dezaktualizacji. Część nośników objętych zaleceniami ISBD po prostu wyszła z użytku, w przypadku innych zmieniła się terminologia. Najlepszym przykładem tego drugiego przypadku jest omawiany wcześniej termin „multimedia”. W pierwszym wydaniu ISBD(NBM) posługiwano się niezależnie dwoma określeniami: „kit” i „multi-media”. „Multi-media” definiowano jako materiał zawierający trzy lub więcej różnych nośników (mediów), z których żaden nie jest traktowany jako ten o zasadniczym znaczeniu. Uważano więc, że elementy kompletu określanego jako materiał multimedialny są w dużo mniejszej zależności od siebie i mogą funkcjonować oddzielnie. Natomiast termin „kit” definiowano jako komplet dwóch lub więcej mediów

<sup>103</sup> Krótką historię docierania dokumentów nieksiążkowych do świadomości bibliografów przedstawił H. Sawoniak w tekście *Dokumenty audiowizualne w bibliografii*. W: *Z problemów bibliografii*. Warszawa, BN 1970 s. 388-391.

<sup>104</sup> Autorzy ISBD przyznają, że w roku 1975 komitet kierujący rewizją AACR zwrócił się do IFLA z propozycją opracowania międzynarodowych zaleceń opisu bibliograficznego.

<sup>105</sup> Pierwsze wydanie w 1977 r., drugie zrewidowane w 1987 r.

<sup>106</sup> ISBD(NBM): *International Standard Bibliographic Description for Non-Book Materials*. London, IFLA 1977 s. 1.

traktowanych jako zestaw zależnych od siebie elementów<sup>107</sup>. Te niewielkie różnice definicyjne doprowadziły do tego, że w zrewidowanej wersji ISBD (NBM) pojęcia „kit” i „multi-media” traktowane były synonimicznie. Wszystkie te modyfikacje i uproszczenia na nic się zdały, bo dzisiejsze rozumienie terminu „multimedia” odbiega od ówczesnego.

Pokazuje to przykład dokumentu, który według zaleceń ISBD w opisie bibliograficznym w strefie tytułu uzyskałby ogólne określenie rodzaju materiału – [Multi-media].

*Litter [Multi-media] : an environmental project / produced by the Keep Britain Tidy Group Schools Research Project, Brighton Polytechnic. – Brighton : the Group, 1975 (Brighton : Kensington Press). – 1 filmstrip (37 double fr.) : col. ; 35mm + 58 work cards + 3 wallcharts ; 48X73 cm and smaller + 40 pairs of disposable polythene gloves + self-adhesive labels*

*Boxed learning kit for 10-11 year olds, designed to increase children's awareness of environmental problems.*

Powyższy opis dotyczy jak widać zestawu edukacyjnego przeznaczonego dla dzieci młodszych na zajęcia z ochrony środowiska. Zestaw zawiera zwój z przezroczami, karty, plansze, rękawiczki i naklejki. Nie ma w nim nic, co by się kojarzyło ze współczesnym rozumieniem pojęcia „multimedia”.

Cechą charakterystyczną ISBD jest podawanie w strefie tytułu i oznaczenia odpowiedzialności (za tytułem właściwym i w nawiasie kwadratowym) ogólnego określenia rodzaju dokumentu (general material designations)<sup>108</sup>. Przewidziano w tym miejscu 10 kategorii, których wyliczenie można uznać za namiastkę definicji dokumentów nieksiążkowych. Oto ta dziesiątka w wersji oryginalnej i z tłumaczeniem: (1) graphic (grafika), (2) hologram (hologram), (3) kit (zestaw edukacyjny lub gra), (4) microform (mikroforma), (5) motion picture (film), (6) multimedia (multimedia, ale jak wynika z powyższego użyte w innym znaczeniu niż przyjęto obecnie), (7) object (obiekt, np. model), (8) sound recording (nagranie dźwiękowe), (9) video recording (nagranie wideo), (10) visual projection (prezentacja wizualna)<sup>109</sup>. Zatem według zaleceń ISBD należałoby stosować

<sup>107</sup> Tamże, s. 55.

<sup>108</sup> Polska arkuszowa norma 01152, która powstawała na podstawie ISBD, nie określa tego w sposób kategoriyczny. We wcześniejszych arkuszach normy dopuszczona jedynie została sytuacja, gdy w zbiorach informacji obejmujących opisy różnych typów dokumentów podaje się w strefie tytułu w nawiasie kwadratowym określenie typu dokumentu; np. dla filmów [Film], a dla dokumentów dźwiękowych [Dok. dźw.]. Natomiast w normie PN-N-01152.13 dla opisu dokumentów elektronicznych podane zostało już bardziej zdecydowanie, iż „Określenie typu dokumentu [Dokument elektroniczny] należy podać bezpośrednio po tytule właściwym w nawiasie kwadratowym”.

<sup>109</sup> W pierwszym wydaniu ISBD (NBM) było tych kategorii trzynaście. Oprócz podanych wyżej dziesięciu uwzględnione były także: dokumenty brajlowskie (Braille), dane komputerowe (Machine Readable Data) i próbki mikroskopowe (Microscope Slide). W wyniku późniejszych zmian dokumenty brajlowskie zaczęły być traktowane według zaleceń ISBD(M) dla monografii, dane komputerowe uzyskały swe własne zalecenia w postaci ISBD(CF), a następnie ISBD(ER), a próbki mikroskopowe weszły do kategorii „Visual projection” obok innych przezrocz, slajdów i folii do rzutników. W wersji ISBD (NBM) z 1987 zmieniono też nazwę kategorii Visual (dokumenty wizualne) na Graphic (dokumenty graficzne).

jedno z dziesięciu ogólnych określeń rodzaju materiału dla dokumentów nieksiążkowych, pamiętając jednocześnie, że materiały kartograficzne i dokumenty elektroniczne mają swoje własne określenia zawarte w dedykowanych im zaleceniach ISBD(CM) i ISBD(ER). Sposób użycia ogólnych określeń rodzaju materiałów pokazuje poniższy przykład.

Symphony no. 4 [Sound recording] ; Finlandia ; Luonnotar / Jean Sibelius ; Philharmonia Orchestra ; Vladimir Ashkenazy [conductor] ; Elisabeth Söderström, soprano [in Luonnotar]. – New York, (N.Y.) : London, p. 1981. – 1 sound disc (CD) : stereo ; 12 cm.  
*Durations: 33:00; 9:09; 7:56. – Recorded Mar. 1980 in Kingsway Hall, London. – Program notes in English, French and German (8 p.) inserted.*  
*London: 400056-2*

W podanym przykładzie widać, że w strefie tytułu znajduje się ogólne określenie rodzaju dokumentu jako nagrania dźwiękowego, dopiero w strefie opisu fizycznego (czwarty wiersz) jest konkretna informacja, że mamy do czynienia z typową 4<sup>3</sup>/<sub>4</sub>-calową płytą kompaktową.

Innym ważnym w skali międzynarodowej zaleceniem bibliograficznym są *Anglo-amerykańskie zasady katalogowania* (AACR). Już w pierwszym ich wydaniu z 1967 roku pojawił się osobny rozdział poświęcony dokumentom nieksiążkowym<sup>110</sup>. W podrozdziałach omówiono następujące ich rodzaje: rękopisy(!); mapy i atlasy; filmy i przezrocza; druki muzyczne; nagrania fonograficzne; obrazy, rysunki i inne obiekty dwuwymiarowe. Wyjaśnienia może wymagać określenie „nagrania fonograficzne”, które w późniejszych wydaniach AACR zastąpione zostało ogólniejszym terminem „nagrania dźwiękowe” (sound recordings). Jest jednak wiadomo, że w momencie ukazania się pierwszych AACR tak popularny dziś nośnik, jakim są kasety audio formatu Philipsa compact cassette, nie był jeszcze znany. Zatem funkcję nośników nagrań fonograficznych pełniły przede wszystkim płyty gramofonowe oraz dodatkowo taśmy na szpulach. Zresztą słownik pierwszego AACR nie ograniczał pojęcia „phonorecord” do płyt gramofonowych, podając definicję, iż jest to jakikolwiek obiekt z zarejestrowanym dźwiękiem<sup>111</sup>.

Jean Weihs i Lynne C. Howarth, które badały obecność dokumentów nieksiążkowych w bibliotekach kanadyjskich, nawiązały także do pierwszego wydania AACR. Podeszły do faktu ich ukazania się krytycznie twierdząc, iż nie rozwiązało to problemu dokumentów nieksiążkowych i nie rozwiązało wątpliwości związanych z ich opracowaniem. Stwierdziły wręcz, że w rozdziale poświęconym dokumentom nieksiążkowym w AACR w wersji amerykańskiej opublikowanej w Chicago były błędy i braki. Miało to doprowadzić do pominięcia całości tej problematyki w wersji brytyjskiej opublikowanej w Londynie<sup>112</sup>. To ostatnie stwierdzenie nie potwierdza się, bo w wersji brytyjskiej z tego samego roku jest jednak rozdział poświęcony dokumentom nieksiążkowym i to prawie nie odbiegający od tekstu amerykańskiego. Można jednak faktycznie mieć pewne wątpliwości związane z podejściem do dokumentów nieksiążkowych w pierwszych AACR. Zaskoczeniem jest przede wszystkim, co widać w podanym wcześniej

<sup>110</sup> *Anglo-American cataloging rules*. Chicago, ALA 1967 s. 258-342.

<sup>111</sup> Tamże, s. 346.

<sup>112</sup> J. Weihs, L. C. Howarth: *Nonbook materials: their occurrence and bibliographic description in Canadian Libraries*. „Library Resources and Technical Services” 1995 vol. 39 no 2 s. 184.

wyliczeniu, włączenie rękopisów do rozdziału o dokumentach nieksiążkowych i jednocześnie wyłączenie z niego mikroform jako produktów w działalności reprograficznej. Oczywiście dzisiejsze podejście do dokumentów nieksiążkowych zakłada zupełnie odwrotną sytuację. Rękopisy traktuje się jako dokumenty typu „book”, a mikroformy jako dokumenty nieksiążkowe.

Te wątpliwości i rozbieżności zniknęły w drugim wydaniu AACR z 1978 roku<sup>113</sup>. Zastosowany tam układ nie wyróżniał już dokumentów nieksiążkowych, a poszczególne ich rodzaje zostały omówione w odrębnych rozdziałach na równi z książkami, rękopisami i wydawnictwami ciągłymi. Zgodnie więc z głoszonymi ówczesnie hasłami zwolenników koncepcji „generic book” nie została wyraźnie wskazana opozycja między dokumentami typu „book” i „non-book”. Przyznajmy, że dla potrzeb naszych rozważań terminologicznych jest to pewne utrudnienie, bo uniemożliwia wyróżnienie kategorii dokumentów nieksiążkowych i jej zdefiniowanie.

Znakiem czasu w AACR2 było pojawienie się nagrań wideo i danych na nośnikach maszynowych (MRDF – machine readable data files), jako nowych kategorii dokumentów wymagających opracowania w bibliotekach i ośrodkach bibliograficznych, czego nie było w pierwszym wydaniu AACR. Z kolei w zrewidowanej wersji AACR2 z 1988 r. te ostatnie zaczęto prościej określać mianem „computer files”. Postępem AACR2 z 1988 r. względem AACR2 z 1978 r. było też dostrzeżenie rodzaju nośnika danych komputerowych jako istotnej informacji o dokumencie elektronicznym. Zamiast więc używać określeń „dane” lub „program” w strefie opisu pliku, zaczęto tę strefę nazywać strefą opisu fizycznego i w to miejsce wpisywać określenia nośników fizycznych: kasety, cartridge, dyski i zwoje szpulowych pamięci magnetycznych (reels).

## DEFINICJA DOKUMENTÓW ELEKTRONICZNYCH

W niniejszych rozważaniach terminologicznych, obok dwóch zasadniczych pojęć jak dokumenty nieksiążkowe i dokumenty audiowizualne, powinna pojawić się również definicja dokumentów elektronicznych, jako wzrastającej w siłę i znaczenie kategorii dokumentów nieksiążkowych. Ta ważna kategoria uzyskała w międzynarodowych zaleceniach swoje własne opracowanie w postaci ISBD(CF) z 1990 roku. W odróżnieniu od ISBD(NBM), gdzie w dwóch miejscach pojawia się informacja o rodzaju dokumentu (ogólne określenie rodzaju materiału i szczegółowe określenie rodzaju materiału), w ISBD(CF) pojawiła się taka informacja w trzech miejscach. Po pierwsze w strefie tytułu i odpowiedzialności wprowadzono ogólne określenie rodzaju materiału w postaci [Computer File]. Następnie podzielono pliki na rodzaje ze względu na zawartość i ustanowiono strefę rodzaju i rozmiaru pliku, w której można było wpisać jedną z trzech kategorii: dane (computer data), program (computer program) oraz dane i program (computer data and program). Dopiero w strefie opisu fizycznego pojawiała się istotna dla użytkownika informacja o nośniku, na którym dane zostały zapisane. Przyznać należy, że określenie rodzaju pliku (poprzez wybranie jednej z trzech podanych wyżej możliwości) mogło sprawiać mniej zorientowanym informatycznie bibliotekarzom kłopot. Dlatego znajdujący się w nowszej wersji

---

<sup>113</sup> *Anglo-American cataloging rules. Second edition.* Chicago, ALA 1978.

ISBD dla dokumentów elektronicznych – ISBD(ER)<sup>114</sup> – bardziej rozbudowany zestaw możliwych rodzajów plików należy potraktować jako ułatwienie dla osób zajmujących się opisem formalnym dokumentów elektronicznych. Po pierwsze zmieniono, ogólne określenie rodzaju dokumentu z [Computer File] (plik komputerowy) na [Electronic Resource] (dokument elektroniczny). Konsekwentnie więc określenie rodzajów plików zmieniono na określenie rodzajów dokumentów elektronicznych i dokonano szczegółowego podziału na rodzaje. Wśród wielu możliwości katalogujący bibliotekarz ma do dyspozycji m.in.: obraz elektroniczny, elektroniczną mapę, elektroniczny dokument dźwiękowy, czasopismo elektroniczne, gry elektroniczne i elektroniczne interaktywne multimedia. To ułatwia zadanie bibliotekarzom, bo nie muszą się już zastanawiać, czy mają do czynienia z danymi, z programem, czy z jednym i drugim.

ISBD(ER) z 1997 r. jest oczywiście efektem rewizji ISBD(CF), a w pierwszej kolejności zauważa się właśnie zmianę nazwy przedmiotu zalecenia. Autorzy ISBD specjalnie nie uzasadniają tej zmiany, poza stwierdzeniem, że określenie „electronic resource” jest bardziej odpowiednie dla całego szeregu dokumentów objętych zaleceniem ISBD<sup>195</sup>. Zalecenie w następujący sposób definiuje ten termin:

*Dokument (dane i/lub program) zakodowane w celu obsługi przy użyciu komputera. Zalicza się tu dokumenty, które wymagają użycia urządzeń peryferyjnych podłączonych do komputera (np. czytnik CD-ROM), ale także usługi dostępne online (np. listy dyskusyjne lub strony WWW)*<sup>116</sup>.

Nowa technologia sprawiła bibliografom i specjalistom od normalizacji bibliograficznej problem tym, że dała jednocześnie dostęp do dokumentów elektronicznych znajdujących się na lokalnie przechowywanych nośnikach fizycznych oraz dostęp zdalny, w którym biblioteka i czytelnicy korzystają tylko z treści dokumentu, ale nie docierają do jego formy fizycznej. Drugim problemem jest to, że zaleceniem objęto zasadniczo dwa rodzaje dokumentów: dane i programy, ale dopuszcza się, co jest zresztą częstym przypadkiem, sytuację kombinacji obu tych form w jednym dokumencie elektronicznym. W tłumaczeniu polskim dla potrzeb normy PN-N-01152.13 przyjęto tłumaczenie angielskiego „electronic resource” jako „dokumenty elektroniczne”. Chociaż słowo „resources” zwykło się tłumaczyć raczej jako „zasoby, środki, źródła, zapasy”, to faktycznie termin „dokumenty” jest jedynym dobrym rozwiązaniem. Pewnym problemem jest jednak, że zwykliśmy używać terminu „dokument elektroniczny” głównie na określenie pojedynczego pliku komputerowego powstałego podczas naszej lub czyjejś pracy z programem użytkowym. Dokumentem elektronicznym jest więc tekst napisany przy użyciu edytora tekstów, jest nim także pojedynczy arkusz kalkulacyjny, dokumentem elektronicznym jest także plik html opisujący zawartość strony WWW, to także pojedyncze pliki dźwiękowe i graficzne. Tymczasem według ISBD(ER), a w konsekwencji według PN-N-01152.13 dokumentami elektronicznymi są także całe zbiory plików oraz programy służące do ich odczytu i edycji. Co więcej, będą nimi także nośniki fizyczne plików. Dokumentem elektronicznym jest więc tekst książki zapisanej obok innych książek na jednej płycie CD, jak i sama ta płyta. Zwolennicy węższego rozumienia pojęcia „dokument elektroniczny” muszą zasadę przyjętą w ISBD po prostu przyjąć do wiadomości. Zre-

<sup>114</sup> ISBD(ER): *International Standard Bibliographic Description for Electronic Resources*. München, Saur 1997.

<sup>115</sup> Tamże, s. VIII.

<sup>116</sup> Tamże, s. 94.

szta w środowisku analogowym pojęcie dokumentu również występowało w dwojakim przynajmniej znaczeniu. Mówiono o dokumencie mając na myśli pewną treść, ale również nośnik, na którym owa treść została utrwalona.

Paradoksalnie język polski, uboższy w terminologii informatycznej od angielskiego, może ułatwić opis bibliograficzny dokumentów elektronicznych polskim bibliografom. Dla osoby mniej zorientowanej informatycznie mylące mogą być definicje zamieszczone w ISBD(ER) dotyczące dysków komputerowych. Po pierwsze definicje te pojawiają się w dwóch miejscach. W załączniku C, gdzie zdefiniowano terminy służące do szczegółowego określenia rodzaju materiału (w strefie opisu fizycznego) oraz na wstępie publikacji, wśród ogólnych terminów stosowanych w normie. Niestety definicje z obu tych miejsc częściowo sobie przeczą. Przede wszystkim ISBD posługuje się dwiema formami pisowni: „disc” i „disk”. Jak wynika z lektury zalecenia, formę z „c” zarezerwowano dla różnych formatów dysków optycznych, a formę z „k” dla dysków magnetycznych<sup>117</sup>. W części definicji ogólnych terminy „disk” i „magnetic disk” odsyłają do terminu „hard disk”, co niesłusznie mogłoby sugerować, że tylko dyski twarde są dyskami<sup>118</sup>! Natomiast w części szczegółowej hasło „disk” nie jest już tym razem odsyłaczem, ale znajdujemy przy nim zaskakującą definicję, że dyskiem jest:

*(...) wymienny elastyczny dysk używany do przechowywania dokumentów elektronicznych w zapisie magnetycznym, odczytywany i zapisywany dzięki impulsowi elektromagnetycznemu. Przykładami dysków magnetycznych są dyski elastyczne (zwane również dyskietkami) i dyski twarde*<sup>119</sup>.

Początek zacytowanej definicji wskazywałby, że z pojęciem „dysk” kojarzy się wyłącznie dyski elastyczne (z ang. floppy). Z końcówki definicji wynikałoby natomiast, że szczególnym przypadkiem dysku elastycznego jest dysk twarde<sup>120</sup>! Te niefortunne definicje nie muszą skutkować błędnym odczytaniem danych ze strefy opisu fizycznego w opisie bibliograficznym. Zgodnie z zaleceniem dla nośników fizycznych w postaci dysków stosuje się jedną z dwóch form: „electronic optical disc” lub „electronic disk”. To ostatnie określenie w praktyce będzie się jednak odnosić tylko do dysków elastycznych, trudno bowiem przypuszczać, by pojawił się jako odrębna publikacja i biblioteczna jednostka inwentarzowa jakiś dysk twarde. Na dyskach twardych się nie publikuje.

Poza wspomnianymi dwoma możliwymi określeniami rodzaju dysku ważne jest jeszcze dla pełnej informacji o dokumencie elektronicznym w strefie opisu fizycznego, by nie pominąć wymiarów jego nośnika. Zaznaczyć należy, że wymiary te – wbrew informatycznej tradycji – podaje się w zaokrągleniu do pełnych centymetrów, nie zaś w calach<sup>121</sup>. Przypuszczalnie niektórych konserwatywnych informatyków może to irytować. Przyjęło się nawet używać wymiaru dysku jako

<sup>117</sup> Nie jest to całkiem bagatelne, a problem pogłębia dodatkowo fakt, że w zaleceniach AACR2 przyjęto formę „laser optical disk”, czyli pisownię z „k” dla dysku optycznego.

<sup>118</sup> ISBD(ER): *International Standard Bibliographic Description for Electronic Resources*. München, Saur 1997 s. 7, 8, 9.

<sup>119</sup> Tamże, s. 94.

<sup>120</sup> Ten niejasny podział rodzajów dysków prezentowany w ISBD(ER) należy uznać za regres w stosunku do zaleceń poprzednich – ISBD (CF): *International Standard Bibliographic Description for Computer Files* z 1990 roku. Zawarty tam podział i definicje dysków optycznych, elastycznych i twardych jest bardziej przejrzysty i logiczny.

<sup>121</sup> Zasadę wyrażania wymiarów nośnika w centymetrach zaokrąglanych w górę (zamiast powszechnie stosowanych cali) przyjęto jeszcze w ISBD (CF) z 1990 r., ale użytkowników tamtych zaleceń mógł dezorientować fakt, że w przykładach zamieszczonych po tekście zasadniczym zdarzały się przykłady opisów z wymiarami dysków wyrażonymi „po staremu” w calach. W ISBD (ER) tej niekonsekwencji już nie popełniono.

namiastki określenia jej typu. Wszyscy dobrze pamiętają, że na „stare” dyskietki o pojemności 1,2MB mówiło się „dyskietki 5<sup>1</sup>/<sub>4</sub> cala” i pewnie rzadko kto skojarzy z nimi zalecany przez ISBD wymiar 14 cm. Nie powinno to jednak stanowić istotnego problemu. Zapis w opisie bibliograficznym „electronic optical disc ; 8 cm” oznaczać będzie coraz popularniejszy dysk optyczny 3,2 cala, natomiast zapis „electronic disk ; 9 cm” będzie oznaczać popularną dyskietkę 3,5 cala. Zamieszczone w ISBD(ER) przykłady w języku angielskim nie proponują jak widać przejrzystego rozróżnienia pomiędzy dyskiem optycznym a dyskietką. W praktyce polskiej, dla uniknięcia nieporozumień w tym punkcie należałoby zrezygnować z dosłownego tłumaczenia zaleceń angielskich i przyjąć wersje językowe najbliższe językowi potocznemu. W opisach polskich należałoby więc stosować dla dysków optycznych formę „dysk optyczny” z ewentualnym określeniem formatu dysku (CD-ROM, CD-DA, CD-RW, DVD itd.) i obowiązkowym określeniem wymiarów, a dla dysku magnetycznego przyjąć formę „dyskietka” również z obowiązkowym podaniem wymiarów<sup>122</sup>.

Pomijając wszelkie szczegółowe rozwiązania zaleceń dla opisu bibliograficznego poszczególnych typów dokumentów nieksiążkowych, należy ogólnie skonstatować, iż bibliotekarze i bibliografowie nie są pozbawieni unormowań pomocnych w opisie bibliograficznym nowych źródeł informacji. Nic zatem nie powinno tłumaczyć sytuacji, gdy płyty, kasety audio i kasety wideo pozostają w bibliotece nieopracowane. Wykazany w niniejszym rozdziale niejednolity, a niekiedy bardzo odmienny sposób definiowania dokumentów nieksiążkowych i pojęć z nimi związanych, nie powinien (choć może) stwarzać problemów w zarządzaniu nowymi mediami w bibliotekach. W ankiecie, której wyniki przedstawione są w ostatnim rozdziale, jedna z bibliotek-respondentów odpowiedziała, że nie ma w zbiorach żadnych multimediiów, ale że jednocześnie korzysta z komputerowych baz słownikowych. Być może jedną z tych baz jest wydany przez PWN *Komputerowy słownik języka polskiego*. Rzeczywiście elementów multimedialnych jest w nim mało albo i wcale, jeśli za takowe nie uznamy możliwości drobnych zmian w interfejsie użytkownika. Czy jednak nie należałoby zaliczyć tego wydawnictwa do kategorii multimediiów, mimo że przeciętnemu użytkownikowi określenie „multimedialny” kojarzy się z bogatą grafiką, animacjami, dźwiękami, muzyką i innymi efektami angażującymi słuch i wzrok? Czy nie bardziej jednak dla uznania dokumentu za multimedialny liczą się: interaktywna z nim współpraca, hipertekstowa budowa indeksu i możliwości edycyjne? Wskazane jest więc, by bibliotekarze posługiwali się ujednoliconą terminologią, nawet gdyby chodziło tylko o ułatwienie statystyki bibliotecznej.

Polska leksykografia bibliologiczna była w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku dość skromna ilościowo, a najpopularniejsze polskie słowniki i encyklopedie z tej dziedziny pochodzą jeszcze z lat siedemdziesiątych XX w. Pozostaje mieć nadzieję, że następczyni EWoK ukaże się wkrótce i że znajdzie się tam miejsce dla ujednolicenia terminologii związanej z dokumentami nieksiążkowymi oraz dla wskazania właściwych relacji pomiędzy stosowanymi w tej dziedzinie pojęciami.

---

<sup>122</sup> Oprócz różnych form pisowni dla różnych dysków komputerowych ISBD (ER) stosuje także odrębnie terminy „cassette” i „cartridge”. W języku polskim nie ma dobrego odpowiednika dla tego drugiego typu. Nośniki w postaci cartridge były w Polsce zawsze mało popularne, stąd zapewne mikroformy typu „microfilm cartridge” nazywano po prostu „mikrofilm w kasecie”.





## Rozdział II

# PRZEŁOM ANALOGOWO-CYFROWY

W ostatniej ćwierci XX wieku dokonał się jakościowy przełom w dziedzinie nośników informacji i sposobów zapisu informacji. Zmianę tę określić można mianem przełomu analogowo-cyfrowego, który zasadniczo polega na przejściu od technologii analogowej rejestracji i odtwarzania danych do technologii cyfrowej. Na rynku nośników audiowizualnych przełom analogowo-cyfrowy objawia się jeszcze na razie jednoczesną obecnością analogowych i cyfrowych nośników informacji. Analogowe płyty gramofonowe zostały już co prawda zastąpione cyfrowymi płytami kompaktowymi, ale analogowe kasety audio mają wciąż duży rynek zbytu, zaś analogowe kasety wideo rozpoczynają długą zapewne walkę o rynek z płytami DVD. W bibliotekarstwie przełom analogowo-cyfrowy objawia się rosnącym udziałem nośników cyfrowych w zbiorach bibliotecznych. Dekady gromadzenia analogowych dokumentów audiowizualnych sprawiły, że ilościowo przeważają one jeszcze nad dokumentami cyfrowymi. Ale jest oczywiste, że te proporcje będą się stopniowo odwracać. Sytuację tę dobrze pokazują dane na temat liczby dokumentów audiowizualnych w zbiorach Biblioteki Narodowej w Warszawie. Według danych z połowy 2000 r. BN posiadała w zakresie dokumentów dźwiękowych:

- ponad 43 000 płyt gramofonowych,
- ponad 4 000 pocztówek dźwiękowych,
- ponad 5 500 kaset audio,
- około 4 000 płyt CD.

Dokumenty analogowe mają więc wyraźną przewagę liczebną, ale kilkanaście lat gromadzenia płyt CD dało w efekcie już ich pokaźny zbiór. W zakresie zbiorów wideo przewaga techniki analogowej jest bezdyskusyjna. BN posiada ponad 1000 kaset wideo i 18 sztuk płyt DVD<sup>1</sup>. Rok 2000 był praktycznie początkiem obecności płyt DVD na rynku, a rosnąca ich oferta z pewnością szybko zmieni tę proporcję.

Jednym z ciekawszych zjawisk przełomu analogowo-cyfrowego jest upowszechnienie Internetu od połowy lat dziewięćdziesiątych. W epoce Internetu omawiany przełom oznaczać musi zwiększenie stopnia wykorzystania przekazów elektronicznych. Pytanie tylko, czy musi się to odbywać kosztem przekazów drukowanych. Pewnym symptomem tego zjawiska jest rosnąca popularność e-mail,

---

<sup>1</sup> Według danych uzyskanych bezpośrednio w Zakładzie Dokumentów Audiowizualnych BN.

a tym samym częściowa rezygnacja z konwencjonalnej korespondencji papierowej. W dużo mniejszym stopniu, ale również dotyczy to przejścia od czasopism kupowanych w kiosku do czasopism elektronicznych dostępnych online.

Przekaz w technologii cyfrowej kojarzy się powszechnie z bardzo dobrą jakością i trwałością. Nie jest to jednak zasada generalna. Dużo zależy (np. w przypadku nagrań audio, w których występują instrumenty akustyczne i głos wokalisty) od jakości analogowego sygnału poddanego kodowaniu cyfrowemu. Kwestią dyskusyjną jest też tak często podnoszona trwałość zapisu cyfrowego. Wielu autorów zajmujących się tą problematyką podkreśla, że dla bezpieczeństwa i pewności powinno się cyfrową zawartość dysków optycznych kopiować przynajmniej raz na dziesięć lat, a dysków magnetoptycznych i magnetycznych jeszcze częściej. Paradoksalnie jednoczesną zaletą i wadą zapisów analogowych jest ciągłość ich rejestracji i odczytu. Bernd Steinbrink wyjaśnia:

*Ujęcie analogowe, w przeciwieństwie do cyfrowego, umożliwia opis wielkości i procesów zmieniających się w sposób ciągły, bezskokowy, z dowolną ilością minimalnych nawet zmian. (...) Podstawową cechą systemów analogowych jest to, że nie stosuje się w nich tabeli wartości dyskretnych – tabela wartości dopuszczalnych zmierza natomiast ku nieskończoności<sup>2</sup>.*

Kopiowanie zapisów analogowych powoduje zatem każdorazowy uszczerbek na jakości, ale mimo wszystko otrzymujemy jakąś kopię, choćby fatalną jakościowo. Zapis analogowy daje się zawsze odczytać. Przedwojenne szelakowe płyty gramofonowe można odtwarzać do dziś, choć nie sprawia to żadnej przyjemności estetycznej oprócz satysfakcji słuchania nagrania archiwalnego. Z mikrofilmu zrobionego przed półwieczem można również zrobić dziś kopię, choć zapewne oryginał pożółkł i porysował się, a więc kopia będzie złej jakości. Natomiast odczytanie dokumentów elektronicznych bywa poważnie utrudnione lub niemożliwe, jeśli nośnik uległ nawet drobnemu uszkodzeniu. Ogromną zaletą technologii cyfrowej jest możliwość uzyskiwania kopii identycznych z oryginałem, również w sytuacji robienia kopii z kopii. Ale jak wynika z powyższego, wieczną trwałość zapisanych informacji można uzyskać tylko dzięki stosunkowo częstemu powielaniu oryginału, dla pewności w więcej niż jednym egzemplarzu i pod warunkiem, że w pewnym momencie nie pojawią się problemy z odczytem danych.

Przełom analogowo-cyfrowy dobrze obrazują dzieje czasopisma „Audiovisual Librarian”, zgodnie z tytułem przeznaczonego dla bibliotekarzy zarządzających zbiorami audiowizualnymi w różnych typach bibliotek. Kwartalnik ten powstał pod auspicjami brytyjskiego Stowarzyszenia Bibliotek Specjalnych (ASLIB) w 1973 r., a więc w czasach, gdy głośno było w piśmiennictwie bibliologicznym i pedagogicznym na temat edukacyjnych możliwości dokumentów nieksiążkowych. To wtedy właśnie w światowym bibliotekoznawstwie najgłośniej było o książce generatywnej, bibliotece szkolnej jako „media center” i mikroformach jako nośniku wielofunkcyjnym i mającym wspaniałą przyszłość. Niezbędny więc był periodyk, który służyć będzie radą na temat opracowania, przechowywania i udostępniania zbiorów audiowizualnych. Przez pierwsze lata tematyka czasopisma była dość szeroka. Pismo zajmowało się nagraniami na płytach gramofonowych i kasetach audio, filmami w postaci zwojowej i na kasetach wideo, przezroczami, fotografiami i mikrofilmami. Zmiany nadeszły w połowie lat osiemdziesiątych XX w., gdy zaczęły się pojawiać na łamach pisma pierwsze artykuły na temat mikrokomputerów, a co za tym idzie na temat gromadzenia

<sup>2</sup> B. Steinbrink: *Multimedia. U progu technologii XXI wieku*. Wrocław, Robomatic 1993 s. 132.

w bibliotekach oprogramowania komputerowego. I choć nadal dominuje tematyka analogowa (głównie zagadnienie wideo w bibliotekach), to problematyka komputerowa staje się już stałym punktem w kolejnych numerach. Wkrótce potem (II połowa lat osiemdziesiątych) jako temat artykułów w „Audiovisual Librarian” pojawiają się płyty kompaktowe. Upowszechnienie tego medium jako nośnika nie tylko zapisu sygnału audio, ale także danych komputerowych sprawiło, że już wkrótce na początku lat dziewięćdziesiątych słowem kluczowym dla wielu artykułów w „Audiovisual Librarian” staje się termin „multimedia”. Multimedialna euforia, która powoli ogarnia świat, jest bardzo dobrze widoczna w omawianym periodyku, dochodzi nawet do sytuacji, gdy tytuł „Audiovisual Librarian” zostaje usunięty z okładki pisma. Pozostaje tam jedynie akronim „AVL”, a funkcję informowania o treści czasopisma przyjął podtytuł: „The multi media information journal”. Od tego czasu zagadnienia dokumentów elektronicznych, zapisu cyfrowego danych i dostępu do informacji przez Internet zaczynają dominować, aż w końcu w 1998 r. po 25 latach ukazywania się „Audiovisual Librarian” znika całkowicie w tym znaczeniu, że w wyniku jego połączenia z czasopismem „Information Technology News” powstaje nowy tytuł: „Multimedia, Information and Technology”. Zwróćmy więc uwagę, że likwidacja „Audiovisual Librarian” i zdecydowany zwrot ku dokumentom elektronicznym dostępnym online dokonały się w sytuacji, gdy tak naprawdę w bibliotekach nadal gromadzi się wiele nośników analogowych, wymagających opracowania i przechowania, czyli inaczej mówiąc, będących fizycznymi jednostkami w zbiorze bibliotecznym, nie zaś posadowionymi gdzieś w cyberprzestrzeni dokumentami o fantomowym charakterze. Biblioteki nadal posiadają i powiększają swoje zbiory płyt i kaset audio, mikroform, slajdów i kaset wideo. Tymczasem profesjonalny periodyk poświęcony tym zagadnieniom znika, zaabsorbowany nową cyfrową technologią. Bibliotekarze audiowizualni mogą więc odczuwać pustkę i mieć poczucie porzucenia z ich wciąż aktualnymi problemami gromadzenia analogowych dokumentów audiowizualnych.

## PRZYSZŁOŚĆ MIKROFORM

Spośród dokumentów audiowizualnych najwcześniej konsekwencje przełomu analogowo-cyfrowego dotknęły mikroformy. Jeszcze nie pojawiły się w bibliotekarstwie nowe nośniki wykorzystujące technologię zapisu sygnału audio<sup>3</sup> i wideo w postaci cyfrowej, a już zaczęto rozważać ewentualność zastąpienia mikroform w ich dotychczasowych funkcjach przez dokumenty elektroniczne na nośnikach magnetycznych i optycznych<sup>4</sup>. Mikrofilmy były i są nadal podstawowym formatem dla dokumentów wtórnych, służących zabezpieczeniu oryginalnych (papierowych) wydań cenniejszych dokumentów. To decydowało, że czasem nie traktowano ich na równi z pozostałymi nośnikami informacji, a przypisywano im tylko

---

<sup>3</sup> Technologię cyfrowej rejestracji dźwięku stosowano już od początku lat siedemdziesiątych, jednak długi czas jeszcze takie nagrania poddawano dekodowaniu w celu utrwalenia na nośniku analogowym. Cyfrowy dźwięk upowszechnił się dopiero z chwilą debiutu rynkowego płyt CD-DA na początku lat osiemdziesiątych.

<sup>4</sup> Zob. np. artykuł: Gerard O. Walter: *Will optical disk memory supplant microfilm?* „Journal of Micrographics” 1980 vol. 13 no 6 s. 29-34, w którym autor, na kilka lat przed pojawieniem się technologii dysków optycznych do przechowywania danych, rozważał możliwość zastąpienia nimi mikroform.

funkcję pomocniczą przy organizacji przechowywania i udostępniania zbiorów. Wcześniejszy przegląd definicji materiałów nieksiążkowych i dokumentów audiowizualnych pokazał, że nie ma zgodności, czy zaliczyć mikroformy do materiałów audiowizualnych. Argument, że w przeciwieństwie do oryginalnych płyt z muzyką lub kaset wideo nie są mikroformy dokumentami pierwotnymi tylko w części jest prawdziwy, bowiem spotyka się edycje wyłącznie w postaci mikroform i wówczas taka publikacja jest oczywiście dokumentem pierwotnym.

Funkcja archiwizacji (zabezpieczania) zbiorów papierowych nie była jedyną funkcją mikroform, ale tę właśnie funkcję zachowują one najdłużej. Praktycznie do dziś i z pewnością w najbliższej przyszłości. Jest już oczywiste, iż niektóre funkcje pełnione niegdyś przez mikroformy będą w sposób bardziej efektywny wypełniane przez dokumenty oparte na technice komputerowej. Z czterech wymienianych przez Barbarę Drewniewską-Idziak zadań wypełnianych przez mikroformy<sup>5</sup>, a więc funkcji:

- zabezpieczania, czyli tworzenia archiwalnej kopii najcenniejszych dokumentów na wypadek wojny lub klęsk żywiołowych,
- ochrony, czyli tworzenia kopii dokumentów często używanych, które skazane by były na szybkie zużycie, gdyby nie możliwość udostępniania mikroform,
- uzupełniania, czyli powiększania zbioru o mikroformowe kopie dokumentów posiadanych w oryginale przez inne biblioteki,
- wydawniczej, czyli wykorzystania mikroform jako dokumentów prymarnych w publikowaniu i rozpowszechnianiu informacji naukowej,

z pewnością najszybciej mikroformy utraciły tę ostatnią. Rodzi się teraz pytanie, jak szybko w sytuacji ogromnego i permanentnego postępu w technice komputerowej mikroformy pozbawione zostaną swej koronnej funkcji – funkcji archiwizacyjnej.

Rozwój mikrografii na świecie odbywał się w przekonaniu, że jest to nośnik, na którym opierać się będzie w przyszłości działalność informacyjna. Autorzy tacy jak Vannevar Bush, którzy wywarli wpływ na dalsze koncepcje bezpapierowego obiegu informacji, nawet jeśli zakładali wykorzystanie komputera do wyszukiwania informacji, to jednak rolę nośnika powierzali mikroformom<sup>6</sup>. De facto więc bibliotekarstwo światowe postawiło w pewnym momencie na mikroformy. Niektórym może się wydawać, że było to jak wejście na kilka dekad w ślepą uliczkę, a całą pracę zabezpieczania zbiorów papierowych w nowej dygitalnej formie zaczynać należy od początku. Otóż celem tej części rozważań jest pokazanie, że mikrografia nie była ślepą uliczką, ale naturalnym i przydatnym ogniwem w ewolucji nośników informacji. Przydatnym nie tylko w zabezpieczeniu zbiorów, ale także – jak zostało stwierdzone wyżej – w obiegu informacji i uzupełnianiu zbiorów bibliotecznych. Paradoksalnie właśnie ta ostatnia funkcja przyczyniła się w dużym stopniu do rozwoju mikrografii polskiej w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Paweł Piechowiak, pisząc niegdyś o rozwoju systemu mikrofiszowego w Bibliotece Akademii Rolniczej w Poznaniu, stwierdził, że nastąpiło to z powodu ograniczenia bibliotecze wielkości środków dewizowych na zakup publikacji fachowych za granicą<sup>7</sup>. Zamiast

---

<sup>5</sup> B. Drewniewska-Idziak: *Mikrofilmowanie i skanowanie zbiorów jako formy ich ochrony*. W: *Ochrona i konserwacja zbiorów bibliotecznych. Materiały z ogólnopolskiej konferencji*. Warszawa 15-17 października 1998 r. Warszawa, SBP 1998 s. 70.

<sup>6</sup> V. Bush: *As We may think*. „Atlantic Monthly” 1945 no 176 s. 101-108.

<sup>7</sup> P. Piechowiak: *System mikrofiszowy w Bibliotece Głównej Akademii Rolniczej w Poznaniu*. „Aktualne Problemy Informacji i Dokumentacji” 1984 nr 5/6 s. 44.

więc sprowadzać oryginał z zagranicy, sprowadzano jego kopię mikrofilmową z jakiejś innej biblioteki w Polsce. Wiadomo, że robiło tak wiele bibliotek, których nie stać było na zakup oryginałów papierowych. Pozostawmy ocenie prawników taką sytuację, gdy jedna biblioteka kupuje oryginał, a kilka współpracujących wykonuje jego kopię i umieszcza ją w swoim zbiorze<sup>8</sup>. Stwierdzamy jedynie fakt, że gdyby nie permanentne niedobory dewiz w PRL, mikrografia polska nie rozwinęłaby się w takim stopniu, jak to miało miejsce. Faktem jest, że mikrografia pomogła w jakimś sensie odtworzyć i zabezpieczyć najcenniejsze zbiory w bibliotekach polskich, tak fatalnie doświadczonych podczas obu wojen światowych. Przykładem może być owocna współpraca Biblioteki Narodowej w Warszawie z innymi bibliotekami objętymi programem Narodowego Zasobu Bibliotecznego. BN zdołała utrwalić na mikrofilmach (a ma ich więcej niż wszystkie pozostałe biblioteki w Polsce razem wzięte) i scalić w ten sposób roczniki polskich czasopism, z których wiele nie jest dostępnych w komplecie w żadnej bibliotece. Działalność tę opisuje m.in. Konrad Zawadzki, dając ciekawy przykład „Gazety Warszawskiej”, którą udało się scalić w postaci mikrofilmu, wykorzystując niepełne egzemplarze z siedemnastu(!) bibliotek<sup>9</sup>.

Rozwój technologii cyfrowego zapisu danych doprowadził w końcu do dyskusji nad sensem dalszego stosowania mikroform, gdy jednocześnie dokumenty elektroniczne charakteryzują się dużo lepszym stopniem miniaturyzacji i umożliwiają szybszy dostęp do danych. Pojawiają się też inne argumenty na korzyść dokumentów elektronicznych, ale nie wszystkie są do końca prawdziwe. Oto np. w książce *Bibliotekarstwo* pod redakcją Zbigniewa Żmigrodzkiego autorzy fragmentu poświęconego mikroformom stwierdzają:

*Z czasem pierwszeństwo przypadnie zapewne dokumentom elektronicznym nie tylko z powodu szybkości ich przekazu, ale również dlatego, że nie powodują one tak negatywnych oddziaływań na strukturę papieru oryginałów, jak sporządzanie dokumentów wtórnych*<sup>10</sup>.

Pomińmy niefortunne użycie terminu „dokumenty wtórne”, które sugerowałoby, że kopia elektroniczna dokumentu papierowego utrwalona np. na dysku optycznym nie jest dokumentem wtórnym. Zwrócić natomiast należy uwagę na fakt, iż wszystko zależy od przyjętej metody tworzenia kopii dokumentu. Jeśli do sporządzenia dokumentu elektronicznego użyje się zwykłego płaskiego skanera, to wyrządzić on może akurat większe szkody w dokumencie papierowym niż profesjonalna kamera mikrofilmowa. Jeśli natomiast w celu dygitalizacji użyta zostanie profesjonalna kamera cyfrowa, to oczywiście uszkodzenia fizyczne i fizykochemiczne oryginału będą minimalne.

W odniesieniu do stopnia miniaturyzacji warto przypomnieć ciekawe zestawienie, które na podstawie badań amerykańskich przytoczył Bronisław Zyska. Pokazuje ono, jak kolejne generacje nośników danych pozwalają zmieścić tę samą porcję informacji na coraz mniejszej powierzchni. Według owego zestawienia powierzchnia jednej strony książki wynosi 54 000 mm<sup>2</sup>. Byłaby to co prawda dość duża książka (format A4 ma powierzchnię 62 370 mm<sup>2</sup>), ale nie o szczegóły chodzi, lecz o rząd wielkości. Tymczasem:

<sup>8</sup> Ustawa o prawie autorskim dopuszcza taką sytuację, z mało precyzyjnym zastrzeżeniem, że dotyczy to tylko materiałów niedostępnych w handlu.

<sup>9</sup> K. Zawadzki: *Zbiory mikrofilmowe Biblioteki Narodowej. Historia. Stan obecny. Przyszłość?* „Przegląd Biblioteczny” 1984 z. 3/4 s. 346.

<sup>10</sup> *Bibliotekarstwo*. Wyd. II, uzupeł. i rozszerz. Pod red. Z. Żmigrodzkiego. Warszawa, SBP 1998 s. 186.

- ta sama strona na błonie mikrofilmowej o szerokości 35 mm zajęłaby powierzchnię tylko 150 mm<sup>2</sup>,
- dalsze jej zmniejszanie na mikrofiszach dałoby powierzchnię 70 mm<sup>2</sup> (na ultrafiszach byłoby jeszcze mniej),
- a wciąż ta sama porcja informacji zapisana na dysku optycznym zajęłaby już tylko od 3 do 6 mm<sup>2</sup> powierzchni płyty<sup>11</sup>.

Duży współczynnik miniaturyzacji dokumentów pozwolił w pewnym momencie projektantom systemów bibliotecznych myśleć o mikroformach jako zasadniczym nośniku zbiorów biblioteki. Pojawiły się nawet urządzenia, które służyć miały do automatycznego wyszukiwania informacji w zbiorze mikrofiszowym. Przykład takiego urządzenia znajdujemy w książce Henryki Jankowskiej *Zminiaturyzowane źródła informacji*. Szafa typu Mosler – bo o niej tu mowa – mieściła 200 000 mikrofisz<sup>12</sup>. Przyjmijmy nawet, że nie byłyby to mikrofiszki o dużej skali zmniejszenia względem oryginału (np. mikrofiszki z 270 klatkami przy redukcji 48x), ani tym bardziej ultrafiszki<sup>13</sup>, ale zwykle mikrofiszki 105x148 mm zawierające 30 mikroobrazów, czyli 60 stron książki w formacie A5. Otóż przeciętna książka mająca 300 stron „zmieściłaby” się więc na pięciu takich mikrofiszach, a zatem w całym systemie typu Mosler mieściłoby się 40 000 książek. Cała biblioteka powiatowa w jednej szafie. To oczywiście robiło wrażenie i rozbudzało nadzieje na rozwój mikrografii. Niesamowita miniaturyzacja nie była jednak wystarczającym argumentem na rzecz mikroform kiedyś i nie jest dziś takim argumentem na rzecz dokumentów elektronicznych. Miniaturyzacja w ogóle nie jest priorytetowym celem działań biblioteki. Oczywiście oszczędność przestrzeni magazynowej i dbałość o jej racjonalne wykorzystanie jest ważnym zadaniem każdej biblioteki, ale nie musi oznaczać dążenia do miniaturyzacji za wszelką cenę, bo właśnie cena odgrywa tu rolę. Zauważył to już wcześniej Jiri Zahradil, który w odpowiedzi na entuzjastyczne glosy na temat możliwej miniaturyzacji zbiorów bibliotecznych twierdził:

*Wydaje nam się uproszczony i niewłaściwy pogląd, iż można podjąć starania o oszczędzenie przestrzeni magazynowych w bibliotece nabywającej 100 000 woluminów rocznie, jeżeli nabytki te przetransformuje się na mikroformy. Wymieniona liczba woluminów równa się w przybliżeniu 2,5 mln stronic. Jedną kamerą można w ciągu roku skopiować około 400 000 klatek (stronic) Dla przetransponowania tej literatury trzeba byłoby użyć 6 kamer, 2-3 wywołujących automatów, trzeba by znaleźć dla nich odpowiednie pomieszczenia oraz 8-9 etatów. Korzyści z zastosowania mikrografii byłyby w tym wypadku bardzo wątpliwe<sup>14</sup>.*

Nie chodzi więc o masową miniaturyzację, ale o umiejętne wykorzystanie różnych nośników informacji w zadaniach, w których wykazują one swe najlepsze cechy. W dalszej części rozdziału wykazane zostaną istotne i wciąż znaczące zalety mikroform. Ale zanim to nastąpi, przyznać generalnie można, iż możemy mówić o pewnym regresie mikrografii.

<sup>11</sup> B. Zyska: *Ochrona zbiorów bibliotecznych przed zniszczeniem*. Tom 3 *Działania profilaktyczne w bibliotece*. Katowice, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego 1994 s. 83. [Notabene według własnych obliczeń autora przy założeniu, że powierzchnia użytkowa 12 cm płyty CD wynosi 7500 mm<sup>2</sup>, a satysfakcjonująca wielkość pliku graficznego w formacie jpeg wynosi 50 kB (czyli na jednej płycie mieści się ok. 13000 takich plików) obszar zajmowany przez jeden obraz wynosiłby ok. 0,6 mm<sup>2</sup> powierzchni dysku.

<sup>12</sup> H. Jankowska: *Zminiaturyzowane źródła informacji*. Warszawa, CINTe 1974 s. 33.

<sup>13</sup> Ultrafiszki mieszczą do 3600 mikroobrazów, przy redukcji powyżej 150 razy.

<sup>14</sup> J. Zahradil: *Mikroformy i ich znaczenie w tworzeniu zbiorów literatury naukowej*. „Przegląd Biblioteczny” 1985 z. 1 s. 49.

Pierwsze symptomy zmierzchu mikroform pojawiły się pod koniec lat osiemdziesiątych, a już charakterystycznym tego przejawem było odchodzenie bibliotekarstwa zachodniego w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych od stosowania mikrofisz w katalogach bibliotecznych na rzecz katalogów komputerowych. Tu za dowód mogą służyć badania ankietowe bibliotek brytyjskich powtarzane co pewien czas przez Chrisa Batta. W badaniach z 1987 r. w uczestniczących w ankiecie hrabstwach wykazano 85 katalogów na mikrofiszach. W 1997 r. było ich już tylko 46. Oczywiście sukcesorem katalogów mikrofiszowych zostały katalogi online, bo w tym samym okresie ich liczba wzrosła z 24 do 143<sup>15</sup>. Te dane nie dziwią, bo mikrofisz nigdy nie był dobrym nośnikiem dla katalogów bibliotecznych, a to ze względu na ich szczególną statyczność. Katalog na mikrofiszach praktycznie w momencie swego wydania był już nieaktualny. Każdorazowa próba melioracji tego katalogu w praktyce oznaczałaby konieczność jego opracowania na nowo, co byłoby zupełnie nieopłacalne ekonomicznie. Tej więc funkcji mikroformy pozbawione zostały szybko. Notabene Alain Jacquesson twierdzi, że nie w całości. Stwierdza mianowicie, że zanikanie mikrofisz w funkcji nośnika katalogu zachodzi wolniej niż się spodziewano. Decyduje o tym funkcja archiwizacyjna mikroform. Nawet najbogatsze biblioteki wyższych uczelni w USA starają się dublować OPAC jakimś katalogiem analogowym dostępnym również w czasie awarii systemu informatycznego, a mikrofisz typu COM nadają się do tego najlepiej<sup>16</sup>.

Kolejnym symptomem odchodzenia od mikrografii jest obserwowany spadek obrotów na rynku mikroform. Bryant Duhon podaje, że według badań agencji Gartner Group obroty na tym rynku spadają i będą spadać z 1,9 miliarda \$ w 1997 r. do przewidywanych 1,2 miliarda \$ w 2003 roku<sup>17</sup>.

Innym przykładem stopniowej utraty przez mikroformy ich roli jako podstawowego nośnika dokumentów wtórnych jest zmiana założeń w europejskim rejestrze mikroform EROMM (European Register of Microform Masters)<sup>18</sup>. Celem przedsięwzięcia było początkowo utworzenie komputerowej bazy o charakterze centralnego katalogu mikroform w bibliotekach europejskich. Wychodząc z założenia, że łatwiej jest sporządzić kopię z istniejącej mikroformy lub ją wypożyczyć, niż wykonać samemu nową mikroformę z papierowego oryginału, twórcy EROMM postanowili usprawnić wymianę informacji o mikroformach już istniejących. Szybko jednak koordynatorzy projektu doszli do wniosku, że nie tylko dokumenty w postaci mikroform powinny znaleźć się w bazie i od pewnego czasu EROMM (pozostając przy dawnej, teraz nieco mylącej nazwie) informuje też o kopiach dokumentów w postaci cyfrowej<sup>19</sup>.

Jeszcze innym symptomem regresu mikrografii jest także wyraźny spadek liczby publikacji z tej dziedziny. Kryterium oceny sytuacji w jakiejś dziedzinie wiedzy lub działalności praktycznej człowieka jest właśnie bogactwo dostępnego piśmiennictwa, w szczególności stan czasopiśmiennictwa. Na tej podstawie można rzeczywiście mówić o wyraźnym spadku znaczenia mikrografii w bibliotekarstwie i archiwistyce, a przede wszystkim w obiegu informacji naukowej. Irena Kwaśniewska, pisząc w połowie lat osiemdziesiątych o jakoby rosnącej roli mi-

<sup>15</sup> C. Batt: *Information technology in public libraries*. London, LA Publishing 1998 s. 7.

<sup>16</sup> A. Jacquesson: *Automatyzacja bibliotek. Zarys historyczny, strategia, perspektywy*. Warszawa, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego 1999 s. 108.

<sup>17</sup> B. Duhon: *Technology – proof archival*. „Inform” 1999 vol. 13 no 8 s. 25.

<sup>18</sup> Pomijając wcześniejsze projekty pilotażowe, EROMM zasadniczo zainaugurował swoją działalność w 1994 r. z siedzibą na Uniwersytecie w Getyndze.

<sup>19</sup> Bieżące informacje o projekcie EROMM znaleźć można pod adresem internetowym <http://www.gbv.de/eromm>



krofisz w bibliotekarstwie i informacji naukowej (wówczas rzeczywiście wszystko na to wskazywało), podała też tytuły najważniejszych czasopism z dziedziny mikrografii<sup>20</sup>. Próbując udowodnić powyższą tezę na temat zmierzchu mikroform, wystarczy krótko prześledzić późniejsze dzieje tych czasopism. Pomocny w tym jest oczywiście najważniejszy informator o czasopismach z całego świata „Ulrich's international periodicals directory”. Już na wstępie można zaznaczyć, że wersja „UIPD” na CD dostarcza szybko argumentu o schyłku techniki mikrofilmowej. Oto według indeksu przedmiotowego „Ulrich's on CD” taka dziedzina jak mikrografia nie istnieje, a zbliżone hasła „microfilming” i „reprography” są tylko niewiele znaczącymi odsyłaczami do zbyt ogólnego hasła „photography”<sup>21</sup>. Z podanych przez Kwaśniewską tytułów czasopism nie istnieje już „IMC (International Micrographics Congress) Journal”. Ten zasłużony dla mikrografii międzynarodowy kwartalnik (ukazywał się 30 lat) został zawieszony w 1995 r. Inny tytuł podany przez Kwaśniewską – „The Journal of Micrographics” zmienił później nazwy i profil. Dziś nosi tytuł „Inform” i dotyczy zagadnień przetwarzania i przechowywania obrazów przy użyciu nowoczesnych technik<sup>22</sup>. Kolejny tytuł – kwartalnik „Microdoc” – także nie istnieje, ale przetrwał w pewnym sensie, bo został włączony do międzynarodowego czasopisma z dziedziny mikrografii – „International Journal of Micrographics & Optical Technology” (dwumiesięcznik ukazujący się w Wielkiej Brytanii). Kolejne wymienione przez Kwaśniewską czasopismo – amerykański kwartalnik „Microform Review” – także nie istnieje (BN w Warszawie ma jego zasób do 1993 r.), ale ma niejako kontynuatora w niemieckim czasopiśmie „Microform and Imaging Review” (kwartalnik). Pozostaje wreszcie do omówienia pismo „Reprographics Quarterly”. Ono także nie przetrwało. Przestało się ukazywać w 1991 r., a jego kontynuatorem jest dwumiesięcznik o bardzo zmienionym profilu – „Information Management and Technology”. Wynika z tego, że żadne liczące się w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych czasopismo mikrograficzne już nie istnieje. Albo zostały zawieszone, albo wyraźnie zmieniły swój profil, koncentrując się na przetwarzaniu informacji wizualnej za pomocą techniki komputerowej i nośników optycznych<sup>23</sup>.

Również polski czytelnik nie ma w ostatnich latach zbyt bogatego wyboru literatury z dziedziny mikrografii, z czego mógłby wysnuć nie do końca słuszny wniosek, iż jest to technologia schyłkowa. Można wręcz zaryzykować stwierdzenie, że wraz z zawieszeniem „APID” w 1990 r. mikrografia polska straciła periodyk będący naturalnym miejscem prezentacji tej problematyki. Od dawna nie ukazała się żadna polska monografia z tej dziedziny, a artykuły na temat dzisiejszej obecności mikroform w polskim bibliotekarstwie są wielką rzadkością. Kolejne zeszyty „Polskiej Bibliografii Bibliologicznej” z lat dziewięćdziesiątych przeważnie nie wykazują żadnych publikacji z dziedziny mikrografii. W mojej macierzystej placówce – Instytucie Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych Uniwersytetu Warszawskiego – od 1987 r. nie powstała żadna dysertacja

<sup>20</sup> I. Kwaśniewska: *Mikrofisze w bibliotece. Opracowanie, przechowywanie, udostępnianie*. „Aktualne Problemy Informacji i Dokumentacji” 1984 nr 1 s. 35.

<sup>21</sup> Według bazy „Ulrich's on CD” z 2000 roku.

<sup>22</sup> Pobieżny przegląd rocznika 1999 tego pisma pokazał, że problematyka mikrograficzna pojawia się tu bardzo rzadko.

<sup>23</sup> Osobom zainteresowanym zagadnieniami mikrografii, które zgodnie z powyższym odczuwają brak czasopism z tej dziedziny, warto polecić stronę internetową organizacji pod nazwą nomen omen FBI (Film-based Imaging), której celem jest znalezienie rozsądnych i efektywnych zastosowań mikroform w epoce komputerów. Adres: <http://www.aiim.org/fbi>.

(praca doktorska, magisterska, dyplomowa) z dziedziny mikrografii, choć w ogóle powstaje ich co roku kilkadziesiąt. Znamiennym przykładem może być pewien tekst Henryka Sawoniaka. W wyborze prac tego autora zatytułowanym *Biblioteki współczesne. Bibliografia. Informacja naukowa* znalazł się obszerny fragment na temat mikroform pt. „Mikroformy, nowa postać dokumentów i zagadnienia gromadzenia ich w bibliotekach”. Czytelnik szybko się zorientuje, że omawiana książka jest kompilacją tekstów Sawoniaka z różnych lat, ale w przypadku wspomnianego fragmentu na temat mikroform istotna jest informacja, że mamy do czynienia z pierwodrukiem. Książka została wydana stosunkowo niedawno, bo w 1995 r., a skoro fragment o mikroformach ma być pierwodrukiem, mniej uważny czytelnik może wysnuć wniosek, że informacje tam zawarte dotyczą aktualnej sytuacji mikroform w bibliotekarstwie światowym. Tymczasem okazuje się, że wydawcy książki podali nieprawdziwą informację o tym, że tekst jest pierwodrukiem. Faktycznie bowiem ukazał się już ponad dwadzieścia lat temu jako materiał konferencyjny, a następnie w 1980 r. w „Przeglądzie Bibliotecznym”. Bardziej uważny czytelnik dostrzeże zresztą, że podane w przypisach tytuły pochodzą głównie z lat siedemdziesiątych. Zatem z odpowiednim dystansem należy podejść do tekstu Sawoniaka, bo fakt, że został opublikowany w 1995 r. nie oznacza, iż ma on walor aktualności. Wręcz przeciwnie. Takie zdania na temat mikroform jak:

*(...) będą one coraz bardziej czytane przez indywidualnych użytkowników poza biblioteką, w domu, na własnych czytnikach,  
i na temat samych czytników*

*Powinny się one upowszechnić wśród odbiorców indywidualnych, którzy będą musieli korzystać z mikroedycji, bo coraz więcej dokumentów tylko w tej postaci będzie dostępnych<sup>24</sup>,*

nie są żadnymi przepowiedniami na temat znaczenia mikroform w początkach XXI wieku, natomiast negatywnie zweryfikowanymi twierdzeniami sprzed dwóch dekad. W nawiązaniu do wypowiedzi Sawoniaka warto przypomnieć stwierdzenia zawarte w nieco późniejszym raporcie Biblioteki Narodowej pod znamiennym tytułem *Stan i perspektywy bibliotekarstwa polskiego do roku 2000*. W tej przepowiedni opublikowanej w 1987 r. czytamy w odniesieniu do problematyki reprograficznej, że:

*(...) w ciągu najbliższego dziesięciolecia powinno się upowszechnić kopiowanie tekstów na oczekaniu metodą kserograficzną oraz mikrokopiowanie, zwłaszcza z użyciem mikrofisz i przenośnych czytników. Czytniki typu portable powinny być dostępne nie tylko w bibliotece, ale także za niewielką opłatą wypożyczone<sup>25</sup>.*

Faktem jest, iż zjawisko określane przez Umberto Eco mianem „kserokultury” bardzo szybko stało się powszechne, ale odnośnie do możliwości wypożyczenia czytników mikrofisz do domu prognoza z raportu Biblioteki Narodowej zupełnie się nie sprawdziła.

Przegląd polskiego piśmiennictwa prowadziłby więc do wniosku, że mikrografia przeżywała u nas swój okres świetności w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy ukazywały się monografie tej dziedziny. Obecnie takich prac nie ma, a zagadnienia mikrograficzne pojawiają się niejako przy okazji. Taką smutną okazją była powódź z 1997 r., która wyrządziła wielkie szkody

<sup>24</sup> H. Sawoniak: *Biblioteki współczesne. Bibliografia. Informacja naukowa*. Katowice, Instytut Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej w Katowicach 1995, s. 138.

<sup>25</sup> *Stan i perspektywy bibliotekarstwa polskiego do roku 2000*. Oprac. J. Kołodziejska. Warszawa, Biblioteka Narodowa 1987, s. 27.

także w zbiorach bibliotek Dolnego Śląska. W polskim piśmiennictwie bibliologicznym pojawiło się więc kilka interesujących publikacji z dziedziny konserwacji zbiorów, a więc przy okazji także z dziedziny mikrografii. Wynikałoby z tych tekstów wcale nie najgorszy stan tej dziedziny w Polsce. Być może pewnym symptomem regresu mógłby być fakt zmniejszenia się liczby pracowni mikrograficznych w bibliotekach polskich z 39 (w 1995 roku) do 32 (według badań ankietowych z 1998 r.)<sup>26</sup>. Ale z drugiej strony z tej samej ankiety wynika, że istniejące w polskich bibliotekach pracownie mikrograficzne nie działają na zasadzie inercji, ale że kontynuują szeroko zakrojone programy zabezpieczania zbiorów, że zwiększyło się w nich zatrudnienie, i że dokonują zakupów nowego sprzętu mikrograficznego, w tym najnowszej generacji kamer mikrofilmowych i skanerów mikrofilmowych.

Jeszcze jednym przykładem będącym argumentem za tezą o regresie mikrografii są dzieje normy opisu bibliograficznego dla mikroform; normy której nie ma i nie będzie. W postanowieniach ogólnych (arkusz 00) dla polskiej normy opisu bibliograficznego w zasadzie nie przewidziano odrębnego arkusza dla opisu bibliograficznego mikroform, jednak dopuszczano możliwość, że w przyszłości arkusz 07, zaplanowany dla dokumentów audiowizualnych, zostanie rozbity i wśród wydzielonych w ten sposób nowych arkuszy znajdzie się arkusz poświęcony mikroformom<sup>27</sup>. Dziś już jednak wiemy, że tak się nie stanie. Mikrografia polska nie cierpi na brak dokumentów normalizacyjnych. Do najważniejszych należą normy:

PN-77-N-01186 *Technika mikrofilmowa. Mikroformy. Zasady ewidencjonowania.*

PN-82-N-01185 *Technika mikrofilmowa. Terminologia.*

PN-87-N-01174 *Technika mikrofilmowa (Mikrografia). Mikrofilmy zwojowe.*

Ale tej jednej, tak ważnej dla opracowania formalnego, nie będzie. Na pewno stało się to z powodu zanikania mikroform w funkcji nośników dokumentów prymarnych, bo gdy mikroforma pełni jedynie rolę dokumentu wtórnego dla papierowej książki lub czasopisma, wówczas opracowuje się ją zgodnie z zasadami opisu książki lub wydawnictwa ciągłego, z zaznaczeniem w uwagach, iż dokument ma postać mikroformy.

Wobec dotychczasowych stwierdzeń powstaje pytanie, czy słusznym byłoby wstrzymanie inwestowania w mikroografię i przeniesienie całości tych środków na realizację programów zabezpieczania zbiorów w postaci cyfrowej. Profesjonaliści odpowiadają, że nie!

Do głosów, które właśnie w rzeczowy sposób rozważają przydatność mikroform w epoce cyfrowej należy raport Michaela Leska sporządzony dla Komisji Zabezpieczenia Zbiorów i Dostępu w Waszyngtonie. Lesk pisał m.in. co następuje:

*Od pewnego czasu biblioteki dokonują konwersji książek, czasopism i gazet do formatów bardziej trwałych, łatwiejszych i tańszych w kopiowaniu oraz bardziej zwartych, [czyli zajmujących mniej przestrzeni magazynowej – przyp. aut.]. Do tej pory najważniejszym z tych formatów był mikrofilm, który jest opcją bezpiecznego, trwałego i niedrogiego zabezpieczania dokumentów. Cyfrowe obrazy są jednak obecnie atrakcyjną i obiecującą alternatywą, coraz bardziej dostępną dla bibliotek<sup>28</sup>.*

<sup>26</sup> H. Jankowska: *Organizacja i funkcjonowanie pracowni reprograficznych w bibliotekach polskich (na podstawie ankiety)*. W: *Ochrona i konserwacja zbiorów bibliotecznych. Materiały z ogólnopolskiej konferencji. Warszawa 15-17 października 1998 r.* Warszawa, SBP 1998 s. 170.

<sup>27</sup> *Opis bibliograficzny. Postanowienia ogólne. PN-82-N-01152.00.* Warszawa, Polski Komitet Normalizacji, Miar i Jakości 1982 s. 6.

<sup>28</sup> M. Lesk: *Image formats for preservation and access*. „Information Technology and Libraries” 1990 vol. 9 no 4 s. 300. (Tekst dostępny również na stronie internetowej IFLA pod adresem <http://www.ifla.org/documents/libraries/net/lesk.txt>)

Ta atrakcyjność i dostępność jest dziś, po upływie dekady, dużo większa ze względu na wyraźny spadek cen sprzętu komputerowego przy jednoczesnym zwiększeniu jego możliwości obliczeniowych i pojemności pamięci. Dokonane więc przez Leska obliczenia opłacalności zabezpieczania zbiorów w postaci mikroform i w postaci cyfrowej są dziś nieaktualne, a nowe porównanie tych kosztów przemawiałoby bardziej za opcją cyfrową. Jeszcze niedawno takie wyliczenia przemawiały rzeczywiście na korzyść mikroform. Ewa Krysiak w artykule z 1993 r., powołując się na kalkulacje niemieckie, podawała, że koszt przechowywania przez rok jednej strony tekstu na mikrofilmie wynosi 8 fenigów, a ten sam koszt w przypadku dysku optycznego wyniósłby 49 fenigów<sup>29</sup>. Zważywszy jednak, że od tamtego czasu ceny dysków spadły przynajmniej 20-krotnie, argumenty ekonomiczne za mikroformami należy traktować ostrożnie. Ważna jest jednak informacja – powracając do raportu Leska – iż mimo faktu, że autor ten jest w omawianym raporcie i w późniejszych tekstach zdeklarowanym rzecznikiem nowych nośników cyfrowych, to jednak swój raport kończy słowami:

*Odrzucenie mikroform tylko dlatego, że nadchodzi epoka cyfrowa, mogłoby tylko doprowadzić do dalszego niszczenia cennych ksiąg*<sup>30</sup>.

Zatem mikroforma w epoce cyfrowej może pełnić nadal rolę archiwizacyjną, a rozwój odpowiedniej technologii powinien ułatwić jej rolę pośrednika między dokumentem papierowym a elektronicznym. Niezbędnym rozwiązaniem będzie więc pogodzenie cyfrowych nośników informacji z analogowymi mikroformami. Pozwoli to wielu bibliotekarzom pozbyć się nieprzyjemnego, acz niesłusznego uczucia, że tworząc przez lata zbiory mikroform, inwestowali w technologię, która wydaje się być *passé*. Nowoczesne urządzenia integrujące w sobie czytnik mikroform i komputer dają poczucie ciągłości i łagodnego przejścia z jednego środowiska do drugiego. Lesk podaje przy tym ciekawy argument, że dygitalizacja dokumentu wprost z mikrofilmu kosztuje 1 do 2 centów, a dygitalizacja polegająca na skanowaniu oryginalnych dokumentów papierowych kosztuje 13-28 centów<sup>31</sup>. W tym wypadku taniejąca technika komputerowa występuje po obu stronach rachunku, wobec tego niewykluczone jest, że przedstawiona relacja zachowana jest do dziś.

W dyskusjach porównujących możliwości archiwizacyjne mikroform i dokumentów elektronicznych dają znać o sobie także czynniki natury psychologicznej. Zarówno Lesk, jak i inni autorzy podkreślają niechęć z jaką potencjalni użytkownicy podchodzą do mikroform. Mogę te słowa z własnego doświadczenia zawodowego całkowicie potwierdzić. Nie raz bowiem w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie obserwowałem rozczarowanie czytelników na wieść, że dany tytuł udostępniany jest wyłącznie w postaci mikrofilmu. Mikroformy są dużo mniej ergonomicznym nośnikiem niż dokumenty drukowane. Paradoksalnie nawet największy i najgrubszy wolumin papierowy jest chętniej czytany niż mała i lekka jego kopia mikrofilmowa. Powodem niechęci jest m.in. stosunkowo duży czas dostępu do żądanej klatki filmu. Dotyczy to przede wszystkim mikrofilmów zwojowych, ale w pewnym stopniu także mikrofisz, w przypadku których znalezienie odpowiedniej klatki także wymaga cierpliwości i „pewnej” ręki. Z kolei według Herberta Landaua obserwowany do dziś opór użytkowników wobec mikroform spowodowały nie tyle one same, co dawniej produ-

<sup>29</sup> E. Krysiak: *Przechowywanie optyczno-elektroniczne alternatywą mikrofilmowania?* „Bibliotekarz” 1993 nr 5 s. 14.

<sup>30</sup> M. Lesk: *Image formats for preservation...*, op. cit. s. 308.

<sup>31</sup> Tamże, s. 307.

kowane skomplikowane i trudne w użyciu czytniki i czytniko-kopiarki<sup>32</sup>. Nowoczesne automatyczne urządzenia tego typu, stosujące system indeksowania klitek, pozwalają dzisiejszemu użytkownikowi szybciej i łatwiej wyszukać żądany fragment filmu, ale atawistyczna niechęć pozostała. Zresztą mikroform nie lubią nie tylko ich faktyczni użytkownicy, ale także inni bywalcy bibliotek zmuszeni niekiedy do korzystania z dokumentów papierowych w sąsiedztwie osób przewijających zwoje mikrofilmów. Hałas temu towarzyszący irytuje jednych i deprymuje drugich. Oczywiście w tym wypadku rozwiązaniem problemu powinno być utworzenie w bibliotece odrębnej czytelni mikroform, ale jak pokazują badania, tylko nieliczne biblioteki stać na takie rozwiązanie. Nie są to co prawda badania nowe (ostatnie ankiety nie zawierają takich danych), ale trudno przypuszczać, by coś w tej dziedzinie diametralnie się zmieniło. Oto więc na podstawie badań ankietowych z 1978 r. stwierdzono, że spośród 150 polskich bibliotek biorących udział w ankiecie zaledwie pięć miało odrębne lektoria mikrofilmowe<sup>33</sup>. W pozostałych bibliotekach czytelnicy dokumentów papierowych i mikroform musieli więc wzajemnie znosić swoją obecność w czytelniach ogólnych bądź czytelniach czasopism. Warto w tym miejscu przypomnieć inne wyniki tamtych badań, z których wynikało, że nawet w okresie rozkwitu mikrografii, wykorzystanie mikroform przez czytelników bywało znikome. Oto ankieta podaje, że w Bibliotece Akademii Rolniczej w Krakowie, mającej wówczas 8 czytników mikrofilmów (czyli więcej niż wówczas miała większa od niej Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie) skorzystało z nich w ciągu jednego roku tylko 10 czytelników, a w tym samym roku czytnik w czytelni Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego wykorzystany był tylko raz!<sup>34</sup> To wystarczy za cały komentarz na temat stosunku czytelników do mikroform. Umniejsza to rolę mikroform w udostępnianiu dokumentów, ale w pewnych sytuacjach czytelnicy są bez wyjścia. Mogą skorzystać z dokumentu w postaci mikroformy, albo wcale.

Nie można dyskutować z faktem, że dokumenty elektroniczne przewyższają mikroformy w funkcji udostępniania i dystrybucji informacji. Jeśli więc celem archiwizacji dokumentu papierowego miałyby być późniejsze jego udostępnianie przy użyciu utworzonego w ten sposób dokumentu wtórnego, to mikroforma nie jest najlepszym rozwiązaniem. Możliwości dystrybucji informacji przy jej użyciu nie odpowiadają potrzebom skomputeryzowanego społeczeństwa informacyjnego. Dlatego dalsze jej stosowanie wymaga kalkulacji potrzeb i możliwych do osiągnięcia rezultatów. Taką właśnie kalkulację zaleca różnym instytucjom stosującym do tej pory mikroformy B. Duhon pisząc:

*Mikrofilm nie jest dla każdego. Żeby zbadać, czy potrzebne wam są mikroformy, przeprowadźcie analizę kosztów(...) i pamiętajcie: mikrofilm nie jest odpowiedni dla szybkiego dostępu do informacji. Jednakowoż, dla długotrwałej archiwizacji i przy niskich kosztach odzyskiwania danych, mikrofilm może być odpowiedzią na twoje potrzeby w zakresie przechowywania dokumentów*<sup>35</sup>.

Do wypowiedzi, w których ich autorzy porównują możliwości mikroform i dokumentów elektronicznych z konkluzją, iż nadal mikroformy efektywnie i ekonomicznie wypełniają funkcję zabezpieczania zbiorów, należy także tekst

<sup>32</sup> H. B. Landau: *Microform vs. CD-ROM: is there a difference?* „Library Journal” 1990 vol. 115 no 16 s. 58.

<sup>33</sup> K. Zawadzki: *Z problemów mikrofilmowania zbiorów bibliotecznych*. „Rocznik Biblioteki Narodowej” 1980 s. 337.

<sup>34</sup> Tamże, s.340.

<sup>35</sup> B. Duhon: *Technology – proof archival...*, op. cit. s. 26.

M. Stuerta Lynna. Autor ten również jest przekonany, iż mikroformy nadal powinny pełnić funkcję archiwizacyjną, a powodem tego jest ich ogromna trwałość. Rzeczywiście, zestawienie wskaźników trwałości poszczególnych nośników informacji jest frapujące. Wiadomo, że papier o właściwościach zasadowych gwarantuje długowieczność powierzonym mu drukom. Ale nawet dużo gorszej jakości tzw. kwaśny papier ma w porównaniu z innymi nośnikami informacji zadowalające wskaźniki trwałości. Według Lynna większość produktów papierowych począwszy od połowy XIX w. ma okres używalności krótszy niż 100 lat. Trwałość zapisu cyfrowego na nośnikach optycznych można określić jedynie na podstawie symulacyjnych testów laboratoryjnych. Najbardziej optymistycznie mówi się o stuletnim okresie trwałości<sup>36</sup>. Mniej optymistyczne dane mówią o 10-30 latach. Z kolei trwałość zapisu magnetycznego (w tym wideo) ocenia się na jeszcze krócej – kilkadziesiąt lat. Tymczasem zwój mikrofilmu o podłożu srebrnym powinien zachować jakość przez 500 lat<sup>37</sup>. Byłaby to nawet trwałość minimalna, bo jak twierdzi Zbigniew Klawender, firma Kodak przeprowadziła laboratoryjną symulację trwałości swoich produktów i uzyskała wynik 1600 lat!<sup>38</sup>. Pewność odczytania dokumentu na mikrofilmie za kilkadziesiąt lat dzięki kilkukrotnie większej trwałości mikroform niż dokumentów na nośnikach optycznych i magnetycznych, zwiększa dodatkowo fakt, iż czytnik mikroform w swej idei jest urządzeniem nieskomplikowanym. Ten prosty układ mocnej żarówki, soczewki i lustro jest w stanie wykonać każdy majsterkowicz. Natomiast technologia zapisu i odczytu dokumentów elektronicznych jest na tyle skomplikowana, że dziś, w zaledwie kilka lat po wyjściu z użytku dysków elastycznych 5 1/4", ich użytkownicy nie są w stanie ich odczytać.

W dyskusji o wadach i zaletach dysków optycznych i mikroform zabrała głos także Wiesława Gmiterek. Oprócz podanych już argumentów za mikroformami, stwierdzających ich trwałość i prostotę, Gmiterek dodaje też rozdzielczość reprodukowanych obrazów. W przypadku mikroform rozdzielczość sięga 1000 dpi, natomiast podczas skanowania wynikowy plik graficzny ma zazwyczaj rozdzielczość 200-300 dpi (a nawet 150). Oczywiście współczesne skanery mają możliwość zapisu z większą rozdzielczością, ale spowalnia to proces dygitalizacji i daje w efekcie duże pliki, które zajmują przestrzeń dyskową i spowalniają proces dalszej obróbki<sup>39</sup>.

Teza o zmierzchu mikroform zdecydowanie mniej dotyczy rozwiniętego bibliotekarstwa zachodniego. Jest w tym bowiem pewien paradoks, że w krajach, gdzie szybciej wdrażano nowe technologie, również technika mikrograficzna została szybciej i w większym stopniu zaimplementowana. Biblioteki zachodnie mają dziś dobrze wyposażone pracownie mikrograficzne i bogate zbiory mikroform, nie będą więc skłonne szybko rezygnować z tego medium. Jim Laflin twierdzi nawet – co może być pewnym zaskoczeniem – że mikroformy są na tyle

---

<sup>36</sup> Bronisław Zyska podał nawet (B. Zyska: *Ochrona zbiorów bibliotecznych...*, op. cit. s. 82), choć też z pewnym powątpiewaniem, że trwałość zapisu magnetycznego i optycznego sięgałaby nawet 200 lat z zastrzeżeniem częstego kopiowania. Powiedzmy więc, że częste kopiowanie dokumentu elektronicznego zapisanego na nośniku optycznym lub magnetycznym faktycznie dałoby mu wieczność, ale dokument analogowy w ten sposób traciłby za każdym razem na jakości.

<sup>37</sup> M.S. Lynn: *Preservation and access technology: the relationship between digital and other media conversion processes: a structured glossary of technical terms*. „Information Technology and Libraries” 1990 vol. 9 no 4 s. 330.

<sup>38</sup> Z. Klawender: *Mikrofilmy jako formy zastępcze udostępniania zbiorów*. W: *Ratowanie i ochrona zbiorów*. Warszawa, BN 1998 s. 86.

<sup>39</sup> W. Gmiterek: *Mikrofilm a komputeryzacja bibliotek*. „Bibliotekarz” 1997 nr 7-8 s. 14.

mocno zakorzenione jako medium archiwizacyjne, że niektóre instytucje archiwizują w postaci mikroform nie tylko swoje dokumenty papierowe, ale także dane komputerowe<sup>40</sup>. O stopniu zainwestowania bibliotekarstwa zachodniego w technikę mikrograficzną świadczy także dalsza wypowiedź Laflina, z której wynika, że według różnych badań, od 10 do 25% informacji zgromadzonych w bibliotekach ma postać mikroform<sup>41</sup>. W tym miejscu warto dodać, że według Bronisława Zyski w bibliotekach naukowych USA jest dziś nawet więcej dokumentów w postaci mikroform niż dokumentów drukowanych na papierze<sup>42</sup>.

Bogate, a więc dobrze wyposażone bibliotekarstwo zachodnie udowadnia jednak, że przełom analogowo-cyfrowy w odniesieniu do mikrografii może przebiegać bardzo spokojnie, a odpowiednia technika pozwala wykorzystać zalety obu form przechowywania informacji (analogowej na mikrofilmie i cyfrowej w postaci dokumentu elektronicznego). Dzisiaj produkowane czytniki mikroform są dużo bardziej zaawansowane technologicznie niż proste w działaniu, ale mało wydajne czytniki produkowane dawniej. Współczesne urządzenia tego typu to hybrydy, które jednocześnie pełnią funkcję czytnika mikroform, skanera z wyjściem na PC i drukarki laserowej. Pozwalają więc bibliotekarzom bez emocji spojrzeć na fakt, że przez lata tworzyli zbiory dokumentów na nośniku, który mimo pewnych swych zalet ustępuje miejsca nowej technologii cyfrowej. Dzięki skanerom mikrofilmowym konwersja mikrofilmu do postaci cyfrowej nie jest żadnym problemem, a więc udowadniają one twierdzenie Caroline Lally, iż:

*(...) mikroformy i dokumenty cyfrowe wzajemnie się nie wykluczają, natomiast faktycznie oba media bardzo dobrze się integrują, a ich kombinacja pozwala rozwiązać wiele problemów w zarządzaniu dokumentami*<sup>43</sup>.

Tekst Laflina prezentujący najnowsze urządzenia integrujące technikę mikrofilmową z techniką komputerową pokazuje jednocześnie, jak szybko potrafią się spełniać niektóre przepowiednie. Oto bowiem kilka lat wcześniej cytowany wcześniej Herbert Landau pisał w „Library Journal”:

*Być może w niedalekiej przyszłości ujrzymy mariaż technologii mikrograficznej i magnetoptycznej. Dokumenty mogłyby być archiwizowane na mikrofilmie, a potem, gdyby była taka potrzeba, można by dokonywać konwersji do postaci cyfrowej za pomocą szybkich skanerów mikrofilmowych, a następnie przysyłać za pośrednictwem mediów optycznych takich jak CD-ROM lub bezpośrednio z komputera do komputera jako elektroniczny obraz*<sup>44</sup>.

Wiara Landaua w integrację mikrografii i informatyki<sup>45</sup> (jak widać szybko spełniona) pozwoliła mu na postawienie tezy, iż mikroformy mają przed sobą jeszcze co najmniej 50 letnią przyszłość. Według niego tylko te biblioteki w przyszłości najlepiej wypełnią swoje funkcje, które zdołają wykorzystać najlepsze cechy różnych nośników informacji, zatem swój artykuł pełen wiary w przyszłość mikrografii zakończył patetycznym hasłem: „Niech żyje różnorodność”<sup>46</sup>.

---

<sup>40</sup> J. Laflin: *Microfilm scanners. Bridging the gap between micrographic and electronic document management systems*. „Information Management & Technology” 1998 vol. 31 no 2 s. 65.

<sup>41</sup> Tamże, s. 65.

<sup>42</sup> B. Zyska: *Ochrona zbiorów bibliotecznych...*, op. cit. s. 88.

<sup>43</sup> C. Lally: *Combining microfilm and electronic imaging*. „ASLIB Information” 1992 vol. 20 no 9 s. 342.

<sup>44</sup> H. B. Landau: *Microform vs. CD-ROM: is there a difference?* „Library Journal” 1990 vol. 115 no 16 s. 59.

<sup>45</sup> De facto nie jest ona niczym nowym, a dowodem są znane od dawna mikrofiszki typu COM (Computer Output Microfilm), których wykonanie polegało na zbieraniu danych z monitora komputerowego i zapisywaniu ich na materiale światłoczułym.

<sup>46</sup> H. B. Landau: *Microform vs. CD-ROM...*, op. cit., s. 59.

Tę różnorodność biblioteki zachodnie na razie zamierzają utrzymać. Dowodem na tę tezę, a jednocześnie dowodem, iż opisywane wyżej przez Laflina nowe urządzenia integrujące czytnik mikroform z komputerem nie są jedynie ciekawostką techniczną, ale poważnym wsparciem dla bibliotekarstwa, jest artykuł Meg Bellinger. Autorka daje w nim przykłady prowadzonych w ostatnich latach projektów realizowanych przez część koncernu OCLC zwaną Preservation Resources, a których celem jest dygitalizacja zasobów mikrofilmowych bibliotek amerykańskich. Właśnie z wykorzystaniem najnowocześniejszych skanerów mikrofilmowych Preservation Resources dokonało lub zamierza wkrótce dokonać przeniesienia do postaci cyfrowej milionów klatek dokumentów mikrofilmowych<sup>47</sup>. Bellinger jest podobnego zdania co Landau, że w ciągu najbliższych dekad mikroformy powinny pełnić rolę nośnika najlepiej służącego zabezpieczeniu zbiorów, a dobrym przykładem jest amerykański program zabezpieczania zbiorów czasopism (U.S. Newspaper Program), którego celem jest utrwalenie na mikrofilmach do 2009 r. zasobu 2 milionów woluminów czasopism, a dającego w efekcie 300 milionów klatek mikrofilmów<sup>48</sup>. Widzimy więc, że jednocześnie prowadzi się szerokie programy dygitalizacji mikroform, ale też nie zwalnia się tego nośnika z jego dotychczasowych zadań zabezpieczania zbiorów.

W wypowiedziach na temat przydatności mikroform w epoce dokumentów elektronicznych dominuje pogląd, że mikroformy powinny zachować funkcję archiwizacyjną i służyć jako pośrednik w dygitalizacji dokumentów papierowych. Na zakończenie tej części zacytujmy jeszcze Russa Burkela, dla którego wiara w nośniki cyfrowe jest oznaką choroby zwanej dygitalną amnezją. Burkel apeluje:

*Przechowujcie informację w formie analogowej na wysokiej jakości mikroformach i nauczcie komputer czytać je z dużą prędkością. De facto przecież, odczytanie wysokiej jakości mikrofilmów typu COM przy użyciu programów typu OCR jest chwilką. Powinno być więc łatwym i niedrogim wyleczenie pacjentów chorych na dygitalną amnezję<sup>49</sup>.*

Niewykorzystanie możliwości zapisu cyfrowego w gromadzeniu, wyszukiwaniu i przekazywaniu informacji byłoby błędem. Burkel słusznie jednak robi, w pełni ufając nośnikom analogowym. Zaslugują na to dzięki swej trwałości. Całkowita z nich rezygnacja byłaby więc błędem jeszcze większym.

## ZASTOSOWANIA PŁYTY KOMPAKTOWEJ

Zastosowanie zapisu cyfrowego zamiast analogowego oraz odczytu laserowego przeniosło możliwości zapisu sygnałów audio, wideo i danych komputerowych na wyższy poziom. Odczyt laserowy zastosowano początkowo w dużych płytach wizyjnych przypominających kształtem płyty gramofonowe. Sukcesorka płyty wizyjnej – płyta CD w dwóch zasadniczych formatach: CD-DA jako nośnik sygnału audio i CD-ROM jako nośnik danych komputerowych, zrobiła szybko na świecie oszałamiającą karierę. Wystarczy podać, że liczba tytułów na płytach

<sup>47</sup> M. Bellinger: *The transformation from microfilm to digital storage and access*. „Journal of Library Administration” 1998 vol. 25 no 4 s. 181-185.

<sup>48</sup> Tamże, s. 178.

<sup>49</sup> R. Burkel: *Digital amnesia*. – <http://www.aiim.org/fbi/micro.cfm>. [OCR to typ programów komputerowych potrafiących rozpoznawać litery w pliku graficznym i zamieniać je na znaki w kodzie ASCII. Więcej na ten temat w kolejnych rozdziałach].



CD-ROM w ciągu zaledwie 5 lat od momentu debiutu tego formatu (a ściśle od roku 1986, gdy międzynarodowe wydawnictwo Task Force Pro Libra zaczęło monitorować ten rynek) wzrosła z 94 do blisko 6 tysięcy, a sprzedaż czytników CD-ROM w tym czasie wzrosła z 9000 sztuk do 2,9 miliona sztuk<sup>50</sup>. Z kolei według raportu firmy InfoTech w 1997 r. sprzedano na świecie już 74,1 miliona czytników CD-ROM<sup>51</sup>. Ten sam rok był jednak momentem przełomowym dla formatu CD-ROM. W tym czasie zadebiutował bowiem format DVD, a również nastąpił wzrost zainteresowania kasowalnymi płytami CD-RW. Te fakty musiały spowodować spadek zainteresowania nie tyle samym formatem płyt CD-ROM, co na pewno urządzeniami służącymi jedynie do ich odczytu. Dziś więc mówi się o zmierzchu zwykłych czytników CD-ROM. Na przykład w połowie 2000 r. firma Philips zakończyła produkcję tych urządzeń, skupiając się wyłącznie na wytwarzaniu nagrywarek CD-RW i czytników DVD<sup>52</sup>. Dalszym krokiem rewolucjonizującym rynek napędów płyt optycznych będzie zastąpienie napędów DVD-ROM, pozwalających jedynie na odtwarzanie nagrań audio-wideo, urządzeniami typu DVD-RAM, które umożliwiają wielokrotny zapis płyt. Zejście z obecnej ceny wynoszącej ponad 2000 dolarów do poziomu aprobowanego przez gospodarstwa domowe, czyli około 300 dolarów powinno nastąpić w ciągu 3-5 lat. Tak optymistyczne założenia wynikają z faktu, że obecna cena odtwarzaczy DVD-ROM zeszła już poniżej 200 dolarów. Z raportu agencji Freeman Associates (jeszcze z roku 1997) na temat rynku napędów i nośników optycznych wynikało, że w 2002 r. nastąpi całkowite zastąpienie płyt CD-ROM płytami DVD<sup>53</sup>. Te śmiałe przepowiednie, sformułowane przecież w chwili debiutu formatu DVD, mają dużą szansę się sprawdzić. Według innego raportu firmy InfoTech wartość sprzedaży produktów na CD-ROM i na DVD zrówna się w świecie na poziomie 40 milionów dolarów (po tyle dla obu nośników) około połowy 2001 roku. Tyle, że w tym czasie sprzedaż produktów na CD-ROM będzie już od dwóch lat systematycznie maleć, a sprzedaż produktów na DVD będzie stale rosnąć, aż w połowie 2002 r. pobije rekord sprzedaży produktów na CD-ROM osiągnięty w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku i wynoszący 60 mln dolarów<sup>54</sup>.

Trzy lata przed oficjalnym zaprezentowaniem możliwości płyty optycznej w formacie CD-ROM (Compact Disc – Read Only Memory, 1985) zadebiutowała płyta CD-DA (Compact Disc – Digital Audio) jako nośnik nagrań dźwiękowych (1982). Pewnym paradoksem jest, że płyta gramofonowa, która miała być zastąpiona nową optyczną techniką cyfrowego dźwięku, dużo dłużej się utrzymała w bogatszych i lepiej rozwiniętych technologicznie krajach. Podczas gdy w Polsce w połowie lat dziewięćdziesiątych czarne płyty gramofonowe można było kupić już tylko jako przecenione pojedyncze egzemplarze w prowincjonalnych księgarniach, w renomowanych sklepach płytowych na londyńskiej Oxford Street można było spotkać wciąż bogaty wybór czarnych krążków; w tym także nowości. Nadal ukazywały się tam równolegle edycje: kompaktowa, kasetowa i gramofonowa nowego produktu fonograficznego.

<sup>50</sup> B. Steinbrink: *Multimedia...*, op. cit. s. 118-120.

<sup>51</sup> *CD-ROM installed base approaches 200 million*. „Computers in Libraries” 1998 vol. 18 no 4 s. 58.

<sup>52</sup> W. Pawłowicz: *Zmierzch CD-ROM*. „Computerworld” 2000 nr 7 s. 18.

<sup>53</sup> *DVD is predicted to edge out CD-ROM by 2001*. „Computers in Libraries” 1998 vol. 18 no 4 s. 58.

<sup>54</sup> D. Jessop: *DVD basics for libraries and information centers*. „Computers in Libraries” 1998 vol. 18 no 4 s. 65.

Drugi analogowy nośnik audio – format Compact Cassette Philipsa – ma bardzo ustabilizowaną sytuację na rynku. Nie licząc małych kaset stosowanych w dyktafonach i automatycznych sekretarkach, których nie bierze się pod uwagę w rozważaniach na temat nośników audio gromadzonych w bibliotekach, kaseeta według patentu Philipsa z 1963 r. nie ma obecnie żadnych konkurentów na polu nośników analogowego dźwięku. Stosowane niegdyś kasetki typu „cartridge” już dawno wyszły z użytku, a na ich niekorzyść przemawiał fakt, iż służyły jedynie do odtwarzania<sup>55</sup>. Zresztą nie zdobyły dużej popularności (poza półkulą zachodnią), a do Polski z wyjątkiem niewielkiego prywatnego importu nie dotarły w ogóle<sup>56</sup>.

Podobnie jak płyta gramofonowa, kaseeta audio również napotkała w pewnym momencie swego cyfrowego konkurenta, ale pojedynku nie przegrała. Kasetki firmy SONY formatu DAT (Digital Audio Tape) oraz firmy Philips formatu DCC (Digital Compact Cassette), choć przewyższające kasetki analogowe jakością i możliwościami szybkiego wyszukiwania zindeksowanych nagrań, nie zdołały wyprzeć popularnych kaset analogowych z rynku. Na pewno zdecydowała o tym prosta budowa tych ostatnich i dużo niższa cena. Jest oczywiste, że skoro kasetki cyfrowe nie stały się popularnym nośnikiem na rynku audio, a showbiznes nie potraktował ich jako możliwego nośnika dla dystrybucji swoich produktów, to tym bardziej trudno spodziewać się obecności kasetki typu DAT w bibliotekach. Według wspomnianych wcześniej danych z Biblioteki Narodowej, na 5,5 tysiąca kaset audio BN nie miała ani jednej w tym formacie. Skoro więc nie zdołały wyprzeć z rynku kasetki analogowej jej cyfrowe kasetkowe pretendenci, tym bardziej nie mogła tego dokonać płyta w formacie CD-DA, która przecież nie dawała możliwości wielokrotnego zapisywania i kasowania nagrań. Należy też pamiętać, iż istotnym obszarem zastosowań kasetki audio są przenośne odtwarzacze i radiomagnetofony samochodowe, a w swych początkach płyta CD nie mogła być zastosowana na tym polu ze względu na czułość urządzeń odczytujących na wstrząsy. Dopiero opracowanie systemu antywstrząsowego (ESP – Electronic Shock Protection) umożliwiło normalne bezstresowe odtwarzanie w discmanach i innych przenośnych urządzeniach<sup>57</sup>. Bardziej jednak tradycja i niska cena niż nowinki techniczne przekonały użytkowników tradycyjnych kasetki do ich dalszego stosowania. Kolejnym takim sprawdzianem „odporności” kasetki audio na konkurencję będzie stopniowe wchodzenie na rynek urządzeń typu DVD-RAM. Ich głównym zastosowaniem, podobnie jak obecnych DVD-ROM, będą z pewnością filmy wideo, ale można również wyobrazić sobie ich zastosowanie jako nośników dźwięku. Już płyta DVD-5 oferuje ponad 4 GB miejsca na dane. Dla przykładu więc, zmieściłyby się na niej wszystkie płyty długogrające zespołu The Beatles. Na bardziej pojemnej płycie DVD mogłyby dodatkowo zmieścić się wszystkie single, które nie ukazały się na dużych płytach oraz dodatkowe pliki multimedialne (hiperteksty, fotografie, fragmenty filmów i in.). Mierzona już gigabajtami pojemność dysków optycznych i możliwość wielokrotnego zapisu to dodatko-

<sup>55</sup> G. R. Barkholz: *Audiotapes. W: Nonbook media. Collection management and user services.* J. W. Ellison, P. A. Coty, ed. Chicago, ALA 1987 s. 24.

<sup>56</sup> Ciekawym rozwiązaniem w kasetkach typu „cartridge” była ich specyficzna konstrukcja pozwalająca na ciągłe odtwarzanie. Z tego powodu były większe od popularnych „compact cassette”, a przede wszystkim ponad dwukrotnie grubsze. [wymiary CC: 102x64x9 mm, wymiary kasetki cartridge: 100x138x23 mm]

<sup>57</sup> Działanie ESP polega na tym, że odtwarzany sygnał przechowywany jest w buforze pamięci. Dzięki temu, gdy podczas wstrząsu laser „zgubi” odtwarzaną ścieżkę, sygnał pobierany jest z owej pamięci, a słuchacz nie odbiera żadnych przerw.

we cechy płyt optycznych, które mogą zagrozić kasetom audio. W tym momencie pozostaje bowiem już tylko bariera cenowa nowych nośników.

Przewaga zapisu optycznego nad magnetycznym wynika przede wszystkim z jego większej trwałości. Ważnym dla bibliotekarzy archiwizujących nagrania na nośnikach magnetycznych jest zjawisko przekopiowania ścieżek na sąsiedni zwój taśmy (tzw. migracja dźwięku). Zaleca się więc wszelkie taśmy z zapisem magnetycznym (i audio, i wideo, w kasecie i bez) przewijać przynajmniej raz na pół roku<sup>58</sup>. Innym ważnym dla bibliotekarzy problemem przy przechowywaniu nagrań na nośnikach magnetycznych jest ich ochrona przed szkodliwym dla zapisu magnetycznego działaniem pola magnetycznego. Stąd pojawiły się głosy, że wobec tego szkodliwym dla zapisów magnetycznych byłoby przechowywanie nagrań na mogących indukować pole magnetyczne regałach metalowych, które przecież są popularnym wyposażeniem magazynów bibliotecznych. Kwestia jest dyskusyjna, bo na przykład w fachowym periodyku „Audiovisual Librarian” wśród zasad przechowywania nagrań wideo znajdujemy zdanie, iż dawno już zostało dowiedzione, że metalowe regały nie szkodzą zapisowi magnetycznemu<sup>59</sup>. Bez względu na to, czy rzeczywiście tak jest, zapisy magnetyczne są narażone na działanie pola magnetycznego w różnych innych miejscach. Przewaga zapisu na nośnikach optycznych jest więc z obu podanych powodów oczywista. Nie grozi im przekopiowanie ścieżek, są obojętne na wilgoć i działanie pola magnetycznego, są dużo bardziej tolerancyjne na zmiany temperatury, a brak fizycznego kontaktu urządzenia odczytującego z powierzchnią płyty sprawia, że jej zużycie fizyczne przy każdorazowym odtworzeniu jest minimalne.

Ludzie bardzo przyzwyczaili się do wygodnych, tanich, nie wymagających specjalnego traktowania i delikatności kaset audio. Nowość fonograficzna na kasecie jest około trzy razy tańsza niż odpowiednik w formacie CD-DA. Cyfrowa muzyka jest jednak coraz bardziej dostępna; również dla bibliotek. Szczególnie dotyczy to tanich edycji nagrań muzyki klasycznej. Światowe „przeboje” muzyki poważnej można już kupić w hipermarketach w cenie nawet poniżej 10 zł za jedną płytę kompaktową. Nie można jednak z tego faktu wyciągać w pełni optymistycznego wniosku, że oto tanim kosztem biblioteki mogą wzbogacać swoje zbiory audio-wideo. Faktycznie bowiem owe tanie edycje to produkty ubogie edytorsko i nierzadko na średnim poziomie artystycznym. Nabywanie takich produktów jedynie z powodu skromnych zasobów finansowych bibliotek na pewno dalekie jest od przemyślanej polityki gromadzenia zbiorów. Z pewnością biblioteki polskie chciałyby mieć problemy bibliotek amerykańskich, jakie próbował rozwiązać Robert Curtis, doradzając w jednym z numerów „Library Journal”, jak w sytuacji, gdy bibliotekarz ma do wyboru 100 płyt kompaktowych zawierających 100 różnych wykonanych słynnej V symfonii Beethovena, wybrać do zbioru bibliotecznego tę najlepszą jednocześnie z ekonomicznego i artystycznego punktu widzenia<sup>60</sup>.

Przejście od nośników analogowych do cyfrowych musi dla bibliotek oznaczać nie tylko zmianę nośników dla nagrań muzycznych, ale również taką samą zmianę dla nagrań książki mówionej. W Polsce komercyjne produkty tego typu są wciąż rzadkością na rynku. Wydawało się, że głębokie zmiany w ruchu wydaw-

<sup>58</sup> D. Rams: *Ochrona dokumentów dźwiękowych*. W: *Konserwacja zbiorów bibliotecznych*. Międzynarodowa narada ekspertów. Warszawa, październik 1987. Warszawa, BN 1992 s. 119.

<sup>59</sup> M. Weston: *The storage and handling of videocassettes in libraries*. „Audiovisual Librarian” 1982 vol. 8 no 1 s. 31.

<sup>60</sup> R. Curtis: *100 DISCount classics*. „Library Journal” 1996 vol. 121 no 19 s. 36.

niczym po przełomie lat 1980/90 spowodują zapełnienie tej luki na rynku wydawnictw audiowizualnych i przybliżą nasz rynek do wzorców zachodnich. Okazało się jednak, że próby podejmowane wówczas przez wydawnictwa Graph Media Film i Polmark, a nieco później PWN nie były jaskółkami zapowiadającymi stałą tendencję na rynku. Być może ostatnio realizowane przedsięwzięcia wydawnictw RTW (m.in. *Lalka*, *Quo Vadis*) i Prószyński i S-ka (m.in. *Kubuś Puchatek*, *Mały Książę*, *W pustyni i w puszczy*) są początkiem stałego dopływu i stałej obecności nagrań literatury w księgarniach. Tymczasem więc wciąż termin „książka mówiona” kojarzy się nam w Polsce przede wszystkim z produkcją nagrań na kasetach pochodzącą z Zakładu Wydawnictw i Nagrań Polskiego Związku Niewidomych. Nagrania te dostępne są w spółdzielniach niewidomych i nielicznych działach audiowizualnych bibliotek publicznych. Dostęp do nich zainteresowane osoby widzące mają więc utrudniony<sup>61</sup>.

Wyrazem funkcjonowania w krajach zachodnich nagrań literatury na dwóch obszarach jest funkcjonowanie również dwóch nazw dla tego zjawiska. Termin „talking books” (książki mówione) odnosi się głównie do nagrań gromadzonych w bibliotekach i udostępnianych niewidomym, natomiast termin „audiobooks” oznacza komercyjne produkty dostępne dla wszystkich na rynku wydawniczym. Jest – choć to nie reguła – pewna różnica między książką mówioną a audioksiążką. Produkty komercyjne są często przeróbkami lub skrótami tekstów oryginalnych. Uznaje się natomiast, że wydanie dla osób niewidomych powinno być dokładnym odpowiednikiem wersji drukowanej. Skracanie nagrań literatury niekiedy jest powodowane nonszalancją lub niedocenianiem wartości, jaką jest całość przekazu autora. Stoi za tym często konieczność zrozumiałych oszczędności. Wśród wspomnianych produktów ZWiN PZN niektóre tytuły obejmują po kilkadziesiąt kaset. Na przykład cała trylogia Sienkiewicza zajęła ich aż 121, a *Noce i dni* Dąbrowskiej zmieściły się na 63 kasetach<sup>62</sup>. Nawet jeśli zastosowałyby się kasety o dłuższym czasie odtwarzania (przez co mniej trwałe, a jest to ważna kwestia dla książki mówionej), to edycja dużej powieści na 20-30 kasetach byłaby ryzykownym przedsięwzięciem wydawniczym. Produkty skracane (z ang. abridged) spotykają się jednak poniekąd ze zrozumiałą krytyką bibliotekarzy, którzy woleliby mieć w swoich zbiorach pełne (czytaj: pełnowartościowe) nagrania literatury. Krytyka wydawnictw „abridged”, wynikająca z przekonania, że tylko całość wypowiedzi autora ma wartość artystyczną i poznawczą, skłoniła wydawnictwa do większego zainteresowania pełnymi wydaniem. Mark Annichiarico, który to zjawisko kilka lat temu opisywał w „Library Journal”, zauważył więc, że coraz częściej słowo „unabridged” (nieskrócony) wybijane jest na plan pierwszy na opakowaniach audioksiążek<sup>63</sup>.

Nowe nośniki cyfrowego dźwięku mogą ułatwić produkcję pełnych wydań nagrań literatury. Typowy CD nie mógł w tym względzie pomóc, bo może pomieścić jedynie 74 minuty nagrania, czyli mniej niż kaseeta C-90. Annichiarico stwierdził więc, że większość amerykańskich wydawców postanowiła potraktować płytę CD-DA jako etap przejściowy i nie zdecydowała się uruchomić na szeroką

<sup>61</sup> D. Grygowski: *Literatura słuchana*. „Guliwer” 1993 nr 6 s. 45.

<sup>62</sup> J. Nowicka: *Piśmiennictwo obce i książki mówione w ofercie dla czytelników warszawskich*. „Bibliotekarz” 1994 nr 11/12 s. 39.

<sup>63</sup> M. Annichiarico: *To make a long story short: abridged audio at 10*. „Library Journal” 1996 vol. 121 no 19 s. 32-34. [Notabene w tym samym numerze „Library Journal” wydawnictwo BlackStone reklamuje katalog 800 audioksiążek wyłącznie w wersji „unabridged”].

skalę produkcji audioksiążek na płytach kompaktowych<sup>64</sup>. Natomiast płyta DVD, która w podstawowej wersji jest siedem razy bardziej pojemna, może oddalić problem braku miejsca i powód skracania książek. DVD jest przeważnie kojarzona jako nośnik filmów, ale de facto może dobrze służyć również jako nośnik sygnału audio i plików multimedialnych.

Inny ciekawy argument przeciw zastosowaniu płyt CD jako nośników książki mówionej podali Sheldon Kaye i Beth Baxter. Uznali przede wszystkim, co zresztą potwierdzają analizy marketingowe producentów audioksiążek, że w dużej mierze ich słuchaczami są osoby dojeżdżające do pracy, które ten czas chętnie poświęcają na słuchanie literatury. Wśród tych osób są ci, którzy korzystając ze środków komunikacji miejskiej do słuchania używają zwykłych walkmanów, ale również ci, którzy dojeżdżają własnymi samochodami. Notabene producenci audioksiążek dostrzegają – jako liczącą się grupę potencjalnych nabywców – kierowców wielkich międzystanowych ciężarówek (long-distance truckers), którzy przecież kojarzeni są głównie jako namiętni słuchacze country. Otóż właśnie słuchając książki we własnym samochodzie, korzystniej jest odtwarzać ją na zwykłym samochodowym radiomagnetofonie. Każdorazowe wyjście z samochodu i wyłączenie silnika (ściśle wyjęcie kluczyków ze stacyjki) powoduje wyłączenie urządzenia odtwarzającego<sup>65</sup>. Przewaga kasy audio nad CD polega na tym, że ponowne włączenie urządzenia pozwala kontynuować słuchanie dokładnie od miejsca, w którym nastąpiła ostatnia przerwa. Natomiast odtwarzacz CD ma tę właściwość, że powraca do początku. Rzecz jasna CD-DA ma swoją zaletę, że jako nośnik cyfrowy umożliwia zindeksowanie 99 ścieżek audio, można więc w ten sposób oznaczyć rozdziały i podrozdziały książki, co umożliwi natychmiastowy do nich dostęp. Ale mimo wszystko słuchacz musi pamiętać numer ostatnio odtwarzanego rozdziału<sup>66</sup>.

Rzeczywiście rozwój technologii cyfrowej pozwolił rozwinąć programy udostępniania książki mówionej osobom niewidomym, niedowidzącym, upośledzonym ruchowo i dyslektycznym. Jeden z takich programów opisuje David Johnson. Projekt realizowany przez Amerykańską Narodową Bibliotekę dla Obsługi Osób Niewidomych i Upośledzonych Fizycznie (NLS) zakłada konwersję zbiorów książki mówionej z formatu kasetowego na format cyfrowy. Nie będzie to jednak zwykłe przeniesienie nagrań książek na nośniki audio w formacie CD-DA. Chodzi natomiast o wykorzystanie multimedialnych możliwości formatu CD-ROM. Książki mówione (talking books) miałyby zostać zastąpione przez multimedialne cyfrowe książki mówione – DTB (digital talking books). Multimedialne możliwości formatu CD-ROM pozwalają umieścić na krążku nie tylko pliki dźwiękowe, ale również zsynchronizowane z nimi pliki o strukturze hipertekstowej, które pozwalałyby na dowolną nawigację po wyświetlanym tekście, i które jednocześnie można by wyświetlać i drukować w wersji „large print” (duże czcionki)<sup>67</sup>. Przejście na format cyfrowy powinno ułatwić także dystrybucję książki mówionej. Działające w krajach rozwiniętych centralne wypożyczalnie książki mówionej dla niewidomych korzystają często z tradycyjnej poczty przy wysyłaniu nagrań do czytelników-

<sup>64</sup> Tamże, s. 34.

<sup>65</sup> S. Kaye, B. Baxter: *Breaking the sound barrier. Starting and maintaining an audiobook collection*. „Library Journal” 1994 vol. 119 no 9 s. 36.

<sup>66</sup> Nowoczesne odtwarzacze samochodowe i discmany są coraz częściej wyposażone w funkcję RPT (repeat), dzięki której, po wyłączeniu i ponownym włączeniu urządzenia, płyta kompaktowa jest odtwarzana począwszy od tej samej sekundy, w której przerwano jej odtwarzanie.

<sup>67</sup> D. Johnson: *NLS conversion to digital talking books*. „Library Hi Tech News” 1999 no 160 s. 16.

-słuchaczy. Możliwe też jest wykorzystanie w tym celu fal radiowych. Franciszek Czajkowski opisywał niegdyś szwedzki system stworzony przez tamtejszą Krajową Radę Czasopism Mówionych. Odbiorca gazety mówionej posiada radiomagnetofon z możliwością programowania akcji. Dzięki temu w nocy (wówczas pasma UKF są mniej obciążone), gdy mówiona gazeta jest transmitowana przez radio, magnetofon automatycznie rejestruje przekaz, który potem słuchacz może rano odsłuchać. Ma więc swoją poranną gazetę, tak jak osoby widzące swoje wydanie czarnodrukowe<sup>68</sup>. W środowisku cyfrowym wykorzystuje się w tym celu oczywiście pocztę elektroniczną. Co prawda, byłoby niewygodnym i czasochłonnym wysyłanie kilkuset MB z nagraniem (a nawet kilku GB) przez Internet, można jednak wyobrazić sobie wykorzystanie w tym celu rewolucyjnego dla techniki cyfrowego zapisu i transmisji dźwięku formatu MP3. Przy zastosowaniu parametrów dużej kompresji (np. przy prędkości transmisji 56 kb/s, z niewielkim w sumie uszczerbkiem na jakości dźwięku) można godzinne nagranie zmieścić już na 20 MB. Transfer elektronicznej książki mówionej przy obecnych możliwościach przesyłania danych trwałby co prawda kilka minut, ale mimo wszystko byłoby to rozwiązanie tańsze i oczywiście szybsze od tradycyjnej poczty.

Możliwości udostępniania przez biblioteki uniwersalne i specjalne zdigitalizowanych zbiorów audio i wideo poprzez sieć są jeszcze jednak w sferze projektów. Na razie więc wyrazem przełomu analogowo-cyfrowego w bibliotekach jest rosnąca obecność fizycznych nośników cyfrowych, czyli płyt kompaktowych w formatach audio i multimedialnych. Można zaryzykować twierdzenie, że w rozwiniętych krajach nie ma już bibliotek nie posiadających w swych zbiorach płyt CD-ROM. Płyty kompaktowe szybko zdobywały swe miejsce zarówno jako nośniki audio, jak i nośniki danych komputerowych. Z ostatnich badań Ch. Batta (1997) wynikało, że liczba bibliotek posiadających zbiory płyt CD-ROM wzrosła w Wielkiej Brytanii z 29% w 1989 do 96% w 1997 r.<sup>69</sup> Przy tym tempie wzrostu dziś z pewnością wszystkie biblioteki brytyjskie posiadają CD-ROM-y.

Pojawienie się technologii dysków optycznych rozbudziło nadzieje niektórych na rewolucyjne zmiany w polityce gromadzenia zbiorów bibliotecznych i udostępniania informacji. O nadziejach związanych z przeniesieniem funkcji mikroform na nośniki optyczne była już mowa wcześniej. Dyski optyczne miały też przejąć, i częściowo tak się stało, rolę nośników baz danych. Na początku lat dziewięćdziesiątych Mirosław Górny, powołując się na wyniki różnych badań przekonywał o wyższości baz na CD nad dostępem online<sup>70</sup>. Uczestnicy tych badań wskazywali, że korzystanie z baz na CD jest bezstresowe, nie towarzyszy mu napięcie nerwowe, jakie pojawia się przy korzystaniu z baz online, gdy człowiek ma świadomość, że każda minuta kosztuje. Tymczasem w opisywanych badaniach dostęp do CD był zazwyczaj darmowy. Podkreślano też, że korzystanie z CD jest zwyczajnie łatwiejsze i nie ma ograniczeń w kopiowaniu rekordów. Górny przekonywał też, że korzystanie z baz danych na CD jest dla bibliotek korzystne ekonomicznie. W swych kalkulacjach uwzględnił wszelkie koszty związane z przejściem od trybu online do dostępu do lokalnych baz na CD, w tym również zakup niezbędnych urządzeń. Rachunek przemawiał na korzyść CD. A przecież dziś dostępne są dużo szybsze czytniki CD, które można kupić już za kilkadziesiąt dolarów, a nie za tysiąc, jak to było dekadę temu. Można więc spy-

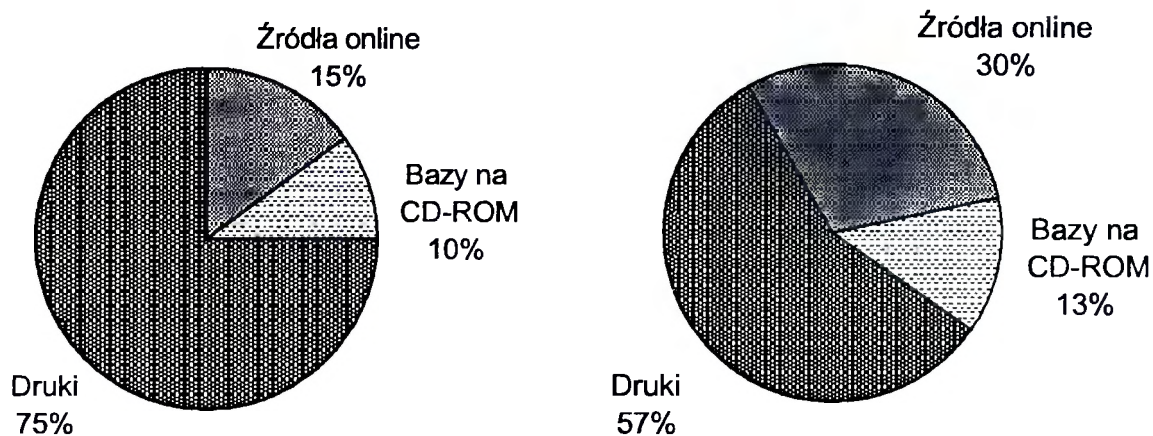
<sup>68</sup> F. Czajkowski: *Czytanie bez książek*. „Poradnik Bibliotekarza” 1991 nr 4 s. 8.

<sup>69</sup> C. Batt: *Information technology in public libraries...*, op. cit. s. 11.

<sup>70</sup> M. Górny: *CD-ROM w bibliotece – konkurent czy uzupełnienie dostępu online?* „Przegląd Biblioteczny” 1991 z. 2 s. 167-177.

tać, cóż takiego zmieniło się w mentalności bibliotekarzy i czytelników i w samej technologii informacyjnej, że dostęp online, który na początku lat dziewięćdziesiątych był spychany na margines, dziś odzyskuje utracone pole.

Potwierdzeniem tego zjawiska mogą być wyniki badań przeprowadzonych na zlecenie „Library Journal” w latach 1996-1999, w których wzięły udział 354 amerykańskie biblioteki publiczne i uczelniane<sup>71</sup>. Celem badań było uzyskanie informacji na temat zmieniającej się struktury wydatków bibliotek na zakup źródeł informacji (w oryg. „reference sources”<sup>72</sup>). Wstępnie założona teza, że w budżetach bibliotek zwiększa się udział wydatków na źródła online, a maleją wydatki na informatory papierowe i na dyskach optycznych w pełni się potwierdziła. W bibliotekach publicznych w omawianym okresie (1996-1999) wydatki na źródła drukowane spadły co prawda minimalnie o 0,2%, a na CD-ROM-y o 5,2%, ale wydatki na dostęp do baz online wzrosły o 46,3%. Jeszcze wyraźniejsze są wyniki w grupie bibliotek akademickich. Wydatki na druki spadły o 3,9%, wydatki na CD-ROM-y aż o 28,4%, natomiast koszty dostępu do źródeł online wzrosły o 59,7%. Obecną strukturę wydatków na „reference sources” w bibliotekach amerykańskich w formie wykresów przedstawić więc można następująco:



Wydatki bibliotek publicznych w 1999 r.

Wydatki bibliotek akademickich w 1999 r.

Wyraźna jest więc w amerykańskim bibliotekarstwie publicznym i akademickim tendencja zmniejszania wydatków na informatory na nośnikach fizycznych (szczególnie na CD-ROM-y) przy jednoczesnym wyraźnym wzroście wydatków na bazy dostępne online. Jeśli ta tendencja by się utrzymała, to około roku 2005 wydatki bibliotek akademickich na informatory drukowane zrównałyby się z wydatkami na dostęp do sieciowych baz danych. Zmniejszenie wydatków na źródła drukowane jest w zasadzie niewielkie, można więc stwierdzić, że pozostają one – wbrew zapowiedziom technokratów – istotnymi źródłami informacji; nawet w tak rozwiniętym technologicznie bibliotekarstwie amerykańskim. Kryterium kosztów dostępu do źródeł przyjęte w omawianych badaniach jest może nieco mylące. Wielkość wydatków nie musi jeszcze decydować o stopniu wykorzystania danego medium. Wszystko bowiem zależy od cen. Faktycznie jednak prawie 30% spadek wydatków na CD-ROM-y w bibliotekach akademickich w USA nie

<sup>71</sup> E. Bryant: *Triumph of the web*. „Library Journal” 1999 vol. 124 no 19 s. 4-6. [Supplement to „Library Journal” – Reference 2000. Print, CD-ROM, Online.]

<sup>72</sup> Angielski termin „reference sources” przyjęło się najczęściej tłumaczyć jako księgozbiór podręczny, ale w omawianych badaniach dotyczyło to nie tylko źródeł na nośnikach fizycznych (papierowych i na CD), ale również baz danych dostępnych online.

może być tłumaczony jedynie spadkiem cen dysków optycznych. Na pewno jest to oznaka pewnego odwrotu od CD-ROM jako nośnika danych w działalności informacyjnej bibliotek. Zwróćmy poza tym uwagę, że w omawianych badaniach jako źródła online wzięte zostały pod uwagę tylko bazy płatne (For-Pay Web-Based Products). Pamiętać należy natomiast, że faktycznie w działalności informacyjnej bibliotek akademickich i publicznych wykorzystywane są także bazy dostępne gratis przez Internet. Stąd zapewne coraz częstsze głosy w prasie bibliologicznej o nadchodzącym zmierzchu CD. Na ten temat faktycznie coraz więcej się pisze. CD-ROM w tych publikacjach nazywany bywa technologią zanikającą<sup>73</sup>. Wydaje się, że wiele jest w tym przesadnej ekscytacji. CD-ROM dobrze pełni swą rolę w bibliotekach jako źródło danych bibliograficznych i faktograficznych, i tak jak to sformułował w tytule swego tekstu cytowany wcześniej M. Górny, jest uzupełnieniem, a nie konkurencją dla trybu online. W jednym może nie sprawdziły się przepowiednie Górnego, a mianowicie CD-ROM nie zdołał przejąć funkcji nośnika katalogu bibliotecznego. Górny dekadę temu pisał:

*System online będzie nadal używany do tworzenia i aktualizacji katalogu, natomiast na nośniki optyczne spadnie zadanie jego udostępniania czytelnikom. Oczywiście, będą oni mieli także możliwość korzystania z katalogu w trybie online<sup>74</sup>.*

To nie mogło się sprawdzić. Katalog na CD jest tak samo niedynamiczny, jak katalog na mikrofiszach. Melioracja katalogu na CD jest niewykonalna. Owszem spotyka się takie zastosowania CD, ale należą one do rzadkości.

Spektakularnym przykładem zmiany podejścia do roli CD-ROM-ów jako nośnika informacji jest decyzja prestiżowego czasopisma „Computer in Libraries” o zamknięciu stałej rubryki pt. „CD-ROM Currents” (bieżące informacje z rynku CD-ROM). Peter Jacsó, który tę decyzję uzasadniał, stwierdził, że oczywiście CD-ROM nie przestaje pełnić roli ważnego nośnika dla baz bibliograficznych, multimedialnych encyklopedii i baz pełnotekstowych. Ale jednocześnie rośnie dostępność do źródeł online, z których część udostępniana jest gratis, a niektóre jakością przewyższają swoich konkurentów w wersji offline na CD<sup>75</sup>. Wobec tego pismo zamyka dotychczasową rubrykę i większą uwagę zwracać będzie od tej pory na dostęp online do źródeł informacji. W tym samym zresztą numerze „Computers in Libraries” znajdujemy artykuł Terry Ballarda o znamienym tytule „Escape from the tower” (Ucieczka z wieży). Wieża w tym wypadku oznacza urządzenie będące lokalnym serwerem dysków CD. Ballard opisał udane przejście od lokalnych baz na CD na dostęp do ich odpowiedników online w jednej z bibliotek akademickich w Connecticut. Tylko niewielką część baz pozostawiono tam w dotychczasowym trybie dostępu<sup>76</sup>. Gdyby takie rozwiązanie się upowszechniło, nastąpiłoby na pewno ograniczenie zastosowania CD-ROM w obiegu informacji naukowej.

Ten ostatni przykład pokazuje kolejny etap w dygitalnym przełomie w bibliotekarstwie. To już nie jest przejście z jednego nośnika na drugi (z analogowego na cyfrowy), ale w ogóle odejście od nośnika i przejście na dostęp online. Dotyczyć to będzie zresztą nie tylko szeroko pojętych przekazów tekstowych, ale również przekazów audiowizualnych. Pozostaje to jeszcze w sferze projektów, ale postęp w szybkości przesyłu danych z jednej strony i rozwój algorytmów kompre-

<sup>73</sup> Zob. np. S. Keenan: *CD-ROM – a transient medium?* „On-line CD-ROM Review” 1998 vol. 22 no 2 s. 103-105.

<sup>74</sup> M. Górny: *CD-ROM w bibliotece...*, op. cit. s. 176.

<sup>75</sup> P. Jacsó: *The end of an era or a column, at least...* „Computers in Libraries” 1999 vol. 19 no 9 s. 44-45.

<sup>76</sup> T. Ballard: *Escape from the tower. Moving databases from CD-ROM network to the Web.* „Computers in Libraries” 1999 vol. 19 no 9 s. 70-74.



sji danych z drugiej, powinien ułatwić zmianę trybu udostępniania muzyki, filmów i multimedii. Możliwości wykorzystania w tej dziedzinie technologii już teraz dostępnej zaprezentowali na przykład bibliotekarze z biblioteki uniwersyteckiej w Surrey (Anglia). Wstępnie projekt PATRON zakładał wsparcie procesu dydaktycznego w macierzystej uczelni przekazami audiowizualnymi wprost z serwerów biblioteki (wykorzystano w tym celu przeglądarkę internetową)<sup>77</sup>, ale należy się domyślać, że dalszym krokiem będzie udostępnienie przez tę i inne podobne biblioteki zapisanej na ich serwerach muzyki i filmów wszystkim użytkownikom odwiedzającym ich strony internetowe. Jest więc już możliwe to samo, co w przypadku multimedialnych CD-ROM-ów. Można wysłuchać utworu muzycznego, wzbogaconego wyświetlanym na ekranie zapisem nutowym lub tekstami utworów wokalnych i sekwencjami filmowymi. Tyle, że teraz można to uzyskać bez przychodzenia do biblioteki i bez dostępu do nośnika fizycznego.

Podobne zadanie postawili sobie twórcy projektu VISION (Video Indexing for Searching Over Networks) realizowanego w Uniwersytecie w Kansas. Celem projektu jest udostępnienie z serwera biblioteki uczelnianej pełnometrażowego wideo podzielonego na sekwencje i poddanego rzecz jasna kompresji. Względy techniczne przesyłania i dekompresji filmów zdecydowały, że do projektu wybrany został algorytm JPEG (znany dobrze wszystkim użytkownikom Internetu format prezentacji skompresowanych obrazów stałych, np. fotografii) mimo, że wskazany dla ruchomych obrazów byłby algorytm MPEG<sup>78</sup>. Są to więc jeszcze próby i szukanie odpowiednich technicznych rozwiązań. Ale projekty PATRON i VISION wytyczają nowe szlaki dla bibliotek chcących wyjść z poszerzoną ofertą do swoich online użytkowników. Poszerzoną, tzn. nie ograniczoną tylko do elektronicznych tekstów, ale wzbogaconą o muzykę, książkę mówioną, filmy i edukacyjne multimedia.

Oto więc, zanim dyski optyczne zdążyły na dobre zadomowić się na półkach bibliotecznych i w jukeboxach<sup>79</sup> w roli nośników dokumentów elektronicznych, już zaczyna się mówić o ich rychłym zmierzchu. Sukcesorem ich funkcji w przekazywaniu i dostępie do dokumentów miałyby być tzw. przechowywanie wirtualne (ang. *virtual storage*). Według Johna Harneya instytucjom, które gromadzą dokumenty elektroniczne i potrzebują stałego do nich dostępu, a takimi instytucjami są rzecz jasna biblioteki, łatwiej i taniej będzie wziąć w outsourcing (wynajem, dzierżawę) przestrzenie dyskowe serwerów agencji zajmujących się takim wynajmem, niż samemu tworzyć lokalną kolekcję na dyskach optycznych. Harney wprost stwierdza, że malejące ceny pamięci magnetycznych i wzrastająca popularność outsourcingu przestrzeni dyskowych spowoduje skrócenie życia dysków optycznych<sup>80</sup>. Taki wniosek wydaje się przy obecnej popularności dysków optycznych przesadzony, a przeciwnicy tej nowatorskiej organizacji zbiorów bibliotecznych i ich udostępniania odpowiedzą zapewne tak, jak nakazuje przysłowie o wróblu i garści, że lepiej mieć mniej dynamiczny, ale własny zbiór na miejscu, niż szybko dostępny (pod warunkiem uiszczenia abonamentu) zbiór dokumentów przechowywanych poza placówką biblioteczną<sup>81</sup>. Do pryncypialnego sporu „dostęp czy kolekcja?” powracam w rozdziale III (s. 134-137).

<sup>77</sup> J. Maslin, E. Lyon: *Project PATRON – audio and video on demand at the University of Surrey*. „Journal of Academic Librarianship” 1998 vol. 24 no 6 s. 464-468.

<sup>78</sup> S. Gauch, W. Li, J. Gauch: *The VISION digital video library*. „Information Processing & Management” 1997 vol. 33 no 4 s. 417.

<sup>79</sup> Jukebox (z ang. szafa grająca) – urządzenie mieszczące do kilkudziesięciu płyt CD i służące do ich sieciowego udostępniania.

<sup>80</sup> J. Harney: *Virtual Storage. The new access to enterprise applications*. „Inform” 1999 vol. 13 no 8 s. 22.

<sup>81</sup> Notabene, ciekawostką jest fakt, że w tym samym numerze „Inform” znajdujemy artykuł Wenera Glinki pt. *A bright future for optical storage* (s. 8-9), który już w tytule rozwija świetlaną przyszłość przed dyskami optycznymi.

## WIDEO ANALOGOWE I CYFROWE

Prekursorką zdobywających obecnie popularność płyt DVD jako nośników sygnału wideo była płyta wizyjna, której różne formaty obecne były od końca lat siedemdziesiątych do początku dziewięćdziesiątych w Ameryce, Europie Zachodniej i Japonii. Do Polski w zasadzie nie zdążyła dotrzeć, może z wyjątkiem niewielkiego prywatnego importu. Dwustronne płyty wizyjne o wymiarze najczęściej 30 cm (przypominające więc płyty gramofonowe) były dostępne w dwóch znacząco różnych formatach. W swej najpopularniejszej wersji odczytywane były za pomocą promienia lasera. Pokryte były warstwą aluminium i ochronną warstwą akrylową, przypominały więc dużych rozmiarów popularną płytę kompaktową. Zwane więc były „laserdisc” lub „laservision”. Wcześniejsza analogowa płyta typu „videodisc” odczytywana była przy użyciu ramienia uzbrojonego w igłę, a więc tak jak w tradycyjnych gramofonach. Płyta videodisc mozolnie i ze słabym skutkiem walczyła o rynek, więc jej producenci szybko dali za wygraną w połowie lat osiemdziesiątych. Dziś jest to technologia prawie zapomniana. Praktycznie nigdy nie zdobyła szerokiej publiczności. W swej zasadniczej funkcji nośnika ruchomych obrazów płyta videodisc nawet na chwilę nie zagroziła kasetom wideo. Dla przykładu w szczytowym okresie popularności płyt videodisc w 1984 r. w USA sprzedano 7,6 miliona magnetowidów i zaledwie 200 000 odtwarzaczy płyt wideo<sup>82</sup>. Nowsze technologicznie płyty laservision były pojemniejsze i posiadały efekt stop-klatki. Wejście na rynek płyt CD 4<sup>3</sup>/<sub>4</sub>" praktycznie spowodowało wyparcie płyty wizyjnej z rynku zastosowań audio, a w ciągu następnych lat także wideo. Ewolucja płyt wizyjnych warta jest jednak wspomnienia, bo dobrze pokazuje omawiany przełom analogowo-cyfrowy.

Niestety polska norma *Opis bibliograficzny. Filmy* odnosi się do początkowej fazy tego przełomu. Oparta została m.in. – tak zresztą, jak wszystkie arkusze polskiej normy 01152 – na międzynarodowych zaleceniach ISBD. W tym wypadku na ISBD(NBM), czyli na dokumencie z połowy lat osiemdziesiątych. W zasadzie więc trudno się dziwić, że tkwi ona jeszcze w obszarze analogowych nośników wideo. Można mieć zastrzeżenia przede wszystkim co do jej zawartości w części definicyjnej. Oto np. znajdujemy tam raczej nieprecyzyjną definicję wspomnianych płyt wizyjnych. Czytamy mianowicie, że jest to:

*Krążek z tworzywa sztucznego lub innego materiału z zapisem obrazu z dźwiękiem lub bez przeznaczony do odtwarzania za pomocą odbiornika telewizyjnego*<sup>83</sup>.

Owszem, używało się w tym celu odbiorników telewizyjnych, ale zasadniczym urządzeniem był specjalny odtwarzacz, z którego sygnał przesyłany był dopiero do odbiornika telewizyjnego. Podobne zastrzeżenia można mieć do definicji pojęcia „zapis magnetowidowy”. Otóż według PN-01152-12 zapis magnetowidowy to:

*Film zarejestrowany na nośniku magnetycznym, przeznaczony do odtwarzania za pomocą odbiornika telewizyjnego*<sup>84</sup>.

Znów prawda jest połowiczna, bo tak naprawdę telewizor nie jest niezbędny do odtworzenia zapisu wideo. Konieczny jest na pewno magnetowid, z którego

<sup>82</sup> D. R. Schabert: *Videodiscs. W: Nonbook media. Collection management and user services.* J. W. Ellison, P.A. Coty, ed. Chicago, ALA 1987 s. 354

<sup>83</sup> *Opis bibliograficzny. Filmy. Polska norma PN-N-01152-12.* Warszawa, Polski Komitet Normalizacyjny 1994 s. 1

<sup>84</sup> Tamże, s. 2.

sygnał może być przekazany do telewizora, ale równie dobrze sygnał może być przesłany do projektora wizyjnego, a ten strumień światła skieruje na ścianę<sup>85</sup>.

Powodem innego zarzutu skierowanego pod adresem polskiej normy opisu bibliograficznego dla filmów może być fakt posługiwania się niepopularną terminologią. Nic by się nie stało, gdyby norma używała powszechnie stosowanego terminu „kasetę wideo” lub „kasetę magnetowidową” zamiast „kasetę wizyjną”, tym bardziej, że dla drugiego, niestosowanego już nośnika zapisu magnetowidowego użyto tu terminu „rolka magnetowidowa”. Z informacji dodatkowych zawartych w normie wynika, że jej przedmiotem uczyniono także nośniki magnetyczne nieuwzględnione we wcześniejszej normie PN-73/N-01152<sup>86</sup>. Szkoda więc, że wśród piętnastu zamieszczonych w normie przykładów opisów bibliograficznych filmów żaden nie dotyczy nagrań na kasetach wideo, natomiast wszystkie opisy odnoszą się do nagrań na taśmie światłoczułej. Można by retorycznie spytać, ile rolek filmów mają biblioteki, instytucje które w oczywisty sposób są odbiorcami normy opisu bibliograficznego. Jest rzeczą oczywistą, że obecnie i w najbliższych latach w tej dziedzinie biblioteki będą zajmować się opisem kaset VHS i płyt DVD, a nie filmów na taśmie światłoczułej.

Producenci sprzętu audio-wideo, którzy przyjęli wspólny format DVD nie ustalili żadnego rozwinięcia tego akronimu. Oficjalnie więc nic to nie znaczy, ale niektórzy tłumaczą skrót jako „Digital Video Disc” lub „Digital Versatile Disc”. Uniwersalność, wynikająca z określenia „versatile”, bierze się wprost z dużo większej niż w dotychczasowych nośnikach optycznych pojemności. Producenci multimedialnych nie będą już musieli ograniczać w swych produktach sekwencji audio i wideo do niezbędnego minimum, aby wszystko zmieścić na 650 MB przestrzeni CD. Na pewno miało to negatywny wpływ na walory informacyjne i artystyczne produktu. Nie będą też zmuszeni, chcąc wyjść poza te ramy, wydawać materiału na kilku płytach jednocześnie. Tak postąpił np. PWN, który swoją *Encyklopedię Multimedialną* z 1999 r. wydał na 4 płytach CD, co jest bardzo nieporęcznym rozwiązaniem. Teraz wszystko zmieści się na jednej płycie, i to z dużym zapasem.

Płyty DVD dostępne są w czterech formatach, z czego dwa to płyty dwustronne, co wyraźnie odróżnia je od dotychczas znanych płyt CD.

*DVD-5 mieści 4,7 GB – płyta jednostronna i jednowarstwowa*

*DVD-9 mieści 8,5 GB – płyta jednostronna i dwuwarstwowa*

*DVD-10 mieści 9,4 GB – płyta z dwiema stronami po jednej warstwie*

*DVD-18 mieści 17 GB – płyta z dwiema stronami po dwie warstwy*

Płytę DVD skleja się z dwóch warstw mających połowę grubości zwykłej płyty CD, dzięki czemu uzyskuje się płytę o identycznej średnicy (12 cm) i grubości (1,2 mm)<sup>87</sup>. Ułatwiło to budowę urządzeń do odczytu formatu DVD kompatybilnych z formatem CD-DA, a mogących także odczytywać pliki w formacie MP3. Kompatybilność i spadająca cena powinny pomóc w spopularyzowaniu tych urządzeń, jak i samego formatu DVD.

---

<sup>85</sup> Rosnąca popularność projektorów wizyjnych w zastosowaniach edukacyjnych i wszelkich pozaukuczonych prezentacjach wynika właśnie z możliwości przesyłania przez nie sygnału audio i wideo, a przede wszystkim sygnału wysyłanego do monitora komputerowego. Podobnie więc jak komputer, który stopniowo zastępować będzie różne urządzenia audiowizualne, łącząc w sobie funkcje magnetowidu, telewizora, radia i magnetofonu, tak projektor wizyjny (zwany multimedialnym) sprzężony z komputerem stawać się będzie standardem dydaktycznym, wypierając inne dotychczas stosowane w dydaktyce urządzenia audiowizualne. Zob. D. Grygowski: Prezentacja multimedialna – standard dydaktyczny. W: *Multimedia – Biblioteka – Edukacja*. Warszawa, CEBiD 2001 s. 84.

<sup>86</sup> *Opis bibliograficzny. Filmy...*, op. cit. s. 10.

<sup>87</sup> Źródło: <http://www.sanyo-verbatim.com/dvd/>

Słyszysz się głosy jakoby format DVD miał szybko wyprzeć format VHS jako nośnik nagrań wideo. Ci którzy tak twierdzą, podkreślają, że zdecyduje o tym doskonała jakość obrazu na płycie DVD, która przekona wielu nabywców. Jakość obrazu na DVD jest rzeczywiście doskonała, ale to nie musi oznaczać rychłego odejścia od formatu VHS. Walt Crawford dodaje dobry argument, przypominając, że kasetka w formacie Betamax oferowała lepszy obraz niż VHS, ale to jednak VHS zdominowało rynek, a Betamax pozostaje w użyciu tylko w profesjonalnych studiach telewizyjnych. Ważny jest według Crawforda prosty mechanizm psychologiczny, który każe ludziom pozostawać przy produkcie wystarczająco dobrym, mimo że na rynku dostępny jest już produkt wyraźnie lepszy, ale droższy<sup>88</sup>. Zatem to nie jakość DVD przemawia za jego szybkim rynkowym zwycięstwem. Jest jednak inna przesłanka, która na to wskazuje. Promują ten format w porozumieniu wielkie firmy rynku audio-wideo: przede wszystkim Philips i Sony. Podobną sytuację mieliśmy na początku lat osiemdziesiątych, gdy firmy Philips i Sony podpisały specyfikację „Red Book”, co dało podstawę dla zakończonej sukcesem światowej promocji formatu CD-DA<sup>89</sup>. Kiedy więc Philips i Sony jednoczą siły, nowy produkt powinien szybko stać się standardem światowym, a kiedy ze sobą rywalizują, jak na przykład na obszarze cyfrowych magnetofonów, wzajemnie odbierają sobie szansę na zwycięstwo.

Powiedzmy raz jeszcze: zapowiedzi zmiernych VHS są bardzo przedwcześnie. Zostało już wcześniej stwierdzone, że byłoby to możliwe dopiero w momencie upowszechnienia się płyt kasowalnych i urządzeń typu DVD-RAM, służących do odczytu i zapisu nagrań, czyli wtedy, gdy ich cena przestanie być barierą dla większości gospodarstw domowych. Ale nawet wówczas tania i poręczna kasetka VHS będzie miała wielu zwolenników. Przypominać to będzie obecną równowagę pomiędzy analogowymi kasetkami audio i cyfrowymi płytami kompaktowymi. Nie jest to równowaga dosłowna. W niektórych krajach rynkowa przewaga dźwiękowego CD nad kasetką audio jest już bardzo widoczna. Crawford podaje, że w USA już w 1991 r. wartość sprzedaży płyt kompaktowych przewyższyła wartość sprzedaży kaset audio, a rok później CD pokonało kasetki audio również w przeliczeniu na jednostki sprzedaży<sup>90</sup>. Siła nabywcza pensji amerykańskich jest jednak wyraźnie wyższa niż choćby pensji w Polsce, dlatego kasetki audio jako nośnik nieco gorszy i mniej trwałe, ale tańsze, mają w naszym kraju wciąż wielu zwolenników. Stąd stwierdzenie o równowadze między formatem CD-DA a formatem Compact Cassette. Stan podobnej równowagi powinniśmy obserwować przez następne lata pomiędzy DVD a VHS.

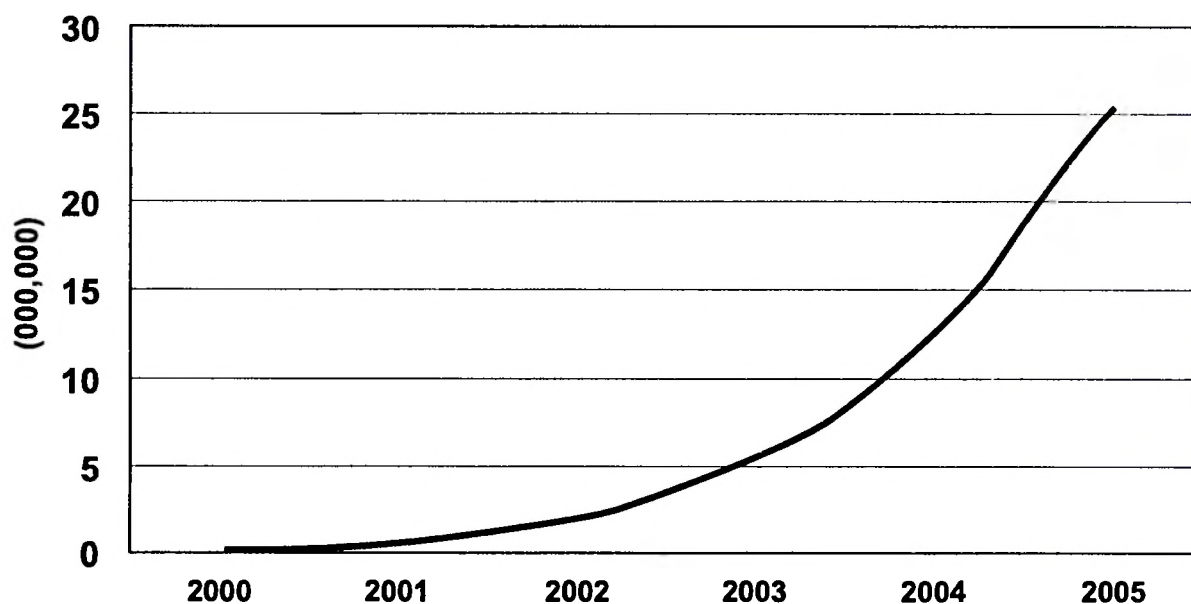
Według agencji InfoTech liczba urządzeń DVD-RAM ma wzrosnąć od momentu swego debiutu w 2000 r. z poziomu 134 000 sztuk w gospodarstwach domowych na całym świecie do poziomu 25 milionów w roku 2005 (zobacz wykres na następnej stronie).

Będzie to wzrost bardzo szybki, ale osiągnięty wynik będzie daleki od możliwości zagrożenia kasetkami wideo. Specjaliści z InfoTech stwierdzają wręcz, że w szczytowym okresie cyklu życiowego technologii domowej rejestracji na płytach DVD pierwszej generacji obecność tych urządzeń w gospodarstwach na całym świecie nie przekroczy poziomu 19%. Dopiero następne generacje płyt DVD miałyby przekroczyć próg tej obecności na poziomie 50%, ale miałyby to nastąpić po roku 2008. Potem zresztą domowym nośnikom i urządzeniom do od-

<sup>88</sup> W. Crawford: *Being analog. Creating tomorrow's libraries*. Chicago, ALA 1999 s. 155.

<sup>89</sup> B. Steinbrink: *Multimedia...*, op. cit. s. 244.

<sup>90</sup> W. Crawford: *Being analog...*, op. cit. s. 139.



© Copyright 2000 TechInfo®, Source: InfoTech Forecast® 2020

tworzenia i rejestracji wideo (wyluczając kamery analogowe i cyfrowe służące do tworzenia rodzinnego archiwum) mają zagrozić nowe sposoby zdalnego dostępu do wideo – tzw. video on demand, czyli wideo przez telewizję kablową i przez Internet (2010-2013 r.)<sup>91</sup>.

Tymczasem kupowane dziś magnetowidy uznanych firm będą wówczas zupełnie sprawnymi urządzeniami. Ich popularność jest dziś ogromna. Wystarczy zestawić dwie liczby. W 1999 r., czyli dwa lata po rynkowym debiucie płyt DVD, w gospodarstwach domowych w USA było 2% odtwarzaczy DVD, a w tym samym roku odsetek gospodarstw mających magnetowidy sięgał 91%<sup>92</sup>. Taśma magnetyczna w formacie VHS (po zwycięskiej walce o rynek z formatami Beta i U-Matic) jest więc niezagrożona przez wiele kolejnych lat.

Przedstawione powyżej dane, prezentujące przewidywaną obecność formatu DVD w gospodarstwach domowych, mają dla polityki gromadzenia zbiorów w bibliotekach istotne znaczenie. Wielu bibliotekarzy uważa, że organizacja nowej kolekcji dokumentów audiowizualnych z przeznaczeniem na wypożyczanie ma sens dopiero w momencie, gdy istotna część użytkowników posiada w domach odpowiednie urządzenia odczytujące<sup>93</sup>. Inaczej mówiąc, nie warto inwestować w nowy sprzęt i nowe nośniki informacji, dopóki ludzie w domach nie mają odtwarzaczy. Wiara w to, że utworzenie w lokalnej bibliotece publicznej nowej kolekcji złożonej z nowych i mało jeszcze popularnych nośników zachęci stałych użytkowników biblioteki do zaopatrzenia się w odpowiedni sprzęt odtwarzający, jest niestety naiwnością. Mechanizm jest z reguły odwrotny. Biblioteki nie są instytucjami na tyle zamożnymi, by mogły eksperymentalnie próbować kreować zapotrzebowanie na nośniki nie będące jeszcze standardem światowym. Biblioteka może i powinna zareagować na potrzeby istotnej grupy swych klientów, których liczba uzasadni inwestycję w nowy sprzęt i nowe nośniki. Kreowanie potrzeb to jedynie piękne hasło. W rzeczywistości pozostaje staranie, by w większym stopniu te potrzeby zaspokajać.

<sup>91</sup> Źródło: <http://www.infotechresearch.com/press.htm>

<sup>92</sup> J. T. Dick: *DVD: the next big (digital) thing?* „Library Journal” 1999 vol. 124 no 9 s. 50.

<sup>93</sup> Zob. wypowiedź W. Crawforda cytowana w rozdziale III s. 124.

## Rozdział III

# BIBLIOTEKA NA USŁUGACH SPOŁECZEŃSTWA INFORMACYJNEGO

Wraz z rozwojem informatyki, mającej wyraźny wpływ także na działalność bibliotek, zmienia się powoli podejście do pojęcia „zbioru bibliotecznego”. Biblioteki w powszechnym rozumieniu to instytucje, które gromadzą dokumenty – głównie w postaci książek, ale także w formie dokumentów nieksiążkowych – by następnie udostępniać je czytelnikom. Niezależnie, czy myślimy o książkach, płytach, kasetach, czy mikroformach, dokumenty biblioteczne miały do tej pory jakąś postać materialną, a dla ich przechowywania biblioteki potrzebowały wciąż coraz większych powierzchni magazynowych. Z chwilą wprowadzenia komputerów do bibliotek, okazało się, że nadają się one nie tylko do tworzenia komputerowej bazy katalogowej, ale również do przechowywania i tworzenia różnego rodzaju dokumentów: tekstów, grafiki, nagrań muzycznych, filmów. Zastosowanie formatu cyfrowego w bibliotekarstwie pozwala części bibliotekarzy z nadzieją myśleć o skończeniu z odwiecznym problemem braku miejsca w magazynie biblioteki. Dokument elektroniczny zrywa wręcz z pojęciem magazynu. Nie potrzebuje – jak dotychczasowe materiały biblioteczne – regału, półki, szafy, stojaka, szuflady, pudła lub innych urządzeń do przechowywania zbiorów. W związku z tym chciałoby się powiedzieć, że nie potrzebuje przestrzeni fizycznej, a zatem nie ma postaci fizycznej. Ten ostatni wniosek jest oczywiście nieprawdą. Miejscem przechowywania pliku komputerowego jest dysk: twardy lub wymienny. Podobnie jak sfotografowana strona czasopisma potrzebuje jakiejś przestrzeni fizycznej na rolce mikrofilmu, tak ta sama strona po zeskanowaniu zajmuje pewną przestrzeń fizyczną na dysku komputera. Miniaturyzacja poszła jednak tak daleko, że w ocenie dokumentów elektronicznych trudno jest stosować te same kryteria, co w przypadku tradycyjnych zbiorów. Niełatwo jest operować określeniami odnoszącymi się do typowych materiałów bibliecznych i mówić o sygnaturze lub numerze inwentarzowym. Mikroforma jako nośnik zawiera zazwyczaj jeden dokument lub dokumenty formalnie i treściowo ze sobą powiązane (rocznik tego samego tytułu czasopisma, katalog określonej biblioteki itd.). Pod daną sygnaturą rolki mikrofilmu łatwo jest więc zapisać określony tytuł. W przypadku dysku komputerowego byłoby to trudne, bo znajdować się na nim mogą setki, a nawet tysiące tekstów różnych książek i czasopism. Co więcej, w praktyce bibliotecznej pojawiły się możliwości udostępniania dokumentów nie będących własnością danej biblioteki, umiejscowionych na dyskach komputerów w innych bibliotekach i sieciowych archiwach. W takiej sytuacji z czterech definiujących bibliotekę funkcji odchodzą co najmniej dwie: gromadze-

nie i przechowywanie. Dokument dostępny poprzez sieć może być w danej bibliotece opracowany, informacja o nim może znaleźć się w automatycznym katalogu, a dzięki strukturze hipertekstowej katalogu, można dokument łatwo udostępnić. Ale on sam żadnej przestrzeni fizycznej w danej bibliotece nie zajmuje. W związku z tym w piśmiennictwie anglo-amerykańskim w dziedzinie bibliotekoznawstwa, obok pojęć „book” i „non-book materials” (także „printed” i „non-printed”) pojawiają się coraz częściej dwa inne określenia materiałów bibliotecznych: „tangible” (namacalny, dotykalny)<sup>1</sup> oraz „intangible” (niedotykany, nieuchwytny). Istotnego znaczenia nabiera pojęcie „dostępu”. Biblioteka udostępnia już nie tylko materiały „tangible”, zapisane na różnych nośnikach i przechowywane na miejscu, ale też źródła „intangible”, dostępne poprzez sieci komputerowe.

Dokonująca się rewolucja teleinformatyczna, objawiająca się między innymi ekspansją Internetu, ma doprowadzić do głębokich przemian cywilizacyjnych i ustanowić nowy system porządku społecznego zwany społeczeństwem informacyjnym. W tym rozdziale poruszam zasadnicze problemy zawarte w przepowiedniach, które w odniesieniu do bibliotek mówią o zmianie relacji pomiędzy dokumentami tradycyjnymi i elektronicznymi oraz o nowych funkcjach i nowych problemach stojących przed zawodem bibliotekarza.

Szerokie zastosowanie komputerów w wielu dziedzinach sprawiło, iż mówimy o coraz bardziej wyraźnych zmianach jakościowych w życiu społeczeństw krajów rozwiniętych. Przyjmując terminologię Davida Boltera<sup>2</sup> stwierdzamy, że komputer jest w dziejach ludzkości, podobnie jak niegdyś zegar i maszyna parowa, „technologią definiującą”, czyli przynoszącą istotne zmiany w stylu życia człowieka i wprowadzającą ludzkość na nowe tory rozwoju. Głośny niedawno informatyczny problem roku 2000 pokazuje, iż dyskusjom o skutkach komputeryzacji towarzyszy jednak nuta niepewności, jakby strach przed nieznanym. Bibliotekarstwo, jak każda inna dziedzina, uważnie przygląda się ekspansji techniki komputerowej na jej polu. Jak w każdej innej dziedzinie dostrzega się zarówno ogromne korzyści, wynikające ze zautomatyzowania niektórych działań, jak i ewentualne zagrożenia. **Celem niniejszych rozważań jest ukazanie roli komputerów w nowym zdefiniowaniu charakteru i funkcji biblioteki.** Obszerne fragmenty rozdziału dotyczą wyraźnego w piśmiennictwie bibliologicznym sporu na temat tej roli. Nie brakuje skrajnych wypowiedzi. Poglądy jednych można w skrócie przedstawić następująco:

- nadchodzi czas zmięczenia publikacji drukowanych, papier przestanie być dominującym nośnikiem informacji,
  - biblioteki powinny przestać rozbudowywać własne kolekcje i skupić się na dostępie online,
  - korzystanie z bibliotek będzie polegało na dostępie zdalnym do dokumentów elektronicznych,
  - w związku z tym zniknie potrzeba przychodzenia do bibliotek, a w efekcie biblioteki jako miejsca będą zanikać,
  - ich funkcję przejmą zbiory rozproszone w sieciach teleinformatycznych.
- Z kolei przeciwnicy tych poglądów twierdzą, że:
- książka drukowana dzięki swej ergonomii nie jest w żaden sposób zagrożona,

<sup>1</sup> J. Wojciechowski używa określenia „przemieszczalne” („przemieszczalne nośniki informacji - książki, dyski, dyskietki”). [J. Wojciechowski: *Ściany bez bibliotek*. „Bibliotekarz” 1995 nr 3 s. 10.]

<sup>2</sup> D. Bolter: *Człowiek Turinga. Kultura Zachodu w wieku komputera*. Warszawa, PIW 1990.

- nie wolno spłycać funkcji bibliotek, bo nie zachodzi w nich jedynie transfer informacji, ale istotna też jest zachodząca w nich komunikacja artystyczna,
- powierzenie dorobku myśli ludzkiej pamięci komputerów jest z wielu względów ryzykowne,
- powiększanie się zastosowań technologii komputerowej grozi odhumanizowaniem stosunków międzyludzkich,
- ograniczenia prawa autorskiego istotnie spowolnią rozwój bibliotek elektronicznych.

W dalszej części niniejszego rozdziału pojawi się wiele wypowiedzi przedstawicieli obu stron zarysowanego powyżej sporu. Będzie to jednocześnie próba znalezienia „złotego środka” i najlepszych rozwiązań w sytuacji rosnącej roli komputerów w organizacji społeczeństwa, a w szczególności w bibliotekarstwie.

## ZAPOWIEDZI PRZEŁOMU CYWILIZACYJNEGO

Dokonująca się na naszych oczach rewolucja informatyczna i telekomunikacyjna jest trzecim po rewolucji agrarnej i przemysłowej wielkim przełomem historycznym. Ma wyraźny wpływ na tempo życia, na sposób wykonywanej pracy, zmienia znaczenie kontaktów międzyludzkich. Jej też przypisuje się wszelkie pozytywne i negatywne skutki przemian obyczajowych. Nowym bodźcem w rozwoju społeczeństwa jest coraz częstsze i łatwiejsze łączenie technologii komputerowej z technologią telekomunikacyjną. W geometrycznym postępie zwolenników zdobywa Internet. Modny staje się termin „telematyka”<sup>3</sup> (połączenie telekomunikacji z informatyką, np. ang. telematic education). Sieci komputerowe będą więc głównym motorem trzeciej wielkiej fali przemian kulturowych w dziejach ludzkości.

Autorem teorii trzeciej fali przemian cywilizacyjnych jest amerykański socjolog Alvin Toffler. W wydanej przed trzydziestu laty książce *Szok przyszłości*<sup>4</sup> zapowiedział nastanie epoki postindustrialnej, a tym samym zamknięcie drugiego etapu w dziejach ludzkości – okresu rewolucji przemysłowej. Grono swych zwolenników powiększył wydając dziesięć lat później głośną książkę *Trzecia fala*<sup>5</sup>. Formułowane przez Tofflera, wspólnie z żoną Heidi, zapowiedzi głębokich przemian cywilizacyjnych wywarły wyraźny wpływ na szerokie spektrum badaczy w dziedzinie m.in. ekonomii, polityki, socjologii i teorii komunikacji.

Przepowiednie Tofflerów i im podobne zwykło się określać mianem futurologicznych. Tym się one jednak różnią od zwykłego wróżbiarstwa, iż oparte zostały na naukowych podstawach, a ich formułowaniu towarzyszyła analiza zjawisk zachodzących w gospodarce, kulturze, nauce i oświacie. Futurologia nie jest zajęciem wdzięcznym, bo autor każdej (nawet odległej czasowo) przepowiedni na-

<sup>3</sup> Sam termin nie jest jednak czymś nowym. Wylansowali go jeszcze w latach siedemdziesiątych francuscy badacze komunikacji społecznej Simon Nora i Alain Minc. [T. Goban-Klas, P. Sienkiewicz: *Społeczeństwo informacyjne. Szanse, zagrożenia, wyzwania*. Kraków, Wydawnictwo Fundacji Postępu Telekomunikacji 1999, s. 5.].

<sup>4</sup> A. Toffler: *Future shock*. New York, Random House 1970 [Pierwsze pełne polskie wydanie z 1974 r.].

<sup>5</sup> A. Toffler: *The third wave*. New York, Morrow 1980 [Pierwsze wydanie polskie z roku 1986, a pierwsze pełne i nie ocenzurowane z roku 1997].



raza się na to, że po upływie określonego czasu jego „wróżby” zostaną poddane ocenie na „sprawdzalność”. Ale w każdej dziedzinie rozważania prawdopodobnego rozwoju wypadków stymulują ludzi, ukierunkowują ich działania, sugerują rozwiązania. Dlatego, dopóki futurolog nie brnie w utopię, jego wypowiedzi mogą nabrać charakteru samosprawdzających się przepowiedni.

Najgłośniejszą do czasu opublikowania *Trzeciej fali* książką z dziedziny futurologii socjologicznej była książka Daniela Bella z 1973 r. *Nadejście społeczeństwa postindustrialnego*. Główną tezę Bella była zapowiedź wzrostu na niespotykaną dotąd skalę znaczenia wiedzy i wykształcenia.

*W postindustrialnym społeczeństwie głównym zadaniem staje się organizacja nauki, a podstawową instytucją jest uniwersytet lub instytut naukowy, gdzie te zadania się realizuje. W XIX stuleciu i początkach XX siła narodów wyrażała się wydajnością ich przemysłu, a głównym tego wskaźnikiem była produkcja stali. Siła Niemiec przed I wojną światową była oceniana przez fakt, że przewyższały one Wielką Brytanię w produkcji stali. Po II wojnie światowej potencjał naukowy kraju stał się czynnikiem decydującym o jego potędze, a badania i rozwój naukowy zastąpiły produkcję stali jako wymierne kryterium porównawcze w ocenie siły kraju*<sup>6</sup>.

Bell prorokował też (jeszcze przed Tofflerem), że właściwa dla społeczeństwa postindustrialnego zmiana struktury zatrudnienia na korzyść sektora usług wymusi wzrost liczby ludzi wykształconych w tym przede wszystkim ludzi o wykształceniu wyższym.

Wspomnieć należy także, trzymając się już konsekwentnie odwróconej chronologii, że z kolei przed książką Bella, głośną publikacją o charakterze socjologicznej przepowiedni była książka Hermana Kahna i Anthony’ego Wienera *Rok 2000*. Choć pierwsze komputery osobiste (PC) miały powstać dopiero za 13 lat Kahn i Wiener trafnie przewidzieli zasadniczy wzrost znaczenia tych urządzeń w życiu przeciętnego człowieka. Pisali m.in.:

*Przypuszczalnie [w roku 2000 – od aut.] konsole komputerowe znajdować się będą prawie w każdym domu, możliwe, że podłączone do komputerów użyteczności publicznej i dające użytkownikowi przestrzeń na głównym komputerze dla jego prywatnych plików, pozwalające wykorzystywać komputer do różnych celów, jak choćby przeglądanie zasobów Biblioteki Kongresu (...)*<sup>7</sup>.

W czasach gdy przeciętny komputer zajmował jedno obszerne pomieszczenie, powyższa przepowiednia mogła się wydać zbyt śmiałą, ale z perspektywy czasu okazało się, że cytowani autorzy nie mylili się ani trochę.

Również nieco przed Tofflerami i Bellem, jeszcze na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, swoje wizje rozwoju ludzkości w odniesieniu do komunikacji społecznej snuł kanadyjski socjolog Marshall McLuhan. Najważniejszą (z punktu widzenia bibliologa) rozprawą McLuhana była książka *Galaktyka Gutenberga*. Pewną ciekawostką jest, że klasyfikatory z Biblioteki Kongresu w Waszyngtonie nadali tej publikacji symbol Klasyfikacji Dziesiątej Deweya o postaci 655.1, oznaczający ogólne zagadnienia i historię drukarstwa. Niewykluczone, że przy nadawaniu symbolu zasugerowano się angielskim podtytułem książki – „The making of the typographic man”. Zapewne żaden bibliolog, specjalizujący się w historii wynalazku Jana Gutenberga, nie uznałby pracy McLuhana, za właściwy wykład w tej materii. Mimo to, w dwadzieścia lat po śmierci

<sup>6</sup> D. Bell: *The coming of post industrial society. A venture in social forecasting*. London, Heinemann 1974 s. 116-117.

<sup>7</sup> H. Kahn, A. J. Wiener: *The year 2000. A frame work for speculation on the next thirty-three years*. New York, MacMillan Company 1967 s. 90.

M. McLuhan jest autorem wciąż bardzo często cytowanym i dyskutowanym w piśmiennictwie głównie pedagogicznym, socjologicznym, kulturoznawczym i bibliologicznym. Szerzej poglądy McLuhana na kwestię drukowanych książek zostaną przedstawione w dalszej części rozdziału.

Zapowiedź zdominowania współczesnej cywilizacji przez technologię, wyrażona przez Tofflera jeszcze w *Szoku przyszłości*, prowadzi do wniosku, że spora część ludzkości nie zdąży i nie zdoła zaadaptować się do szybko dokonujących się zmian cywilizacyjnych. Wielu ludzi, i to nie tylko osoby starsze, może być zaskoczonych tempem zmian wywołanych rozwojem technologii. Nie brakuje opinii, obciążających przede wszystkim elektroniczne środki przekazu całą odpowiedzialnością za różnorakie przejawy zła we współczesnym świecie. Choć takie uogólnienie bywa krzywdzące, jednak na tę ocenę telewizja, radio i kino same starannie pracowały. Tempo życia i cena czasu wykształciły nowy sposób przekazu: szybkiego, migawkowego, wręcz poklatkowego, a więc odbieranego jako agresywny. Treść przekazu odgrywa tu mniejszą rolę niż forma ekspresji. Negatywna ocena mediów elektronicznych odnosi się zresztą nie tylko do tzw. dużych mediów (mass mediów), ale również do nośników fizycznych, dostarczających informacji w postaci elektronicznej. Sceptyczną i ostrożną postawę wobec coraz częściej wykorzystywanych materiałów multimedialnych prezentuje m.in. Esther Dyson. W przypadku wielu produktów multimedialnych Dyson widzi w nich wyłącznie potok nieustrukturalizowanej, a zatem nietrwałej informacji obrazkowej. W wyniku takich przekazów w głowie odbiorcy pozostają tylko strzępy mało wartościowej, hasłowej wiedzy. Dyson pisze:

*Czy zależy nam na przepływających przez głowę doznaniach, czy raczej wolimy autentyczne przeżycie intelektualne, czytając książkę albo rozprawę skłaniające nas do zastanowienia? By słowa przekształcić w idee i opinie, potrzebne jest myślenie. Ważniejsze jest doskonalenie sposobu widzenia świata niż proste dodawanie obrazów do już wielkiego ich zasobu, czy gromadzenie nie potwierdzonych faktów, społecznych emocji, jednozdaniowych powiedzonek nie tworzących żadnej struktury. Jeśli jedynie patrzemy, po zakończeniu oglądania trudno nam będzie sformułować, czego się nauczyliśmy.*

I dalej:

*Jaki więc efekt wywiera na nas migawkowy przekaz multimedialny z nienaturalnymi cięciami obrazu? Nie chciałabym, by zabrzmiało to jak nawiązanie do stanowiska luddystów, ale uważam, że te zjawiska działają źle na nasz umysł. Obrazy są efektowne, lecz nie oferują intelektualnego rozwoju. Grozi nam powstanie społeczeństwa, w którym ludzie nie myślą, nie umieją ocenić znaczenia rozmaitych zjawisk<sup>8</sup>.*

Zwolennicy słowa drukowanego, a przeciwnicy szybkiego i chaotycznego przekazu mediów elektronicznych byliby więc skłonni zaakceptować paradoks, iż książka jako medium proste i ubogie od strony formalnej, jest pełna złożoności i bogactwa od strony treściowej. Natomiast telewizja, mająca dla ludzi galaktyki Gutenberga formę skomplikowaną i niepojętą, od strony treściowej jest płytka i uboga. Ci którzy całym odium obarczają elektroniczne media, będą więc skłonni powtórzyć za Neilem Postmanem, iż...

*(...) niekontrolowany rozrost techniki niszczy najbardziej żywotne źródła naszego człowieczeństwa. Tworzy kulturę bez fundamentów moralnych<sup>9</sup>.*

<sup>8</sup> E. Dyson: *Wersja 2.0. Przepis na życie w epoce cyfrowej*. Warszawa, Prószyński i S-ka 1999 s. 93, 94.

<sup>9</sup> N. Postman: *Technopol: triumf techniki nad kulturą*. Warszawa, PIW 1995 s. 8.

Walka z technologią byłaby jednak niedorzecznością. Wspomniani powyżej futurologowie, uświadamiając swym czytelnikom niektóre aspekty technologizacji życia, nie wzywają jednocześnie do pozbycia się telewizorów, czy komputerów.

*Zadna bowiem kultura nie może uniknąć negocjacji z techniką, niezależnie od tego, czy prowadzi ją inteligentnie, czy nie. Ubija się interes, w którym technika coś daje, a coś odbiera*<sup>10</sup>.

Teraz, na progu trzeciego tysiąclecia jest właściwy moment do zastanowienia, na ile przepowiednie A. Tofflera, M. McLuhana, D. Boltera, N. Postmana, D. Bella i innych wizjonerów sprawdziły się. Na ile zawarty w niektórych wypowiedziach technokratyzm, a w innych technosceptycyzm był uzasadniony. Na ile technologia informacyjna zapanowała nad naszym życiem, jak je na nowo zdefiniowała, jak dowartościowała, a nad jaką częścią – pozornie naszych wyborów – przejęła kontrolę.

## W STRONĘ BIBLIOTEKI TRZECIEJ FALI

Toffler uznał biblioteki za instytucje właściwe społeczeństwu drugiej fali. O bibliotekach wspominał w fragmencie *Trzeciej fali*, omawiającym pojęcie pamięci społecznej. Według Tofflera owa pamięć społeczna nie jest pamięcią przeciętnego człowieka, która wraz z nim umiera. Pamięć społeczna jest pamięcią dzieloną przez członków społeczeństwa. W społeczeństwie pierwszej fali pamięć społeczna, mimo że podzielona między członków społeczeństwa, była przechowywana w umysłach ludzi i przekazywana w formie podań, legend, mitów, pieśni itp. Ale to powodowało, że pamięć społeczna była nietrwała i podatna na przeinaczenia. Społeczeństwo drugiej fali, tworząc biblioteki i muzea, przełamało owe ograniczenia. Zatem dzięki bibliotekom, które zaczęły kumulować pamięć społeczną, nastąpił przyspieszony rozwój społeczeństwa, który w efekcie doprowadził do rewolucji przemysłowej. W wypowiedzi Tofflera widać jednak pewną krytykę bibliotek. Sposób myślenia Tofflera przypomina nieco wywód M. McLuhana, który uważał, że sposób komunikowania się ludzi żyjących we wspólnocie plemiennej był żywy i właściwy naturze ludzkiej. Natomiast wynalazek i upowszechnienie druku zamknęły komunikację w schemacie linearności. Podobnie uważa Toffler, iż w czasach, gdy pamięć społeczna przechowywana była jedynie w umysłach ludzi, była tym samym stale przetwarzana i uzupełniana. Inaczej mówiąc, była żywa. Natomiast powierzenie pamięci społecznej różnym obiektom przechowującym pamięć (książkom, gazetom, filmom, fotografiom) ograniczyło dynamiczne funkcjonowanie tej pamięci. Toffler uważa wręcz, że cywilizacja drugiej fali zamroziła pamięć społeczną w książkach<sup>11</sup>. Natomiast społeczeństwo trzeciej fali przenosi pamięć społeczną na wyższy poziom. Mamy do czynienia z jeszcze większym rozprzestrzenieniem pamięci społecznej, ale również jest ona bardziej aktywna, czy dynamiczna, a nie – jak w bibliotekach drugiej fali – statyczna, czy zamrożona. A wszystko to dzięki nowym środkom przekazu, w tym komputerom, które nie tylko służą do przechowywania danych, ale też (a może przede wszystkim) je przetwarzają. Pamięć społeczna w postaci elektronicznej o wiele łatwiej się rozprzestrzenia, ale też paradoksalnie jest du-

<sup>10</sup> Tamże, s. 13.

<sup>11</sup> A. Toffler: *The third wave...*, op. cit. s. 166.

zo mniej trwała, niż to miało miejsce w książce – sztandarowym produkcie społeczeństwa drugiej fali. Taka pamięć daje się łatwo edytować, a to znaczy, że nie tylko uzupełniać, ale także zmieniać i zacierać. Bywa, że niektórzy woleliby przekreślić swoje wypowiedzi ogłoszone drukiem 30 lub 50 lat temu. Niestety (a może – na szczęście) jest to niemożliwe. Natomiast w przypadku publikacji elektronicznej (przekazywanej na przykład sieciowo) jest to możliwe jak najbardziej. Nagle dokument znika z serwera WWW, jakby go tam wcześniej nigdy nie było.

Wywód Tofflera jest dyskusyjny, bo informacja na CD jest tak samo zamrożona, jak w inkunabule z prasy J. Gutenberga. Ale ma też rację, widząc w cywilizacji trzeciej fali szansę dla bibliotek – czyli możliwość „odmrożenia” zgromadzonych w nich zasobów pamięci społecznej. Przyłączenie bibliotek do sieci teleinformatycznych pozwala bibliotekom zerwać z nie zawsze korzystnym wizerunkiem statycznego archiwum dokumentów, a zbliżyć się do wizerunku dynamicznego banku informacji.

Jest oczywiste, że zmiana stylu życia społeczeństwa, zapowiadana w różnych futurologicznych publikacjach, powinna spowodować także zmianę w sposobie funkcjonowania bibliotek i sposobie korzystania z nich. **Tą cechą przyszłego społeczeństwa, która powinna zasadniczo przeobrazić wszelkie instytucje, w tym także biblioteki, będzie coraz mniejsza potrzeba opuszczania miejsca zamieszkania w celu osiągnięcia określonych celów.**

Zastosowanie komputerów w bibliotekarstwie stało się dominującym tematem w pracach badawczych w zakresie bibliotekoznawstwa. Dorobek piśmienniczy w tym zakresie jest już dość obszerny, gdyż biblioteki były jednymi z pierwszych instytucji, które za pomocą komputera zaczęły realizować niektóre ze swych zadań. W dyskusjach na temat przyszłości bibliotek w społeczeństwie informacyjnym pojawiają się pozornie sprzeczne twierdzenia. Z jednej strony słyszymy głosy o nadejściu czasu rozkwitu bibliotek, z drugiej strony o tym, że daleko posunięta komputeryzacja zachwieje podstawami bibliotek w ich dotychczasowej formie. Jest oczywiste, że szerokie zastosowanie komputerów zmieni sposób pracy bibliotekarza, usprawni ją, poprawi jej efektywność. Ale nie brak głosów, że kolejne etapy komputeryzacji bibliotek eliminować będą kolejne specjalności bibliotekarskie, by na końcu wyeliminować samą bibliotekę. Przy takim spojrzeniu na problem, o bibliotece będziemy mówić dopóty, dopóki komputer będzie bibliotekarza wyręczać w niektórych pracach, gdy będzie go odciążać. Ale kiedy go zastąpi nie będzie podstaw do dalszego używania terminu biblioteka. Bardziej odpowiednim określeniem na ówczesną bibliotekę będzie chyba użyte przez Josepha Licklida pojęcie „system poznawczy”<sup>12</sup>.

Z publikacji w rodzaju wspomnianej *Trzeciej fali* A. Tofflera płynie wiele, w tym wypadku wyrażonych implicite, optymistycznych dla bibliotekarstwa przeowiedni. W społeczeństwie postindustrialnym wzrasta znaczenie szybkości komunikowania się ludzi i szybkości dostępu do informacji. Biblioteka jako instytucja, która z założenia ma gromadzić i udostępniać informację, powinna więc na tym popycie na informację skorzystać. Tofflerowie, pisząc o końcu ery industrialnej, używali często pojęcia „fabryka” w sposób metaforyczny. W tym znaczeniu tofflerowską fabryką (oprócz tej sensu stricto) jest także dotychczas nam znana szkoła, szpital, biblioteka itd.

*Fabryka stała się jednym z podstawowych symboli społeczeństwa industrialnego, a nawet więcej: stała się modelem większości instytucji powstałych w warun-*

<sup>12</sup> J.C.R. Licklider: *Biblioteki przyszłości*. Warszawa, PWN 1970.

*kach drugiej fali (...). Wytwórczość trzeciej fali opiera się na innych zasadach, a rozwija się w miejscach mało podobnych do fabryk. Coraz więcej produktów trzeciej fali rodzi się w domach, urzędach, samochodach czy samolotach*<sup>13</sup>.

Mówiąc o bibliotekach tradycyjnych, możemy nawiązać do owego modelu fabryki, instytucji wykazującej cechy epoki industrialnej. Chcąc natomiast, podążając za rozumowaniem Tofflerów, opisać bibliotekę „trzeciej fali”, należałoby wyobrazić sobie instytucję wychodzącą do czytelnika, docierającą ze swą ofertą nawet do jego domu.

W świecie „trzeciej fali” pracownik przestaje być anonimowym robotnikiem, na którego wysokich kwalifikacjach pracodawcy nie zależy. Wręcz przeciwnie, w chwili przesunięcia punktu ciężkości ze sfery produkcji do sfery usług, w tym usług informacyjnych, wzrastać będzie zapotrzebowanie na ludzi wykształconych. **Biblioteka jako ogniwo procesu kształcenia i rozwoju nauki jest więc predestynowana do odegrania w społeczeństwie „trzeciej fali” liczącej się roli.** Już teraz według Tofflera symptomem dokonujących się zmian jest wzrastający odsetek ludzi zatrudnionych w administracji, a malejący odsetek robotników. Obserwowane przez Tofflera 20 lat temu w USA przemiany, możemy dziś obserwować także w Polsce. Zasadniczy dla społeczeństwa postindustrialnego proces decentralizacji przemysłu objawia się dziś w naszym kraju wzrostem znaczenia małych przedsiębiorstw, dostarczających na rynek wyroby dostosowane do zindywidualizowanych potrzeb człowieka. Widoczne jest to w przemyśle samochodowym, który częstokroć korzysta z podzespołów produkowanych w małych firmach. Niewielkie montownie i małe firmy produkujące podzespoły dla gigantów motoryzacji, działając w małych miejscowościach, udowadniają tezę o decentralizacji przemysłu, a dzięki swej obecności na rynku potwierdzają zapowiedzi zmierzchu produkcji masowej. Podobnie ma się rzecz w dziedzinie informatyki. Microsoft i jemu podobne informatyczne molochy są wyjątkami od reguły, która mówi, że w świecie panuje deunifikacja, a godnych polecenia produktów software'owych szukać można w ofercie małych, nawet jednoosobowych firm.

Hamish Mc Rae w swej futurologicznej wizji ludzkości w roku 2020 również zwraca uwagę na zjawisko decentralizacji:

*(...) podstawowym skutkiem rewolucji w dziedzinie elektroniki będzie wyprowadzenie pracowników z centrów miast, w związku z czym spoiwem dla funkcjonowania miasta staną się raczej czynniki społeczne i kulturowe niż gospodarcze. Jeśli okaże się, że powyższy pogląd jest słuszny, to miasta zaczną powracać do swych pierwotnych funkcji społecznych, administracyjnych i handlowych, a nie przemysłowych. Miasta, które zdołały stworzyć solidną bazę intelektualną i kulturową, będą się rozwijały pomyślnie, kosztem tych ośrodków, które zawczasu nie dokonają odpowiednich przekształceń*<sup>14</sup>.

Proces zmniejszania się grupy osób bezpośrednio zaangażowanych w produkcję towarów dotyczy oczywiście także rolnictwa. Będzie to szczególnie uciążliwe dla naszego społeczeństwa, którego tak duża część zajmowała się do tej pory uprawą ziemi, gdyż należy oczekiwać drastycznych ograniczeń zatrudnienia w tej dziedzinie gospodarki. Tofflerowie, odnośnie do tej kwestii pisali:

<sup>13</sup> A. Toffler, H. Toffler: *Budowa nowej cywilizacji. Polityka trzeciej fali*. Poznań, Zysk i S-ka 1996, s. 82.

<sup>14</sup> H. McRae: *Świat w roku 2020. Potęga, kultura i dobrobyt – wizja przyszłości*. Warszawa, Dom Wydawniczy ABC 1996 s. 259.

*Stany Zjednoczone należą do grona największych na świecie producentów żywności, chociaż tylko dwa procent zdolnych do pracy zatrudnionych jest w rolnictwie*<sup>15</sup>.

W społeczeństwie trzeciej fali – trzymając się pojęcia Tofflera – o potęgę kraju nie decyduje już ogromnie rozbudowany przemysł i zasoby naturalne. Wzrasta natomiast znaczenie wiedzy, wartością staje się dostęp do informacji, a „bogactwem naturalnym” państwa stają się ludzie wykształceni. Powinna zatem rosnąć rola szkoły i innych instytucji, które szeroko pojętej oświacie służą, a więc także bibliotek. Biblioteka we współczesnym społeczeństwie jest silnie związana z systemem oświatowym. Oczywiście w pierwszym rzędzie funkcję wspierania oświaty pełnią biblioteki szkolne, ale także w dużym stopniu te funkcje wypełniane są przez biblioteki publiczne i naukowe. O wzroście znaczenia wiedzy, a zatem znaczenia szkoły i edukacji permanentnej pisze m.in. Peter Drucker. Używa nawet wielokrotnie określenia „społeczeństwo wiedzy”.

*Szkoła, chociaż długo pozostawała centralną instytucją, była raczej poza społeczeństwem niż w społeczeństwie. Miała do czynienia z młodymi ludźmi, którzy jeszcze nie byli obywatelami, jeszcze nie byli odpowiedzialni, jeszcze nie zaliczono ich do siły roboczej. W społeczeństwie wiedzy szkoła staje się instytucją również ludzi dorosłych, a zwłaszcza dorosłych starannie wykształconych*<sup>16</sup>.

To ostatnie zdanie brzmi dość paradoksalnie, ale jest w nim dużo racji, że raz zdobyta nawet duża wiedza nie wystarczy, by być pewnym utrzymania swej pozycji na rynku pracy. Powstaje zatem pytanie, jak ma wyglądać biblioteka i szkoła w społeczeństwie trzeciej fali. Skoro szkoła i biblioteka w obecnym kształcie zostały przez Tofflera zaliczone do instytucji społeczeństwa drugiej fali, muszą przejść duże przeobrażenia, by wypełnić nowe funkcje w nowym układzie społecznym. Te przeobrażenia dokonają się dzięki szerokiemu zastosowaniu technologii teleinformatycznej. W szkole już dziś komputer znajduje zastosowanie w zarządzaniu szkołą, przygotowaniu materiałów dydaktycznych, prowadzeniu zajęć i w ocenie postępów w nauce. Ale jeszcze wiele czasu upłynie zanim komputer przestanie być w szkole nowinką techniczną, a stanie się narzędziem powszednim. Podobnie w bibliotece. Stopniowo będzie powiększać się obszar zastosowania komputera. Już nie tylko jako narzędzia opracowania dokumentów i informacji katalogowej, ale także jako narzędzia gromadzenia, przechowywania i udostępniania dokumentów.

Z powyższych uwag wynika, że w społeczeństwie postindustrialnym nie zabraknie ludzi ustawicznie się kształcących, podnoszących lub zmieniających swe kwalifikacje. To oczywiście dobra prognoza dla bibliotek, jak zostało powiedziane, istotnych ogniw procesu kształcenia i obiegu informacji. Ale jest także w postindustrialnych prorocत्वach zapowiedź zmian, która każe poważniej zastanowić się nad przyszłością bibliotek. Rozwój technologii teleinformatycznej sprawi, że ludzie będą mogli realizować wiele przedsięwzięć nie opuszczając własnego mieszkania dzięki podłączonemu do sieci komputerowi. Rozwijający się w ogromnym tempie (w USA i nieco wolniej w Europie) elektroniczny handel (z ang. e-commerce) jest zwiastunem przyszłych przeobrażeń kulturowych, dokonujących się na bazie rozwoju Internetu. Zmiana struktury zatrudnienia również będzie wynikać z przewagi (wyrażonej rachunkiem ekonomicznym) telekomunikacji nad transportem. Oznacza to, że coraz częściej ludzie będą wykonywać swój zawód bez wychodzenia z domu. Normalnym zjawiskiem jest otwieranie własnej firmy

<sup>15</sup> A. Toffler, H. Toffler: *Budowa nowej cywilizacji...*, op. cit. s. 47.

<sup>16</sup> P. F. Drucker: *Społeczeństwo pokapitalistyczne*. Warszawa, PWN 1999 s. 158.

w budynku, w którym się mieszka, a nawet dużym firmom opłaca się już dzisiaj zorganizować niektórym pracownikom miejsce pracy w domu. Przykładem pierwszych tego typu zmian w organizacji współczesnych firm jest zjawisko tzw. outsourcingu, czyli powierzania niektórych zadań (np. prowadzenia księgowości) firmom lub osobom z zewnątrz. Warunkiem powodzenia takiego rozwiązania jest możliwość utrzymania stałego kontaktu pomiędzy pracownikiem a pracodawcą. Szybka i przepustowa sieć telekomunikacyjna powinna sprawić, że to, co najistotniejsze w relacji pracodawca-pracobiorca (zlecenie zadania, wykonanie zadania i przekazanie jej wyników), zostanie osiągnięte bez konieczności wychodzenia pracobiorcy z domu. W tej odhumanizowanej wizji, bo pomijającej bezpośrednie kontakty zawodowe, miejscem pracy członka społeczeństwa „trzeciej fali” będzie dom. Inaczej mówiąc, człowiek będzie mieszkał w pracy.

*Dzięki rewolucji technologicznej praca w domu przestanie być czymś niezwykłym, ponieważ podobnie jak niektórzy usługodawcy są w stanie oddzielić się fizycznie od swoich klientów, tak samo pracownicy będą mogli oddzielić się od swych pracodawców*<sup>17</sup>.

Notabene nie wszyscy zgodziliby się z określeniem powyższej wizji mianem „odhumanizowanej”. Dla Francisca Fukuyamy jest to po prostu naturalny powrót do form pracy z epoki preindustrialnej. Fukuyama twierdzi:

*Pomysł rozdzielenia miejsca pracy i miejsca zamieszkania to w całości twór ery industrialnej*<sup>18</sup>.

Koniec ery industrialnej i początek nowej cywilizacji spowoduje wyraźne ograniczenie zjawiska „comuters”, czyli codziennych podróżników, którzy całe godziny poświęcają na dojazd do i z pracy. Według Fukuyamy ludzie powinni szybko przywyknąć do „nowej-starej” formy pracy.

*Początkowo osoby pracujące w ten sposób mogą czuć się nieswojo w nowej sytuacji, gdyż wychowano nas w przekonaniu, że dom i praca znajdują się w różnych miejscach. Jest to jednak tylko przesąd; silny związek domu i pracy jest rzeczą znacznie bardziej naturalną i znacznie bardziej zgodną z historycznym doświadczeniem ludzkości*<sup>19</sup>.

Ta myśl w połączeniu z ideą biblioteki w jej tradycyjnej formie prowadzi do wniosku, iż po pierwsze: coraz mniej ludzi będzie powodowanych potrzebą wyjścia z domu w celu udania się do biblioteki, a po drugie: część prac (chyba jednak niewielką) bibliotekarze będą wykonywali w domu. Bynajmniej nie jest to kwestia dalekiej przyszłości. O amerykańskich doświadczeniach w tym względzie pisała m.in. Karen Wilson. Już dziś praktykuje się zlecanie zadania opracowania zbiorów osobom z zewnątrz, małym firmom lub innym bibliotekom<sup>20</sup>.

Marek Nahotko rozsunął – wydawałoby się – dramatyczną wizję biblioteki, jako miejsca bez czytelników z nielicznym personelem.

*Myszę, że nie potrzebujemy w bibliotece obecności użytkowników. Już teraz istnieją techniczne możliwości zdalnego udostępniania zainteresowanym wszystkiego, co mogą znaleźć w bibliotece (...). Dzięki zautomatyzowanym katalogom bibliotecznym (OPAC) podstawowa czynność, która zmuszała użytkownika do przyścia do biblioteki, a mianowicie znalezienie informacji o zbiorach, może być teraz rea-*

<sup>17</sup> H. McRae: *Świat w roku 2020...*, op. cit. s. 260.

<sup>18</sup> F. Fukuyama: *Wielki wstrząs. Natura ludzka a odbudowa porządku społecznego*. Warszawa, Politeja 2000 s. 250.

<sup>19</sup> Tamże, s. 250.

<sup>20</sup> K. A. Wilson: *Outsourcing copy cataloging and physical processing*. „Library Resources and Technical Services” 1995 vol. 39 no 4 s. 359-383.

lizowana zdalnie poprzez Internet lub inne media. Zatem konieczność przychodzenia do biblioteki została wyeliminowana<sup>21</sup>.

Łącząc powyższe słowa z ideą outsourcingu można zaryzykować twierdzenie, że zapowiadana przez niektórych pustka bibliotek przyszłości będzie spowodowana nie tylko brakiem fizycznej obecności czytelników (zastępować ją będzie obecność wirtualna), ale również coraz bardziej widoczną(!) nieobecnością personelu. Pojawi się więc kategoria osób, zarówno bibliotekarzy, jak i użytkowników, których kontakt z biblioteką ograniczać się będzie prawie wyłącznie do kontaktu online. Rozwinięte sieci teleinformatyczne umożliwią jednym tworzenie i przekazywanie informacji, a drugim jej zdobywanie. Jaka część tych informacji pochodzić będzie z przygotowanych do nowych warunków „bibliotek trzeciej fali” zależy od tego, jak szybko dzisiejsze biblioteki dostosują swoją ofertę i tryb pracy do potrzeb i oczekiwań ludzi epoki multimediiów, telewizji satelitarnej i Internetu.

## DOSTĘP DO INFORMACJI W SPOŁECZEŃSTWIE INFORMACYJNYM

Należy mieć nadzieję, że zapowiadane przez futurologów głębokie przemiany społeczne wywołane szerokim zastosowaniem technologii teleinformatycznej dotyczyć będą większości członków danego społeczeństwa, a tym samym zawęzi się margines tworzony przez ludzi niewykształconych, nieaktywnych kulturalnie, przez osoby niewykwalifikowane, czy bezrobotnych. Z tego, co pisał Toffler o społeczeństwie trzeciej fali (że rozrastać się będzie sektor usług, a maleć zatrudnienie w sferze produkcji, i że wobec tego wzrastać będzie zapotrzebowanie na ludzi wykształconych i samodzielnie myślących), wynikałby wniosek, iż w społeczeństwie pojawi się stała potrzeba podnoszenia kwalifikacji i nastąpi rozwój edukacji permanentnej. Istnieje jednak obawa, że uczestnikami i beneficjentami społeczeństwa trzeciej fali będzie wąska grupa ludzi. I to oni będą przede wszystkim uczestnikami owego kształcenia ustawicznego. Taką czarną perspektywę roztoczył przed cywilizacją zachodnią Samuel Huntington. Zapowiadany przez niego upadek cywilizacji zachodniej spowodowany problemami ekonomicznymi i demograficznymi wynikał będzie także z obserwowanego już teraz upadku moralności. Objawia się to wzrostem przestępczości, rozkładem rodziny, mniejszym zaangażowaniem społecznym ludzi, wzrostem bezproduktywnej konsumpcji, a przede wszystkim

*...słabnącym zainteresowaniem nauką i aktywnością intelektualną, co w Stanach Zjednoczonych przejawia się obniżeniem poziomu szkolnictwa<sup>22</sup>.*

By złowieszcze przepowiednie Huntingtona się nie sprawdziły, rządy poszczególnych państw i władze różnych szczebli muszą dbać, by dostęp do nowych środków komunikacji rozkładał się w danym społeczeństwie równomiernie. Nie wskazana jest sytuacja, gdy dostęp do nowych technologii daje się w pierwszej kolejności mieszkańcom dużych miast. Są oni już i tak uprzywilejowani cywiliza-

<sup>21</sup> Wypowiedź M. Nahotko w dyskusji panelowej konferencji „Elektroniczna Przyszłość Bibliotek Akademickich”, Kraków 1995. W: *Elektroniczna Przyszłość Bibliotek Akademickich*. Pod red. W. Pindlowej. Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego 1997 s. 178.

<sup>22</sup> S. P. Huntington: *Zderzenie cywilizacji i nowy kształt ładu światowego*. Warszawa, Muza 1997 s. 467.



cyjnie. Mają łatwiejszy dostęp do instytucji kultury i oświaty, łatwiejszy dostęp do służby zdrowia, rozwinięte sieci telewizji kablowej itd. Nierównomierny dostęp do nowych środków komunikacji może niestety pogłębić istniejące w społeczeństwie zróżnicowanie. Taki problem zaobserwowano jeszcze w latach osiemdziesiątych w USA. W badaniach z roku 1989 stwierdzono, że odsetek bibliotek szkolnych, w których zastosowano komputer do automatyzacji niektórych procesów bibliotecznych sięgał 56% na przedmieściach amerykańskich miast i tylko 10% na obszarach wiejskich. Ciekawym wynikiem był tylko wskaźnik dla samych miast, wynoszący zaledwie 17%<sup>23</sup>. Uwzględniając pewne zapóźnienie Polski względem Ameryki w zakresie informatyzacji, możemy odnieść ówczesną sytuację w USA do obecnej sytuacji w Polsce i stwierdzić, że niekorzystnym jest obserwowany obecnie proces, w wyniku którego, młodzież dzieli się na kształconą przy użyciu komputera oraz w sposób tradycyjny, czyli bez jego udziału. O tym, że komputer jest przyszłością edukacji nie ma wątpliwości i nie zmienia tego krytyczne (by nie powiedzieć wsteczne) opinie formułowane przez technosceptyków, jak ta autorstwa Jean Gimpela:

*Wbrew wszelkim oczekiwaniom komputer nie opanował sektora oświatowego, ani w Stanach Zjednoczonych, ani gdziekolwiek. (...) Nowe środki przekazu audiowizualnego napotyka już na starcie takie trudności, iż doprawdy nie należy się dziwić, słysząc tu i ówdzie, że te metody nauczania długo jeszcze nie zastąpią w szkołach kredy; po krótkim okresie regresu można zaobserwować jej triumfalny powrót. (...) Podczas wykładu czarna tablica jest znacznie skuteczniejsza do przekazywania myśli wykładowcy aniżeli rzutniki, które najczęściej służą do ukrycia jego lenistwa lub braku zdolności do jasnego wyrażania treści wystąpienia. Słuchacze znacznie lepiej śledzą myśl wykładowcy, jeśli formułuje ją na czarnej tablicy<sup>24</sup>.*

Gimpel nie może mieć racji. „Chalk talk” jako metoda dydaktyczna nie wróciła, bo też nigdy nie odeszła. I wcale nie chodzi o to, by komputery ją całkowicie wyparły. Chodzi o to, by ją wsparły. Badania pedagogiczne pokazały nie raz, że zastosowanie środków technicznych i technik audiowizualnych podnosi skuteczność (trwałość i szybkość) kształcenia. Zwiększa też atrakcyjność nauczania, co ma dla skuteczności znaczenie niebagatelne. Dostęp do nowych mediów jest zatem jednym z warunków odniesienia sukcesu w społeczeństwie informacyjnym.

W 1986 r. Komisja Wolności i Równości Dostępu do Informacji przy Amerykańskim Stowarzyszeniu Bibliotekarskim (ALA) sporządziła raport<sup>25</sup>, z którego wynikało, **iz w zmieniającym się świecie mediów niektórym grupom społecznym będzie coraz trudniej nadążyć za zmianami i zachować dostęp do skarbu, jakim jest informacja.** Mowa tu o aktywnym zdobywaniu informacji i umiejętnej jej selekcji, a nie biernym odbiorze „przetworzonych newsów” płynących ze stacji telewizyjnych. Mówiąc o wolności i równości w dostępie do informacji autorzy raportu doszli do ciekawego wniosku, że ważniejszym problemem niż fizyczna dostępność do nowych mediów jest nieumiejętność ich wykorzystania. Owszem, fizyczna dostępność ma także znaczenie. Nie można korzystać z Internetu, nie mając dostępu do komputerów i sieci telekomunikacyjnych,

<sup>23</sup> K. Wright: *The challenge of technology. Action strategies for the school library media specialist.* Chicago, ALA 1993 s. 7.

<sup>24</sup> J. Gimpel: *U kresu przyszłości. Technologia i schyłek Zachodu.* Wrocław, Wydawnictwo Dolnośląskie 1999 s. 30-32.

<sup>25</sup> *Freedom and equality of access to information.* W: *Books in our future. Perspectives and proposals.* Washington, ALA 1987 s. 340-356.

ale autorzy raportu już wówczas (w połowie lat osiemdziesiątych) zauważali stały spadek kosztów nowych technologii i słusznie wnioskowali, że fizyczna dostępność urządzeń komputerowych będzie coraz łatwiejsza. Natomiast istotniejszym problemem jest wspomniane nieprzygotowanie dużej części społeczeństwa do życia w epoce informacji. Wielu ludzi nie czyta wystarczająco dobrze, by sprostać wyzwaniom dnia codziennego, a nieumiejętność korzystania z nowych mediów pogłębi tylko przepaść między tymi, którzy mają dostęp do informacji a tymi, którzy go nie mają. Mamy do czynienia z pewnym paradoksem, że ta część społeczeństwa, która informacji potrzebuje bardzo, by zmienić swą trudną sytuację (ludzie ze sfery ubóstwa, niewykształceni, bezrobotni) będzie coraz bardziej odcięta od informacji i coraz bardziej popadać w zakłęty krąg niemożności.

Obsługa komputerów staje się więc powoli tak samo ważną umiejętnością, jak czytanie i pisanie. W związku z tym pojawiło się w literaturze przedmiotu pojęcie „computer literacy”. Samo pojęcie „literacy” (czyli piśmienność) oznacza oczywiście umiejętność pisania i czytania. Dosłowne tłumaczenie zwrotu angielskiego jako piśmienności komputerowej nie byłoby chyba najwłaściwsze, bo mogłoby sugerować, że chodzi o sprawność w posługiwaniu się klawiaturą lub znajomość edytorów tekstów, a to tylko część ogólnego znaczenia. „Computer literacy” oznaczałoby zatem szerzej pojętą umiejętność wykorzystania komputera w zdobywaniu i przekazywaniu informacji. Przyjąć więc można jako bliższe znaczeniowo tłumaczenie o brzmieniu „sprawność komputerowa” ewentualnie „alfabetyzm komputerowy”.

Dochodzi jednak do tego, że zaczyna się przeciwstawiać pojęcia i zjawiska „computer literacy” i „traditional literacy”. Brzmi to czasem tak, jakby sprawność komputerowa miała zastąpić piśmienność w tradycyjnym rozumieniu. Pojawiają się więc opinie, że o żadnym „zamiast” nie może być mowy, a pożądanym zjawiskiem byłaby koegzystencja komputera i książki. Można zrozumieć argumenty przeciwników stawiania znaku równości pomiędzy sprawnością komputerową a piśmiennością w tradycyjnym znaczeniu. Dla nich czytelnictwo książek jest nie tylko obiektywnym zjawiskiem kulturowym, ale przede wszystkim ważnym procesem towarzyszącym ludziom w ich rozwoju, zmuszającym do analizowania treści, do twórczego myślenia, do kojarzenia faktów. Krótko mówiąc, procesem pobudzającym szare komórki. Natomiast „computer literacy” oceniana jest jako zubożenie rozwoju intelektualnego i zagrożenie dla czytelnictwa. Taki pogląd prezentuje m.in. Daniel Boorstin, który z gruntu jest przeciwny łączeniu słów „piśmienność” i „komputer”.

*Piśmienność, czyli zdolność do czytania i pisania, była zawsze uważana za podstawowy rekwizyt wolnego człowieka. (...) Obecnie wystuchujemy wymówek określanych mianem „computer literacy”. Entuzjazm dla sprawności komputerowej, czyli umiejętności manipulowania najnowszymi modelami komputerów, wydaje się zaciemniać nasze zatroskanie związane z piśmiennością książkową. Ale panowanie nad maszyną nie może być substytutem umiejętności czytania. (...) By nasze myślenie pozostało przejrzyste, kultura żywa, a ludzie wolni, musimy utrzymać klarowną i ostrą definicję piśmienności. Używanie komputerów wymaga zaznajomienia z książkami i życzliwości dla książek<sup>26</sup>.*

Niechęć wobec pojęcia „computer literacy” nie jest w tym wypadku niechęcią wobec komputera w ogóle. Jest niechęcią wobec przyzwolenia na zastępowanie książek treściami płynącymi z ekranów komputerów. Sprzeciw wobec trakto-

---

<sup>26</sup> D. J. Boorstin: *Books in our future*. W: *Books in our future...*, op. cit. s. 369-370.

wania komputera jako surogatu książki przez ludzi nieczytających książek wynika z negatywnych ocen treści dostępnych za pośrednictwem komputerów. Sprawność komputerowa prowadzi może według Boorstina do zjawiska zwanego po angielsku „aliteracy”, czyli nieczytania książek przez ludzi, którzy umiejętność czytania posiadli. Bardzo dyskusyjnym byłoby jednak dalsze twierdzenie, że „computer literacy” może ostatecznie doprowadzić do „illiteracy”, czyli analfabetyzmu. A i takie głosy można w tej dyspacie znaleźć. Oczywiście codzienna kilkugodzinna sesja internetowa zabiera niektórym czas i siły, jakie mogliby poświęcić na czytanie książek i czasopism. Ale wniosek, że obcowanie z komputerem prowadzi może do analfabetyzmu, jest bardzo pochopny. Można się jeszcze zgodzić, że poleganie w całości na elektronicznych źródłach informacji ogranicza sprawność językową odbiorcy, przyzwyczajając go do krótkich, hasłowych komunikatów opartych na elektronicznym parajęzyku. Taki pogląd wyraża m.in. Edmund Pellegrino, uważając wszystkie nieksiążkowe źródła informacji za obciążone jednym poważnym defektem. Otóż ich zadaniem jest przekazywanie informacji już przetworzonej, przetrawionej, wyselekcjonowanej i uporządkowanej. Tak pojmowane nieksiążkowe źródła informacji nie pozostawiają wiele miejsca dla aktywnego, twórczego czytelnika. Pellegrino uważa:

*Komputer jest najbardziej efektywnym, skutecznym i pociągającym narzędziem przekazywania przetworzonej informacji. Dodany do innych dokumentów nieksiążkowych i źródeł informacji jak filmy, kasety, telewizja i inne popularne media, komputer przyspiesza zanik sprawności intelektualnej zdobytej podczas czytania książek. Przetworzona informacja ma tę jakość, co przetworzony ser. Jest pozbawiona wyrazu, smaku i ostrości. I tak, jak długotrwała dieta oparta na przetworzonym serze zamazuje pamięć oryginalnego produktu, tak długotrwała dieta oparta na piśmiennictwie komputerowym zaciera pamięć prawdziwej piśmienności<sup>27</sup>.*

Pellegrino demonstruje więc jeden ze skrajnych poglądów, dopatrując się w komputerach hamulca rozwoju intelektualnego. Zwraca uwagę w tej wypowiedzi użycie zwrotu „prawdziwa piśmiennosc” skonfrontowanego z „computer literacy”. Taka postawa jest bardzo krzywdząca dla wielu wartościowych źródeł informacji dostępnych za pośrednictwem monitora komputerowego, więc z poglądem Pellegrino generalnie zgodzić się nie można. Jednak odnosząc słowa Pellegrino (pisane przed epoką Internetu) do obecnej sytuacji, kiedy wielu młodych ludzi, zamiast czytać książki i korzystać z komputera tylko korzysta z komputera, stwierdzimy, że w jego zdaniu mimo uproszczeń jest część prawdy. Bardzo często z ekranów komputerów dociera do naszych oczu przetworzona papka, nie mająca istotnego wpływu na rozwój intelektualny człowieka, a towarzyszy temu częsta nieumiejętność krytycznej i selektywnej oceny elektronicznych przekazów. Doszło nawet do tego, że uczniowie i studenci pobierają ze skarbnicy Internetu gotowe fragmenty tekstów i włączają je do swoich prac domowych i semestralnych, nawet nie czytając tego, co skopiowali. Elektroniczne teksty są traktowane jak „gotowiec”, który zwalnia z własnej pracy twórczej. Swobodny dostęp do wszelakich treści zachęca niestety do bezkrytycznego przejmowania czyjegoś dorobku. Jedno z ukazujących się w Polsce pism komputerowych obwieściło nawet, że udostępnia swoją stronę WWW jako forum wymiany elektronicznych ściąg<sup>28</sup>. Adres tej i podobnych stron powinno się więc polecić uwadze nauczycieli, by wiedzieli, skąd ich uczniowie kopiuja prace domowe.

<sup>27</sup> E. D. Pellegrino: *The computer and the book. The perils of coexistence*. W: *Books in our future...*, op. cit. s. 86-87.

<sup>28</sup> K. Matej: *Ściąg*. „PC World Komputer” 1997 nr 10 s. 3.

## NOWE PREFERENCJE UŻYTKOWNIKÓW INFORMACJI

Biblioteki współczesne, dostosowując się do wymagań „nowych czasów”, muszą zdać sobie sprawę z dokonującej się w XX wieku zmiany mentalności przeciętnego użytkownika biblioteki. Obwieszczany od kilkudziesięciu lat zmierzchem kultury druku i papieru jako nośnika informacji, przy jednoczesnym rozwoju kultury obrazkowej doprowadzić miał do wyrobienia w ludziach gotowości, a nawet potrzeby obcowania z nowoczesnymi, elektronicznymi źródłami informacji. W momencie zetknięcia tradycji z nowoczesnością, ta druga zawsze zyskuje zainteresowanie, a bywa, że i natychmiastową aprobatę<sup>29</sup>. Michael Lesk potwierdził to zjawisko w odniesieniu do automatyzujących się katalogów bibliotecznych.

*W latach osiemdziesiątych wiele bibliotek komputeryzowało swoje katalogi. Ich pracownicy stwierdzali wówczas, że gdy około jednej trzeciej zbiorów zostało skatalogowanych w komputerze, czytelnicy zaczęli ignorować całą resztę<sup>30</sup>.*

Podobnych spostrzeżeń, ale w odniesieniu do zbiorów dokonali Michael Malinconico i Jane Warth.

*Bibliotekarze często donoszą, że w momencie udostępnienia elektronicznych narzędzi, użytkownicy porzucają publikacje drukowane, nawet jeśli są przekonani, że elektroniczne produkty nie posiadają tej głębi i kompletności co ich drukowane odpowiedniki<sup>31</sup>.*

O ile uwagi Leska na temat automatycznych katalogów można uznać za słuszne, o tyle w przypadku samych zbiorów nie jest to tak oczywiste. Rzeczywiście katalog automatyczny w Bibliotece Narodowej w Warszawie jest oblegany, mimo że udostępniono już ponad 20 stanowisk komputerowych. Nie wszyscy zapewne czytelnicy zdają sobie sprawę, że katalog ten nie wykazuje całości zbiorów BN. Podobna sytuacja jest w Bibliotece Publicznej m.st. Warszawy. Tam też zazwyczaj należy zaczekać chwilę, by móc skorzystać z katalogowej bazy komputerowej. Natomiast w tej samej bibliotece w czytelni podręcznej udostępniono czytelnikom stanowiska komputerowe z szeregiem wydawnictw na CD (słowniki językowe, słowniki biograficzne, zestawienia aktów prawnych, bibliografie dziedzinowe, encyklopedie, bazy adresowe itp.). Otóż ze zdobyciem tych miejsc nie ma na razie problemu. Uczniowie i studenci, którzy stanowią większość użytkowników biblioteki, nie mają widocznie silnej potrzeby korzystania z elektronicznych źródeł.

Maryla Hopfinger zwróciła uwagę, że wzajemne przenikanie się w XX wieku kultury druku i kultury audiowizualnej wykształciło w ludziach określone preferencje w odniesieniu do źródeł informacji. Sprowadza się to do wniosku, że statystyczny członek społeczeństwa początku XXI wieku, mając do wyboru elektroniczne i analogowe źródła informacji, powinien w większości sytuacji wybierać

---

<sup>29</sup> Pewnym wyjątkiem od tej reguły w praktyce bibliotekarskiej były i są mikroformy, a szczególnie mikrofilmy. Bo o ile mikrofiszka daje w miarę szybki, choć nie każdemu odpowiadający, dostęp do żądanej klatki, o tyle mikrofilm wymaga wykonania pewnej pracy. Konieczność przewinięcia niekiedy całego zwoju w celu dotarcia do poszukiwanej strony, może skutecznie zniechęcić użytkownika do korzystania z tej formy. W celu ochrony rzadkich lub wielkoformatowych dokumentów musiano zastosować tę formę udostępniania. Jednak doświadczenie pokazuje, że większość czytelników, mając do wyboru mikroformę i oryginał, wybrałaby to drugie.

<sup>30</sup> M. Lesk: *Cyfrowe książki*. „Świat Nauki” 1997 nr 5 s. 38.

<sup>31</sup> S. M. Malinconico, J. C. Warth: *Electronic libraries: how soon?* „Program Automated Library and Information Systems” 1996 vol. 30 no 2 s. 135.

źródła elektroniczne. Tak rozumując dochodzimy do wniosku, potwierdzającego po części znaną myśl McLuhana, że nie przekaz, ale rodzaj przekaznika decyduje o procesie komunikacji. W tej kwestii Hopfinger pisze również, iż:

*Artikulacja kultury jest wypadkową wielu czynników, w tym biologicznych możliwości i kulturowych wzorców. Każda epoka z siłą przymusu kulturowego modeluje wyposażenie antropologiczne swoich uczestników. Ukształtowanie typu kultury sprzyja bowiem określonej strukturze preferencji w odbiorze (...)*<sup>32</sup>.

To charakterystyczne nastawienie percepcji współczesnego człowieka na informacje płynące kanałami telewizyjnymi, z ekranów wideo i monitorów komputerowych dostrzegaliśmy jako cechę naszej cywilizacji A. Toffler, dając jednemu z rozdziałów książki *Powershift* tytuł *Pokolenie ekranowców*<sup>33</sup>. Z tego wynika, że kultura audiowizualna, która kształtowała się przez cały XX wiek powinna wyrobić w ludziach skłonność do korzystania z przekazników tej kultury i stawiania ich ponad przekaznikami kultury pisma. Hopfinger twierdzi, że koniec epoki Gutenberga nie następuje teraz, gdy CD-ROM-y przejmują niektóre funkcje drukowanych wytworów kultury, ale że początkiem końca był wiek XIX, gdy wynaleziono fotografię, fonograf i gramofon, a przede wszystkim kinematograf. Wynalazki te i ich rozwój w następnych dziesięcioleciach powodowały stopniowe przekształcanie się typu kultury werbalnej w typ kultury audiowizualnej. Oczywiście najwięcej zmian spowodował wynalazek i umasowienie telewizji. Cały wiek XX to przenikanie się obu typów kultury. Widać to w początkach kina, gdy sfera werbalna wyrażona napisami na ekranie miała co najmniej takie samo znaczenie jak obraz. Widać to również w dzisiejszej telewizji, gdzie obok przekazów ze sfery kultury audiowizualnej znajdzie się czasem obraz telegazety, a więc medium bliskiego kulturze werbalnej.

Uzupełnieniem wypowiedzi Hopfinger na temat kształtowania się nowego typu percepcji i nastawienia współczesnego człowieka na odbiór treści przekazywanych głównie kanałami audiowizualnymi może być wypowiedź Tadeusza Miczki. Autor ten stwierdza „potęgującą się różnorodność praktyk komunikacyjnych” i jednocześnie stosuje pojęcie „przesunięcia komunikacyjnego” na określenie „istoty zmian zachodzących w zachowaniach nadawców i odbiorców”. Miczka stawia tezę, iż we współczesnej kulturze dokonują się trzy podstawowe przesunięcia komunikacyjne.

- Pierwsze przesunięcie to przejście od „lekturowego” odbioru komunikatów do prowadzenia w nim „nawigacji”.
- Drugie polega na zastępowaniu transmisji informacji działaniami interaktywnymi.
- „Trzecie przesunięcie komunikacyjne polega na zastępowaniu percepcji przebywaniem człowieka w stworzonym przez siebie i maszynę świecie audiowizualnym”<sup>34</sup>.

Współczesny odbiorca ma rzeczywiście coraz większe możliwości wpływania na proces komunikacji, w którym uczestniczy. Przestaje być biernym odbiorcą, staje się aktywnym współtwórcą komunikatu. Stąd pojęcie interaktywności,

<sup>32</sup> M. Hopfinger: *Kultura audiowizualna u progu XXI wieku*. Warszawa, IBL 1997 s. 9.

<sup>33</sup> A. Toffler: *Powershift. Knowledge, wealth, and violence at the edge of the 21st century*. New York, Bantam Books 1990 s. 359-371.

<sup>34</sup> T. Miczka: *O zmianie zachowań komunikacyjnych we współczesnej kulturze audiowizualnej*. W: *Panoramy i zbliżenia. Problemy wiedzy o filmie. Antologia prac śląskich filmoznawców*. Pod red. A. Gwoździa. Katowice, „Śląsk” 1999 s. 452-453.

oznaczające możliwość wpływania na sposób przekazywania komunikatu, a nawet na jego treść. Istotą trzeciego przesunięcia jest idea, która przyświeca ludziom zaangażowanym w rozwój technologii rzeczywistości wirtualnej. Nie obserwacja jakiejś rzeczywistości, ale zmysłowe choć pozorne uczestnictwo w niej, to rzeczywiście ogromne przesunięcie w procesie komunikacji. Chyba jednak jest za wcześnie, by mówić, że to przesunięcie już się dokonało.

Kształtujące się w ludziach nowe preferencje w doborze mediów muszą wywołać reakcję bibliotek. O tym, że technika na nowo definiuje użytkownika biblioteki, jego styl pracy i potrzeby świadczy coraz częstszy widok czytelników z własnymi notebookami. W Bibliotece Narodowej w Warszawie przeznaczono dla nich nawet (zapewne ze względu na dostęp do prądu) oddzielny rząd stolików. Niewykluczone, że ci ludzie, będąc heroldami nowej epoki mediów elektronicznych, woleliby obcować w swej pracy głównie z publikacjami elektronicznymi. Nawet, jeśli ich praca dotyczy analizy zawartości starych druków i czasopism, bynajmniej nie jest konieczne korzystanie z oryginałów, tym bardziej, że powinny one być objęte szczególną ochroną. W tej chwili, korzystając z materiałów drukowanych i przenosząc ich zawartość i notatki do pamięci swoich komputerów, istotnie oszczędzają czas, pomijając jeden z etapów pracy dotychczasowej – nie robią notatek na papierze. Cała praca edycyjna w momencie, gdy notatki są już w pamięci komputera, polega tylko na sprawnym posługiwaniu się kombinacją klawiszy Ctrl-C, Ctrl-V, Ctrl-X, w celu ułożenia odpowiednich fragmentów w gotowy do wydrukowania tekst. Gdyby dokument, z którego korzystają, miał również postać elektroniczną, oszczędzaliby czas jeszcze bardziej. Ubyłoby im bowiem czasochłonne, ręczne wprowadzanie do pamięci komputera tych fragmentów oryginalnego tekstu, które w ich tekście mają pełnić rolę cytatów.

Reakcją bibliotek na ewoluujące w czytelnikach preferencje w odbiorze powinno więc być szersze niż dotąd włączenie do zbiorów bibliotecznych nośników odpowiadających tym preferencjom – dokumentów audiowizualnych, a szczególnie multimedialnych. Z obserwacji Marcina Drzewieckiego wynika, że być może najwcześniej zmianę potrzeb czytelników i ich preferencji w odbiorze zauważyli bibliotekarze szkolni, ale wynikało to ze szczególnej roli tychże bibliotek we wspieraniu procesu kształcenia w szkole. Jeszcze w latach sześćdziesiątych pojawił się w piśmiennictwie amerykańskim i praktyce edukacyjnej termin „media centre”, odnoszący się do zmodernizowanej biblioteki szkolnej. Zaopatrzonej zarówno w dokumenty tradycyjne, jak i nowoczesne dokumenty nieksiążkowe oraz niezbędny do korzystania z nich sprzęt techniczny.

*Dla dzieci i młodzieży, które wyrosły w społeczeństwie korzystającym z różnych środków przekazu, które nabyły umiejętność swobodnego posługiwania się kasetami magnetofonowymi, projektorami, wideokasetami, mikrokomputerami, tradycyjna biblioteka nie mogła już w pełni stymulować i wzbogacać procesu nauczania i uczenia w szkole<sup>35</sup>.*

Zatem, szersze włączenie dokumentów nieksiążkowych do zbiorów bibliotecznych wyjdzie naprzeciw oczekiwaniom czytelników. Czy ma to oznaczać w praktyce bibliotekarskiej odwrót od drukowanych źródeł informacji? W pewnym stopniu tak, choć nic nie zapowiada, by był to odwrót gwałtowny i całkowity. Papier długo jeszcze nie da się wyprzeć jako nośnik tekstów literackich. Natomiast cyfrowe nośniki będą stopniowo przejmować funkcje papieru w groma-

---

<sup>35</sup> M. Drzewiecki: *Biblioteki szkolne i pedagogiczne w Polsce. Rola w procesie dydaktycznym i miejsce w krajowej sieci biblioteczno-informacyjnej*. Warszawa, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego 1991 s. 54.

dzeniu i upowszechnianiu informacji naukowej, bo jak słusznie zauważa E. Chmielewska-Gorczyca, będą te funkcje po prostu wypełniać lepiej.

*Funkcje, które stare media zatrzymują to te, które wypełniane były przez nie w sposób zadowalający, natomiast te funkcje, które mogą być zaspokajane lepiej (sprawniej, taniej, szybciej) przez nowo powstałe media są im odbierane (...) Tak więc wprowadzenie nowych form komunikacji nie eliminuje żadnej z form tradycyjnych, ale jest w stosunku do zastanego systemu komunikacji komplementarne, umożliwiając jednocześnie większą specjalizację funkcji dotychczasowych środków komunikowania się oraz ujęcie w zorganizowany strumień większej ilości informacji i usprawnienie jej dystrybucji<sup>36</sup>.*

Czeka nas więc w najbliższych latach (może dziesięcioleciach) okres, w którym książka będzie równolegle z dokumentami elektronicznymi wypełniać te same funkcje, ale w funkcji, którą wypełniała w sposób więcej niż zadowalający, w funkcji podtrzymywania obiegu literackiego, długo jeszcze pozostanie jedynym liczącym się medium.

## MCLUHAN'OWSKA KRYTYKA KULTURY DRUKU

Najbardziej znaną wypowiedź, zawierającą krytyczne uwagi na temat kultury druku w ujęciu ogólnym, sformułował wspomniany już kilkakrotnie M. McLuhan. Polski znawca zagadnień mediów masowych Tomasz Goban-Klas zalicza wypowiedź McLuhana do tzw. teorii kulturowych, czyli takich, które głoszą przemożny wpływ mediów na ogół norm i standardów kulturowych, a zatem wywołują zmiany pankulturowe. Notabene Goban-Klas uważa, że określenie dokonania McLuhana mianem „teorii” byłoby naukowo nieuprawnione<sup>37</sup>, a jeszcze bardziej krytyczny jest J. Wojciechowski, który wypowiedzi McLuhana określa mianem „błyskotliwych fantazji i odkrywczych zmyśleń”<sup>38</sup>.

Krytyka, jakiej dokonał McLuhan (choć nie jest to precyzyjne określenie), wiązała się z jego oceną różnych środków przekazu. Nie stworzył jakiejś szczególnej ich typologii. Można to sobie wyobrazić jako pewną skalę, na której jednym końcu umieścił przekąźniki najgorzej ocenione, nazwane gorącymi, a na drugim końcu przekąźniki dobre zwane zimnymi. Problem w tym, że ocenę przekąźnika uzależniał też od środowiska kulturowego. W kulturze niepiśmiennej (zimnej) radio byłoby bardzo gorące. W kulturze druku natomiast radio byłoby chłodniejsze. W swej ocenie środków przekazu zabrnął tak daleko, że przestał zwracać uwagę na treści zawarte w przekazach. Treść w przekazie nie ma znaczenia, skoro sam przekąźnik jest przekazem, gdyż decyduje o nastawieniu człowieka, o sposobie patrzenia na świat,...

*(...) kształtuje i kontroluje skalę i zakres działalności człowieka oraz stosunki z innymi. Sama treść czy sposób wykorzystania przekąźnika jest tyleż bogata i różnorodna, co pozbawiona wpływu na kształtowanie się związków i stosunków między ludźmi<sup>39</sup>.*

<sup>36</sup> E. Chmielewska-Gorczyca: *Cechy środków zapisu i przekazu informacji*. W: *Bibliologia dyscypliną integrującą*. Warszawa, Wydawnictwo IHNOiT, 1993 s. 359.

<sup>37</sup> T. Goban-Klas: *Komunikowanie masowe. Zarys problematyki socjologicznej*. Kraków, Ośrodek Badań Prasoznawczych 1978 s. 279.

<sup>38</sup> J. Wojciechowski: *Bibliotekarstwo: kontynuacje i zmiany*. Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego 1999 s. 111.

<sup>39</sup> M. McLuhan: *Przekąźniki, czyli przedłużenie człowieka*. W: *Wybór pism*. Warszawa, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe 1975 s. 46.

McLuhan dobrze oceniał te przekładniki, które aktywizują odbiorcę, czyli te które pobudzają nasze zmysły. Właściwą człowiekowi cechą jest gotowość jednoczesnego odbioru różnych sygnałów przez różne zmysły. Taki przekładnik, czy sposób przekazu, który aktywizuje większość zmysłów jest przekładnikiem dobrym. Nie zaburza naszej równowagi sensorycznej, a więc jest dla naszego sensorium przekładnikiem obojętnym – zimnym. Według McLuhana niepożądaną jest bierność, jaka towarzyszy kontaktom z przekładnikami gorącymi, które...

(...) *powodują niewielki udział odbiorcy w samym procesie przekazu, podczas gdy przekładniki zimne wymagają aktywnego współuczestnictwa w uzupełnianiu przekazywanej treści*<sup>40</sup>.

Tok myślenia McLuhana prowadzi do wniosku, że najzimniejszym przekładnikiem jest rozmowa. Rozmawiając aktywizujemy większość zmysłów. Słyszymy rozmówcę, widzimy go, możemy go dotknąć, a jeśli pachnie to powąchać. Ostatecznie możemy go nawet polizać, by dowieść aktywności wszystkich zmysłów w tym sposobie komunikacji. Natomiast książka, przy takim rozumieniu komunikacji, musiała zostać zaliczona do przekładników gorących, naruszających entalpię sensorium, bo aktywizujących tylko jeden zmysł.

Oryginalność i niekiedy chwiejność opinii McLuhana, wspartych tendencyjnie dobranymi, acz efektownymi przykładami, skłaniać może polemistów do podważenia jego twierdzeń w sposób równie efektowny, co ironiczny. Tak postąpił Jonathan Miller w książce *Spór z McLuhanem*. Miller podważył tok myślenia McLuhana próbując trywializować niektóre jego wypowiedzi. W ten sposób rozprawił się m.in. z twierdzeniem, że przekładnik sam jest przekazem, niezależnie od treści, jakie niesie.

*Dopóki widzowie zachowują czujność i interesują się wyłącznie charakterem środków przekazu (nie bacząc na to, co się do nich mówi), dopóty uprawiają właściwe studia epistemologiczne. Innymi słowy McLuhan powołał uniwersytecką wszechnicę radiową, która, by umożliwić swoim adeptom uzyskanie stopnia naukowego, nie wymaga od nich niczego ponad uczęszczanie na zajęcia*<sup>41</sup>.

McLuhan jako apologeta (?)<sup>42</sup> nowych elektronicznych mediów, odczuwał nieskrywaną satysfakcję z nadchodzącego (według niego) zmierzchu kultury druku. Wyrażał nadzieję, że wraz z nadejściem ery elektronicznych środków audiowizualnego przekazu, kończy się epoka panowania zubażającej ludzkość drukowanej książki. Z tego mogłoby wynikać, że wynalazek Gutenberga nie był dobrodziejstwem, lecz niedźwiedzią przysługą, ograniczającą ludzi i ich możliwości wielozmysłowego poznania, a linearność książkowego przekazu zakodowała w naszych umysłach „niezdrowy” linearny styl życia. *Galaktyki Gutenberga* nie można jednak skwitować prostym stwierdzeniem, iż jest jednoznaczny krytyką kultury druku i zapowiedzią absolutnego odejścia od przekazów drukowanych. Czytelnik McLuhana mógł w pierwszej chwili odnieść takie wrażenie, ale winę

<sup>40</sup> Tamże, s. 61.

<sup>41</sup> J. Miller: *Spór z McLuhanem*. Warszawa, PIW 1974 s. 21.

<sup>42</sup> Określenie „apologeta” nie jest użyte z całym przekonaniem. W wydanej dwa lata po *The Gutenberg galaxy* książce *Understanding media: the extensions of man* (z której m.in. pochodzi fragment o przekazie jako przekładniku) McLuhan zawarł także pewne obawy: *Technika elektryczna grozi zagładą panującej w Ameryce kulturze pisma, opartej na przekazie pisemnym, która zorganizowała i ujedynoliciła wszystkie dziedziny życia społecznego, włącznie z oświatą, systemem rządzenia, przemysłem i życiem towarzyskim. Technika elektryczna jest wśród nas, a my jesteśmy odrętwiali, głusi, niemi i ślepi w obliczu jej zderzenia z techniką gutenbergowską, która ukształtowała amerykański styl życia.* [M. McLuhan: *Przekładniki, czyli przedłużenie człowieka*. W: *Wybór pism*. Warszawa 1975 s. 56.]



za to ponosi tylko autor. Zresztą przeczuwał taki odbiór swej pracy, bo w imieniu czytelników sam postawił pytanie:

*Czy o druku nie można w ogóle powiedzieć nic dobrego?*<sup>43</sup>

By pokazać wyższość nowych mediów nad książką, starał się wykazać mankamenty przekazów drukowanych, zamiast silniej argumentować na korzyść nowych mediów. Zastosował więc argumentację przez negację. Konstatując, iż świat wkracza coraz głębiej w epokę przekazników elektrycznych (nowy wiek elektryczny)<sup>44</sup>, czyli opuszcza galaktykę Gutenberga i wkracza w galaktykę elektryczną, McLuhan wskazał czytelnikowi pewne negatywne (w jego opinii) cechy kultury druku. By wzmocnić swój przekaz, ubrał go w oryginalne, pełne elokwencji zdania w rodzaju:

*Nieświadomość to bezpośredni wytwór techniki druku, to rosnąca hałda odpadów świadomości*<sup>45</sup>.

Podobną retorykę znajdujemy w innym fragmencie:

*Technika gutenbergska rzeczywiście stworzyła głupcom nieograniczone wprost możliwości kształtowania i otumaniania intelektu ludzkiego*<sup>46</sup>.

McLuhan oczywiście nie wskazywał alternatywnej (lepiej) drogi rozwoju ludzkości niż upowszechnienie wynalazku Gutenberga. Przyznał, że wynalazek druku spowodował przełom, który polegał na ogromnym przyśpieszeniu obiegu informacji. Autor ten dokonał nawet dość karkołomnej kombinacji myślowej, a mianowicie, że linearność i powtarzalność druku wyrobiła w ludziach skłonność do schematycznych i powtarzalnych działań, co doprowadziło do:

*(...) wykształcenia się większości charakterystycznych dla Zachodu form produkcji i organizacji społecznej, które zapewniły mu dobrobyt*<sup>47</sup>.

Zatem – według tych słów – drukowana książka byłaby katalizatorem procesu tworzenia manufaktur i impulsem do rewolucji przemysłowej. Podkreślił też znaczenie, jakie miało wykorzystanie książki drukowanej w edukacji:

*(...) gdyż tylko tam ten nowy przekaznik mógł istotnie wpływać na kształtowanie osobowości młodych ludzi. Młodzież poddana w ten sposób działaniu nowej techniki mogła potem każdy problem i doświadczenie ująć w wizualną formę porządku linearnego*<sup>48</sup>.

McLuhan dostrzegał więc korzyści, jakie ludzkość odniosła z faktu upowszechnienia druku. To jednak nie zmienia ogólnego odbioru jego tekstu. O odbiorze zdecydowały oryginalne zarzuty pod adresem książek. Zabrakło w zakończeniu *Galaktyki Gutenberga* dobitnego stwierdzenia, że książka drukowana była w dziejach ludzkości ważnym i niezbędnym motorem wielu pozytywnych przemian. Zabrakło choćby takiej wypowiedzi, jak ta autorstwa Petera Druckera:

*Państwa zachodnie zaczęły przodować w świecie pomiędzy 1500 a 1650 rokiem przede wszystkim dlatego, że przeorganizowały swe szkoły uwzględniając nową technologię drukowanej książki. I odwrotnie, odrzucenie idei przeorganizowania szkół wokół drukowanej książki było głównym powodem upadku Chin i imperium islamskiego oraz ich powolnego podporządkowania się Zachodowi. Obydwa kraje korzystały z druku, a Chińczycy czynili to oczywiście od stuleci (choć nie korzy-*

<sup>43</sup> M. McLuhan: *Galaktyka Gutenberga*. W: *Wybór pism*. Warszawa 1975, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe s. 258.

<sup>44</sup> Tamże, s. 300.

<sup>45</sup> Tamże, s. 253.

<sup>46</sup> Tamże, s. 279.

<sup>47</sup> Tamże, s. 215.

<sup>48</sup> Tamże, s. 218.

stali z ruchomej czcionki), ale oba kraje trzymały drukowaną książkę z dala od szkół; oba odrzuciły drukowaną książkę jako narzędzie uczenia się i nauczania<sup>49</sup>.

Wobec powyższych cytatów nie dziwi fakt, że *Galaktyka Gutenberga* w powszechnym odbiorze uchodzi za prostą krytykę kultury druku. Wynalazek Gutenberga według McLuhana zachwiał równowagą systemu poznawczego człowieka. Oto człowiek nauczył się na masową skalę powielać zapisane informacje. Pozwolił więc drukowi przejąć rolę głównego nośnika informacji o świecie. W dotychczas zrównoważonym, czyli – posługując się kategoriami McLuhana – chłodnym sposobie poznawania świata przesunięty został środek ciężkości. Wynikające z natury człowieka wielozmysłowe poznanie (co prawda, ograniczone do tej pory do najbliższego otoczenia) wyparte zostało przez poznanie, w którym zmysł wzroku pełnić zaczął rolę dominującą, ale – co gorsza – przekąźnikiem, na którym wzrok człowieka się skupił, była tak niedoskonała książka ze swą fatalną cechą linearności przekazu. Cóż z tego, że dzięki wynalazkowi Gutenberga ludzkie poznanie zyskało nowy wymiar, sięgając metafizycznie daleko poza własną wioskę, skoro źródłem tej wiedzy był najgorętszy (czytaj: najgorszy) z możliwych przekąźnik – książka drukowana.

*Głos ludzki cichł i milkł w miarę, jak gutenbergowski druk wypełniał świat. Ludzie przyjęli rolę konsumentów słowa, czytając je po cichu i w sposób całkowicie bierny<sup>50</sup>.*

Przedstawiając w ten barwny sposób bezradność człowieka wobec dominacji druku, McLuhan chce uzmysłwić nam „upośledzenie” ludzi posługujących się przekazem pisemnym w formie drukowanej. Wniosek byłby logiczny, założywszy słusność podziału przekąźników na zimne (lepsze) i gorące (gorsze, bo upośledzające system sensoryczny człowieka). Ale oceniając przekąźniki warto spojrzeć na więcej niż jedno kryterium ich oceny. O ile zgodzimy się więc, że sam przekaz ustny jest bardziej skuteczny niż pisemny, to gdy spojrzymy na trwałość obu przekazów, proporcje się odwracają. A co do ułomności ludzi piszących i czytających. Rzadki to przypadek, by ludzie ułomni zyskiwali w społeczeństwie tak wysoką pozycję i decydowali o jego losach. Na obie te kwestie zwraca uwagę Maryla Hopfinger.

*Druk pozwolił na gromadzenie, przechowywanie i przekazywanie informacji przede wszystkim sformułowanych werbalnie, i to one, a nie na przykład przedstawienia obrazowe, zdominowały komunikację społeczną. Drukowane słowo, statyczne i nieme potrafiło zaanektować rozległe obszary ludzkich doświadczeń, zyskało wysoki prestiż społeczny<sup>51</sup>.*

Oddajmy jeszcze raz głos J. Millerowi, który konsekwentnie w sardoniczny sposób przedstawiał tok myślenia McLuhana.

*Niewinna ofiara druku oddana jest na pastwę nieodpowiedzialnej myśli i traci umiejętność pojmowania świata w sposób gruntowny i pełny. Nie tylko to. Ucząc się śledzić uporządkowane linijki tekstu, czytelnik w błogiej nieświadomości godzi się na linearność myślenia, a tym samym nastawia nieprzychylnie do trójwymiarowej perspektywy. Cierpiąc z powodu płynących stąd skutków, wytrawny czytelnik staje się czymś w rodzaju psychicznego kaleki, skazanego na wózek inwalidzki logicznego myślenia, człowieka, który nie jest w stanie przedsięwziąć wędrówki po wyboistym gościńcu intuicji i wyobraźni<sup>52</sup>.*

<sup>49</sup> P. F. Drucker: *Spółczesność pokapitalistyczna...*, op. cit. s. 158.

<sup>50</sup> M. McLuhan: *Galaktyka Gutenberga...*, op. cit. s. 262.

<sup>51</sup> M. Hopfinger: *Kultura audiowizualna u progu XXI wieku...*, op. cit. s. 11.

<sup>52</sup> J. Miller: *Spór z McLuhanem...*, op. cit. s. 115.

Zacytowany fragment jest może przesadnie ironiczny, ale też nie odbiega bardzo od poetyki tekstów samego McLuhana i nie wypacza jego głównych tez.

Ciekawy spór o poglądy McLuhana znajdujemy także w piśmiennictwie polskim. Krytyki podjął się J. Wojciechowski.

*Za sprawą McLuhana wyklął się (...) mit zagłady komunikacji pisemnej, którą ma rzekomo w całości zastąpić komunikacja elektroniczna i w związku z tym pojawiła się zapowiedź zaniku bibliotek tradycyjnych. Nie modyfikacji, wzbogacenia o nowe media, ale właśnie tak: zaniku. Nie ma na to żadnych przesłanek, nie uda się tego wyprowadzić z żadnej porządnej, prospektywnej analizy komunikacji społecznej, a jednak mit elektronicznego zbawienia krąży i obrasta w siłę<sup>53</sup>.*

Aleksander Radwański odpowiedział obroną kanadyjskiego socjologa.

*To że dorobek tego badacza był nieobecny w naszym piśmiennictwie fachowym, nie oznacza, że czas się zatrzymał i to, co pisał McLuhan trzydzieści (sic!) lat temu, dotyczy naszej obecnej sytuacji. Rewolucja, o której pisał McLuhan już się odbyła! (...) Jak to? – ktoś zapyta – a co z zagładą kultury druku, tradycyjnych bibliotek itp. Problem w tym, że McLuhan nigdy nie twierdził, że taka zagłada nastąpi<sup>54</sup>.*

Rzeczywiście McLuhan nie prorokował zaniku bibliotek. Może to być zaskoczeniem, bo skoro tyle miejsca poświęcił książce drukowanej, to mógł także podjąć się krytyki instytucji, których książka drukowana jest charakterystycznym atrybutem. Ma jednak rację Wojciechowski, gdy stwierdza, że na podstawie poglądów McLuhana wyklęła się idea zaniku bibliotek. Nie pochodziła wprost od McLuhana, ale od tych, którzy od lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pozostawali pod wpływem jego pism, zapowiadających cywilizacyjny przełom w komunikacji społecznej.

Będąc heroldem mediów elektronicznych, McLuhan obwieścił, że przywracają nam one naturalne poznanie wielozmysłowe. Nowe media, stając się przedłużeniem człowieka, przedłużeniem jego systemu nerwowego, jeszcze bardziej poszerzyły horyzont ludzkiego poznania, a jednocześnie uaktywniły – zaniebdywane od czasów Gutenberga – pozostałe zmysły. Wywód McLuhana, w którym z jednej strony zawarta jest krytyka epoki druku, a z drugiej jednak apoteoza audiowizualnych środków przekazu, trudno jest ocenić jako całość. Szczególne kontrowersje budzi na pewno ocena galaktyki Gutenberga. Ludzie czytający, szanujący tę formę przekazu informacji i wartości, ukształtowani również dzięki temu, co w życiu przeczytali, nie zgodzą się z takim pojmowaniem kultury druku. Ocena nowych mediów, choć mniej kontrowersyjna, też budzi wątpliwości. Spójrzmy oto na stwierdzenie, że telewizja, jako przedłużenie systemu nerwowego człowieka, aktywizuje także zmysł dotyku. Czyż może twardo stąpający po ziemi *homo gutenbergus* inaczej zaklasyfikować ten pogląd niż jako zgrabną metaforę. A przecież nie chodziło McLuhanowi o to, by traktować jego stwierdzenia jak metafory. McLuhanowi udało się niestety zantagonizować obrońców kultury druku i zwolenników nowych mediów, a można było tego uniknąć. Z pewnością mniej by miał McLuhan przeciwników, gdyby swą wypowiedź zbudował na implikacji, a nie na antynomii. Gdyby stwierdził, że zasłużony, ale niedoskonały nośnik, jakim jest książka, będzie wspierany przez przewyższające ją w swej szybkości i nośności media elektryczne. Tymczasem czytelnik McLuhana może dojść do wniosku, że po 550 latach przebywania w galaktyce Gutenberga, ludzkość zatacza koło, powracając do sposobów komunikowania właściwych wspólnocie plemiennej, i że wobec tego owe 550 lat należy uznać za zmarnowane.

<sup>53</sup> J. Wojciechowski: *W kręgu informacji i nieinformacji*. „Bibliotekarz” 1998 nr 4 s. 5.

<sup>54</sup> A. Radwański: *Szanujemy McLuhana*. „Bibliotekarz” 1998 nr 10 s. 4.

Zwolennicy kultury druku woleliby jednak patrzeć na dzieje ludzkości, jak na *continuum*, z którego wynika, że nie byłoby galaktyki McLuhana bez galaktyki Gutenberga. Swoją popularność McLuhan zawdzięcza książkom, nie telewizji. Gdyby jego prace nie rozeszły się dzięki przekaznikom galaktyki Gutenberga, nie byłby do dziś tak często cytowanym autorem.

## INNE PROGNOZY ZMIERZCHU KSIĄŻKI DRUKOWANEJ

Autorzy i propagatorzy idei biblioteki elektronicznej (m.in. Lancaster, Shuman), a także jej krytycy (m.in. Birdsall) bardzo często przywołują nazwisko Vannevara Busha jako tego, który całą tę dyskusję rozpętał. Jego artykuł z 1945 r. zatytułowany *As We May Think*<sup>55</sup> jest często cytowany i wskazywany jako źródło inspiracji dla propagatorów idei biblioteki bez książek. Bush jako pierwszy miał zaproponować dostęp do dokumentów w sposób zupełnie inny niż to ma miejsce w tradycyjnej bibliotece. We wspomnianym artykule opisał urządzenie nazwane Memex, które miałyby zastąpić bibliotekę, a jednocześnie służyć człowiekowi do komunikacji. Genezę projektu Busha tłumaczy następująca konstatacja:

*Pod względem profesjonalnym nasze metody przesyłania i przeglądania wyników badań są przestarzałe i zupełnie nieodpowiednie do swych celów. Jeśli można by zsumować czas spędzony na pisaniu prac naukowych i czytaniu ich, to stosunek uzyskanych liczb okazałby się wstrząsem*<sup>56</sup>.

Bush miał na myśli zjawisko, które nurtuje naukowców także współcześnie, a więc to, iż nikt nie jest w stanie śledzić wszystkich wyników badań, nawet gdyby obrał za cel swych zainteresowań jakąś wąską dziedzinę. Urządzenie Busha miało stanowić część standardowego umeblowania miejsca pracy człowieka: z pulpitem, klawiaturą, dźwigniami i ekranami do wyświetlania tekstów. Choć ten opis jest bardzo bliski opisowi współczesnych stanowisk pracy, jednak Memex nie był proroczą wizją baz danych online i Internetu, bo podstawowym założeniem Busha było, iż całość materiału dostępnego przez Memex miałaby formę mikrofilmów. Faktycznie więc jego pomysł różnił się istotnie od współczesnej idei biblioteki elektronicznej. Z danego dokumentu w danym momencie mógłby korzystać tylko jeden czytelnik – właściciel zbioru zgromadzonego w Memexie. Maszynie Busha daleko więc było do możliwości, jakie daje środowisko elektroniczne, czyli pełnotekstowych wyszukiwań online. Mimo wszystko kierunek przewidywań Busha był słuszny: zaprzęgnięcie technologii do przechowywania i udostępniania dokumentów wtórnych. Idea Busha dziś się ziszcza. Cyfrowe kopie dokumentów papierowych mogą być zdalnie udostępniane bez zbliżania się czytelnika do półki bibliotecznej. Bush – uważany przez niektórych za ojca tej idei – jest więc tym samym zaliczany do czołowych technokratów, których działalność przyczynić się może do zaniku bibliotek i profesji bibliotekarskiej.

Użytkownicy i pracownicy bibliotek – instytucji charakterystycznych dla kultury słowa drukowanego – nie powinni jednak popadać w fatalizm, słysząc podobne do poniższej wypowiedzi:

<sup>55</sup> V. Bush: *As We may think*. „Atlantic Monthly” 1945 no 176 s. 101-108.

<sup>56</sup> Tamże, s. 101.

*Biblioteki, gdziekolwiek by nie były, są niepewne swojej przyszłości. Jak biblioteka, klasyczna instytucja ery industrialnej, dopasuje się do wieku Internetu? Czy to możliwe, że Internet zastąpi bibliotekę?*<sup>57</sup>.

W piśmiennictwie bibliologicznym nie brak podobnych zdań wyrażających obawy i stawiających pod znakiem zapytania przyszłość bibliotek. Ale są też glo-sy mniej kategoryczne, z których wynika, że proces transformacji bibliotek będzie miał charakter łagodny i raczej powolny. Po analizie odpowiednich tekstów, autorów pierwszej kategorii Jerzy Ratajewski nazwał „maksymalistami”, a tych drugich „minimalistami”. Maksymaliści, do których zaliczył m.in. F.W. Lancastera i M. Tuoffa uważają, że...

*(...) dawne książki i czasopisma zastąpione zostaną przez nośniki elektroniczne tekstu i obrazu. (...) Znikną zresztą nie tylko książki i czasopisma, ale również takie dokumenty pochodne, jak streszczenia, analizy dokumentacyjne i opisy bibliograficzne, (...) nieliczne biblioteki staną się archiwami (...), a przyszłe społeczeństwo informacyjne obejdzie się bez papieru*<sup>58</sup>.

Minimaliści z kolei, do których według Ratajowskiego należą m.in. J.H. Shera i B. Yates uważają, że...

*(...) komputeryzacja nie zagrozi książce i bibliotekom, (...) że pozostaną jeszcze przez dłuższy czas miejsca, gdzie ludzie będą szukać ciekawych tekstów literackich, naukowych i technicznych utrwalonych na tradycyjnych nośnikach (...)*<sup>59</sup>.

Jeśli nawet rozwój cywilizacji wymusi rezygnację z papieru jako nośnika nowych publikacji, to wcale nie musi to oznaczać końca bibliotek. Pozostaną duże, a zarazem trwałe zbiory dotychczas zgromadzonych w bibliotekach druków. Żeby jednak nie ograniczyć się wyłącznie do roli muzeum lub archiwum, biblioteka musi otworzyć się na nowe nośniki i nowe rodzaje zbiorów, w tym także te, które nie wymagają miejsca na tradycyjnych regałach bibliotecznych. Chcąc utrzymać zainteresowanie sobą, biblioteka powinna w miarę możliwości na bieżąco i retrospektywnie dokonywać konwersji swych najcenniejszych i rzadkich zbiorów do postaci cyfrowej, a wykorzystując sieci telematyczne, udostępniać je bliższym i dalszym użytkownikom, tworząc tym samym wspólnie z innymi bibliotekami rozległą sieć elektronicznych zbiorów, zwaną przez niektórych biblioteką wirtualną. Pozostaje w tym momencie drugorzędna, ale warta dyskusji kwestia, czy udostępnianie w tej formie byłoby darmowe czy płatne.

Krytyka kultury druku zasadza się na krytyce podstawowego atrybutu tej kultury – książki drukowanej. Formułowane już od kilkudziesięciu lat prognozy rychłego zmierzchu książki nie w pełni się potwierdzają. W opublikowanym przed trzynastu laty raporcie Biblioteki Narodowej *Stan i perspektywy bibliotekarstwa polskiego do roku 2000* czytamy:

*Przewiduje się, że pod koniec tego wieku książka utraci swoje dotychczasowe znaczenie jako środek komunikowania się ludzi w nauce, technice, czy oświacie, że będzie służyła głównie jako rozrywka, że – jednym słowem – kończy się 500-letnia era słowa drukowanego, a zaczyna era informacji elektronicznej*<sup>60</sup>.

Zawarta w zacytowanej prognozie przepowiednia kierunku zmian była oczywiście trafna, świadczy o tym wzrastająca liczba tytułów publikacji elektronicz-

<sup>57</sup> C. K. Tan: *Ontario Virtual Library: new millenium library*. „The Electronic Library” 1999 vol. 17 no 3 s. 139.

<sup>58</sup> J. Ratajewski: „Nowa Biblioteka” wobec najważniejszych wyzwań współczesnego bibliotekarstwa. „Nowa Biblioteka” 1998 nr 1 s. 24-25.

<sup>59</sup> Tamże, s. 25.

<sup>60</sup> *Stan i perspektywy bibliotekarstwa polskiego do roku 2000*. Oprac. J. Kołodziejka Warszawa, Biblioteka Narodowa 1987 s. 39.

nych: czasopism elektronicznych, baz danych na CD, multimedialnych informatorów. Ale książka nie utraciła swego dotychczasowego podstawowego znaczenia ani w obiegu naukowym, ani w oświacie.

Z perspektywy czasu wiemy, że prognoza ta była zbyt optymistyczna (lub pesymistyczna, zależy od punktu widzenia). Jeśli spojrzeć na dane z polskiego rynku książki, to zauważyć można stały wzrost liczby publikacji drukowanych. Według rocznika „Ruch Wydawniczy w Liczbach” liczba tytułów publikacji nieperiodycznych i periodycznych od roku 1987 (kiedy ukazała się prognoza *Stan i perspektywy...*) wyraźnie wzrosła z 11 047 tytułów w 1987 r. do 16 597 w 1998 r. Podobnie ma się rzecz w przypadku czasopism. Liczba ich tytułów wzrosła z 3248 ('87) do 5378 ('98). Ciekawsze jednak dane dotyczą łącznych nakładów książek i czasopism, które faktycznie zmalały, co mogliby niektórzy interpretować jako dowód na malejącą rolę papieru w komunikacji między ludźmi. Łączny nakład książek zmalał w Polsce wyraźnie z 274 milionów woluminów w 1987 r. aż do 85 milionów w 1998 roku. To samo dotyczy czasopism – spadek z 3,4 miliarda egzemplarzy ('87) do 2,9 miliarda ('98)<sup>61</sup>. Polska nie jest jednak dobrym przykładem dla tego typu obserwacji. Lata 1987 i 1998 to daty należące do dwóch różnych okresów historycznych, a co najważniejsze Polska w tych latach znajdowała się w dwóch zupełnie odmiennych systemach ekonomicznych. Nakłady książek w gospodarce scentralizowanej nie wynikały z precyzyjnej kalkulacji popytu i podaży, która jest podstawą gospodarki wolnorynkowej. Były więc często przez państwowe wydawnictwa zawyżone. Natomiast w gospodarce rynkowej prywatne firmy wydawnicze, inwestując własne, a nie państwowe pieniądze, muszą liczyć się z konkurencją i niechętnie ryzykują zbyt wysokie nakłady, które mogłyby się nie sprzedać. Trzeba też zwrócić uwagę na obecne relatywnie wysokie ceny książek w porównaniu z cenami sprzed przełomu, co skutkuje spadkiem popytu na nie.

Dlatego ewentualne wnioski na temat roli papieru we współczesnej kulturze i przekazy informacji należy wyciągać na podstawie danych z krajów, które przeciwnie niż Polska nie przechodziły w ostatnich dekadach istotnych przeobrażeń politycznych i ekonomicznych. Za takie kraje można uznać Włochy i Hiszpanię. Z danych UNESCO wynika<sup>62</sup>, że w tych krajach podobnie jak w Polsce stale i wyraźnie rośnie liczba ukazujących się tytułów książkowych.

Kraj	Rok	
	1986	1996
Włochy	16,2	35,2
Hiszpania	38,4	46,3

Jednak w przeciwieństwie do Polski łączny nakład książek we Włoszech stale rósł, natomiast w Hiszpanii w mniejszym stopniu niż w Polsce, ale jednak spadł. Pewien problem w interpretacji danych może w przypadku Hiszpanii stwarzać fakt, iż w 1986 r. stała się ona członkiem EWG, a w 1993 r. na mocy traktatu z Maastricht członkiem Unii Europejskiej.

<sup>61</sup> „Ruch Wydawniczy w Liczbach” XLIV:1998. Warszawa, BN 1999.

<sup>62</sup> Dane liczbowe pochodzą z roczników „Statistical Yearbook UNESCO” za lata 1988,1998.

Kraj	Rok	
	1986	1996
Włochy	140,6	278,8
Hiszpania	248,6	192,0

Z powyższych danych można wysnuć wniosek, że w ostatnich dekadach w krajach o ustabilizowanej sytuacji polityczno-gospodarczej, takich jak choćby Włochy, liczba tytułów książek i ich łączne nakłady rosły. Dodatkowym argumentem są dane UNESCO na temat zużycia papieru do celów kulturalnych.

Kraj	Rok		
	1985	1990	1995
Polska	236,64	250,2	611,2
Włochy	2174	3081	3497
Hiszpania	973	1714	1898
Francja	2696	3922	4456
USA	30350	34760	38070

Powyższe dane nie pozostawiają już wątpliwości. We wszystkich uwzględnionych krajach stale rośnie zużycie papieru jako nośnika informacji. Wbrew przewidywaniom wzrasta więc rola papieru w gromadzeniu myśli ludzkiej i przekazywaniu informacji.

Wylimitowanie papieru z obiegu informacji prorokował też – zaliczony przez Ratajewskiego jako pierwszy w poczet maksymalistów – Frederick W. Lancaster. On także się pomylił stwierdzając:

*Z pewnością około roku 2000 druk na papierze jako środek komunikacji naukowej będzie ogromną rzadkością<sup>63</sup>.*

Dzisiaj wiemy, że tak nie jest. Ale uznajemy jego prawo do pomyłki, formułował bowiem swą prognozę w 1976 roku. Część przepowiedni jednak się sprawdziła. Pisząc o przyszłym systemie komunikacji eliminującym papier i umieszczając swój scenariusz w roku 2000 autor ów przewidział dzisiejsze formy gromadzenia i obiegu informacji. Rzecz można, że przewidział Internet i korzyści, jakie płyną z wykorzystania tego medium w pracy naukowej. Wcale nie małą grupę stanowią dziś badacze, którzy – tak jak przewidywał Lancaster – z powodzeniem realizują niektóre swoje przedsięwzięcia naukowe nie korzystając z papierowych źródeł informacji. Mając na uczelni, czy w innej placówce naukowo-badawczej dostęp do Internetu, taka osoba może zgromadzić odpowiadającą tematowi bibliografię, dotrzeć do pełnych tekstów, na podstawie notatek (sporządzonych dzięki pracującemu równolegle z przeglądarką edytorowi tekstu) opracować

<sup>63</sup> F. W. Lancaster: *Rozpowszechnianie informacji naukowej i technicznej. Zarys systemu eliminującego zastosowanie papieru*. „Zagadnienia Informatyki Naukowej” 1976 nr 2 s. 21.

własny tekst, by na końcu umieścić go w sieci jako nową publikację elektroniczną. Przepowiednie Lancastera sprzed ćwierćwiecza pasują doskonale do charakterystyki Internetu. Pojęcie komputera osobistego nie było wówczas jeszcze w użyciu, więc mimo iż w swej publikacji używał terminu „komputer”, nie wiązał wprost tego urządzenia z pojedynczym stanowiskiem pracy naukowca. Używał natomiast określenia „końcówka” w postaci „jakiegoś wideofonu zaopatrzonego w klawiaturę”. Język informatyczny nieco się zmienił, ale nie umniejsza to celności przepowiedni Lancastera, która stwierdzała, że:

*Końcówka będzie wejściem pracownika naukowego do szerokiej sieci komunikacji, bez ograniczeń geograficznych. (...) Konwencjonalna maszyna do pisania stanie się przestarzała w ówczesnym świecie komunikacji (...) pracownik naukowy będzie mógł umieścić w pamięci systemu prace innych autorów, które zamierza wykorzystać w postaci cytatów. Prace te będą dostępne w formie pełnych tekstów<sup>64</sup>.*

Szczególnie warte jest podkreślenia ostatnie zdanie. Bowiem faktycznie autorzy publikacji dostępnych dziś w Internecie, dzięki hipertekstowej budowie dokumentów elektronicznych, mają znakomitą szansę połączenia swej publikacji z tekstami znalezionymi w Internecie, a stanowiącymi bibliografię pracy. Bardzo dobrym zwyczajem jest nadawanie przypisowi postaci hiperlinku, dzięki czemu można odesłać czytelnika do pełnego tekstu źródłowego, a nie tylko, jak to ma miejsce w publikacjach drukowanych, do opisu bibliograficznego.

Lancaster zwrócił też uwagę (i raczej się nie pomylił), że rozwój wymiany informacji naukowej poprzez sieć telekomunikacyjną ograniczy potrzebę udziału w konferencjach naukowych. Twierdził wówczas, że system komunikacji...

*(...) zredukuje potrzebę konferencji – w ich dzisiejszej formie – gdyż małe grupy naukowców posiadają możliwość specjalistycznych „telekonferencji”, dzięki wykorzystaniu sieci komunikacji typu online<sup>65</sup>.*

Telekonferencje są dziś faktem w polityce, biznesie, medycynie i nauce. Ale czy poza tym cech telekonferencji nie ma także wymiana myśli na forum list dyskusyjnych? Czy umieszczanie swych wypowiedzi na przykład na bibliotekarskich listach dyskusyjnych INFOBIB-L czy AIBIBL nie jest ersatzem udziału w konferencjach problemowych? Ujawnia się przy tym egalitaryzm Internetu. W takiej quasi konferencji biorą udział nie tylko zaproszeni goście.

J. Ratajewski słusznie więc zaliczył Lancastera do radykałów, przekonanych, że szybkie odejście od kultury druku uzależnionej od papieru jest procesem nieuniknionym. Rozwinięcie poglądów Lancastera na temat malejącego uzależnienia od papieru w przyszłym społeczeństwie informacyjnym znalazło się w książce *Toward paperless information systems*<sup>66</sup>. Niecałą dekadę później Lancaster modyfikował swoje przepowiednie, ale tylko nieznacznie. W artykule z połowy lat osiemdziesiątych przyznał, że jego idee nie zyskały powszechnej akceptacji, ale nie zgodził się z niektórymi argumentami, mającymi dowodzić pewności trwania publikacji papierowych. Oto np. całkowicie odrzucił i uznał za nonsensowny argument, że książka jest niezastąpionym elementem kultury. Uznał za nieprawdziwe twierdzenie, iż książka jest zbyt mocno zakorzeniona w kulturze, by móc ją łatwo zastąpić nowym nośnikiem. Według Lancastera owe 550 lat kultury druku to zaledwie drobny epizod w historii porozumiewania się ludzi, a charakterystyczne dla tej kultury powieści i czasopisma naukowe mają historię jeszcze krótszą.

<sup>64</sup> Tamże, s. 22.

<sup>65</sup> Tamże, s. 27.

<sup>66</sup> F. W. Lancaster: *Toward paperless information systems*. London, Academic Press 1978.



Prawda jest gdzieś pośrodku. Papierowa publikacja nie da się łatwo wyrzucić z obiegu informacji, a jeszcze trudniej będzie w przypadku obiegu literackiego. Na pewno wiele z przepowiedni Lancastera się spełni, nastąpi to jednak znacznie później, niż przewidywał on w publikacjach z lat siedemdziesiątych. Dyskusja z Lancasterem jest rzeczą niełatwą, bo nie daje się on zwieść banalnymi argumentami. Jego antagoniści często przytaczają różne wyjątkowe sytuacje czytelnice (plaża, spacer, kąpiel itp.), w których książka byłaby w stanie wypełnić swoją funkcję, a użycie komputera lub nawet laptopa byłoby niemożliwe. Lancaster nie poddaje się i zbywa te głosy retorycznym pytaniem:

*Od kiedy ludzie czytają na plaży (...), i od kiedy łazienka sprzyja czytelnictwu*<sup>67</sup>.

Lepiej jest polemizować z Lancasterem używając rzeczowych argumentów na dowód, że sytuacja na progu trzeciego tysiąclecia daleka jest od tego, co zapowiadał on ćwierć wieku temu. W przejściu do systemu komunikacji bezpapierowej ważny jest czynnik psychologiczny. Ludzie muszą przywyknąć do innych niż papierowa form utrwalania myśli, przesyłania informacji, robienia notatek itd. Jeszcze nie dzieje się tak, jak zapowiadał dekadę temu A. Toffler w książce *Powershift*, gdy twierdził, że właściwe dla rozwoju cywilizacji jest zmniejszanie się wszelkich powierzchni magazynowych i ogólna miniaturyzacja. Odniósł to również do wszelkich form utrwalania myśli. Zapowiadał więc zmniejszenie się zużycia papieru dzięki rozwiniętym technologiom komputerowym. Zacytujmy zatem fragment książki Tofflera, w którym używa obrazowego argumentu.

*W ciągu roku Stany Zjednoczone wytwarzają 1,3 biliona dokumentów, które – według pewnych kalkulacji – wystarczyłyby na wytapetowanie Wielkiego Kanionu Kolorado 107 razy. Wszystko z wyjątkiem 5% jest wciąż przechowywane na papierze. Zaawansowane technologie informacyjne, włączając w to skanowanie dokumentów, dają nadzieję na skondensowanie przynajmniej części z nich*<sup>68</sup>.

Życie pokazuje, że nadzieje Tofflera były jednak płonne. Szerokie zastosowanie komputerów (co miało ograniczyć liczbę publikacji papierowych) wcale nie zredukowało zużycia papieru. Jest wręcz odwrotnie. Liczba publikacji i zużycie papieru do celów biurowych stale rośnie, mimo że teksty składane są komputerowo. Biznes amerykański w 1981 r. zużywał 850 miliardów arkuszy papieru do drukowania dokumentów, a dekadę później zużycie to wzrosło do 4 bilionów arkuszy<sup>69</sup>. Nic też nie zapowiada, by ta tendencja się zmieniła. Z badań przeprowadzonych na zlecenie firmy Xerox wynika, że 79% europejskich menedżerów nie spodziewa się, by w ciągu najbliższych dziesięciu lat została zrealizowana idea biura bez papieru. Co więcej, 1/3 ankietowanych ma zwyczaj drukowania poczty elektronicznej i stron WWW zanim zapoznają się z ich zawartością!<sup>70</sup> Mamy więc do czynienia z paradoksem, że komputery, które z powodzeniem mogą przechowywać wszelkie dokumenty, jednocześnie powodują wzrost produkcji i zużycia papieru. Słowem kluczowym w problemie nie jest bowiem tylko „przechowywanie”, lecz także „prezentacja”. Dla wielu wygodniejszą formą prezentacji tekstu jest wydruk. Są tacy, którzy zapisany w komputerze tekst muszą wydrukować, by sprawdzić go pod względem poprawności językowej. Nie są bowiem w stanie zrobić tego z tekstem wyświetlanym na monitorze. Zacytujmy Simona Jenkinsa, który twierdzi:

<sup>67</sup> F. W. Lancaster: *The paperless society revisited*. „American Libraries” 1985 vol. 16 no 8 s. 554.

<sup>68</sup> A. Toffler: *Powershift...*, op. cit. s. 88.

<sup>69</sup> R. Kurzweil: *The future of libraries. Part 2: the end of books*. „Library Journal” 1992 vol. 117 no 3 s. 141.

<sup>70</sup> *Era cyfrowości*. „Print & Publishing” 2000 nr 4 s. 51.

*Słowa na ekranie trudniej się przyswaja. Psychologowie twierdzą, że widzenie obwodowe jest wypaczone przez migotanie obrazu. Obraz na ekranie drażni, porusza się, żyje, stresuje. To dlatego elektroniczne teksty są tak podatne na błędy w porównaniu z pisanem na maszynie*<sup>71</sup>.

Prezentowanie, przenoszenie i przechowywanie dokumentów w postaci papierowej jest dla wielu osób wygodniejsze, a nawet paradoksalnie bezpieczniejsze. Śmiałe wyczyny hackerów komputerowych i wywiadu gospodarczego pokazują, że właściciel nawet zaszyfrowanych dokumentów elektronicznych nie może być pewny ich bezpieczeństwa.

Wobec takich argumentów Lancaster ustępuje, przyznając, że wielu ludzi odczuwa dyskomfort, mając do czynienia wyłącznie z zapisami w postaci elektronicznej. Uważa jednak, że musi dojść do wymiany pokoleniowej, by zmniejszyła się zależność ludzi od papieru. Twierdzi, że nowa generacja wychowana na grach komputerowych będzie się mniej domagać kopii papierowej elektronicznego tekstu<sup>72</sup>.

Co więcej, w ostatniej książce Lancastera napisanej wspólnie z Beth Sandore znajdziemy jeszcze bardziej pojednawcze zdania pod adresem dokumentów drukowanych. Autorzy stwierdzili w niej, że choć dokumenty elektroniczne zasadniczo przewyższają dokumenty papierowe, to jednak w pewnych zastosowaniach dokumenty papierowe wykazują swą przewagę<sup>73</sup>. Powołali się w tym wypadku na badania, które dowiodły, że bibliotekarze dużo szybciej i skuteczniej udzielają informacji bibliograficznych, posługując się bazami dostępnymi online, natomiast w przypadku wyszukiwań faktograficznych, lepsze wyniki osiągają przy użyciu dokumentów papierowych<sup>74</sup>.

Zapowiedziana przez Lancastera eliminacja papieru z komunikacji naukowej wynikała z negatywnej oceny książki drukowanej jako narzędzia przekazywania informacji. W zestawieniu z nową technologią książka okazała się według niego narzędziem biernym, powolnym i nieekonomicznym. Dziesięć lat przed wspomnianą publikacją Lancastera jeszcze bardziej surową cenzurę wystawił książkom Joseph C.R. Licklider.

W znanej pracy *Libraries of the future*<sup>75</sup> z 1965 r. wskazał te cechy książek, które uniemożliwiają uznanie ich za optymalne nośniki informacji. W ocenie Licklidera książki są zbyt kosztowne, ciężkie, zajmują dużo cennego miejsca, okazują się mało skuteczne w procesie wyszukiwania informacji.

*A gdy przyjdzie do organizowania nagromadzonego zasobu wiedzy lub choćby do jego zindeksowania, lub zanalizowania, książki, jako takie, nie dają żadnego efektywnego wkładu*<sup>76</sup>.

Po tak postawionych zarzutach musiała więc nastąpić również krytyka instytucji gromadzących książki.

*Jeżeli książki ze swej wewnętrznej natury są mniej niż zadowolające w funkcjach przechowywania informacji, to oczywiście biblioteki złożone z książek z konieczności muszą być także niezadowolające*<sup>77</sup>.

<sup>71</sup> S. Jenkins: *The death of the written word*. „Journal of Information Science” 1995 vol. 21 no 6 s. 411.

<sup>72</sup> F. W. Lancaster: *The paperless society revisited...*, op. cit. s. 555.

<sup>73</sup> F. W. Lancaster, B. Sandore: *Technology and management in library and information services*. London, LA Publishing 1997 s. 141-142.

<sup>74</sup> J. Horner, N. Michaud-Oystryk: *The efficiency and success rates of print ready reference vs. online ready reference searches in Canadian university libraries*. „Journal of Academic Librarianship” 1995 vol. 21 no 2 s. 101.

<sup>75</sup> J. C. R. Licklider: *Libraries of the future*. Cambridge, Massachusetts Institute of Technology 1965.

<sup>76</sup> J. C. R. Licklider: *Biblioteki przyszłości*. Warszawa, PWN 1970 s. 18.

<sup>77</sup> Tamże, s.18.

Na tej niekorzystnej ocenie Licklidera zaciążyło na pewno uproszczone spojrzenie na funkcje bibliotek, wyrażone przypisaniem im wyłącznie funkcji informacyjnej. Z jednostronnym ujęciem funkcji bibliotek przedstawionym u Licklidera nie zgadza się m.in. J. Wojciechowski.

*Utożsamianie bibliotekarstwa li tylko z obiegiem informacji jest wynikiem całkowitego nieporozumienia. Otóż biblioteka, jako medium komunikacji, jest aktywnym pośrednikiem w porozumiewaniu się, ale na obszarze nie jednej, lecz dwóch absolutnie odmiennych kategorii komunikacji. Ta pierwsza to w rzeczy samej komunikacja informacyjna, służąca powiadamianiu więc przekazywaniu oraz przejmowaniu wiadomości. Pełni zatem głównie funkcję poznawczą, referencjalną: informuje (stąd nazwa). Ale jest i druga (...). Ta druga, całkowicie odmienna kategoria komunikacji, w której uczestniczy biblioteka to mianowicie komunikacja artystyczna. Ta w najmniejszym stopniu nie służy informowaniu: nie ma z informacją nic wspólnego<sup>78</sup>.*

Do opinii Wojciechowskiego o braku elementów informacji w komunikacji artystycznej jeszcze powrócimy. Tymczasem powróćmy do Licklidera i jego krytycznych uwag pod adresem książek i bibliotek. Zawężenie horyzontu widzeniem wyłącznie celu informacyjnego musiało doprowadzić tegoż autora do wniosku, że książki są za mało dynamiczne, zbyt bierne, by opierać na nich budowę systemu informacyjnego biblioteki. Licklider nazwał to „biernością drukowanej strony”.

*Z chwilą gdy informacje magazynuje się w książkach, praktycznie nie istnieje sposób, aby przekazać informację z magazynu do użytkownika bez fizycznego przemieszczenia książki lub czytelnika, albo obojga razem<sup>79</sup>.*

Z tej konstatacji wypływało podstawowe założenie dla przyszłego systemu informacji, na którym powinny oprzeć swą działalność biblioteki przyszłości.

*Trzeba książkę zastąpić urządzeniem, które pozwoli na łatwe przekazywanie informacji bez jednoczesnego transportowania materiału, które będzie nie tylko przedstawiać ludziom informacje, ale również przetwarzać je dla nich (...)<sup>80</sup>.*

Zwraca uwagę słowo „zastąpić”. Nie wesprzeć, nie wspomóc, lecz zastąpić. Cały system biblioteki Licklider chciał zastąpić innego rodzaju organizacją informacji nazwaną systemem poznawczym (procognitive system). Przepowiednie Licklidera sprawdziły się odnośnie do przyszłej wielkości pamięci masowych i szybkości przetwarzania wielu danych w ułamku sekundy, ale przewidywania, że w 1994 r. będzie można polecić systemowi poznawczemu wyszukanie i przygotowanie bibliografii na zadany temat były zbyt śmiałe. Przeszukiwanie bazy danych według określonego kryterium nie jest bowiem jeszcze tym czego po systemie poznawczym oczekiwał Licklider. Autor *Bibliotek przyszłości* przyjął, że system poznawczy będzie potrafił czytać i przyswajać treść dokumentów, a nie jedynie ich opisy. Po latach okazało się, że rozwój bibliotek przebiegał nie po myśli Licklidera. W *Bibliotekach przyszłości* przedstawił dwie koncepcje rozwoju bibliotek. Pierwsza była koncepcją negatywną. Według niej w przyszłości biblioteki wykorzystujące komputery miały składać się ze zbioru dokumentów, systemu ich opracowania oraz systemu wyszukiwania. Licklider zapowiadał:

*Usprawnienia, jakie może wnieść technika w ramach tej pierwszej koncepcji biblioteki, to przyspieszenie operowania dokumentami, automatyzacja procesu ich opisywania oraz udoskonalenie procesu wyszukiwania.*

<sup>78</sup> J. Wojciechowski: *Ściany bez bibliotek*. „Bibliotekarz” 1995 nr 3 s. 9.

<sup>79</sup> J. C. R. Licklider: *Biblioteki przyszłości...*, op. cit. s. 19.

<sup>80</sup> Tamże, s. 19.

W konkluzji jednak stwierdzał, iż koncepcja ta:

(...) zrealizowana na niewielką skalę dałaby wyniki niezadowalające, a rozbudowywana stałaby się absurdem<sup>81</sup>.

Czas jednak pokazał, że nazbyt śmiała była druga koncepcja, w której podstawowym założeniem było, iż funkcją biblioteki jest dostarczanie nie dokumentów, lecz informacji. Dokument do ręki użytkownika by nie trafiał, a jedynie wyekstrahowana z dokumentu przez system poznawczy żądana informacja.

Ostatecznie to właśnie krytykowana pierwsza koncepcja została zrealizowana. Wynika z tego, że to co dziś obserwujemy w bibliotekach w rozumieniu Licklidera zmierza do absurdu.

Znamienne, że w tym samym 1965 r. do rąk czytelników trafiła publikacja również z dziedziny bibliologii, która w zupełnie odmienny sposób traktowała książkę. W pracy *Rewolucja książki* Robert Escarpit<sup>82</sup>, opierając się na wskaźnikach statystyki wydawniczej, stworzył książce perspektywę pełną nadziei, czy wręcz triumfalizmu. Rosły wówczas wyraźnie nakłady książek, wzrastała liczba publikowanych tytułów, choć był także sygnał, że coraz bardziej liczącym się typem jest książka funkcjonalna. Escarpit nie zdefiniował wprost tego terminu, ale jak należało się domyślać, chodziło o książki pełniące funkcje naukowe, popularnonaukowe, poradnikowe, podręcznikowe itp. Ówczesny odsetek nakładu książek funkcjonalnych w poszczególnych krajach należących do UNESCO wynosił średnio aż 80% i był to wskaźnik z tendencją wzrostową<sup>83</sup>. Ale oprócz tego typu książki Escarpit dostrzegł wyraźnie także typ książki literackiej, a komunikacji literackiej poświęcił wcale nie mniejszą część swojej pracy. Pomijając rozważania Escarpita o książce jako przedmiocie, można mówić o dwóch podstawowych typach książki: funkcjonalnej i literackiej.

Z faktu, że książki Licklidera i Escarpita ukazały się w tym samym roku wynika w sposób oczywisty chęć skonfrontowania tych całkowicie przeciwstawnych poglądów na kwestię przyszłości książki i bibliotek. Spróbujmy zatem, po przedstawieniu głównych tez obu wspomnianych autorów, załagodzić ten spór o funkcje książek, a tym samym funkcje bibliotek. Zgódźmy się więc, że biblioteka może swą funkcję informacyjną realizować skutecznie za pomocą przede wszystkim nowych technologii i wspierać ją jeszcze długo dokumentami drukowanymi. I odwrotnie. Spełniać funkcję artystyczną, udostępniając książki, a usprawnić jej wypełnianie przez umożliwienie korzystania z dokumentów nieksiążkowych i zasobów sieci. Popatrzmy na następujące sytuacje. Oto dwaj badacze. Jednego interesuje, co św. Tomasz z Akwinu napisał na temat eudajmonizmu, a drugiego co św. Tomasz z Akwinu napisał. W ogóle. W zdigitalizowanej<sup>84</sup> bibliotece przyszłości ten pierwszy otrzyma odpowiedź na swoje pytanie bardzo szybko. Wystarczy polecić systemowi wyszukanie słowa „eudajmonizm” we wszystkich plikach zawierających teksty św. Tomasza. Wertowanie w tym celu książek byłoby pracą o wiele bardziej mozolną. Drugi z badaczy takiej absolutnej potrzeby skorzystania z systemu informacyjno-wyszukiwawczego nie ma. Jemu wystarczą, a może nawet bardziej będą odpowiadać (jako przedmioty ergonomiczne), drukowane wersje dzieł wielkiego chrześcijańskiego filozofa. Wprzęgnięcie nowych technologii do pracy biblioteki, nie oznacza więc, że w całości muszą one wziąć na siebie funkcję informacyjną biblioteki, pozostawiając książkom realizację funkcji artystycznej. Tradycyjne i nowoczesne nośniki mogą się w realizacji obu funkcji skutecznie uzupełniać.

<sup>81</sup> Tamże, s. 181.

<sup>82</sup> R. Escarpit: *La révolution du livre*. Paryż, UNESCO 1965.

<sup>83</sup> R. Escarpit: *Rewolucja książki*. Warszawa, PWN 1970 s. 40.

<sup>84</sup> W sprawie pisowni słowa „dygitalizacja” patrz przypis 231.

## KONTROWERSYJNY KONSERWATYZM STOLLA

Diametralnie różne poglądy na kwestię elektronicznych bibliotek niż cytowani Lancaster i Licklider ma Clifford Stoll. W dyskusji na temat konfliktu „starego” z „nowym” w dziedzinie bibliotekarstwa ważnym głosem była jego książka *Silicon snake oil*<sup>85</sup>. Ważnym również dlatego, że oto książka traktująca w dużej mierze o problemach bibliotek, zyskała szeroką popularność; nie tylko wśród czytelników zainteresowanych problematyką bibliotekoznawczą. Stoll zdobył wcześniej rozgłos jako autor książki *The cuckoo's egg*<sup>86</sup>. W obu publikacjach daje dowód swej bardzo dobrej orientacji w dziedzinie zastosowań komputerów. Jest to ważne zastrzeżenie, bo tym bardziej zastanawia fakt, że tak mocno wpisuje się w nurt technosceptycyzmu i tym bardziej jego uwagi należy traktować poważnie, nie zaś zbywać określeniem „wstecznicstwo”. Stoll nie należy do tych, którzy krytykują a priori. Przeciwnie, ma duże informatyczne doświadczenie, zna się na komputerach i używa ich na co dzień. Czytelnikom książki udostępnił nawet swój adres internetowy.

*Silicon snake oil* jest hołdem złożonym tradycji, a komputery jawią się tu jako narzędzia w rękach barbarzyńców. Kiedy tak wielu autorów pisze o wspaniałych możliwościach otwierających się przed bibliotekami dzięki zastosowaniu komputerów, Stoll twierdzi coś zupełnie przeciwnego. Uważa, że sieci teleinformatyczne zagrażają komunikacji międzyludzkiej, systemowi edukacyjnemu, systemowi bibliotecznemu i wielu innym dziedzinom. Może się wydać hipokrytą osoba, która przyznaje, że ma w domu pięć komputerów, a twierdzi, iż są one stratą czasu i pieniędzy. Ale Stoll zabrał głos dlatego, że niepokoi go, iż komputery traktuje się jak krzemowe antidotum na wszystko, niczym ordynowana przez znachorów maść żmijowa (stąd tytuł książki). Właśnie dzięki takim oryginalnym stwierdzeniom książka Stolla stała się na Zachodzie bestsellerem. Być może jest w tym trochę przekory. Być może premedytacji. Znamy wiele przykładów książek, których autorzy odnosili sukces dzięki stawianiu tez odmiennych od powszechnie przyjętych. Nie ma znaczenia, czy Stoll jest hipokrytą, czy autorem szczerze przejętym dominacją komputerów we współczesnym świecie. Mówi rzeczy niepopularne, ale – tak jak każde memento – jego słowa są warte wysłuchania.

Clifford Stoll należy dziś do czołówki krytyków technologii informacyjnej w różnych dziedzinach życia; w tym także w bibliotekarstwie. Wyraża sceptycyzm wobec twierdzeń, że biblioteki znane nam w obecnej formie będą zanikać.

*Uważam, że biblioteka bez książek jest marzeniem, halucynacją online natogowców, sieciowych neofitów i ludzi automatyzujących biblioteki. Al Gore<sup>87</sup> powiedział: „Jeśli mamy mówić o informacyjnych autostradach, musimy sprawić, by uczniowie mogli każdego popołudnia podłączyć się do Biblioteki Kongresu i eksplorować wszechświat wiedzy, przechodząc z tematu na temat, w zależności od zainteresowania w danym momencie”. Takie marzenie zakłada, że wszystkie książki w bibliotece są zdigitalizowane i dostępne w komputerze. Ale nie są i nigdy nie będą<sup>88</sup>.*

Stoll pisze o tradycyjnej bibliotece z wielkim zaangażowaniem. Wydać się może konserwatystą w złym znaczeniu, ale w swym przywiązaniu do tradycji jest wiarygodny. Nie dopuszcza możliwości, by obecne biblioteki w jakiś szczególny sposób uległy przeobrażeniu, pisząc:

<sup>85</sup> W 2000 r. wydawnictwo Rebis przedstawiło tłumaczenie *Silicon snake oil* pt. *Krzemowe remedium*. Tłumaczenia cytatów zawartych w tej książce zostały dokonane zanim wersja Rebisu trafiła na rynek.

<sup>86</sup> Wydanie polskie *Kukulcze jajo czyli tropienie szpiega w labiryncie komputerowego wywiadu*. Poznań, Rebis 1998.

<sup>87</sup> Wiceprezydent USA za kadencji Billa Clintona i kandydat demokratów w wyborach 2000 r. uchodzi za wielkiego zwolennika Internetu.

<sup>88</sup> C. Stoll: *Silicon snake oil. Second thoughts on the information highway*. New York, Doubleday 1995 s. 176.

*Pozwólcie mi opisać mój ideał biblioteki przyszłości. Jest w niej dużo książek, katalog kartkowy, dział dziecięcy z kącikiem do czytania bajek, czytelnia z dzisiejszą prasą, mnóstwo kolorowych magazynów, pudełko ze zbędnymi książkami (sprzedawanymi po 25 centów), korkowa tablica, do której przypina się ogłoszenia osiedlowe, tania fotokopiarka, i zmęczony, ale uśmiechnięty bibliotekarz. Widzę kilku czytelników społecznie układających książki na półkach. I jeszcze jedno. Owa biblioteka musi być położona w bliskim sąsiedztwie<sup>89</sup>.*

Szczególną uwagę poświęca tradycyjnym katalogom kartkowym, które – jak twierdzi – dają mu więcej informacji niż jakikolwiek system elektroniczny.

*Dla inspiracji, z powodu przypadkowych odkryć, dla poczucia, że jestem połączony z innymi badaczami, wybieram katalog kartkowy. Jeśli kiedykolwiek usłyszycie o bibliotece, która zamierza spalić katalog kartkowy, zróbcie im piekło<sup>90</sup>.*

Właśnie taka sytuacja zdarzyła się pewnego razu autorowi *Silicon snake oil*, co skomentował następująco:

*Zamiast pięknych drewnianych szufladek znalazłem dwa tuziny komputerowych terminali. Moje najważniejsze źródło informacji zniknęło<sup>91</sup>.*

W swym przywiązaniu do katalogów kartkowych Stoll nie jest bynajmniej osamotniony. Świadczyć o tym może wpis, jakiego dokonał w księdze wniosków jeden z czytelników w nowym gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie.

*O ile komputeryzacja katalogu alfabetycznego ma sens, o tyle katalog rzeczowy powinien pozostać kartkowy. To bardzo ułatwia pracę.*

Nie ma sensu w tym miejscu rozwijać dyskusji, czy ów czytelnik miał rację. Jest to kwestia przyzwyczajenia i upodobań. Należy jedynie zwrócić uwagę na fakt, że wśród użytkowników bibliotek będą nadal osoby, dla których tradycyjne katalogi kartkowe i drukowane bibliografie są narzędziami najlepiej odpowiadającymi ich technice pracy naukowej i psychicznemu nastawieniu.

Wsparciem dla wywodów Stolla na temat katalogów kartkowych jest również artykuł Walta Crawforda zatytułowany *Katalog kartkowy i inne cyfrowe spory*<sup>92</sup>. W podtytule artykułu Crawford retorycznie pyta: „Co jest, a co nie jest przestarzałe w wieku informacji?”. Otóż uważa właśnie, doceniając wszystkie zalety katalogów online, że ich kartkowi poprzednicy nie są jeszcze narzędziami zbyt nowoczesnymi. Nawet w sytuacji, gdy całość opisów została przeniesiona do pamięci komputera. W swej argumentacji Crawford użył oryginalnego i paradoksalnie brzmiącego hasła:

## Biblioteki powinny pozostać w tyle

To zaskakujące hasło oznacza, iż biblioteki powinny podążać za swoimi użytkownikami, reagując z pewnym opóźnieniem na zmieniające się mody i szanując w ten sposób dotychczasowe upodobania i przyzwyczajenia użytkowników. Według Crawforda dobrym tego przykładem był moment pojawienia się płyt kompaktowych i proces zastępowania nimi dotychczas popularnych płyt gramofonowych. Píše więc:

<sup>89</sup> Tamże, s. 174-175.

<sup>90</sup> Tamże, s. 201.

<sup>91</sup> Tamże, s. 198.

<sup>92</sup> W. Crawford: *The card catalog and other digital controversies*. „American Libraries” 1999 vol. 30 no1 s. 53-58

Nie miałoby sensu w 1985 r. [gdy zaczynały być popularne płyty kompaktowe – przyp. aut.], gdyby biblioteki publiczne zaczęły wyrzucać swoje zbiory płyt gramofonowych i zastępować je płytami kompaktowymi, nawet jeśli płyta CD gra dłużej i brzmi lepiej. Większość użytkowników miała wówczas gramofony. Natomiast, gdy okazało się, że 20-30% użytkowników bibliotek posiada odtwarzacze kompaktowe i zaczynają oni prosić o wypożyczenie CD, dopiero wówczas miało w bibliotekarstwie sens dokonanie przejścia na nowy nośnik. Uczynienie z CD-ROM-ów jednostek bibliotecznych podlegających wypożyczaniu nie ma sensu, dopóki pewna masa krytyczna użytkowników bibliotek nie będzie miała odpowiedniego sprzętu (...) <sup>93</sup>.

Dalej więc Crawford twierdzi, że tak, jak nie miało sensu w połowie lat osiemdziesiątych szybkie odejście od płyt gramofonowych na rzecz CD-DA, tak i później na początku lat dziewięćdziesiątych nie miało sensu tworzenie kolekcji płyt CD-ROM w celu wypożyczania ich na zewnątrz biblioteki, jak również nie ma sensu obecnie tworzenie kolekcji płyt DVD przeznaczonych do wypożyczania. Zbyt mało bowiem bywalców bibliotek ma do nich czytniki. Na tym więc polega dyskusyjne stwierdzenie Crawforda, że biblioteki mają pozostać w tyle. Chodzi mu o to, że biblioteki mają podążać za modą, a nie wyprzedzać ją i kreować. Organizując kolekcję nowych mediów z przeznaczeniem na wypożyczanie, biblioteka mogłaby się faktycznie narazić na zarzuty marnotrawienia społecznych pieniędzy, gdyby się okazało, że nowa kolekcja nie cieszy się popularnością ze względu na brak odpowiednich urządzeń w domach użytkowników.

W tym, co pisze Crawford jest wiele racji, z tym że trzeba wskazać na dwa czynniki, które w opisywanym zjawisku mają bardziej istotne znaczenie. Tak naprawdę przecież biblioteki nie dlatego nie wypożyczają dziś płyt DVD, bo czytelnicy o nie nie pytają, ale dlatego, że są zbyt drogie i zbyt mała jest jeszcze oferta rynku, by można zaplanować i zorganizować kolekcję DVD przeznaczoną do wypożyczania. Mimo wszystko w argumentacji Crawforda jest przejrzysta analogia do sytuacji przejścia od katalogów kartkowych do katalogów online. Trudno powiedzieć, jak wielka musi być „masa krytyczna” użytkowników katalogów online, by zamknąć katalog kartkowy, a o ile jeszcze musi ona wzrosnąć, by ów katalog dać na przemiał. Na pewno jednak przed podjęciem kroków niepomyślnych dla katalogu kartkowego biblioteki powinny brać pod uwagę użytkowników, dla których katalog kartkowy jest jedynym akceptowanym narzędziem informacji bibliograficznej.

Komentarzem do wypowiedzi Stolla, Crawforda i innych obrońców katalogów kartkowych mogą być wyniki badań Ch. Batta, który od lat publikuje dla Library Association raporty na temat zmian w bibliotekarstwie, dokonujących się pod wpływem nowych technologii. W badaniach z 1997 r. jedno z pytań ankiety dotyczyło formy posiadanego przez bibliotekę katalogu. Spośród 180 bibliotek, które odpowiedziały na to pytanie,

- 136 miało katalog online dostępny publicznie,
- 46 miało katalog na mikrofilmach,
- 16 miało katalog kartkowy <sup>94</sup>.

<sup>93</sup> W. Crawford: *Being analog. Creating tomorrow's libraries*. Chicago, ALA 1999 s. 154.

<sup>94</sup> C. Batt: *Information technology in public libraries*. London, LA Publishing 1998 s. 81-84. [Dane nie sumują się do 180 dlatego, że w części bibliotek funkcjonowały jednocześnie różne typy katalogów. Np. bardzo często w bibliotekach mających katalog mikrofilmowy istniał też katalog online, ale dostępny tylko dla personelu.]

Wynika z tego, że mimo apeli obrońców katalogów kartkowych, biblioteki pozbywają się tego narzędzia. Niewykluczone, że część bibliotek, które przyznały się do posiadania katalogu online, miała również wciąż dostępny dla czytelników stary katalog kartkowy. Bywa jednak często, że w momencie udostępnienia katalogu online, katalog kartkowy przestaje być uzupełniany i pełni od tej pory rolę jedynie narzędzia informacji retrospektywnej.

Powróćmy do Stolla. Pisze on o tradycyjnej bibliotece w sposób czuły (nawet czułościowy). Traktuje ją, jak bibliofil swoje zbiory, dla którego są one czymś estetycznie pięknym, a nie tylko cennym, bo rzadkim i starym. W wypowiedziach na temat tradycyjnej biblioteki Stoll objawia wiele uczuciowego zaangażowania. Jego książka nie jest jednak egzaltowanym hymnem na cześć tradycji i nie brak mu rzeczowych argumentów w obronie tradycji. Książka ta nie jest poza tym tylko protestem przeciw pośpiesznemu wdrażaniu technologii komputerowej w bibliotekarstwie. Stoll w ogóle wyraża wątpliwość, by mogły się spełnić niektóre przepowiednie w odniesieniu do bibliotek. Nie wyobraża sobie bibliotek, w których książki zostałyby zastąpione przez CD-ROM, a bibliotekarzy zastąpiłyby pliki pomocy. Pisząc o tej wizji, ironizuje:

*Elektroniczne książki i procesory wiedzy towarzyszą użytkownikowi w rozwiązywaniu problemów w złożonych procesach myślowych. Struktury wiedzy przechowywane są w zbiornicach wiedzy, a bazy danych wiedzy utrzymywane są przez inżynierów od wiedzy. W takiej bibliotece nie ma książek, nie ma bibliotekarzy, nie ma czasopism. Jest tylko wiedza<sup>95</sup>.*

Stoll podał pięć argumentów na poparcie tezy, iż powstanie w pełni zdigitalizowanych i dostępnych wyłącznie online bibliotek nie jest możliwe. **Pierwszy powód** to bariery natury ekonomicznej. Według Stolla żadna biblioteka nie będzie w stanie z braku pieniędzy i wystarczającej liczby pracowników dokonać pełnej migracji na format cyfrowy. Stoll ma dużo racji, ale nie mówi niczego odkrywczego. Jest powszechnie wiadomo, że proces dygitalizacji jest kosztowny i czasochłonny. W idei biblioteki cyfrowej nie chodzi jednak o to, by dokonać przeistoczenia wszystkich bibliotek tradycyjnych w biblioteki cyfrowe. Te ostatnie można tworzyć na bazie bibliotek tradycyjnych, ale równie dobrze może być to przedsięwzięcie nie związane z żadną biblioteką tradycyjną. Łatwiej jest nawet stworzyć bibliotekę cyfrową sensu stricto, nie opierając się na instytucji, która u swych korzeni ma dokumenty analogowe. Jeśli jednak w bibliotece tradycyjnej dokonuje się częściowej dygitalizacji zbiorów, nie oznacza to jeszcze zamiaru całkowitego zerwania z „papierową przeszłością”. Elektroniczne dokumenty dostępne online znajdują się w ofercie niektórych współczesnych bibliotek. Jednak zapewne nikt w tych instytucjach nie uważa, że ostatecznym celem jest całkowita dygitalizacja zbiorów, udostępnianie ich w trybie online, a tym samym zamknięcie budynku biblioteki dla osób z zewnątrz.

**Drugi argument** Stolla, dużo bardziej istotny, to twierdzenie, że media elektroniczne nie nadają się do długotrwałej archiwizacji. Obawa zaskakująca wobec tego, co wokół słyszy się o nowych nośnikach informacji, ale z pewnych punktów widzenia uzasadniona. Chociaż jakość dokumentu elektronicznego jest przy każdym jego otwarciu taka sama, to jednak paradoksalnie może się okazać, że trwałość papieru jest dużo większa niż CD-ROM-u. Nie chodzi zresztą tylko o zwykłą wytrzymałość poliwęglanu, z którego wykonane są płyty kompaktowe. Nie wiemy, czy twierdzenia o stuletniej trwałości płyt CD są prawdziwe. Przekonają się o tym

---

<sup>95</sup> C. Stoll: *Silicon snake oil...*, op. cit. s. 174.



nasze wnuki. Ale równie istotny jest problem czytników. Jest normalnym zjawiskiem, że gdy stary nośnik przestaje być popularny i drastycznie spada liczba jego użytkowników, producenci sprzętu wycofują z produkcji odpowiednie urządzenia odczytujące. Powstaje zatem sytuacja, że pozostają czasem bogate kolekcje na nośnikach, których już nie ma na czym odczytać. Dobrym przykładem są woskowe wałki fonograficzne Edisona, a bliższym nam i ciekawszym dyski magnetyczne 5,25 cala, których historia zamyka się na naszych oczach. Nikt już nie produkuje napędów dysków elastycznych 5,25 cala, więc w celu ich odczytania należy posłużyć się starszym modelem komputera. Będzie to coraz trudniejsze, bo postęp w dziedzinie informatyki jest ogromny, a określenia „przestarzały” używa się tu częściej niż np. w dziedzinie motoryzacji. Pięcioletni komputer to często urządzenie, którego procesor i pamięć operacyjna są zbyt słabe, by poradzić sobie ze współczesnymi systemami operacyjnymi i aplikacjami do nich.

Niemile rozczarowanie związane z nietrwałością nośników elektronicznych i oprogramowania służącego do odczytywania i edycji dokumentów elektronicznych nie jest bynajmniej kwestią przyszłości. Świadczy o tym przykre doświadczenie Mariana Łakomego, którego opis autor poprzedza kilkoma retorycznymi pytaniami:

*Ile lat należy przechowywać kopie archiwalne? Na jakim nośniku? Jaki sprzęt do archiwizacji danych zatrzymać, a jaki wymienić na nowszy? Kilka lat temu zarchiwizowałem pakiet do składu tekstów TeX na dyskietkach za pomocą popularnego wówczas programu Fastback. Gdy po 2 latach chciałem go odtworzyć na nowym komputerze Pentium, okazało się, że Fastback nie działa. Na szczęście miałem kopię na taśmie 1GB i napęd przechowywany na dnie szafy. Nie rozwiązało to jednak problemu. Napędu taśmowego nie dało się zainstalować pod Windows 95<sup>96</sup>.*

Łakomy pokazuje więc jeszcze jeden problem. Czytniki nośników informacji mogą być technicznie nadal sprawne, ale mogą przestać być akceptowane przez systemy operacyjne lub przestanie być dostępne odpowiednie oprogramowanie narzędziowe. Zainstalowanie sprawnego urządzenia może się okazać niemożliwe z przyczyn informatycznych. Łakomy pyta dalej:

*Gdzie można teraz znaleźć program do odczytu 0,5" taśm magnetycznych o małej gęstości, stosowanych kiedyś w minikomputerach i mainframe'ach? Żaden współczesny napęd ich nie odczyta. Nawet gdybyśmy taki znaleźli, nikt nie pamięta formatu kodowania i struktury danych. To obecnie równie trudny i archaiczny format, jak hieroglificzne pismo egipskie lub linearne pismo fenickie<sup>97</sup>.*

Odpowiednio szybkie przekopiowanie zbiorów z nośnika ustępującego na nowy wydaje się jedynym ratunkiem dla posiadaczy kolekcji i przedłużeniem życia znajdujących się w nich dokumentów. Jednak w przypadku dużych kolekcji może okazać się niemożliwe przeniesienie całości zbiorów ze starego formatu na nowy; z przyczyn podanych już wcześniej – braku funduszy i personelu. Powtórzy się zatem problem, który pojawia się w kwestii dygitalizacji dokumentów drukowanych. Nie wszystkie dostąpią (z powodów merytorycznych i artystycznych także) „zaszczytu” przeniesienia na format cyfrowy. Ale pozostaną ich wersje drukowane, z których jeszcze setki lat będą mogli korzystać historycy. Natomiast, jeśli w przyszłości dyski CD zastąpi zupełnie inna technologia, a część z nich nie zostanie w porę przeniesiona na nowy format, staną się one bezużyteczne. Będą bezwartościową stertą kolorowych plastikowych krążków.

---

<sup>96</sup> M. Łakomy: *Hurtownia, baza czy archiwum?* „Computerworld” 2000 nr 35 s. 42.

<sup>97</sup> Tamże, s. 42.

Podobne obawy przed częstymi zmianami technologicznymi ma Susan Cody. Z tego punktu widzenia broni mikroform jako nośników bardzo trwałych, a których czytelnicy nie podlegają tak istotnym i częstym modyfikacjom.

*Niepewność co do żywotności mediów elektronicznych jest kluczowym czynnikiem, który skłania do zachowania mikroform jako nośników służących zabezpieczeniu zbiorów. Nawet jeśli media elektroniczne są trwałe, to czy będzie zachowane odpowiednie oprogramowanie i sprzęt potrzebne do odczytywania tych materiałów? Czy za każdym razem, gdy nastąpią zmiany technologiczne, zbiory elektroniczne będą konwertowane?*<sup>98</sup>

Na retoryczne pytania postawione w przytoczonym fragmencie Stoll odpowiada stanowczo: nie będzie możliwa permanentna konwersja.

**Trzecim powodem**, dla którego – według Stolla – biblioteki tradycyjne nie przeistoczą się w biblioteki cyfrowe są ograniczenia prawa autorskiego. Własność intelektualna jest w obecnych czasach istotną wartością. Autorzy (nie tylko pisarze) czerpią czasem wieloletnie profity dzięki kolejnym publikacjom tego samego utworu. Tymczasem środowisko elektroniczne ułatwia łamanie prawa autorskiego, a Internet pełen jest pirackich programów, nielicencjonowanych nagrań muzycznych, nieautoryzowanych publikacji. Zgodnie z prawem przenieść na format cyfrowy i udostępnić w sieci można utwór nie objęty już ochroną prawa autorskiego, ale też nie w każdym przypadku. Jeśli na przykład dokona się ręcznego przeniesienia całej prozy Stefana Żeromskiego na postać cyfrową i udostępni pliki w sieci, wszystko jest w zgodzie z prawem. Prawa autorskie ewentualnych spadkobierców już wygasły, bo w 70 lat po śmierci autora utwór staje się automatycznie publiczną własnością<sup>99</sup>. Gdyby jednak dokonać dygitalizacji tych dzieł poprzez skanowanie zbioru utworów wydanego rok temu, z zachowaniem szaty graficznej, ilustracji i typografii wersji drukowanej, to prawo oczywiście zostałoby złamane, bo naruszono by prawa wydawcy. Nawet biblioteka, która posiada prawo egzemplarza obowiązkowego nie mogłaby udostępnić tak sporządzonego dokumentu elektronicznego w sieci. Nabycie egzemplarza utworu tą drogą nie oznacza jeszcze prawa do swobodnego dysponowania utworem. Biblioteka miałaby prawo dokonać dygitalizacji w opisany sposób, ale tylko w celu archiwizacji dokumentu i nieodpłatnego udostępniania na miejscu. Pozwala na to artykuł 28 punkt 2 Ustawy o Prawie Autorskim<sup>100</sup>. Mamy więc do czynienia z kolejnym paradoksem. Do postaci cyfrowej mogą być w bibliotece swobodnie przenoszone wszystkie dokumenty, ale tylko te, których ochrona prawna już wygasła, mogą być udostępnione w trybie online poza mury biblioteki. Zatem dokumenty starsze, którymi zainteresowana jest tylko wąska grupa użytkowników bibliotek znaleźć się mogą in extenso w ofercie bibliotek wirtualnych. Natomiast cieszące się największym zainteresowaniem nowe publikacje, raporty z aktualnych badań, bieżące numery czasopism nie mogą być w formie cyfrowej udostępniane przez bibliotekę poprzez sieć komputerową, o ile nie została wykupiona licencja.

<sup>98</sup> S. A. Cody: *The electronic revolution in libraries. Microfilm deja vu?* „College and Research Libraries” 1990 vol. 51 no 4 s. 384.

<sup>99</sup> Początkowo według ustawy o prawie autorskim z 1994 r. okres trwania autorskich praw majątkowych wynosił 50 lat od śmierci autora, ale „Ustawa z dnia 9 czerwca 2000 roku o zmianie ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych” wydłużyła ten okres do 70 lat. (Zob. „Dziennik Ustaw” 2000 nr 53 poz. 637 s. 3291-3295.)

<sup>100</sup> Ustawa z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych. „Dziennik Ustaw” 1994 nr 24 poz. 83.

Wydawcy już dość dawno dostrzegli możliwość niezgodnego z prawem wykorzystywania ich produktów poprzez dygitalizację i umieszczanie w elektronicznych systemach wyszukiwawczych. Znalazło to swój wyraz w rozbudowaniu formułki copyright umieszczanej tradycyjnie na kartach tytułowych książek. Najczęściej ma ona następującą formę:

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopy, recording or any information storage and retrieval system, without permission in writing from the publishers.

W starszych publikacjach powyższe zastrzeżenia, iż publikacja nie może być rozpowszechniana przez żaden system informacyjno-wyszukiwawczy, nie były tak explicite podane, bo technologia komputerowa nie stała na dość wysokim poziomie, by miały stąd wynikać obawy wydawców o utratę części zysków z tantiem. Dziś jest przeciwnie. Wydawcy, autorzy i inni beneficjanci prawa autorskiego poważnie myślą o możliwości utraty zysków z powodu nielicencjonowanego rozpowszechniania ich zdygitalizowanej twórczości w bibliotecznych systemach wyszukiwawczych lub w Internecie. Niektórzy wydawcy dodają więc obecnie w formułkach copyright fragment

...electronic, mechanical, or other means,  
now known or hereafter invented...

aby zabezpieczyć swe prawa autorskie także w przyszłości, gdyby pojawiły się nowe nośniki i nowe sposoby rozpowszechniania danych.

**Prawo autorskie jest więc poważną barierą i dużym problemem do rozwiązania na drodze do realizacji idei bibliotek wirtualnych.** Nerozwązanie tych problemów mogłoby skonfliktować środowisko bibliotekarzy z tą grupą społeczną, która czerpie korzyści z praw autorskich. Poważne zagrożenia w tym względzie widzi Carol Risher.

*Wiele narodowych i regionalnych bibliotek rozważa dygitalizację swoich kolekcji drukowanych, by ułatwić klientom dostęp do biblioteki wirtualnej w sposób zdalny oraz by ułatwić dzielenie się swoimi zbiorami z innymi bibliotekami. Ten pomysł zniweczy nie tylko chęć tworzenia nowych dzieł objętych prawami autorskimi, ale także zlikwiduje możliwość czerpania dochodów przez autorów i wydawców z istniejących prac jako źródeł finansowania przyszłych prac<sup>101</sup>.*

Problem prawa autorskiego w działalności bibliotek jest oczywiście ważny, ale wydaje się, że przedstawione w powyższym fragmencie obawy są przesadzone. Projekty przenoszenia dokumentów drukowanych do środowiska elektronicznego miałyby według cytowanej autorki zachwiać rynkiem wydawniczym tradycyjnej książki. Wyglądałoby na to, że bibliotekarze dokonujący dygitalizacji zbiorów książkowych, podcinałoby gałąź, na której siedzą. Z cytowanego frag-

<sup>101</sup> C. Risher: *Libraries, copyright and the electronic environment*. „Electronic Library” 1996 vol. 14 no 5 s. 450.

mentu wynika, że z winy bibliotekarzy autorzy przestaną pisać, a wydawcy wydawać, wobec czego bibliotekarze nie będą mieli co dygitalizować. Być może byłoby to prawdą, gdyby proces przenoszenia dokumentów papierowych do środowiska elektronicznego odbywał się w bibliotekach w sposób nieprzemyślany. Ale bibliotekarze dobrze wiedzą, jakie ograniczenia nakłada na nich prawo autorskie<sup>102</sup>. Poza tym obawy o przyszłość wydawców są niepotrzebne. Proces transformacji zbiorów bibliotecznych będzie powolny, a tradycyjni wydawcy zdążą dostosować się do nowych reguł rynku i uwzględnią w swej ofercie także publikacje cyfrowe.

**Czwarty argument C. Stolla** przeciw bibliotekom elektronicznym jest najbardziej zaskakujący. Twierdzi on mianowicie, że korzystanie z dokumentów elektronicznych jest kłopotliwe i bezproduktywne. Wszystkiemu jakoby winna jest hipertekstowa struktura cyberprzestrzeni. Stoll – jeśli mu wierzyć – łatwo się w niej gubi, szybko traci główny wątek, w końcu znajduje nie to, czego początkowo szukał. Ten, kto korzysta z Internetu, zapewne potwierdzi, że czasem hiperłącza oddalają od zasadniczego tematu. Nie jest to kwestia do dyskusji, raczej usposobienia i upodobania. Zapewne znajdzie się wielu zwolenników tezy Stolla i nie mniejsza liczba zwolenników cyberprzestrzeni, którzy stwierdzą, że tylko w elektronicznym środowisku potrafią szybko gromadzić i systematyzować informacje.

**Z kolei piąty**, znów ważny powód, dla którego nie powstaną zdigitalizowane biblioteki, Stoll tłumaczy skłonnością ludzi do korzystania ze źródeł łatwo dostępnych i najlepiej bezpłatnych. Według Stolla ludzie wolą korzystać z takich źródeł, nawet jeśli są gorszej jakości, niż z lepszych, miarodajnych źródeł, do których dotarcie wymaga wysiłku i kosztów. Mimo obaw Stolla komercyjne bazy danych istnieją i nie upadają, a wśród ich klientów znaczącą grupę stanowią biblioteki. Komercyjna, ale solidna baza danych, jaką udostępnia biblioteka nie powinna przegrać z pozostałymi zasobami Internetu. Liczy się właśnie fakt, że materiały dostępne w bazie komercyjnej zostały wcześniej poddane selekcji, są tematycznie uporządkowane i odpowiadają wprost zainteresowaniom użytkowników.

Argumenty Stolla są ważne i wielu je podziela. Ale można mu postawić zasadniczy zarzut. Stoll, podając swe argumenty, traktuje postawione tam problemy jak bariery nie do przebycia, które uniemożliwią powstanie i rozwój bibliotek elektronicznych. *Silicon snake oil* jest negacją, a nie wskazówką rozwiązywania problemów. Inni natomiast problemy ekonomiczne i prawa autorskiego widzą jako kwestie do rozwiązania.

Skrajne poglądy Stolla mogą niestety trafić na podatny grunt. Wśród pracowników bibliotek niemałą grupę stanowią osoby starsze, dla których konieczność obcowania z komputerami jest burzeniem ustalonego porządku i zbędną innowacją pod koniec kariery zawodowej. Znajdą się z pewnością osoby w środowisku bibliotekarskim, które z całym przekonaniem poprą głoszone przez Stolla poglądy, jak choćby jego poniższą wypowiedź:

*Przypuszczam, że komputery w przebiegły sposób będą zżerać biblioteki od środka. Ze pochłoną ich budżety i sprawią, że potrzebni będą bibliotekarze lepiej obcujący z komputerem niż z dziećmi i uczniami. Biblioteki staną się biegle w dostarczaniu szybkiej, małowartościowej informacji. W rezultacie otrzymamy nie bibliotekę bez książek, ale bibliotekę bez wartości<sup>103</sup>.*

<sup>102</sup> W tym przekonaniu utwierdza mnie fakt, że we wszystkich znanych mi czytelnich naukowych Warszawy przestrzegany jest przepis o ograniczonej do jednego arkusza wydawniczego liczbie wykonywanych czytelnikom odbitek, choć pewnym wyjątkiem jest nowy gmach BUW, gdzie studenci mogą wykonywać dowolne ilości odbitek dzięki samoobsługowym kopiarkom.

<sup>103</sup> C. Stoll: *Silicon snake oil...*, op. cit. s. 214.

Dobrze, że C. Stoll wskazuje na niektóre negatywne aspekty automatyzacji bibliotek. Ale to nie idea biblioteki elektronicznej jest zła. Zła może być jej realizacja. *Silicon snake oil* skłoniło bibliotekarzy do dyskusji i to jest pozytywny efekt tej publikacji. Niektóre jednak głosy polemiczne są krzywdzące dla jej autora. Zwolennicy nowych technologii w bibliotekarstwie i nowych rodzajów dokumentów nieksiążkowych powinni zrozumieć, że są osoby, dla których zmiany są burzeniem ustalonego porządku. Powinniśmy więc patrzeć na książkę Stolla jak na wyraz troski i zaniepokojenia o przyszłość bibliotek, a nie jak na przykład uporczywego trwania przy nieefektywnej technologii. Wkrótce po publikacji *Silicon snake oil* czasopismo „The Electronic Library” zamieściło redakcyjną dyskusję na ten temat. Stolla spotkały krytyczne uwagi. Tefko Saracevic określił go mianem luddysty<sup>104</sup>, który jedynie krytykuje, nie analizując społecznego zapotrzebowania na nową technologię. Carol Tenopir w tej samej dyskusji dodała, że książka Stolla to wypowiedź człowieka, któremu brakuje tchu w gonitwie nowych czasów, który nie nadąża za zmianami<sup>105</sup>. Obie opinie są dla Stolla krzywdzące. Autor ten dał dowód, że w dziedzinie użytkowych zastosowań informatyki jest specjalistą. Nie wzywa też do niszczenia komputerów, więc nie można go nazywać luddystą. ***Silicon snake oil* powinno się odbierać jako wezwanie do przemyślanego i pragmatycznego komputeryzowania niektórych dziedzin; w tym bibliotekarstwa.**

## BIBLIOTEKA ELEKTRONICZNA JAKO MIT

Wsparciem dla oryginalnych tez Stolla może być o rok wcześniejsza książka Williama Birdsalla<sup>106</sup>. Jest ona częściową odpowiedzią na pytania tych bibliotekarzy, których niepokoją szybko zachodzące zmiany spowodowane szerokim stosowaniem techniki komputerowej. W ich imieniu Birdsall wypowiada wątpliwości:

*Wielu bibliotekarzy ciekawi w jakim kierunku zmierza świat, a szczególnie to, czy czeka nas w przyszłości społeczeństwo postbiblioteczne*<sup>107</sup>.

Zawarta w książce teza przeczy takiej możliwości. Autor starał się dowieść, że technologia nie może zagrozić bibliotekom, bo ich funkcje nie ograniczają się tylko do gromadzenia i udostępniania informacji. Ideę biblioteki elektronicznej określił jako mit, a twórców teorii biblioteki elektronicznej określił mianem mitotwórców (myth-makers). Autor zaprezentował przegląd prac i wypowiedzi na temat systemu społeczeństwa informacyjnego i biblioteki elektronicznej jako ogniwa tego systemu. Całość tych poglądów ujął wspólną klamrą, określając je jako mity, a nawet mistyfikacje. Birdsall omówił te wypowiedzi, które w szerszy sposób traktowały o zmianach zachodzących w społeczeństwie oraz te, które na podstawie obserwowanych zmian cywilizacyjnych zawierały przepowiednie na temat rozwoju bibliotek. W panteonie niepoprawnych fantastów, którzy swymi publikacjami przyczynili się do powstania idei biblioteki elektronicznej umieścił

<sup>104</sup> To krzywdzące Stolla określenie pochodzi od nazwiska przywódcy robotników angielskich, którzy w początkach XIX wieku występowali przeciw manufakturom i niszczyli maszyny, upatrując w nich przyczyn bezrobocia.

<sup>105</sup> *Libraries present and future: the future of the library profession*. „The Electronic Library” 1996 vol. 14 no 6 s. 518.

<sup>106</sup> W. F. Birdsall: *The myth of the electronic library. Librarianship and social change in America*. Westport, London, Greenwood Press 1994.

<sup>107</sup> Tamże, s. XI.

m.in. V. Busha, J. Licklidera, M. McLuhana, D. Bella, A. Tofflera, P. Druckera, F. Lancastera. Pisząc o Lancasterze nawet ironicznie zauważył, że chyba nikt nie zużył więcej papieru pisząc o bezpapierowym społeczeństwie niż właśnie Lancaster<sup>108</sup>. Choć więc książka Birdsalla jest krytyką wspomnianych autorów, jest jednak wartościowym przeglądem publikacji z dziedziny futurologii socjologicznej i bibliotekoznawczej z ostatnich dziesięcioleci. Prezentację poglądów wymienionych wyżej autorów Birdsall zakończył następująco:

*Jak widać, choć koncepcja biblioteki elektronicznej była w różny sposób przedstawiana, w ich podstawie leży skłonność do abstrakcji, zakładającej totalne wyzwoleństwo biblioteki z wszelkich form lub dematerializację, a zatem całkowity zanik biblioteki jako miejsca. Cóż takiego owi mistyfikatory proponują bibliotekarzom, skoro mury otaczające ich bibliotekę mają wyparować? Przestanie jest wyraźne: wyście się z bibliotek! Twórcy mitu elektronicznej biblioteki zarzucają bibliotekarzom krótkowzroczność, chowanie głowy w piasek, brak dynamiki, przynależność do najbardziej zinstytucjonalizowanego zawodu świata, przywiązanie do koncepcji typu 'ptolemeuszowego', w której biblioteka jest w centrum, zamiast do koncepcji typu 'kopernikańskiego', w której to informacja jest w centrum. Twierdzą poza tym, że bibliotekarze mają przed sobą tyle przyszłości co brontozaury<sup>109</sup>.*

Interpretacja Birdsalla jest w oczywisty sposób przerysowana. Wydaje się, że szukanie przez niego oznak niechęci, czy nawet wrogości wobec bibliotekarzy jest niepotrzebne. W jednym krótkim fragmencie Birdsall spróbował podsumować poglądy kilku autorów, i jak każde uproszczenie ono również nie oddaje całej prawdy. Licklider, Lancaster i inni piszący o bibliotekach przyszłości nie robili tego po to, by dokuczyć bibliotekarzom. Wprowadzenie innowacji do profesji to nie to samo, co likwidacja profesji. Celem jaki przyświecał twórcom idei biblioteki elektronicznej była poprawa i podniesienie na wyższy poziom funkcjonowania bibliotek oraz danie bibliotekarzom narzędzi, które pozwolą w szerszym zakresie prezentować wyniki ich pracy. Dosłownie i w przenośni: wyjść z ofertą poza mury biblioteki, a co za tym idzie, podnieść prestiż społeczny tego zawodu. Birdsall jest przeciwny patrzeniu na kwestię przyszłości bibliotek wyłącznie w aspekcie technologicznym. Zaleca wręcz odrzucenie technologicznego determinizmu, co pozwoli wnikliwiej przyjrzeć się koncepcji elektronicznych bibliotek i znaleźć dla nich możliwą alternatywę. Dlatego w konkluzji książki zwraca się do bibliotekarzy z apelem:

*Bibliotekarze nie powinni akceptować przepowiedni o nieuchronnej dominacji technologii w społeczeństwie informacyjnym. (...) Biblioteka nadal będzie służyć jako podstawowa instytucja społeczna, dająca miejsce do społecznych oddziaływań. (...) Bibliotekarze nie powinni przyjmować abstrakcyjnej, idealistycznej koncepcji określanej mianem biblioteki elektronicznej i stawiać ją ponad materialistyczną koncepcję biblioteki jako miejsca (...)<sup>110</sup>.*

Birdsall uważa, że nie powinno się patrzeć na przyszłość zawodu bibliotekarza wyłącznie w kontekście zmian cywilizacyjnych określanych skrótowo jako społeczeństwo informacyjne. Uważa więc, że na rolę bibliotekarza należy też spojrzeć w kontekście alternatywnej koncepcji rozwoju społecznego nazwanej społeczeństwem terapeutycznym. Zamiast technokratycznej, odhumanizowanej wizji roli bibliotekarza w społeczeństwie informacyjnym Birdsall proponuje dostrzec w tym zawodzie duży

<sup>108</sup> Tamże, s. 34.

<sup>109</sup> Tamże, s. 36.

<sup>110</sup> Tamże, s. 152.

potencjał terapeutyczny. Według niego bibliotekarstwo zalicza się do niezbędnych profesji służebnych (helping professions), a zasadnicze dla koncepcji biblioteki elektronicznej ograniczenie roli bibliotekarza do pośrednika w przekazywaniu informacji jest nieporozumieniem. Wiara Birdsalla w to, że pracownik biblioteki przyszłości mógłby pełnić rolę wykraczającą poza zwykłe pośredniczenie w przekazie informacji jest budująca. Rola nauczyciela, przewodnika, a nawet powiernika umacniałaby tę profesję pośród zawodów służebnych, gdyby nie fakt, że sieciowe systemy informacji wyrabiać będą w użytkownikach poczucie samowystarczalności, jest więc bardzo możliwe, że rola bibliotekarza będzie niestety w ten naturalny sposób ograniczana jedynie do utrzymania stałego dostępu do źródeł informacji.

## UMIARKOWANE PRZEPOWIEDNIE NA TEMAT BIBLIOTEK

Opublikowane pod koniec lat siedemdziesiątych prognozy F. Lancastera były śmiałe i oryginalne. Wzbudzały kontrowersje i wątpliwości. Do tego stopnia, że niektórzy skłonni byli obrócić to w żart. Tekst o takim właśnie charakterze opublikował Michael Gorman. Tytuł tego artykułu *Toward the tableless society* (Ku społeczeństwu bezstołowemu) był nieskrywaną trawestacją i żartem z książki Lancastera *Toward the paperless information systems* (Ku bezpapierowym systemom informacyjnym). W tekście pełnym uszczypliwości znalazł się między innymi sardoniczny fragment będący żartem jednocześnie z Lancastera i McLuhana.

*Telewizja kablowa jest dużo ważniejsza niż jakakolwiek i kiedykolwiek napisana książka, a Ted Turner [amerykański magnat medialny – przyp. aut.] jest dużo ważniejszą postacią historyczną niż Gutenberg, czy jak mu tam ... No wiesz, ten facet, o którym stary McLuhan tak dużo pisał*<sup>111</sup>.

W innych swych wypowiedziach Gorman, którego na pewno można zaliczyć do umiarkowanych zwolenników technologizacji bibliotek, jest mniej dowcipny, a zwolenników idei biblioteki elektronicznej traktuje jako wrogów bibliotek. Dzieli ich zresztą na trzy kategorie: biurokratów, którzy swe działania uzasadniają jedynie kalkulacją kosztów; technokratów, którzy wierzą, że technologia jest w stanie lepiej służyć użytkownikowi niż tradycyjna biblioteka; technowandali, którzy przy pomocy technologii zamierzają zrujnować świat nauki, którzy uważają, że ciągle czytanie to czynność szkodliwa<sup>112</sup>. Gorman w swoich książkach i artykułach w polemice ze zwolennikami dokumentów elektronicznych i bibliotek elektronicznych nie stroni od dosadnej retoryki. Słowa Gormana są przerysowane, pełne patosu i uszczypliwości, ale nie brak mu także mocnych merytorycznych argumentów. Jest postacią znaną w amerykańskim bibliotekoznawstwie<sup>113</sup>, a to oznacza, że głosiciele rychłego nadejścia epoki słowa elektronicznego napotkają wielu innych zdecydowanych obrońców słowa drukowanego.

<sup>111</sup> M. Gorman: *Toward the tableless society. A brief interview with E. Palfrey Bellingham*. „Library Journal” 1985 vol. 110 no 2 s. 46.

<sup>112</sup> M. Gorman: *The treason of the learned*. „Library Journal” 1994 vol. 119 no 3 s. 130-131.

<sup>113</sup> Jest m.in. współautorem ważnej dla całego bibliotekarstwa zachodniego normy opisu bibliograficznego AACR2 i jej zrewidowanej wersji. Znamienny jest także fakt, iż do niedawna był prezydentem amerykańskiego Stowarzyszenia Technologii Bibliotecznych i Informacyjnych (LITA), co w ciekawy sposób koresponduje z jego antytechnologicznymi wypowiedziami.

Gorman w typowej dla niego retoryce prezentuje dość złowrogo przedstawiającą się wizję.

*Ci, którzy uważają, że złoto dyktuje warunki, i ci którzy inwestują miliardy w nowy zdygitalizowany świat, uzyskają nad nim kontrolę pod każdym względem. Możliwości cenzurowania, sterowania dostępem do wiedzy i informacji i ograniczanie wolności intelektualnej będą nieograniczone. Jeśli bibliotekarze, uczniowie i nauczyciele przyzwolą na tę destrukcję, staną się przez swoje milczenie współwinnymi ostatecznej zdrady nauki i intelektualnej wolności<sup>114</sup>.*

Mimo pewnych przerysowań jest w tych przestroгах wiele racji. Środowisko elektroniczne rzeczywiście ułatwia kontrolę przepływu i gromadzenia informacji. Odbiorca sieciowych przekazów nie może mieć do końca pewności, że zachowuje incognito. Paradoksalnie mniej wiadomo o nadawcy niż o odbiorcy sieciowych komunikatów. O takich możliwościach świadczą protesty, jakie pojawiły się, gdy firma Intel – światowy potentat w branży procesorów komputerowych – ujawniła, że każdy nowy procesor z serii Pentium posiada własny, niepowtarzalny numer, który ułatwia identyfikację komputera w sieci. Z jednej strony jest to korzystne, bo umożliwia szybką lokalizację np. skradzionego komputera, ale z drugiej strony w skrajnych przypadkach może posłużyć nadawcy do nieuczciwego wykorzystania wiedzy o tym, kto jest odbiorcą jego przekazów.

W książce *Future libraries* napisanej wspólnie z Waltem Crawfordem<sup>115</sup>, Gorman dodaje kolejny nieprzyjemny epitet pod adresem swoich ideowych przeciwników, nazywając ich „technolusts”, czyli ludźmi owładniętymi żądzą technologii. Książka Crawforda i Gormana jest mocnym i zdecydowanym głosem przeciwko wszystkim nowatorskim ideom w bibliotekarstwie opisywanym hasłami: biblioteka bez ścian, biblioteka bez papieru, biblioteka bez książek itp. Crawford i Gorman sprzeciwiają się nie tylko ideom jakościowej przemiany zbiorów bibliotecznych, głoszącym odejście od papieru na rzecz nośników elektronicznych, ale także nowemu spojrzeniu na zawód bibliotekarza, polegającemu na odejściu od funkcji pośrednika w przekazywaniu informacji. Książka Crawforda i Gormana jest bardzo podobna w stylu i języku do omówionej książki Stolla, choć może nie tak radykalna. Ich styl jest miejscami przesadnie kąśliwy, a obawy przesadzone. Autorzy nie szczędzą przeciwnikom pogardliwych epitetów, nazywając ich głupcami, barbarzyńcami, szaleńcami. Zupełnie jakby omawiana książka nie powstała w poprawnej politycznie Ameryce. Wiemy dobrze, kogo Crawford i Gorman mieli na myśli w swej krytyce. Gorman wielokrotnie dał dowód swej niechęci do poglądów Lancastera o zmierzchu kultury druku. Chociaż w omawianej książce nie wspomina się o publikacjach Lancastera, łatwo się domyślić, że właśnie do niego odnosi się poniższy fragment.

*Druk nie umarł. Druk nie umiera. Nie jest nawet chory. Pomimo usilnych starań tych, którzy od lat przepowiadają, że w najbliższej przyszłości nastąpi odejście od druku na papierze, nie ma żadnych powodów, by wierzyć, że tak będzie. (...) Zdrowy rozsądek wymaga, byśmy zwrócili uwagę na faktyczny rynek książki drukowanej, na zalety tego medium i rzeczywiste zagrożenia ekonomiczne<sup>116</sup>.*

Dokonujący się w bibliotekach przełom technologiczny obaj autorzy traktują z wielką rezerwą. Przedstawiają go w sposób przerysowany i miejscami nazbyt emocjonalny.

<sup>114</sup> M. Gorman: *The treason of the learned*, op. cit. s. 131.

<sup>115</sup> W. Crawford, M. Gorman: *Future libraries. Dreams, madness and reality*. Chicago, ALA 1995.

<sup>116</sup> Tamże, s. 14-15.



*Nowi barbarzyńcy stoją u bram. Będą udowadniać, że w pełni zdigitalizowana biblioteka wirtualna jest tańsza i lepsza niż stara i nudna biblioteka gromadząca druki lub nawet jakiś rodzaj połączenia zbiorów drukowanych i elektronicznych. (...) Nowi barbarzyńcy chcą zniszczyć budynki biblioteczne i miejsca pracy bibliotekarzy<sup>117</sup>.*

Innym przykładem takiej przerysowanej diagnozy Gormana i Crawforda jest ich reakcja na skądinąd słuszny pogląd o szybkim starzeniu się publikacji naukowych.

*Nowi barbarzyńcy pewni siebie mówią o czasie, po jakim książki i artykuły się starzeją, co tym samym oznacza, że stają się bezwartościowe. Używają zestawień procentowych i statystyk, by udowodnić, że czas ten jest zazwyczaj krótki. Ten szybki proces starzenia eliminuje problem pełnej konwersji, skoro stare książki i artykuły nie mają nic wartościowego do zaoferowania. Dla nowych barbarzyńców nie ma wyjątków. Stare jest złe, nowe jest dobre, a w ogóle wszystko jest lepsze, co ma format elektroniczny<sup>118</sup>.*

Reakcja Gormana i Crawforda przypomina dyskusję o faktach, a faktem jest, że szczególnie w naukach ścisłych pożądane są aktualne publikacje. Ale to wcale nie znaczy, że wśród bibliotekarzy zwycięża przekonanie, że to co stare jest bezwartościowe. Każdy bibliotekarz rozsądnie myślący i znający potrzeby użytkowników dobrze wie, że w kręgu zainteresowań czytelników są także publikacje starsze. Studiowanie i praca naukowa nie polegają tylko na śledzeniu bieżącej literatury. Nawet w pracach nie mających charakteru opracowań historycznych niezbędne jest także odwoływanie się do publikacji sprzed kilkunastu i kilkudziesięciu lat. Każdy więc bibliotekarz, który potrafi to zaobserwować, stwierdzi, że proces konwersji zbiorów papierowych do formatu cyfrowego powinien mieć także w miarę możliwości charakter retrospektywny.

Wiele miejsca Gorman i Crawford poświęcili krytyce szkodliwej (według nich) idei dostępu zamiast kolekcji (access not ownership). Zaprzeszanie rozwoju kolekcji byłoby błędem, który zachwiałby podstawami biblioteki i postawił pod znakiem zapytania jej dalsze funkcjonowanie. W piśmiennictwie bibliotekoznawczym rzeczywiście nie brakuje poglądów o koniecznym przejściu od gromadzenia kolekcji do zdobywania zdalnego dostępu. Niech za przykład posłużą słowa Deborah Show:

*Bibliotekarze muszą zmienić ukierunkowanie na rozwój kolekcji, gdyż postęp technologiczny i ekonomiczny promuje raczej dostęp niż posiadanie<sup>119</sup>.*

Podobnie pisze Brian Lang:

*Elektroniczna biblioteka może w zasadzie nie mieć żadnej kolekcji. Wszystko, co musi przyjąć, to organizacyjne i technologiczne rozwiązania, by umożliwić dostęp do kolekcji przechowywanych gdzie indziej<sup>120</sup>.*

Istotne jest, czy myślimy o bibliotece elektronicznej jako kolejnym wcieleniu biblioteki tradycyjnej, czy też o zupełnie nowym przedsięwzięciu, które w swych korzeniach nie ma dokumentów papierowych. Jeśli traktować bibliotekę elektroniczną jako kolejne ogniwo w ewolucji biblioteki papierowej lub fragment jej działalności, to oczywiście zerwanie z pojęciem kolekcji nie jest możliwe. Prawda oczywiście leży po środku. Biblioteki powinny, wykorzystując nowe technolo-

<sup>117</sup> Tamże, s. 111.

<sup>118</sup> Tamże, s. 110-111.

<sup>119</sup> D. Show: *Libraries of the future. Glimpses of a networked, distributed, collaborative, hyper, virtual world.* „Libri” 1994 vol. 44 no 3 s. 211.

<sup>120</sup> B. Lang: *The electronic library. Implications for librarians, academics and publishers.* „Libri” 1994 vol. 44 no 4 s. 267.

gie, wzbogacać swą ofertę poprzez danie dostępu do innych zbiorów. Ale też nie powinny zaniedbywać rozwoju własnego zbioru. Zbiór dokumentów jest dystynktywną cechą biblioteki zawartą zresztą w jej nazwie. Można w tym miejscu poglądy Crawforda i Gormana wesprzeć słowami S. Cody, która postawiła tezę, iż...

*(...) jakość biblioteki naukowej jest ciągle przede wszystkim mierzona wielkością jej własnych zbiorów*<sup>121</sup>.

Rezygnacja z dokumentów analogowych (autorka miała głównie na myśli mikroformy) i przejście do środowiska elektronicznego wiąże się – zdaniem Cody – z niebezpieczeństwem utraty przez bibliotekę zaufania i uznania czytelników. Decyzja przejścia ze źródeł, które się ma (choćby mikroform) na źródła, do których ma się tylko dostęp, oznaczać może ryzyko utraty dostępu do informacji w ogóle. Z różnych przyczyn bowiem dostęp online może zostać zawieszony lub zerwany np. z powodu drastycznego wzrostu cen abonamentu bazy danych lub po prostu zawieszenia działalności przez dostawcę bazy.

Mimo przerysowań i agresywnej retoryki Crawford i Gorman nie są radykalnymi przeciwnikami technologii w bibliotekach. W zakończeniu łagodzą swe wypowiedzi i pojednawczo stwierdzają, że w bibliotece przyszłości liczyć się będą zarówno własne zbiory w różnych formatach (nie tylko elektronicznym), jak i dostęp do zbiorów cudzych w trybie online. Określili to jako równowagę pomiędzy kolekcją własną a dostępem.

*Biblioteki muszą kontynuować poszukiwanie innowacyjnych sposobów udostępniania informacji i materiałów przez siebie nie posiadanych, chociaż własna kolekcja będzie nadal podstawowym narzędziem*<sup>122</sup>.

W konkluzjach proponują rozsądne i zdroworozsądkowe podejście do problemu relacji pomiędzy tradycją a nowoczesnością. Ostatecznie zgodzili się, że właściwym rozwiązaniem jest łączenie nowych możliwości, jakie daje technologia z tradycyjnymi funkcjami bibliotek. Właściwym wyjściem nie jest dokonanie wyboru pomiędzy alternatywnymi sposobami funkcjonowania bibliotek, ale umiejętne pogodzenie tych sposobów. Dlatego tak ważne jest, by w dyskusjach o wpływie technologii na przyszłość bibliotek używać częściej spójnika „i” zamiast spójnika „lub” („and” not „or”). Oto w skrócie konkluzje Crawforda i Gormana:

*Przyszłość oznacza zarówno komunikację drukowaną i komunikację elektroniczną (...) Przyszłość oznacza zarówno tekst linearny i hipertekst (...) Przyszłość oznacza zarówno pośrednictwo bibliotekarza i dostęp bezpośredni (...) Przyszłość oznacza zarówno kolekcję i dostęp zdalny (...) Przyszłość oznacza, że biblioteka będzie się kojarzyć zarówno z budynkiem i z komputerowym interfejsem*<sup>123</sup>.

Zdecydowana, a niekiedy nawet agresywna krytyka zwolenników bibliotek elektronicznych w wykonaniu przede wszystkim Gormana wydać się może przesadzona. Być może Gorman jest przewrażliwiony w swoich obawach o przyszłość bibliotek i bibliotekarzy, ale to nie znaczy, że postaw, które on atakuje i wyśmiewa, nie ma. Przykładem jest tekst Vincenta Giuliano opublikowany w charakterze manifestu skierowanego do bibliotekarzy. Z podstawowymi tezami Giuliano trzeba się zgodzić. Natomiast z wnioskami, jakie on wyciąga, współczesnym bibliotekarzom – nauczonym, że ich rola nie ogranicza się do roli magazynierów – zgodzić się nie będzie łatwo.

<sup>121</sup> S.A. Cody: *The electronic revolution in libraries...*, op. cit. s. 384.

<sup>122</sup> W. Crawford, M. Gorman: *Future libraries...*, op. cit. s. 165.

<sup>123</sup> Tamże, s. 180-181.

Giuliano uznał, że wszelkie programy automatyzacji bibliotek, polegające na tworzeniu komputerowych katalogów i skomputeryzowaniu informacji bibliograficznej to za mało, by biblioteki utrzymały się w głównym nurcie przemian i stały się ważnym ogniwem obiegu informacji w społeczeństwie informacyjnym. Posłużył się w tym celu następującą metaforą.

*Większość projektów automatyzacji bibliotek obraca się wokół funkcji katalogowania i spisów bibliograficznych. Taki sposób automatyzacji traci jedną zasadniczą ideę. To jest tak, jakby oczekiwać, że głównym efektem zastosowania silników parowych w żegludze jest możliwość napędzania urządzeń wciągających żagle na maszty. Te urządzenia są użyteczne, ale nie uchroniły żaglowych frachtowców. Statki napędzane silnikami parowymi sprawiły, że żaglowce stały się przestarzałe w funkcji statków transportowych, a parowe kołowroty do żagli niczego nie zmieniły. Współczesne instytucje informacyjne, takie jak komercyjni dostawcy baz danych online powodują, że biblioteki stają się przestarzałe. Automatyzacja katalogów i opisów bibliograficznych nie ocali bibliotek, wręcz przyspieszy ich zgon<sup>124</sup>.*

Jednak wniosek, jaki wyciąga Giuliano, jest zbyt daleko idący i na pewno może budzić sprzeciw bibliotekarzy i użytkowników bibliotek.

*Biblioteka mogłaby świadczyć społeczeństwu usługi bez budynku bibliotecznego, bez kupowania książek, bez katalogowania, bez wypożyczeń i bez tych wszystkich przejawów dostojności, jakie kojarzą się z biblioteką<sup>125</sup>.*

Mimo dobrych intencji autora wniosek powyższy jest niesłuszny. Bo właśnie biblioteka, instytucja faktycznie dostojna, która ma przestronny i funkcjonalny budynek może przyciągnąć czytelnika. To dzięki dostojności biblioteki niejeden czytelnik nabierze pewności, że znalazł odpowiednie miejsce do pracy umysłowej, której nie mógłby wykonywać w biurze lub w domu. Jest też jej zaletą, że prowadzi różnego rodzaju katalogi i bazy danych, czyli oferuje informację uporządkowaną i merytorycznie wyselekcjonowaną. Zaletą biblioteki jest właśnie to, że kupuje dokumenty (lub dostęp do nich), na które indywidualny użytkownik nie mógłby sobie pozwolić.

Do chóru wypowiedzi, które postulują znalezienie złotego środka w rozwiązywaniu problemu „własność czy dostęp” zaliczyć należy także artykuł Laury Townsend Kane. Obie idee faktycznie oznaczają inne podejście do roli biblioteki i bibliotekarza. Pokazuje to poniższa tabela<sup>126</sup>.

Model tradycyjny, w którym słowem kluczowym jest „kolekcja”	Model nowoczesny, w którym słowem kluczowym jest „dostęp”
<ul style="list-style-type: none"> <li>• Biblioteka jest magazynem informacji</li> </ul>	<ul style="list-style-type: none"> <li>• Biblioteka służy jako wrota do informacji</li> </ul>
<ul style="list-style-type: none"> <li>• Idea „większe jest lepsze” sprawia, że biblioteka nastawia się na powiększanie własnej kolekcji</li> </ul>	<ul style="list-style-type: none"> <li>• Istotna jest możliwość zdalnego dostępu do informacji, zadaniem bibliotekarzy jest więc podtrzymywać tę możliwość</li> </ul>
<ul style="list-style-type: none"> <li>• Biblioteka stanowi pojedynczy zasób możliwie pełnych kolekcji dla poszczególnych dziedzin wiedzy</li> </ul>	<ul style="list-style-type: none"> <li>• Biblioteka jest traktowana jako jedno z ogniw w sieci rozproszonych źródeł informacji</li> </ul>

<sup>124</sup> V. E. Giuliano: *A manifesto for librarians*. „Library Journal” 1979 vol. 104 no 16 s. 1839.

<sup>125</sup> Tamże, s. 1840.

<sup>126</sup> L. Townsend Kane: *Access vs. ownership*. W: *Encyclopedia of Library and Information Science* vol. 64. New York, Marcel Dekker Inc. 1999 s. 4.

Z powyższych różnic bynajmniej nie wynika konieczność przyjęcia jednego z przedstawionych modeli. Należy raczej dążyć do pogodzenia obu sposobów realizacji idei biblioteki w jednej instytucji. Townsend Kane słusznie zauważa, że idea dostępu zamiast posiadania nie jest w bibliotekarstwie niczym nowym. Rozwijana od początków XX wieku forma wypożyczeń międzybibliotecznych polega bowiem faktycznie na udostępnianiu czytelnikowi materiałów będących na stałe własnością innej instytucji. Z tą jednak uwagą, że w odróżnieniu od tradycyjnych wypożyczeń międzybibliotecznych przy dostępie online nie zachodzi tymczasowy „zabór” dokumentu przez jednego użytkownika. Rozwój technologiczny, jaki nastąpił szczególnie w latach dziewięćdziesiątych nadaje pojęciu dostępu zupełnie nowy wymiar. Tradycyjne wypożyczanie międzybiblioteczne było i jest tylko dodatkiem, uzupełnieniem zasadniczej działalności opartej na własnej kolekcji. Natomiast nowoczesna technika pozwala osobom zafascynowanym technologią projektować instytucje quasi biblioteczne pozbawione (przynajmniej teoretycznie) jakichkolwiek zbiorów materialnych, a skupione jedynie na utrzymaniu dostępu do źródeł rozproszonych w sieci.

W latach siedemdziesiątych w krytyce muzyki rozrywkowej spotykany był często zwrot „middle of the road” na określenie tzw. muzyki środka. Dziś pojawia się to określenie w rozważaniach o przyszłości bibliotek<sup>127</sup>. W odniesieniu do sporu „kolekcja czy dostęp” (ang. „access vs. ownership”) oznacza to, iż zaczynają dominować zdania umiarkowane, w których mówi się o konieczności znalezienia kompromisu pomiędzy obiema formami gromadzenia i udostępniania informacji.

Z całą pewnością w rozważaniach na temat przyszłości książki i bibliotek prawda leży po stronie wypowiedzi wyśrodkowanych (umiarkowanych). Postawy skrajne, prezentowane między innymi przez Licklidera z jednej strony i Stolla z drugiej, należą do rzadkości. Właśnie ów wyśrodkowany punkt widzenia zaprezentowali dwaj autorzy, którzy „odważyli się” zaproponować społeczności bibliotekarskiej zestaw nowych praw, czy też podstawowych zasad w tej dziedzinie. Za punkt wyjścia przyjęli znane i uznane w świecie bibliotekarskim prawa Ranganathana. Shiyali Ramamrita Ranganathan sformułował swoje prawa ponad 70 lat temu<sup>128</sup>, a przełom jakościowy, jaki dokonał się w bibliotekarstwie przez ten czas, rzeczywiście zachęca do formułowania nowych reguł tego zawodu. Wspomnianymi dwoma autorami – znanymi postaciami w amerykańskim i brytyjskim bibliotekoznawstwie – są: cytowany już Michael Gorman i Maurice Line.

Z „Pięciu nowych praw bibliotekarstwa” sformułowanych przez Michaela Gormana dwa nawiązują do problematyki niniejszych rozważań. Drugie prawo Gormana mówi:

**Miej na uwadze wszystkie formy, w których przekazuje się wiedzę, a rozwinięciem tej myśli są następujące słowa autora:**

*Każdy nowy środek komunikacji wzmacnia i uzupełnia wszystkie dotychczasowe środki. To jawi się jako nieunikniony proces, mimo faktu że każdy nowy środek jest witany z pewnym uprzedzeniem, gdyż wydaje się, iż może wyeliminować poprzednie formy komunikacji. Nie ma powodu, by trzymać się kurczowo publikacji papierowych, obrazów na taśmie filmowej i rowków płyt analogowych w przypadkach, gdy informację można przekazać lepiej, bo technologia oferuje korzystniejszą – ze względu na koszty – alternatywę. Może się jednak zdarzyć, że zastąpienie publikacji drukowanych nową technologią okaże się bardziej kosztowne, mniej efektyw-*

<sup>127</sup> Tamże, s 17.

<sup>128</sup> Ranganathan sformułował swe prawa w 1928 r., a opublikował w książce: S. R. Ranganathan: *Five laws of library science*. Madras, Madras Library Association 1931.

ne i obciążone dodatkowymi wadami. Otóż właściwe podejście do bibliotek przyszłości polega na ich utylitaryzmie<sup>129</sup>.

Z kolei trzecie prawo Gorman brzmi:

**Używaj technologii w sposób inteligentny, by poprawić świadczone usługi.**

Gorman rozwija je następująco:

*Technologia stworzyła fałszywą dychotomię w umysłach wielu bibliotekarzy. Przejawia się to w myśleniu, iż w swej pracy musimy wybierać między dwiema przeciwnościami. W rzeczywistości nie trzeba wybierać między postawą luddysty<sup>[130]</sup> i bezdusznego technokraty. Historia postępu w bibliotekarstwie jest historią pomyślnego łączenia nowych technologii i nowych środków komunikacji z dotychczas stosowanymi<sup>131</sup>.*

W podobnym duchu wypowiada się M. Line. Jego pierwsze prawo mówi:

**Biblioteki są skarbnicami i kanałami przepływu przeszłej i obecnej informacji.**

*Zawierają informację zarówno w tradycyjnej drukowanej postaci, jak i w innych formatach, wliczając w to media elektroniczne. Biblioteki są odpowiedzialne za utrzymanie zapisów dotyczących czasów przeszłych tak samo jak czasów obecnych<sup>132</sup>.*

W swoim piątym prawie Line dodaje:

**Wszystkie sposoby przechowywania i przekazywania informacji powinny być wykorzystane, w sposób stosowny dla osób poszukujących informacji, jak i dla indywidualnych potrzeb.**

*Poszerza się wachlarz mediów i sposobów komunikacji, z których każdy może być właściwy dla określonych treści, a wszystkie one powinny być zaprzęgnięte do służenia poszczególnym użytkownikom<sup>133</sup>.*

Prawa Gorman i Line'a wskazują na konieczność szerszego otwarcia na nowe formy dokumentów, w tym oczywiście dokumenty elektroniczne. Z poszanowaniem tradycji należy nowe technologie stosować tam, gdzie mogą efektywnie służyć przekazywaniu informacji i zaspokajaniu potrzeb użytkowników bibliotek.

Licklider i Lancaster – główni heroldowie elektronicznej biblioteki – nie są bynajmniej osamotnieni w swych przewidywaniach zmierzchu publikacji drukowanych. Ci jednak, którzy podzielają ten pogląd są bardziej powściągliwi w ocenie tempa i zakresu zmian. Lancaster w wielu badaczach znajduje zwolenników. Tych, którzy uważają, że wyjście z galaktyki Gutenberga jest nieuniknione. Wymusi to dalsze przyspieszenie tempa życia i chłodna kalkulacja ekonomiczna. Tyle, że ów proces będzie rozciągnięty w czasie i zapewne ci, którzy te zmiany dziś prorokują, nie będą mogli na własne oczy efektów tych zmian ujrzeć. Wskazana jest więc większa powściągliwość w przewidywaniu przejścia od kultury druku do kultury słowa elektronicznego. Niewykluczone, że proces ten obejmie cały XXI wiek.

Zdania dzielące pogląd Lancastera znajdziemy w wielu publikacjach – również w Polsce. Zacytujmy fragment książki T. Goban-Klasa i P. Sienkiewicza.

*Choć to jeszcze sprawa przyszłości, ale kiedyś biblioteki będą bez (...) książek. Informacje będą przechowywane nie na papierze, ale na innych nośnikach<sup>134</sup>.*

<sup>129</sup> M. Gorman: *Five new laws of librarianship*. „American Libraries” 1995 vol. 26 no 8 s. 784.

<sup>130</sup> Zob. przypis 104.

<sup>131</sup> M. Gorman: *Five new laws...*, op. cit. s. 785.

<sup>132</sup> M. Line: *Line's five laws of librarianship*. „Library Association Record” 1996 vol. 98 no 3 s. 144.

<sup>133</sup> Tamże, s. 144.

<sup>134</sup> T. Goban-Klasa, P. Sienkiewicz: *Spółczesność informacyjna. Szanse, zagrożenia, wyzwania*. Kraków, Wydawnictwo Fundacji Postępu Telekomunikacji 1999 s. 75.

Bardziej wyśrodkowany punkt widzenia prezentuje m.in. Philip Barker. Jest z jednej strony gorącym zwolennikiem dokumentów w postaci elektronicznej, ale dostrzega walory książki drukowanej. Uznaje, że nadal pełni ona dobrze funkcję przechowywania, wyszukiwania i prezentacji informacji.

*Ważne jest, by zdać sobie sprawę, że każdy środek publikacji ma swoje walory i swoje słabostki, więc powinien być używany w tym, w czym jest dobry. (...) Pomimo rosnącej popularności elektronicznych form informacji, media drukowane nadal będą stosowane do celów, w których wykazują swą użyteczność i wygodę*<sup>135</sup>.

W podobnym tonie – choć z gorszymi prognozami dla książki drukowanej – wypowiada się Raymond Kurzweil.

*Książki stanowią integralną część naszego społeczeństwa, zarówno odzwierciedlają, jak i kształtują jego kulturę. Trudno jest wyobrazić sobie życie bez książek. Ale drukowana książka – jak każda inna technologia – nie będzie żyła wiecznie*<sup>136</sup>.

Kurzweil – wynalazca i specjalista w dziedzinie sztucznej inteligencji – przedstawił ciekawą analizę nieuchronnego procesu odejścia od nośnika papierowego. Podzielił okres trwania (użytkowania) danej technologii na siedem stadiów i uznał, że prawidłowość ta odnosi się także do książek drukowanych.

Pierwsze stadium nazwał okresem zwiastowania (precursor stage), w którym pojawia się pomysł nowego wynalazku. Drugie stadium to krótki etap wynalazku (invention), w którym pomysł się urzeczywistnia, nowa technologia staje się faktem. Trzecie stadium – stadium rozwoju (development) – to z kolei długi etap upowszechniania i ulepszania wynalazku. Stadium czwarte to okres dojrzałości (maturity), w którym dana technologia przestaje ewoluować, staje się przedmiotem codziennego użytku, powszednim elementem kultury. Przełom następuje, gdy rozpoczyna się piąte stadium nazwane okresem fałszywych pretendentów (false pretenders). Jest to najciekawszy etap, w którym pojawiają się nowe technologie, mające starą technologię usunąć w cień. Ich entuzjaści przedwcześnie zapowiadają zwycięstwo, bo nowej technologii brakuje kilku kluczowych cech starej technologii. Jest to jednak pierwszy sygnał, że dotychczasowa technologia nie pozostaje całkowicie niezagrożona. Dwa ostatnie stadia to okresy schyłkowe w dziejach danej technologii: okres starzenia się (obsolescence), w którym stara technologia powoli ustępuje miejsca bardziej efektywnym konkurentom oraz stadium zacofania (antiquity), czyli okres w którym dana technologia staje się kompletnie przestarzała i wychodzi z użytku<sup>137</sup>.

Kurzweil stworzył ten podział, analizując dzieje wynalazków, których okres trwania został już zamknięty, a jednocześnie łatwo było wskazać moment pojawienia się nowej technologii. Dobrym przykładem są płyty gramofonowe, których dzieje dobiegają kresu. Z całą pewnością w odniesieniu do płyt gramofonowych minął już okres fałszywych pretendentów. Nowe nośniki dźwięku pod względem jakości, trwałości i pojemności przewyższyły płytę gramofonową. Kwestią dyskusji byłoby tylko, czy mamy do czynienia z przedostatnim czy ostatnim okresem w dziejach tej technologii. Wszystko wskazuje na to, że nie jest to jeszcze okres antiquity. Liczba kolekcji płyt gramofonowych i liczba zwolenników tego nośnika ze względu na jego dynamikę jest zbyt duża, by mówić o całkowitym zamknięciu dziejów płyt gramofonowych.

<sup>135</sup> P. Barker: *The future of books in an electronic era*. „The Electronic Library” 1998 vol. 16 no 3 s. 194, 197.

<sup>136</sup> R. Kurzweil: *The future of libraries. Part 1: the technology of the book*. „Library Journal” 1992 vol. 117 no 1 s. 81.

<sup>137</sup> Tamże, s. 80-82.

Analizując dzieje wynalazków, Kurzweil przyjął, że okres szósty (obsolence) obejmuje 5 do 10% całości cyklu życiowego danej technologii. W przypadku książek wątpliwości budzi przykładanie do nich tej samej miary co do urządzeń technicznych. Zakładając jednak, że spostrzeżenia Kurzweila sprawdzają się także w przypadku książek, stwierdzić należy, że w jej dziejach trwa obecnie okres fałszywych pretendentów. Świadczy o tym rozgłos nadany pojęciu „książka elektroniczna”. Świadczą o tym cytowane publikacje Lancastera. Świadczą o tym także przedsięwzięcia mające na celu dygitalizację i upowszechnienie w sieci Internetu dzieł literatury światowej (np. Projekt Gutenberg). Świadczy o tym wreszcie stały wzrost liczby publikacji na dyskach optycznych i coraz większa popularność elektronicznych czasopism. Trudno jednak stwierdzić, jak długo okres fałszywych pretendentów w dziejach książki będzie trwał, a zatem jak długo jeszcze ludzkość będzie korzystać z drukowanych publikacji w postaci kodeksu. Jeśli wziąć pod uwagę tylko książkę w formie kodeksu, to przyjmując metodę Kurzweila, doszlibyśmy do wniosku, że przed książką jest jeszcze co najmniej 200 lat historii. Pierwsze kodeksy pojawiły się w Rzymie w III wieku przed Chrystusem<sup>138</sup>. Zatem w tym momencie historia kodeksu to ponad 2000 lat. Okres starzenia się książek w postaci kodeksu, który miałby obejmować do 10% cyklu życiowego, trwałby więc około 200 lat, a przecież jeszcze się nie zaczął, bo fałszywi pretendenci dalecy są od wykazania całkowitej wyższości nad książką drukowaną.

Gdy prawie dekadę temu Kurzweil pisał swój cykl artykułów na temat przyszłości książki i bibliotek, fałszywi pretendenci do zajęcia miejsca książki mieli rzeczywiście zbyt wiele mankamentów. Szybkość i pojemność ówczesnych urządzeń komputerowych oraz kolorystyka i rozdzielczość tego, co ukazywało się na ekranie, były daleko niezadowolające, by móc dokonać porównania z tradycyjnymi publikacjami drukowanymi. W każdym razie porównania wychodziłyby na korzyść książek. Dziś, gdy przetwarzanie tekstów i grafiki trwa w ułamku sekundy, a ekrany komputerów oferują rozdzielczość co najmniej taką jak drukowana strona, fałszywi pretendenci powoli przestają być fałszywymi i odbierają książkom kolejne pola zastosowań.

Zwrócić jednak należy uwagę, że fałszywi pretendenci po kolejnych próbach nie zawsze odnoszą ostateczny sukces. Bywa, że bardzo szybko odchodzą w cień. Za przykład mogą posłużyć płyty wizyjne omówione nieco szerzej w rozdziale „Przełom analogowo-cyfrowy”. Te trzydziestocentymetrowe krążki, przypominające płyty analogowe, a służące do zapisu ruchomych obrazów nie zdołały konkurować z innymi nośnikami wideo. W Polsce były prawie niedostępne. Pojawiły się w małych ilościach i tylko w małych butikach muzycznych. W zapisie obrazów nie mogły konkurować z popularnym, a co najważniejsze, dającym możliwość wielokrotnego zapisu formatem kaset wideo VHS. Dziś, gdy pojawiły się płyty DVD, format VHS jest bardziej zagrożony, ale powtórzmy raz jeszcze: DVD nie wyprze VHS, dopóki nie stanie się technologią dostępną dla każdego gospodarstwa domowego. Zważywszy, że cena urządzeń do domowego zapisywania płyt DVD, które dopiero wchodzi na rynek, sięga 2000\$<sup>139</sup>, czynnik ekonomiczny będzie jeszcze długi czas przemawiał za kasetami wideo.

W niniejszym rozdziale znalazły się przykłady wypowiedzi, których autorzy prezentują skrajne poglądy na przyszłość bibliotek w świecie komputerów. Jak wynika z zacytowanych wypowiedzi, idea elektronicznej biblioteki budzi z jednej

---

<sup>138</sup> Na podstawie hasła „codex” W: J. Feather: *A dictionary of book history*. London, Routledge 1988 s. 67-68.

<sup>139</sup> W. Pawłowicz: *Zmierzch CD-ROM*. „Computerworld” 2000 nr 7 s. 18.

strony obawy, z drugiej zaś entuzjazm. Niech za punkt wyjścia do krótkiego podsumowania tej części pracy posłuży jeszcze jedna wypowiedź na ten temat. Gary Marchionini w szanowanej i opiniotwórczej *Encyclopedia of Library and Information Science* stwierdza:

*Jest sprawą pewną, że wszystkie biblioteki będą posiadały jakieś cyfrowe kolekcje i pomoce naukowe, a będą też takie biblioteki, które wyłącznie oferować będą cyfrowe kolekcje*<sup>140</sup>.

Otóż właśnie pewności, jaką ma Marchionini, nie posiada wielu autorów, twierdzących, że całkowicie zdigitalizowana biblioteka jest mrzonką. Wielu z nich uważa wręcz, że taka instytucja nie miałaby już prawa nosić miana biblioteki. Zresztą przynajmniej, że zwolennicy idei powszechnej dygitalizacji nie upierają się przy tej nazwie. W Internecie można znaleźć witryny posługujące się bliskożnacznymi określeniami jak: elektroniczne archiwa (e-texts archives), elektroniczne zasoby (e-texts resources), elektroniczne serwisy (e-texts services). Przyznać jednak obiektywnie należy, że twórcy tych witryn mieliby pełne prawo określić swoje dzieła i zarazem miejsca pracy mianem bibliotek. Faktycznie bowiem w owych miejscach zachodzą procesy będące tradycyjną definicją instytucji bibliotecznej: gromadzenie, opracowanie, przechowywanie i udostępnianie dokumentów. Format fizyczny dokumentów nie ma tu żadnego znaczenia. Wątpliwe jednak wydaje się, by w większej tego typu placówce, mającej charakter instytucjonalny, udało się na dłuższą metę utrzymać stan całkowitego oderwania od dokumentów analogowych (w tym przede wszystkim drukowanych). Ortodoksyjny upór, że wszystko co papierowe nie ma wstępu do biblioteki cyfrowej, byłby tak samo błędny i równie niezrozumiały, jak przeciwstawne, cytowane wcześniej twierdzenie C. Stolla, że jedyną właściwą formą katalogu jest katalog kartkowy.

## ERGONOMIA KSIĄŻKI

Nie sposób nie zgodzić się z Lickliderem i Lancasterem, że przy tworzeniu systemu obiegu informacji książka nie jest narzędziem optymalnym, a z pewnością nie jedynym. Nie sposób nie zgodzić się z McLuhanem, że książka niesłusznie faworyzuje tylko jeden zmysł. By jednak nie pozostawiać tej krytyki książki bez odpowiedzi, a dyskusji o społecznej roli książki w stanie entropii, należy przytoczyć wypowiedzi apologetów druku.

Za takowego z pewnością może uchodzić Umberto Eco, a zasłużył na to miano chociażby fascynującym opisem miłości do ksiąg, pokonującej strach i cierpienia, w powieści *Imię Róży*. Gdy tak wiele głosów wokół mówi o zagrożeniu tradycyjnej książki i wypieraniu jej przez nowe nośniki informacji, Eco paradoksalnie dostrzega w tym szansę wyzwolenia książki, pozbycia się przez nią zbędnego balastu.

*Pojawienie się nowego środka przekazu nie tylko nie zabija poprzedniego, ale zawsze uwalnia go od takich czy innych serwitutów*<sup>141</sup>.

Podobnie jak cytowany już Escarpit, Eco dostrzega funkcjonalność książek z jednej strony, a z drugiej ich walor artystyczny.

<sup>140</sup> G. Marchionini: *Research and development in digital libraries* W: *Encyclopedia of Library and Information Science* vol. 63. New York, Marcel Dekker Inc. 1998, s. 260.

<sup>141</sup> U. Eco: *Nowe środki masowego przekazu a przyszłość książki*. Warszawa, PIW 1996 s. 15.



*Są dwa rodzaje książek, te, do których się zagląda, i te, które się czyta. Nie ulega wątpliwości, że nowe techniki wyeliminują wiele książek pierwszej kategorii*<sup>142</sup>.

Dobrze wiemy, o jakich książkach myślał Eco mówiąc o pierwszej kategorii. Zagląda się do encyklopedii, zagląda do słowników, do książki kucharskiej i telefonicznej, do bibliografii. Te rodzaje książek mają już swoje odpowiedniki elektroniczne, choć nie jest to jeszcze mocna reprezentacja. Ale stale ich przybywa, co uświadamia kolejnym czytelnikom, że nie są już skazani na ciężkie i nieporęczne leksykony i słowniki drukowane. Obie formy (cyfrowa i papierowa) mają szansę długo jeszcze współistnieć i w księgozbiorach bibliotecznych, i w domowych. Ale może się zdarzyć, że skromny budżet biblioteki, czy gospodarstwa domowego doprowadzi do dylematu: co wybrać jako nowy zakup – encyklopedię na CD, czy w postaci kodeksu? Nie ma wątpliwości, że nie byłoby to korzystne zjawisko. Brak środków finansowych nie powinien ograniczać pluralizmu mediów.

Powróćmy do rozdziału mówiącego o nowych preferencjach w odbiorze. Tamte stwierdzenia prowadziły do wniosku, że człowiek końca XX wieku, ukształtowany przez kulturę audiowizualną, powinien wybrać wersję multimedialną. Wersję, w której oprócz standardowego tekstu znajdują się pliki dźwiękowe, sekwencje filmowe, bardzo dobra grafika, a to wszystko powiązane łąkami hipertekstowymi, dzięki którym czytelnik przenosi się natychmiast do informacji ukrytej pod odsyłaczem. Może się nawet niektórym wydać rozrzutnością zakup drogiej, ponad trzydziestotomowej *Encyclopedii Britannica*, skoro istnieje mniejsza, a bogatsza o wymienione formy przekazu wersja na CD. Może zechce ktoś tłumaczyć to snobizmem, potrzebą posiadania na półce szeregu opasłych, skóropodobnie oprawnych tomów ze złoceniami. Takie oceny i taka dyskusja są bezprzedmiotowe. Ewentualna apologia dokumentów multimedialnych, a krytyka ich wersji drukowanej mija się z celem. Przypomina to przysłowiowy spór o wyższości świąt Bożego Narodzenia nad Wielkanocą. Powiedzmy rzecz banalną, ale ważną dla tego dyskursu. CD-ROM nie funkcjonuje bez komputera. I tu, gdy mówimy o wygodzie i szybkości multimedii pojawia się problem. Dotarcie do żądanego hasła w encyklopedii drukowanej może okazać się dużo szybsze niż w wersji na CD. W sytuacji, gdy wymaga to uruchomienia komputera, CD okazuje się nagle powolny. Start systemu operacyjnego i uruchomienie konkretnej aplikacji trwa kilkadziesiąt sekund. W tym czasie usatysfakcjonowany użytkownik wersji drukowanej zdąży już odłożyć wykorzystany tom na półkę. Uruchamianie systemu operacyjnego w celu znalezienia np. daty urodzin Chopina wydaje się przerostem formy nad treścią, ale jeśli liczymy na to, że oprócz zdobycia żądanej informacji wysłuchamy też fragmentu znanego poloneza, a zaznaczony fragment biogramu, dzięki drukarce uda się zachować w formie notatki, to zaangażowanie technologii okazać się może uzasadnione. Wszystko zależy od chwili, od miejsca, od naszych oczekiwań. Mówiąc inaczej: wersja cyfrowa i wersja papierowa do czego innego służą.

**Dochodzimy więc do wniosku, że być może najważniejszą cechą książki, która zapobiegnie jej całkowitemu zanikowi, jest jej ergonomia.** W wielu publikacjach mówiących o relacji pomiędzy książką a nowymi mediami jako argumenty pojawiają się nietypowe sytuacje i nietypowe miejsca, w których książka jest i będzie niezagrożona. Podróż, choroba, autobus, plaża, wanna (!) W tych i podobnych sytuacjach ergonomia książki decyduje o jej przewadze. Powtórzmy za Eco, iż...

---

<sup>142</sup> Tamże, s. 15.

(...) *forma-książka to jeden z tych wynalazków (jak młotek, łyżka, nóż, widelec), dla których nie znaleziono w ciągu stuleci lepszych pod względem ergonomicznym odpowiedników*<sup>143</sup>.

Pojawienie się innych niż tradycyjna książka nośników, zawierających jednak treści książkowe, skłania niektórych do opisanie tej sytuacji jako konkurencji, jako wzajemnego znoszenia się. Tymczasem to antagonizujące spojrzenie na sprawę wydaje się nieuzasadnione. Przynajmniej na razie. Jak to zostało już powiedziane, obie formy – tradycyjna i nowoczesna – mogą jeszcze długo współistnieć i pozytywnie na siebie oddziaływać. W podobnym tonie wypowiada się w swojej książce *Pismo zmienia świat* Janusz Dunin. W rozdziale zatytułowanym wymownie „Powrót na Galaktykę Gutenberga” mówi o zjawisku czytelnictwa w czasach pojawienia się książek elektronicznych. Słusznie zauważa, że wpływ cywilizacji obrazkowej na czytelnictwo nie powinien być rozpatrywany w kategoriach konkurencji.

*Najaktywniejsi odbiorcy kultury korzystają z różnych jej przekazów. Druk, teatr, muzyka, radio, film czy telewizja zwykle wzajemnie się stymulują, choć naturalnie równocześnie konkurują o tzw. czas wolny odbiorców*<sup>144</sup>.

W powyższym zdaniu kryje się m.in. znana prawda, iż powodzenie adaptacji filmowej zwiększa zainteresowanie pierwowzorem literackim. Mielśmy niedawno bardzo dobrą okazję przyjrzeć się temu zjawisku na podstawie dwóch głośnych premier filmowych: „Ogniem i mieczem” i „Pana Tadeusza”.

Dunin w bardzo podobny do Eco sposób mówi także o ergonomii książki, porównując ją do podstawowych narzędzi stosowanych w życiu codziennym.

*Jednym z najdawniejszych towarzyszy ludzkości jest nóż, który w swej istocie i parametrach pozostaje ciągle przedłużeniem i zaostreniem naszej ręki. Nie traci on swego znaczenia, choć wymyślono wiele wyrafinowanych przyrządów tnących. Wolno twierdzić, że do takich przedmiotów, jak ów nóż, grzebień czy krzesło, należy również książka*<sup>145</sup>.

Ergonomia książki może być kwestią dyskusyjną. Wspomniana *Encyclopedia Britannica* jest tego dobrym przykładem. I choć ergonomia jest cechą fizyczną, to jednak kwestia ułożenia treści dzieła jest w tym wypadku również istotna. Nie można bowiem, korzystając z *Encyclopedia Britannica*, posługiwać się tylko jednym z trzydziestu kilku ciężkich tomów. Musimy skorzystać co najmniej z dwóch. Pierwszym jest indeks, w którym znajdziemy informację, jaki tom zawiera interesujące nas hasło. Ale bywa, że wieloaspektowy problem omówiony jest w kilku tomach, a to już przestaje być ergonomiczne. Towarzyszy temu raczej wysiłek fizyczny. Oczywiście ta argumentacja jest mało przekonująca, bo ciężkie encyklopedie, leksykony, słowniki czy bibliografie należą do wyjątków wśród książek. Przeciętna książka jest jak najbardziej ergonomiczna. Escarpit, pisząc o dokonującej się w latach sześćdziesiątych rewolucji książki, dużo miejsca poświęcił najbardziej przeciętnym z książek – książkom kieszonkowym. Przeciętność odnosi się do ich ergonomii i wcale nie musi być kojarzona z ich wartością.

Pochwałę przeciętności w odniesieniu do książki (myśląc wciąż o jej fizyczności) wygłosił w sposób paraboliczny także Janusz Dunin. By nas przekonać, że obecna forma książki jest formą niezagrażoną, użył ciekawej metafory, której

<sup>143</sup> J. Dunin: *Pismo zmienia świat*. Warszawa, PWN 1998 s. 224.

<sup>144</sup> Tamże, s. 17.

<sup>145</sup> Tamże, s. 17.

przedmiotem jest krzesło. Przeciętne krzesło zadowoli każdą przeciętną sylwetkę. Ludzie, których wymiary i waga są nietypowe, nie będą zadowoleni z przeciętnego krzesła, ale są w zdecydowanej mniejszości<sup>146</sup>. Decydują więc przyzwyczajenia i przekonania większości. Podobny mechanizm ma zdecydować o zachowaniu książki w jej obecnej postaci w przyszłości. Przeciętna w formie książka odpowiada większości. Mamy oto do czynienia z paradoksalną pochwałą przeciętności.

Tytuł rozdziału książki Dunina („Powrót na Galaktykę Gutenberga”) wziął się z wypowiedzi Eco, w której włoski filozof stwierdził, że człowiek żyjący w cywilizacji obrazkowej tak naprawdę nie jest człowiekiem nieczytającym. Albo prościej: także jest czytelnikiem<sup>147</sup>. W przekazach audiowizualnych płynących z ekranu telewizora czy komputera znajdziemy mnóstwo tekstów. Można więc mówić o zjawisku czytelnictwa telewizyjnego i komputerowego. Dla Eco nie ma znaczenia jakość takowej „lektury”, uważa że na tę ocenę przyjdzie kiedyś pora.

Dla opisanego właściwego współczesnemu człowiekowi kontaktu z wieloma różnorodnymi źródłami informacji Patrick Bazin stosuje termin metaczytelnictwo (metareading). W tym znaczeniu czytelnictwo nabiera nowego wymiaru. Staje się polimorficzne przez to, że percepcja skupiona do tej pory głównie na przekazach książkowych, uwolniona z tych ograniczeń (u Bazina dosłownie „wyswobodzona z kaftana bezpieczeństwa książki”) kieruje się w stronę także innych źródeł wiedzy: obrazów, dźwięków, filmów, serwisów poczty elektronicznej informacji sieciowej, które poza tym wzajemnie na siebie oddziałują<sup>148</sup>.

Zatem złowieszcze prognozy mówiące o stałym wzroście odsetka młodych ludzi w Polsce nie czytających w ogóle nabierają nieco łagodniejszej wymowy, gdy uświadomimy sobie, że pewna część tej młodzieży nadal czyta, tylko zmieniła nośnik. Można więc już mówić o zjawisku „czytania ekranowego”<sup>149</sup>. Oczywiście stwierdzamy suchy fakt. Nikt nie zamierza stawiać znaku jakościowej równości pomiędzy czytaniem poezji i telegazety. Zresztą w przypadku telewizora nie chodzi tylko o telegazetę. Szkoda jednak, że polskie stacje telewizyjne bardziej przypominają telewizję niemiecką, a nie na przykład szwedzką. „Ozdabianie” prawie wszystkich filmów głosem lektora lub dubbingowanie (tak jak w Niemczech) nie daje szansy na wzrost „czytelnictwa telewizyjnego”. Natomiast w Szwecji wszystkie filmy zagraniczne opatrzone są napisami, a rodzima produkcja filmowa opatrzone jest napisami dostępnymi z teletextu (z myślą o osobach głuchoniemych). Widz szwedzki odnosi więc dwie korzyści: poznaje oryginalne głosy aktorów (a głos aktora bywa równie mocnym atrybutem, co aparycja) i nie grozi mu wtórny analfabetyzm, utrwała znajomość ojczystego języka w piśmie.

Mówiąc natomiast o „czytelnictwie komputerowym” mamy przede wszystkim na myśli Internet. Tego medium nie da się nie czytać. Są oczywiście tacy, dla których liczą się głównie wrażenia wizualne płynące z „surfowania” po sieci, ale są oni w zdecydowanej mniejszości. Pozostawanie w galaktyce Gutenberga znaczy więc nie tylko czytać książki. Znaczy po prostu czytać. Bez względu na nośnik.

<sup>146</sup> Tamże, s. 17.

<sup>147</sup> Tamże, s. 222.

<sup>148</sup> P. Bazin: *Toward metareading*. W: *The future of the book*. Ed. by G. Nunberg. Berkeley, University of California Press 1996 s. 154.

<sup>149</sup> Określenia tego użyła wcześniej Aniela Książek-Szczepanikowa w książce *Ekranowy czytelnik – wyzwanie dla polonisty* (Szczecin 1996). Miała jednak na myśli niekorzystne według niej zjawisko poznawania dzieł literackich ograniczone do kontaktu z ich adaptacjami filmowymi. W niniejszych rozważaniach określenie „czytanie ekranowe” oznaczałoby natomiast kontakt z oryginalnym tekstem (a nie adaptacją) za pośrednictwem ekranu monitora komputerowego.

M. Drzewiecki opisujące zjawisko kulturowe określił mianem „przemieszczenia”<sup>150</sup>. W tym rozumieniu przemieszczeniu uległa uwaga użytkownika biblioteki, który nie korzysta już wyłącznie z tekstów drukowanych, ale także z tekstów elektronicznych dostępnych na nośnikach fizycznych i wirtualnych, czyli na dyskach optycznych i w sieci Internetu. Drzewiecki wyraził wątpliwość, czy dla tego rodzaju kontaktu z tekstem można jeszcze stosować określenie „czytelnictwo”. Stosuje zatem określenie „nawigacja”. Rzeczywiście, osoby korzystające z elektronicznych tekstów w Internecie nie czynią tego tak, jakby czytały tradycyjny tekst. Sprawia to hipertekstowa struktura cyberprzestrzeni. Książka elektroniczna nie ma tego, co krytykował McLuhan w książce tradycyjnej – zerwała z linearnością przekazu. Czytelnik tekstów elektronicznych rzeczywiście nie czyta, tylko nawiguje. Bywa, że z uszczerbkiem dla systematyczności poznawania, bo nie dokończywszy jednej myśli, jest już przy drugiej. Ale na tym polega też zaleta elektronicznego dokumentu. Czytam to, na co mam ochotę, a nie to, co wynika z kolejności. Takie prekursorskie podejście do tekstu pokazał 40 lat temu Julio Cortazar w powieści *Gra w klasy*, którą od pewnego momentu czytelnik mógł poznawać w zasadzie w dowolny sposób. Dziś dzięki hipertekstowi użytkownicy Internetu w podobny, trochę szarpany, ale swobodny sposób poznają zasoby tego medium. Czy jest to czytelnictwo, czy tylko nawigacja, to problem badaczy ilościowej i jakościowej strony czytelnictwa, kategorii czytelników i ich zainteresowań. Będą zapewne kiedyś musieli odpowiedzieć sobie na pytanie, czy badając czytelnictwo należy uwzględnić inne, coraz powszechniejsze kontakty z tekstami, nie mieszczące się w kategorii „czytelnictwo papierowe”. Znakiem czasu, potwierdzającym w pewnym sensie problemy współczesnego rozumienia pojęcia „czytelnictwo”, jest dość powszechne określanie bywalców bibliotek mianem użytkowników, miast jak kiedyś mianem czytelników.

## KOEGZYSTENCJA STARYCH I NOWYCH MEDIÓW

Szersze wykorzystanie komputera w bibliotekarstwie i oświacie powoduje przesunięcie relacji pomiędzy dokumentami analogowymi i dokumentami cyfrowymi (elektronicznymi). Inaczej mówiąc, wzrastać będzie zainteresowanie dokumentami nieksiążkowymi, przede wszystkim w postaci elektronicznej. Wielu ludzi na informacji elektronicznej poprzestanie, nie sięgając po informację drukowaną i inne dokumenty analogowe. Ale to nie znaczy, że komputery są zagrożeniem dla tradycyjnej książki. W pewnych obszarach zastosowań (beletrystyka, podręczniki) książka drukowana będzie jeszcze długo stosowana, choć również dla tych pól zastosowań dostrzega się alternatywy. Chociaż książka drukowana w funkcji podręcznika wydaje się niezagrażona, od pewnego czasu mówi się o możliwości zastosowania podręczników elektronicznych. W dobie rozwoju audiowizualnych technik dydaktycznych (prezentacji multimedialnych, nauczania wspomaganego komputerowo, nauczania przez Internet) wydaje się to naturalne i oczywiste. Interaktywne pliki pomocy w systemach operacyjnych i aplikacje

---

<sup>150</sup> M. Drzewiecki: *Problemy przygotowania młodzieży do korzystania z informacji w dobie multimedialnych*. „Bibliotekarz” 1999 nr 3 s. 4.

do tych systemów są tego najlepszym przykładem. Wcale nie musi być tak, że podręcznikiem jest drukowana książka. Te dwa pojęcia nie muszą się nierozłącznie kojarzyć<sup>151</sup>.

Istnieje poza tym wyraźny spór, czy widzieć zjawisko wyłącznie negatywnie, jako wypieranie starych mediów przez nowe, czy też widzieć w rozwoju nowych mediów również korzyści dla mediów starych. Zarówno bowiem telewizja, jak i Internet mogą w pewnych sytuacjach sprzyjać czytelnictwu. Niech za argument posłuży przykład internetowych księgarń. Ich zasługi dla rozwoju czytelnictwa mierzyć można w kategoriach ekonomicznych. Największa na świecie tego typu instytucja – amerykańska Amazon.com – do niedawna biła rekordy notowań na giełdzie nowojorskiej<sup>152</sup>. Sprzedaż książek w sieci Amazon.com i w innych księgarniach internetowych stale rośnie. Internetowe księgarnie w USA mają już 10% udział w ogólnej sprzedaży książek. Jest normalnym zjawiskiem, że również tradycyjne firmy księgarskie otwierają swoje internetowe oddziały. Podobnie rzecz wygląda w Polsce, choć w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi handel książką przez Internet jest u nas jeszcze w stadium początkowym, a wielkość sprzedaży książek przez Internet jest ułamkiem procenta sprzedaży konwencjonalnej<sup>153</sup>.

Ktoś mógłby powiedzieć, że rosnąca sprzedaż książek poprzez sieć Internetu nie świadczy jeszcze o rosnącym czytelnictwie. To prawda. Sam zakup książki nie świadczy jeszcze o tym, że się ją przeczyta. Podobnie uczniowie, wygrywający szkolne konkursy czytelnicze na podstawie statystyki wypożyczeń, nie musieli wcale wypożyczonych książek przeczytać. Jednak faktem jest, że internetowe księgarnie napędzają popyt na książkę, dając możliwość ludziom zagonionym, zapracowanym, nieśmiałym, którzy nie odwiedzają tradycyjnych księgarń i bibliotek, zdobycia książki w inny sposób. Liczy się też fakt, że ludzie kupują książki nie zawsze z powodu treści w nich zawartych. Bywa nierzadko, że traktuje się je jako element wystroju wnętrza lub wygodny prezent. Zwraca na to uwagę cytowany już S. Jenkins.

*Duża część rynku książki polega na tym, że odpowiednio dobrana i zapakowana książka jest tradycyjnym prezentem. To wynika z chęci posiadania ładnych rzeczy i ich odpowiedniej prezencji na stole lub na półce z książkami. Lubię trzymać książkę, tak jak lubię pływać jachtem, mimo że motorówką byłoby szybciej<sup>154</sup>.*

Przykład wirtualnych księgarń pokazuje, że nowe medium można postrzegać nie jako zagrożenie, ale wręcz wybawienie dla dotychczasowych sposobów komunikacji. Taki właśnie pogląd wyraża Jenkins:

*(...) sprzedaż kaset wideo zwiększa popyt na filmy i kieruje ludzi do odrodzonych kin. Płyty kompaktowe nie odciągają ludzi od koncertów. Jest wręcz przeciwnie. Seriale telewizyjne nie powstrzymały ludzi, jak było przepowiadane, przed czytaniem oryginalnych powieści. (...) Jakiegokolwiek przepowiednie odnośnie do kultury oparte na przepowiedniach rozwoju technologii są beznadziejnie niepewne<sup>155</sup>.*

<sup>151</sup> J. Skrzypczak: *Od podręcznika konwencjonalnego do elektronicznego. Podręcznik w świecie mediów*. „Neodidagmata” 1997 nr XXIII s. 43-49.

<sup>152</sup> Ta uwaga odnosi się do przełomu lat 1999/2000, kiedy większość spółek tzw. nowej technologii osiągała swoje maksima cenowe na giełdach światowych. Jednak pod koniec 2000 r., wraz z prognozami głębokiej recesji w USA, firmy internetowe, do których oczywiście należy Amazon.com, zaczęły tracić na wartości. Sam Amazon.com na początku 2001 r. ogłosił program głębokiej redukcji zatrudnienia w tej firmie.

<sup>153</sup> P. Wrabec: *Pionierzy wirtualnej sprzedaży*. „Gazeta Wyborcza” 2000 nr 34 s. 20.

<sup>154</sup> S. Jenkins: *The death of the written word...*, op. cit. s. 411.

<sup>155</sup> Tamże, s. 410.

Tym bardziej ciekawi fakt, że ten sam problem widzieć można w zupełnie innych barwach. Cytowany już C. Stoll jest absolutnie przekonany, że nowe technologie zawsze zagrażają ważnym zjawiskom kulturowym.

*Telefony wyparły sztukę pisania listów. Telewizja wykosła kina z sąsiedztwa. MTV i supergwiazdy osłabiły amatorski ruch muzyczny i miejskie orkiestry. Samochód zniszczył miejski system trolejbusowy. Międzystanowe autostrady zrujnowały pasażerski ruch kolejowy, a linie lotnicze zmiotły statki pasażerskie. A czemu najbardziej zagraża rozległa sieć komunikacyjna? ... Naszemu systemowi bibliotecznemu!*<sup>156</sup>.

Uzupełnieniem dla zjawiska internetowych księgarń, a może nawet rozwiązaniem, które zmieni dotychczasowy sposób handlu książką przez Internet są publikacje internetowe. Zjawisko jest znane oczywiście od dawna, ale nabiera nowego znaczenia, gdy zaczynają się tym zajmować autorzy znani i popularni. W marcu 2000 r. Stephen King, popularny autor horrorów, opublikował w Internecie swoją nową książkę pt. *Ridding the bullet*. Od razu zaczęto o niej mówić jako o pierwszej internetowej publikacji, co jednak wymaga uściślenia. W tym wypadku chodziło o udostępnienie publiczności zupełnie nowej książki, nie mającej wcześniej odpowiednika w formie papierowej. King de facto nie jest prekursorem, bo już na długo przed nim swoje dokonania pisarskie prezentowali w Internecie różni domorośli poeci i prozaicy. S. King jest jednak pierwszym tak dobrze znanym na świecie pisarzem, który postanowił zmienić ustalony porządek i opublikować swój nowy utwór najpierw w Internecie. To pierwsze (bardzo korzystne dla niego finansowo) doświadczenie, skłoniło go, by kilka miesięcy później rozpocząć publikowanie w odcinkach swej drugiej internetowej powieści zatytułowanej *The Plant*. Oto więc zmienia się porządek świata. Najpierw książka ukazuje się w Internecie, dopiero później – i też niekoniecznie – w formie papierowej<sup>157</sup>.

## INFORMACYJNA WARTOŚĆ INTERNETU

Mówiąc o „czytelnictwie komputerowym” wkroczyliśmy na obszar Internetu, bo w rozważaniach o przyszłości książki i bibliotek nie sposób nie mówić o tym medium. Liczba internautów na świecie co roku się podwaja. Sieć zawłaszcza wolny czas (szczególnie młodych ludzi), stając się poważną konkurencją dla telewizji. Wzmocnienie oddziaływania obu mediów ma przynieść ich połączenie w urządzeniach typu WebTV, które umożliwią przełączanie się między stronami WWW a kanałami telewizji kablowej. Internet staje się medium syntetycznym.

*Termin „syntetyczny” w odniesieniu do Internetu oznacza połączenie w globalnej sieci funkcji innych mediów, takich jak: książka, prasa, radio, telewizja lub kino. Oczywiście Internet nie potrafi jeszcze zastąpić wymienionych mediów. (...) Ale obserwując ciągły, spontaniczny i niekontrolowany rozwój zasobów sieci z jednej strony i urządzeń technicznych z drugiej, można zakładać, że Internet będzie w coraz większym stopniu zastępował tradycyjne media oraz tradycyjne sposoby przekazywania informacji i komunikowania się ludzi*<sup>158</sup>.

<sup>156</sup> C. Stoll: *Silicon snake oil...*, op. cit. s. 173.

<sup>157</sup> Prekursorką w tej materii (już nie materii?) w literaturze polskiej stała się Olga Tokarczuk, której nowa powieść *Dom dzienny, dom nocny* została udostępniona na stronie [www.swiatksiazki.pl](http://www.swiatksiazki.pl) w połowie 2000 r. To jednak odróżnia ją od przedsięwzięcia Kinga, że wspomniana książka była od ponad roku dostępna w formie papierowej, a tekst w Internecie udostępniony został bezpłatnie.

<sup>158</sup> D. Grygrowski: *Internet jako medium syntetyczne. Internetowa oferta dla dzieci i młodzieży*. W: *Dzieci a mass media*. Warszawa, CUKB 1999 s. 76.

W wypowiedziach na temat relacji biblioteka-Internet pojawiają się bardzo różne opinie. Ocena samej idei sieci, jej możliwości komunikacyjnych oraz obecnych i przewidywanych zasobów prowadzi do ambiwalentnych wniosków. Od zaniepokojenia do lekceważenia. Przykładowy głos wyrażający zaniepokojenie był już cytowany i sprowadza się do niepewności: czy Internet zastąpi bibliotekę? Więcej jest jednak głosów, z których wynika satysfakcja, że bibliotekarze uzyskują w postaci Internetu narzędzie pozwalające podnieść poziom usług bibliotecznych, a zbiory biblioteczne uczynić o wiele bardziej dostępnymi. Są wreszcie głosy krytyki pod adresem sieci jako medium chaotycznego, dezinformującego, kradnącego czas itp. Taka ocena prowadziłaby do wniosku, że Internet nie jest w stanie zagrozić szacownym bibliotekom z ich uporządkowanymi, dobrze opracowanymi pod względem formalnym i rzeczowym zbiorami. Niezależnie, jaką miałyby postać. W tym zdaniu znów pojawił się motyw konkurencji starego z nowym, ale taki niestety jest pogląd większości. Od kilku lat w zestawach pytań egzaminacyjnych na rozmowy kwalifikacyjne na studia bibliotekoznawcze na Uniwersytecie Warszawskim jest pytanie o to, jakie we współczesnym świecie kandydaci na studentów widzą zagrożenia dla książki i czytelnictwa. Ton odpowiedzi na to pytanie jest w zasadzie jeden: telewizja, wideo i rozwijający się Internet powodują upadek czytelnictwa. Do rzadkości należą wypowiedzi wzbogacone o takie problemy, jak wciąż zapowiadane wprowadzenie VAT-u na książki, czy problemy finansowania bibliotek publicznych. Natomiast we wszystkich pracach jest mowa o Internecie i telewizji jako dwóch wrogach czytelnictwa. Spadek wskaźników w badaniach czytelnictwa jest faktem, czy jednak za wszystko trzeba winić media elektroniczne? Z pewnością nie można tego w tak uproszczony sposób postrzegać. Rzadko postrzega się Internet jako sprzymierzeńca książki, „miejsce” gdzie można kupić książkę, zareklamować ją, opublikować i przeczytać. Dlatego, myśląc raczej o wzajemnym stymulowaniu się bibliotek i Internetu, warto wysłuchać kilku głosów krytykujących sieć i zastanowić się, jak wad Internetu uniknąć w relacjach z bibliotekami.

Pierwszy powód rozczarowania Internetem bierze się z konstatacji, że jednak – wbrew porzekadłu – „od przybytku głowa boli”. Nie wszyscy potrafią zadać internetowym wyszukiwarkom precyzyjne pytanie, a jeśli nawet, to czasem otrzymuje się w odpowiedzi tyle informacji (bywa, że sprzecznych), iż z trudem przychodzi znaleźć właściwe rozwiązanie problemu. Człowiek, który na swoje pytanie otrzymuje dziesiątki tysięcy odpowiedzi, jest tak samo zdezorientowany, jak ten, który żadnej odpowiedzi nie otrzymał. Nawet wytrawny internauta traci dużo cennego czasu i pieniędzy (za połączenie) na znalezienie odpowiedniej strony internetowej. Gdyby McLuhan żył dzisiaj, być może orzekłby, że Internet jest doskonałym przykładem jego twierdzenia o przekąźniku jako przekaziu. Ta forma komunikacji tak zmienia relacje i kontakty międzyludzkie, że sama treść tego przekazu przestaje się liczyć. O utracie znaczeń w przekazach internetowych pisze m.in. Józef Skrzypczak:...

*(...) dzięki sieciom elektronicznym, nie tylko dowiadujemy się natychmiast o wszystkim, co dzieje się wokół nas (a przynajmniej mamy taką możliwość), ale zalew tych informacji jest tak ogromny, a one same między sobą są często na tyle sprzeczne, iż owa McLuhan'owska globalna wioska staje się niekiedy własną parodią, ponieważ w zalewie ogromnej ilości informacji kryje się coraz mniej znaczeń<sup>159</sup>.*

<sup>159</sup> J. Skrzypczak: *Miejsce galaktyki Gutenberga w multimedialnym wszechświecie*. W: *II międzynarodowa konferencja Media a Edukacja*. Poznań, Wydawnictwo eMPi2 1998 s. 51.

Rosnący zalew informacji powoduje, że coraz trudniej wyłowić w nim rzeczy wartościowe. Znamienne jest, jak często ostatnio pod adresem Internetu padają określenia: potop, zalew, smog informacyjny. Przeciętny użytkownik Internetu wręcz nie jest w stanie ocenić, która informacja jest wartościowa i obiektywna. Możemy więc za Krzysztofem Szymborskim powtórzyć, iż nadprodukcja informacji prowadzi do jej inflacji<sup>160</sup>.

Mnogość informacji jednak mniej przeraża, jeśli spojrzymy na jakość treści. Do grona technosceptyków, których niepokój wynika z niekontrolowanego rozwoju Internetu (wielu w tym braku kontroli widzi zaletę sieci), należy Stanisław Lem. W zbiorze esejów zatytułowanym *Bomba megabitowa* dał temu wyraz, próbując jednocześnie wskazać wyjście z sytuacji.

*Zjawisko Internetu przypomina poniekąd znany nam z Biblii potop, czyli nadmiar wód, w którym można ze wszystkim utonąć, jeżeli nie zdołamy dla ratunku, jak Noe, zbudować sobie Arki. Ale jak by miała wyglądać „Arka Noego Internetu”, łatwo rzec, ale nie sposób myśl taką zrealizować. Oto potrzebne są nam nie sieci bezmyślne, nie utysiąckrotnione telefony, faksy, interaktywne media, lecz ulokowane w sieci odpowiedniki wartościującej informację inteligencji, które wszystko, co jest informacyjnym śmieciem, pochłaniałyby i jako filtry zezwalały jedynie na przepływ wiadomości oraz wizualnych treści ani nie propagujących zła i głupoty, ani nie szkodzących wszystkiemu, co by mogło stać się dla człowieka pożyteczne. Lecz o takich „wstawkach” w Internet możemy obecnie tylko marzyć (...)*<sup>161</sup>.

Należy mieć nadzieję, że Lem nie wzywa do ustanowienia w Internecie cenzury prewencyjnej, bo na represyjną chyba wszyscy się zgadzamy, skoro prawo nie pozwala upowszechniać pewnych treści: szowinistycznych, ksenofobicznych, rasistowskich pornograficznych itp. Miejmy nadzieję, że pisząc o filtrach informacji wbudowanych w sieć, Lem myślał raczej o dodaniu internetowym browserom (katalogom) i searcherom (wyszukiwarkom) możliwości oceny znalezionej strony. Ale na ocenie powinno się zakończyć, bo eliminacja źle ocenionych stron byłaby już cenzurą. Podniosłyby się zapewne głosy, iż program komputerowy nie ma prawa decydować za człowieka, co jest dobre, a co złe, co mądre, a co głupie. Lem mówi o narzędziach (programach) filtrujących umieszczonych w sieci, a już istnieją podobne programy do instalowania na własnym komputerze. Jest to rodzaj cenzury przyjmowanej dobrowolnie. Tak jak w telekomunikacji jest możliwość założenia blokady na połączenia komercyjne (0-700...itp.), tak w komputerze można zainstalować program będący blokadą na niektóre tematy. Oto np. na podstawie słów kluczowych właściwych tematyce erotycznej i pornograficznej rezydentny program może ocenić poszczególne strony WWW i tym samym nie dopuścić internauty do tych miejsc w sieci. Takie programy rekomenduje się rodzicom (ukuto nawet termin „cybersitter” – od ang. „babysitter” – opiekunka)<sup>162</sup>, ale porównując kompetencje informatyczne młodzieży i jej rodziców nie można być pewnym skuteczności tego narzędzia.

O jakości stron internetowych wypowiada się też U. Eco. On także widzi potrzebę uporządkowania zasobów sieci, ich wartościującego skatalogowania. Eco przypuszcza, że powstaną w sieci jakieś „ośrodki poręczające”, które będą afiliować, czy autoryzować strony WWW, ale oprócz tego każdy użytkownik musi (zapewne metodą prób i błędów) wyrobić sobie internetowy „węch”<sup>163</sup>,

<sup>160</sup> K. Szymborski: *Smog informacyjny*. „Magazyn Gazety Wyborczej” 1999 nr 44 s. 20.

<sup>161</sup> S. Lem: *Bomba megabitowa*. Kraków, Wydawnictwo Literackie 1999 s. 13.

<sup>162</sup> D. Johnson: *Internet filters. Censorship by any other name?* „Emergency Librarian” 1998 vol. 25 no 5 s. 11-13.

<sup>163</sup> U. Eco: *Nowe środki masowego przekazu...*, op. cit. s. 9.



który pomoże w ocenie, co jest dobre, a co nie zasługuje na naszą uwagę i „kliknięcie” myszą. Przychodzi na myśl refleksja: czy do roli owych poręczycieli, pozytywnych cenzorów, gwarantów jakości i weryfikatorów nie są predestynowani bibliotekarze...?

Wśród głosów rozczarowania Internetem nie może zabraknąć wypowiedzi N. Postmana, uchodzącego za czołowego technosceptyka. Opisany przez niego „technopol” to nie tylko władza technologii nad społeczeństwem, to totalitarna technologia<sup>164</sup>. Z założenia technopol nie jest odporny na zalew informacji, bo...

(...) *jednym ze sposobów zdefiniowania technopolu jest stwierdzenie, że jego informacyjny układ immunologiczny nie działa*<sup>165</sup>.

Dlatego zjawisko, które obserwujemy, czyli informacyjny potop, to według Postmana dowód istnienia technopolu.

*Informacja stała się czymś w rodzaju śmieci, które nie tylko nie potrafią udzielić odpowiedzi na najbardziej podstawowe pytania człowieka, lecz także są ledwie przydatne, gdy chcemy nadać spójny kierunek rozwiązaniu jakiegokolwiek doczesnego problemu*<sup>166</sup>.

Internet jest medium demokratycznym, przez co zyskuje uznanie demokratycznego świata jako forum swobodnej wypowiedzi. Stał się więc panopticum wszelkich treści – również w demokratycznym społeczeństwie niepożądanych. Wzrastająca w szybkim tempie liczba jego uczestników sprawia, że sieć staje się powolna, a korzystanie z niej wymaga cierpliwości i uporu. Al Gore – wówczas wiceprezydent USA – ogłosił w związku z tym w kwietniu 1998 r. na jednej z konferencji w Białym Domu projekt utworzenia czegoś w rodzaju super Internetu nazwanego po prostu Internet2. Nowa sieć byłaby niedostępna dla szerokiej publiczności. Będzie zarezerwowana dla wymiany informacji naukowej. Wszak w przedsięwzięciu bierze udział ponad 120 amerykańskich wyższych uczelni. Gore te informacje w sposób patetyczny i dość dowcipny skwitował:

*Położymy kres czasom, gdy o World Wide Web niektórzy mówią World Wide Wait*<sup>167</sup>.

Trzy ostatnie słowa tłumaczyć by można jako Ogólnoświatowe Czekanie i byłaby to słuszną aluzją do małej przepustowości sieci, z powodu której internauci tracą wiele czasu w oczekiwaniu na załadowanie się wybranej strony.

Mnogość nieuporządkowanej informacji i często mała wartość tej informacji (lub wręcz dezinformacja) oraz malejąca przepustowość to główne cechy Internetu, które wybijają się wśród głosów krytyki po pierwszym zachłyśnięciu się zasobami sieci. Kolejną cechą, która może nie jest wadą, ale z punktu widzenia internauty – chociażby polskiego – istotną, jest widoczna w Internecie „kulturowa dominacja Zachodu”<sup>168</sup>. Wpływ szczególnie kultury amerykańskiej na świat jest ogromny i widoczny. Toffler, który przyznawał, że:

*Więcej książek amerykańskich jest tłumaczonych za granicą, niż zagranicznych książek tłumaczonych przez amerykańskich wydawców.*

Stwierdzał jednocześnie, iż jest to sytuacja niekorzystna dla amerykańskiej kultury, bo pozbawia Amerykanów kontaktu z wieloma wartościowymi ideami i poglądami<sup>169</sup>. Co więcej, dominacja technologiczna wykrzywia obraz domina-

<sup>164</sup> N. Postman: *Technopol: triumf techniki nad kulturą...*, op. cit. s. 61.

<sup>165</sup> Tamże, s. 78.

<sup>166</sup> Tamże, s. 85.

<sup>167</sup> „The Electronic Library” 1998 vol. 16 no 3 s. 216

<sup>168</sup> T. Beck: *Rola i znaczenie Internetu w prowadzeniu działalności badawczej*. W: *Elektroniczna przyszłość bibliotek akademickich*. Pod red. W. Pindlowej. Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego 1997 s. 123.

<sup>169</sup> A. Toffler: *Powershift...*, op. cit. s. 450.

cji kulturowej. Przewaga technologiczna, wyrażająca się liczbą komputerów podłączonych do sieci wpływa na nieproporcjonalny obraz tej dominacji w Internecie w stosunku do rzeczywistości. Doświadczyłem tego poszukując w Internecie materiałów na temat edukacyjnych zastosowań prezentacji multimedialnych. Chcąc znaleźć rozwiązanie tego problemu, należało postawić internetowej wyszukiwarce (w tym wypadku popularnej AltaVista) kwerendę zawierającą właściwe słowa kluczowe, we właściwej formie gramatycznej, z wykorzystaniem maskowania i operatorów Boole'a. Pytanie o strony internetowe poruszające postawiony problem w języku polskim dało wynik 95. Natomiast to samo pytanie, ale sformułowane po angielsku i zawężone do stron w języku angielskim dało rezultat aż 202144.

Oryginalne spojrzenie na Internet, deprecjonujące w jakimś stopniu jego walory informacyjne, zaprezentował Terry Beck. Z jego punktu widzenia miałyby się sprawdzać teza, że to co darmowe jest niewiele warte.

*(...) bezpłatna informacja, jak to ma miejsce w przypadku większości informacji w Internecie, nie stanowi najlepszego rodzaju informacji z danej dziedziny. Dzieje się tak dlatego, że autorzy mogą otrzymać gratyfikację finansową i, szczególnie w przypadku pracowników badawczych, zyskać większy prestiż, raczej dzięki publikowaniu w źródłach drukowanych niż w Internecie. Oznacza to, że w przypadku informacji naukowych dokumenty drukowane prawdopodobnie utrzymają swoją supremację<sup>170</sup>.*

Opinia, iż drukowane publikacje naukowe są niezagrożone, jest czymś nowym i zaskakującym. Wokół słyhać głosy o stałym wzroście liczby elektronicznych czasopism naukowych. Niektóre nawet ukazują się wyłącznie w wersji elektronicznej. Niektóre są dostępne dla subskrybentów, ale jest także mnóstwo czasopism elektronicznych dostępnych gratis w Internecie. To wcale nie oznacza, że są nic niewarte. Niezaprzeczalnie Internet przejmuje od publikacji drukowanych część ciężaru obiegu naukowego. Więc o supremacji publikacji drukowanych w przyszłości nie może być mowy. Byłoby zjawiskiem niezrozumiałym, gdyby ludzie nie skorzystali z szybkości, pojemności i możliwości wyszukiwawczych mediów elektronicznych w obiegu naukowym.

Kwestia prestiżu też jest dyskusyjna. Możliwość publikacji w Internecie jest wielką szansą zaistnienia artykułu naukowego w szerokim obiegu informacyjnym. Do tej pory taki artykuł „przepadał” w regionalnym czasopiśmie naukowym. Był znany przede wszystkim specjalistom, sięgającym czasem po abstrakty, bibliografie i czasopisma z danej dziedziny. Umieszczenie artykułu w Internecie daje szansę wyjścia poza wąski do tej pory krąg specjalistów. Warunkiem jest, by „ręcznie” tworzone internetowe katalogi i automatyczne wyszukiwarki włączyły go do swoich indeksów. Wówczas jest duża szansa, że każdy internauta, przez właściwe wyszukiwanie przedmiotowe, dotrze do tego artykułu. Skoro więc Beck mówi o prestiżu i pieniądzach w odniesieniu do publikacji drukowanych, to zgódźmy się też, że w nie mniejszym stopniu dotyczy to Internetu. Rozumiemy, że nie każdy może opublikować artykuł w „Time”, natomiast każdy może to zrobić w Internecie. Nie chodzi jednak o takie rozumienie prestiżu. Jak to zostało powiedziane, publikacja internetowa zwiększa szansę dotarcia z tekstem do szerszego grona specjalistów i niespecjalistów, którzy mogą ten tekst zaakceptować lub nie, zacytować, umieścić w bibliografiach załącznikowych itd. Tak też można spojrzeć na prestiż w zależności od medium, jakie zostało użyte do rozpowszechnienia tekstu. A co do pieniędzy. Prosta implikacją będzie stwierdzić, że zaistnie-

---

<sup>170</sup> Tamże, s. 123.

nie w Internecie, może nie bezpośrednio, ale przekłada się na pieniądze. Gdyby tak nie było, po cóż papierowe gazety tworzyłyby swoje wersje elektroniczne dostępne bezpłatnie w Internecie. Rzadko strony WWW są pełnym odzwierciedleniem wersji drukowanej, bo mają za zadanie nie tyle zastąpić, co zachęcić do sięgnięcia po wersję drukowaną lub do zaabonowania dostępu do elektronicznego archiwum gazety. A jeśli by chcieć oddzielać kwestię prestiżu od pieniędzy, to niech za przykład posłuży czasopismo z naszej dziedziny – „The Electronic Library”. Jest dostępne na papierze i bezpłatnie w Internecie. Za to pierwsze autor ma pieniądze, za to drugie sławę.

## INTERNET W BIBLIOTECE, BIBLIOTEKA W INTERNECIE

Dostęp do Internetu w budynku biblioteki to możliwość, która stawać się będzie standardem. Użytkownik biblioteki, pozostając wciąż w kręgu dokumentów na nośnikach fizycznych (głównie papierowych), będzie jednak coraz bardziej potrzebował konsultacji komputera, dostępu do lokalnych baz danych na nośnikach optycznych i baz posadowionych na serwerach w sieci. W tym rozdarciu między dwa środowiska, które przecież nie musi być uciążliwe, powinno przyjść z pomocą odpowiednie wyposażenie czytelni, w tym wielofunkcyjny komputer. Wielofunkcyjny w tym znaczeniu, że będzie służył nie tylko informacją katalogową, ale zacznie pełnić inne znaczące funkcje. Z cytowanych często w tej pracy badań Ch. Batta<sup>171</sup> wynika właściwe dla bibliotekarstwa zachodniego traktowanie komputera w bibliotece jako coś więcej znaczącego niż tylko wejście do katalogu online. Katalog taki powinien być w przyszłości tylko jedną z opcji dostępnych na danym komputerze. Dobrym przykładem realizacji tej idei jest nowy gmach Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie. Na wielu stanowiskach komputerowych czytelnicy mają możliwość otwarcia katalogu w systemie VTLS, ale także wejścia do Internetu oraz pracy z lokalnymi bazami na CD. W sytuacji absolutnie idealnej czytelnik mógłby jeszcze uruchamiać podstawowe aplikacje biurowe w celu zanotowania wyników swojej pracy, które potem umieściłby w swym prywatnym, niewielkim folderze wielkości – powiedzmy – 2MB. Podobna idea realizowana jest w nowym gmachu Biblioteki Narodowej w Paryżu. Udostępnione czytelnikom komputerowe stacje robocze wyposażone są w różne aplikacje, a między innymi oprogramowanie typu OCR. Bogate zbiory BNF w zakresie cyfrowych obrazów ksiąg w formacie graficznym można dzięki temu poddawać konwersji do formatu tekstowego<sup>172</sup>.

Urozmaicenie pracy czytelnika z komputerem poprzez możliwość wyjścia poza OPAC stwarza szansę szerszego włączenia bibliotek w ważny z państwowego punktu widzenia nurt edukacji ustawicznej. Świadomość, że można iść do biblioteki i na miejscu wykonać cały proces pracy kształceniowej i naukowej, znaleźć potrzebne dokumenty fizyczne i źródła online, sporządzić notatki w wersji elektronicznej, a potem zachować na dyskiecie, w postaci wydruku lub przesłać na

<sup>171</sup> C. Batt: *Information technology in public libraries*. London, LA Publishing 1998.

<sup>172</sup> A. Jacquesson: *Automatyzacja bibliotek. Zarys historyczny, strategia, perspektywy*. Warszawa, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego 1999 s. 328.

własne konto e-mail, zachęcałyby do samokształcenia wiele osób spoza systemu edukacji instytucjonalnej. Podobnie uważa Batt:

*Nie mam nic przeciwko temu, by biblioteka publiczna stała się przedłużeniem lokalnej szkoły lub centrum kształcenia dorosłych. Wiele z tych instytucji nawiązało już współpracę, zapelniając lukę między systemem edukacji zinstytucjonalizowanej a potrzebami obywateli, którzy nie są w stanie lub nie chcą być częścią tego systemu*<sup>173</sup>.

Sieć Internetu bibliotekarze powinni więc potraktować jako dodatkowe źródło informacji dostarczanej przez bibliotekę. Jeśli udostępni się użytkownikom bibliotek komputery podłączone do Internetu, jakaś część tych czytelników będzie chętniej poszukiwać informacji według własnych procedur wyszukiwawczych. Znajdą się jednak tacy czytelnicy, którzy chętnie skorzystają z zestawień tematycznych przygotowanych wcześniej przez bibliotekarzy. Nierzadki pogląd, że pracownicy bibliotek mają szczególne predyspozycje do systematyzowania zasobów Internetu wyraża m.in. Michael Gorman.

*Sieć jest jak ogromna biblioteka, na której dokonano aktu wandalizmu. Ktoś zniszczył katalog, wyrwał z książek strony tytułowe i indeksy i porzucił je wokół, a ściany pokrył graffiti. Surfowanie po sieci jest procesem przesiewania tego rozgardiaszu w nadziei dotarcia do jakichś użytecznych fragmentów tekstów czy obrazów wzajemnie ze sobą połączonych. Sieć jest nawet gorsza od owej zniszczonej biblioteki, ponieważ tysiące kolejnych niezorganizowanych i niefiltrowanych przekazów codziennie umieszczanych jest w cyberprzestrzeni przez niezliczone mnóstwo dziwaków i mędrków. (...) Bibliotekarze, a w szczególności pracownicy katalogów mają wyjątkowe kwalifikacje, by położyć kres temu elektronicznemu nieładowi*<sup>174</sup>.

Trzymając się tych alegorycznych porównań, Betty Landesman pisała o zadaniach bibliotekarzy w zakresie „porządkowania” Internetu. Obrazowo stwierdziła, że Internet jest jak galareta (tak się rozłazi, taki jest śliski i bezpostaciowy), a zadaniem bibliotekarzy jest przygwoździć tę elastyczną masę do ściany<sup>175</sup>. Mimo dowcipnego i alegorycznego tytułu artykuł Landesman jest poważnym głosem w dyskusji, jak ma wyglądać relacja biblioteka a Internet, jak podejść do problemu gromadzenia i udostępniania dokumentów, które – w przeciwieństwie do dotychczas gromadzonych – ani nie mają postaci fizycznej, ani nie znajdują się na miejscu. Autorka dała też przykłady bibliotek, które poważnie potraktowały zadanie wyselekcjonowania i uporządkowania zasobów Internetu pod kątem zainteresowań użytkowników bibliotek.

Ważna jest odpowiedź na pytanie: co to znaczy, że biblioteka korzysta z zasobów Internetu w swej działalności informacyjnej? Czy to znaczy, że ogranicza się do umieszczenia w czytelni kilku komputerów podłączonych do sieci z przeświadczeniem, że czytelnicy poradzą sobie sami, czy też robi krok dalej i tworzy własną bazę internetowych odesłań? A jeśli tak, to czy byłaby to tylko uporządkowana tematycznie baza internetowych hiperłączy, czy też połączonych hiperlinkami dokumentów zarchiwizowanych na własnym serwerze? Poza tym, mimo głosów o nadchodzącym zmierzchu technologii CD, może warto by rozważyć archiwizację stron WWW na dyskach optycznych. Nowa technologia umożliwiła bibliotekom inne spojrzenie na proces gromadzenia i udostępniania dokumentów. Czytelnikom można dać dostęp do dokumentu, nie dając mu do ręki nośni-

<sup>173</sup> C. Batt: *Information technology in public libraries...*, op. cit. s. 31.

<sup>174</sup> M. Gorman: *The corruption of cataloguing*. „Library Journal” 1995 vol. 120 no 15 s. 34.

<sup>175</sup> B. Landesman: *Keeping the jello® nailed to the wall. Maintaining and managing the virtual collection*. „Serials Librarian” 1997 vol. 30 no 3/4 s. 137-147.

ka. Bywa to opłacalne ekonomicznie. Tak jak z leasingiem samochodów. Auto nie jest naszą własnością, ale nim jeździmy. Trwałe archiwizowanie na CD stron WWW byłoby może działaniem żmudnym i nieekonomicznym, ale miałyby jedną zaletę. Na trwałe zostałyby zapisane dokumenty, które w wersji online mogą bardzo szybko przestać być dostępne. Użytkownicy Internetu znają ten problem, a pisał o nim między innymi cytowany już C. Stoll.

*Zacząłem tworzyć swój własny katalog odesłań URL, a po roku połowa z nich nie działała*<sup>176</sup>.

Archiwizowanie dokumentów sieciowych daje pewność dotarcia do dokumentu, nawet jeśli oryginalna wersja została usunięta z sieci lub zmieniona. Tak postępują niektóre magazyny o tematyce komputerowej z dołączonymi dyskami CD. Znaleźć na nich można w wersji offline zachowane w całości, a więc także z elementami graficznymi i animacją, strony WWW o różnorodnej tematyce. Kryterium doboru tych stron nie jest wyraźne. Są to dokumenty zarówno wartościowe, jak i oryginalne i dziwaczne, publikowane po to, by przyciągnąć i zainteresować czytelników pisma. Biblioteki, które archiwizowałyby strony WWW, postępowałyby oczywiście w sposób przemyślany i zaplanowany. Gromadziłyby, porządkowały i archiwizowały dokumenty, których tematyka odpowiadałaby potrzebom czytelników. Taka baza dokumentów elektronicznych byłaby wartościowym uzupełnieniem zbiorów drukowanych.

Ale rodzi się kolejne pytanie, czy biblioteka ma prawo archiwizować na własnym serwerze lub na CD dokumenty „ściągnięte” z Internetu. Znowu więc pojawia się kwestia nierozwiązanego problemu traktowania zasobów sieci względem zapisów prawa autorskiego. Można by spróbować przyłożyć do owych zasobów tę samą miarę, co do zwykłych materiałów bibliotecznych. Skoro prawo pozwala bibliotekom wykonywać kopie posiadanych materiałów w celu ich archiwizowania i nieodpłatnego udostępniania, to być może zezwoliłoby bibliotekom na tę samą czynność wobec dokumentów „znalezionych” w Internecie. Należy jednak zwrócić uwagę na różnicę w statusie pomiędzy dokumentami, których biblioteka stała się posiadaczem w drodze kupna, wymiany, depozytu, na mocy prawa o egzemplarzu obowiązkowym itd., a dokumentami, które zostały udostępnione w Internecie. Udostępnione, nie oznacza podarowane. Jeśli ktoś zostawi na ulicy walizkę, nie daje tym samym sygnału, że można ją sobie zabrać. Podobnie autorzy dokumentów prezentowanych w Internecie nie zawsze wyrażają zgodę na dowolne obchodzenie się z ich dziełem. Ktoś mógłby powiedzieć, że udostępniając bezpłatnie całemu światu swój utwór (artykuł, fotografię, utwór muzyczny, rysunek itd.) tym samym zrzeka się do niego praw. Oczywiście tak nie jest. Publikacja dokumentu w Internecie nie oznacza, że można z nim robić cokolwiek. Nawet jeśli utwór udostępniony jest poprzez sieć nieodpłatnie, to nie oznacza, że autor w całości rezygnuje z praw majątkowych do dzieła. Niektórzy nawet zastrzegają, do jakich celów ich utwory mogą być nieodpłatnie wykorzystywane (użytek własny, edukacja), a zatem każdorazowe wykorzystanie dzieła do celów komercyjnych powinno skutkować odpowiednim honorarium dla autora. Autor dokumentu „ściągniętego” z sieci miałby prawo zaprotestować, gdyby stwierdził, że jego utwór został zarchiwizowany przez bibliotekę i udostępniony przez nią w wersji offline. Tym bardziej, gdyby okazało się, że jest to część komercyjnej działalności owej biblioteki. Problem, czy biblioteka może archiwizować znalezione w sieci dokumenty, powinien zostać rozwiązany w przyszłych regulacjach prawnych ustalających działanie prawa autorskiego wobec dokumentów dostępnych poprzez sieć Internetu.

---

<sup>176</sup> C. Stoll: *Silicon snake oil...*, op. cit. s. 194.

Gdyby potraktować dokument internetowy jako element zbioru bibliotecznego powstaje problem, jak poinformować o nim w katalogu bibliotecznym. Czy tworzyć odrębną bazę dokumentów sieciowych, czy umieszczać ich opisy wśród innych opisów dokumentów książkowych i nieksiążkowych? Prezentacja informacji katalogowej jest istotnym problemem dla twórców OPAC-ów. Jeśli przyjąć zasadę, że czytelnika interesuje informacja, a nie dokument, to oczywiście można utworzyć jedną wspólną bazę dla dokumentów z własnej kolekcji i dokumentów sieciowych. Powstaje tylko wątpliwość, czy rzeczywiście wszystkim czytelnikom jest obojętne, czy przeglądają dokument umiejscowiony w sieci Internetu czy na dysku lokalnym.

U. Eco w swym słynnym wzorcu złej biblioteki skrytykował oddzielanie katalogów. Pisał:

*Katalogi winny zawierać jak najwięcej działów; trzeba bardzo pieczołowicie oddzielić katalog książek od katalogu czasopism, a oba od katalogu rzeczowego, jak również książki ostatnio nabyte od książek nabytych dawniej*<sup>177</sup>.

Pamiętając, że Eco zaprezentował wzorec a rebours, domyślamy się, że autora satysfakcjonowałby jeden wspólny katalog. Eco swe uwagi odnosił do katalogów kartkowych i prawdopodobnie byłby zwolennikiem katalogu krzyżowego: autorsko-przedmiotowo-tytułowego. Przymuszczałnie jednak większość czytelników woli korzystać z katalogów odrębnych pod względem wydawniczo-formalnym. Łączenie katalogów nie zyskało popularności w epoce katalogów kartkowych, a i w katalogach komputerowych czytelnik jest zmuszony sprecyzować, czy przeszukiwanie ma dotyczyć indeksu autorskiego, przedmiotowego, tytułowego, słów kluczowych lub innego, choć zdarzają się w Internecie bazy katalogowe, w których w jedynym oknie dialogowym wpisuje się poszukiwany ciąg znaków, bez znaczenia czy jest to tytuł, czy nazwisko autora. Precyzyjnych poszukiwaczy informacji może to irytować.

Trzymając się zasady Eco, należałoby tak skonstruować OPAC, by czytelnik widział to jako wspólną bazę dokumentów sieciowych i wszystkich dokumentów lokalnych niezależnie od ich fizycznej postaci. Dla mniej wyrobionych czytelników mogłoby to być utrudnieniem, bo zapewne nie każdy czytelnik umiałby szybko określić, czy znaleziony w katalogu automatycznym opis dotyczy książki, płyty gramofonowej czy też dokumentu elektronicznego w sieci Internetu. Gdyby przyjąć odwrotne rozwiązanie, należałoby przygotować przejrzysty interfejs użytkownika OPAC, z którego jasno by wynikało, jakiego typu dokumentów system będzie poszukiwał<sup>178</sup>. Ale wówczas pojawia się inny problem. W dużej bibliotece, mającej zbiory w różnych formatach fizycznych, liczba podbaz (uwzględniających różne formaty dokumentów) byłaby tak duża, że utrudniałoby to prowadzenie kompleksowych wyszukiwań katalogowych. Prawda jest zapewne gdzieś pośrodku. Przykład bazy katalogowej Biblioteki Kongresu USA na CD pokazuje, że baza może być jedna, a zorientowany czytelnik może wyłowić z niej opisy dokumentów o jakimś określonym formacie. Stosując wyszukiwanie według kryteriów i operatory Boole'a można w tej bazie przeprowadzić wyszukiwanie np. płyt z utworami Chopina opublikowanych w 1970 r., czyli w jednej kwerendzie połączyć wyszukiwanie dzieł określonego autora opublikowanych w określonym roku i w określonym formacie.

<sup>177</sup> U. Eco: *O bibliotece*. Wrocław, Ossolineum 1990 s. 12.

<sup>178</sup> Tęgo typu rozwiązanie zastosowano np. w bibliotece Instytutu Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych UW, gdzie można oddzielnie przeglądać bazę książek, oddzielnie bazę dysertacji, a także połączyć przeszukiwanie obu baz jednocześnie.

Przypadek dokumentów sieciowych jest bardziej skomplikowany. Fakt, że biblioteka umieszcza w katalogu opis dokumentu, do którego daje jedynie dostęp, a nie jest w jego posiadaniu, mógłby tłumaczyć potrzebę stworzenia odrębnej bazy katalogowej dla dokumentów „z zewnątrz”. A może należałoby stworzyć jedną wspólną bazę dokumentów elektronicznych, niezależnie czy są własnymi, czy spoza biblioteki? Istotną bowiem różnicą pomiędzy bazą dokumentów tradycyjnych a dokumentów elektronicznych byłoby to, że ta druga byłaby oczywiście bazą pełnotekstową. Umieszczone w opisie bibliograficznym hiperłącze byłoby wejściem do opisywanego dokumentu. Krok w tym kierunku został zrobiony, bo w formacie MARC uwzględniono pole 856 przeznaczone dla informacji o lokalizacji dokumentu elektronicznego<sup>179</sup>. Opis dokumentu może więc uzyskać formę hipertekstową i służyć jako łącznik do opisywanego dokumentu. W polu 856 zatytułowanym „Electronic Location And Access” w opisie można umieścić odpowiednią informację o dostępie do dokumentu w zależności, czy jest to dostęp przez e-mail, ftp, telnet, http lub w jeszcze inny sposób. Szkoda więc, że z takiej możliwości nie skorzystali twórcy bazy danych Biblioteki Narodowej o nazwie Biblios. Jest to baza teleadresowa bibliotek polskich dostępna również online na stronie WWW BN. Została stworzona w oparciu o format MARC-BN. W opisach niektórych bibliotek figurują ich adresy internetowe, które jednak nie są linkami. Skopiowanie adresu i wstawienie go w pole lokalizacji przeglądarki nie jest żadnym problemem, ale o ile łatwiej byłoby, gdyby podane adresy były zaznaczonymi na niebiesko hiperlinkami.

Połączenie biblioteki z Internetem nie powinno oznaczać wyłącznie dania czytelnikom dostępu do zasobów sieci. Jest to oczywiście także szansa wyjścia z informacją o bibliotece poza bibliotekę. Z jaką informacją, to już kwestia wielkości biblioteki, jej możliwości finansowych, ambicji kierownictwa. Na informację o własnych zbiorach dostępną przez Internet stać duże biblioteki, mające katalog komputerowy i własny serwer sieciowy. Nie oznacza to jednak, że mała gminna biblioteka nie może zaistnieć w Internecie. Owszem może, a nawet może być pierwszą gminną instytucją niekomercyjną posiadającą stronę WWW, informującą nie tylko o samej bibliotece, ale o regionie, zabytkach, kulturze, bieżących wydarzeniach itp. W ostateczności biblioteka nawet nie musi mieć komputera. Może przecież dzierżawić niewielkie konto u komercyjnego dostawcy Internetu (tzw. providera). Sceptycy zapytają: cóż może mała nieskomputeryzowana biblioteka pokazać w Internecie? Takie wątpliwości nie towarzyszyły autorom tysięcy stron WWW małych bibliotek na całym świecie. Informacja katalogowa dostępna przez Internet jest oczywiście odległym celem wielu średnich i małych bibliotek. Ale zanim to nastąpi, tym minimum może być informacja o wielkości i typie zbiorów, zasadach udostępniania, godzinach otwarcia, telefonach itp. Na owej stronie powinny się znaleźć hiperlinki do stron innych instytucji kultury, oświaty i administracji działających w mieście lub regionie. Władzom danej jednostki administracyjnej i osobom odpowiedzialnym za public relations i kreowanie wizerunku miasta czy powiatu powinno zależeć na stworzeniu takiej sieci informacji internetowej o regionie. Niestety wielu tzw. decydentów nie docenia jeszcze znaczenia przekazu internetowego, mimo że liczba użytkowników tego medium dochodzi w Polsce do 3 milionów (wg danych z końca 2000 r.). Przykładem jest głośny skandal ze stroną WWW Urzędu Rady Ministrów, na której

---

<sup>179</sup> B. Landesman: *Keeping the jello® nailed to the wall...*, op. cit. s. 141.

znajdowały się nieaktualne dane, a zamieszczona mapa Polski, choć od pół roku wówczas podzielonej na 16 województw, zawierała ich nadal 49.

Wracając do idei udostępniania użytkownikom bibliotek zasobów Internetu, możemy wskazać na różne argumenty za i przeciw takiemu pomysłowi. Dostęp do Internetu jest kosztowny. Istnieją dziś przedsięwzięcia komercyjne, np. tzw. kawiarnie internetowe, które rzecz jasna pobierają opłaty od swych bywalców za możliwość korzystania z sieci. Jeśli więc średnia czy mała biblioteka publiczna lub szkolna dałaby swym użytkownikom dostęp do Internetu (w założeniu bezpłatny), to poważnie obciążyłaby swój – i tak niewielki – budżet. Biblioteka pozostaje jednak enklawą bezpłatności w skomercjalizowanym świecie. Mówimy o społecznych wyobrażeniach, a nie faktach, bo de facto biblioteki stale poszerzają spektrum usług płatnych. Ciągłe jednak w świadomości społecznej biblioteka uchodzi za instytucję „non profit”, miejsce gdzie można bezpłatnie przeczytać dzisiejszą prasę, bezpłatnie wypożyczyć książki, skorzystać z bezpłatnej toalety. Argument, że coraz więcej ludzi ma dostęp do sieci we własnym domu lub w pracy jest tylko częścią prawdy. Podobnie mnóstwo ludzi ma w domu encyklopedię czy słownik wyrazów obcych, ale pracując w bibliotece nad jakimś tematem czy tekstem, posługują się również tymi narzędziami. Internet nie musi być jedynym celem przyścia do biblioteki. Warto nań spojrzeć, jak na komplementarne źródło informacji bibliotecznej. Informacji uzupełniającej zbiory danej biblioteki lub kierującej do innych zbiorów.

*Na wiejskich obszarach o niskich dochodach, gdzie dostęp do Internetu jest dla wielu ludzi ograniczony, biblioteka staje się miejscem, które daje ten dostęp społeczności lokalnej*<sup>180</sup>.

Zaskakujące, że autorem powyższych słów jest bibliotekarz z Kanady, bogatego kraju, który do końca 2000 r. (według zapewnień premiera Jean Chretien<sup>181</sup>) zapewnić miał każdej klasie szkolnej dostęp do Internetu. Skoro więc w bogatej Kanadzie mówi się o daniu uboższej części społeczeństwa dostępu do sieci, to co dopiero w Polsce, gdzie – według źródeł oficjalnych – odsetek ludzi żyjących na poziomie minimum socjalnego stale rośnie. Publiczna dostępność komputerów w stechnicyzowanym świecie powiększa się. Są dostępne na dworcach, w muzeach, hipermarketach. Ale wartość informacyjna takich kontaktów z komputerem jest ściśle określona i niewielka. Publicznie dostępny w bibliotece komputer nie tylko zastępujący katalog kartkowy, ale umożliwiający korzystanie z multimedialnych baz i dający wyjście do światowej infostrady, będzie więc długo jeszcze dla wielu ludzi jedyną okazją poważniejszego kontaktu z komputerem w ogóle, a z Internetem w szczególności.

## ELEKTRONICZNA METAMORFOZA BIBLIOTEK

Automatyzacja katalogów i przyłączenie do światowej infostrady to pierwszy etap dokonującej się transformacji bibliotek; przejścia od biblioteki tradycyjnej do formy wyższej. Nowa zmieniona forma biblioteki wynika z przeobrażeń zbioru bibliotecznego, ale nie tylko. Proporcje typów dokumentów bibliotecznych ulegają przesunięciu na korzyść dokumentów nieksiążkowych, więc zmieniają się

---

<sup>180</sup> C. K. Tan: *Ontario Virtual Library. New millenium library*. „The Electronic Library” 1999 vol. 17 no 3 s. 141.

<sup>181</sup> Tamże, s. 141.



też sposoby ich gromadzenia, przechowywania i udostępniania. Jaką szczytową formę dana biblioteka przybierze zależy od jej wielkości, dotychczasowych funkcji, rodzaju zbiorów, możliwości finansowych. Nie wszystkie osiągną stadium najwyższe. Niektóre nawet nie zdążą wyjść poza formę tradycyjną, bo wkrótce zostaną zlikwidowane przez szukający oszczędności samorząd lokalny. Dodajmy także, iż używane tu pojęcie „transformacja” nie musi oznaczać przemiany dokonującej się w konkretnej placówce. Jest mało prawdopodobne, żeby określona tradycyjna biblioteka ewoluowała w ten sposób, by po przejściu poszczególnych etapów pośrednich przybrać ostatecznie formę biblioteki cyfrowej. Transformacja bibliotek oznaczałaby raczej transformację idei tej instytucji, a nie poszczególnych placówek.

W pracach na temat nowych wcieleń biblioteki, nowych jej form (a nawet braku formy) pojawia się wiele różnie stosowanych i różnie definiowanych określeń. Karierę robi termin „biblioteka wirtualna”, mówi się też o bibliotece bez ścian, bibliotece elektronicznej, bibliotece cyfrowej, bibliotece polimedialnej i bibliotece hybrydowej. Bywa, że niektóre z tych określeń traktowane są synonimicznie (co jest zrozumiałe, bo każda biblioteka cyfrowa będzie biblioteką elektroniczną). Dlatego w piśmiennictwie bibliologicznym pojawiają się próby usystematyzowania terminologii i wprowadzenia zasad w nadawaniu współczesnym bibliotekom chwytliwych epitetów.

Najprostszy podział zaproponował Michael Buckland. W piśmiennictwie w oczywisty sposób jako przeciwagę dla bibliotek elektronicznych wskazuje się biblioteki tradycyjne. To dość nieostre określenie, więc Buckland dla uproszczenia bibliotekę tradycyjną nazywa wprost „biblioteką papierową”. W jego podziale występują trzy typy bibliotek, które rozróżnia się nie tylko z punktu widzenia odmienności gromadzonych materiałów, ale także z punktu widzenia działań bibliotekarzy. Podział Bucklanda jest następujący:

- w **bibliotece papierowej** zdecydowaną większość stanowią zbiory papierowe i również wszelkie operacje wykonuje się przy pomocy papieru,
- w **bibliotece zautomatyzowanej** zbiory są nadal papierowe, ale wszelkie operacje wykonuje się za pomocą komputera,
- w **bibliotece elektronicznej** komputer służy do realizacji wszystkich funkcji biblioteki, służy więc także do przechowywania i udostępniania zbiorów<sup>182</sup>.

Inny nieco podział znajdujemy w największej na świecie encyklopedycznej publikacji z dziedziny bibliologii – amerykańskiej *Encyclopedia of Library and Information Science*. Artykuł Philipa Barkera<sup>183</sup> określa typy bibliotek przyszłości w zależności od posiadanych zbiorów i zadań bibliotekarza. Według Barkera kolejnymi stadiami transformacji bibliotek są:

- **biblioteki polimedialne**, które gromadzą dokumenty na różnych nośnikach (na papierze, na mikrofilmach, dyskach komputerowych). Przypominają więc bibliotekę konwencjonalną. Ze względu na to, że procesy biblioteczne nie są tu zautomatyzowane, wzrasta rola „żywego” bibliotekarza jako źródła informacji.
- **biblioteki elektroniczne**, w których podstawowe procesy biblioteczne realizowane są za pomocą komputera. W bibliotece tego typu stale rośnie rola

<sup>182</sup> M. Buckland: *Redesigning library services. A manifesto*. Chicago, ALA 1992 s. 6.

<sup>183</sup> P. Barker: *Electronic libraries of the future*. W: *Encyclopedia of Library and Information Science* vol. 59. New York, Marcel Dekker Inc. 1996 s. 145-148.

mediów elektronicznych w gromadzeniu, wyszukiwaniu i dostarczaniu informacji. Bibliotekarz nadal jest dostępny, ale dążyć się będzie do skomputeryzowania rutynowych, powtarzalnych wyszukiwań,

- **biblioteki cyfrowe**, w których wszystkie zbiory mają postać cyfrową. Nie ma w nich tradycyjnych dokumentów analogowych (papierowych, mikroform itd.) Zbiory są dostępne z poziomu komputera, nie tylko na miejscu, ale i zdalnie. Absolutnie wszystkie procesy biblioteczne realizowane są za pomocą komputera, a bibliotekarz jest dostępny przez e-mail lub zastąpi go „udający” bibliotekarza system ekspertowy,
- **biblioteki wirtualne**, których rozwój zależy od rozwoju technologii rzeczywistości wirtualnej.

Jeszcze inną typologię zaproponował Jurand B. Czermiński<sup>184</sup>, dzieląc biblioteki przyszłości na: zautomatyzowane, elektroniczne i cyfrowe. Za szczytowy etap rozwoju każdej biblioteki uznał bibliotekę cyfrową.

Jak widać, według podziału Czermińskiego kolejnym etapem w rozwoju bibliotek po bibliotekach cyfrowych nie są biblioteki wirtualne. Autor ten uznał, iż: *(...) biblioteka wirtualna nie jest kolejnym krokiem w rozwoju (...) biblioteki cyfrowej, lecz jedynie sposobem na wyszukiwanie informacji z systemu takich bibliotek odpowiednio uformowanego pod względem zastosowanych norm*<sup>185</sup>.

Odmienną opinię wyraża E. Chmielewska-Gorczyca twierdząc:

*Niektórzy autorzy niestusznie utożsamiają bibliotekę wirtualną z biblioteką elektroniczną lub cyfrową. Co prawda biblioteka elektroniczna jest niezbędnym warunkiem zaistnienia biblioteki wirtualnej, ale nie jest z nią tożsama*<sup>186</sup>.

Swojego zdania Gorczyca broni następująco:

*W bibliotece wirtualnej oprócz zdalnego dostępu do zawartości zbiorów i usług bibliotecznych niezbędny jest jeszcze element bezproblemowego korzystania z zewnętrznych serwisów i źródeł informacji (w tym i komercyjnych) za pośrednictwem jednego systemu, np. katalogu OPAC, funkcjonującego jako wrota do innych bibliotek i baz danych*<sup>187</sup>.

Jest oczywiste, że biblioteka wirtualna powinna zarówno udostępniać własne zbiory w formacie cyfrowym, jak również być pośrednikiem w dostępie online do zbiorów innych instytucji. Wydaje się niemożliwością, żeby biblioteka cyfrowa, mająca dużą część zbiorów w formacie cyfrowym i umożliwiającą zdalny dostęp do nich poprzez łącza telekomunikacyjne, nie zrobiła następnego kroku i nie zadbowała o to, by móc korzystać z podobnej oferty innych bibliotek cyfrowych. Zatem można przyjąć, nie zgadzając się z E. Gorczycą, że każda biblioteka cyfrowa byłaby biblioteką wirtualną.

Mimo rozbieżności w rozróżnianiu pojęć „biblioteka cyfrowa” i „biblioteka wirtualna”, należy przyznać, że wspomniana autorka przedstawiła krótką, ale wiele mówiącą, wykraczającą poza wszelkie spory i uniwersalną definicję biblioteki wirtualnej:

*Organizacja wielu źródeł informacji w system postrzegany przez użytkownika jako jeden*<sup>188</sup>.

---

<sup>184</sup> J.B. Czermiński: *Od biblioteki elektronicznej do biblioteki wirtualnej* W: *Elektroniczna Przyszłość Bibliotek Akademickich*. Pod red. W. Pindlowej. Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego 1997 s. 160.

<sup>185</sup> Tamże, s. 161.

<sup>186</sup> E. Chmielewska-Gorczyca: *Biblioteka wirtualna – wizja czy rzeczywistość?* „Przegląd Biblioteczny” 1996 z. 2/3 s. 123.

<sup>187</sup> Tamże, s. 123.

<sup>188</sup> Tamże, s. 127.

W tym rozumieniu pojęcie „biblioteka wirtualna” byłoby oderwane od jakiegokolwiek konkretnej instytucji, a odnosiłoby się do wielu instytucji połączonych w sieci i na wspólnej platformie (np. dzięki zastosowaniu protokołu Z.3950) udostępniających dokumenty elektroniczne.

Problemy z definiowaniem i rozumieniem pojęć biblioteka cyfrowa, elektroniczna, wirtualna skutkuje ich nadużywaniem i niewłaściwym stosowaniem. Na temat nadużywania przez bibliotekarzy omawianych określeń wypowiedział się A. Radwański. Według niego fakt posiadania przez bibliotekę katalogu komputerowego nie uzasadnia jeszcze określania biblioteki mianem elektronicznej.

*(...) niektóre biblioteki doszły do wniosku, że są elektroniczne, bo mają katalog w komputerach i łączność z siecią Internet. Gdzieś po drodze znikło pojęcie normalnej biblioteki skomputeryzowanej. (...) Wydaje mi się, że musi zostać zaakcentowana (szczególnie w Polsce) rola zasobów w bibliotece elektronicznej (cyfrowej) jako jej absolutna cecha konstytutywna. Muszą istnieć zasoby cyfrowe!!!<sup>189</sup>.*

Można spróbować pójść jeszcze dalej, stwierdzając, że fakt gromadzenia dokumentów cyfrowych nie oznacza jeszcze, iż można daną bibliotekę nazywać biblioteką cyfrową lub elektroniczną. Co zatem odróżniałoby biblioteki gromadzące dokumenty cyfrowe od bibliotek cyfrowych? Na to pytanie spróbowali odpowiedzieć Charles Oppenheim i Daniel Smithson.

*Jedną z kluczowych cech biblioteki cyfrowej jest możliwość zdalnego dostępu do jej zbiorów z wielu różnych miejsc. To oznacza, że miejscem, z którego można uzyskać dostęp do zbiorów nie musi być budynek tradycyjnej biblioteki. Może to być stanowisko pracy usytuowane poza biblioteką<sup>190</sup>.*

Użytkownika nawigującego po zasobach Internetu interesuje dokument o określonej treści. Nie ma więc specjalnego znaczenia, czy znaleziony dokument posadowiony jest na serwerze w Europie czy w Australii. Kwestia lokalizacji i odległości zaczyna nabierać znaczenia dopiero, gdy użytkownik Internetu postanawia skopiować na swój komputer plik o większej objętości, ale generalnie, przechodząc między stronami WWW w tej samej wersji językowej, użytkownik nie musi zwracać uwagi na swoje peregrynacje w sensie geograficznym. To jest właśnie zaleta przedsięwzięcia zwanego biblioteką wirtualną, iż umożliwia przeszukiwanie wielu baz danych w taki sposób, jakby przeszukiwało się jedną. Rozwijane jest w tym celu odpowiednie oprogramowanie, które umożliwia bibliotekom stosującym różne systemy zintegrowane komunikację na jednej wspólnej platformie. Na obecnym etapie zapewnia to protokół Z.3950 i format zapisu danych katalogowych MARC<sup>191</sup>.

Wracając do typologii Barkera i Czermińskiego stwierdzimy, że różnią się one także w swych pierwszych punktach. Biblioteka polimedialna według Barkera nie odpowiada bibliotece zautomatyzowanej według Czermińskiego. Czermiński podał kilkanaście cech, którymi charakteryzuje się biblioteka zautomatyzowana, a wśród nich m.in. katalog publiczny dostępny online, komputerowe indeksowanie zawartości czasopism, elektroniczne dostarczanie dokumentów, szybka identyfikacja czytelników i zbiorów za pomocą kodowanych kart i etykiet. W takim rozumieniu biblioteka zautomatyzowana stałaby wyżej w hierarchii roz-

<sup>189</sup> Wypowiedź Aleksandra Radwańskiego na bibliotekarskiej liście dyskusyjnej INFOBIB-L z 28 marca 1998 r. /INFOBIB-L archives - March 1998/

<sup>190</sup> C. Oppenheim, D. Smithson: *What is the hybrid library*. „Journal of Information Science” 1999 vol. 25 no 2 s. 98.

<sup>191</sup> B. Feret: *Protokół Z.3950 jako podstawa tworzenia systemów współkatalogowania i katalogów centralnych*. W: *Materiały na międzynarodową konferencję nt.: Współpraca Bibliotek Naukowych w Zakresie Automatyzacji Kraków 16-19.11.1998*. Warszawa, SBP 1998 s. 117-124.

woju od biblioteki polimedialnej, która mimo że gromadzi dokumenty na różnych nośnikach, jednak nie zautomatyzowała podstawowych procesów bibliotecznych. **Gdyby połączyć obie cytowane typologie, powstałby podział na biblioteki: polimedialne, zautomatyzowane, elektroniczne i cyfrowe.** Pozostaje jednak do rozstrzygnięcia spór, czy biblioteka wirtualna jest szczytową formą (bez formy...?) w procesie transformacji bibliotek.

Wydaje się, że rację ma Czermiński. Biblioteka wirtualna nie byłaby nowym sposobem organizacji biblioteki. Byłaby rodzajem usługi świadczonej przez bibliotekę cyfrową lub konsorcjum takich bibliotek. W tym duchu, ale jeszcze szersze rozumienie tego pojęcia prezentuje Zdzisław Dobrowolski.

*Koncepcja biblioteki wirtualnej opiera się na sieci rozległej. W istocie rzeczą jednak biblioteką wirtualną jest każde konsorcjum bibliotek o zorganizowanych międzybibliotecznych wypożyczeniach. Wielką biblioteką wirtualną jest nie tylko krajowy system biblioteczny, ale również system księgarsko-wydawniczy. Nie ulega wątpliwości, że jedną z bibliotek wirtualnych jest – z natury samej – system World Wide Web. Do bibliotek wirtualnych zaliczyć można także serwisy online<sup>192</sup>.*

Jeśli przyjąć przedstawione przez Dobrowolskiego dość szerokie rozumienie terminu „biblioteka wirtualna” i uznać, że jest nią cała sieć Internetu, to prawdziwe byłoby także zdanie Czermińskiego, że biblioteka wirtualna:

*Nie jest instytucją. Nie posiada dyrektora ani ludzkiej administracji. Nie musi być przypisana do żadnego szczególnego budynku<sup>193</sup>.*

Jeśli jednak przyjmiemy, że biblioteką wirtualną określa się fragment oferty biblioteki tradycyjnej, polimedialnej, elektronicznej lub cyfrowej, to zdanie powyższe będzie oczywiście nieprawdziwe. Łatwo bowiem będzie wskazać osoby, które w danej bibliotece, mieszczącej się w określonym budynku, są odpowiedzialne za utrzymanie dostępu online do zdigitalizowanej części zbiorów. Takie podejście do pojęcia „biblioteka wirtualna” obserwujemy dziś w niektórych bibliotekach naukowych na Zachodzie. Są to, rzecz jasna, biblioteki z budynkiem, kierownictwem, personelem i zbiorami w różnych formatach. Mając część zbiorów w postaci cyfrowej, zdecydowały się udostępnić je w trybie online (lokalnie, a nawet poprzez sieci rozległe) i ta część działalności owych bibliotek nosi miano „biblioteki wirtualnej” (niekiedy elektronicznej lub cyfrowej).

Podobny sposób interpretacji w odniesieniu do pojęcia „biblioteka elektroniczna” proponuje przyjąć Christine Deschamps. Uznała mianowicie, że określenie „biblioteka elektroniczna” odnosiłoby się do pewnego fragmentu działalności biblioteki tradycyjnej, nacelowanej na prenumeratę i dostęp do publikacji elektronicznych<sup>194</sup>. Biblioteka elektroniczna w takim rozumieniu byłaby więc fragmentem struktury określonej placówki bibliotecznej, tak jak jest nią czytelnia, dział akcesji, dział opracowania czy magazyn.

W dyskusji na temat bibliotek wirtualnych warto też wspomnieć o dwóch książkach Bruca Shumana na temat bibliotek przyszłości<sup>195</sup>. W obu Shuman zaprezentował w fabularyzowanej formie kilkanaście możliwych według niego scenariuszy rozwoju bibliotek. Wśród nich są wizje negatywne, zakładające całkowity zanik bibliotek albo co najmniej zepchnięcie ich do roli pomników kultury,

<sup>192</sup> Z. Dobrowolski: *Internet i biblioteka*. Warszawa, SBP 1998 s.135.

<sup>193</sup> J. B. Czermiński: *Od biblioteki elektronicznej do biblioteki wirtualnej...*, op. cit. s. 163.

<sup>194</sup> M. C. Deschamps: *The electronic library. Bielefeld Conference 1994*. „Libri” 1994 vol. 44 no 4 s. 305.

<sup>195</sup> 1) B. A. Shuman: *The library of the future. Alternative scenarios for the information profession*. Englewood, Libraries Unlimited 1989. 2) B. A. Shuman: *Beyond the library of the future. More alternative futures for the public library*. Englewood, Libraries Unlimited 1997.

których nikt nie odwiedza i nic się w nich nie dzieje. Są też wizje pozytywne, w których biblioteka występuje jako instytucja niezbędna społeczeństwu, instytucja skomputeryzowana i zmechanizowana, przechowująca i udostępniająca dokumenty w różnych formatach. Są wreszcie wizje cokolwiek dziwne, mieszczące się na skali pomiędzy scenariuszami pozytywnymi i negatywnymi. Według jednej z nich biblioteka – zwana już nie „library”, a „cybrary” – stałaby się czymś na kształt salonu rozrywek, gdzie użytkownik, korzystając z technologii rzeczywistości wirtualnej, mógłby przeżyć wybraną wirtualną przygodę, w tym także seans wirtualnego seksu. Cóż, wizja biblioteki przyszłości jako wirtualnej agencji towarzyskiej jest już chyba mocną przesadą.

Dla opisanie bibliotek przyszłości, niezależnie czy nazwiemy je cyfrowymi, wirtualnymi czy elektronicznymi, konieczne bywa (na zasadzie kontrastu) zestawienie ich z bibliotekami tradycyjnymi, by pokazać jakościowe zmiany dokonujące się w bibliotekarstwie. Bywa jednak, że zamiast pojęcia „biblioteka tradycyjna” w publikacjach na ten temat pojawia się określenie „prawdziwa biblioteka”. Zwracają na to uwagę David Bowden i Ian Rowlands, którzy dokonali analizy piśmiennictwa na ten temat właśnie pod kątem pojawiających się określeń biblioteki. Autorzy popierają oczywiście stosowanie terminu „biblioteka tradycyjna”. Używanie w takich sytuacjach terminu „prawdziwa biblioteka” sugerowałoby bowiem, że biblioteka elektroniczna jest czymś niedokończonym, czymś gorszym, krótko mówiąc – nie jest już biblioteką<sup>196</sup>.

Oprócz omówionych już określeń nowoczesnej biblioteki w piśmiennictwie anglo-amerykańskim tego tematu spotyka się jeszcze termin „biblioteka hybrydowa”. Zgodnie z nazwą byłoby to połączenie, skrzyżowanie różnych typów bibliotek. Najprościej mówiąc połączenie tradycji z nowoczesnością. Przemieszanie byłoby widoczne nie tylko w różnorodności nośników gromadzonych dokumentów, ale też w różnorodności stosowanych form udostępniania. Penny Garrod w następujący sposób opisuje bibliotekę hybrydową:

*(...) zajmuje zarówno przestrzeń fizyczną, jak i przestrzeń wirtualną, (...) jest w kontinuum pomiędzy biblioteką tradycyjną i cyfrową. Elektroniczne i papierowe źródła informacji wykorzystywane są w niej obok siebie*<sup>197</sup>.

Wydaje się, że termin „biblioteka hybrydowa” jest niepotrzebnym mnożeniem synonimicznych pojęć. W praktyce bowiem określenia „cyfrowa”, „wirtualna” i „elektroniczna” stosowane są zamiennie, a określenie „hybrydowa” niczego nowego nie wnosi i nie porządkuje terminologii. Dowodem na to może być zestawienie sporządzone przez wspomnianych Bowdena i Rowlandsa. Analiza publikacji omówionych w dwóch znanych wydawnictwach abstraktowych: „Social Sciences Citation Index” i „Library and Information Science Abstracts” (czyli popularnej LISA) pokazała, że z trzech wziętych pod uwagę określeń biblioteki (cyfrowa, elektroniczna, hybrydowa) najwcześniej, bo jeszcze na początku lat osiemdziesiątych<sup>198</sup> zaczęto używać określenia „elektroniczna”. Pojęcie „biblioteka cyfrowa” pojawia się w omówionych abstraktach dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Natomiast termin „biblioteka hybrydowa” pojawiać się zaczął dopiero w roku 1997, ale niewspółmiernie rzadziej niż pozostałe dwa określenia<sup>199</sup>. Dość

<sup>196</sup> D. Bowden, I. Rowlands: *Digital libraries: assumptions and concepts*. „Libri” 1999 vol. 49 no 4 s. 182.

<sup>197</sup> P. Garrod: *Survival strategies in the learning age – hybrid staff and hybrid libraries*. „ASLIB Proceedings” 1999 vol. 51 no 6 s. 191.

<sup>198</sup> Baza Library of Congress wymienia poza tym książkę z roku 1975: Roger W. Christian: *The electronic library: bibliographic data bases 1975-76*.

<sup>199</sup> D. Bowden, I. Rowlands: *Digital libraries: assumptions and concepts...*, op. cit. s. 190.

późne pojawienie się określenia „hybrydowa” w stosunku do biblioteki wynikało zapewne z faktu, iż po początkowym zauroczeniu wizją biblioteki cyfrowej pojawiła się konstatacja, iż nie jest możliwe całkowite zerwanie bibliotek z przeszłością i przejście na format wyłącznie cyfrowy. Biblioteka hybrydowa byłaby więc wypadkową sporu pomiędzy zwolennikami tezy, iż liczy się przede wszystkim dostęp online do dokumentów elektronicznych, a zwolennikami bibliotek tradycyjnych, w których liczy się własna kolekcja, a nowoczesność objawia się różnorodnością formatów gromadzonych dokumentów.

Obserwacje Bowdena i Rowlandsa potwierdzają się w internetowych wyszukiwarkach. Na przykład AltaVista zapytana o liczbę stron zawierających termin „electronic library” podała wynik 720 000. Termin „digital library” pojawił się na 322 000 stron, a „hybrid library” już tylko na 21 000 stron. Prawdopodobnie więc określenie „hybrydowa” nie zdobędzie większej popularności, praktycznie bowiem każda biblioteka początku XXI wieku będzie biblioteką hybrydową, wobec tego samo określenie nie byłoby specjalnym wyróżnikiem. O tyle jednak warto wspomnieć o funkcjonowaniu określenia „biblioteka hybrydowa”, że dowodzi ono akceptowania przez osoby stosujące ów przydomek różnych formatów dokumentów i różnych form ich udostępniania w jednej bibliotece. Nie wszyscy podzielają ten pogląd. W dyskusji panelowej konferencji „Elektroniczna przyszłość bibliotek akademickich” w 1997 r. Marek Nahotko stwierdził:

*Nie mogą istnieć dwie biblioteki w jednej bibliotece, nie może tradycyjna biblioteka być równocześnie biblioteką wirtualną. Jeżeli zdecydujemy się na używanie komputerów, nowego oprogramowania itp., to decydujemy się na zamknięcie przeszłości i rozpoczęcie czegoś nowego<sup>200</sup>.*

Dodajmy do tej wypowiedzi fragment tekstu Andrew Braida, mówiący o relacji pomiędzy dokumentami papierowymi i cyfrowymi.

*Jeśli przedsięwzięcie zwane biblioteką elektroniczną ma się powieść, musi być owa biblioteka elektroniczna zintegrowana z istniejącymi zasobami papierowymi. Są dwa sposoby, by to osiągnąć. Po pierwsze, dokonując konwersji posiadanych zbiorów elektronicznych na format papierowy, co byłoby krokiem wstecz. Po drugie, dokonując konwersji zbiorów papierowych do formatu elektronicznego<sup>201</sup>.*

Podobnie uważają M. Malinconico i J. Warth, dopatrując się konfliktu pomiędzy zbiorami drukowanymi i dokumentami elektronicznymi w bibliotekach:

*Bezspornie biblioteki nie mogą sobie pozwolić, by dostarczać informację w obu formatach<sup>202</sup>.*

Z zacytowanych fragmentów wynika pewna niewiara w możliwość efektywnego funkcjonowania biblioteki posługującej się różnymi formatami zapisu treści, a to oznacza, że wśród bibliotekarzy znajdziemy osoby zaniepokojone zapowiadaną, czy też dokonującą się transformacją bibliotek. Czy jednak rzeczywiście jest pod tym względem powód do zaniepokojenia? Czy fakt, że biblioteka posługuje się zbiorami fizycznymi i wirtualnymi (tangible i intangible) ma oznaczać jakąś niekorzystną dychotomię lub stan schizofrenii? To nieprawda, że nie da się pogodzić różnych formatów dokumentów i różnych trybów pracy w jednej placówce biblioteczno-informacyjnej. Dostępne online poprzez Internet narodowe

<sup>200</sup> M. Nahotko w dyskusji panelowej konferencji Elektroniczna Przyszłość Bibliotek Akademickich, Kraków 1995. W: *Elektroniczna Przyszłość Bibliotek Akademickich*. Pod red. W. Pindlowej. Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego 1997 s. 180.

<sup>201</sup> A. Braid: *The problem of digitising non-electronic media*. „Libri” 1994 vol. 44 no 4 s. 311.

<sup>202</sup> S. M. Malinconico, J. C. Warth: *Electronic libraries: how soon?...*, op. cit. s. 134.

i uczelniane biblioteki, udostępniające nie tylko swój OPAC, ale także bazy pełnotekstowe, udowadniają, że można pogodzić tradycję z nowoczesnością.

Niepokoić bibliotekarzy mogłaby natomiast przyszłość obecnych zbiorów drukowanych. Określenie „migracja” użyte przez J. Czermińskiego przy definiowaniu biblioteki cyfrowej może niektórych zmylić. Według niego biblioteką cyfrową jest biblioteka elektroniczna, która dokonała pełnej migracji z systemów analogowych na cyfrowe<sup>203</sup>. Należy więc rozumieć, że wówczas każdy dokument będący własnością biblioteki ma swój odpowiednik cyfrowy. Wątpliwości budzi nierozstrzygnięty problem: co biblioteka cyfrowa zrobiłaby ze zbiorami analogowymi. Ewentualne zniszczenie dokumentów papierowych, a co wbrew pozorom praktykują niektóre biblioteki (o czym będzie mowa w rozdziale na temat dygitalizacji zbiorów) wyda się większości bibliotekarzy rzeczą niedopuszczalną i nierealną. Powstaje bowiem pewna paradoksalna sytuacja. Te biblioteki, które stać organizacyjnie i finansowo na realizację poważnych programów dygitalizacji zbiorów, to duże i bogate biblioteki naukowe (narodowe, uczelniane, większe publiczne). Ich bogactwo wyraża się także wartością i unikatowością zbiorów tradycyjnych. Jest więc rzeczą nieprawdopodobną, żeby te biblioteki całkowicie zrezygnowały ze swych dotychczasowych zbiorów, niszcząc mniej cenne, a te cenniejsze przekazując do archiwum lub muzeum. Z kolei małe biblioteki, których zbiory nie są zbyt cenne, mogłyby w jakiś sposób pozbyć się dokumentów papierowych. Ale z drugiej strony nie mają odpowiednich środków na realizację szeroko zakrojonego programu dygitalizacji. Wszystko wskazuje na to, że żadna z istniejących obecnie bibliotek nie ma szans na uzyskanie w przyszłości miana biblioteki cyfrowej (według typologii Barkera). Zawsze pozostaną jakieś elementy zbiorów lub narzędzi pomocniczych, które przypominać będą o jej analogowej przeszłości. Biblioteka tradycyjna, która przechodzić będzie kolejne etapy transformacji w kierunku biblioteki cyfrowej, nigdy nie oderwie się od swych analogowych korzeni. Natomiast biblioteką cyfrową sensu stricto może stać się nowo tworzona biblioteka, w której na samym starcie zrezygnuje się z utworzenia katalogu kartkowego, w której książki inwentarzowe od początku będą miały postać cyfrową, i w której dokumenty analogowe będą się pojawiać na krótko, wyłącznie w celu dokonania dygitalizacji; albo wcale.

## BIBLIOTEKA A RZECZYWISTOŚĆ WIRTUALNA

W przytoczonej typologii Barkera najkrótsza i najmniej precyzyjna definicja dotyczy biblioteki wirtualnej. Faktem jest, że to popularne określenie nie tylko w stosunku do biblioteki bywa nadużywane, co jest wynikiem bardzo różnego rozumienia tego pojęcia. Problemy z interpretacją terminu „biblioteka wirtualna” wynikają z faktu, że przejęte z języka angielskiego (podobnie, jak wiele innych słów w ostatniej dekadzie) słowo „wirtualny” (ang. *virtual*: faktyczny, rzeczywisty, ale również: potencjalny, czyli mogący zaistnieć, pozorny) nie zapuściło jeszcze korzeni na polskim gruncie, a jego użycie bywa rozmaite. Nawet język polityki wzbogacił się ostatnio o to określenie. Jeśli jeden polityk o drugim mówi, że porusza się w rzeczywistości wirtualnej, to eufemistycznie daje do zrozumienia, że tamten mija się z prawdą lub jest niekompetentny. Słowo „wirtualny” jest co prawda obecne od dość dawna w polskiej leksykografii, ale bywa różnie wyja-

<sup>203</sup> J. B. Czermiński: *Od biblioteki elektronicznej do biblioteki wirtualnej...*, op. cit. s. 160.

śniane. W *Słowniku ilustrowanym języka polskiego* Michała Arcta z 1916 r. pojęcie „wirtualny” jest synonimem potencjalnego lub teoretycznego. Oznaczałoby na przykład teoretyczną prędkość, w której obliczeniu nie uwzględniono by tarcia i oporów powietrza (s. 265). Podobne wyjaśnienie znajdziemy także w *Słowniku wyrazów obcych* Władysława Kopalińskiego z 1994 r., gdzie wirtualny oznacza teoretycznie możliwy, mogący zaistnieć (s. 547). Jednak od czasu, gdy sztucznie wykreowaną za pomocą techniki komputerowej rzeczywistość zaczęto nazywać wirtualną, użycie tego terminu stało się kłopotliwe przez swoją wieloznaczność. Znalazło to także natychmiastowe odbicie w polskiej leksykografii. W *Słowniku współczesnego języka polskiego* wydawnictwa Wilga z 1996 roku słowo „wirtualny” oznacza właśnie i jedynie zastosowanie techniki komputerowej do kreacji sztucznej rzeczywistości (s. 1231). Mówiąc o bibliotece wirtualnej używamy określenia „wirtualna” w kontekście technologicznym, pamiętamy jednak o innym znaczeniu w ujęciu potocznym, kiedy „wirtualny” oznacza oderwanie od rzeczywistości, ewentualnie fałszywe jej przedstawianie<sup>204</sup>.

Termin **biblioteka wirtualna** święci ostatnio triumfy w publikacjach naukowych i popularnonaukowych z dziedziny bibliotekoznawstwa. Studenci tego kierunku piszą o bibliotekach wirtualnych prace semestralne, a bibliotekarze uczestniczą w seminariach i konferencjach na ten temat. Gdyby zastanowić się nad dotychczasowym użyciem określenia „wirtualna” z różnymi rzeczownikami, dojdziemy do wniosku, że stosuje się je dla opisu zjawisk niematerialnych, które – choć mają swoje odpowiedniki w rzeczywistości – mogą także być rozpatrywane w oderwaniu od wszelkich warunków fizycznych. Nicholas Negroponte zauważa, że problem ze zrozumieniem i stosowaniem określenia „wirtualna” wynika z faktu, iż łączenie tego słowa z jakimkolwiek zjawiskiem fizycznym nosi cechy nielogicznego językowo zwrotu zwanego oksymoronem,

*(...) czyli zestawienia pojęć treściowo sprzecznych, takich jak sztuczna inteligencja czy słodki ból. Gdyby przyznawano nagrody za najlepszy oksymoron, zwyciężyłaby na pewno rzeczywistość wirtualna*<sup>205</sup>.

Nikomu nie przyjdzie do głowy użyć terminów „wirtualna pralka” czy „wirtualne buty”. Tych przedmiotów nie zastąpi żaden elektroniczny byt. Skoro jednak stosowany jest termin „biblioteka wirtualna”, musi to oznaczać, iż możliwe jest funkcjonowanie biblioteki w oderwaniu od fizycznych zjawisk, które tradycyjnie się z nią kojarzą: książek, półek, magazynów, szatni, czytelni, czytelników i bibliotekarzy. Można przyjąć, że każda instytucja, z której usług można korzystać bez konieczności fizycznej obecności w niej, ma prawo twierdzić, że świadczy wirtualne usługi. Na tej podstawie możemy mówić o wirtualnej bibliotece, wirtualnej szkole, wirtualnym muzeum, wirtualnej księgarni itp. Ale nikt nie pomyśli o wirtualnym szpitalu.

Podzielone są zdania, co do słuszności wiązania idei biblioteki z technologią rzeczywistości wirtualnej. E. Chmielewska-Gorczyca, która początkowo przyjęła typologię Barkera<sup>206</sup>, wskazała później, iż ścisłe wiązanie idei biblioteki z technologią virtual reality jest przedwczesne<sup>207</sup>. Słusznie zauważyła, że tę technolo-

---

<sup>204</sup> Różnice w stosowaniu określenia „wirtualna” w ujęciu filozoficznym, potocznym i technologicznym według Petera Levy'ego omawia Wojciech Siwek w tekście *Hipertekstualna podróż przez wirtualne światy*. W: *Intermedialność w kulturze końca XX wieku*. Białystok, Trans Humana 1998 s. 143-160.

<sup>205</sup> N. Negroponte: *Cyfrowe życie. Jak się odnaleźć w świecie komputerów*. Warszawa, Książka i Wiedza 1997 s. 98.

<sup>206</sup> E. Chmielewska-Gorczyca: *Ku bibliotece wirtualnej*. „Zagadnienia Informatyki Naukowej” 1996 nr 1 s. 3-13.

<sup>207</sup> E. Chmielewska-Gorczyca: *Biblioteka wirtualna – wizja czy rzeczywistość?* „Przegląd Biblioteczny” 1996 z. 2/3 s. 117-131.



gię spotyka się w dziedzinach, w których symulacja komputerowa (mimo wysokich kosztów) jest jednak tańsza od rzeczywistych działań. W astronautyce, lotnictwie, medycynie itp., gdzie rzeczywiste szkolenia i eksperymenty wiązałyby się z ryzykiem i kosztami, wprzęgnięcie zaawansowanej technologii komputerowej (również kosztownej, bo wymagającej odpowiedniego hardware'u i dużej mocy obliczeniowej) byłoby mimo wszystko bardziej ekonomiczne. Natomiast:

*Korzystanie z biblioteki nie jest niebezpieczne ani kosztowne. (...) Tak więc pojęcia biblioteki wirtualnej nie można utożsamiać z ideą rzeczywistości wirtualnej, lecz traktować ten termin jako zapożyczony w celu określenia instytucji charakteryzującej się specyficznymi cechami i rozwiązaniami nie występującymi w tradycyjnych placówkach biblioteczno-informacyjnych*<sup>208</sup>.

Teksty Gorczyca na temat biblioteki wirtualnej były jednymi z pierwszych w polskiej literaturze bibliologicznej. Stały się więc popularne. Powtórzony za Barkerem<sup>209</sup> podział bibliotek przyszłości jest chętnie cytowany<sup>210</sup>. Robiąc to trzeba jednak pamiętać, że zasadniczym dla niej byłby tekst z „Przeglądu Bibliotecznego”, w którym nie wiązała już wyraźnie pojęcia biblioteki wirtualnej z technologią rzeczywistości wirtualnej. Uznała bowiem, że choć:

*W niektórych projektach istnieje, co prawda, element trójwymiarowej grafiki przedstawiający budynek biblioteki wraz z salami, katalogami, półkami i księgozbiorem (...) należy go jednak traktować nie jako istotną cechę biblioteki wirtualnej, lecz jako pewnego rodzaju metaforę przybliżającą użytkownikowi nowe dla niego środowisko elektroniczne. (...) Cech biblioteki wirtualnej należy więc szukać nie w urządzeniach RW czy trójwymiarowej grafice, lecz w różnej od dotychczasowej organizacji pracy i sposobów korzystania przez użytkowników*<sup>211</sup>.

Ścisłe wiązanie pojęcia „biblioteka wirtualna” z technologią rzeczywistości wirtualnej nie jest więc uzasadnione. Nie oznacza to jednak, że nie można brać pod uwagę zastosowania w przyszłości zaawansowanej grafiki komputerowej w dziedzinie usług bibliotecznych. Wiele wskazuje na to, że symulacja rzeczywistości bibliotecznej przy użyciu VRT (virtual reality technology) usprawniłaby proces wyszukiwania dokumentów, a na pewno uprzyjemniła. Rafał Michałowski technologię rzeczywistości wirtualnej definiuje następująco:

*Jest to iluzja uczestniczenia w syntetycznym środowisku w przeciwieństwie do zewnętrznego obserwowania takiego środowiska. Wirtualna rzeczywistość bazuje na trójwymiarowym, stereoskopowym, reagującym na ruchy głowy (head tracking) wyświetlaniu obrazu, śledzeniu i reagowaniu na ruchy ręki/ciała (hand/body tracking) oraz stereofonicznym dźwięku. VR jest wielobodźcowym doświadczeniem, w którym jego uczestnik jest zanurzony*<sup>212</sup>.

Możliwość zmiany punktu widzenia, w pewnym sensie przemieszczenia sensorycznie do innego otoczenia jest pociągająca i fascynująca. Oczywiście wydać się może śmiesznym zakładanie specjalnych okularów i rękawic w celu przeszukiwania katalogu biblioteki. Ale myśląc o wykorzystaniu zaawansowanej grafiki komputerowej w udostępnianiu zbiorów bibliotecznych, nie musimy na wstępie zakładać, iż konieczne jest stosowanie wszystkich wymienionych atrybutów

<sup>208</sup> E. Chmielewska-Gorczyca: *Biblioteka wirtualna...*, op. cit. s. 122.

<sup>209</sup> Cytowany wcześniej podział bibliotek przyszłości Barker zaprezentował w 1994 r. w czasopiśmie „The Electronic Library” (nr 4), a potem powtórzył go w „ELIS”.

<sup>210</sup> Zob. np. J. Reizes Dzieduszycki: *Literatura wirtualna – biblioteka wirtualna. Postulaty badawcze*. W: *Intermedialność w kulturze końca XX wieku*. Białystok 1998 s. 131-142.

<sup>211</sup> E. Chmielewska-Gorczyca: *Biblioteka wirtualna...*, op. cit. s. 122,123.

<sup>212</sup> R. Michałowski: *Rzeczywistość wirtualna a implementacja systemu dla pracy grupowej*. W: *Media a Edukacja*. Poznań, Wydawnictwo eMPi2 1998 s. 369.

VRT: hełmu, rękawic, skafandra itd. Pewną namiastką wirtualnej rzeczywistości są programy komputerowe posługujące się trójwymiarową grafiką. Znalazło to zastosowanie w grach typu FPP (first person perspective), a także w niektórych programach edukacyjnych. Dobrym przykładem zastosowania rzeczywistości wirtualnej, bez jej uciążliwych utensyliów, jest wydana w Polsce przez Optimus Pascal multimedialna „Encyklopedia Ptaków”. Korzystanie z niej polega na przechodzeniu przez realistycznie przedstawione sale, w których zgromadzono eksponaty muzeum przyrody.

Do poważnego potraktowania możliwości zastosowania VRT w bibliotekarstwie zachęcał m.in. Ch. Batt, który już prawie dekadę temu pisał:

*Czytałem opisy wirtualnej biblioteki, której idea wciąż się rozwija. Biblioteki, po której możesz chodzić bez potrzeby zbliżania się do jej budynku, w której książki są zawsze uporządkowane, a te które odpowiadają Twoim zainteresowaniom wprost wyskakują do Ciebie z półek. Możesz się śmiać, ale o tej koncepcji dostarczania informacji do wirtualnych stanowisk pracy (co jest przecież źródłem naszych dochodów) myślą poważnie dziwacy zamieszkujący zachodnie wybrzeże Ameryki. Jeśli spojrzeć na doświadczenia z przeszłości, to być może nie upłynie wiele lat, kiedy to co wydawało się żartem, stanie się produktem, który zagrozi naszym obecnym usługom<sup>213</sup>.*

Przykład poważnego potraktowania technologii rzeczywistości wirtualnej w zastosowaniach bibliotecznych dał Alan Poulter<sup>214</sup>. Uzasadnił, że zastosowanie VRT pozwoliłoby połączyć dwa sposoby informowania o zbiorach biblioteki, a tym samym w jednym trybie wykorzystać ich zalety. Biblioteka informuje o swych zbiorach tworząc rozbudowane katalogi, ale coraz częściej, dając wolny dostęp do zbiorów, informuje wprost o zawartości półek bibliotecznych. Posługiwanie się katalogiem jest oczywiście metodą szybszą i pewniejszą; szczególnie katalogiem automatycznym, który umożliwia złożone procedury wyszukiwawcze. Okazuje się jednak często, że wyszukiwanie poprzez katalog nie daje wszystkich możliwych i satysfakcjonujących czytelnika odpowiedzi. W bibliotece z wolnym dostępem przeglądanie półek daje czasem ciekawe, a nieoczekiwane wyniki. Pisał o tym Eco w swym esejju *O bibliotece*.

*Rzeczywiście często się zdarza, że idzie się do biblioteki, bo chce się książki o znanym tytule, ale główną funkcją biblioteki, a przynajmniej funkcją biblioteki w moim domu i w domach wszystkich znajomych, jakich możemy odwiedzać, jest odkrywanie książek, których istnienia się nie podejrzewało, a które, jak się okazuje, są dla nas niezwykle ważne. Co prawda, można dokonać tego odkrycia przeglądając katalog, ale nie ma nic bardziej pouczającego i pasjonującego niż szperanie po półkach, na których zgromadzone zostały wszystkie książki na określony temat, czego w katalogu ułożonym według autorów nie da się odkryć, i znalezienie obok szukanej książki innej, której się nie szukało, ale która okazuje się fundamentalna<sup>215</sup>.*

Niemale znaczenie ma także fakt, że przeglądanie półek wielu osobom po prostu sprawia przyjemność. Podobny mechanizm działa zapewne podczas masowych weekendowych odwiedzin hipermarketów przez całe rodziny. Krążąc przez długi czas po sklepowych korytarzach, nie robi się tego tylko w celu zrobienia niezbędnych zakupów. Robi się to także w celu doznania – niezbyt wyrafinowanych, ale jednak – przeżyć estetycznych. Specjaliści od marketingu dobrze wiedzą, jak ten mechanizm wykorzystać, bo w efekcie do wózków klientów trafiają towary, których zakupów absolutnie nie planowali.

<sup>213</sup> C. Batt: *Information technology in public libraries*. London, Library Association 1992 s. 60.

<sup>214</sup> A. Poulter: *Towards a virtual reality library*. „Aslib Proceedings” 1993 vol. 45 no 1 s. 11-17.

<sup>215</sup> U. Eco: *O bibliotece...*, op. cit. s.20.

Tę samą skłonność do kontaktu z rzeczywistością zamiast z projekcją rzeczywistości w postaci katalogu objawiają także klienci księgarń, na co również zwraca uwagę Poulter.

*Kiedy ludzie idą do księgarni bardzo rzadko posługują się katalogiem książek wystawionych na sprzedaż (jak Books in Print na mikrofiszach). Wolą raczej przeglądać półki, zadowoleni, że prowadzeni oznaczeniami na etykietach przyczepionych do półek dotrą, czy to według nazwisk autorów, czy według grup tematycznych, do rzeczy, których poszukują*<sup>216</sup>.

Jest jeszcze inny czynnik, który sprawia, że przeglądanie półek bibliotecznych jest metodą chętniej przez niektórych czytelników wybieraną niż korzystanie z katalogu automatycznego. Powód jest prosty. Są tacy, którzy nie potrafią posługiwać się katalogiem w ogóle, a komputerowym w szczególności. W tym miejscu warto wspomnieć o wynikach badań, na które powołuje się Micheline Hancock, pisząc o różnicach w zachowaniach czytelników przy posługiwaniu się katalogiem bibliotecznym i przy bezpośrednim dostępie do półek. Według owych badań – co jest zresztą łatwe do przewidzenia – umiejętność posługiwania się katalogiem rośnie wraz ze wzrostem wykształcenia czytelnika. Dlatego mocno zastanawiający jest fakt, że wśród badanych czytelników, z których większość stanowili studenci, tylko 25-50% korzystało z katalogów bibliotecznych<sup>217</sup>. Dowodząc niskich kwalifikacji sporej części czytelników do posługiwania się katalogami Poulter również powołał się na wyniki badań, które stwierdziły, że aż 25% użytkowników nie było w stanie przekroczyć ustalonego minimum w teście sprawdzającym umiejętność wyszukiwawcze przy użyciu katalogu automatycznego. Poulter tłumaczy to w sposób następujący:

*Stawianie pytań komputerowi jest zasadniczo nienaturalne. Zmusza to człowieka, by komunikował się z komputerem na warunkach narzuconych przez maszynę. Trzeba się tego nauczyć, a niestety wielu ludzi nigdy nie osiągnie tych zdolności*<sup>218</sup>.

Można więc założyć, że w społeczeństwie, w którym wzrasta odsetek analfabetów funkcjonalnych, przypadkowy użytkownik biblioteki, którego jakaś potrzeba zmusiła, by przekroczył jej progi, nie poradzi sobie z wyszukiwaniem w katalogu online. Takim czytelnikom pozostaje więc z pewnością przyjemne, ale w gruncie rzeczy chaotyczne i przypadkowe krążenie między półkami. I tu z drugiej strony ujawniają się zalety katalogu online. Po pierwsze, książka jest tam zawsze. W tym znaczeniu, że zawsze jest tam jej opis, a obok niego może się znaleźć jej abstrakt, a nawet hiperłącze do pełnego tekstu. Na półce natomiast z różnych powodów może książki brakować. Może być wypożyczona, przestawiona, przekazana do konserwacji lub zwyczajnie skradziona. Po drugie, nawet jeśli biblioteka posiada wiele egzemplarzy tego samego tytułu, wszystkie one znajdują się w jednym miejscu, na jednej półce. Innymi słowy, na książkę można się „natknąć” w jeden sposób, podchodząc do określonej półki. W katalogu online natomiast, dzięki indeksowaniu wielu elementów opisu książki, ten sam tytuł można znaleźć stosując wiele procedur wyszukiwawczych. Jest więc tak, jakby ta sama książka stała w wielu miejscach.

Poulter stara się udowodnić, że właściwe ludzkiej naturze i bliższe codziennym czynnościom jest przeglądanie (browsing) zamiast wyszukiwania (searching). Uważa, że rozwój katalogów OPAC powinien iść w kierunku większych

<sup>216</sup> A. Poulter: *Towards a virtual reality library...*, op. cit. s. 11.

<sup>217</sup> M. Hancock: *Subject searching behaviour at the library catalogue and the shelves. Implications for online interactive catalogues*. „Journal of Documentations” 1987 vol. 43 no 4 s. 303.

<sup>218</sup> A. Poulter: *Towards a virtual reality library...*, op. cit. s. 11.

możliwości przeglądania bez stawiania pytań. Różnica między przeglądaniem a wyszukiwaniem bywa niekiedy trudno uchwytna. Na przykład interfejs bazy Biblioteki Kongresu na CD oferuje w głównym menu obie opcje (Browse, Search), jednak przeciętny czytelnik nie zauważy tu istotnej różnicy, w obu przypadkach należy sformułować krótką instrukcję wyszukiwawczą, podając cechy formalne lub treściowe poszukiwanych dokumentów. Lepiej widać tę różnicę podczas korzystania z internetowych wyszukiwarek. Różnicę w podejściu do procesu wyszukiwania widać już w ich nazewnictwie, bo jedne z nich noszą miano „browserów” (internetowych katalogów), inne zaś miano „search engines” (internetowych maszyn wyszukiwujących). Pewnym utrudnieniem może być fakt, że ostatnio pojawiło się określenie „portal”, z którego nie wynika, jaki charakter ma dana wyszukiwarka. Czy jest „ręcznie”, a więc także krytycznie tworzonym katalogiem, czy raczej bazą automatycznie zindeksowanych wszelkich stron znalezionych w sieci. Internetowa wyszukiwarka jest o tyle dobrym przykładem dla twórców bibliotecznych OPAC-ów, że w niej najlepiej widać, jak bez stawiania systemowi pytań można dotrzeć do poszukiwanych informacji. Wyszukiwarki oferują w swym interfejsie okno dialogowe, w którym użytkownik może postawić quasi pytanie, ale też bez tego może znaleźć poszukiwany dokument, przechodząc przez kolejne gałęzie drzewa grup tematycznych zbliżonego nieco do drzewa klasyfikacyjnego.

Połączeniem zalet obu trybów wyszukiwania książek byłby katalog online wzbogacony o trójwymiarowy graficzny interfejs. Niegdysiejsze przejście z systemu operacyjnego DOS na system Windows bardzo uprościło komunikację użytkownika z komputerem. Zwolniło go z obowiązku pamiętania komend wydawanych systemowi i skomplikowanej niekiedy składni. Podobnie zastosowanie trójwymiarowego interfejsu w katalogu online zwolniłoby osoby nie potrafiące „rozmawiać” z komputerem z zadawania mu pytań. Uwzględniając różne umiejętności i upodobania użytkowników, twórcy systemu mogliby zaoferować czytelnikom już na starcie dwa sposoby przeglądania katalogu. Sposób – by tak rzec – tradycyjny, czyli kolejne wypełnianie pojawiających się pól dialogowych, albo interfejs trójwymiarowy, czyli „spacer” po tak rozumianej bibliotece wirtualnej. Obraz wirtualnej biblioteki musiałby jednak być naprawdę dobrej jakości, by odciągnąć zwolenników wertowania realnych półek od tego pomysłu.

Zatem myślą przewodnią manifestu Poultera na rzecz nowego typu OPAC<sup>219</sup> było danie użytkownikom możliwości poszukiwania dokumentów na określony temat poprzez nawigację między graficznie wyobrażonymi działami tematycznymi zbiorów biblioteki, a więc bez konieczności zadawania systemowi pytań. Czytelnicy nie zawsze wiedzą, o co pytać i jak formułować kwerendę wyszukiwawczą, a w przypadku wyszukiwania rzeczowego nie można mieć pewności, czy sformułowana instrukcja wyszukiwawcza była tą właściwszą. Tylko w teorii języków informacyjno-wyszukiwawczych pytanie o dendrologię daje ten sam efekt, co pytanie o drzewa i krzewy, w praktyce najczęściej trzeba formułować kilka instrukcji wyszukiwawczych, by uzyskać pełną informację o zbiorach na określony temat.

Współczesna grafika komputerowa umożliwia wzbogacenie informacji prezentowanych na ekranach komputerów podczas przeglądania katalogów online. Można je ożywić elementami graficznymi, które sprawią, że wyświetlane informacje staną się dla czytelnika bardziej przystępne. Osoby korzystające z katalogów online mają czasem problem z właściwym i szybkim odczytaniem danych ka-

---

<sup>219</sup> A. Poulter: *Browsing the virtual library*. W: *Encyclopedia of Library and Information Science* vol. 62. New York, Marcel Dekker Inc. 1998 s. 54-64.

talogowych. Problem właściwej prezentacji danych katalogowych nie jest przypisany wyłącznie do katalogów automatycznych. Znany był już w epoce katalogów kartkowych, gdy na przykład czytelnicy nie rozróżniali sygnatury i numeru klasyfikacji, co skutkowało nie zrealizowaniem zamówienia. Twórcy OPAC-ów zdają sobie z tego sprawę i niekiedy dodają w systemie możliwość wyboru sposobu wyświetlania danych np. z nazwami pól formatu zamiast nic nikomu nie mówiących numerów pól. Dodanie do „suchych” opisów książek nawet skromnych elementów graficznych ożywiłoby informację katalogową i być może sprawiło, że część czytelników, tracących czas na przypadkowe przeglądanie półek, życzliwym okiem spojrzalaby na katalog online. A. Jacquesson nazywa ten etap pośredni pomiędzy zwykłymi katalogami online a zaawansowanymi sprzętowo i programowo katalogami z trójwymiarową grafiką typem katalogu multimedialnego.

*Należy rozważyć budowę katalogów bibliotecznych nowego typu. Klasyczny opis bibliograficzny, wciąż niezbędny, powinien być uzupełniony obrazami (okładka, strona tytułowa, oprawa, portret itp.). Ekrany dostępu publicznego połączą tym samym procedury dostępu tradycyjnego z wyświetlaniem nowych elementów opisu na ekranach o dużej rozdzielczości obrazu. Efektem wyszukiwania będą, wyświetlane na ekranach publicznych, różne obrazy powiązane z wyselekcjonowanym opisem bibliograficznym<sup>220</sup>.*

Jacquesson słusznie zauważa, że ten sposób prezentacji dokumentów jest powszechnie stosowany w Internecie. Szczególnie widoczne jest to na stronach internetowych księgarń, gdzie oprócz opisu bibliograficznego książki i krótkiej charakterystyki treści znajdują się także reprodukcje okładek. Gdyby strony księgarń internetowych były tak sztywne i surowe jak ekrany niektórych OPAC, z pewnością nie notowałyby kolejnych rekordów odwiedzin. Biblioteki mają więc źródło inspiracji przy tworzeniu swoich katalogów multimedialnych. Mógłby ktoś powiedzieć, że na tym polega różnica między księgarnią i biblioteką, że ta pierwsza musi swój produkt sprzedać, przyciąga więc uwagę klienta na różne sposoby, także ciekawą grafiką stron internetowych. Natomiast obowiązkiem biblioteki jest rzetelne i szybkie poinformowanie o posiadanych zasobach, więc przeciążanie systemu transferem plików graficznych byłoby spowalnianiem procesu wyszukiwania. Na szczęście szybki postęp w dziedzinie sprzętu elektronicznego pozwala z nadzieją myśleć o skończeniu z siermiężną grafiką katalogów online. Niewykluczone też, że dostęp do zbiorów elektronicznych stanie się kiedyś elementem komercyjnej działalności bibliotek, wówczas będą one musiały zabiegać o klienta, tak jak czynią to dziś internetowe księgarnie, a więc także poprzez wzbogacanie informacji katalogowej o elementy multimedialne.

## DYSKUSJE NA TEMAT BIBLIOTEKI BEZ ŚCIAN

Mówiąc o bibliotece elektronicznej, cyfrowej, wirtualnej przeciwstawia się ją bibliotece tradycyjnej, a przecież to ostatnie określenie nie jest precyzyjne. Być może jest to tymczasowa kwestia językowa. Być może za lat kilkadziesiąt biblioteka, w której wszystkie główne funkcje są skomputeryzowane, mająca dużą część zbiorów na nośnikach magnetycznych i optycznych, dająca dostęp do sieci i występująca w sieci też będzie nazwana tradycyjną, bo jej celem i wzorem bę-

---

<sup>220</sup> A. Jacquesson: *Automatyzacja bibliotek...*, op. cit. s. 125.

dzie wówczas biblioteka cyfrowa, której zbiory są zdigitalizowane i w formie pełnotekstowej dostępne na miejscu i zdalnie. Widać więc, że wkroczenie komputerów do bibliotek i stopniowe przejmowanie przez nie podstawowych funkcji, włącznie z przechowywaniem zbiorów sprawiło, że pojawiła się potrzeba nowego nazewnictwa, szczegółowego określenia typów bibliotek. Najwięcej kontrowersji budzi określenie **biblioteka bez ścian**, będące dosłownym tłumaczeniem angielskiego terminu „library without walls” dość widocznego w anglo-amerykańskim piśmiennictwie bibliologicznym<sup>221</sup>. Nie wszyscy traktują ten zwrot dosłownie, **można go bowiem rozumieć jako pewną metaforę, oznaczającą wyjście ze zbiorami poza mury biblioteki, udostępnienie tych zbiorów na dowolną odległość, możliwość wymiany nie tylko rekordów, ale także zbiorów w postaci cyfrowej z innymi bibliotekami**. Tak rozumiałby ten efektowny, lecz kontrowersyjny zwrot A. Radwański, według którego hasło „the library without walls” oznacza „ideę przetwarzania rozproszonego” w przeciwieństwie do „przetwarzania scentralizowanego, będącego kontynuacją klasycznej idei biblioteki”<sup>222</sup>.

Logiczne i uprawnione są twierdzenia, że transformacja bibliotek, wyrażająca się zmianą postaci zbiorów i spadkiem zatrudnienia, może dotyczyć także samego budynku. Chociaż, gdyby być skrupulatnym, należałoby stwierdzić, że biblioteka całkowicie zdigitalizowana, posiadająca całość zbiorów w postaci plików komputerowych na twardych dyskach serwerów sieciowych i w stacjach dysków optycznych, pozbawiona wszelkich innych form dokumentów (ciekawe, co miałyby się z nimi stać) nadal jest i będzie biblioteką ze ścianami. Określenie „library without walls” powinno być zatem stosowane i odczytywane wyłącznie metaforycznie. Może więc bezpieczniej byłoby używać określenia „library without shelves”.

Już 35 lat temu Licklider próbował nas przygotować na taki scenariusz rozwoju i transformacji bibliotek pisząc:

*Musimy być przygotowani na odrzucenie schematu biblioteki w sensie fizycznym, biblioteki jako pewnego porządku półek, kartotek, lad bibliotecznych, czytelń itd.*<sup>223</sup>.

Wizji Licklidera odpowiada charakterystyka bibliotek przyszłości autorstwa E. Chmielewskiej-Gorczyca:

*O ile więc w bibliotece elektronicznej zniknęły niektóre tradycyjne narzędzia biblioteczne, jak katalog, księga inwentarzowa, kartoteka czytelników, zaś w bibliotece cyfrowej zniknęły dodatkowo książki i czasopisma (księgozbiór i magazyn), o tyle w bibliotece wirtualnej zniknął i sam budynek biblioteczny*<sup>224</sup>.

Przeciwnicy takiej wizji biblioteki przyszłości stwierdzają, że dopuszczanie myśli o bibliotece bez ścian jest uproszczeniem funkcji biblioteki, sprowadzaniem jej do roli zwykłego pośrednika w przekazywaniu informacji. Tradycjoniści (co w tym wypadku nie oznacza uporczywego konserwatyzmu) dopominają się uznania innych ról biblioteki, w których wypełnianiu budynek jest absolutnie niezbędny. Bez budynku nie byłoby możliwe wypełnianie przez bibliotekę jej funkcji terapeutycznej i artystycznej. Budynek biblioteczny jest niezbędny, by czytelnik, potrzebujący kontaktu z oryginalnym dokumentem, a nie jego elektroniczną kopią, mógł z niego skorzystać. Takich czytelników jeszcze długi czas nie zabraknie. Być może jest w tym coś z mechanizmu, jaki towarzyszy obcowaniu

<sup>221</sup> Np. *Libraries without walls 2. The delivery of library services to distant users*. London, LA Publishing 1998.

<sup>222</sup> A. Radwański: *Ściany, biblioteki i nieporozumienia*. „Bibliotekarz” 1995 nr 7/8 s. 35.

<sup>223</sup> J. C. R. Licklider: *Biblioteki przyszłości...*, op. cit. s. 20.

<sup>224</sup> E. Chmielewska-Gorczyca: *Ku bibliotece...*, op. cit. s. 4.

z dziełami sztuki. Mimo, że dostępne są wspaniałe wydawnictwa albumowe prezentujące różne dzieła i dziedziny sztuki, a od pewnego czasu także wirtualne muzea w Internecie, ludzie nadal chętnie poświęcają czas i pieniądze na odwiedzanie realnych galerii.

Interesujący i zażarty spór na temat fizyczności biblioteki i jej przyszłych funkcji toczyli w ostatnich kilku latach na łamach „Bibliotekarza” cytowani już J. Wojciechowski i A. Radwański. Wojciechowskiemu zdecydowanie nie odpowiada pojęcie „biblioteka bez ścian”, zapewne dlatego, że odbiera je dosłownie. Definiuje bibliotekę, o czym była już mowa w podrozdziale „Inne prognozy zmierzchu książki drukowanej” (zob. przypis 78 s. 120), jako miejsce, gdzie oprócz komunikacji informacyjnej występuje też, a może przede wszystkim, komunikacja artystyczna, która według Wojciechowskiego obejmuje 80-85% całego obrotu bibliotecznego<sup>225</sup>. Zapewne autor ten myślał o bibliotekach publicznych, bo w bibliotekach wyższych uczelni, szczególnie w bibliotekach wydziałów kierunków ścisłych, byłaby to proporcja zdecydowanie odwrotna na korzyść komunikacji informacyjnej<sup>226</sup>. Wychodząc jednak z założenia, że komunikacja artystyczna w bibliotece dominuje, a zautomatyzować jej nie można, J. Wojciechowski sceptycznie odnosi się do idei biblioteki bez ścian. Prawda jest połowiczna. Komunikację artystyczną da się oczywiście zautomatyzować, o czym świadczą elektroniczne wersje dzieł literatury polskiej i obcej dostępne w Internecie i na dyskach CD, choć na pewno nie będzie w przyszłości dostępu do całości dotychczasowego piśmiennictwa drukowanego w alternatywnej wersji elektronicznej. Raz, że nie wszystko, co się kiedyś ukazało, zostanie zdigitalizowane, a dwa, że ukazująca się na bieżąco nowa literatura piękna w formie drukowanej (a na pewno taka będzie) z przyczyn komercyjnych i prawnych nie będzie równolegle udostępniona w formie elektronicznej (chyba, że odpłatnie, ale to bibliotek na razie nie dotyczy). A. Radwański ripostował więc, przedstawiając inne wyobrażenie funkcjonowania bibliotek:

*Cywilizacja nie zatrzyma się nagle na roku 2000. Będą nowe technologie, nowe procesy społeczne, kulturowe. Nie przypuszczam, żeby pokolenie wychowane na MTV, multimediami, Internecie i grach komputerowych, kultywowało ciche czytanie i medytacje wśród bibliotecznich regałów*<sup>227</sup>.

Dużo racji ma A. Radwański polemizując z J. Wojciechowskim na temat typów komunikacji w obiegu bibliotecznym. Wojciechowski wprowadził kryterium intencjonalności informacji. Według niego informacją jest to, co zostało nadane z intencją informowania, a dzieła biorące udział w komunikacji artystycznej z tą intencją nie powstawały<sup>228</sup>. Tymczasem Radwański słusznie zauważa, że nie da się na tej podstawie w ostry sposób oddzielić obu typów komunikacji, bowiem są dzieła literackie, które mogą czasem służyć badaczom taką samą pomocą jak dzieła naukowe. Pyta więc retorycznie:

*A Schliemann? Co byłoby z ruinami Troi, gdyby dał się przekonać ówczesnym autorytetom, że Homer to wyłącznie literatura*<sup>229</sup>.

<sup>225</sup> J. Wojciechowski: *Ściany bez bibliotek...*, op. cit. s. 10.

<sup>226</sup> Warto zaznaczyć, że w tym samym roku ukazała się w USA książka Crawforda i Gormana *Future Libraries*, w której autorzy stawiają podobną tezę. Według nich 80% działań w bibliotekach publicznych nie dotyczy przekazywania bieżącej informacji. Te 80% to głównie czytelnictwo literatury pięknej, ale też realizacja różnych programów na rzecz społeczności lokalnej. [„Future libraries” s. 134]

<sup>227</sup> A. Radwański: *Ściany, biblioteki...*, op. cit. s. 36.

<sup>228</sup> J. Wojciechowski: *W kręgu informacji i nieinformacji*. „Bibliotekarz” 1998 nr 4 s. 2-5.

<sup>229</sup> A. Radwański: *Szanujmy McLuhana*. „Bibliotekarz” 1998 nr 10 s. 5.

Intencja informowania nie jest więc wystarczającym warunkiem uznania przekazu za informację. Są dzieła literackie tak przeładowane informacją, że dają wiedzę o świecie, ludziach, miejscach i wydarzeniach lepszą niż niejedna praca naukowa. Czyż powieść *Zły* L. Tyrmanda, a szczególnie *Dziennik 1954* nie dostarczają bogatej wiedzy o powojennej Warszawie? Czyż *Doktor Faustus* T. Manna, zawierający mnóstwo uwag na temat teorii i interpretacji dzieł muzycznych nie powinien być lekturą obowiązkową nie tylko na studiach germanistycznych, ale także muzykologicznych. Są poza tym autorzy, którzy „ubierając” swoje dzieło w literaturę, intencjonalnie i z premedytacją informują. Najlepszym przykładem jest *Imienia Róży* U. Eco. Podobnie jest z powieściami W. Łysiaka, czy popularnego ostatnio w Polsce J. Gaardera. Dodajmy jednak na korzyść argumentacji Wojciechowskiego, że podanych przykładów „informacyjnej literatury pięknej” nie można mimo wszystko zaliczyć do kręgu komunikacji informacyjnej. Na problem należy bowiem spojrzeć nie tylko z punktu widzenia nadawcy (ma intencje informowania, czy nie?), ale też z punktu widzenia odbiorcy (szuka informacji, czy przeżyć estetycznych?). Uczestnik komunikacji informacyjnej bierze w niej udział, bo szuka informacji. Natomiast przeciętny czytelnik *Imienia Róży* szuka wrażeń estetycznych, a że przy okazji zetknie się z mediewistyką, to już tylko zasługa Eco, który w swym dziele potrafił połączyć przyjemne z pożytecznym.

**Przywołane dotychczas publikacje pokazują, że nie brakuje ludzi, którzy uważają, iż nadal po informację i wrażenia artystyczne będziemy przychodzić do biblioteki. Nie jest możliwe, by kiedykolwiek całość obecnych zbiorów bibliotecznych uległa przeistoczeniu do postaci cyfrowej. Biblioteki będą istnieć zawsze. Ze ścianami, personelem i zbiorami. Zmieniają się ich funkcje, zmieni sposób pracy bibliotekarza i wymagane kwalifikacje. Zmieni się być może dominujący w tych zbiorach nośnik, ale uniwersalna forma i ergonomia książki<sup>230</sup> przemawia za utrzymaniem przez nią jednej z głównych ról w obrocie bibliotecznym.**

## DYGITALIZACJA ZBIORÓW BIBLIOTECZNYCH

Wymowny rysunek zamieszczono na wstępie pierwszego wydania książki F.W. Lancastera *Libraries and librarians in an age of electronics*. Na rysunku dystyngowany bibliotekarz w surducie i muszce, wydawałoby się człowiek starej daty, czyli według stereotypu odporny na nowinki techniczne, stojąc na drabince wyjmując z wysokiego bibliotecznego regału kolejne książki i wrzuca je do otworu w obudowie komputera. Z całą pewnością nie jest to tak zwana niszcarka, ale

---

<sup>230</sup> Cechę tę (poręczność kodeksu) mają na względzie twórcy urządzeń łączących funkcję książki i komputera. W słynnym MIT (Massachusetts Institute of Technology) opracowano już technologię tzw. elektronicznego papieru, dzięki któremu można tworzyć przedmioty mające kształt książki, ale którym de facto bliżej do notebooka. Istotną funkcję pełni tam tzw. elektroniczny atrament, którym wypełniona jest elektroniczna kartka. Są to po prostu miliony maleńkich czarno-białych kulek, które pod wpływem impulsu elektrycznego ustawiają się odpowiednią barwą, tworząc – tak jak piksele na ekranie komputera – obraz strony tekstu (zob. E. Dziekańska: *Niecodzienna książka*. „Chip” 1998 nr 8 s. 30-31). Pytanie tylko czy te urządzenia będą w stanie poważnie zagrozić książce drukowanej. Przykład kasety DAT firmy SONY, górującej technologicznie nad popularnym standardem Compact Cassette PHILIPSA, pokazuje, że nowa, szybsza i sprawniejsza technologia nie zawsze potrafi odebrać dotychczas stosowanym narzędziom ich funkcje.



alegoryczne przedstawienie dygitalizacji<sup>231</sup> zbiorów bibliotecznych. Udało mu się w ten sposób „opróżnić” już kilka półek i chyba wcale nie zamierza kończyć tego „czyszczenia” swojej biblioteki z pozostałości kultury druku. Czy nadal jest to metafora, czy już rzeczywistość? Nie ulega wątpliwości, że jest to apoteoza ogromnej pojemności pamięci stałej komputera, mogącej zmieścić dużą część lub całość zbiorów biblioteki.

Warunkiem sine qua non powodzenia przedsięwzięcia zwanego biblioteką cyfrową jest przekonwertowanie pewnej części zbiorów (bynajmniej nie całości) z formatu analogowego na format cyfrowy. Tak utworzona nowa kolekcja stałaby się zaczątkiem biblioteki cyfrowej. Nawet jeśli większa część zbiorów pozostałaby tylko w formie papierowej i innych formatach analogowych, kopie cyfrowe niektórych z nich byłyby dostępne w trybie online. Ten fragment oferty biblioteki nosiłby miano biblioteki cyfrowej lub – jak wolą niektórzy – biblioteki wirtualnej,

---

<sup>231</sup> Zanim nastąpi omówienie najważniejszych zasad i metod dygitalizacji materiałów bibliotecznych, warto wspomnieć o pewnym problemie językowym. Jak łatwo zauważyć, stosuję formę „dygitalizacja”, a więc pisownię przez „y” i jest pod tym względem w mniejszości. Problem jest o tyle istotny, że dotyczy rdzenia wyrazu, a nie końcówki, co może stwarzać pewne problemy w budowie tezaurusów, katalogów, słowników, indeksów i tym podobnych źródeł informacji. Określenie procesu przenoszenia dokumentów analogowych do formatu cyfrowego pochodzi wprost z literatury anglo-amerykańskiej (digitising) i wielu autorów zwykło je stosować w nieznacznie spolszczonej formie z zachowaniem rdzenia angielskiego, czyli z pisownią przez „i”. Język polski miał zawsze skłonność upraszczania wymowy i pisowni polskiej w takich przypadkach, co objawiało się zastępowaniem głoski „i” w oryginale głoską „y” w wersji spolszczonej. Wydaje się, że taka zasada powinna obowiązywać także w przypadku „dygitalizacji”. Można wskazać wiele analogicznych przykładów słów w języku angielskim (bez względu na to, z jakich języków pochodzą pierwotnie), których polskie odpowiedniki przechodzą – wydawałoby się naturalną – zamianę „i” na „y”. Spójrzmy na przykład na słowa disk, discipline, dictator, director, discrimination, division i ich polskie odpowiedniki. Natomiast z jakichś względów użytkownicy formy „dygitalizacja” nie chcą zastosować zasady spolszczania stosowanej w przypadku podanych wyżej słów. Są faktycznie w większości, co przecież nie znaczy, że mają rację. Omawiany termin nie zagościł jeszcze na dobre w polskiej leksykografii. Rzecz można, że jest raczej nieobecny niż obecny. Nieliczne słowniki, które uwzględniają to pojęcie podają pisownię z „i”. Termin „digitalny” wymienia *Nowy słownik ortograficzny PWN z zasadami pisowni i interpunkcji* z 1997 r. *Nowy leksykon PWN* z 1998 r. idzie nawet dalej. Stosuje bowiem odsyłacz od terminu „digitalizacja” do pozornie polskiego odpowiednika „cyfryzacja” i dopiero przy nim podaje wyjaśnienie. Od terminu dygitalizacja (ewentualnie digitalizacja) nie ma już w polskim piśmiennictwie odwrotu. Pozostaje więc ujednotocić pisownię rdzenia wyrazu. Użycie w tej sytuacji określenia „cyfryzacja” nie tylko nie jest spolszczeniem, ale też niczego nie upraszcza. Obie możliwe formy pisowni z „i” lub z „y” są stosowane równolegle, co nie jest pożądanym zjawiskiem językowym. Jedna z polskich wyszukiwarek internetowych po podaniu w kwerendzie wyszukiwawczej kolejno obu form dała ponad 300 odpowiedzi z „digitalizacją” i około 20 z „dygitalizacją”. Być może jest to oznaka powolnego przekonywania się większości do pisowni z „i”. Za kolejny argument tej opcji mógłby służyć przykład procesora tekstu Microsoft Word. Wbudowany moduł sprawdzania pisowni podkreśla jako błędną tylko formę z „y”. Wśród stron WWW zawierających termin „digitalizacja” był między innymi wirtualny słownik terminów komputerowych Wydziału Mechanicznego Politechniki Koszalińskiej pod adresem <http://panda.tu.koszalin.pl/BK/kon/alfa>. Z drugiej jednak strony wśród stron z formą „dygitalizacja” jest również dokument o charakterze słownika – słownik słów kluczowych bazy danych o badaniach naukowych SYNABA Ośrodka Przetwarzania Informacji w Warszawie pod adresem <http://www.opi.org.pl/synabapl.htm>. W bazie tej znajdziemy zarówno termin „dygitalizacja”, jak też „digitalizacja”. Co ciekawe, termin „dygitalizacja” jest hiperłączem do dokumentu posługującego się obiema możliwymi formami. Zagadnięty w tej kwestii znany językoznawca prof. Jerzy Bralczyk stwierdził, że raczej zwycięży forma z „i”. Uznał bowiem, że istotny jest moment zapożyczenia. Gdyby zapożyczenie nastąpiło w XIX wieku z pewnością pisalibyśmy przez „y”. Dodać można na zakończenie, że S. Lem w swej głośniejszej książce *Bomba megabitowa* stosuje pisownię przez „i”, natomiast w książce A. Jacquessaona *Automatyzacja bibliotek* tłumacze zastosowali formę z „y”. Taka sama pisownia jest też w polskiej edycji książki B. Steinbrinka *Multimedia. U progu technologii XXI wieku*. Podane przykłady pokazują, że sposób pisowni jest wciąż kwestią otwartą. Mimo przewagi zwolenników pisowni z „i” pozostają – być może niesłusznie – przy formie „dygitalizacja”.

a od potrzeb i upodobań użytkowników zależałoby, z jakiego formatu w danym momencie korzystają. Byłoby to wspaniałym zwycięstwem idei pluralizmu form – ta sama treść w różnych formatach fizycznych. Idealną sytuacją byłaby możliwość wyboru formatu dokumentu przez czytelnika. Zwolennik płynnej, linearnej lektury dokumentów drukowanych mógłby trzymać się swych przyzwyczajęń, nie będąc zmuszanym – wbrew przekonaniom – do korzystania z dokumentów elektronicznych. Danie czytelnikowi wyboru byłoby bardzo pożądanym rozwiązaniem. Powstaje tylko pytanie, czy realnym. Zależałoby to od odpowiedzi na pytanie, co jest głównym celem biblioteki w realizacji programu dygitalizacji zbiorów. Czy tylko program minimum, a więc ochrona i zabezpieczenie najcenniejszych zbiorów, czy też program poszerzony, którym objęto by także dokumenty nie wymagające specjalnej ochrony. Niestety, wszystko wskazuje na to, że w większości bibliotek z powodów ekonomicznych i prawnych zwycięży program minimum. Dygitalizacji poddane będą w pierwszej kolejności zbiory rzadkie i cenne.

Nie byłoby dobrym rozwiązaniem utrwalenie się zasady, że nie udostępnia się dokumentów drukowanych w sytuacji, gdy jest dostępna ich wersja elektroniczna. Oznaczałoby to sprowadzenie dokumentów elektronicznych do tej samej roli, jaką pełnią w bibliotekarstwie mikroformy. Dopatrywanie się analogii z sytuacją udostępniania mikroform nie byłoby jednak słuszne. W bibliotekarstwie panuje powszechne przekonanie, że mikroformy służą zabezpieczeniu zawartości najcenniejszych i zagrożonych zniszczeniem zbiorów papierowych<sup>232</sup>. Ograniczenie dostępu do papierowych oryginałów w sytuacji, gdy istnieje dokument wtórny w postaci mikroformy (choć niechętnie widziany przez większość czytelników), jest wyjściem słusznym i uzasadnionym. Rola dokumentów elektronicznych powinna być jednak widziana szerzej. Powinny nie tylko, tak jak mikroformy, służyć zabezpieczeniu najcenniejszych zbiorów, ale też być alternatywnie (nie obligatoryjnie) dostępną inną formą dokumentu, stosowaną w określonej sytuacji, przez czytelników o określonych potrzebach informacyjnych. Najkrócej tę myśl opisywałaby zasada: mikroformy są „zamiast”, dokumenty elektroniczne są „oprócz”.

Biblioteki muszą otworzyć się na format elektroniczny zbiorów, bo nie mogą pomijać faktu, że w czasie gdy liczba książek i czasopism drukowanych wzrasta rocznie 10-15%, liczba publikacji elektronicznych wzrasta kilka razy szybciej. Nie można nie uwzględnić tej masy tytułów w ofercie bibliotek. Nie wynika to zresztą tylko z ich ilości i ewentualnego zainteresowania czytelników. Podyktowane to będzie także względami ekonomicznymi, bo alternatywą dla dygitalizacji jest konieczność budowy coraz większych budynków magazynowych. Obliczono na przykład, że koszt budowy nowego budynku bibliotecznego dla Biblioteki Uniwersyteckiej w Kalifornii wynosi w przeliczeniu na jedną książkę 20\$, a Uniwersytet Kalifornijski potrzebuje rocznie 12 mil amerykańskich (ok. 20 km) dodatkowej powierzchni magazynowej dla nowych druków gromadzonych w dziewięciu kampusach tej uczelni<sup>233</sup>. Gdyby przyjąć, że na metrze bieżącym półki magazynowej mieści się średnio 50 książek, to roczny koszt budowy magazynów dla tej uczelni wyniósłby ok. 20 milionów dolarów. Tak duże sumy muszą więc skłaniać do rozważań i kalkulacji odnośnie alternatywnego sposobu gromadzenia i przechowywania dokumentów.

---

<sup>232</sup> Wyjątkiem są katalogi biblioteczne na mikroformach, które powstają nie tyle w celu ochrony katalogów kartkowych, ile w celu ułatwienia ich dystrybucji.

<sup>233</sup> M. Buckland: *Redesigning library services...*, op. cit. s. 11.

Podobnych obliczeń dokonali bibliotekarze z Uniwersytetu w Nowym Jorku, uznając że szeroko zakrojona dygitalizacja pozwoli zaoszczędzić około 20 milionów dolarów, które w przeciwnym razie należałoby przeznaczyć na nowy budynek magazynowy. M. Malinconico i J. Warth podają też, że dygitalizacja książek poprzez skanowanie nie powinna kosztować więcej niż 100\$ w przeliczeniu na jeden wolumin, czyli mniej więcej tyle, ile kosztowałoby zmikrofilmowanie tej samej książki<sup>234</sup>. Choć koszt jest ten sam, jest jednak istotna różnica. Obie formy służą miniaturyzacji zbiorów, ale dygitalizacja daje rzecz jasna dużo większy współczynnik miniaturyzacji.

Rozwijanie kolekcji drukowanej, przy jednoczesnym tworzeniu kolekcji cyfrowych duplikatów dokumentów papierowych, byłoby co najmniej podwojeniem kosztów rocznego finansowania programu gromadzenia zbiorów i wobec powyższych wyliczeń nie miałyby sensu. Wydaje się jednak, że podany wyżej koszt nie jest wystarczającą zachętą do rozpoczęcia programu dygitalizacji. Dokonany rachunek na tym etapie jeszcze przemawia przeciw dygitalizacji. Dopóki jej koszty będą porównywalne z kosztami budowy nowych gmachów bibliotek, nie będzie z punktu widzenia ekonomicznego szczególnej potrzeby przenoszenia zbiorów na format cyfrowy. Ale trzeba też pamiętać o innych korzyściach formatu cyfrowego, które wspierają argumentację na rzecz dygitalizacji.

Zwolennicy dygitalizacji zbiorów bibliotecznych zwracają uwagę na pozaekonomiczne korzyści, jakie biblioteki odnoszą z faktu posiadania duplikatów w formacie cyfrowym. Jednym z tych zwolenników jest M. Lesk, który podaje trzy zalety formatu cyfrowego<sup>235</sup>. Pierwsza zaleta to możliwość udostępniania kopii dokumentów szczególnie chronionych. Jest to kwestia oczywista, bo duplikat cennego dokumentu – wykonany jakąkolwiek techniką – zawsze daje możliwość udostępniania treści przy zachowaniu pełnej ochrony dokumentu oryginalnego. Lesk zwraca więc uwagę, że w bibliotekach, które w gruncie rzeczy są instytucjami egalitarnymi, dzięki technologii skończyć się może proceder wyróżniania pewnych kategorii czytelników uprzywilejowanych, którzy mają – z racji wykonywanego zawodu – dostęp do rękopisów, starodruków i innych cimeliów. Drugą zaletą dokumentów cyfrowych jest ich stała dostępność. Udostępnienie dokumentu cyfrowego poprzez sieć komputerową nie oznacza tymczasowego jego zawłaszczenia, jak to ma miejsce w przypadku dokumentów analogowych. Z dokumentu cyfrowego udostępnionego przez bibliotekę poprzez sieć może korzystać jednocześnie wielu użytkowników, a po wykorzystaniu pracownik magazynu nie musi zadbać o to, by dokument trafił z powrotem na swoje miejsce w magazynie. Ów dokument tego miejsca de facto nigdy nie opuszcza. Należy jednak zaznaczyć, iż twierdzenie o stałej dostępności dokumentu cyfrowego jest prawdziwe pod warunkiem stałego funkcjonowania urządzeń, które służą jego udostępnianiu. Jest wiadome, że sprzęt komputerowy wymaga okresowych wyłączeń w celu konserwacji, aktualizacji oprogramowania, instalacji nowych elementów systemu. Widać to dobrze w Internecie, gdy od czasu do czasu wyszukiwarki internetowe (search engines) stają się z różnych przyczyn (również z powodu działalności hackerów) okresowo niedostępne.

Trzecią według Leska zaletą formatu cyfrowego jest niewyobrażalna miniaturyzacja. Był to już zresztą argument przemawiający niegdyś za wprowadzeniem do bibliotekarstwa mikroform. Ale oszczędność rosnących w cenę powierzchni magazynowych jest dużo bardziej widoczna przy użyciu formatu cyfrowego niż

---

<sup>234</sup> S. M. Malinconico, J. C. Warth: *Electronic libraries: how soon?...*, op. cit. s. 137-138.

<sup>235</sup> M. Lesk: *Cyfrowe książki...*, op. cit. s. 36.

w przypadku stosowania mikroform. Spór o to, ile faktycznie stron maszynopisu zmieści się na jednym krążku CD<sup>236</sup> jest wobec tego naprawdę mało istotny.

Do zalet podanych przez Leska można dodać co najmniej dwie. Po pierwsze dobrej jakości kopia cyfrowa daje użytkownikowi znacznie więcej niż kopia analogowa (fotokopia, mikroforma). W przypadku dokumentów tekstowych w wersji cyfrowej mamy możliwość szybkiego wyszukiwania pełnotekstowego. W przypadku dokumentów graficznych – pod warunkiem zastosowania odpowiedniej rozdzielczości i ustawienia palety barw – wiernie oddana jest kolorystyka i szczegóły obrazu. Po drugie każda kolejna kopia cyfrowa zachowuje jakość pliku źródłowego. Innymi słowy, wykonanie kopii z kopii nie powoduje żadnego spadku jakości, jak to ma miejsce w środowisku analogowym.

Zalety dokumentów cyfrowych wynikają w prosty sposób z oceny niedoskonałości dokumentów papierowych. M. Buckland podaje cztery punkty, pod względem których dokument papierowy ustępuje elektronicznemu.

- korzystanie z dokumentu papierowego wymaga, by użytkownik znajdował się w tym samym miejscu co dokument,
- pojedynczy dokument może być w danym momencie wykorzystany tylko przez jedną osobę,
- kolekcja papierowych dokumentów staje się nieporęczna z powodu swoich rozmiarów, trudno nią operować,
- papierowej kolekcji nie można zostawić bez opieki bibliotekarzy, a skoro bibliotekarze nie pracują cały czas, biblioteka przez większość czasu jest niedostępna<sup>237</sup>.

Ta ostatnia uwaga warta jest rozwinięcia. Faktycznie nawet najdłużej otwarte biblioteki są w rzeczywistości przez większość czasu zamknięte. Biblioteka Publiczna miasta stołecznego Warszawy jest prawdopodobnie najdłużej w tygodniu otwartą biblioteką w Polsce (w dzień powszedni nawet 13 godzin), a mimo wszystko czas kiedy jest dostępna stanowi „tylko” 45% ogólnej liczby godzin w tygodniu. Natomiast idea biblioteki elektronicznej zakłada w znaczeniu czasowym 100% dostępność do zbiorów biblioteki. Oczywiście do tej ich części, która została zdigitalizowana i umieszczona na serwerze.

Choć istnieje do tego celu odpowiednia technologia, proces dygitalizacji zbiorów bibliotecznych i ich udostępniania w nowym formacie nie jest łatwy i nie przynosi szybko wyraźnych efektów. Przykładem może być program dygitalizacji zbiorów Biblioteki Narodowej w Paryżu. W 1998 roku Daniel Renoult pisał o programie GALLICA, którego celem jest udostępnienie online przez Internet dużej części zbiorów francuskiej biblioteki narodowej w formacie cyfrowym<sup>238</sup>. Nazwę GALLICA otrzymał serwer w BNF, który ma umożliwiać dostęp do cyfrowych wersji piśmienniczego dziedzictwa Francji. Jednak po upływie dwóch lat efekty nie były tak imponujące, jak zapowiadał wspomniany artykuł. Na stronie WWW (<http://gallica.bnf.fr>) jeszcze w połowie 2000 r. brakowało wersji anglojęzycznej serwisu (pojawiła się kilka miesięcy później), a z zapowiadanych dziesiątków tysięcy cyfrowych dokumentów zaprezentowano bardzo skromny wybór: m.in. jedną z ksiąg *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta i dostępne wprost z katalogu OPAC elektroniczne reprodukcje rękopisów najwybitniej-

---

<sup>236</sup> W zależności od źródła i daty publikacji spotkać można różne dane na ten temat. Przeważnie wielkości te oscylują w okolicy 300 000 stron maszynopisu na 1 CD.

<sup>237</sup> M. Buckland: *Redesigning library services...*, op. cit. s. 10-14.

<sup>238</sup> D. Renoult: *Innovation for arts and sciences. New technology in the French National Library*. „Art Libraries Journal” 1998 vol. 23 no 3 s. 20-22.

szych pisarzy francuskich (dla zwykłego czytelnika, a nie badacza literatury w sumie mało przydatne). Zapewne ze względu na ograniczenia prawa autorskiego nowsze publikacje nie mogą być jeszcze tą drogą rozpowszechniane.

Swego rozczarowania nie ukrywa też Michael Hart pomysłodawca przedsięwzięcia znanego pod nazwą „Project Gutenberg”. Przedsięwzięcie ma już 30 lat, a jego celem było przeniesienie do postaci cyfrowej 10 000 najwybitniejszych dzieł literatury światowej nie objętych już ochroną prawa autorskiego i udostępnienie jako freeware do końca 2001 r. Jeszcze w połowie lat dziewięćdziesiątych Hart i współpracownicy wierzyli, że założonego terminu uda się dotrzymać. Dziś wiadomo, że jest to niemożliwe. Na początku 2000 roku było gotowych tylko i aż 2500 elektronicznych tekstów „Projektu Gutenberg”. Hart ma nadzieję do końca roku 2001 osiągnąć liczbę 3300 e-tekstów. Jest to wyraźnie mniej niż planowano, choć i tak liczba imponująca<sup>239</sup>.

Powodów opóźnień w tych i innych przedsięwzięciach przenoszenia dokumentów na postać cyfrową jest kilka. Ogólna ocena tego, na ile ten proces jest kosztowny, skomplikowany i czasochłonny, zależy od przyjętej metody dygitalizacji. Podstawowym narzędziem w tym celu jest oczywiście komputer, a najprostszą metodą dygitalizacji tekstu jest jego ręczne przeniesienie przez klawiaturę do pamięci komputera. Ceny komputerów, jak już zostało to powiedziane, relatywnie spadają. Kwestia kosztów dygitalizacji może więc wydawać się mniej istotna. Jednak na dłuższą metę ta najprostsza metoda w praktyce bibliotecznej byłaby nieopłacalna i nierealna. Trudno wyobrazić sobie bowiem bibliotekę, która zatrudniałaby rzesze dodatkowych pracowników przenoszących ręcznie teksty książek i czasopism na dyski komputerów. Metoda ta ma na pewno jedną zasadniczą zaletę – pod warunkiem bezbłędnego przepisania tekstu. Daje możliwość późniejszego pełnotekstowego przeszukiwania gotowego pliku. Rachunek zysków i strat przemawia jednak przeciw tej metodzie. Efekty tak prowadzonej dygitalizacji byłyby w dłuższym okresie niewspółmierne do kosztów poniesionych na wynagrodzenia dla osób wpisujących teksty do komputera. Można sobie oczywiście wyobrazić przedsięwzięcie, w którym trud przeniesienia tekstów na format cyfrowy podzielono by pomiędzy instytucje i osoby partycypujące. Podobnie, jak to ma miejsce w tzw. katalogowaniu rozproszonym (ang. shared cataloging). Mógłby to być nawet Narodowy Program Biblioteki Elektronicznej. Instytucja lub ciało koordynujące musiałoby określić kanon dzieł, które zostaną poddane dygitalizacji, a następnie rozdzielić zadania. Ręczne przenoszenie tekstów do pamięci komputerów ma jednak również oczywistą wadę. Metodą tą można dygitalizować wyłącznie dokumenty tekstowe, wszelką prozę, dramaty, poezje, artykuły prasowe. Wszystkie jednak publikacje, w których oprócz tekstu występują inne, znaczące dla treści elementy (rysunki, tabele, zdjęcia, schematy, plany itp.) powinny być dygitalizowane w inny sposób, by nie naruszać zwartości ich przekazu.

Rozwija tę myśl Thomas Tanselle, który w artykule na temat przyszłości dokumentów prymarnych w epoce elektronicznej zwracał uwagę na istotny walor informacyjny korzystania z oryginałów. Choć teksty elektroniczne dają się dowolnie indeksować, to nie dają możliwości poznania układu typograficznego oryginału. Może to mieć przecież znaczenie dla niektórych badaczy. Dlatego Tanselle postuluje, by w przyszłości do tekstu elektronicznego, który jest kopią wprowadzoną wprost z klawiatury, dołączać bitmapową kopię wizerunku

---

<sup>239</sup> Na podstawie PG Newsletter – March 2000. Najnowsze informacje o realizacji PG podawane są regularnie na stronie www przedsięwzięcia pod adresem <http://promo.net/pg/>.

oryginału<sup>240</sup>. Trudno sobie wyobrazić, żeby pomysł Tanselle znalazł wielu zwolenników, bo dygitalizacja zbiorów bibliotecznych jest zbyt skomplikowaną i długotrwałą czynnością, aby realizować ją w jednej placówce więcej niż jedną metodą. Poza tym, nawet bitmapowa kopia dokumentu papierowego nie daje badaczom morfologii książki wielu ważnych dla nich informacji jak: rodzaj użytego papieru, rodzaj oprawy, zastosowany inkaust itd.

Rozsądek podpowiada, że w przyszłości proces dygitalizacji zbiorów bibliotecznych powinien dotyczyć głównie zbiorów starszych. Byłoby bowiem dziwne, gdyby biblioteki przenosiły do postaci cyfrowej nowe publikacje drukowane, skoro prawie wszystkie z nich powstawałyby przy użyciu komputera, więc na etapie przygotowania do druku miałyby już raz format cyfrowy. W przyszłości współpraca bibliotek tworzących zbiory elektroniczne z wydawnictwami powinna iść w tym kierunku, by oprócz wersji drukowanej otrzymywać wersję cyfrową. Łatwiej i taniej będzie chyba zakupić wersję cyfrową wraz z licencją udostępniania w sieci wewnętrznej biblioteki, niż samemu dokonywać dygitalizacji. Dygitalizowałyby się przecież to, co już raz było zdigitalizowane. Przypominałoby to działanie niektórych firm motoryzacyjnych. Zeby zmniejszyć cło, rozmontowuje się gotowe samochody, które w postaci części przekraczają granicę, by potem znów przybrać formę samochodu. O ile w przemyśle motoryzacyjnym ma to jakieś uzasadnienie ekonomiczno-prawne, o tyle w przypadku dygitalizacji zbiorów bibliotecznych, byłoby zbędnym dublowaniem pracy. Konkludując można stwierdzić, że metodę ręcznego przenoszenia dokumentów do postaci cyfrowej trzeba rezerwować tylko dla takich dokumentów tekstowych, w których elementy graficzne i typografia nie odgrywają żadnej istotnej roli, a przedsięwzięcie takie na większą skalę wymagałoby sprawnego zaplecza organizacyjnego i finansowego.

Dużo tańszą metodą i w sumie prostszą, bo nie wymagającą od człowieka szczególnego wysiłku intelektualnego, jak w przypadku ręcznego przenoszenia tekstów na dyski, jest zwykle skanowanie. Jest to metoda najtańsza i najszybsza, ale nieuzasadniona w przypadku niektórych typów dokumentów. Wynikiem zwykłego skanowania strony książki jest obraz graficzny tej strony, który jako plik graficzny zostaje zapisany w pamięci stałej komputera. Oczywistym polem zastosowania zwykłego skanowania jest dygitalizacja zbiorów ikonograficznych. Zapisanie w formacie cyfrowym daje nie tylko możliwość wieczystego zachowania ich zawartości, ale także ułatwia ich rozpowszechnianie. Dzięki temu ikonografia może obok dokumentów tekstowych znaleźć się w ofercie bibliotek wirtualnych. Duże doświadczenie w tym względzie ma w Polsce Archiwum Dokumentacji Mechanicznej, które od lat zapisuje w formacie cyfrowym i utrwała na dyskach optycznych swe bogate zbiory fotograficzne.

Zwykle skanowanie prowadzi do powstawania dużych zbiorów dużych plików, które nadają się tylko do przeglądania, a nie wyszukiwania. W pliku, który jest tylko obrazem graficznym tekstu nie da się znaleźć w sposób automatyczny konkretnego zdania czy słowa kluczowego bez poddania owego pliku dodatkowej obróbce informatycznej. Podstawową zaletą w idei biblioteki elektronicznej jest wyszukiwanie pełnotekstowe. Tworzenie zatem ogromnych zbiorów plików graficznych, będących kopiami dokumentów tekstowych – choć z punktu widzenia zabezpieczenia zbiorów pożyteczne – jest w idei biblioteki elektronicznej jedynie półśrodkiem.

---

<sup>240</sup> G. T. Tanselle: *The future of primary records*. W: *Encyclopedia of library and information science vol. 58*. New York, Marcel Dekker Inc. 1996 s. 59.

Wyjściem jest trzecie rozwiązanie, czyli skanowanie z zastosowaniem programu rozpoznającego pismo. Ten typ programów nosi wspólną nazwę wyrażoną akronimem OCR (z ang. Optical Character Recognition) i oznacza umiejętność rozpoznawania znaków alfabetu w skanowanym tekście. Dygitalizacja z użyciem OCR pozwala łączyć zalety dwóch wcześniej omówionych metod dygitalizacji. Z jednej strony jest to metoda dużo szybsza od ręcznego przenoszenia tekstów do pamięci komputera, z drugiej strony otrzymuje się plik tekstowy dający się edytować i przeszukiwać.

Technika OCR ma też jednak swoje wady i wymagania. Skanowany dokument źródłowy powinien być bardzo czytelny, a stosowane w nim znaki powinny być ujednolicone. W praktyce oznacza to niemożność stosowania OCR do dygitalizacji rękopisów. W wyniku bowiem otrzymywałoby się pliki zawierające zbyt wiele błędów, a konieczność późniejszego naniesienia poprawek stawiałaby pod znakiem zapytania celowość stosowania tej metody dygitalizacji. Pojawia się też pytanie, czy potrzebne jest w ogóle tworzenie kopii cyfrowej rękopisu innej niż plik graficzny. Wydaje się, że raczej nie ma potrzeby dygitalizowania starych zbiorów do plików tekstowych. Być może pełnotekstowe wyszukiwanie tekstów inkunabułów byłoby ułatwieniem dla niektórych historyków i bibliologów, jednak potrzeba indeksowania tekstów dawnych ksiąg nie jest tak oczywista, jak potrzeba indeksowania współczesnego piśmiennictwa naukowego. Najrozsądniejszym wyjściem przy dygitalizowaniu rękopisów i starych druków byłoby więc utworzenie dwóch kopii cyfrowych, tak jak proponował cytowany Tanselle. Jedną byłby plik graficzny uzyskany podczas zwykłego skanowania, a drugą utworzony ręcznie prosty plik tekstowy w formacie ASCII. Korzystając równoległe z obu dokumentów, historyk mógłby jednocześnie analizować warstwę graficzną dawnej książki, a poza tym – o ile byłaby taka potrzeba – przeszukiwać dokument w trybie pełnotekstowym.

Oprócz faktu, że podczas skanowania z użyciem OCR uzyskuje się edytowalny plik tekstowy, a nie „martwy” plik graficzny, to istotne jest także, iż w tej metodzie wielokrotnie zmniejsza się wielkość wymaganej dla dokumentu przestrzeni dyskowej. By określić wielkość tych oszczędności przeprowadziłem eksperyment, próbując zapisać w różnych formatach graficznych i tekstowych zeskanowaną stronę wydruku komputerowego niniejszej książki. Do prób użyty został popularny program do rozpoznawania znaków Recognita Plus w wersji 5.0 i z polską opcją językową. Recognita jest zaawansowanym narzędziem, które w opcji zapisywania daje do wyboru bardzo dużo formatów graficznych i tekstowych. Spośród popularnych formatów graficznych oczywiście najmniej „oszczędny” jest format „bmp”. Strona niniejszego tekstu zapisana jako obraz w tym formacie zajęła aż 1,02 MB. Nieco bardziej oszczędny jest format „tiff”. Obraz tej samej strony zajął w tym formacie już tylko 211 kB. Recognita dokonywała skanowania z dość dużą rozdzielczością wynoszącą 300 dpi, a więc dla potrzeb skanowania zwykłego tekstu niezbyt potrzebną. Podczas skanowania z mniejszą rozdzielczością (bez udziału Recognity) w celu uzyskania plików w formacie „jpg” powstały pliki o zupełnie zadowalającej jakości obrazu i zdecydowanie najmniejszej wielkości: dla 150 dpi – 170 kB, a dla 100 dpi już tylko 92 kB.

Ale oczywiście największe oszczędności uzyskuje się stosując technologię OCR. Pliki zapisane w formatach „pdf” i „html” miały nieporównanie małe rozmiary (odpowiednio 4,6 i 3,35 kB), program miał jednak w ich przypadku pewne problemy z polskimi znakami diakrytycznymi (szczególnie w formacie „pdf”). Nieco większe są pliki zapisane w formacie „doc” dla Microsoft Word, ale w ich przy-

padku program Recognita nie miał żadnych problemów z polskimi znakami. Plik „doc” zgodny z Word 6.0 zajmował 7,5 kB, ale nie zachowały się elementy formatowania tekstu, natomiast plik zgodny z Word '97 zajął już 13 kB przestrzeni dyskowej, ale zachowały się elementy formatowania (wyjustowanie, ustawienie tabulatorów, zróżnicowanie czcionek). Na 2186 znaków znajdujących się na stronie program odczytał błędnie zaledwie 16, co dało prawidłowość odczytu w wysokości 99,26%. Owe nieliczne błędy pojawiły się przede wszystkim we fragmentach pisanych małą czcionką wielkości 10 punktów (odsyłacze przypisów i tekst przypisów). Najbardziej oszczędny był oczywiście plik w zwykłym formacie ASCII z rozszerzeniem „txt”, który zajął zaledwie 2,48 kB. Błędów pojawiło się jeszcze mniej (14), więc poprawność odczytu wyniosła 99,35%, lecz w tym wypadku nie mogły się zachować żadne elementy formatowania. Ostatnia liczba wydaje się fenomenalnym wynikiem. Wydaje się przecież, że poziom błędów jest zerowy. Faktycznie jednak naniesienie poprawek w miejscach, gdzie są błędy (a nikt nie ma pewności, że znalazł je wszystkie), zabiera więcej czasu niż sama czynność skanowania z OCR.

Przeprowadzone doświadczenie pokazało, iż nie ma wątpliwości, że skanowanie w celu utworzenia pliku graficznego jest najprostsze i najszybsze. Nie wymaga właściwie żadnej dodatkowej obróbki. Pliki graficzne, choć dużo większe niż pliki tekstowe, nie są aż tak duże, by sprawiały swą wielkością problem informatykom. W ogóle pojemność pamięci masowych nie jest już takim problemem, jak na początku lat dziewięćdziesiątych. Wielkość plików graficznych zależy od przyjętej rozdzielczości skanowania i formatu graficznego może jednak sprawiać problem, nie tyle w przypadku przechowywania, ale w przypadku transmisji plików. Jest więc dużym problemem dla instytucji realizującej program dygitalizacji zbiorów, a zamierzającej udostępnić swe elektroniczne zbiory w sieci rozległej, podjęcie decyzji, z jaką rozdzielczością mają być skanowane zbiory tekstowe i zbiory graficzne, i jaki przyjąć dla plików wynikowych format.

Jak jednak zostało stwierdzone, podstawowym mankamentem plików graficznych jest niemożność ich pełnotekstowego indeksowania. Z kolei skanowanie do plików tekstowych jest w sumie pracochłonne, a więc kosztowne, ale w jego wyniku otrzymuje się pełnowartościowy dokument, który z powodzeniem można włączyć do pełnotekstowej bazy danych. Dylemat jest więc prosty i wart dyskusji. Lepiej szybko i gorzej, czy dłużej, ale lepiej? Można jeszcze rozważyć wyjście pośrednie. Rozwiązanie polegałoby na tym, że biblioteka dokonywałaby dygitalizacji do plików graficznych i to one byłyby podstawowym formatem udostępniania. Ale też każde stanowisko pracy czytelnika byłoby wyposażone w program z technologią OCR, więc osoby zainteresowane wyszukiwaniem pełnotekstowym mogłyby samodzielnie uruchamiać proces rozpoznawania znaków z pliku graficznego. Ale też trzeba by się liczyć z większą ilością błędów niż podczas odczytu bezpośrednio z oryginału.

Podobne wielkości i dane na temat zwykłego skanowania graficznego i z zastosowaniem OCR znajdują się w artykule Judith Zidar. Autorka stwierdziła, że skanowanie z zastosowaniem OCR kosztuje 2 do 4 razy więcej niż skanowanie strony jako obrazu. Stwierdziła też, że cyfrowa kopia przeciętnej strony zawierającej około 3000 znaków będzie miała około 30 błędów. Choć więc jest to poprawność rzędu 99%, to jednak czas potrzebny na znalezienie i poprawienie tych błędów jest na tyle długi, że w niektórych przypadkach warto rozważyć ręczne przeniesienie tekstu z klawiatury<sup>241</sup>.

---

<sup>241</sup> J. A. Zidar: *Optical scanning and text recognition*. W: *Encyclopedia of Library and Information Science* vol. 56. New York, Marcel Dekker 1995 s. 292.



Wybór pomiędzy skanowaniem z OCR lub bez niego zależy oczywiście od rodzaju dokumentów przenoszonych na format cyfrowy. W dokumentach, w których grafika jest ważnym elementem treści powinno się zastosować zwykle skanowanie.

Szybko zauważono, że technologia OCR może być stosowana nie tylko do digitalizacji dokumentów prymarnych, ale także dokumentów pochodnych jak bibliografie i katalogi. Wydawało się w pewnym momencie, że metoda ta przyspieszy powolny proces retrospektywnego opracowania w katalogu automatycznym. Zwykle skanowanie kart katalogowych (bez użycia OCR) nie jest całkiem pozbawione sensu, bo w wyniku tego procesu otrzymuje się elektroniczny obraz katalogu, ale tylko w postaci plików graficznych, co oczywiście nie daje możliwości stosowania zaawansowanych procedur wyszukiwawczych<sup>242</sup>. Uzyskano by w ten sposób daleko idącą miniaturyzację katalogu, jednak nic ponad to, co od dawna oferują katalogi biblioteczne na mikrofiszach. Skanowanie karty katalogowej przy użyciu aplikacji OCR jest teoretycznie szybsze niż ręczne przeniesienie zawartości karty do pamięci komputera i zapewne byłaby to metoda szerzej stosowana, gdyby wszystkie karty były tworzone w tej samej technice. Tak jednak nie jest, a uwagę na to zwraca A. Jacquesson.

*Trudności sprawia przede wszystkim fakt, że katalogi dużych bibliotek powstawały przez ponad sto lat, i że w tym samym ciągu znajdują się znaki typograficzne z kilkudziesięciu różnych maszyn do pisania, nie mówiąc o ręcznych dopiskach, ani o kartach całkowicie zredagowanych ręcznie<sup>243</sup>.*

Liczba błędów powstałych podczas tego procesu byłaby tak duża, że całość przedsięwzięcia sprowadziłaby się do absurdu. Niemniej metoda warta jest rozważenia w przypadku dokumentów o jednolitej formie i typografii (np. drukowanych bibliografii). Okazuje się bowiem, że daje bardzo pozytywne efekty. Za przykład może służyć Biblioteka Królewska w Belgii, w której tą metodą dokonano opracowania retrospektywnego dużej części publikacji wykazanych w bibliografii narodowej Belgii, a poprawność pliku wynikowego w porównaniu z dokumentem wyjściowym osiągnęła aż 99,974%<sup>244</sup>.

Innym – poza czytelnością oryginału – wymaganiem przy skanowaniu (zarówno zwykłym, jak i w technologii OCR) jest odpowiedni kształt i ułożenie dokumentu źródłowego. Ci, którzy próbowali wykonać fotokopie dużych i sztywno oprawionych książek, wiedzą jakie fatalne efekty uzyskuje się na kopii, w miejscu gdzie oryginał nie dotknął powierzchni urządzenia. Podobne niepożądane efekty można uzyskać podczas skanowania na zwykłym płaskim skanerze. W celu uzyskania idealnego obrazu podczas skanowania należałoby zadbać o to, by skanowany dokument przylegał całkowicie do powierzchni skanera, a to niestety oznacza czasem konieczność „demontażu” książek. Budzić to może wątpliwości natury etycznej, ale w przypadku tańszych publikacji jest to metoda efektywna i najszybsza. Jacquesson opisuje, jak tę metodę stosuje się w Bibliotece Narodowej Francji:

*Zapis cyfrowy odbywa się na podstawie dwóch źródeł materialnych: 35 mm mikrofilmów i dokumentów oryginalnych, „wycinanych” krajarką (wycinki razem*

---

<sup>242</sup> Ciekawe rozwiązanie przyjęto w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Dokonano tam nietypowej konwersji katalogu kartkowego do katalogu automatycznego przez zeskanowanie kart. Powstał w ten sposób „elektroniczny substytut katalogu kartkowego”. Osoba korzystająca z katalogu komputerowego (również za pośrednictwem Internetu – <http://www.oss.wroc.pl>) ujrzy na ekranie graficzne kopie oryginalnych kart katalogowych, ale nie ma możliwości stosowania zaawansowanych procedur wyszukiwawczych poza zwykłym przeglądaniem według porządku alfabetycznego.

<sup>243</sup> A. Jacquesson: *Automatyzacja bibliotek...*, op. cit. s. 307.

<sup>244</sup> Tamże, s. 307.

z oprawą) w celu przeniesienia na nośnik cyfrowy w dobrych warunkach. Dokumenty są kupowane specjalnie pod kątem tej operacji, ponieważ są niszczone po dokonaniu zapisu elektronicznego<sup>245</sup>.

Identycznie postępuje Biblioteka Wydziału Prawa Uniwersytetu Chicagowskiego. Tam również dzieli się zakupione książki i czasopisma na luźne kartki, które po zdigitalizowaniu są zwyczajnie wyrzucane. Zapewne zwolennicy tradycyjnych bibliotek z dużą reprezentacją dokumentów drukowanych będą zbulwersowani takim postępowaniem, ale jest to najprostszy sposób otrzymania wyraźnego, czytelnego dokumentu elektronicznego. Przedsięwzięcie chicagowskie ma charakter komercyjny, dlatego studenci i firmy prawnicze mają dostęp do cyfrowych publikacji z dziedziny prawa w trybie online za opłatą i również za opłatą uzyskują kopie dokumentów, a opłaty skalkulowano tak, by część dochodu przeznaczyć na wynagrodzenie dla autorów zdigitalizowanych książek<sup>246</sup>.

Pewnym rozwiązaniem problemu podczas skanowania dokumentów, których wartość wyklucza ich demontaż, jest zastosowanie cyfrowych aparatów fotograficznych i cyfrowych kamer. Ich użycie byłoby nawet bardziej wskazane dla niektórych rodzajów dokumentów. A. Braid, pisząc o doświadczeniach British Library w tej dziedzinie, zauważył, że podczas skanowania rękopisów i starych druków wykonuje się nie jeden, a dwa niekorzystne dla nich zabiegi. Po pierwsze, podczas umieszczania na skanerze może wystąpić uszkodzenie poprzez zbytne naprężenie starej i kruchej oprawy. Po drugie, podczas skanowania oryginał przyjmuje szkodliwą dawkę promieniowania ultrafioletowego<sup>247</sup>. Zastosowanie kamer i aparatów cyfrowych – co prawda urządzeń kilka razy droższych od skanerów – zmniejszyłoby zagrożenia dla zbiorów specjalnych podczas procesu dygitalizacji. Profesjonalne urządzenia oferowane dużym bibliotekom i archiwom nie powodują fizycznych uszkodzeń dokumentów w procesach reprograficznych. Na przykład już dawno firma Rank Xerox wprowadziła na rynek kopiarkę Xerox 5042 reklamowaną jako: „Pierwsza kopiarka, która traktuje książki, jak ty zwykleś to robić”. Faktycznie urządzenie to zamiast zwykłej płyty znanej z kopiarek biurowych ma układ szkieł tworzących kąt rozwarty 145°, co pozwala kopiować grube i stare dokumenty bez niepotrzebnego nadwężania bloku książki i oprawy. Ciekawym rozwiązaniem we współczesnych kamerach mikrofilmowych są tzw. soczewki pryzmatowe (o przekroju trójkąta), które pozwalają fotografować strony książek nawet nieznacznie rozwartych. Nowością techniczną są urządzenia, które dzięki podwójnej głowicy łączą cechy kamery mikrofilmowej i skanera. Ich ceny są wysokie, bo przekraczają nawet sumę 200 000 złotych, ale dzięki ich zastosowaniu można bez obaw kopiować strony najcenniejszych rękopisów i starodruków.

## BIBLIOTEKARZE WOBEC NOWYCH TECHNIK PRZEKAZYWANIA INFORMACJI

Ostatnia część niniejszego rozdziału dotyczyć będzie dyskusji o przyszłości zawodu bibliotekarza. We współczesnych publikacjach z dziedziny bibliotekoznawstwa znajdujemy podzielone zdania na ten temat. Dla jednych nadchodzące lata będą zmierzchem tej profesji, dla innych okresem jej rozkwitu i wzrostu

<sup>245</sup> Tamże, s. 328.

<sup>246</sup> S. M. Malinconico, J. C. Warth: *Electronic libraries: how soon?*... op. cit. s. 138.

<sup>247</sup> A. Braid: *The problem of digitising non-electronic media*..., op. cit. s. 314.

prestżu. Wzrost prestiżu i uznania społecznego jest tej grupie zawodowej rzeczywiście bardzo potrzebny. I nie chodzi tylko o zarobki bibliotekarzy, ale o status materialny bibliotek jako instytucji oraz o uznanie działalności bibliotek za więcej niż pozytywną – za niezbędną. Bibliotekarze z żalem obserwują brak uznania dla ich starań.

*To bolesne doświadczenie patrzeć jak żyje się dziś bibliotekarzom. Jest to związane z tym, jak społeczeństwo traktuje biblioteki, co widać w malejących nakładach na biblioteki i w spadku korzystania z nich. Te zjawiska są dobrze znane. Budżety bibliotek relatywnie i obiektywnie maleją, biblioteki (...) są zamykane, są duże spadki w zakresie gromadzenia zbiorów i cięcia kadrowe, wskaźniki wypożyczeń i czytelnictwa spadają. Obowiązują krótsze godziny otwarcia itd. Niektóre biblioteki wprost zaprzestały gromadzenia zbiorów (...)*<sup>248</sup>.

Ten smutny opis, choć mógłby się równie dobrze odnosić do obecnej sytuacji bibliotek w Polsce, dotyczy sytuacji z końca lat siedemdziesiątych w bogatych Stanach Zjednoczonych. Z tej smutnej konstatacji wynikał manifest V. Giuliano, w którym wzywał bibliotekarzy, by nie dopuścili do zepchnięcia bibliotek do roli repozytoriów tradycyjnych dokumentów, ale starali się włączyć je w łańcuch instytucji, które są niezbędne społeczeństwu informacyjnemu w jego rozwoju.

Niektórzy autorzy przestrzegają bibliotekarzy przed brakiem reakcji na pan-kulturowe zmiany zachodzące we współczesnym społeczeństwie. Podobnie czyni to C. Batt, zwracając się do bibliotekarzy:

*Nie możemy już dłużej rozsiadać się wygodnie i zakładać, że zakres usług, które do tej pory świadczyliśmy, pozostanie niekwestionowany, i że wystarczająca liczba ludzi zechce z nich korzystać. (...) Musimy być bardziej wrażliwi na zmiany dokonujące się wokół nas*<sup>249</sup>.

Bardziej konkretny w swych przestroгах jest Kenneth Dowlin, który zwraca uwagę na paradoksalną sytuację, iż kojarzenie bibliotekarzy wyłącznie z książkami jest dla nich niekorzystne.

*Biblioteka jest tradycyjnie definiowana jako miejsce dla książek, a bibliotekarz jako ich opiekun. Powiązanie, czy też kojarzenie bibliotekarzy z książkami traktuje się jako coś wartościowego. Zwykliśmy posługiwać się romantyczną aurą książek, by przedstawić siebie jako tych, którzy wiele znaczą. Jednakże, gdy społeczeństwo rozwinęło inne sposoby przechowywania i przekazywania informacji, możliwości utrzymania społeczeństwa w przekonaniu o naszej niezbędności zmalały, a kojarzenie nas z książkami może być dla nas wręcz ciężarem*<sup>250</sup>.

Dowlin zaproponował trzy sposoby patrzenia na rolę bibliotekarza w społeczeństwie informacyjnym: jako tego, który w procesie obiegu informacji tworzy wartość dodaną (value added), jako tego, który pełni rolę strażnika wrót do świata informacji (gatekeeper) i jako tego, który pełni rolę przewodnika w poszukiwaniach informacji (guide)<sup>251</sup>. Określenie wartość dodana jest terminem ekonomicznym i oczywiście kojarzy się z podatkiem VAT (value added tax). Zadaniem, a zatem zasługą bibliotekarza z tego punktu widzenia jest dodawanie wartości do informacji poprzez jej gromadzenie, przechowywanie i przetwarzanie, poprzez utrzymanie stałego dostępu do informacji, poprzez dostosowanie zbioru i usług do potrzeb społeczności lokalnej. Wydaje się, że to ekonomiczne

<sup>248</sup> V. E. Giuliano: *A manifesto for librarians...*, op. cit. s. 1837.

<sup>249</sup> C. Batt: *Information technology in public libraries*. London, Library Association 1992 s. 57.

<sup>250</sup> K. E. Dowlin: *The electronic library. The promise and the process*. New York, Neal-Schuman Publishers 1984 s. V.

<sup>251</sup> Tamże, s. 34-37.

skojarzenie jest bardzo trafne, bo tak jak piekarz, który zamienia mąkę w chleb, tworzy wartość dodaną, tak bibliotekarz tworzy nową wartość, gromadząc różne dokumenty, tworząc z nich uporządkowany system oraz na ich podstawie opracowując informację pochodną.

Druga koncepcja roli bibliotekarza jako strażnika wrót jest już bardziej kontrowersyjna. Można oczywiście spojrzeć na rolę bibliotekarza jako tego, który – jak twierdził niegdyś Jose Ortega y Gasset – powinien bronić nic niewartym publikacjom dostępu do czytelników. Ale oczywiście w pierwszej kolejności myślimy o roli pozytywnej bibliotekarza, jako tego, który czuwa nad sprawnym przepływem informacji do użytkowników, a dzięki swoim kwalifikacjom wpływa na wybory użytkowników, ułatwiając im poruszanie się pośród niezliczonej ilości prawdziwych i fałszywych informacji.

Skoro wspomniane zostało nazwisko Ortegi y Gasset, warto przypomnieć jego poglądy na rolę bibliotekarza, bo mimo upływu czasu także dziś dzielą one środowisko bibliotekarzy. Mowa oczywiście o słynnym referacie „Mission du bibliothecaire” wygłoszonym przez hiszpańskiego filozofa na kongresie bibliotekarzy w Paryżu w 1934 roku. Ortega wygłosił kontrowersyjne opinie na temat przyszłości zawodu bibliotekarza. Budował je na podstawie obserwacji rynku książki. Niektóre stwierdzenia były zaskakujące, ale nie pozbawione racji. Ortega twierdził, że w masie nowych publikacji człowiek się gubi, że książek ukazuje się za dużo, więc człowiek traci nad nimi kontrolę.

*Wiele z nich jest bezużytecznych i głupich (...), są dla ludzi ciężarem, a jednocześnie we wszystkich dyscyplinach naukowych dostrzega się nieobecność wielu książek, których brak powstrzymuje rozwój nauki*<sup>252</sup>.

Inne oryginalne stwierdzenie mówiło, iż ludzie po prostu

*(...) czytają za dużo. (...) Duża część współczesnych problemów społecznych bierze się z faktu, iż przeciętne umysły pełne są idei nabytych w sposób bierny, idei połowicznie zrozumianych i pozbawionych zalet. Pospolite umysły napchane są pseudoideami*<sup>253</sup>.

Zatem według Ortegi misją bibliotekarza byłoby

*Sprawowanie kontroli podczas całego procesu produkcji książek, po to by uniknąć publikacji zbędnych, a jednocześnie przeciwdziałać brakowi książek pożądanых*<sup>254</sup>.

Nic dziwnego, że manifest Ortegi podzielił bibliotekarzy, a część z nich uznała, iż należy go odrzucić jako jawną zachętę do bibliotecznej cenzury<sup>255</sup>. Warto zwrócić uwagę, iż w tym samym czasie zupełnie przeciwne poglądy formułował S. R. Ranganathan. By to dostrzec, wystarczy zestawić słowa Ortegi z trzecim prawem Ranganathana: Every book its reader (Każdej książce jej czytelnik).

Nie ma wątpliwości, że to jednak poglądy hinduskiego bibliotekarza zyskały szerokie uznanie w świecie bibliotekarskim. Ale w jakimś sensie spełnia się dziś także przepowiednia Ortegi, bo odnieść ją można nie do rynku książki, ale do Internetu. Bibliotekarz może pełnić zadanie cenzora – w dobrym znaczeniu tego

---

<sup>252</sup> J. F. Sosa, M. H. Harris: *Jose Ortega y Gasset and the role of the librarian in post-industrial America*. „Libri” 1991 vol. 41 no 1 s. 6.

<sup>253</sup> Tamże, s. 7.

<sup>254</sup> Tamże, s. 7.

<sup>255</sup> Pewną ciekawostką jest, że cytaty z „Mission du bibliothecaire” w tłumaczeniu na angielski znalazły się na stronie WWW IFLA (<http://www.ifla.org.sg>) w katalogu „Library humour”! Jose Ortega y Gasset przejęty rzeczywiście rolą bibliotekarza w zalewie mniej i bardziej wartościowych publikacji byłby zapewne rozczarowany, że Międzynarodowa Federacja Stowarzyszeń Bibliotekarskich zaklasyfikowała jego manifest do kategorii dowcipów.

słowa – poprzez dokonywanie selekcji stron WWW i udostępnianie informacji o nich użytkownikom bibliotek.

Przepowiednie na temat rosnącego wpływu technologii na funkcjonowanie bibliotek dają niekiedy podstawę bibliotekarzom do obaw o swoje miejsca pracy. Nie muszą to być nawet wnioski wyciągane implicite. Niektóre bowiem z tych przepowiedni wprost mówią o nieuchronnym zanikaniu bibliotek. Taką możliwość zakładał Lancaster, kiedy rozważał scenariusze rozwoju bibliotek pod wpływem technologii.

*Potrzeba odwiedzania bibliotek będzie zanikać, gdy technologia pozwoli na dostarczanie usług bibliotecznych wprost do biur i domów. (...) Biblioteki lokalne będą traciły na znaczeniu, a nawet całkiem zanikną, jak tylko indywidualni użytkownicy uzyskają dostęp do źródeł informacji bezpośrednio przez łącza telekomunikacyjne, bez względu, gdzie by te źródła się znajdowały*<sup>256</sup>.

Na drugim biegunie należałoby postawić wypowiedzi, z których wynika, że biblioteki, chcąc utrzymać się w nurcie przemian, nie mogą biernie przyjmować ekspansji mediów elektronicznych. I nie tylko mają szansę przetrwania, ale nawet podniesienia swojego znaczenia i wzrostu prestiżu. Znaleźć więc można wiele publikacji, których autorzy, dostrzegając zagrożenia dla funkcjonowania bibliotek ze strony elektronicznych mediów, nie popadają w pesymizm, ale mówią o konieczności dostosowania się bibliotek do reguł narzuconych przez elektroniczne środowisko i do zmieniających się potrzeb i nawyków użytkowników bibliotek. Dobitnie sformułowała to Penny Garrod, która w odniesieniu do bibliotek i bibliotekarzy użyła słowa „survival” (przetrwanie). Pisząc więc o strategiach przetrwania, jakie powinny zastosować biblioteki, zwróciła się do bibliotekarzy krótko i dobitnie: „adopt or die” czyli „zaadaptuj się albo giń”. Przykładem nowego myślenia będą według Garrod ogłoszenia o pracy dla bibliotekarzy, w których kandydatom stawiać się będzie coraz wyższe wymagania, a szczególnie oczekiwać orientacji w systemach informacji elektronicznej<sup>257</sup>.

Uwagi o konieczności nowego myślenia odnoszą się nie tylko do codziennych czynności bibliotekarzy, ale także do ich wykształcenia. Otwarcie na nowe media i nowe sposoby przekazywania informacji powinno znaleźć swoje odbicie w programach kształcenia w średnim szkolnictwie bibliotekarskim i na studiach bibliotekoznawczych. Opinia ogółu społeczeństwa o tym zawodzie nie zmieni się i jego prestiż społeczny nie wzrośnie, jeśli sami bibliotekarze będą uważali ten zawód za cichą przystań, nie wymagającą wysiłku, starań, wykształcenia i podnoszenia kwalifikacji. Przykładów takiego myślenia dostarczają wyniki badań Instytutu Książki i Czytelnictwa BN, w których zebrano opinie bibliotekarzy na temat wykonywanego zawodu. Opublikowano je zresztą pod znamienym tytułem: *Miła praca blisko domu*<sup>258</sup>.

Zrozumiałe jest, że bibliotekarze sceptycznie odnoszą się do przepowiedni o zmierzchu tradycyjnych materiałów drukowanych w bibliotekach. Gdyby było inaczej, gdyby włączyli się w nurt wypowiedzi głoszących powszechną dygitalizację zbiorów bibliotecznych, musieliby tym samym przekreślić swój dotychczasowy dorobek w budowaniu kolekcji dokumentów książkowych i nieksiążkowych. **Słowem kluczowym jest w tych dyskusjach pojęcie kolekcji.** Nie można ca-

---

<sup>256</sup> F. W. Lancaster: *Libraries and librarians in an age of electronics*. Arlington, Information Resources Press s. 125-126.

<sup>257</sup> P. Garrod: *Survival strategies in the learning age...*, op. cit. s. 193.

<sup>258</sup> A. Rusek: *Miła praca blisko domu. Osoby bez przygotowania zawodowego zatrudnione w bibliotekach o pracy i zawodzie bibliotekarza*. Warszawa, BN 1995.

lej działalności kulturotwórczej i informacyjnej oprzeć na źródłach abonowanych lub dostępnych bezpłatnie poprzez sieć. **Bez własnej kolekcji instytucja nie może funkcjonować jako biblioteka.** Dlatego w publikacjach na temat przyszłości bibliotek zwycięża pogląd o koniecznym pogodzeniu nowych sposobów zdalnego zdobywania i przekazywania informacji z zasadami funkcjonowania bibliotek w oparciu o posiadane zbiory. Biblioteki muszą więc dostrzegać różne potrzeby i różne kategorie użytkowników. Z jednej strony tych, którzy z racji profesji lub upodobań chcą korzystać z biblioteki w sposób tradycyjny, poznawać nowe i starsze dzieła literatury pięknej i naukowej oraz czytać codzienną prasę, a z drugiej strony tych, którzy nie mają czasu i ochoty na lekturę, a potrzebują szybkiej i zwężłej informacji na określony temat.

Jako remedium na wszystkie potrzeby informacyjne społeczeństwa, a zarazem powód ograniczenia roli bibliotek w niedalekiej przyszłości przedstawiany jest Internet. Jego powszechna dostępność w prawie każdym gospodarstwie domowym stanie się w ciągu kilkunastu lat faktem. Wynikać to będzie z dużego potencjału merkantylnego tego medium. Tylko pozornie bowiem jest to medium bezpłatne. Powiększanie grona odbiorców Internetu będzie leżeć w interesie firm inwestujących w rozwój tego medium. Wielkie firmy inwestujące w sieć Internetu i tworzące swoje portale nie robią tego w celach charytatywnych, ale dla zysku, a kluczem do zrozumienia tego zjawiska jest tak ważne we współczesnym świecie słowo „reklama”. Już w czasach preinternetowych mieliśmy przykłady bezpłatnych mediów (czasopism, stacji telewizyjnych), w których podstawą działania były zyski z reklamy, a dziś jest to sposób na funkcjonowanie większości stacji radiowych i telewizyjnych. Powiększanie grona odbiorców, którego wielkość mierzona jest w badaniach odbioru, oznacza zwiększanie liczby reklamodawców, czyli większy zysk nadawcy. Podobny mechanizm działa w przypadku Internetu. Choć więc jest to zjawisko zasmucające tych, którzy z Internetu korzystają od dawna i widzą jego stopniową komercjalizację, nie ma od niego odwrotu. Z medium, które w swej początkowej fazie służyło wojskowym, a później akademikom do współpracy i wymiany informacji naukowej, Internet staje się rosnącym w siłę medium oddziaływań reklamowych. Przykładem na to, że nadawcom i operatorom wszelkich mediów opłaca się udostępnić swoje usługi nawet za darmo (po to, by zwiększyć liczbę odbiorców reklam) jest pomysł jednej z sieci telefonii komórkowej w Szwecji. W 1999 r. wprowadzono tam usługę polegającą na tym, że abonent ma prawo korzystać bezpłatnie z telefonu pod warunkiem, że przy połączeniu wysłucha kilkudziesięciosekundowego spotu reklamowego. Zapewne również taką logiką kierują się ci dostarczyciele (providerzy) Internetu, którzy dają bezpłatny dostęp do sieci w wysoko rozwiniętych krajach (np. w Wielkiej Brytanii). Szczególnym przykładem są Stany Zjednoczone, gdzie operatorzy telefoniczni w walce o klienta nie pobierają opłat za połączenia lokalne. Oznacza to, że użytkownik poczty elektronicznej może z tej podstawowej usługi internetowej korzystać za darmo, bo lokalne połączenie z serwerem poczty będzie bezpłatne.

W dużym uproszczeniu omawiane zjawisko można opisać stwierdzeniem, że bezpłatny Internet, będzie w dużej mierze funkcjonował po to, by poinformować jak największą liczbę osób, że coś jest do sprzedania.

Poza tym, w bezpłatnym Internecie są od dawna i będą nadal miejsca, do których dostęp będzie możliwy za opłatą. I tu pojawia się pewna szansa dla bibliotek, która wynika z ich instytucjonalnego charakteru. Biblioteka, choć insty-

tucja nie za bogata, jest jednak zasobniejsza od indywidualnego użytkownika Internetu. W większości przypadków indywidualni użytkownicy nie będą mogli i nie będą chcieli opłacać stałego dostępu do komercyjnej bazy danych z poziomu swojego domowego komputera. Biblioteka może to zrobić dla swoich użytkowników, a więc przyciągnąć ich tą ofertą. Biblioteka będzie w stanie opłacić abonament za korzystanie z elektronicznych zasobów archiwum „Gazety Wyborczej”, za dostęp online do elektronicznej wersji „Encyclopedia Britannica” i innych komercyjnych źródeł informacji. Jest więc szansa, że wśród użytkowników Internetu wyrobi się pogląd, że to, co oferuje lokalna biblioteka jako dostęp do Internetu, to dużo więcej niż to, co można osiągnąć z komputera domowego. Biblioteka zaś powinna w swych marketingowych działaniach zadbać, by czytelnicy nabrali przekonania, że korzystając z Internetu w bibliotece oszczędzają czas i pieniądze, mając bezpośredni dostęp do miarodajnych, wyselekcjonowanych i uporządkowanych źródeł informacji. **Można więc spojrzeć na Internet nie jak na medium, które absolutnie zagraża bibliotekom, ale jak na narzędzie, które biblioteka może wykorzystać dla podniesienia swej rangi i przyciągnięcia klientów.**

Wobec powyższego nieunikniona jest dyskusja na temat bezpłatnego korzystania z bibliotek. Będzie ona tym bardziej trudna, że prawo autorskie zezwala bibliotekom na udostępnianie opublikowanych utworów pod warunkiem, że nie odnoszą z tego korzyści materialnych. Wśród twórców pojawiają się zresztą głosy, że nawet te przepisy trzeba zaostrzyć, bo bezpłatne wypożyczanie książek w bibliotekach odbiera im należne honoraria<sup>259</sup>. Inni natomiast twierdzą, że zakres komercyjnej działalności bibliotek będzie się powiększał, a zatem to przepisy prawa autorskiego powinny ulec pod tym względem złagodzeniu. Do takich wniosków doszli eksperci zaproszeni przez firmę 3M do opracowania scenariusza rozwoju bibliotek w najbliższej dekadzie. W konkluzji stwierdzili, że działalność bibliotek będzie oparta na wnikliwej analizie rynku informacji, a zaspokajając popyt na informację, biblioteki będą mogły powiększyć zakres świadczonych usług komercyjnych. Staną się tym samym mniej zależne od pieniędzy podatników (czyli od dobrej woli samorządu lokalnego), a jako instytucje bardziej niezależne finansowo, będą mogły reinwestować uzyskane środki we własny rozwój i rozwój swoich pracowników<sup>260</sup>. Szczególnie ostatni wniosek brzmi dla bibliotekarzy optymistycznie, bo oznaczałoby to także wzrost zarobków, co na pewno skutkowałoby podniesieniem prestiżu tej profesji w społeczeństwie. Zdziałałby więc wreszcie pożądanym mechanizm selekcji pozytywnej, w wyniku której do zawodu trafiałoby ludzie aktywni i wykwalifikowani.

W toczącej się od lat dyskusji na temat **roli bibliotekarza** w społeczeństwie informacyjnym rysują się wyraźnie dwie koncepcje. Według pierwszej zadaniem bibliotekarza jest pośredniczenie (intermediation) w dostarczaniu informacji. Bibliotekarz powinien „skoncentrować swe działania na dostarczaniu informacji wyodrębnionej ze źródła informacji w sposób wyczerpujący i możliwie krótki”<sup>261</sup>. Natomiast druga koncepcja obarcza bibliotekarza zadaniem nauczania (instruc-

---

<sup>259</sup> Głośny był w tej sprawie list wystosowany przez kilkuset pisarzy francuskich (w tym laureatów Nagrody Nobla i Goncourtów) w kwietniu 2000 r., w którym domagali się od rządu francuskiego wprowadzenia opłat za korzystanie z bibliotek.

<sup>260</sup> D. Leslie: *Industry experts gather to map future of libraries*. „The Electronic Library” 1999 vol. 17 no 3 s. 152.

<sup>261</sup> B. Nielsen: *Teacher or intermediary. Alternative professional models in the information age*. „College and Research Libraries” 1982 no 3 s. 185.

tion) czytelnika sposobów wyszukiwania informacji samemu. W tym miejscu warto zacytować słowa Lancastera, który na ten temat także się wypowiedział.

*Nawet w elektronicznym świecie będą tacy, którzy zadanie wyszukiwania informacji będą chcieli powierzyć osobom lepiej do tego przygotowanym. Bibliotekarze w elektronicznym świecie będą mieli do odegrania znaczącą rolę szkolenia badaczy i innych użytkowników w zakresie wykorzystania źródeł odczytywanych maszynowo. Szkolenia mogłyby stać się głównym zadaniem bibliotekarza roku 2000<sup>262</sup>.*

Wypowiedź Lancastera wydać się może zaskakująca. Z jednej strony bowiem twierdził, że systemy informacji (w tym biblioteki) będą w roku 2000 obywać się bez papieru, ale jak widać, nie będą mogły obyć się bez bibliotekarzy.

Wydaje się, że zestawienie obu koncepcji roli bibliotekarza (pośredniczenie lub szkolenie) nie powinno być określane mianem sporu. **Elastycznie reagujący bibliotekarz powinien wiedzieć, w jakiej sytuacji prowadzić czytelnika „za rękę”, a kiedy pozostawić go w pewności, że sam najlepiej da sobie radę.** Sprowadzenie działań bibliotekarza do roli „kelnera informacji” byłoby oczywiście spłyceniem jego społecznej misji, ale ucząc zdobywania informacji można jednocześnie starać się przybliżyć ucznia-czytelnika możliwie blisko potrzebnej odpowiedzi. Po to, by w misji nauczania czytelnika nie zagubić zasadniczego powodu jego przybycia do biblioteki – potrzeby zdobycia określonych informacji. Czytelnik nie może opuścić biblioteki pełen nowych wiadomości na temat procedur wyszukiwawczych, ale bez informacji, po które przybył.

W wypowiedziach dzielących obawy o przyszłość zawodu bibliotekarza często wspomina się o zjawisku określanym w języku angielskim jako „disintermediation”. Zjawisko to należałoby do kolejnego etapu przemian w zawodzie bibliotekarza, w którym bibliotekarz nie jest już potrzebny użytkownikowi ani jako pośrednik, ani tym bardziej jako nauczyciel. „Disintermediation” to przeciwieństwo pojęcia „intermediation”, czyli w dosłownym tłumaczeniu „pośredniczenia”. We współczesnej bibliotece zachodzi w różnym stopniu zjawisko pośredniczenia. Już sam fakt przyścia czytelnika do biblioteki jest dowodem na korzystanie z pośrednictwa bibliotekarza w zdobywaniu wiedzy i informacji. Wizytą w bibliotece czytelnik uzasadnia potrzebę istnienia placówki i finansowania jej przez samorząd lokalny lub państwo. Czytelnicy są więc potrzebni bibliotece tak jak ona im. Klasycznym przykładem pośredniczenia jest udzielenie przez bibliotekarza wskazówek na temat poszukiwań katalogowych i sugerowanie określonych tytułów. W społeczeństwie informacyjnym ten obrazek miałby się stać rzadkością. W świecie rozwiniętych elektronicznych źródeł informacji będzie – według niektórych przepowiedni – wzrastać wspomniane zjawisko rezygnacji z pośrednictwa bibliotekarza. Poszukiwacz informacji będzie uczył się zdobywania jej samemu bez czyjejkolwiek pomocy i pośrednictwa.

**Narastanie zjawiska „disintermediation” będzie w oczywisty sposób zagrożeniem dla zawodu bibliotekarza. Jeśli wykonujący tę profesję nie dostosują swych działań do wymagań nowych czasów, spowodują spadek znaczenia i zanikanie tej profesji jak innych rzadkich zawodów.** Jeśli zapowiadane przez niektórych futurologów głębokie przeobrażenia bibliotek się sprawdzą, to zawód bibliotekarza właściwie powinien zanikać. Bo czyż można będzie nazwać bibliotekarzem osobę, która w niewielkim pomieszczeniu (zastępującym niegdysiejszą bibliotekę, a mieszczącym kilka szybkich wieloprocesorowych serwerów) zajmować się będzie kontrolą pracy systemu i sprawną wymia-

---

<sup>262</sup> F. W. Lancaster: *Toward paperless information systems*. New York, Academic Press 1978 s. 158.



ną danych? J. Wojciechowski, który uznaje te wizje za mrzonki, odpowiada na to pytanie w sposób prosty:

*Fryzjer jest fryzjerem tak długo, dopóki potrafi strzyc. Bibliotekarz jest bibliotekarzem tak długo, dopóki świadczy biblioteczne usługi*<sup>263</sup>.

W odhumanizowanej (w przenośni i dosłownie) koncepcji „library without walls” nie ma w zasadzie miejsca dla tej grupy zawodowej. Część jej funkcji wypełniłaby ograniczona liczebnie nowa kategoria pracowników zwanych według technokratycznej nowomowy „information management specialists”. Resztę zrobiliby informatycy i komputery. Crawford i Gorman w cytowanej pracy *Future libraries* mocno krytykowali nie tylko przepowiednie zmierzchu materiałów drukowanych w bibliotekarstwie oraz koncepcje odchodzenia od idei zbioru bibliotecznego na rzecz dostępu zdalnego, ale też pojawiające się nowe określenia zawodu bibliotekarza. Sprzeciwili się przede wszystkim stosowaniu określenia „information specialist” zamiast „librarian”.

*Jest to nic nie znaczące określenie, które osłabia znaczenie osoby obdarzonej tym tytułem i osłabia znaczenie bibliotek. (...) Nazywanie bibliotekarzy 'information specialists' sugeruje, że jedyną funkcją bibliotek jest dostarczanie informacji. Jest to drastyczne i samobójcze uproszczenie*<sup>264</sup>.

Zastąpienie bibliotekarzy przez informatyków byłoby tylko wstępem do jeszcze głębszych zmian. Według najgorszych scenariuszy człowiek w bibliotece przyszłości byłby w ogóle rzadkością. Zarówno w charakterze użytkownika, jak i pracownika. Wniosek jest przecież oczywisty. Skoro biblioteka przyszłości nie potrzebuje ścian, to nie potrzebuje też żywych pracowników, bo może ich zastąpić jakaś forma sztucznej inteligencji. Taką wizję w swoich rozważaniach o bibliotece wirtualnej roztacza cytowana już wcześniej E. Chmielewska-Gorczyca.

*W bibliotece wirtualnej bibliotekarz w funkcji pośrednika (...) `zostaje całkowicie zastąpiony bibliotekarzem wirtualnym w postaci systemu ekspertowego, dysponującego rozbudowanym modułem wspomagania użytkownika na zasadzie bogatego zestawu helpów, podpowiedzi, wskazówek, wzorów strategii wyszukiwawczej, itp.*<sup>265</sup>.

W systemie zerojedynkowym nie ma miejsca na wątpliwości. Jest „tak” lub „nie”. Dlatego użytkownik biblioteki przyszłości musiałby przyjąć reguły komunikowania narzucone przez maszynę. Nie mógłby liczyć na zrozumienie, sympatię, współczucie i inne uczucia, bo komputer nie ma uczuć. Gdyby nawet zaprojektowano interfejs, w którym pojawiałby się uśmiechnięty wirtualny bibliotekarz (nigdy nie poirytowany i zawsze gotów do pomocy), to jego zaprogramowany, sztuczny i wciąż taki sam uśmiech stałby się po pewnym czasie tak samo drażniący, jak drażniący jest animowany asystent pomocy w pakiecie Microsoft Office.

Znane są opinie, że zjawisku „disintermediation”, a w dalszej kolejności zjawisku zanikania profesji bibliotekarskiej sprzyjać będzie automatyzacja procesów bibliotecznych, w tym automatyzacja opracowania. Przyjmowanie opisów książek z katalogów centralnych rzeczywiście wyręcza lub odciąża bibliotekarzy. Dużym ułatwieniem jest także przejmowanie gotowych opisów bibliograficznych tworzonych w ramach programu CIP (Cataloging – In – Publication), zainicjowanym przez Library of Congress, a rozwijanym także w innych krajach (w Polsce zajmuje się tym Instytut Bibliograficzny BN)<sup>266</sup>. Jednak opracowanie formalne włas-

<sup>263</sup> J. Wojciechowski: *Ściany bez bibliotek...*, op. cit. s. 11.

<sup>264</sup> W. Crawford, M. Gorman: *Future libraries...*, op. cit. s. 106.

<sup>265</sup> E. Chmielewska-Gorczyca: *Ku bibliotece wirtualnej...*, op. cit. s. 7.

<sup>266</sup> E. Stefańczyk: *Katalogowanie w procesie wydawania*. „Nowe Książki” 1997 nr 5 s. 76.

nych zbiorów jest tylko częścią działań w danej placówce bibliotecznej, a spadek wielkości tych zadań nie musi jeszcze oznaczać grupowych zwolnień w bibliotekach. M. Nahotko słusznie zauważa, że automatyzacja procesu opracowania zbiorów nie oznacza, że bibliotekarze na tym polu będą mieli coraz mniej do zrobienia. Pozostaje bowiem konieczność utrzymania zróżnicowanego, bo zależnego od wielkości, typu i potrzeb biblioteki, opracowania rzeczowego. Opracowanie formalne może rzeczywiście odbywać się gdzieś na szczeblu centralnym. Nie ma właściwie przeciwwskazań, by opis formalny zamieszczony w „Przewodniku Bibliograficznym” przyjął w całości i bez zmian zarówno w dużej bibliotece publicznej, jak i małej bibliotece szkolnej. Natomiast hasło przedmiotowe znajdujące się w tym opisie będzie nieprzydatne w bibliotece nie mającej katalogu przedmiotowego, a znajdującego się pod tym opisem symbolu UKD nie da się zawsze przyjąć bez zmian. Dla dużej biblioteki publicznej szczebla wojewódzkiego lub biblioteki fachowej może być on zbyt ogólny. Dla potrzeb małej biblioteki szkolnej będzie natomiast zbyt szczegółowy. Poza tym, nie wszystkie biblioteki w Polsce – choć jest ich zdecydowana większość – korzystają z UKD przy opracowaniu rzeczowym zbiorów. Stąd płynie wniosek, że faktycznie, o ile można bibliotekarza zastąpić w opracowaniu formalnym, to nie zawsze można go zastąpić (wyręczyć) w opracowaniu rzeczowym. M. Nahotko twierdzi:

*Katalogowanie przedmiotowe nigdy nie zostanie zautomatyzowane, jak to ma miejsce w niektórych wypadkach w stosunku do katalogowania formalnego, ponieważ katalogowanie przedmiotowe jest zajęciem intelektualnym*<sup>267</sup>.

Opracowanie rzeczowe jest więc jednym z zadań (dotyczy to np. także selekcji zbiorów), w którym komputery nie będą mogły zastąpić bibliotekarzy.

Z lektury najbardziej pesymistycznych wypowiedzi o przyszłości zawodu bibliotekarza wynika więc, że zjawisko „disintermediation” miałoby być początkiem końca bibliotek. Ale ten niekorzystny scenariusz nie musi się sprawdzić, jeśli rozwój społeczeństwa będzie następował zgodnie z przepowiedniami na temat powstawania społeczeństwa informacyjnego oraz gdy biblioteki aktywnie włączą się w nurt tych przemian. W społeczeństwie trzeciej fali – według zapewnień Tofflera – będzie wzrastać zapotrzebowanie na ludzi wykształconych i podnoszących swe kwalifikacje. Będzie zatem wzrastać liczba poszukiwaczy informacji. W interesie bibliotek leży, by grupa owych poszukiwaczy się powiększała, bowiem część z nich – mimo zjawiska „disintermediation” – będą stanowili potencjalni klienci bibliotek. Część społeczeństwa to jedynie bierni konsumenci informacji dostarczanej przez media (głównie telewizję). Oni są jedynie odbiorcami, a nie poszukiwaczami. Na nich biblioteki i bibliotekarze, chcący utrzymać swą funkcję pośredników w przekazywaniu informacji, nie mogą liczyć. Mogą natomiast liczyć na poszukiwaczy: osoby aktywne, jak uczniowie, studenci, nauczyciele, biznesmeni, osoby wykonujące wolne zawody. Nadzieją bibliotek na zachowanie istotnej roli pośredników jest zwiększenie liczby poszukiwaczy informacji, zatem zadaniem bibliotek musi być przekonanie aktywnych uczestników społeczeństwa informacyjnego, iż biblioteka jest właściwym miejscem zdobywania informacji, a bibliotekarz to specjalista, z którego rad i przewodnictwa warto skorzystać. Walka bibliotekarzy z niekorzystnym dla nich zjawiskiem „disintermediation” powinna więc mieć na celu przekonanie jak największej liczby poszukiwaczy informacji (nierzadko przekonanych o swych dużych umiejętnościach heurystycznych), że skorzystanie z oferty biblioteki jest opłacalne z merytorycz-

<sup>267</sup> Wypowiedź M. Nahotko w dyskusji panelowej konferencji Elektroniczna Przyszłość Bibliotek Akademickich, Kraków 1995. W: *Elektroniczna Przyszłość Bibliotek akademickich...*, op. cit. s. 180.

nego punktu widzenia (użytkownik otrzymuje pełne i relewantne odpowiedzi) i z punktu widzenia ekonomicznego (zdobycie informacji kosztuje poszukiwacza mniej czasu i pieniędzy niż podczas własnych, czasem chaotycznych poszukiwań w sieciach komputerowych). Ugruntowanie w społeczeństwie takiego przekonania nie będzie łatwe i w dużym stopniu zależy będzie od nakładów finansowych, a z tego wynika konieczność przychylniej postawy samorządu lokalnego i państwa wobec bibliotek. **Czytelnik mający pozostać klientem biblioteki przyszłości, który regularnie „przekracza jej progi” w trybie online, a od czasu do czasu wstępuje także w jej rzeczywiste mury, musi być przekonany o merytorycznej wartości biblioteki. Musi widzieć, że obok tradycyjnych dokumentów papierowych biblioteka gromadzi i udostępnia szereg nowych nośników i źródeł informacji. Te nowe źródła muszą być widoczne w bibliotece. Dotarcie do nich nie musi wymagać od czytelnika szczególnych zabiegów.** Przykładem takiego podejścia może być wspomniana we wstępie Główna Biblioteka Publiczna dzielnicy South Kensington & Chelsea w Londynie. Wchodząc do tej biblioteki, czytelnik ma wrażenie, iż wchodzi do dużego sklepu płytowego. Jego oczom ukazują się rzędy półek z nagraniami muzyki rozrywkowej i poważnej na kasetach audio i płytach kompaktowych. Jest to fragment komercyjnej działalności biblioteki, bo udostępnianie jest odpłatne. Biblioteka odnosi więc dwie korzyści. Ekonomiczną, bo zarabia na udostępnianiu zbiorów i marketingową, bo już przy wejściu pokazuje klientom, że nie zamyka się w świecie dokumentów drukowanych, a nowe nośniki informacji nie są dodatkiem, lecz istotną częścią jej zbiorów.

Kolejną konieczną zmianą w wizerunku biblioteki, mającą ograniczyć rozwój zjawiska „disintermediation”, jest przekonanie czytelników o jej odpowiednim technicznym wyposażeniu. Wynika to wprost z poprzedniego akapitu. Wspomniane tam nowe nośniki informacji wymagają odpowiednich urządzeń odczytujących. Ich stan techniczny i poziom technologiczny mają zachęcać, a nie rozczarowywać użytkownika biblioteki. Poprawie wizerunku biblioteki nie będą sprzyjać sytuacje skomentowane w raporcie *Stan i perspektywy bibliotekarstwa polskiego do roku 2000*.

*Widok audiowizualnego sprzętu przeważnie zepsutego, zamkniętych na klucz pomieszczeń do nauki języków obcych, brak czytników do mikrokopii nie sprzyjają upowszechnianiu się pozytywnej opinii o bibliotece, niezależnie od tego, gdzie się ona mieści*<sup>268</sup>.

Na dobry obraz biblioteki w oczach użytkowników (szczególnie młodych) ma także wpływ fakt posiadania odpowiedniego sprzętu komputerowego, chociaż jego poziom technologiczny nie musi odpowiadać poziomowi najlepszych urządzeń dostępnych w danym momencie na rynku. Doświadczenie pokazuje przecież, że dostępne oprogramowanie ma dużo mniejsze wymagania sprzętowe niż możliwości komputerów stanowiących w danym momencie standard handlowy.

Zróżnicowane pod względem formalnym dokumenty biblioteczne wymagać będą odpowiednich stanowisk pracy. Rosnące zainteresowanie mediami elektronicznymi przy jednoczesnym wcale nie malejącym znaczeniu źródeł drukowanych powinno sprawić, że w bibliotekach przyszłości pojawią się odpowiednie miejsca pracy dostosowane do korzystania z różnych nośników i źródeł informacji. Zwraca na to uwagę Philip Barker zapowiadając pojawienie się w bibliotekach polimedialnych stanowisk pracy (polymedia workstations)<sup>269</sup>. Będzie to

<sup>268</sup> *Stan i perspektywy bibliotekarstwa polskiego do roku 2000...*, op. cit. s. 27.

<sup>269</sup> P. Barker: *Electronic books and libraries of the future*. „The Electronic Library” 1992 vol. 10 no 3 s. 148.

wymagało od projektantów pomieszczeń czytelnianych i sprzętów bibliotecznych wzięcia pod uwagę ergonomii współczesnej pracy naukowej. Trzeba bowiem pogodzić dwa tryby pracy. **Nowoczesne stanowisko pracy czytelnika powinno więc być wyposażone w terminal komputerowy, a jednocześnie nadal powinna być przewidziana odpowiednia przestrzeń do korzystania z publikacji drukowanych.**

**Kolejnym krokiem w celu uniknięcia zjawiska „disintermediation” jest włączenie biblioteki w cykl różnorodnych działań na rzecz społeczności lokalnej i regionu. Członkowie tej społeczności powinni widzieć, że ich lokalna biblioteka, na równi z władzami lokalnymi i instytucjami kulturalno-oświatowymi, uczestniczy w przedsięwzięciach kulturalnych i okołokulturalnych; niekoniecznie związanych z czytelnictwem.** W momencie tworzenia na bazie Internetu lokalnej sieci komputerowej, obejmującej wiele lokalnych instytucji jak szkoły, muzea, galerie sztuki, instytucje ochrony zdrowia, instytucje władzy samorządowej, biblioteka powinna zająć wśród nich co najmniej tak samo eksponowaną pozycję. Mogłaby nawet być głównym inicjatorem takiego przedsięwzięcia. Przykład takich działań dają biblioteki publiczne kanadyjskiej prowincji Ontario. W programie „Network 2000 Virtual Library” zaplanowano stworzenie sieci komputerowej pomiędzy bibliotekami prowincji, ale jej celem nie jest wyłącznie wymiana danych bibliograficznych i usprawnienie udostępniania. Duży nacisk położono na informację biznesową, informację o handlu i usługach w regionie. Biblioteki partycypujące będą tworzyć bazy danych z tymi informacjami i je między sobą wymieniać. Wspólny interfejs ma dawać dostęp nie tylko do bibliotek biorących udział w programie, ale też bezpośrednio do innych instytucji kulturalnych, oświatowych, społecznych i ekonomicznych<sup>270</sup>. W tej wizji biblioteka staje się centrum (żeby nie powiedzieć pępkiem) społeczności lokalnej. Staje się głównym źródłem informacji kulturalnej i biznesowej w regionie.

**Powyższe rozważania miały na celu przedstawienie argumentów, które przeczą zapowiedziom nadejścia zmięczenia bibliotekarstwa. Wynika z nich, że bibliotekarstwo ma szansę stać się niezbędną profesją społeczeństwa informacyjnego. Nie brak nawet opinii, że będzie następować swego rodzaju ekspansja bibliotekarzy, bo ich umiejętności i zalety sprawiają, że znajdować będą oni zatrudnienie także poza bibliotekami. Dale Dougherty – wydawca magazynu internetowego „Web Review” napisał:**

*Internet odmłodził zawód bibliotekarza. Bibliotekarze mają teraz daleko więcej możliwości niż siedzenie za ladą w bibliotece publicznej. Umiejętności bibliotekarskie stają się szeroko użyteczne w sferze biznesu<sup>271</sup>.*

Gdyby napisał to bibliotekarz, byłaby to może oznaka megalomanii. Skoro jednak napisał to biznesmen, to wypowiedź należy potraktować poważnie. Autor przekonuje nas w innych miejscach, że umiejętności i szczególne predyspozycje bibliotekarzy, a przede wszystkim przygotowanie i przyzwyczajenie do porządkowania i systematyzowania informacji predestynują ich do pełnienia roli organizatorów Internetu, przewodników po Internecie, a szczególnie twórców internetowych katalogów (browserów). Stąd konkluzja:

*Jeśli wasza firma szuka kogoś, kto pomoże wam w zrozumieniu, jakie korzyści daje Internet, wynajmijcie bibliotekarza<sup>272</sup>.*

<sup>270</sup> C.K. Tan: *Ontario Virtual Library: new millenium library...*, op. cit. s. 139-142.

<sup>271</sup> D. Dougherty: *Librarians get it. How librarians are shaping the web.* „Web Review” 1997 no 4 (<http://webreview.com/pub/97/07/04/imho/index.html>).

<sup>272</sup> Tamże.

**Wobec powyższych stwierdzeń należałoby odrzucić koncepcję biblioteki publicznej zawężającą jej funkcje do działań wyłącznie na polu czytelnictwa.** W społeczeństwie trzeciej fali, w którym tak ważna jest deunifikacja i różnorodność, w odniesieniu do biblioteki musi to oznaczać różnorodność form gromadzonych dokumentów, różnorodność sposobów udostępniania zbiorów, a w szerszym kontekście – różnorodność oferty kierowanej do członków społeczności lokalnej. W największym uproszczeniu można tę myśl podsumować w ten sposób, iż trzeba zerwać ze stereotypem biblioteki jako miejsca, gdzie się tylko wypożycza książki. Należy odrzucić wąskie postrzeganie funkcji bibliotek, jakie na przykład prezentował cytowany wcześniej R. Escarpit, który stwierdzał, że:

*Zakładanie bibliotek publicznych w środowisku społecznym, w którym nie tętni życie kulturalne niezbędne do tego, by wywiązała się wymiana literacka, jest zajęciem równie złudnym, jak otwieranie księgarni sprzedających książki napisane dla innego globu*<sup>273</sup>.

Wymiana literacka jest rzeczywiście głównym nurtem działalności biblioteki publicznej (w mniejszym stopniu szkolnej i naukowej), ale to nie znaczy, że niski poziom tej wymiany ma być warunkiem decydującym o nie utworzeniu nowej biblioteki bądź likwidacji istniejącej. W społeczeństwie informacyjnym biblioteka jest potrzebna społeczności lokalnej również jako instytucja podtrzymująca demokratyczną zasadę równości obywateli. Wobec narastającej komercjalizacji informacji biblioteka zapewnia równość w dostępie do niej. Jeśli nawet nie będzie to zawsze dostęp całkowicie darmowy, to z pewnością korzystny w porównaniu z innymi ofertami. Warto w tym miejscu przytoczyć trzecie prawo bibliotekarstwa zaproponowane przez M. Line'a.

*Biblioteki powinny czynić informację dostępną (niezależnie gdzie jest stworzona i przechowywana) dla wszystkich ludzi, bez względu na to, gdzie się oni znajdują i czy mogą zapłacić*<sup>274</sup>.

Tak też należałoby rozumieć jedną z ról bibliotekarza, w której występuje on jako „gatekeeper”<sup>275</sup>, czyli strażnik wrót do świata informacji. Ale strażnik nietypowy, który ich nie zamyka, tylko dba o to, by były one zawsze otwarte.

---

<sup>273</sup> R. Escarpit: *Rewolucja książki...*, op. cit. s. 171.

<sup>274</sup> M. Line: *Line's five laws of librarianship...*, op. cit. s. 144.

<sup>275</sup> Pewną ciekawostką jest, że w amerykańskim teaurusie ASIS termin „gatekeepers” dostąpił miana deskryptora, a obok niego jako askryptory występują równie barwne i równie podnoszące prestiż zawodu określenia „bridge agents” i „communications stars”. Zob. *ASIS Thesaurus of Information Science and Librarianship*. Jessica L. Milstead ed. Medford, ASIS 1994 s. 32.

## Rozdział IV

# DOKUMENTY NIEKSIĄŻKOWE W BIBLIOTEKACH PUBLICZNYCH (wyniki badań ankietowych)

Uzupełnieniem rozważań z poprzednich rozdziałów, w których zastosowana została metoda analizy piśmiennictwa polskiego i anglojęzycznego, będzie prezentacja wyników badania empirycznego przeprowadzonego na przełomie wiosny i lata 2000 roku. W badaniu przyjęta została metoda kwestionariuszowa w formie ankiety pocztowej. Celem badania było uzyskanie informacji o zasobie cyfrowych i analogowych dokumentów audiowizualnych w bibliotekach polskich, o ilości i stanie urządzeń niezbędnych do ich odtwarzania oraz o możliwościach dostępu do dokumentów elektronicznych przez sieć Internetu.

Badaną próbę stanowiły 102 biblioteki publiczne szczebla wojewódzkiego i powiatowego. W utworzeniu bazy adresowej pomocny był informator *Biblioteki w Polsce* (seria wydawnicza SBP z początku lat dziewięćdziesiątych). Z każdego z 49 zeszytów (każdy dla innego województwa) zostały wybrane dwie biblioteki (wojewódzka i miejska w innym mieście). Następnie stworzona w ten sposób baza adresowa została skonfrontowana z obecnym podziałem administracyjnym Polski. W związku z tym, że niektóre nowe województwa nie byłyby odpowiednio reprezentowane (głównie opolskie), baza została powiększona o 4 adresy. W celu aktualizacji danych adresowych bardzo pomocna była komputerowa baza „Biblios” utrzymywana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie. Problemem metodologicznym był przyjęty sztywny podział na biblioteki wojewódzkie i powiatowe. Przede wszystkim niektóre z obecnych bibliotek powiatowych to niedawne jeszcze biblioteki wojewódzkie, w których wielkość zbiorów i ich charakter odbiegają od przeciętnej biblioteki powiatowej. De facto więc w kategorii „biblioteki powiatowe” znalazły się biblioteki duże z dużymi zbiorami audiowizualnymi oraz biblioteki wyraźnie mniejsze, często nie mające nic z nagrań audio, wideo i multimedialnych. Drugim problemem było nazewnictwo. Lucjan Biliński zwrócił nawet uwagę na dowolność, czy wręcz samowolę panującą w tej dziedzinie<sup>1</sup>. Z nazwy biblioteki często nie wynika, że pełni ona rolę powiatowej. Szczególnie były biblioteki wojewódzkie

<sup>1</sup> L. Biliński: Czy przepisy prawne określają nazwę biblioteki? "Bibliotekarz" 2000 nr 9 s. 31-32.

przyjmują nazwy odbiegające od schematów<sup>2</sup>. W takich sytuacjach dla potrzeb ankiety należało przyjąć, że biblioteką powiatową jest największa biblioteka publiczna w danym mieście powiatowym<sup>3</sup>.

Ankieta realizowana drogą pocztową nie jest szczególnie cenioną przez socjologów metodą badawczą. Chętniej stosują oni wywiad kwestionariuszowy jako metodę bardziej skuteczną i miarodajną. Paweł Daniłowicz i Franciszek Sztabiński stwierdzają wręcz, że wywiad kwestionariuszowy jest „tym sposobem zbierania danych, który zdominował socjologię empiryczną”<sup>4</sup>. Niechęć do ankiet pocztowych wynika z faktu, iż nie dają one zazwyczaj tak wielu odpowiedzi, ilu oczekiwałby autor badania. Według Daniłowicza i Sztabińskiego przeciętny odsetek zwrotów ankiety pocztowej waha się w granicach 30-35%<sup>5</sup>. Mimo stwierdzonej powyżej wyższości wywiadu kwestionariuszowego nad ankietą pocztową w badaniach survey'owych, za wykorzystaniem tej drugiej w omawianym dalej badaniu przemawiały względy obiektywne. Po pierwsze badanie miało zasięg ogólnopolski, a że realizowałem je wyłącznie własnymi siłami, uzyskanie bogatego materiału badawczego przy zastosowaniu bezpośredniego wywiadu kwestionariuszowego byłoby dużo bardziej czasochłonne i kosztowne i nie gwarantowałoby lepszych wyników. Po drugie ankieta miała adresata instytucjonalnego, nie zaś osoby fizyczne. O ile więc wywiad kwestionariuszowy jest wygodną i skuteczną metodą w badaniach socjologicznych (sprawdzających np. preferencje polityczne lub kulturalne poszczególnych osób), o tyle w badaniach instytucji ilość czasu, jaką mają respondenci na udzielenie odpowiedzi, może okazać się czynnikiem pozytywnie wpływającym na wyniki ankiety. Instytucja ma w przypadku ankiety pocztowej czas na wskazanie osoby najlepiej przygotowanej do udzielenia odpowiedzi, a także owa osoba może bez pośpiechu zgromadzić informacje potrzebne do wypełnienia ankiety. Brak pośpiechu towarzyszący ankiecie pocztowej sprawia więc, że mniejsze jest ryzyko uzyskania pochopnych odpowiedzi z nieprawdziwymi danymi.

W nawiązaniu do cytowanej powyżej wypowiedzi Daniłowicza i Sztabińskiego na temat najczęściej uzyskiwanego odsetka odpowiedzi w ankiecie pocztowej, wynik 65,6% uzyskany w badaniu będącym przedmiotem niniejszego rozdziału należałoby uznać za sukces. Jednak niektórzy socjologowie uznaliby ten wynik za jedynie przyzwoity. Na przykład Thomas Mangione stawia bardzo wysoko poprzeczkę uznania ankiety pocztowej za udaną w zależności od liczby odpowiedzi.

---

<sup>2</sup> W Polsce jest 308 powiatów ziemskich i 65 miast na prawach powiatu, czyli powiatów grodzkich. Anna Majcher podała jednak, że „na ponad 370 powiatów do 31 lipca 2000 r. utworzono 139 bibliotek stopnia powiatowego” (A. Majcher: *O bibliotekach powiatowych '2000 ciąg dalszy*. „Poradnik Bibliotekarza” 2000 nr 1 s. 8). O powolności procesu tworzenia bibliotek powiatowych świadczy przykład województwa pomorskiego, w którym na 19 powiatów do połowy roku 2000 powstały tylko 2 biblioteki tego szczebla (tamże, s. 9).

<sup>3</sup> Problem w interpretacji uzyskanych wyników wiązał się też z bibliotekami wojewódzkimi. Stworzyły go województwa kujawsko-pomorskie i lubuskie, bo z ich powodu mamy w Polsce 16 województw, ale 18 bibliotek wojewódzkich. Zostało jednak wyżej stwierdzone, że dla potrzeb ankiety przyjęte zostało, iż największa biblioteka w mieście powiatowym jest biblioteką powiatową. Muszę więc stwierdzić – z całym szacunkiem dla Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Toruniu – że zaliczenie jej w tym badaniu do bibliotek powiatowych nie wypacza całości wyników ankiety.

<sup>4</sup> P. Daniłowicz, F. Sztabiński: *Nowe spojrzenie na ankietę pocztową. Jak uzyskano 70% zwrotów*. W: *Analizy i próby technik badawczych w socjologii. Tom IX. Problemy humanizacji procesu badawczego*. Pod red. Z. Gostkowskiego. Warszawa, PAN 1992 s. 123.

<sup>5</sup> Tamże, s. 124.

Według niego dopiero wynik powyżej 70% zwrotów to wynik bardzo dobry, a wynik uzyskany przez ankietę omawianą poniżej sytuowałby ją w kategorii „do przyjęcia”. Bardzo surowe wymagania stawiane ankietom przez Mangione powodują, że badanie, które uzyskałoby poniżej 50% zwrotów podlegałoby według niego dyskwalifikacji<sup>6</sup>. Z dalszego tekstu wynika jednak, że wysoki ponad 70% odsetek odpowiedzi można uzyskać jedynie poprzez wysyłanie monitów. W metodzie zwanej „metodą całościową” (opracował ją Don Dillman i omówił w książce *Mail and telephone surveys. The total design method*) przewiduje się wysłanie nawet trzech monitów w określonych odstępach czasu. Średni odsetek zwrotów w badaniach metodą całościową jest na poziomie 74%, a niektóre wyniki zbliżają się do 100%<sup>7</sup>. Skoro więc w ankiecie będącej tematem tego rozdziału nie zastosowano żadnych „listów przypominających”, to odsetek powyżej 65% zwrotów można chyba uznać za bardziej niż satysfakcjonujący. Zrezygnowałem z monitowania bibliotek-respondentów, choć w pewnym momencie rozważałem możliwość monitów telefonicznych. W badaniu, w którym autorzy deklarują anonimowość odpowiedzi, wysyłanie monitu jest w jakimś sensie złamaniem danego słowa<sup>8</sup>. W liście przewodnim omawianej ankiety zostało stwierdzone, że gwarantuje się anonimowość respondentom. Niektórzy więc potraktowali ankietę jako całkowicie anonimową, a nie poufną, i odsyłali formularz ankiety bez podania o jaką bibliotekę chodzi i bez zwyczajowego w korespondencji instytucjonalnej stawiania pieczęci firmowej na kopercie zwrotnej. Wysyłanie w takiej sytuacji monitów byłoby przyznaniem się autora, iż mimo starań kamuflażu ze strony niektórych bibliotek, w pełni orientuje się, kto wysłał odpowiedź, a kto nie. Wiedza ta wynikałaby w zasadzie jedynie z analizy stempli pocztowych. Musiałem, niestety, uciec się w kilku przypadkach do tej dość niezręcznej metody, ale tylko wtedy, gdy biblioteka pozostawiała nie wypełnioną metrykę. Ważne bowiem było, by wypełniona metryka ankiety wyraźnie wskazywała, jaki jest administracyjny szczebel instytucji (biblioteka powiatowa lub wojewódzka). Brak tej informacji utrudniał przydzielenie danego wyniku do odpowiedniej kategorii.

Założony z góry podział na biblioteki powiatowe i wojewódzkie przy omawianiu wyników ankiety wynikał z przekonania, że wielkość zbiorów nieksiążkowych oraz ilość sprzętu komputerowego i odtwarzającego będą wyraźnie różniły in plus biblioteki szczebla wojewódzkiego od bibliotek powiatowych. Jak się dalej okaże, te przypuszczenia nie były całkiem trafione. Biblioteki powiatowe nie muszą prezentować się gorzej, a bywa wręcz przeciwnie. Wychodząc zresztą z takiego założenia, w 1990 r. Biblioteka Narodowa przedstawiła wyniki podobnych badań przeprowadzonych między innymi wśród bibliotek publicznych bez dzielenia ich według szczebli organizacyjnych. Witold Przybyszewski, który tamte badania omawiał napisał:

*(...) nie ma wymiernej zależności między organizacyjnym usytuowaniem bibliotek (wojewódzkie, miejskie, miejsko-gminne) a strukturą zaopatrzenia w sprzęt techniczny, jego wykorzystaniem i potrzebami w tym zakresie<sup>9</sup>.*

Z metryki wypełnianej przez biblioteki-respondentów wynikało, że wielkość zbiorów nie jest wystarczającym kryterium podziału bibliotek na wojewódzkie

<sup>6</sup> T.W. Mangione: *Ankietowanie pocztowe w badaniach marketingowych i socjologicznych*. Warszawa, PWN 1999 s. 81.

<sup>7</sup> F. Sztabiński: *Ankieta pocztowa i wywiad kwestionariuszowy*. Warszawa, Wydawnictwo IFiS PAN 1997 s. 141-142.

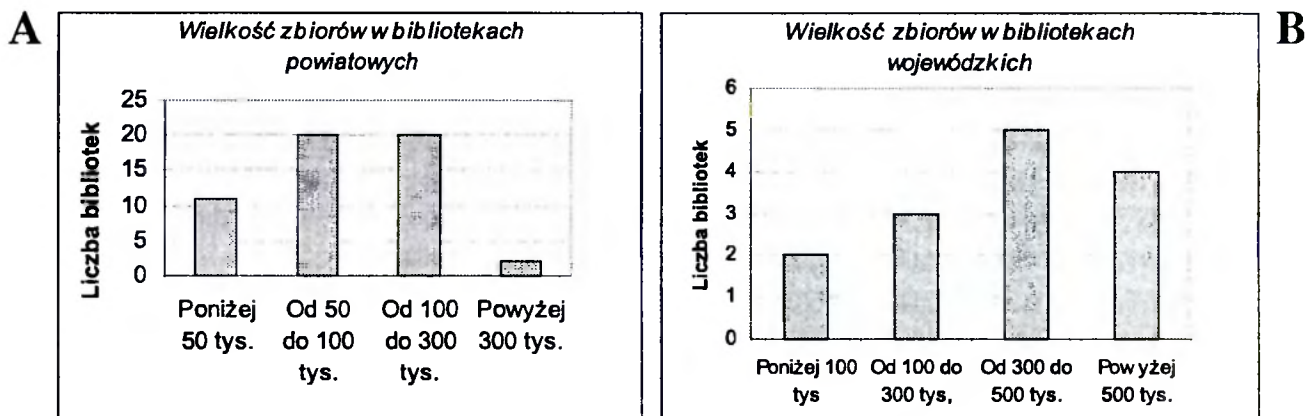
<sup>8</sup> Mangione podaje sposoby rozwiązania problemu z wysyłaniem listów przypominających w sytuacji, gdy zadeklarowało się wcześniej anonimowość respondentom (tamże, s. 91).

<sup>9</sup> W. Przybyszewski: *Wyposażenie techniczne bibliotek. Raport z badań*. Warszawa, BN 1992 s. 7.



i powiatowe. Wśród powiatowych 11 miało zbiory mniejsze niż 50 tysięcy, ale dwie miały zbiory większe niż 300 tysięcy woluminów, czyli więcej niż niejedna wojewódzka (wykres A).

Wśród bibliotek wojewódzkich są dwie biblioteki o dość małym księgozbiore (wyraźnie poniżej 100 tysięcy woluminów – wykres B). W sumie więc aż 31 bibliotek powiatowych ma księgozbiór większy niż owe dwie biblioteki wojewódzkie. Potwierdza to jeszcze raz zdanie wyrażone wyżej, iż wielkość zbioru i jego jakość nie zależą od administracyjnego usytuowania biblioteki.



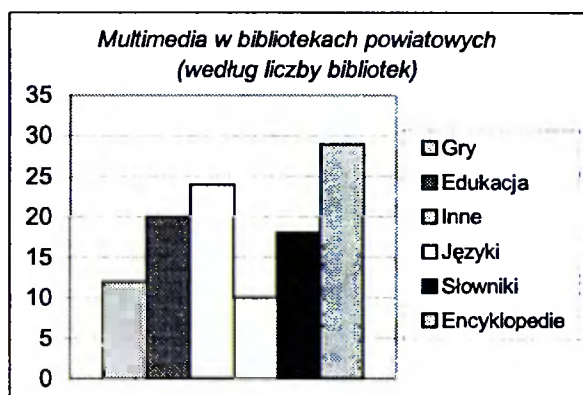
Pierwsze pytanie ankiety dotyczyło tak popularnych dziś multimediiów. Jego celem było uzyskanie informacji o rodzajach i ilości posiadanych przez biblioteki programów multimedialnych. W formularzu ankiety przygotowane były do zaznaczenia następujące kategorie multimediiów: encyklopedie, słowniki, pakiety do nauki języków, gry, pakiety edukacyjne i inne materiały. Kategoria „encyklopedie” z założenia miała obejmować encyklopedie uniwersalne i dziedzinowe. Multimedia służące do wspomaganiania nauki języków obcych zostały wyłączone z kategorii „pakiety edukacyjne” ze względu na swój szczególny charakter i dużą popularność na rynku. Kategoria „inne” okazała się wbrew pozorom całkiem liczną grupą. Różne multimedialne poradniki, przewodniki, atlasy, mapy itp. po zsumowaniu tworzą kategorię bardziej liczną niż pozostałe rodzaje.

Wśród 14 bibliotek wojewódzkich, które wzięły udział w ankiecie, wszystkie stwierdziły obecność multimediiów w zbiorach. Natomiast tylko 29 bibliotek powiatowych odpowiedziało na to pytanie pozytywnie. Oznacza to, że w dobie ogromnej popularności multimediiów, w sytuacji gdy w każdym kiosku jest naraz po kilkanaście tytułów, a księgarnie i supermarkety mają specjalne działy multimedialne, aż 45% bibliotek publicznych niższego szczebla nie ma multimedialnych CD-ROM-ów. Należy też pamiętać, że część bibliotek uwzględnianych w badaniu jako powiatowe, to niedawne biblioteki wojewódzkie. Gdyby więc objąć badaniem tylko biblioteki powiatowe, które przy poprzednim podziale administracyjnym były bibliotekami miejsko-gminnymi, to wynik dla multimediiów byłby jeszcze słabszy.

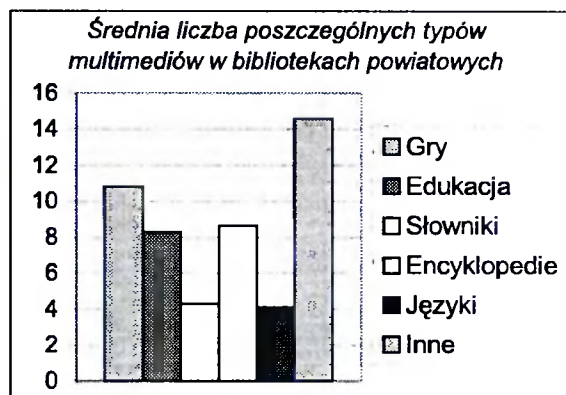
Z danych i z wykresu C wynika, że wszystkie biblioteki powiatowe deklarujące obecność multimediiów w swoich zbiorach posiadają multimedialne encyklopedie.

Ciekawa sytuacja jest w przypadku gier, które według wielu bibliotekarzy nie zasługują, by przekroczyć próg świątyni wiedzy, jaką jest biblioteka. Badanie pokazuje, że opinie na ten temat bywają wśród bibliotekarzy diametralnie odmienne. Otóż tylko w 12 bibliotekach powiatowych posiadających multimedia spotyka się gry, ale w sumie jest ich na tyle dużo, że dają im to drugą pozycję w podziale na rodzaje.

C



D



Średnio ich liczba sięgała w jednej bibliotece 11 tytułów (według wykresu D), ale tak naprawdę średnią tę podniosły zdecydowanie dwie biblioteki, z których jedna miała 50 gier, a druga 42. W pozostałych liczba gier raczej nie przekraczała 6 sztuk. Ankieta wstępnie nie definiowała pojęcia „gra”, niewykluczone więc, że w wynikach są pewne przekłamania, wynikające z różnego rozumienia tego słowa<sup>10</sup>.

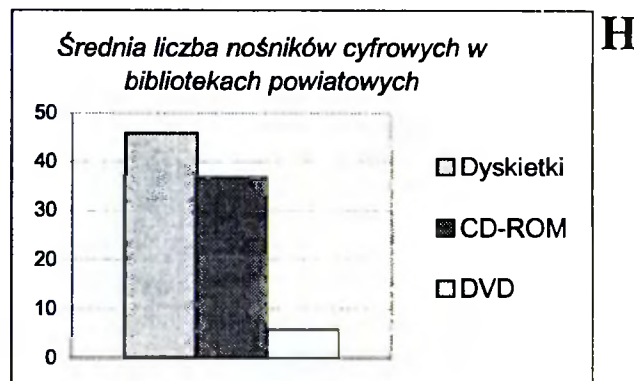
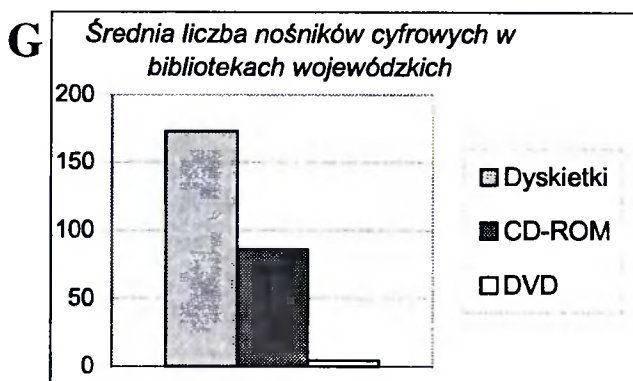
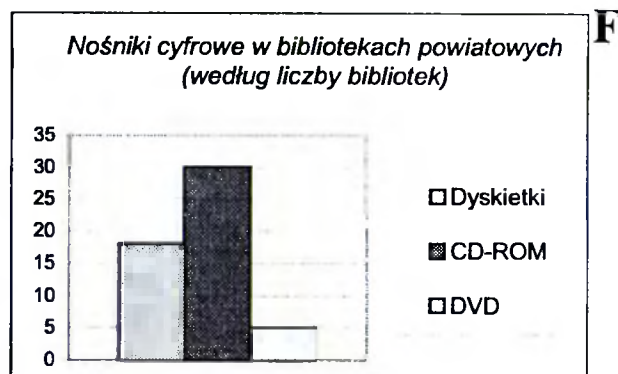
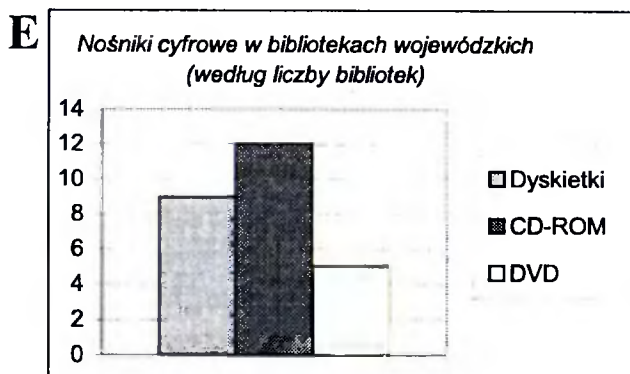
Drugie pytanie ankiety dotyczyło najpopularniejszych nośników zapisów cyfrowych. Biblioteki miały do wyboru możliwość zaznaczenia pól trzech najczęściej spotykanych nośników: dyskietek 3,5", CD-ROM-ów i płyt DVD. Wyniki tu uzyskane były spodziewane. Jest oczywiste, że dysk optyczny jest najczęściej obecnie używanym nośnikiem zapisu cyfrowego, a drugą pod tym względem pozycję zajmują jeszcze na razie dyskietki 3,5" (dyskietki typu Zip i dyskietki 5 1/4" nie były brane tu pod uwagę). Dyski DVD dopiero zdobywają rynek, musiały więc zająć trzecią pozycję, ale ich obecność w 5 bibliotekach wojewódzkich już teraz jest dla nich dobrym prognostykiem). Może być jedynie zaskoczeniem, że jednak wśród bibliotek wojewódzkich są dwie, które nie mają płyt CD-ROM (z wykresu E wynika, że płyty CD-ROM są w 12 bibliotekach wojewódzkich). Wnikliwy czytelnik zapyta zapewne, jak to możliwe, skoro wcześniejsze pytanie wykazało, że nie ma biblioteki wojewódzkiej bez multimedialnych. Tak to rzeczywiście pozostanie zagadką, która zawiera się w pytaniu: jak można mieć multimedia, nie mając CD-ROM. Oczywiście, teoretycznie jest to możliwe. Pakiet multimedialny mógłby zostać skopiowany z sieci i zapisany na dysku twardym, mógłby być także zakupiony na dyskietkach. Ale generalnie multimedia kojarzą się z tanim, poręcznym i pojemnym dyskiem optycznym<sup>11</sup>.

Z wykresu F wynikają podobne wyniki dla bibliotek powiatowych. Wśród nich też najczęstszym (według liczby bibliotek) nośnikiem cyfrowym jest płyta CD-ROM, ale również pewnym zaskoczeniem jest, że spośród 53 bibliotek powiatowych tylko 30 przyznało się do posiadania tego rodzaju nośnika; 43% bibliotek niższego szczebla bez płyt CD-ROM to wynik wyraźnie gorszy od standardów zachodnioeuropejskich.

Zaskoczeniem mogą być także wyniki liczebności nośników cyfrowych w obu typach bibliotek. Okazuje się bowiem, że przeważają dyskietki. Z badania wynika, że średnia liczba dyskietek w bibliotekach wojewódzkich wynosi 173 sztuki (wykres G), czyli prawie dwukrotnie więcej niż CD-ROM, a w bibliotekach powiatowych 46 sztuk średnio na bibliotekę (wykres H).

<sup>10</sup> Oto np. jakiś uczestnik ankiety mógł uznać, że multimedialny spacer po zbiorach Luwru to gra, inny stwierdziłby, że to pakiet edukacyjny, a jeszcze ktoś mógłby zaliczyć taki krążek do kategorii „inne”.

<sup>11</sup> Pewnym wyjaśnieniem jest fakt, iż jedna z bibliotek wojewódzkich odpowiedziała negatywnie na pytanie o multimedia, ale obok podano, że korzysta się z encyklopedii multimedialnej przez sieć.



Można tę ilościową przewagę dyskietek – szczególnie w bibliotekach wojewódzkich – tłumaczyć ich stosunkowo małą pojemnością. Jeden CD-ROM mieści przecież tyle informacji, co prawie 500 dyskietek. Poza tym, podane tu średnie nie oddają całej prawdy o tych zbiorach, dlatego że de facto nawet między bibliotekami tej samej kategorii istniały duże dysproporcje. Jedna z bibliotek wojewódzkich podała, że posiada 521 dyskietek, a inna wojewódzka, że 2(!).

W tym punkcie badań zaskakiwać może także fakt, iż średnia ilość płyt DVD w bibliotekach powiatowych (5,8) przewyższa tę średnią w bibliotekach wojewódzkich (4,2).

Następne pytanie ankiety dotyczyło sposobu udostępniania posiadanych programów komputerowych. Chodziło tu przede wszystkim o wspomniane w pierwszym pytaniu multimedia. Udostępnianie programów komputerowych powinno się odbywać nieco inaczej niż innych dokumentów audiowizualnych, co wynika ze szczególnego potraktowania tych pierwszych przez ustawę o prawie autorskim. W pytaniu kryła się więc niezamierzona pułapka, bo danie możliwości zakreślenia odpowiedzi „wypożyczanie do domu” było w zasadzie wskazaniem sytuacji, która według prawa nie powinna mieć miejsca. Producenci software'u z reguły (chyba, że mamy do czynienia z programem typu freeware) dopuszczają możliwość tylko jednej instalacji zakupionego programu (tzn. na jednym komputerze). Wypożyczenie użytkownikowi programu do domu byłoby więc złamaniem tej zasady<sup>12</sup>. Okazało się, że jednak to się zdarza. Do wypożyczania programów do domu „przyznały się” dwie biblioteki powiatowe i dwie biblioteki wojewódzkie<sup>13</sup>.

<sup>12</sup> D. Grygowski: *Aspekt prawny wykorzystania multimediiów w edukacji i bibliotekarstwie*. „Poradnik Bibliotekarza” 1998 nr 2 s. 9-10.

<sup>13</sup> Niewykluczone, że owe cztery biblioteki miały na myśli programy na krążkach dołączanych do czasopism komputerowych. Wówczas faktycznie nie dochodzi do złamania prawa autorskiego, bo programy takie mają zazwyczaj status programów bezpłatnych (freeware) lub częściowo bezpłatnych, ewentualnie nie w pełni funkcjonalnych (shareware).

Kolejne pytanie wiązało się z poprzednim zagadnieniem. Chodziło o informację, czy biblioteka pobiera opłaty za udostępnianie programów. Jedna biblioteka wojewódzka i jedna powiatowa odpowiedziały pozytywnie<sup>14</sup>. Wprowadzenie w polskich bibliotekach opłat za wypożyczanie CD-ROM-ów do domu musiałoby napotkać opór ze strony wspomnianego prawa autorskiego. Wypożyczenie płyt CD z programami podlegającymi licencji byłoby uznane przez to prawo za wykroczenie, a w sytuacji, gdy czerpie się z tego stałe korzyści, ustawa przewiduje zmianę kwalifikacji prawnej i zaostrzenie kar.

Kolejne pytanie ankiety dotyczyło komputerów. Biblioteki proszone były po prostu o podanie liczby posiadanych tego typu urządzeń. Zanim zostaną podane te dane, warto przypomnieć wyniki wspomnianych wcześniej badań Biblioteki Narodowej z 1990 roku. Wówczas ze 137 badanych bibliotek publicznych jedynie 3 miały komputery, co daje odsetek 2,2%<sup>15</sup>. Minęło 10 lat i dziś już nie pytamy o to, czy biblioteka ma komputery, ale ile ich ma. Zatem według omawianej tu ankiety komputery posiadały wszystkie biblioteki wojewódzkie, a średnio na bibliotekę przypadały 44 komputery. Natomiast spośród 53 bibliotek powiatowych pozytywnie na to pytanie odpowiedziało 48. Oznacza to, że wśród bibliotek średniego szczebla około 10% nie posiada jeszcze komputera. Czy jest powód do niepokoju? Z jednej strony tak, bo część polskich bibliotek publicznych średniego szczebla wchodzi w XXI wiek bez symbolu wieku XX. Ale z drugiej strony jest bardzo prawdopodobne, że w momencie publikacji tych danych powyższy wskaźnik będzie bliski zeru, zważywszy na tempo wkraczania komputerów do gospodarstw domowych i instytucji, przy jednoczesnym relatywnym spadku ich cen.

W pytaniu szóstym ankiety biblioteki pytane były o to, czy posiadają katalog komputerowy. Może być dla niektórych zaskoczeniem informacja, że jedna z 14 bibliotek wojewódzkich w momencie wypełniania ankiety nie miała takiego katalogu, a dziwić to może tym bardziej, że wśród bibliotek powiatowych miały katalog automatyczny 33 biblioteki, czyli 62% bibliotek w tej kategorii. Jeśli te dane zestawimy z danymi z poprzedniego pytania, to okaże się, że 15 bibliotek powiatowych ma komputer (komputery), ale nie posiada w nich katalogu. Jaki stąd wniosek? Niewykluczone, że część z tych bibliotek jest w trakcie tworzenia bazy katalogowej i że wkrótce zostanie ona udostępniona użytkownikom. Zdarza się także taka sytuacja, że biblioteka bez katalogu komputerowego posiada jednak w czytelni komputery, na których udostępnia multimedia i Internet. Stwierdzono tak w przypadku 4 bibliotek powiatowych. Jeśli jednak są biblioteki, w których komputer służy jedynie do drukowania kart katalogowych i ogłoszeń na drzwi, to sytuacja taka na dłuższą metę może być niepokojąca.

---

<sup>14</sup> W tym miejscu można ten wynik porównać z wynikami badań Chrisa Batta, który w ostatniej ankiecie na temat technologii informacyjnej w bibliotekach publicznych Wielkiej Brytanii wiele miejsca poświęcił sprawie opłat za usługi. Przy pytaniu o pobieranie opłat za udostępnianie CD-ROM-ów biblioteki często odpowiadały, że udostępnianie jest bezpłatne (przede wszystkim na miejscu), jednak niektóre zastrzegały, że pobierana jest opłata za wypożyczenie do domu. Spośród 129 bibliotek, które odpowiedziały na to pytanie, 31 wyraźnie to stwierdziło. Opłaty były bardzo różne i kształtowały się od 70 pensów za dwa tygodnie aż do 9 funtów. Dość hojna była pod tym względem biblioteka publiczna w Essex, która pobierała niecałe 2 funty za trzytygodniowy okres wypożyczenia. Dodatkową ciekawostką jest, że tylko jedna biblioteka (Bridgend) ze 129 bibliotek wyraźnie stwierdziła, iż nie pozwala użytkownikom kopiować materiałów na własne dyskiety. Pozostałe bardzo często pozwalały za niewielką opłatą na wydruk. Z kolei tylko jedna biblioteka (Oxfordshire) dopuszczała kopiowanie na własny dysk, ale cena wynosiła aż 10 funtów (zob. C. Batt: *Information technology in public libraries*. Sixth ed. London, LA Publishing 1998 s. 121-123.)

<sup>15</sup> W. Przybyszewski: *Wyposażenie techniczne bibliotek...*, op. cit. s. 11.

Następne pytanie wynika z poprzedniego, ale też nawiązuje do pytania trzeciego. Chodziło o to, czy użytkownicy biblioteki mogą korzystać z programów w czytelni oraz o liczbę udostępnionych stanowisk. W sumie 10 bibliotek wojewódzkich odpowiedziało pozytywnie (71%), a średnia liczba stanowisk komputerowych w czytelniach wyniosła 5,1 (aż w trzech bibliotekach wojewódzkich liczba stanowisk komputerowych w czytelniach przekroczyła 10). Z kolei wśród bibliotek powiatowych skomputeryzowanych czytelni było 23, co dało nieco gorszy odsetek – 43%. Średnia liczba stanowisk wyniosła 1,9. Warto podkreślić, że jedna z bibliotek powiatowych dorównywała pod tym względem najlepszym bibliotekom wojewódzkim, mając 9 stanowisk komputerowych w czytelni.

Kolejne trzy pytania związane były z Internetem. W ósmym biblioteki pytane były o to, czy mają dostęp do Internetu i jak jest on realizowany. Wśród bibliotek wojewódzkich 13 miało ten dostęp, z czego 11 miało łącze stałe, a 2 miały łącze komutowane przez modem i korzystały z serwera dostępowego TP S.A. Wśród bibliotek powiatowych dostęp do sieci miało 26 bibliotek, a częstszym sposobem łączenia był modem i serwer TP S.A. (19) niż łącze stałe (7). Żadna z bibliotek nie podała, że ma dostęp do Internetu przez telewizję kablową. Jak widać ta forma dostępu, która ma być w przyszłości powszechną ofertą kierowaną do gospodarstw domowych, nie ma jeszcze szerszych zastosowań w naszym kraju.

Następne pytanie związane z Internetem dotyczyło ewentualnej własnej strony internetowej udostępnionej przez bibliotekę. Stronę WWW posiadało 11 bibliotek wojewódzkich (85%) i 15 powiatowych (28%). Konsekwencją tego pytania musiało być pytanie o to, czy na stronie WWW (ewentualnie przez Telnet) biblioteka udostępnia swój OPAC. Pozytywnie odpowiedziało 6 bibliotek wojewódzkich i 6 powiatowych. W przypadku wojewódzkich daje to odsetek 46%, a w przypadku powiatowych 11%. Nie ma chyba powodu, by z tych niskich wskaźników wyciągać złowieszcze wnioski. Proces automatyzacji bibliotek publicznych jest jednak u nas wciąż w fazie wstępnej. Zwieńczeniem procesu automatyzacji jest zaistnienie biblioteki wraz z jej katalogiem na stronie WWW. Zanim to jednak nastąpi musi potrwać żmudny proces automatyzacji i tworzenia rekordów z opisami zbiorów. Dalszym krokiem jest podłączenie biblioteki do sieci i ewentualna współpraca z innymi bibliotekami w celu wymiany rekordów w programie współkatalogowania. Potem zostaje już tylko sukcesywne umieszczanie w sieci cyfrowych wersji ciekawszych i rzadkich dokumentów. To wszystko jest jeszcze przed większością bibliotek w Polsce, ale nie można jeszcze mówić o jakimś dużym zapóźnieniu.

Kolejne pytanie ankiety dotyczyło możliwości korzystania przez użytkowników z Internetu. W tym punkcie było też dodatkowe pytanie o ewentualność pobierania opłat za dostęp do sieci. Wynik może być zaskakujący. Internet jest przecież traktowany jako dobro wspólne, jako demokratyczne medium, do którego każdy powinien mieć dostęp i w którym każdy powinien móc zaistnieć, jeśli tego pragnie. Z założenia więc dostęp do tego medium nie powinien zależeć od zasobności czyjegoś portfela, a przynajmniej nie w takiej sytuacji, gdy jest to dostęp z miejsca publicznego takiego jak biblioteka. W krajach rozwiniętych biblioteki są właśnie takim miejscem, gdzie można mieć bezpłatny dostęp do Internetu. Do tego modelu powinny zmierzać także biblioteki polskie. Będzie to możliwe po pierwsze, gdy Internet się upowszechni, powiedzmy nawet „spowszednieje”, a po drugie – co będzie trudniejsze – konkurencja na rynku telekomunikacyjnym wymusi zmniejszenie opłat za połączenia z siecią. Z faktu, że więk-

szość bibliotek publicznych pobiera opłaty za dostęp do Internetu nie wynika bynajmniej ich potępienie; raczej zrozumienie smutnego faktu, że sieć jest u nas wciąż medium nowym, droгим i elitarnym. Wyniki są następujące: 11 bibliotek wojewódzkich daje czytelnikom dostęp do Internetu z czego 9 pobiera za to opłatę. Wśród bibliotek powiatowych takie urozmaicenie oferty spotykamy w 15 bibliotekach z czego 12 każe sobie za to płacić.

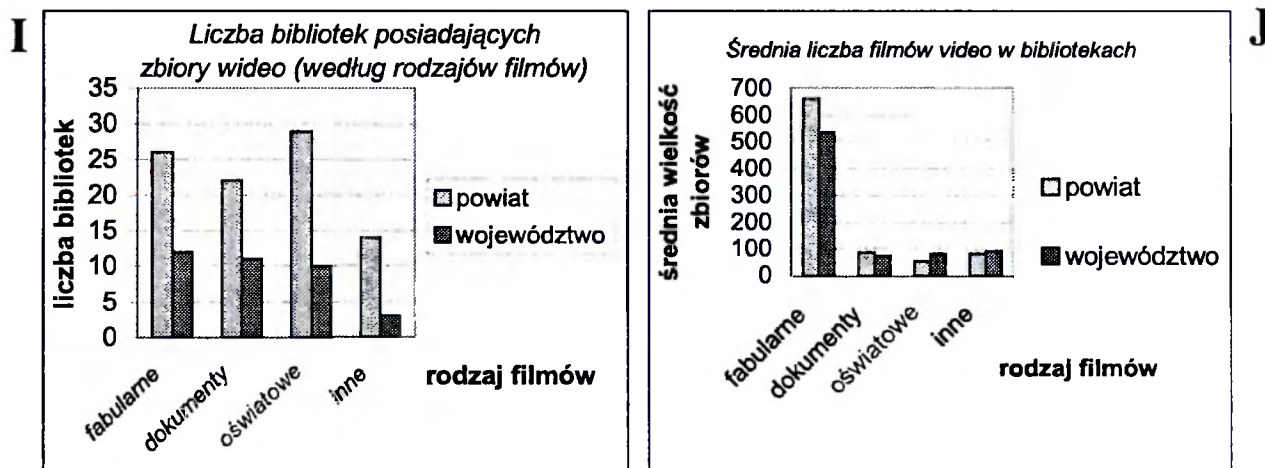
Następny blok pytań dotyczył innych (niż multimedia i zasoby sieci) przekazów audiowizualnych, z którymi czytelnik może zetknąć się w bibliotece. Biblioteki były pytane o nośniki audio, wideo i mikroformy, jakie ewentualnie biblioteka posiada oraz o sprzęt odtwarzający. Pytanie jedenaste dotyczyło zbiorów wideo. Pozytywnie odpowiedziało na to pytanie 12 bibliotek wojewódzkich, jedna z dwóch które nie miały wideo, stwierdziła, że owszem zbiory wideo są, ale w filiach, tymczasem w ankiecie była wyraźna prośba o podawanie – w celu ujednolicenia wyników – danych dotyczących jedynie biblioteki głównej.

Na 53 biblioteki powiatowe nie miało zbiorów wideo 19 – 36%, to raczej dużo! Z wykresu I wynika, że w bibliotekach wojewódzkich najczęstszym typem filmu w zbiorze jest film fabularny – 12 bibliotek stwierdziło jego obecność, 11 bibliotek wojewódzkich stwierdziło, że posiada także filmy dokumentalne, a 10 że również filmy oświatowe.

W formularzu ankiety przygotowana do ewentualnego zaznaczenia była też kategoria „inne”<sup>16</sup>. Niektóre biblioteki posiadające filmy animowane dla dzieci i musicale zaznaczały tę kategorię, ale trzeba mieć świadomość, że brak w tym miejscu definicji filmu fabularnego mógł sprawić, że niektóre biblioteki zaliczały kreskówki Disneya do pierwszej kategorii. Nieco inna sytuacja była wśród bibliotek powiatowych. Tutaj pierwszą pozycję mają filmy oświatowe (29 bibliotek), a fabularne są dopiero na drugim miejscu (26 bibliotek). Aż 14 bibliotek powiatowych wybrało kategorię „inne” i najczęściej chodziło o filmy rysunkowe dla dzieci. Wynik tej części ankiety może być pewnym zaskoczeniem. Wydawałoby się bowiem, że wojewódzkie biblioteki publiczne pełnią w wyraźny sposób również funkcję bibliotek naukowych (część z nich ma nawet taki status), a wobec tego, jeśli już mówić o nieznacznej przewadze jakiegoś rodzaju filmów, to powinien raczej przeważać tu film dokumentalny lub oświatowy. Tymczasem taką sytuację obserwujemy, ale w bibliotekach powiatowych, na których – wydawałoby się – w mniejszym stopniu spoczywa obowiązek wsparcia ruchu naukowego, a więcej w nich komunikacji artystycznej i zwykłej rozrywki. Jeśli więc z 34 bibliotek powiatowych, które mają zbiory wideo, 8 bibliotek nie ma filmów fabularnych, świadczyć to może o zjawisku nie przywiązywania wagi do ludycznej funkcji biblioteki publicznej. Jeśli jednak spojrzymy na dane dotyczące liczebności poszczególnych kategorii, to już zdecydowanie prowadzi film fabularny. Średnia liczba kaset w bibliotekach wojewódzkich wyniosła 532 sztuki, a w powiatowych aż 659 sztuk. Średnie nigdy nie mówią całej prawdy, trzeba bowiem pamiętać o wynikach skrajnych, które wpływają istotnie na końcowy rezultat. W tym wypadku rozpiętość była bardzo duża. Wśród bibliotek wojewódzkich były takie, które miały 2-3 filmy fabularne, i takie, które miały ich ponad tysiąc. Jeszcze większa rozpiętość jest wśród bibliotek powiatowych. Najsłabszym wynikiem były 2 filmy, a rekord pobiła biblioteka powiatowa mająca 5595 kaset wideo. Niewykluczone, że mamy w tych wynikach pewne przekłamanie. Na problem ze sta-

<sup>16</sup> Można było mnożyć kategorie filmów w tym punkcie ankiety, dodając np. filmy szkoleniowe lub naukowe, ale prawdopodobnie utrudniłoby to tylko pracę respondentom, przy odpowiedniej kwalifikacji poszczególnych tytułów.

tystyką zbiorów wideo w bibliotekach publicznych zwracał wcześniej uwagę Jerzy Maj w sprawozdaniu w „Bibliotekach Publicznych w Liczbach”. Otóż niektóre biblioteki zaliczają do statutowej działalności wypożyczanie kaset wideo przez komercyjne wypożyczalnie, którym biblioteka użyczyła powierzchni na działalność gospodarczą<sup>17</sup>.



Konsekwencją pytania o zbiory wideo musiało być pytanie o sprzęt potrzebny do odtwarzania filmów. Z pewnością większość bibliotek rozbudowujących zbiór kaset wideo robi to z myślą o wypożyczaniu na zewnątrz, ale należy założyć, że część z nich myśli też udostępnianiu prezencyjnym. Poza tym, nawet biblioteka udostępniająca kasety wyłącznie na zewnątrz powinna mieć magnetowid do przewijania kaset i okresowej oceny ich jakości.

Okazuje się, że nie podzielają tego zdania 3 biblioteki wojewódzkie, bo według uzyskanych odpowiedzi, magnetowidy miało 9 bibliotek wojewódzkich, a przypomnijmy, że wcześniej zadeklarowało obecność kaset wideo w zbiorze 12 bibliotek wojewódzkich. W bibliotekach powiatowych sytuacja jest jasna. Posiadanie magnetowidów deklarowały 34 biblioteki, czyli tyle samo, ile deklarowało zbiór wideo. Najczęściej biblioteki wspominały o jednym posiadanym magnetowidzie. W dwóch bibliotekach powiatowych pojawiła się maksymalna liczba trzech magnetowidów – żadna wojewódzka tyle nie miała.

W kolejnym punkcie ankiety, choć odpowiedź z góry wydawała się oczywista, chodziło o to, czy biblioteka wypożycza kasety wideo. Pytanie nie okazało się jednak formalnością. Oto z 12 bibliotek wojewódzkich mających kasety w zbiorze, nie wypożyczało ich 6. Podobnie było wśród bibliotek powiatowych. Z 34 bibliotek posiadających kasety nie wypożyczało ich 13. Fakt, że 50% bibliotek wojewódzkich i 38% bibliotek powiatowych gromadzi kasety wideo jedynie w celu wykorzystania ich w działalności „na miejscu” może być chyba zaskoczeniem. W tym samym punkcie zawierało się pytanie o ewentualne opłaty przy wypożyczaniu kaset. Z 6 bibliotek wojewódzkich wypożyczających tę część zbiorów 2 nie pobierały za to opłat, podobnie czyniło 7 bibliotek powiatowych.

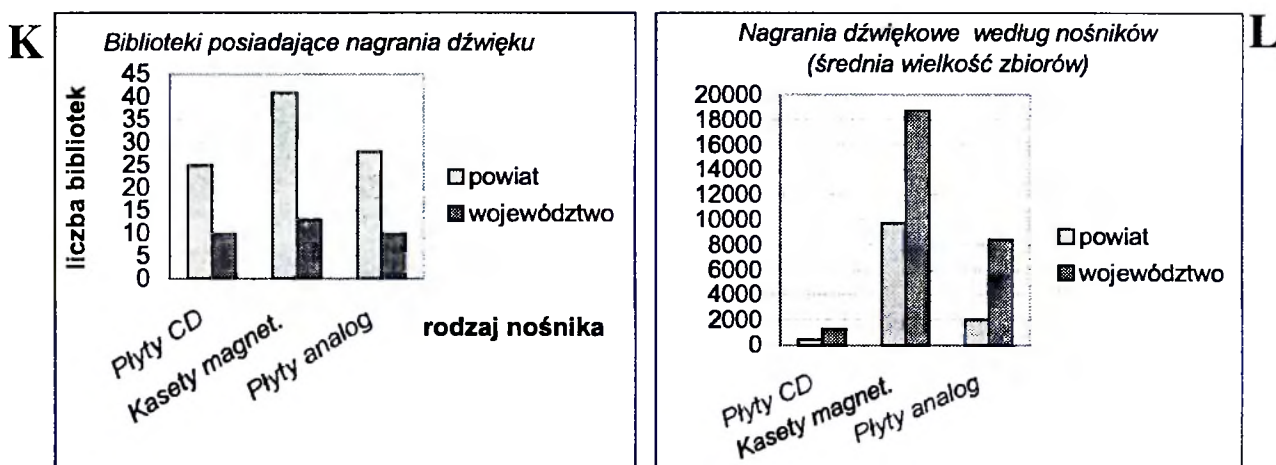
Pytanie czternaste ankiety dotyczyło zbiorów nagrań dźwiękowych. Spośród bibliotek wojewódzkich 13 stwierdziło obecność jakiegoś typu nagrań dźwiękowych w zbiorze, a jedna wojewódzka wyraźnie zaznaczyła w tym miejscu odpowiedź negatywną. Z kolei w 11 bibliotekach powiatowych nie było żadnych na-

<sup>17</sup> J. Maj: *Biblioteki publiczne w 1997 r. Omówienie wybranych zagadnień*. W: *Biblioteki Publiczne w Liczbach 1997*. Warszawa, BN 1998 s. 21.

grań dźwięku. Zatem odsetek bibliotek wojewódzkich posiadających jakieś nagrania dźwiękowe wyniósł 93%, a wśród bibliotek powiatowych odsetek ten wyniósł 79%.

Najczęstszym rodzajem nośnika (według liczby bibliotek je posiadających), były kasety magnetofonowe (wykres K). Po upływie 18 lat od debiutu płyty CD-DA wciąż więcej bibliotek powiatowych posiada czarne płyty analogowe niż płyty CD (odpowiednio 28 do 25). Równowaga natomiast panuje wśród bibliotek wojewódzkich, gdyż 10 z nich posiada płyty kompaktowe i tyle samo płyty analogowe.

Przewaga płyt czarnych jest natomiast bardziej wyraźna jeśli spojrzymy na ogólną liczbę poszczególnych nośników. Oczywiście w tej konkurencji także prowadzą kasety audio, a wyniki tu uzyskane są naprawdę imponujące. Aż siedem bibliotek wojewódzkich posiadało znacznie większy zbiór kaset audio niż Biblioteka Narodowa w Warszawie.



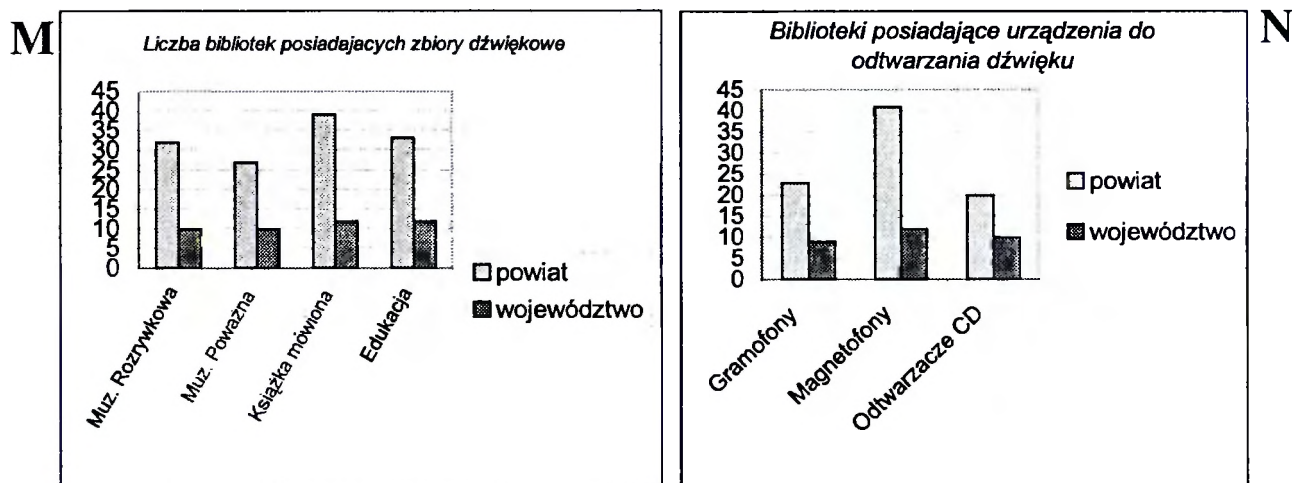
Przypomnijmy, że BN ma ich 5500 (patrz: dane w rozdziale „Przełom analogowo-cyfrowy” s. 63), tymczasem aż 5 bibliotek wojewódzkich ma ponad 30 000 kaset, a rekordzistka ma ich 58 000. Równie dobre wyniki są wśród bibliotek powiatowych. Rekordzistka wśród nich ma ponad 46 000 kaset. Musi w tym momencie przyjść do głowy pytanie, jak to możliwe, żeby biblioteka powiatowa (nie mająca przecież prawa do egzemplarza obowiązkowego) posiadała osiem razy więcej kaset niż BN. Pytanie jest pozornie trudne. Faktycznie bowiem w obecnych i byłych bibliotekach wojewódzkich znajdują się bogate zbiory książek mówionych produkowanych przez Zakład Wydawnictw i Nagrań Polskiego Związku Niewidomych. Katalog ZWiN obejmował pod koniec 2000 r. ponad 4000 tytułów, a każdy z nich zajmuje co najmniej kilka kaset (zdarzają się tytuły na kilkudziesięciu kasetach). Stąd tak duża ich ilość w bibliotekach wojewódzkich i powiatowych. Natomiast BN nigdy tych nagrań nie otrzymywała. Przyznajmy też, że podobnie jak przy pytaniu o kasety wideo, tutaj także ujawniły się ogromne dysproporcje. Jedna z bibliotek powiatowych podała, że ma 8 kaset, inna miała ich 12. Przy dziesiątkach tysięcy gdzie indziej są to śladowe ilości.

Fakt obsługiwanie czytelników niewidomych przez biblioteki publiczne i tworzenia wobec tego dużych zbiorów kaset audio usprawiedliwia więc stosunkowo małe zbiory kaset audio w BN. Byłoby natomiast bardzo dziwne, gdyby któraś biblioteka wyprzedziła BN pod względem posiadanych płyt CD. Tak się rzeczywiście nie dzieje, ale kilka bibliotek publicznych aż tak bardzo nie ustępuje centralnej bibliotece państwa. Kilka z nich (w tym jedna powiatowa) ma zbiór ponad



2000 płyt CD, co przy 4000 w BN nie jest liczbą małą. Z wykresu L wynika stosunkowo niska średnia zbiorów nagrań na CD w porównaniu z innymi nośnikami dźwięku – szczególnie w bibliotekach powiatowych. Wynika to z faktu, że niektóre z bibliotek powiatowych miały naprawdę małe zbiory muzycznych CD, przez co średnia była zaniżona (jedna biblioteka podała nawet, że ma jedną płytę kompaktową!). Ale średnia, która przekracza 500 sztuk na jedną bibliotekę, powinna raczej budzić satysfakcję niż niepokój. Zwraca też uwagę wyraźna przewaga płyt analogowych nad kompaktowymi w bibliotekach wojewódzkich. Średnia liczba 8500 płyt czarnych daje ponad sześciokrotną przewagę nad zbiorami CD (1300 płyt średnio na bibliotekę). Płyty analogowe w bibliotekarstwie są więc trwałą pozycją w zbiorach.

Najpopularniejszym rodzajem nagrań (biorąc pod uwagę liczbę bibliotek, które są w ich posiadaniu) będą nagrania książki mówionej. Ma je 12 bibliotek wojewódzkich i 39 bibliotek powiatowych. Ankietowane biblioteki podkreślały często w dodatkowych uwagach, że zbiory książki mówionej cieszą się dużym zainteresowaniem czytelników, ale tylko jedna wyraźnie stwierdziła, że udostępnia je wyłącznie osobom niewidomym i niedowidzącym. Przyznać należy, że pozostałe rodzaje nagrań są także dobrze reprezentowane w obu typach bibliotek. Szczególnie dotyczy to nagrań przydatnych w edukacji, a przede wszystkim materiałów dźwiękowych do nauki języków obcych (wykres M).

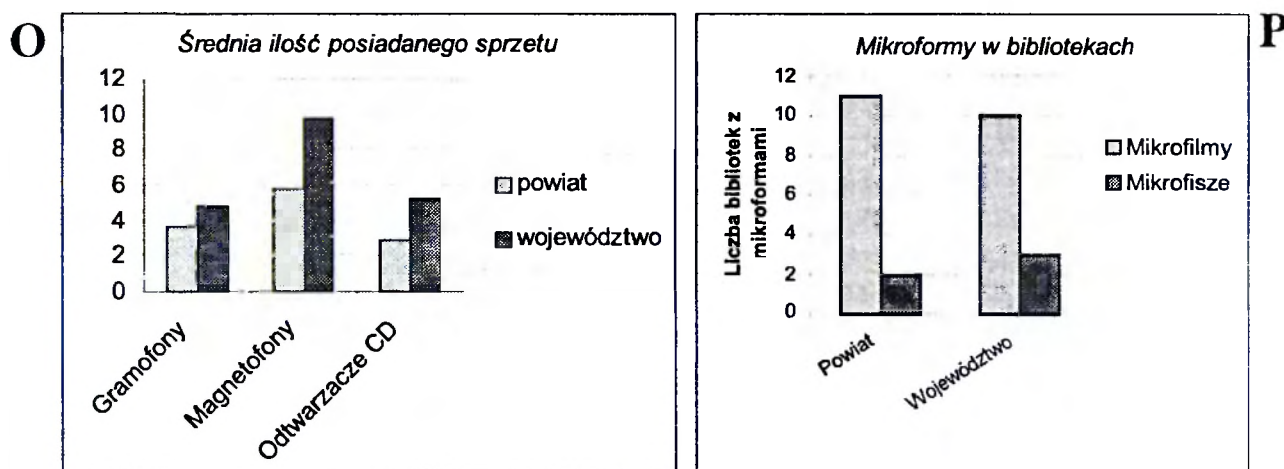


Kolejne pytanie dotyczyło sprzętu służącego do odtwarzania nagrań dźwiękowych. Biblioteki zaznaczały trzy możliwe pola: gramofony, magnetofony, odtwarzacze kompaktowe. Odpowiednio do liczby nośników dźwięku reprezentowane były ich odtwarzacze. Wyniki dla bibliotek wojewódzkich są następujące: 12 z nich ma magnetofony, 10 – odtwarzacze CD, a 9 – gramofony. Wśród bibliotek powiatowych różnicowanie jest większe: 41 ma magnetofony, 23 gramofony, a 20 odtwarzacze CD (dane na wykresie N).

Ciekawe są dane ma temat średniej liczby urządzeń odtwarzających przypadających na jedną bibliotekę. W bibliotekach wojewódzkich jest średnio 9,8 sztuk magnetofonów na jedną bibliotekę, a w powiatowych średnio 5,8 sztuk. Rekordzistką w tej konkurencji jest jedna z bibliotek powiatowych mająca 45 magnetofonów. Drugie miejsce zajęła jedna z bibliotek wojewódzkich z 34 magnetofonami. W pytaniu o magnetofony nie było rozróżnienia pomiędzy magnetofonami szpulowymi, kasetowymi i cyfrowymi. Niewykluczone więc, że biblioteki rekordzistki zaliczyły tu także stare i pewnie częściowo niesprawne magnetofony szpulowe. Jest to jednak tylko mój domysł – być może niesłuszny i krzywdzący. Domysł ten

częściowo jednak usprawiedliwiają wypowiedzi zawarte w pytaniu otwartym zamkniętym kwestionariusz ankiety. Biblioteki często w tym punkcie narzekały na niezadowalający stan techniczny urządzeń audiowizualnych. Stojąc przed dylematem, czy powiększać księgozbiór, czy komputeryzować bibliotekę i/lub unowocześnić sprzęt komputerowy albo ostatecznie unowocześnić sprzęt audio-wideo, biblioteki raczej najrzadziej wybiorą tę trzecią możliwość.

Ciekawe, że średnia liczba odtwarzaczy CD jest w bibliotekach wojewódzkich większa niż średnia liczba gramofonów (patrz wykres O), a w bibliotekach powiatowych jest tylko nieznacznie mniejsza. Wśród bibliotek wojewódzkich najlepszym wynikiem dla odtwarzaczy CD była liczba 12 sztuk. Wśród bibliotek powiatowych najlepszy wynik osiągnęła biblioteka mająca 8 odtwarzaczy kompaktowych.



Można w tym miejscu jeszcze raz odwołać się do badań BN z 1990 roku. Wówczas żadna ze 137 ankietowanych bibliotek nie stwierdziła posiadania odtwarzacza CD<sup>18</sup>. Tamten wynik był zrozumiały. Obecne na światowym rynku od 1982 r. płyty CD-DA mimo wszystko nie były jeszcze wówczas popularnym nośnikiem dźwięku w polskich gospodarstwach domowych, a więc tym bardziej w bibliotekach. Wyrazem tego było wykazane w tamtej ankiecie dość małe zapotrzebowanie na odtwarzacze CD. Wyraziło je wówczas tylko 8,8% badanych bibliotek<sup>19</sup>. Dziś więc sytuacja w tej dziedzinie jest zdecydowanie odmienna. Odtwarzacz CD jest urządzeniem już wyraźnie obecnym w polskim bibliotekarstwie publicznym<sup>20</sup>.

W konkurencji liczby gramofonów, podobnie jak w konkurencji magnetofonów zwyciężyła biblioteka powiatowa. Jedna z nich miała 21 gramofonów, a najlepsza wojewódzka 12 sztuk. Ogólne wyniki pokazują jednak, że zbiory płyt gramofonowych – kilkakrotnie większe niż zbiory płyt kompaktowych – mają wyraźnie mniejsze zaplecze sprzętowe niż płyty CD. Gdyby ta tendencja miała się utrzymać, to być może dojdzie do sytuacji, że płyt analogowych nie będzie na czym odtwarzać.

<sup>18</sup> W. Przybyszewski: *Wypożyczenie techniczne bibliotek...*, op. cit. s. 8.

<sup>19</sup> Tamże, s. 11.

<sup>20</sup> Jedna z powiatowych bibliotek publicznych w pytaniu o odtwarzacze płyt kompaktowych podała liczbę aż 20 sztuk, jednak obok zaznaczyła, że chodzi o czytniki CD będące na wyposażeniu komputerów. Oczywiście nie o to chodziło. Z faktu, że czytnik CD-ROM potrafi odczytywać płyty CD-DA nie wynika, że zaliczymy je do tej samej kategorii co typowe odtwarzacze CD. Zwyczajowo sprzęt komputerowy i sprzęt audio-wideo traktuje się odrębnie.

Kolejne pytanie ankiety dotyczyło mikroform. W sprawozdaniu J. Maja w jednym z zeszytów „Biblioteki Publiczne w Liczbach” jest informacja, że mikroformy stanowią zaledwie 2% zbiorów audiowizualnych w bibliotekach publicznych, a z kolei zbiory audiowizualne stanowią 1,9% ogółu zbiorów<sup>21</sup>. Oznacza to, że mikroformy stanowią niecałe 4 promile zbiorów ogólnych (0,038%). Podobne są wyniki w odniesieniu do mikroform w omawianej ankiecie. Mikrofilmy były obecne w 11 bibliotekach powiatowych i 10 wojewódzkich, a mikrofiszki zaledwie w 2 powiatowych i 3 wojewódzkich (wykres P). Średnia ilość rolek mikrofilmów w bibliotekach wojewódzkich wyniosła na jedną bibliotekę 820 sztuk, a w bibliotekach powiatowych 67 sztuk, ale średnie nie oddają całej prawdy, bo odpowiedzi z bibliotek wojewódzkich w tym punkcie były bardzo różne i mieściły się w zakresie od 9 rolek do 3794 rolek, a w powiatowych od 17 do 192. Dwie biblioteki powiatowe mające mikrofiszki miały ich w sumie 23 sztuki (19+4), a trzy biblioteki wojewódzkie, które stwierdziły obecność mikrofiszki w swoich zbiorach, miały ich odpowiednio: 800, 111 i 101. Można zatem zaryzykować stwierdzenie, że problem mikrofiszki w bibliotekarstwie publicznym właściwie nie istnieje.

Jeśli chodzi o charakter dokumentów utrwalonych na mikroformach, to wśród bibliotek wojewódzkich najczęściej były to kopie zbiorów własnych (8 bibliotek), następnie kopie zbiorów obcych (w 6 bibliotekach), w jednej bibliotece był katalog na mikroformach (nie wiemy, czy własny, czy obcy) oraz w jednej bibliografie w postaci mikroformy. Wynik w bibliotekach powiatowych był nieco inny. Częściej na mikroformach zapisane były obce zbiory (w 9 bibliotekach), zbiory własne na mikroformach posiadało 6 bibliotek powiatowych, i – identycznie jak w wojewódzkich – po jednej bibliotece miało katalog i bibliografię.

Przedostatnie pytanie nawiązywało do badań kanadyjskich wspomnianych we wstępie do niniejszej książki. Biblioteki miały więc odpowiedzieć, czy informują w katalogach o posiadanych dokumentach nieksiążkowych. Odpowiedź jest krótka: 34 biblioteki powiatowe (64%) i 11 bibliotek wojewódzkich (78%)<sup>22</sup> kataloguje dokumenty nieksiążkowe. Są to raczej wyniki dobre, zważywszy że część bibliotek wykazywała małe ilości (lub wcale nie wykazywała) dokumentów nieksiążkowych w zbiorach, trudno więc wymagać od nich katalogowania czegoś, czego prawie nie mają. Wyniki w tym punkcie prezentują polskie biblioteki raczej w dobrym świetle. Zatem obawy wyrażone we wstępie, iż badania bibliotek polskich mogą dać dużo gorsze wyniki niż bibliotek kanadyjskich, okazały się nieuzasadnione.

W poprzednich rozdziałach wiele miejsca poświęcone zostało zapowiadane-  
mu przejęciu przez źródła online funkcji pełnionych do tej pory przez źródła fizycznie znajdujące się w bibliotece. Spektakularnym tego przykładem (wspomnianym w rozdziale II) są biblioteki w krajach wysoko rozwiniętych, które odchodzą od CD-ROM-ów jako nośników źródeł informacji, a w zamian tego abonują bazy online. W ostatnim pytaniu omawianej ankiety zawarta więc była prośba o informację na temat liczby baz online abonowanych przez bibliotekę-respondenta. Wynik jest dość zaskakujący. Co prawda zaskoczeniem nie jest, że

<sup>21</sup> J. Maj: *Biblioteki publiczne w 1998 r. Omówienie wybranych zagadnień*. W: *Biblioteki Publiczne w Liczbach 1998*. Warszawa, BN 1998 s. 22

<sup>22</sup> Ten odsetek dotyczy oczywiście tylko 14 bibliotek wojewódzkich, które nadesłały wypełnione ankiety. Dwie biblioteki wojewódzkie, które tego nie zrobiły, to naprawdę duże biblioteki z tradycjami. Z dużym prawdopodobieństwem można więc założyć, że i one katalogują dokumenty nieksiążkowe, a zatem faktyczny odsetek dla bibliotek wojewódzkich wyniósłby 81%.

robi to mało bibliotek, ale że wśród nich jest 6 powiatowych i tylko jedna wojewódzka. Zwrócenie się polskich bibliotek publicznych ku płatnemu dostępowi do źródeł informacji w trybie online jest więc jeszcze zupełnie niewidoczne i zapewne jeszcze długo podstawowymi źródłami informacji będą w nich dokumenty papierowe i dokumenty elektroniczne na płytach CD-ROM.

Wyniki ankiety mogą podlegać pewnym uogólnieniom. W ankiecie wzięły udział prawie wszystkie biblioteki szczebla wojewódzkiego i 1/7 polskich bibliotek powiatowych, dla tych dwóch szczebli próba byłaby więc reprezentatywna. Pamiętać jednak należy, że jest to tylko wierzchołek góry lodowej. Biblioteki wojewódzkie i powiatowe stanowią tylko 4% spośród blisko 9000 bibliotek publicznych (nie licząc punktów bibliotecznych). W wielu bibliotekach gminnych sytuacja w zakresie poruszonym przez ankietę jest na pewno dużo gorsza. Wystarczy pobieżna lektura bieżącej prasy bibliologicznej, by dojść do wniosku, że ważniejszym dla wielu bibliotek pytaniem jest kwestia, jak przetrwać. Problemy gromadzenia nowych mediów są więc dla takich bibliotek problemami czysto hipotetycznymi. Pewnym komentarzem mogą być wyniki badań sytuacji bibliotek gminnych omówione przez Witolda Przybyszewskiego i Adama Ruska. Wynikało z nich, że w 1993 roku 7% ankietowanych bibliotek gminnych nie zakupiło ani jednej książki i ani jednego czasopisma<sup>23</sup>. Wniosek jest oczywisty: trudno spodziewać się w bibliotekach gminnych zastosowań nowoczesnej technologii, skoro brakuje pieniędzy na czasopisma i książki. Z drugiej jednak strony należy też pamiętać, iż wśród bibliotek gminnych są biblioteki publiczne w miejscowościach, które swego czasu pretendowały do miana powiatów, a nie zostały nimi ze względów geograficznych lub politycznych. Biblioteki w takich miejscowościach nie muszą więc jakościowo odstawać od bibliotek powiatowych.

Ocena bibliotek wojewódzkich i powiatowych pod kątem dostępności do dokumentów audiowizualnych i źródeł elektronicznych na podstawie przeprowadzonej ankiety wypada raczej pozytywnie. Cieszy szczególnie fakt, iż biblioteki powiatowe nie wypadły w badaniu wyraźnie gorzej od bibliotek wojewódzkich, a były obszary, na których im dorównywały. Jednak ogólnie zadowolające wyniki ankiety nie mogą pozostać bez mniej optymistycznego komentarza wynikającego z dodatkowych informacji przekazywanych przez biblioteki w zakończeniu kwestionariusza. Nieliczne biblioteki wyrażały zadowolenie ze stanu technicznego posiadanego sprzętu. Pozostałe biblioteki – szczególnie w odniesieniu do sprzętu komputerowego – stwierdzały, że wymaga on modernizacji, wymiany procesorów, powiększenia pamięci RAM itd. Niech więc za dodatkowy komentarz i podsumowanie posłuży jedna z wypowiedzi przesłanych przez bibliotekę powiatową.

*Jesteśmy w bardzo ciężkiej sytuacji finansowej. Nie posiadamy ani jednego komputera. Nasza działalność opiera się głównie na starym sprzęcie audiowizualnym: wideo, telewizor, radio. Daleko nam do „Biblioteki 2000”, chociaż bardzo pragniemy mieć nowoczesny sprzęt komputerowy, służyć czytelnikowi, być mu pomocnym. Istnienie i funkcjonowanie biblioteki jest niemożliwe bez sprzętu komputerowego i wykształconego bibliotekarza.*

---

<sup>23</sup> W. Przybyszewski, A. Rusek: *Na wirażu. Biblioteki publiczne wobec zmian ustroju i systemu administracji państwa*. Warszawa, BN 1998 s. 24. [Gwoli ścisłości należy dodać, że według tych samych badań blisko 21% bibliotek gminnych posiada zbiory wideo. (tamże, s. 43)]

## KWESTIONARIUSZ ANKIETY

*Dla ujednolicenia wyników prosimy o podawanie danych dotyczących biblioteki głównej bez filii*

*Przy odpowiedziach twierdzących proszę zaznaczyć odpowiedni kwadrat*

1. Czy posiadają Państwo komputerowe programy multimedialne?  
TAK  NIE   
Jeśli tak, prosimy podać przybliżoną ilość.  
 encyklopedie...  słowniki.....  pakiety do nauki języka.....  
 gry.....  pakiety edukacyjne...  inne materiały.....
2. Czy w zbiorze znajdują się...? (Jeśli tak, prosimy podać przybliżoną ilość.)  
 dyskietki 3,5 cala...  dyski CD-ROM...  dyski DVD...
3. Czy biblioteka wypożycza programy komputerowe do domu?  
TAK  NIE
4. Czy biblioteka pobiera opłaty za udostępnianie programów?  
TAK  NIE
5. Czy biblioteka posiada komputer (komputery)?  
TAK  w ilości..... NIE
6. Czy biblioteka ma katalog w wersji komputerowej?  
TAK  NIE
7. Czy czytelnicy mogą korzystać z programów komputerowych w czytelni?  
TAK  liczba stanowisk..... NIE
8. Czy biblioteka ma dostęp do Internetu?  
TAK  NIE   
Jeśli tak, to jak jest realizowany?  
a. Łączy stałe   
b. Połączenie komutowane przez modem  
Połączenie z TP S.A.  Połączenie z innym providerem   
c. Połączenie przez telewizję kablową
9. Czy biblioteka ma swoją własną stronę WWW?  
TAK  NIE   
Jeśli tak, to czy udostępnia na niej swój katalog OPAC?  
TAK  (ewentualnie przez telnet ) NIE
10. Czy czytelnicy mogą korzystać z Internetu?  
TAK  NIE   
Jeśli tak, to...  odpłatnie  nieodpłatnie
11. Czy biblioteka posiada zbiory video?  
TAK  NIE   
Jeśli tak, prosimy podać przybliżoną ilość.  
filmy fabularne  ..... filmy dokumentalne  .....  
filmy oświatowe  ..... inne.....  .....
12. Czy biblioteka posiada magnetowid(y)?  
TAK  ..... NIE

13. Czy biblioteka wypożycza kasety video?

TAK  NIE

Jeśli tak, to... odpłatnie  nicodpłatnie

14. Czy biblioteka posiada nagrania dźwiękowe?

TAK  NIE

Jeśli tak, to w jakiej formie? Prosimy też podać przybliżoną ilość.

płyty CD.....  kasety magnetofonowe.....  płyty analogowe.....

Proszę podać przybliżony procentowy udział w ogólnej liczbie nagrań.

muzyka rozrywkowa.....  muzyka poważna.....

nagrania tekstów literackich (książka mówiona).....

zbiory edukacyjne (np. do nauki języków).....

15. Czy biblioteka posiada urządzenia do odtwarzania muzyki?

gramofony.....  magnetofony.....  odtwarzacze kompaktowe.....

16. Czy biblioteka posiada mikroformy?

TAK  NIE

Jeśli tak, prosimy podać przybliżoną ilość

mikrofilmy.....  mikrofiszki.....

Czy ewentualne zbiory mikroform zawierają...?

kopie zbiorów własnych  kopie zbiorów obcych

katalogi  bibliografie

17. Czy biblioteka informuje w katalogach o posiadanych dokumentach nieksiążkowych?

TAK  NIE

18. Czy biblioteka wykupiła abonament za dostęp do jakiegokolwiek płatnej bazy dostępnej online?

Jeśli tak, to ile jest tych baz?

TAK  ..... NIE

=====

### METRYKA

Status biblioteki (wojewódzka, powiatowa).....

Wielkość zbiorów (tylko biblioteka główna).....

\*\*\*

Będziemy wdzięczni za dodatkowe Państwa uwagi (np. na temat stanu technicznego posiadanych komputerów i sprzętu audiowizualnego). Prosimy też o wyrażenie opinii na temat zainteresowania czytelników dokumentami nieksiążkowymi i nowymi mediami w bibliotece .....

.....



## ZAKOŃCZENIE

Dokonana w trzech pierwszych rozdziałach pracy analiza piśmiennictwa oraz wyniki badań ankietowych zaprezentowane w rozdziale czwartym miały udowodnić postawioną na wstępie tezę, iż bibliotekarze praktycy i bibliotekoznawcy zajmujący się teoretycznymi aspektami bibliotekarstwa w większości nie utożsamiają tej dziedziny wyłącznie z dokumentami książkowymi. Z drugiej strony zadaniem pracy było pokazanie, że szerokie otwarcie bibliotek na dokumenty nieksiążkowe nie musi oznaczać rychłego spełnienia przepowiedni o zmierzchu przekazów drukowanych.

W otwierającym pracę rozdziale terminologicznym autor z założenia nie próbował tworzyć typologii dokumentów nieksiążkowych. Ze względu na duże zróżnicowanie formalne w tej grupie dokumentów nie jest możliwe stworzenie dla nich jednej uniwersalnej typologii. Możliwe jest jedynie stworzenie kilku różnych podziałów poprzez zastosowanie różnych kryteriów formalnych. Wyróżnienie kategorii dokumentów nieksiążkowych na zasadzie opozycji do dokumentów książkowych (czyli tradycyjnych kodeksów i drukowanych czasopism) okazuje się swego rodzaju pułapką. Zachęca bowiem do stosowania złudnych podziałów na dokumenty drukowane i niedrukowane, ewentualnie na papierowe i niepapierowe. Zamiast więc tworzyć dyskusyjne typologie, autor skupił się w pierwszym rozdziale na krytycznym omówieniu definicji takich pojęć jak: „dokumenty nieksiążkowe”, „dokumenty audiowizualne” i „dokumenty elektroniczne”. Efektem tych rozważań było wyraźne zaznaczenie relacji hierarchicznej między tymi pojęciami, co oznacza, że – według autora – termin „dokumenty nieksiążkowe” jest terminem nadrzędnym względem terminu „dokumenty audiowizualne” (odnoszącego się do materiałów wymagających zastosowania urządzeń odczytujących), a z kolei termin „dokumenty elektroniczne” jest podrzędny względem terminu „dokumenty audiowizualne”. Przyjęcie przez bibliotekoznawców tej prostej zależności zmniejszyłoby niemały szum informacyjny panujący w tej dziedzinie.

Z racji szybko rosnącego we współczesnym świecie znaczenia przekazów dostępnych dzięki technice komputerowej, a której ekspansja objawia się de facto powolnym zastępowaniem dotychczasowych mediów, duża część pracy poświęcona została dokumentom elektronicznym. Zarówno tym, które dostępne są na nośnikach fizycznych gromadzonych przez biblioteki, jak i tym, które dostępne są w trybie online przez sieci rozległe. Niemniej nie mogło w pracy zabraknąć fragmentów poświęconych wciąż mającym znaczenie dla bibliotekarstwa analogowym dokumentom audiowizualnym. Co więcej, w drugim rozdziale pracy przytoczonych zostało wiele wypowiedzi, których autorzy przekonują, że na progu epoki cyfrowej bibliotekarze powinni mieć mimo wszystko nadal na uwadze



dokumenty tworzone w technice analogowej. Podstawową ich zaletą jest bowiem duża trwałość, mimo iż właściwy jest im powolny spadek jakości zapisanej informacji.

W historii bibliotekarstwa nadchodzi (albo już nadszedł) ciekawy okres zdobywania przez dokumenty elektroniczne kolejnych obszarów, na których realizowana jest funkcja biblioteki. Będzie to wymagać od bibliotekarzy znalezienia jakościowej równowagi pomiędzy tradycyjnymi dokumentami książkowymi a ich elektronicznymi odpowiednikami. Chodzi więc o utrzymanie właściwych proporcji między „starymi” i „nowymi” mediami, takich proporcji, które usatysfakcjonują wszystkich użytkowników bibliotek, zróżnicowanych przecież pod względem wieku, wykształcenia, upodobań i potrzeb informacyjnych. Polegając jednocześnie na tradycyjnych źródłach drukowanych oraz dokumentach audiowizualnych (w tym dokumentach elektronicznych dostępnych online), biblioteka będzie mogła w sposób nieprzerwany, pełny i rzetelny wypełniać swoje informacyjne i kulturotwórcze zobowiązania wobec społeczeństwa. I bynajmniej taki pluralizm form, a nawet późniejsza dominacja dokumentów elektronicznych nie musi oznaczać rychłego i definitywnego końca przekazów drukowanych. Notabene dane statystyczne obrazujące zużycie papieru do celów publikacji wskazują na stały jego wzrost, a to oznacza, że zapowiadany od kilkudziesięciu lat koniec epoki panowania druku w przekazywaniu ludzkich myśli i uczuć nie nadszedł i nieprędko nadejdzie.

Za utrzymaniem przez drukowaną książkę jednej z głównych ról w dostarczaniu informacji i wrażeń estetycznych przemawiają nie tylko ludzkie nawyki i jej ergonomiczny charakter. Proces powszechnej dygitalizacji, a więc także dygitalizacji zasobów bibliotek, napotykać bowiem będzie na obiektywne bariery, z których bariera ekonomiczna oraz bariera prawa autorskiego są najważniejszymi.

Cieszyć może fakt, że przeprowadzone badanie ankietowe, którego wyniki omówione zostały w rozdziale czwartym, dowiodło, iż zagadnienie dokumentów nieksiążkowych nie jest dla większości polskich bibliotek szczebla wojewódzkiego i powiatowego problemem czysto hipotetycznym. Wobec powszechnie znanej trudnej sytuacji finansowej w tej sferze kultury można było mieć obawy, czy badanie nie wykaże większych dysproporcji między rozwiniętym bibliotekarstwem zachodnim a bibliotekami polskimi. Pozostaje mieć nadzieję, że nowe technologie i nowe nośniki informacji docierają będą niebawem także do bibliotek niższych szczebli.

Wiele wskazuje na to, że najbliższa przyszłość bibliotek będzie historią godzenia tradycji (której symbolem są drukowane kolekcje) z nowoczesnością reprezentowaną przez nowe nośniki elektroniczne i źródła informacji dostępne online. Jeśli to się powiedzie, i zwolennicy przeciwnych opcji uznają nawzajem swoje argumenty, to poszukiwacz informacji i treści literackich będzie mógł korzystać z różnych typów dokumentów w różnych trybach pracy w jednym miejscu – w polimedialnej bibliotece przyszłości.

## BIBLIOGRAFIA

1. *The ALA glossary of library and information science*. Chicago, ALA 1983.
2. Andrzejewska J.: *Bibliotekarstwo szkolne. Teoria i praktyka. Tom I. Organizacja biblioteki*. Warszawa, SBP 1996.
3. *Anglo-American cataloging rules*. Chicago, ALA 1967.
4. *Anglo-American cataloging rules*. London, LA 1967.
5. Annichiarico M.: *To make a long story short: abridged audio at 10*. „Library Journal” 1996 vol. 121 no 19 s. 32-34.
6. *ASIS thesaurus of information science and librarianship*. Jessica L. Milstead ed. Medford, ASIS 1994.
7. Ballard T.: *Escape from the tower. Moving databases from CD-ROM network to the Web*. „Computers in Libraries” 1999 vol. 19 no 9 s. 70-74.
8. Barker P.: *Electronic books and libraries of the future*. „The Electronic Library” 1992 vol. 10 no 3 s. 139-149.
9. Barker P.: *Electronic libraries of the future*. W: *Encyclopedia of Library and Information Science vol. 59*. New York, Marcel Dekker Inc. 1996, s. 119-153.
10. Barker P.: *The future of books in an electronic era*. „The Electronic Library” 1998 vol. 16 no 3 s. 191-198.
11. Barkholz G.R.: *Audiotapes*. W: *Nonbook media. Collection management and user services*. J.W. Ellison, P.A. Coty, ed. Chicago, ALA 1987, s. 20-31.
12. Bateman R.: *Integrated multimedia libraries: at what stage the integration?* „Audiovisual Librarian” 1980 vol. 6 no 1 s. 16-20.
13. Batt C.: *Information technology in public libraries*. London, LA Publishing 1998.
14. Batt C.: *Information technology in public libraries*. London, Library Association 1992.
15. Bazin P.: *Toward metareading*. W: *The future of the book*. Ed. by G. Nunberg. Berkeley, University of California Press 1996.
16. Beck T.: *Rola i znaczenie Internetu w prowadzeniu działalności badawczej*. W: *Elektroniczna przyszłość bibliotek akademickich*. Pod red. W. Pindlowej. Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego 1997, s. 119-129.
17. Bellinger M.: *The transformation from microfilm to digital storage and access*. „Journal of Library Administration” 1998 vol. 25 no 4 s. 177-185.
18. *Bibliotekarstwo i bibliografia. Typologia dokumentów. PN-92/N-01227*. Warszawa, Wydawnictwa Normalizacyjne „Alfa” 1992.
19. *Bibliotekarstwo*. Pod red. Z. Żmigrodzkiego. Warszawa, SBP 1998.
20. *Bibliotekarstwo. Wydanie drugie, uzupełnione i rozszerzone*. Pod red. Z. Żmigrodzkiego. Warszawa, SBP 1998.
21. Biliński L.: *Czy przepisy prawne określają nazwę biblioteki?* „Bibliotekarz” 2000 nr 9 s. 31-32.
22. Birdsall W.F.: *The myth of the electronic library. Librarianship and social change in America*. Westport, Greenwood Press 1994.

23. Bolter D.: *Człowiek Turinga. Kultura Zachodu w wieku komputera*. Warszawa, PIW 1990.
24. *The bookman's glossary*. Ed. by Jean Peters. New York, Bowker 1975.
25. *Books in our future. Perspectives and proposals*. Washington, ALA 1987.
26. Boorstin D.J.: *Books in our future*. W: *Books in our future. Perspectives and proposals*. Washington, ALA 1987, s. 358-374.
27. Bowden D., Rowlands I.: *Digital libraries: assumptions and concepts*. „Libri” 1999 vol. 49 no 4 s. 181-191.
28. Braid A.: *The problem of digitising non-electronic media*. „Libri” 1994 vol. 44 s. 311-316.
29. *The British Library and non-book materials*. „Audiovisual Librarian” 1986 vol. 12 no 2 s. 32-34.
30. Bryant E.: *Triumph of the web*. „Library Journal” 1999 vol. 124 no 19 s. 4-6. [Supplement to „Library Journal” – Reference 2000. Print, CD-ROM, Online.]
31. Buckland M.: *Redesigning library services. A manifesto*. Chicago, ALA 1992.
32. Burkel R.: *Digital amnesia*. – <http://www.aiim.org/fbi/micro.cfm>.
33. Burns G.: *We are not vidiots*. „Library Journal” 1990 vol. 115 no 20 s. 40-41.
34. Bush V.: *As We may think*. „Atlantic Monthly” 1945 no 176 s. 101-108.
35. Cabeceiras J.: *The multimedia library. Materials selection and use*. New York, Academic Press 1982.
36. Chmielewska-Gorczyca E.: *Biblioteka wirtualna – wizja czy rzeczywistość?* „Przegląd Biblioteczny” 1996 z.2/3 s. 117-131.
37. Chmielewska-Gorczyca E.: *Cechy środków zapisu i przekazu informacji*. W: *Bibliologia dyscypliną integrującą*. Warszawa, Wydawnictwo IHNOiT, 1993, s. 353-366.
38. Chmielewska-Gorczyca E.: *Ku bibliotece wirtualnej*. „Zagadnienia Informacji Naukowej” 1996 nr 1 s. 3-13.
39. Chmielewska-Gorczyca E.: *Tezaurus informacji naukowej*. Warszawa, OIN PAN 1992.
40. Chmielewska-Gorczyca E., Sosińska-Kalata B.: *Informacja naukowa z elementami naukoznawstwa*. Warszawa, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne 1991.
41. Cody S.A.: *The electronic revolution in libraries. Microfilm deja vu?* „College and Research Libraries” 1990 vol. 51 no 4 s. 374-386.
42. Crawford W.: *Being analog. Creating tomorrow's libraries*. Chicago, ALA 1999.
43. Crawford W.: *The card catalog and other digital controversies*. „American Libraries” 1999 vol. 30 no 1 s. 53-58.
44. Crawford W., Gorman M.: *Future libraries. Dreams, madness and reality*. Chicago, ALA 1995.
45. Curtis R.: *100 DISCount classics*. „Library Journal” 1996 vol. 121 no 19 s. 36-38.
46. Czajkowski F.: *Czytanie bez książek*. „Poradnik Bibliotekarza” 1991 nr 4 s. 7-9.
47. Czermiński J.: *Od biblioteki elektronicznej do biblioteki wirtualnej*. W: *Elektroniczna przyszłość bibliotek akademickich*. Pod red. W. Pindlowej. Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego 1997, s. 158-167.
48. Daily J.E.: *Nonprint material. Sound recordings, motion pictures, and pictures*. W: *Encyclopedia of library and information science vol. 20*. New York, Marcel Dekker Inc. 1977, s. 100-117.
49. Daniłowicz P., Sztabiński F.: *Nowe spojrzenie na ankietę pocztową. Jak uzyskano 70% zwrotów*. W: *Analizy i próby technik badawczych w socjologii. Tom IX. Problemy humanizacji procesu badawczego*. Pod red. Z. Gostkowskiego. Warszawa, PAN 1992, s. 122-141.
50. Dembowska M.: *Dokumentacja i informacja naukowa. Zarys problematyki i kierunki rozwoju*. Warszawa, SBP 1965.

51. Dembowska M.: *Próba klasyfikacji pojęciowej dokumentów w dokumentacji i informacji naukowej*. „Aktualne Problemy Informacji i Dokumentacji” 1966 nr 2 s. 1-5.
52. Deschamps M.C.: *The electronic library. Bielefeld Conference 1994*. „Libri” 1994 vol. 44 no 4 s. 304-310.
53. Dick J.T.: *DVD : the next big (digital) thing?* „Library Journal” 1999 vol. 124 no 9 s. 50-51.
54. Dobrowolski Z.: *Internet i biblioteka*. Warszawa, SBP 1998.
55. Dowlin K.E.: *The electronic library. The promise and the process*. New York, Neal-Schuman Publishers 1984.
56. Drewniewska-Idziak B.: *Mikrofilmowanie i skanowanie zbiorów jako formy ich ochrony*. W: *Ochrona i konserwacja zbiorów bibliotecznych. Materiały z ogólnopolskiej konferencji. Warszawa 15-17 października 1998 r.* Warszawa, SBP 1998, s. 66-72.
57. Drucker P.F.: *Spółeczeństwo pokapitalistyczne*. Warszawa, PWN 1999.
58. Drzewiecki M.: *Biblioteki szkolne i pedagogiczne w Polsce. Rola w procesie dydaktycznym i miejsce w krajowej sieci biblioteczno-informacyjnej*. Warszawa, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego 1991.
59. Drzewiecki M.: *Problemy przygotowania młodzieży do korzystania z informacji w dobie multimediów*. „Bibliotekarz” 1999 nr 3 s. 3-6.
60. Duhon B.: *Technology – proof archival*. „Inform” 1999 vol. 13 no 8 s. 25-26.
61. Dunin J.: *Pismo zmienia świat*. Warszawa, PWN 1998.
62. Dyson E.: *Wersja 2.0. Przepis na życie w epoce cyfrowej*. Warszawa, Prószyński i S-ka 1999.
63. Dziekańska E.: *Niecodzienna książka*. „Chip” 1998 nr 8 s. 30-31.
64. Dziubecka R.: *Definicja terminu “dokumenty audiowizualne”. Uwagi dyskusyjne*. „Przegląd Biblioteczny” 1977 z. 1 s. 33-39.
65. Eco U.: *Nowe środki masowego przekazu a przyszłość książki*. Warszawa, PIW 1996.
66. Eco U.: *O bibliotece*. Wrocław, Ossolineum 1990.
67. *Elektroniczna Przyszłość Bibliotek Akademickich*. Pod red. W. Pindlowej. Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego 1997.
68. *Encyclopedia of library history*. New York, Garland Publishing 1994.
69. *Encyklopedia wiedzy o książce*. Wrocław, Ossolineum 1971.
70. *Encyklopedia współczesnego bibliotekarstwa polskiego*. Wrocław, Ossolineum 1976.
71. *Era cyfrowości*. „Print & Publishing” 2000 nr 4 s. 51.
72. Escarpit R.: *Rewolucja książki*. Warszawa, PWN 1970.
73. Feather J.: *A dictionary of book history*. London, Routledge 1988.
74. Feret B.: *Protokół Z.3950 jako podstawa tworzenia systemów współkatalogowania i katalogów centralnych*. W: *Materiały na międzynarodową konferencję nt.: Współpraca Bibliotek Naukowych w Zakresie Automatyzacji, Kraków 16-19.11.1998*. Warszawa, SBP 1998, s. 117-124.
75. Fothergill R., Butchart I.: *Non-book materials in libraries. A practical guide*. London, Bingley 1990.
76. Fourie I.: *Should We take disintermediation seriously?* „The Electronic Library” 1999 vol. 17 no 1 s. 9-16.
77. *Freedom and equality of access to information*. W: *Books in our future. Perspectives and proposals*. Washington, ALA 1987, s. 340-356.
78. Fukuyama F.: *Wielki wstrząs. Natura ludzka a odbudowa porządku społecznego*. Warszawa, Politeja 2000.
79. Garrod P.: *Survival strategies in the learning age – hybrid staff and hybrid libraries*. „ASLIB Proceedings” 1999 vol. 51 no 6 s. 187-194.
80. Gauch S., Li W., Gauch J.: *The VISION digital video library*. „Information Processing & Management” 1997 vol. 33 no 4 s. 413-426.

81. Gimpel J.: *U kresu przyszłości. Technologia i schyłek Zachodu*. Wrocław, Wydawnictwo Dolnośląskie 1999.
82. Giuliano V. E.: *A manifesto for librarians*. „Library Journal” 1979 vol. 104 no 16 s. 1837-1842.
83. Gmiterek W.: *Mikrofilm a komputeryzacja bibliotek*. „Bibliotekarz” 1997 nr 7-8 s. 13-15.
84. Goban-Klas T.: *Komunikowanie masowe. Zarys problematyki socjologicznej*. Kraków, Ośrodek Badań Prasoznawczych 1978.
85. Goban-Klas T., Sienkiewicz P.: *Spoleczeństwo informacyjne. Szanse, zagrożenia, wyzwania*. Kraków, Wydawnictwo Fundacji Postępu Telekomunikacji 1999.
86. Gorman M.: *Five new laws of librarianship*. „American Libraries” 1995 vol. 26 no 8 s. 784-785.
87. Gorman M.: *The corruption of cataloguing*. „Library Journal” 1995 vol. 120 no 15 s. 34.
88. Gorman M.: *The treason of the learned*. „Library Journal” 1994 vol. 119 no 3 s. 130-131.
89. Gorman M.: *Toward the tableless society. A brief interview with E. Palfrey Bellingham*. „Library Journal” 1985 vol. 110 no 2 s. 45-47.
90. Górny M.: *CD-ROM w bibliotece – konkurent czy uzupełnienie dostępu online?* „Przełąd Biblioteczny” 1991 z. 2 s. 167-177.
91. Grygowski D.: *Aspekt prawny wykorzystania multimediiów w edukacji i bibliotekarstwie*. „Poradnik Bibliotekarza” 1998 nr 2 s. 8-10.
92. Grygowski D.: *Internet jako medium syntetyczne. Internetowa oferta dla dzieci i młodzieży*. W: *Dzieci a mass media*. Warszawa, CUKB 1999, s. 76-85.
93. Grygowski D.: *Literatura słuchana*. „Guliwer” 1993 nr 6 s. 41-45.
94. Grygowski D.: *Prezentacja multimedialna – standard dydaktyczny*. W: *Multimedia – Biblioteka – Edukacja*. Warszawa, CEBiD 2001, s. 79-95.
95. Hancko R.: *Zarys wiadomości o dokumentach*. Warszawa, CBW 1972.
96. Hancock M.: *Subject searching behaviour at the library catalogue and the shelves. Implications for online interactive catalogues*. „Journal of Documentations” 1987 vol. 43 no 4 s. 303-321.
97. Harney J.: *Virtual Storage. The new access to enterprise applications*. „Inform” 1999 vol. 13 no 8 s. 20-22.
98. *Harrod's librarians' glossary of terms used in librarianship, documentation and the book crafts and reference book*. Aldershot, Gower 1990.
99. Hopfinger M.: *Kultura audiowizualna u progu XXI wieku*. Warszawa, IBL 1997.
100. Huntington S.P.: *Zderzenie cywilizacji i nowy kształt ładu światowego*. Warszawa, Muza 1997.
101. *International encyclopedia of information and library science*. Ed. by J. Feather, P. Sturges. London, Routledge 1997.
102. *ISBD(ER): International Standard Bibliographic Description for Electronic Resources*. München, Saur 1997.
103. *ISBD(NBM): International Standard Bibliographic Description for Non-Book Materials*. London, IFLA 1977.
104. *ISBD(NBM): International Standard Bibliographic Description for Non-Book Materials*. London, IFLA 1987.
105. Jacquesson A.: *Automatyzacja bibliotek. Zarys historyczny, strategia, perspektywy*. Warszawa, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego 1999.
106. Jacsó P.: *The end of an era or a column, at least....* „Computers in Libraries” 1999 vol. 19 no 9 s. 44-45.

107. Jankowska H.: *Organizacja i funkcjonowanie pracowni reprograficznych w bibliotekach polskich (na podstawie ankiety)*. W: *Ochrona i konserwacja zbiorów bibliotecznych. Materiały z ogólnopolskiej konferencji. Warszawa 15-17 października 1998 r.* Warszawa, SBP 1998, s. 167-170.
108. Jankowska H.: *Zminiaturyzowane źródła informacji*. Warszawa, CİNTE 1974.
109. Jenkins S.: *The death of the written word*. „Journal of Information Science” 1995 vol. 21 no 6 s. 407-412.
110. Jessop D.: *DVD basics for libraries and information centers*. „Computers in Libraries” 1998 vol. 18 no 4 s. 62-66.
111. Johnson D.: *Internet filters. Censorship by any other name?* „Emergency Librarian” 1998 vol. 25 no 5 s. 11-13.
112. Johnson D.: *NLS conversion to digital talking books*. „Library Hi Tech News” 1999 no 160 s. 16-17.
113. Kahn H., Wiener A. J.: *The year 2000. A frame work for speculation on the next thirty-three years*. New York, MacMillan Company 1967.
114. Kaye S., Baxter B.: *Breaking the sound barrier. Starting and maintaining an audiobook collection*. „Library Journal” 1994 vol. 119 no 9 s. 34-36.
115. Keenan S.: *Concise dictionary of library and information science*. London, Bowker-Saur 1996.
116. Klawender Z.: *Mikrofilmy jako formy zastępcze udostępniania zbiorów*. W: *Ratowanie i ochrona zbiorów*. Warszawa, BN 1998, s. 84-87.
117. Krysiak E.: *Przechowywanie optyczno-elektroniczne alternatywą mikrofilmowania?* „Bibliotekarz” 1993 nr 5 s. 12-15.
118. Kurzweil R.: *The future of libraries. Part 1: the technology of the book*. „Library Journal” 1992 vol. 117 no 1 s. 80-82.
119. Kurzweil R.: *The future of libraries. Part 2: the end of books*. „Library Journal” 1992 vol. 117 no 3 s. 140-141.
120. Kwaśniewska I.: *Mikrofisz w bibliotece. Opracowanie, przechowywanie, udostępnianie*. „Aktualne Problemy Informacji i Dokumentacji” 1984 nr 1 s. 30-35.
121. Laflin J.: *Microfilm scanners. Bridging the gap between micrographic and electronic document management systems*. „Information Management & Technology” 1998 vol. 31 no 2 s. 65-70.
122. Lally C.: *Combining microfilm and electronic imaging*. „ASLIB Information” 1992 vol. 20 no 9 s. 342-343.
123. Lancaster F.W.: *Libraries and librarians in an age of electronics*. Arlington, Information Resources Press 1982.
124. Lancaster F.W.: *Rozpowszechnianie informacji naukowej i technicznej. Zarys systemu eliminującego zastosowanie papieru*. „Zagadnienia Informacji Naukowej” 1976 nr 2 s. 3-42.
125. Lancaster F.W.: *The paperless society revisited*. „American Libraries” 1985 vol. 16 no 8 s. 553-555.
126. Lancaster F.W.: *Toward paperless information systems*. New York, Academic Press 1978.
127. Lancaster F.W., Sandore B.: *Technology and management in library and information services*. London, LA Publishing 1997.
128. Landau H.B.: *Microform vs. CD-ROM: is there a difference?* „Library Journal” 1990 vol. 115 no 16 s. 56-59.
129. Landesman B.: *Keeping the jello<sup>®</sup> nailed to the wall. Maintaining and managing the virtual collection*. „Serials Librarian” 1997 vol. 30 no 3/4 s. 137-147.
130. Lang B.: *The electronic library. Implications for librarians, academics and publishers*. „Libri” 1994 vol. 44 no 4 s. 265-271.
131. Lem S.: *Bomba megabitowa*. Kraków, Wydawnictwo Literackie 1999.

132. Lesk M.: *Cyfrowe książki*. „Świat Nauki” 1997 nr 5 s. 36-38.
133. Lesk M.: *Image formats for preservation and access*. „Information Technology and Libraries” 1990 vol. 9 no 4 s. 300-308.
134. Leslie D.: *Industry experts gather to map future of libraries*. „The Electronic Library” 1999 vol. 17 no 3 s. 149-153.
135. *Libraries present and future: the future of the library profession*. „The Electronic Library” 1996 vol. 14 no 6 s. 517-522.
136. Licklider J.C.R.: *Biblioteki przyszłości*. Warszawa, PWN 1970.
137. Line M.: *Line's five laws of librarianship*. „Library Association Record” 1996 vol. 98 no 3 s. 144.
138. Lynn M.S.: *Preservation and access technology: the relationship between digital and other media conversion processes: a structured glossary of technological terms*. „Information Technologies and Libraries” 1990 vol. 9 no 4 s. 309-336.
139. Łakomy M.: *Hurtownia, baza czy archiwum?* „Computerworld” 2000 nr 35 s. 42.
140. Maj J.: *Biblioteki publiczne w 1997 r. Omówienie wybranych zagadnień*. W: *Biblioteki Publiczne w Liczbach 1997*. Warszawa, BN 1998, s. 7-36.
141. Maj J.: *Biblioteki publiczne w 1998 r. Omówienie wybranych zagadnień*. W: *Biblioteki Publiczne w Liczbach 1998*. Warszawa, BN 1998, s. 7-44.
142. Majcher A.: *O bibliotekach powiatowych '2000 ciąg dalszy*. „Poradnik Bibliotekarza” 2000 nr 1 s. 8-9.
143. Malinconico S.M., Warth J.C.: *Electronic libraries: how soon?* „Program Automated Library and Information Systems” 1996 vol. 30 no 2 s. 133-142.
144. Mangione T.W.: *Ankietowanie pocztowe w badaniach marketingowych i socjologicznych*. Warszawa, PWN 1999.
145. Marchionini G.: *Research and development in digital libraries* W: *Encyclopedia of Library and Information Science vol. 63*. New York, Marcel Dekker Inc. 1998, s. 259-279.
146. Maslin J., Lyon E.: *Project PATRON – audio and video on demand at the University of Surrey*. „Journal of Academic Librarianship” 1998 vol. 24 no 6 s. 464-468.
147. McGloin J.: *A nation of vidiots*. „Library Journal” 1990 vol. 115 no 3 s. 110.
148. McLuhan M.: *Wybór pism*. Warszawa, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe 1975.
149. McRae H.: *Świat w roku 2020. Potęga, kultura i dobrobyt – wizja przyszłości*. Warszawa, Dom Wydawniczy ABC 1996.
150. Michałowski R.: *Rzeczywistość wirtualna a implementacja systemu dla pracy grupowej*. W: *Media a Edukacja*. Poznań, Wydawnictwo eMPi<sup>2</sup> 1998, s. 369-372.
151. Miczka T.: *O zmianie zachowań komunikacyjnych we współczesnej kulturze audiowizualnej*. W: *Panoramy i zbliżenia. Problemy wiedzy o filmie. Antologia prac śląskich filmoznawców*. Pod red. A. Gwoźdźcia. Katowice, „Śląsk” 1999, s. 445-454.
152. Miller J.: *Spór z McLuhanem*. Warszawa, PIW 1974.
153. Mrozowski M.: *Między manipulacją a poznaniem. Człowiek w świecie mass mediów*. Warszawa, Centralny Ośrodek Metodyki Upowszechniania Kultury 1991.
154. *Multilingual glossary for art librarians*. München, Saur 1996.
155. Negroponte N.: *Cyfrowe życie. Jak się odnaleźć w świecie komputerów*. Warszawa, Książka i Wiedza 1997.
156. Nielsen B.: *Teacher or intermediary. Alternative professional models in the information age*. „College and Research Libraries” 1982 no 3 s. 183-191.
157. *Nonbook media. Collection management and user services*. Ed. by John W. Ellison and Patricia Ann Coty. Chicago, ALA 1987.
158. Nowicka J.: *Piśmiennictwo obce i książki mówione w ofercie dla czytelników warszawskich*. „Bibliotekarz” 1994 nr 11/12 s. 38-39.
159. Okoń W.: *Wprowadzenie do dydaktyki ogólnej*. Warszawa, Żak 1995.

160. *Opis bibliograficzny. Filmy. Polska norma PN-N-01152-12.* Warszawa, Polski Komitet Normalizacyjny 1994.
161. Oppenheim C., Smithson D.: *What is the hybrid library.* „Journal of Information Science” 1999 vol. 25 no 2 s. 97-112.
162. Pawłowicz W.: *Zmierzch CD-ROM.* „Computerworld” 2000 nr 7 s. 18.
163. Pellegrino E. D.: *The computer and the book. The perils of coexistence.* W: *Books in our future. Perspectives and proposals.* Washington, ALA 1987, s. 84-88.
164. Piechowiak P.: *System mikrofiszowy w Bibliotece Głównej Akademii Rolniczej w Poznaniu.* „Aktualne Problemy Informacji i Dokumentacji” 1984 nr 5/6 s. 44-46.
165. Pliszczyńska H., Więckowska H.: *Podręczny słownik bibliotekarza.* Warszawa, PWN 1955.
166. Postman N.: *Technopol: triumf techniki nad kulturą.* Warszawa, PIW 1995.
167. Poulter A.: *Browsing the virtual library.* W: *Encyclopedia of Library and Information Science vol. 62.* New York, Marcel Dekker Inc. 1998, s. 54-64.
168. Poulter A.: *Towards a virtual reality library.* „Aslib Proceedings” 1993 vol. 45 no 1 s. 11-17.
169. Przybyszewski W.: *Wyposażenie techniczne bibliotek. Raport z badań.* Warszawa, BN 1992.
170. Przybyszewski W., Rusek A.: *Na wirażu. Biblioteki publiczne wobec zmian ustroju i systemu administracji państwa.* Warszawa, BN 1998.
171. Radwański A.: *Szanujmy McLuhana.* „Bibliotekarz” 1998 nr 10 s. 3-6.
172. Radwański A.: *Ściany, biblioteki i nieporozumienia.* „Bibliotekarz” 1995 nr 7/8 s. 34-36.
173. Rams D.: *Ochrona dokumentów dźwiękowych.* W: *Konserwacja zbiorów bibliotecznych. Międzynarodowa narada ekspertów. Warszawa, październik 1987.* Warszawa, BN 1992, s. 112-121.
174. Ratajewski J.: *„Nowa Biblioteka” wobec najważniejszych wyzwań współczesnego bibliotekoznawstwa.* „Nowa Biblioteka” 1998 nr 1 s.24-25.
175. Renoult D.: *Innovation for arts and sciences. New technology in the French National Library.* „Art Libraries Journal” 1998 vol. 23 no 3 s. 20-22.
176. Risher C.: *Libraries, copyright and the electronic environment.* „The Electronic Library” 1996 vol. 14 no 5 s. 449-452.
177. *Rozporządzenie Ministra Kultury i Sztuki z dnia 6 marca 1997 w sprawie wykazu bibliotek uprawnionych do otrzymywania egzemplarzy obowiązkowych poszczególnych rodzajów publikacji oraz zasad i trybu ich przekazywania.* „Dziennik Ustaw” 1997 nr 29 poz. 161 s. 1153-1155.
178. Rusek A.: *Mila praca blisko domu. Osoby bez przygotowania zawodowego zatrudnione w bibliotekach o pracy i zawodzie bibliotekarza.* Warszawa, BN 1995.
179. *Ruch Wydawniczy w Liczbach XLIV:1998.* Warszawa, BN 1999.
180. Saniewska D.: *Nowe vademecum nauczyciela bibliotekarza.* Warszawa, Agencja „Sukurs” 2000.
181. Sauppe E.: *Dictionary of librarianship. Wörterbuch des Bibliothekswesens.* München, Saur 1988.
182. Sawoniak H.: *Biblioteki współczesne. Bibliografia. Informacja naukowa.* Katowice, Instytut Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej w Katowicach 1995.
183. Sawoniak H.: *Dokumenty audiowizualne w bibliografii.* W: *Z problemów bibliografii.* Warszawa, BN 1970, s. 369-393.
184. Schabert D.R.: *Videodiscs.* W: *Nonbook media. Collection management and user services.* J.W. Ellison, P.A. Coty, ed. Chicago, ALA 1987, s. 349-360.
185. Shores L.: *Audiovisual librarianship. The crusade for media unity (1946-1969).* Littleton, Libraries Unlimited 1973.



186. Show D.: *Libraries of the future. Glimpses of a networked, distributed, collaborative, hyper, virtual world.* „Libri” 1994 vol. 44 no 3 s. 206-223.
187. Shuman B. A.: *Beyond the library of the future. More alternative futures for the public library.* Englewood, *Libraries Unlimited* 1997.
188. Shuman B. A.: *The library of the future. Alternative scenarios for the information profession.* Englewood, *Libraries Unlimited* 1989.
189. Siekierycz K.: *Audiowizualna służba biblioteczna.* Warszawa, *BN* 1961.
190. Skrzypczak J.: *Miejsce galaktyki Gutenberga w multimedialnym wszechświecie.* W: *II międzynarodowa konferencja Media a Edukacja.* Poznań, *Wydawnictwo eMPi<sup>2</sup>* 1998, s. 51-57.
191. Skrzypczak J.: *Od podręcznika konwencjonalnego do elektronicznego. Podręcznik w świecie mediów.* „Neodidagmata” 1997 nr XXIII s. 43-49.
192. *Słownik encyklopedyczny terminologii języków i systemów informacyjno-wyszukiwawczych.* Pod red. Bożenny Bojar. Warszawa, *Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego* 1993.
193. *Słownik terminologiczny informacji naukowej.* Wrocław, *Ossolineum* 1979.
194. Sonczyk W.: *Media w Polsce. Zarys problematyki.* Warszawa, *WSiP* 1999.
195. Soper M. E.: *The librarian's thesaurus.* Chicago, *ALA* 1990.
196. Sordylowa B.: *Informacja naukowa w Polsce. Problemy teoretyczne, źródła, organizacja.* Wrocław, *Ossolineum* 1987.
197. Sosa J.F., Harris M.H.: *Jose Ortega y Gasset and the role of the librarian in post-industrial America.* „Libri” 1991 vol. 41 no 1 s. 3-21.
198. *Stan i perspektywy bibliotekarstwa polskiego do roku 2000.* Oprac. J. Kołodziejska. Warszawa, *Biblioteka Narodowa* 1987.
199. *Statistical Yearbook UNESCO.* Paris, *UNESCO Publishing & Berman Press* [roczniki za lata 1988, 1998].
200. Stefańczyk E.: *Katalogowanie w procesie wydawania.* „Nowe Książki” 1997 nr 5 s. 76-77.
201. Steinbrink B.: *Multimedia. U progu technologii XXI wieku.* Wrocław, *Robomatic* 1993.
202. Stoll C.: *Silicon snake oil. Second thoughts on the information highway.* New York, *Doubleday* 1995.
203. Stone C. W.: *Audiovisual materials and services.* W: *Encyclopedia of library and information science vol. 2.* New York, *Marcel Dekker Inc.* 1969, s. 94-98.
204. Straus G., Wolff K.: *Zainteresowanie książką w społeczeństwie polskim w 1996 r.* Warszawa, *BN* 1998.
205. Szymborski K.: *Smog informacyjny.* „Magazyn Gazety Wyborczej” 1999 nr 44 s. 18-20.
206. Tan C.K.: *Ontario Virtual Library: new millenium library.* „The Electronic Library” 1999 vol. 17 no 3 s. 139-142.
207. Tanselle G. T.: *The future of primary records.* W: *Encyclopedia of Library and Information Science vol. 58.* New York, *Marcel Dekker Inc.* 1996, s. 53-73.
208. Thompson A.H.: *Knowledge or format – which comes first?* „Audiovisual Librarian” 1986 vol. 12 no 4 s. 184-188.
209. Toffler A.: *Powershift. Knowledge, wealth, and violence at the edge of the 21<sup>st</sup> century.* New York, *Bantam Books* 1990.
210. Toffler A.: *The third wave.* New York, *Morrow* 1980.
211. Toffler A., Toffler H.: *Budowa nowej cywilizacji. Polityka trzeciej fali.* Poznań, *Zysk i S-ka* 1996.
212. Townsend Kane L.: *Access vs. ownership.* W: *Encyclopedia of Library and Information Science vol. 64.* New York, *Marcel Dekker Inc.* 1999, s. 1-21.
213. *The UNESCO Public Library Manifesto.* „Libri” 1994 vol. 44 no 2 s. 171-173.

214. *UNESCO thesaurus*. Paris, UNESCO Publishing 1995.
215. Weihs J., Howarth L.C.: *Nonbook materials: their occurrence and bibliographic description in Canadian libraries*. „Library Resources and Technical Services” 1995 vol. 39 no 2 s. 184-197.
216. Weston M.: *The storage and handling of videocassettes in libraries*. „Audiovisual Librarian” 1982 vol. 8 no 1 s. 31-33.
217. *Wideo w bibliotekach publicznych*. Pod red. Haliny Kowalskiej. Warszawa, BN 1992.
218. Wilson K.A.: *Outsourcing copy cataloging and physical processing*. „Library Resources and Technical Services” 1995 vol. 39 no 4 s. 359-383.
219. Wojciechowski J.: *Bibliotekarstwo: kontynuacje i zmiany*. Kraków, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego 1999.
220. Wojciechowski J.: *Ściany bez bibliotek*. „Bibliotekarz” 1995 nr 3 s. 9-11.
221. Wojciechowski J.: *W kręgu informacji i nieinformacji*. „Bibliotekarz” 1998 nr 4 s. 2-5.
222. Wolny M.: *Co czytają internauci? Jazda po grzbietach*. „Polityka” 2000 nr 30 s. 46.
223. Wrabec P.: *Pionierzy wirtualnej sprzedaży*. „Gazeta Wyborcza” 2000 nr 34 s. 20.
224. Wright K.: *The challenge of technology. Action strategies for the school library media specialist*. Chicago, ALA 1993.
225. Zahradil J.: *Mikroformy i ich znaczenie w tworzeniu zbiorów literatury naukowej*. „Przegląd Biblioteczny” 1985 z. 1 s. 45-53.
226. Zawadzki K.: *Z problemów mikrofilmowania zbiorów bibliotecznych*. „Rocznik Biblioteki Narodowej” 1980 s. 323-348.
227. Zawadzki K.: *Zbiory mikrofilmowe Biblioteki Narodowej. Historia. Stan obecny. Przyszłość?* „Przegląd Biblioteczny” 1984 z. 3/4 s. 343-356.
228. Zidar J. A.: *Optical scanning and text recognition*. W: *Encyclopedia of Library and Information Science* vol. 56. New York, Marcel Dekker Inc. 1995, s. 283-306.
229. Zyska B.: *Ochrona zbiorów bibliotecznych przed zniszczeniem. Tom 3 Działania profilaktyczne w bibliotece*. Katowice, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego 1994.

**DO WSZYSTKICH TYCH,  
KTÓRZY SIĘ KSZTAŁCĄ LUB DOSKONAŁĄ**

Życzymy Wam sukcesów

Pamiętajcie o tym, że:

**WYDAWNICTWO SBP**

jest dla Was. Publikujemy większość literatury, która będzie potrzebna w trakcie studiów. Autorami tych książek są Wasi obecni i przyszli wykładowcy, sprawdzeni dydaktycy i naukowcy. Co roku wydajemy kilka pozycji książkowych z myślą o studentach. Także dla Was wydajemy:

**CZASOPISMA**

**BIBLIOTEKARZ.** Indeks 352624. Miesięcznik o charakterze fachowym i naukowym. Ukazuje się od 1929 r. Czasopismo wydawane przez Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich oraz Bibliotekę Publiczną m.st. Warszawy.

**PORADNIK BIBLIOTEKARZA.** Indeks 369594. Miesięcznik instrukcyjno-metodyczny. Ukazuje się od 1949 roku. Czasopismo wydawane przez Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich.

**ZAGADNIENIA INFORMACJI NAUKOWEJ.** Od 1993 roku czasopismo jest wydawane przez Instytut Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych Uniwersytetu Warszawskiego oraz Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, jako półrocznik.

**BIULETYN INFORMACYJNY ZG SBP.** Ukazuje się od 1993 r. jako „Biuletyn”, wcześniej wydawany był „Komunikat ZG SBP”. Ukazuje się 2-4 razy w roku. Dokumentuje działalność organizacyjną i merytoryczną Stowarzyszenia.

WYDAWNICTWO

SBP



**KUPUJĄC U NAS WSPIERASZ  
POLSKIE BIBLIOTEKARSTWO**

**WYDAWNICTWO  
STOWARZYSZENIA BIBLIOTEKARZY POLSKICH**

Dział Promocji i Kolportażu

02-086 Warszawa  
Al. Niepodległości 213  
tel. (0-22) 825-50-24

Pod tym adresem i telefonem  
przyjmujemy zamówienia pisemne lub telefoniczne  
(także faksem)

**fax (0-22) 825-53-49**

**Z a p r a s z a m y !**

Wydawnictwo SBP jest wyspecjalizowaną agendą Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. Wydajemy książki i czasopisma fachowe służące kształceniu i doskonaleniu zawodowemu bibliotekarzy.

**Oferujemy Państwu sprzedaż wysyłkową na zamówienie pisemne a także telefoniczne oraz sprzedaż odręczną w dwóch punktach: Warszawa: – ul. Konopczyńskiego 5/7 oraz w Dziale Promocji i Kolportażu Al. Niepodległości 213.**

Staramy się – zważywszy na status materialny środowiska bibliotekarskiego – utrzymać ceny na poziomie niskim i średnim a część pozycji wydajemy na zasadzie *non profit*.

Z każdym rokiem nasza oferta jest bogatsza.



**KUPOJECIE U NAS BO WARTO !!!**



ISBN 83-87629-71-5

**SERIA WYDAWANA  
Z INICJATYWY  
INSTYTUTU INFORMACJI NAUKOWEJ  
I STUDIÓW BIBLIOLOGICZNYCH  
UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO  
ORAZ WYDAWNICTWA SBP**